

The book cover features a vibrant, painterly illustration of a Kashmiri landscape. At the top, red flowers hang from the branches. Below them, the author's name 'Rosie Thomas' is written in a large, red, serif font. The central scene depicts a calm lake reflecting the surrounding green mountains and a yellow and orange train on the right. The title 'Kaszmirowy szal' is written in a white, cursive script across the middle of the lake. In the foreground, two pink lotus flowers are in bloom. At the bottom, a decorative border with a repeating floral pattern in gold and green is visible.

Rosie
Thomas

Kaszmirowy
szal

hachette *litteratura*

ROSIE THOMAS

KASZMIROWY SZAL

(The Kashmir Shawl)

Tłumaczyła: Katarzyna Łuniewska



Wydanie polskie: 2013

Wydanie oryginalne: 2011

Mojemu otcu
I mojej Mani

*Owce z gór są słodkie,
te z doliny grube.
Wszyscy więc woleli,
kraść tylko te drugie.*

Rozdział Pierwszy

Mair odkryła to podczas ostatniego dnia pobytu w domu rodziców. Trójka rodzeństwa siedziała właśnie w sypialni ojca na piętrze. Spotkali się, by zająć się budzącym melancholię zadaniem porządkowania i segregowania mebli oraz rzeczy osobistych rodziców przed ostatecznym zamknięciem domu i przekazaniem kluczy do agencji nieruchomości. Zbliżał się koniec maja, jagnięta właśnie zaprowadzono na miejski targ, a z niedalekich wzgórz dobiegało głośnie beczenie dorosłych owiec. Ich nieustający, przepęlniony strachem krzyk niósł się po polach pachnących świeżą, wiosenną trawą.

Mair postawiła czajnik z herbatą na tacy i ruszyła po schodach na piętro, do swej siostry Eirlys. Ich brat Dylan podążył tuż za nią, schylając się, by uniknąć zderzenia z nisko zawieszoną belką na półpiętrze. Miał w tym pewną wprawę, w końcu manewr ten wykonywał od chwili, gdy skończył trzynaście lat.

Eirlys, jak zawsze, tryskała energią. Podłogę w sypialni ojca zapętniła równo ułożonymi stertami koców i poduszek, obok rosły piramidy rzeczowo opisanych kartonów, a obrazu dopełniały czarne torby. Stała w nogach łóżka, opierając zeszyt o poręcz i marszcząc brwi, skrupulatnie nanosiła zmiany do jednej z list.

Biały płaszcz i orszak podwładnych mógł na postronnym obserwatorze wywołać wrażenie, że Eirlys jest w trakcie swojego szpitalnego obchodu.

– Świetnie – stwierdziła na widok herbaty, by chwilę później dodać

– nie stawiaj jej tutaj.

Dylan porwał jedną z filiżanek i usadowił się wygodnie na parapecie, zasłaniając światło. Eirlys tylko uniosła brew.

– Napij się – rzekł łagodnie. – I zaszalej, zjedz wreszcie tego herbatnika.

Mair usiadła na łóżku, na którym wciąż leżał staroświecki, różowy koc elektryczny. Wróciła pamięcią do ostatnich tygodni choroby ojca, w trakcie których regularnie go odwiedzała, by się nim opiekować i dotrzymywać mu towarzystwa. Podobały im się te długie rozmowy o przeszłości i ludziach, których ojciec kiedyś znał.

– Opowiadałem ci kiedy o tym licytatorze, Billym Jonesie?

– Nie przypominam sobie.

– Strasznie się jąkał.

– Jak sobie z tym radził w pracy?

Ojciec spojrział na nią znad okularów.

– W tamtych czasach jakoś nam się tak strasznie nie spieszyło.

W tym pokoju o niskim stropie ojciec był fizycznie tak blisko, a równocześnie tak odległy myślami.

Eirlys wskazała, które paczki można przekazać organizacjom dobroczynnym, a którymi mogą się zająć ludzie od przeprowadzek. Należało jeszcze rozstrzygnąć kwestię rozdysponowania lnianej pościeli, która od niepamiętnych czasów zajmowała tę samą półkę w oczekiwaniu na „lepsze czasy”. Zapewne było to jedno z pradawnych rozporządzeń ich matki. Jednak gdy siostry rozpostarły pościel, materiał na zagięciu okazał się tak mocno przetarty, że przebijało przez niego światło słoneczne. Eirlys zacisnęła usta, by chwilę później wyznaczyć kompletowi miejsce w jednej z ponumerowanych toreb przeznaczonych na śmietnik.

Wpadające pod niskim kątem promienie słoneczne ozdabiały bluzę Dylana pierścieniem złotego meshu. Mair nie mogła usiedzieć na swoim miejscu. Nie chciała też, by fala wspomnień zalała pozostałych obecnych. Podeszła zatem do komody, która stała u wezglowia łóżka. Mebel ten jej mama odziedziczyła po swojej matce – tak przynajmniej to

w ich rodzinie przedstawiano. Ubrania Gwen Ellis leżały tam po śmierci właścicielki aż do chwili, gdy wdowiec wraz z najstarszą córką uznali, że otrząsnęli się z żałoby na tyle, by mieć siłę oddać je obcym ludziom.

Górne szuflady były puste, Eirlys usunęła z nich nawet papierową wyściółkę. W środkowej szufladzie do niedawna znajdowały się kamizelki, spodnie i poskładane koszule ojca. Gdy zaczął tracić siły, Mair każdego ranka pomagała mu się ubierać. Bezskutecznie próbowała też rozgrzewać jego kości, podgrzewając bieliznę przy elektrycznym piecyku. Teraz sterta bielizny zaległa na środku pokoju.

– Trzeba to będzie pozbierać do toreb i oddać do recyklingu – Eirlys wskazała ubrania skinieniem głowy. – Do niczego innego się już nie przydadzą.

Mair wysunęła dolną szufladę komody. Jej oczom ukazały się poźółkłe poszewki na poduszki i obrus z haftem w środkowej części, który matka wyciągała raz w roku, aby ozdobić nim bożonarodzeniowy stół. W kilku miejscach biel materiału ustąpiła już rdzawym plamom. Gdy Mair sięgnęła dłońmi pod obrus, jej palce natrafiły na bibułkę. Podniosła więc materiał, by zobaczyć, co się pod nim kryje.

Bibułka była bardzo stara i zniszczona. Gdy odwinęła papier, pierwsze, co rzuciło się jej w oczy, to feeria kolorów. Srebrzyste błękity i zielenie zauroczyły ją. Były niczym połączenie czystej tafli jeziora z wiosennym niebem, spod których przebija piękno kwiatów w kolorze lawendy i cynobru. Przyjrząwszy się bliżej, doceniła kunsztowność haftu, od łez z fantazyjnie zakręconymi końcówkami, przez liście paproci i łodyżki z wieloma odgałęzzeniami, a kończąc na małych, pięciolistnych kwiatach. Przy akompaniamencie nieustającego beczenia przestraszonych owiec Mair odwijiała kolejne warstwy delikatnej wełny. Materiał był tak lekki, że zdawał się swobodnie unosić w powietrzu.

Szał wyglądał jak dzieło sztuki. Mair była pewna, że nigdy wcześniej go nie widziała. W trakcie odpakowywania tajemniczego znaleziska z zawiniątka wypadła stara, brązowa koperta, złożona na pół. Wydawała się całkiem zwyczajna. Klej już dawno na niej wysechł, mimo to Mair bardzo delikatnie ją otwierała – wewnątrz znajdował się

pukiel kasztanowych włosów z pojedynczymi włosami koloru miedzi. Gdy przebiegła po nich palcami, poczuła pod opuszkami dotyk aksamitu.

– Ta szal babci Watkins – Eirlys orzekła typowym dla siebie autorytarnym tonem.

– Jest przepiękny... – wyszeptała z zachwytem Mair.

Eirlys jako jedyna z trójki rodzeństwa urodziła się, gdy babka ze strony matki jeszcze żyła, ale nawet ona nie miała żadnych wspomnień z nią związanych, ponieważ kobieta umarła, gdy najstarsza wnuczka była małym dzieckiem. Wszyscy wiedzieli za to, że kiedyś babcia wyjechała do Indii ze swoim, o wiele starszym, mężem misjonarzem. Małżeństwo ostatecznie powróciło do Walii, a ich jedyne dziecko urodziło się dopiero po czterdziestych urodzinach Nerys. Ich córka, Gwen, wcześniej, bo już w wieku dziewiętnastu lat, wyszła za mąż za sąsiada z tej samej doliny, przystojnego Huw Ellisa. Zwykła potem powtarzać trojgu swoich pociech, że za wszelką cenę pragnęła, by nie podzielili jej losu i nie wychowywali się w domu mocno podstarzałych rodziców.

– Jak sądzicie, czyje to mogą być włosy? – zapytała zaciekawiona Mair.

– Pojęcia nie mam – odparła starsza siostra.

Mair zamyśliła się głęboko. Z pewnością babcia Watkins nie trzymałaby własnych włosów na pamiątkę, więc może to włosy jej męża albo, co bardziej prawdopodobne, dziecka?

Nie. Ten pukiel nie mógł należeć do starszego wiekiem misjonarza i zdecydowanie nie do Gwen, której włosy były zupełnie innego koloru, o wiele jaśniejsze – tego Mair była całkiem pewna. A zatem czyje są?

To pytanie mocno ją zaintrygowało, ale wiedziała, że trudno będzie teraz znaleźć na nie odpowiedź. Przytuliła policzek do szala. Materiał był tak miękki, że mogła cały szal zmieścić w zaciśniętych dłoniach. W tym momencie po raz pierwszy poczuła też delikatną woń przypraw.

– Jest jeszcze sporo do zrobienia – zauważyła trzeźwo Eirlys, kończąc swoją herbatę i przerywając tym samym rozmyślenia siostry.

Mair ostrożnie wsunęła pukiel włosów z powrotem do koperty.

Później, gdy pakowanie i sortowanie było już niemal skończone, rodzeństwo zebrało się w kuchni. Drzwi od ogrodu zostawili otwarte i do kuchni wleciała chmara męczących muszek. Wraz z nadejściem zmroku rozpaczliwe zawrodoenie owiec przybierało na sile.

Dylan otworzył butelkę wina, a Mair zajęła się przygotowaniem kolacji, na którą składały się niewielkie porcje szynki z pieczonymi ziemniaczkami odgrzanyymi w kuchence mikrofalowej. Tej samej, którą Dylan kupił ojcu kilka lat wcześniej i z której Huw namiętnie korzystał do podgrzewania gotowych potraw zakupionych w supermarketach. Twierdził przy tym, że dania te są wyjątkowo smaczne, co oczywiście napotykało sprzeciw Eirlys – jej zdaniem takie produkty były zbyt bogate w tłuszcze i sól.

Kuchenka cichutko zabrzęczała i Mair wyjęła z niej ziemniaki. Oczyma wyobraźni widziała ojca puszczającego do niej oko i po cichu śmiejącego się z tej sytuacji. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

To ostatni wieczór, jaki mieli spędzić razem w kuchni ich rodzinnego domu. Mair nie chciała, by chwila słabości jeszcze bardziej pogorszyła nastrój. Uśmiechnęła się najpierw do trzymającego ręce w kieszeniach Dylana, a potem do Eirlys, której zza uszu wystawały końcówki starannie zaczesanych włosów, a oczy błyszczały nawet za szklami okularów.

– Zjedźmy w pokoju – zaproponowała Mair.

Stół w tym pomieszczeniu o wiele bardziej nadawał się dla trzech osób niż mały składany blacik, wciśnięty w róg kuchni, przy którym jeszcze niedawno ojciec siadywał z gazetą i kubkiem herbaty. Przeniesienie jedzenia i odnalezienie sztućców zajęło im dłuższą chwilę. Dylan znalazł kilka ogarków, a Eirlys położyła je na spodeczku. Blask świec sprawił, że pokój, jeszcze przed chwilą ciemny i ponury, wydawał się teraz bardzo przytulny.

– Powinniśmy porozmawiać o tym, co ważne – powiedziała Eirlys, gdy tylko cała trójka usiadła na swoich miejscach.

Przez moment Mair była przekonana, że jej siostra ma na myśli

szczęśliwe chwile spędzone z rodziną. Zaskoczył ją ten nietypowy przyptyw uczuć u siostry. Ale po chwili zrozumiała, że Eirlys mówiąc te słowa, miała na myśli dwa lub trzy meble i stare srebro – jedyne względnie wartościowe przedmioty w całym domu. W testamencie ojciec wyraźnie zaznaczył, że kwota, jaką uzyskają po sprzedaży domu, ma zostać podzielona na trzy części. Jakoś nigdy wcześniej nie rozmawiali o tym, co znajduje się w samym domu.

Mair spojrzała na stojący przy ścianie zegar z namalowaną na nim twarzą przedstawiającą słońce i księżyc. Pamiętała, jak w dzieciństwie jego donośne tykanie odmierzało czas w długie popołudnia. W ostatnich tygodniach Huw wspomniał o zegarze, nazywając go „zegarem Dylana”. Mair siła się wówczas na obojętną ignorancję, za wszelką cenę próbując wyprzeć ze świadomości znaczenie tych słów.

– Dylanie, ty powinieneś wziąć zegar – oznajmiła Eirlys. – Mair?

Jej brat i siostra założyli już własne rodziny, mieli piękne i duże domy. Tylko Mair była sama. Wiodła spokojne życie w wynajmowanym, jednopokojowym mieszkaniu. Nie potrzebowała, a nawet nie chciała dostać komody matki czy srebrnego czajniczka na herbatę. Będzie im lepiej u Eirlys – myślała. Odłożyła sztucę na stół i odchrząknęła.

– Chciałabym dostać szal babci – powiedziała. – Jeśli nie macie nic przeciwko.

– Ależ oczywiście – Eirlys odpowiedziała ze skinieniem głowy. – O ile ty się zgodzisz, Dylanie – dodała.

Chłopak popatrzył na Mair. W kącikach jego oczu tworzyły się coraz głębsze zmarszczki. Zarówno on, jak i Eirlys byli krótkowidzami. Dylan miał zwyczaj mrużyć oczy, gdy próbował się na coś skoncentrować.

Świadomość tego, jak bardzo kochała brata, otuliła ją niczym ciepły koc. Całe dzieciństwo byli ze sobą bardzo blisko, zawsze stawał po jej stronie, zwłaszcza gdy sprzeczały się z Eirlys. Ostatnio jednak nie miały powodów do kłótni, a śmierć ukochanego ojca sprawiła, że zaczęły się lepiej rozumieć i troszczyć o siebie.

– Wiesz, skąd mogła mieć ten szal? – zapytał Dylan.

– Nie, ale spróbuję się tego dowiedzieć – odpowiedziała.

Nie myślała o tym wcześniej, słowa same wymknęły się z jej ust. Zaskoczyła ją ciekawość, jaką budził w niej ten tajemniczy szal.

Tej nocy Mair i Eirlys po raz ostatni położyły się spać w pokoju, który dzieliły w dzieciństwie. Mair była pewna, że jej starsza siostra też nie może zasnąć, choć w przeciwieństwie do niej samej leżała spokojnie, nie wierząc się pośród pościeli przesiąkniętej wilgocią. W końcu szepnęła:

– Eirlys, nie możesz spać?

– Nie mogę.

– O czym myślisz?

– Pewnie o tym samym co ty. Kiedy rodzice umierają, zmienia się całe twoje życie. Musisz być odpowiedzialna, bo nikt teraz nie będzie cię chronić. Wiesz, co mam na myśli?

Mair współczuła siostrze. Eirlys zawsze zachowywała się właściwie, trudno było jej coś zarzucić. Była pilną studentką medycyny i zaraz po studiach została lekarzem specjalistą w szpitalu w Birmingham. Mimo to znalazła czas, by wyjść za mąż i urodzić dwóch synów. Przez całe życie uczyła się i opiekowała innymi, więc obawiała się teraz jeszcze większej ilości obowiązków, które mogłyby na nią spaść.

Mair zastanowiła się nad tym. Odkąd nauczyła się chodzić i mówić, za wszelką cenę starała się zbaczać ze ścieżki wytyczonej przez starsze rodzeństwo. Ledwie skończyła siedemnaście lat, zamiast pójść na studia, wyjechała z Walii, spełniając zresztą obietnicę, dawaną czasem jako groźba, a czasem przytaczaną w żartach podczas spotkań rodzinnych, i dołączyła do grupy cyrkowej. Tam, we Floyd's Family Circus, poznała Harriet Hayes, znaną jako Klaun Hattie. Razem wykonywały sztuczkę na trapezie. Choć od czasu, gdy pracowały w cyrku, minęło wiele lat, do tej pory były bliskimi przyjaciółkami. W kolejnych latach Mair miała się przeróżnych zajęć: była sprzedawczynią w modnym butik, wokalistką w zespole, recepcjonistką, specjalistką PR, asystentką w przedszkolu, sprzedawczynią książek... Z większości tych zajęć nie była zadowolona.

„Nie, nawet Hattie nie nazwałaby mnie odpowiedzialną” – przyznała przed samą sobą. A Hattie była przecież o wiele bardziej „wyzwolona” od Eirlys.

Mair nie miała tak silnego poczucia obowiązku jak jej starsza siostra. Czuła się wolna i chciała to uczucie w sobie zatrzymać, a jednocześnie pragnęła podzielić się nim z siostrą. Wyciągnęła dłoń, a jej palce delikatnie musnęły frędzle szala leżącego na krześle obok.

– Wiem, o czym mówisz – powiedziała. – Tak sobie myślałam... Może gdzieś wyjadę. Tata nie żyje i zostaliśmy sami. Pomyślałam o wyjeździe do Indii, może tam dowiedziałabym się czegoś o szalu babci. Może to jakaś rodzinna tajemnica... Pojedź ze mną. Nareszcie udałoby nam się spędzić trochę czasu razem.

Eirlys nawet przez chwilę nie zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Nie mogę. Nie pozwalają mi na to obowiązki. Szpital, w którym pracuję, jest w trudnej sytuacji. Poza tym, kto zająłby się Graemem i chłopcami? Ale jeśli ty naprawdę chcesz tam pojechać, zrób to. Widziałam, jak patrzyłaś na ten szal.

Mair nie chciała zdradzać siostrze swych obaw, choćby tych dotyczących braku stałego miejsca zamieszkania, które jednak nękały ją od śmierci ojca. Eirlys i Dylan zdążyli się już ustatkować, a u niej nic nie wskazywało, by w najbliższym czasie miało się tu coś zmienić. Może właśnie odkrycie części rodzinnych sekretów pomoże jej odzyskać wewnętrzny spokój.

– Możliwe, że nic nie znajdziesz, w końcu Indie to duży kraj. Ale na pewno należy ci się odpoczynek, nowe spojrzenie na życie. Jesteś bardzo zmęczona. Przejęłaś na siebie większość obowiązków podczas opieki nad tatą. Dylan i ja jesteśmy ci za to bardzo wdzięczni.

Mair zamrugnęła w ciemności, ale i tak nie mogła powstrzymać gorących łez wypływających z kąćków oczu. Po pogrzebie Eirlys napomknęła, że najmłodsze dziecko w rodzinie było tak zajęte prowadzeniem niekonwencjonalnego trybu życia, że nie miało czasu, by skupić się na czymkolwiek innym. Wtedy bardzo ją to zabolowało, ale teraz zrozumiała, że siostra miała rację – żal przybiera najróżniejsze

formy. Może to ta uwaga, a może głęboka refleksja sprawiły, że życzliwość Eirlys nabrała większego znaczenia. Powiedziała cicho:

– Cieszę się, że mogłam to zrobić.

– Pojedź do Indii. Jeśli szukałaś powodu, dla którego miałabyś wyjechać, a ten szal właśnie nim jest, zrób to – zachęcała Eirlys.

– Pomyślę o tym jutro. Teraz pora spać.

Pobekiwania owiec ustały... Mair dobrze wiedziała, dlaczego. Gdy zapadła noc, owce zrozumiały, że ich zaginione jagnięta nie wrócą. Od czasu do czasu słychać było tylko pojedyncze wołanie, ale stado powoli zapadało w głęboki sen.

Mair obudziła się w wąskim, niewygodnym łóżku. We śnie widziała kłębiące się w popłochu owce i szczekającego na nich psa. Nagle spośród chmur wyjrzało słońce, a jego blask spłynął na wzgórze, pokrywając je pięknymi kolorami. Poruszające się zwierzęta tworzyły szare wzory na zielonej trawie. Pies zaganiał owce w stronę skał, wśród których, przy otwartej zagrodzie, czekał farmer.

We śnie Mair stała się częścią miejsca, którego nigdy wcześniej nie widziała. W pokoju panował chłód. Kobieta wzdrygnęła się, owijając szczelnie koc wokół ramion. Chwilę później ciszę poranka przerwało pierwsze tego dnia wołanie muezina. Poczowała gęsią skórkę na karku, spowodowaną nie tyle chłodem, co niecierpliwym wyczekiwaniem.

Przypomniała sobie, gdzie się znajduje.

Otworzyła szerzej oczy. W maleńkim pokoju hotelowym piętrzyły się jej rzeczy. Zeszłej nocy nie było prądu i w ciemnościach przeszukiwała walizki w poszukiwaniu piżamy i skarpetek, które zwykle wkładała do snu. Mimo panującego rozgardiaszu szal był na swoim miejscu, przewieszony przez oparcie jedyne krzesła w pokoju. Światło dnia nie było jeszcze na tyle mocne, by w pełni ukazać kolory materiału, ale Mair widziała je w wyobraźni.

Wysunęła się spod kołdry i usiadła. Było bardzo wcześnie, wiedziała jednak, że nie uda jej się ponownie zasnąć.

Postanowiła zaaklimatyzować się jak najszybciej w nowym miejscu. Po samotnym śniadaniu w chłodnej i pustej jadalni hotelowej zaczęła

przygotowywać się do nadchodzącego dnia. Do torebki włożyła mapę miasta, którą dostała od uśmiechniętego recepcjonisty; butelkę wody mineralnej; żel antybakteryjny i umyte jabłko. Niepewność tego, co może ją spotkać, sprawiła, że poczuła delikatny ucisk w brzuchu.

Mair nigdy wcześniej nie była w Indiach, nie widziała plaż w Goa ani zabytków w Jaipur, nie wspominając już o wyprawie do oddalonego od reszty świata miasteczka w Himalajach. Nie była również, mimo nieustannych zapewnień o swojej niezależności, przyzwyczajona do podróży w pojedynkę. Jeśli stać ją było na wakacje, wyjeżdżała zwykle na greckie wyspy lub do Hiszpanii, z chłopakiem, czasem ze znajomymi, wśród których prawie zawsze była Hattie. Eirlys istotnie miała rację, mówiąc, że Mair rzadko poddawała się rutynie.

Kobieta uśmiechnęła się do siebie, zamykając drzwi do pokoju. Dobrze się czuła, wiedząc, że jest wolna, że nie ograniczają jej żadne obowiązki. Nie planowała nic konkretnego na kolejne dni ani tygodnie. Dzięki sprzedaży domu rodziców w Walii miała trochę pieniędzy i czasu na zrealizowanie swojego pomysłu. Nie wspominała o tym bliskim, nawet Hattie, ponieważ wiedziała, że ciężko byłoby jej znaleźć racjonalne wytłumaczenie tego, co działo się w jej głowie.

I to właśnie ten nie do końca sprecyzowany plan przywiódł ją tutaj, do Leh. Kupiła bilet otwarty, bez określonej daty powrotu, która mogłaby w jakiś sposób ją ograniczać.

Betonowa ścieżka przed hotelem ciągnęła się wzdłuż rzędów pięknych cynii, astrów i jaskrawopomarańczowych nagietków. Mair szła w stronę centrum, rozglądając się i chłonąc nowe, fascynujące widoki. Zbliżał się koniec września, a razem z nim kończył się krótki sezon turystyczny w Leh. Wiele sklepów z lokalnymi wyrobami i agencji turystycznych lokujących się wzdłuż głównej ulicy opuściło już metalowe rolety, jakby sygnalizując zmianę pory roku. Kafejki internetowe, latem pełne podróżnych, teraz coraz częściej świeciły pustkami. Wysokie szczyty okalające miasto pobłyskiwały gdzieś tam śniegiem, a wysokie topole w hotelowych ogrodach coraz śmielej otulały się złotymi liśćmi.

Za miesiąc powinien pojawić się śnieg, a przełęcz łącząca stolicę regionu Ladakh z doliną Kaszmir od wschodu i z Himachal Pradesh od południa będzie zasypana aż do nadejścia wiosennej odwilży. Przez pół roku do Leh będzie można dostać się jedynie drogą powietrzną.

Poprzedniego dnia Mair przyleciała z Delhi na małe lotnisko przy rzece Indus. Spacerując po miasteczku, próbowała wyobrazić sobie, jak wygląda ono w czasie zimy, gdy wąskie alejki pokryte są śniegiem, a budynki wypełnione po dach paszą dla zwierząt hodowlanych.

Coś przerwało jej rozmyślenia. Zniknięcie turystów sprawiło, że miejscowi sprzedawcy usilnie próbowali sprzedać ostatnie sztuki swojego towaru. Na głównej ulicy trzech kupców zdecydowanie przecięło jej drogę.

– Witam. Skąd pani przyjechała? Proszę zajrzeć do mojego sklepu.

– Mam przepiękne szale, sprzedam je pani w wyjątkowej cenie.

Trzeci mężczyzna wydał wargi, gdy Mair zachowawczo pokręciła głową.

– Patrzenie nic nie kosztuje, proszę pani. Gdzie się pani tak spieszy?

To prawda, wcale nie musiała się spieszyć. Z uśmiechem podążyła za ostatnim sprzedawcą do zagraconego sklepiku i cierpliwie oglądała to, co jej prezentował. Tace pełne srebrnej, perłowej i turkusowej biżuterii z Tybetu, malowane termosy i futrzane koce w neonowych barwach prosto z Chin, drażniące skórę kapelusze i bezrękawniki z koziego włosia, plecione torby z frędzlami i piramidy T-shirtów we wszystkich rozmiarach i kolorach. Większość z nich miała nadrukowany rysunek jaka i podpis: „yak yak yak Ladakh”. Wzrok Mair powoli przyzwyczajał się do przyciemnionego światła wewnątrz sklepu. Przy ścianach piętrzyły się samowary, miedziane talerze i dywaniki tkane na kanwie.

– Bardzo dziękuję za pokazanie tych wszystkich rzeczy, ale dziś nie zamierzałam niczego kupować.

Mężczyzna pochodził z Kaszmiru, sprzedaż musiał więc mieć we krwi.

– Potrzebuje pani szala. – To najwyraźniej nie było pytanie.

Wysokie do sufitu półki na tyłach sklepu wypełnione były poskładanymi materiałami.

– Zobaczmy.

Zamaszystymi ruchami zaczął zdejmować szale z półek. I już po chwili małą ładną sklepową zalały intensywne barwy – żółcie, błękity i róże.

– Proszę dotknąć. Piękne, prawda? Najlepsza jakość. Czysta paszmina.

Mair wiedziała teraz o szalach znacznie więcej niż cztery miesiące temu, gdy po raz pierwszy zobaczyła kunsztowny materiał, który leżał teraz w hotelowym sejfie. Rozumiała, na czym polega jakość wykonania, i potrafiła oszacować wartość szala.

– Czysta? Naprawdę? – spytała.

– Tak, czysta mieszanina jedwabiu i paszminy. Tysiąc dwieście rupii. Proszę spojrzeć na ten różowy i piękny turkusowy. Niedługo święta, trzeba pomyśleć o prezentach dla przyjaciół i rodziny. Sprzedam trzy za trzy tysiące.

– Ma pan jakieś szale *kani*¹? Albo coś haftowanego?

Mężczyzna spojrzał w górę.

– Oczywiście. Wie pani, co dobre. Pokażę.

Otworzył szafkę i wyjął z niej kolejne tkaniny. Niczym magik prezentował teraz materiały w najróżniejszych kolorach. Mair wzięła do ręki pierwszy z brzegu i pozwoliła, by delikatny materiał swobodnie prześliznął się po jej palcach. Z bliska przyjrzała się kwiatowym wzorom, w barwach czerwieni i fioleto, a następnie owinęła szal wokół ramion.

– Pięknie – stwierdził pewnie sprzedawca. – Kolory idealnie do pani pasują.

Ale szal był jednak zupełnie inny od tego, który znalazła w domu

¹ Kani – rodzaj zawilego splotu, w którym wzór wyplatany jest jako część tkaniny.

rodziców. Tkanina, choć subtelna, była znacznie sztywniejsza, brzegi kwiatków układały się nierówno, a całość źle się układała. Zdejmując szal, niemal słyszała trzask włókien. Nie była pewna, jak wpleciono ten wzór, ale na pewno nie była to ręczna robota.

– Dziękuję – wymamrotała.

– Dziewięć tysięcy. Dobra cena – sprzedawca wiedział, że Mair nie zamierzała go kupić. – A ten, proszę spojrzeć, haftowany. Wszystko ręcznie.

Tym razem pokazał jej szal w kolorze królewskiego błękitu, z rzędami białych kwiatów na końcach. Kwiaty istotnie wyszyto ręcznie, ale reszta wzoru musiała być wyszyta mechanicznie, pod szwem można było bowiem dostrzec pętelki powstałe wskutek złego przesywania. Podwójny rząd kwiatów wyszyto na wcześniej utkanym wzorze w tych samych odcieniach, a szwy były tak drobne, że nie sposób było zobaczyć ich gołym okiem. Prawa i lewa strona materiału były nie do odróżnienia. Dzięki temu szeroki pas, wyłaczany tureckimi wzorami i splecionym listowiem, nabierał trójwymiarowego efektu.

– Jest ładny – powiedziała Mair.

Twarz mężczyzny zdawała się wyrażać oburzenie. Mair chciała jak najszybciej wyjść ze sklepu na światło słoneczne. Wzięła parę perłowych kolczyków z szafki stojącej przy drzwiach, zapłaciła i wyszła na zewnątrz.

– Zapraszam ponownie! – krzyknął za nią, nieco już udobruchany, sprzedawca.

Pozostali dwaj kupcy od razu znaleźli się po obu jej stronach, ale nie byli już tak natarczywi jak wcześniej. Mair wyprzedziła ich i ruszyła wzdłuż słonecznej, choć zakurzonej ulicy pełnej kobiet siedzących na krawężnikach, z koszykami wypełnionymi kalafiorami i jabłkami przeznaczonymi na sprzedaż. Pucybuci, obłożeni szczotkami i puszkami ze środkiem nabłyszczającym, próbowali zwrócić na siebie uwagę, mimo że jej buty nie były jeszcze takie brudne. Skutery i riksze przeskakiwały nad dziurami w drodze. Ruch uliczny powodował ogłuszający hałas. Mair szła główną ulicą, zaglądając do wąskich,

bocznych uliczek i na chybił trafił wybrała jedną z nich. Zobaczyła tam chudą, wynędzniałą sukę uciekającą w popłochu.

W cieniu było zdecydowanie chłodniej, szła więc dalej. Minęła zakład fryzjerski i stoiska rzeźników, przy których na drewnianych hakach wisały kozie głowy. Czarny, głośny owad przykleił się do odciętego jęzora jakiegoś zwierzęcia, służącego prawdopodobnie za lep odciągający owady od mięsa. Mair spojrzała w tę stronę, przełknęła ślinę i sięgnęła do torby po butelkę z wodą. Wzięła duży łyk i poszła dalej. Płócienne plandeki rozwieszono nad głowami, a uliczka stawała się coraz ciemniejsza i węższa. Idąc, zgniatała resztki przejrzałych warzyw. Mijała kobiety w sari i te w burkach, pośpiesznie zmierzające w przeciwnym kierunku. Właściciele stoisk bezskutecznie namawiali do zakupu swych towarów, a dzieci bawiły się przy rynsztoku. Widok ten cieszył oczy, a każdy aspekt jego obcości jeszcze bardziej podkreślał fakt, że Mair jest cudzoziemką.

Na końcu alejki znajdował się skwer. Mair oślepiona promieniami słonecznymi musiała zmrużyć oczy. Po jednej stronie młody wół z apetytem wyjadał resztki z góry odpadków. Po drugiej ujrzała szkarłatno-złoty młynek modlitewny zawieszony pod zadaszeniem. W pewnej chwili stary mnich w szafranowo-bordowych szatach wyszedł spośród tłumu i przekręcił młynek zgodnie z ruchem wskazówek zegara. W trakcie tej rytualnej czynności mnich mamrotał i liczył koraliki na różańcu. Mair zrobiła mu zdjęcie, zastanawiając się później, czy na pewno w niczym mu nie przeszkodziła.

Weszła w uliczkę prowadzącą do samego serca bazaru. Na stoiskach piętrzyły się białe tenisówki i brązowe sandały z plastiku. Nad głowami kupujących wisały plecaki i torby sportowe. Na liniach energetycznych powieszono dziewczęce sukienki z brokatem i łańcuszkami.

Właśnie tam, pośród niebieskawego dymu unoszącego się nad stoiskami, po raz pierwszy zobaczyła rodzinę Beckerów. Ta trójka wszędzie wzbudziłaby ciekawość, ale na tym zatłoczonym targu robiła jeszcze większe wrażenie.

Byli pierwszymi ludźmi o zachodnich rysach, jakich spotkała po

zejściu z głównej ulicy. Kobieta była wysoka. Burza kasztanowych, sięgających ramion włosów okalała jej bladą twarz. Luźna biała koszula wystawała znad lnianej spódnicy z falbanami, a buty lekko pokryte były błotem. Mówiła, wskazując na różne rzeczy i śmiała się przy tym szczerze i głośno. Mężczyzna, który jej towarzyszył, patrzył w zupełnie innym kierunku. Był wyższy od swojej żony i mocno opalony. Miał kruczoczarne włosy oraz średniej długości zarost na twarzy. Pomędzy nimi szło dziecko – śliczna, około dwuletnia dziewczynka, która burzę kręconych włosów najwyraźniej odziedziczyła po matce. Odwróciła głowę i patrzyła to na jednego rodzica, to na drugiego. Następnie wyciągnęła maleńkie rączki ku górze i krzyknęła: „Nieś!”.

Kobieta wciąż śmiała się i żywo gestykulowała. Pochyliła się jednak nad dzieckiem i wzięła je na ręce, po czym usadowiła córeczkę na biodrze. Jakby nie czując wcale ciężaru, ruszyła w stronę stoiska z jedzeniem. Powietrze drgało nad garnkiem pełnym wrzącego oleju. Dziewczynka bawiła się włosami matki, przykładając je do oczu, patrząc przez nie niczym przez welon na ludzi idących za nimi.

Mężczyzna odwrócił się, by zobaczyć, co pokazuje mu żona. Sprzedawca zanurzył chochlę w gorącym oleju i po chwili wyciągnął z niej coś w kolorze karmelu. Włożył do papierowego rożka i wręczył klientce, jednocześnie odbierając zapłatę. Kobieta wyjęła jeden kawałek. Lekko na niego dmuchnęła i podała córeczce. Dziewczynka ze smakiem zaczęła jeść. Kobieta także spróbowała kupioną potrawę. Przeżuwała, śmiała się i ocierała tłuszcz z brody. Wyglądała na bardzo szczęśliwą. Wolną ręką bezwiednie objęła męża w pasie, w geście przywiązania i miłości. Tak prostym, a jednocześnie tak intymnym. Odciągnęła go od sprzedawcy i sprzed badawczego spojrzenia Mair, mimo że nikt z tej trójki nie spojrzał w jej kierunku. Weszli głębiej do labiryntu stoisk. Mair odprowadzała wzrokiem kasztanowe i czarne włosy rodziców oraz blond czuprynkę dziecka, aż cała trójka skręciła wreszcie za rogiem ulicy i straciła ich z oczu.

Stała wciąż w tym samym miejscu, mimo ogromnej chęci, by pobiec za rodziną, która tak bardzo ją zaintrygowała. Sprzedawca włożył

kolejną łyżkę tajemniczej substancji do garnka. Olej zaskwierczał i prysnął.

Pośród targowego tłumu i gwaru Mair poczuła się jeszcze bardziej samotna. Miała mnóstwo znajomych, ale nikogo, z kim mogłaby wyobrazić sobie spędzenie reszty życia. Jak dotąd, nie potrafiła przy nikim poczuć się tak jak Eirlys przy Graemie czy Dylan przy Jackie.

Wzięła głęboki oddech. W końcu poczuła zapachy przypraw na bazarze, dostrzegła spokojnie kroczące krowy, kury grzebiące w górze śmieci, buddyjskiego mnicha, który wracał od młynka modlitewnego oraz tłum ludzi zajmujących się swoimi codziennymi sprawami. Kolory i zapachy przenikały się i wirowały w jej głowie coraz intensywniej. Odwróciła się i zdecydowanym krokiem podążyła w przeciwnym kierunku niż napotkani nieznajomi.

Podróż do Changthangu, na wschód od Leh, niedaleko byłej granicy z Tybetem, zajęła większą część dnia. Pozostałymi uczestnikami wycieczki, jadącymi z nią w toyocie, było kilka par tęgich Holendrów w średnim wieku oraz trzech Izraelczyków, którzy zachowywali się głośno i wyjątkowo nieprzyjemnie. Rozsiedli się na tylnym siedzeniu i głośno śmiali przy akompaniamencie puszczanej przez nich muzyki. Mair skuliła się na swoim fotelu. Czekając ją długa podróż, miała więc dużo czasu na refleksje i wspomnienia.

Przed wyjazdem do Indii skupiła się na próbach dowiedzenia się czegoś o dziadkach. Trzy miesiące temu, w internetowej wersji książki, zatytułowanej *Nadzieja i chwała Boga. Z walijskimi misjonarzami w Indiach*, przeczytała fragment poświęcony jej dziadkowi. Evan Watkins ukończył studia w college'u uniwersyteckim Północnej Walii oraz college walijskiego kościoła prezbiteriańskiego. Po święceniach postanowił wyjechać na misję do Indii i w roku 1929 pojechał do Shillong, które w tamtym czasie nosiło nazwę Assam. Następnie pracował jako misjonarz w Shangpungu.

Po przeczytaniu biografii Watkinsa Mair często wyobrażała go sobie, w czarnym płaszczu, nauczającego ludzi z odległych wiosek. Czy grzmiał ze swojej ambony w prowizorycznie zbudowanej kaplicy w

parne dni, gdy monsunowe deszcze bębniły o blaszany dach? Od przyjazdu do Indii wciąż próbowała go sobie wyobrazić, ale zderzenie kulturowe było zbyt brutalne, by była w stanie stworzyć jakikolwiek obraz w swojej głowie.

Z książki wynikało, że Watkins powrócił do Walii w roku 1938, tam poznał i poślubił Nerys Evelyn Roberts, urodzoną w roku 1909. Rok po ślubie para wyruszyła z Liverpoolu do Bombaju, na pokładzie parowca *Prospect*.

To już znacznie łatwiej było jej sobie wyobrazić. Mair miała przed oczami zachód słońca nad Kanałem Sueskim, słyszała zespół grający dla tancerzy w sali balowej drugiej klasy. Pastorowi pewnie szkoda było czasu na tańczenie fokstrota, ale zastanawiała się, czy pani Watkins podzielała jego zdanie, czy też sączyła lemoniadę i w zadumie patrzyła na uśmiechnięte pary.

Duchowny Evan i jego żona zostali następnie powołani do służby na misji w Leh, w oddalonym Ladakhu, gdzie pastor miał służyć pomocą potrzebującym z całego regionu. Jak pisał twórca książki, wiele dróg przez siedem miesięcy w roku było nieprzejezdnych, a elektryczność była praktycznie nieznaną.

Mair wyjrzała przez okno na fioletowo-szare góry przecinające błękitne niebo. Nieutwardzona droga pełna była ostrych zakrętów, na których samochody wzbijały kurz z ziemi. Wielkie ciężarówki pomalowane niczym atrakcje z wesołego miasteczka wpadały w poślizgi i trąbiły. A Mair wciąż nie mogła wyobrazić sobie postaci walijskiego duchownego i jego żony. Ani tu, ani w żadnym innym miejscu w Himalajach.

Reszta książki była krótka. Po wojnie problemy zdrowotne pastora zmusiły go do powrotu do Walii. Evan Watkins wciąż nauczał, ale nie wyzdrowiał i zmarł w roku 1960, pozostawiając żonę i ich jedyną córkę, urodzoną w roku 1950. Ta córka była matką Mair – Gwen Ellis, z domu Watkins.

Gwen zmarła nagle, na krwotok mózgowy, gdy jej najmłodsza córka dopiero wkroczyła w wiek nastoletni. Teraz Mair bardzo żałowała tego,

że jako trzynastolatka nigdy nie poprosiła mamy, by opowiedziała jej o misjonarskich wyprawach Evana i Nerys do Indii.

Bus zatrzymał się przy przydrożnym stoisku z herbatą i przekąskami. Izraelscy młodzieńcy zaczęli przeciskać się między Mair a Holendrami. Mair wzięła plecak leżący na sąsiednim siedzeniu i przewiesiła go przez ramię, łokciem przyciskając go do boku.

– Skąd jesteś? – spytała jedna z holenderskich żon, gdy piły mocno przesłodzoną herbatę. Obok nich powoli przejechała kolumna ciężarówek należących do indyjskiej armii. Młodzi żołnierze, z bronią w gotowości, z otwartej przyczepy patrzyli uważnie na turystów.

Zamiast powiedzieć „z Anglii” i przytoczyć nazwę miłego miasteczka na południowym wybrzeżu, gdzie mieszkała w pobliżu Hattie i kilkorga innych znajomych oraz gdzie ostatnio pracowała, Mair, trochę zaskakując samą siebie, odpowiedziała „z Północnej Walii”. Jej dom rodzinny zamieszkiwał teraz biznesman z Manchesteru z rodziną, więc nic już ją z tym miejscem nie łączyło, nie licząc rodzeństwa i wspomnień. Ale mimo to, a może właśnie z tego powodu, przyszła jej na myśl dolina, w której spędziła dzieciństwo. Tęskniła teraz za domem, który został sprzedany i do którego już nigdy nie będzie mogła wrócić. Zaczęła rozmyślać o dziadkach i ich życiu w tym dziwnym miejscu.

– A ty? – zapytała Mair.

– Z Utrechtu. Jesteś tu na wakacjach?

– Tak... Po prostu podróżuję.

Plecak wisiał przy jej biodrze. W środku schowała ostrożnie zwinięty szal. Kobieta westchnęła.

– Tutejsze drogi są okropne. Mój mąż źle znosi panujące tu warunki.

Zza autobusu dobiegł ich odgłos wymiotów i śmiech. Młodzi Izraelczycy uznali je najwyraźniej za niezwykle zabawne.

Bus precyzyjnie się przez jeszcze jedną przełęcz, aż w końcu roztoczył się przed nimi piękny widok. Jechali do położonego wysoko miejsca, na północ od gór. Pod względem geograficznym miejsce to należało do części płaskowyżu tybetańskiego, choć wciąż leżało w obrębie Indii.

To właśnie w Changthangu nomadzi ze wschodniej części regionu

Ladakh hodowali i wypasali swoje stada kóz. Klimat w tym miejscu był tak zimny i ostry, że wełna na skórze zwierząt była wyjątkowo gęsta, by służyć do ochrony przed chłodem. Nomadzi przez cały rok przenosili się ze stadami z miejsca na miejsce w poszukiwaniu nowych pastwisk. Pasza dla kóz i woda, którą piły, były czyste i niczym nieskażone, co sprawiało, że wełna była najlepszej jakości.

Mair wiedziała, że to właśnie z ich wełny robi się najlepszy *pashm*, surowy materiał do produkcji kaszmirowych szali. To prawie pewne, że właśnie w tym miejscu szal jej babci rozpoczęła swoją podróż.

Kiedy wreszcie została sama w swoim namiocie rozbitym na kempingu, wyjęła z plecaka cenne zawiniątko i jeszcze raz obejrzała uważnie szal w świetle latarki. Teraz wiedziała, że delikatny zapach przypraw, który czuła wcześniej, przykładając szal do twarzy, to w rzeczywistości zapach samych Indii. Wzór wypleciony na środku szala przedstawiał pawie pióro. Podwójna linia otaczała środkową część wypełnioną przepięknymi tureckimi wzorami. Na obu końcach znajdowały się szerokie pasy bujnego listowia. Częściowo haftowane pasy wyglądały jak pokryte brokatem. Mimo swego piękna szal był już nieco zniszczony. Linie o zmienionym odcieniu wskazywały miejsca zagięć powstałych po jego złożeniu wiele lat temu, haft w niektórych miejscach był lekko postrzępiony, w innych zupełnie starty. W jednym rogu widniały kleksy z atramentu, w drugim zauważyła żółtą plamę. Mair położyła szal na kolanach i obrysowała palcem każdą z plamek, bezwiednie przesuwając palec po resztkach haftu, rozplątując supełki powstałe we frędzlach. Chciała odczytać historię tego szala, tak jak odczytuje się mapę.

Wczesnym rankiem Mair, Holendrzy i Izraelczycy wyruszyli ze swym przewodnikiem. Jechali kamienistą i wyboistą drogą, przemieszczając się między licznymi głazami. Dotarli do brzegu rozległego jeziora, gdzie wodę skuwał lód, a na ziemi leżał śnieg. Na brzegu jeziora stało kilka parterowych domków, oddzielały je topole pozbawione już liści. Długowłose jaki powoli przechodziły między skałami. Przygotowując się do zimy, nomadzi z Changpa

przyprawdzali tu swoje stada z odległych pastwisk. W pobliżu jeziora znajdowały się okręgi z niskich kamiennych ścian. Pasterze wracający tu na zimę rozwieszali nad nimi brezenty z koziej wełny, tworząc w ten sposób schronienie dla siebie i zwierząt. Z wierzchołków tych prowizorycznych budynków wydobywały się strużki dymu. Pochylona kobieta szła od strony jeziora, niosąc wiadro pełne wody.

Kozy śmierdziały – nie da się tego inaczej nazwać. Obozowisko nomadów przesiąknięte było zapachem nafty, zwierzęcych odchodów i dymu, ale i tak dominującą wonią był smród kóz.

Przygotowano coś w rodzaju przedstawienia dla turystów. Trzech mężczyzn w tunikach i butach ze skór jaków prowadziło grupkę zwierząt do ogrodzenia z kamiennymi ścianami. Mair naciągnęła na uszy wełnianą czapkę i wzdrygnęła się z zimna. Niemal czuła, jak woda w jeziorze zmienia się w lód. Miejscowe kozy były kudłate, o białej, brązowej i czarnej sierści, miały zakręcone rogi, a ich oczy zdobiły niezwykle długie rzęsy. Zwierzęta pozwalały, by pasterze pętali im nogi i przewracali na bok. Każdy z nich pracował przy kozie, czesząc wełnę na ich gardłach i klatkach piersiowych. Podczas tej czynności dookoła latały tumany kurzu i sierści. Kozy wciąż protestowały, a mężczyźni zaczęli śpiewać.

– Śpiewają kozom, by dały im piękny *pashm* w zamian za słodką trawę i dobrą wodą, którą dostają – wyjaśnił przewodnik.

Kobieta zbierała kłęбки sierści, które mężczyźni wyplątywali z grzebienia. Robiła to bardzo ostrożnie, pakując każdy z nich do woreczka.

– Każda rodzina ma od osiemdziesięciu do dwustu kóz. Zwierzęta czesze się w maju i we wrześniu. Z każdego zwierzęcia uzyskuje się około dwustu gram czystej wełny – powiedział przewodnik łamaną angielszczyzną. Mair pomyślała, że przynajmniej nie musi tłumaczyć tego na inny język, w przeciwieństwie do reszty wycieczki.

– Ile na tym zarabiają? – zapytał Holender, któremu udało się uniknąć choroby lokomocyjnej.

– Tysiąc sześćset rupii za kilogram – odpowiedział przewodnik –

czasem więcej, czasem mniej, to zależy od jakości wełny. Po oczyszczeniu i obróbce z jednego kilograma czystej wełny można uzyskać jedynie trzysta gram włókna gotowego do przetwarzania.

Mair wpatrywała się z niedowierzaniem w worek. Aby zebrać kilogram wełny, trzeba pewnie wyczesać całe stado kóz. Trudno sobie wyobrazić, jak to śmierdzące i brudne runo można było zmienić w delikatną wełnę, z której zrobiono jej szal.

– Co dzieje się potem? – zapytał jeden z Izraelczyków, mimo iż w jego głosie nie słychać było nawet nutki zainteresowania.

– Handlarze wełną przyjeżdżają ciężarówką z Leh. Kupują *pashm* i zabierają go miasta na obróbkę.

Drugi chłopak wyciągnął zardzewiałą puszkę ze śmieci rozrzuconych wokół obozowiska Changpa. Postawił ją na skale i rzucał w nią bezmyślnie kamykami.

– To wszystko? – chciał się dowiedzieć jego kolega. Kamyki co chwilę trafiały w puszkę, aż ta wreszcie spadła ze skały.

Przewodnik wyglądał na oburzonego.

– To tradycja tutejszych ludzi. Tak jest już od setek lat.

– I tylko to zobaczymy?

– Dziś odwiedzimy klasztor. Są w nim niezwykle malowidła.

Pokaz skończył się, mężczyźni uwolnili owce i wygonili je z zagrody. Ich szef czekał jeszcze na zapłatę, a reszta podążyła w stronę namiotu. Mair miała nadzieję, że resztę dnia spędzą, siedząc przy kominku, śpiewając pasterskie pieśni i popijając *chang*². Odpięła plecaki jeszcze raz, na wszelki wypadek, upewniając się, że szal jest na swoim miejscu. Z portfela wyjęła banknot o wartości pięciuset rupii. Mężczyzna szybko wziął pieniądze, ale przewodnik i tak zdołał dostrzec nominał. Pewnie pomyślał, że jest kolejną naiwną turystką z Zachodu dającą zbyt wysokie napiwki, ale nie przejmowała się tym specjalnie.

– *Julley* – wymamrotała. Było to uniwersalne słowo w języku ladakhi

2 Chang – tradycyjny tybetański ryżowy napój alkoholowy.

oznaczające zarówno „dzień dobry”, „do widzenia”, jak i „dziękuję”.

– *Julley* – odpowiedział mężczyzna, idąc szybko w stronę Holendrów.

Mair planowała rozwinąć szal i położyć go na skałach, za którymi leniwie pasły się kozy. Chciała uwiecznić na fotografii początek tej niezwykłej podróży, a zdjęcia pokazać rodzeństwu, ale musiałyby przygnieść szal mniejszymi kamieniami, by wiatr go nie zwał. Poza tym było jej zimno. Nie udokumentowała więc tego wydarzenia, utwierdziła się za to w przekonaniu, że właśnie tutaj, siedemdziesiąt lat temu, zebrano tę delikatną wełnę. Cieszyła się, że mogła zobaczyć to miejsce. Zrobiła zdjęcie jeziora i okalających je drzew, spośród których połyskiwała biała wełna długowłosej kozy. Oczywiście nie dało się uchwycić tego charakterystycznego zapachu, ale nie odczuwała żalu z tego powodu.

Pomyślała o dziadkach – gdy tu dotarła, wydało jej się wysoce nieprawdopodobne, by zwykły misjonarz z walijskiego kościoła prezbiteriańskiego zawędrował aż tak daleko. Evan Watkins miał z pewnością wystarczająco dużo pracy w wioskach wzdłuż rzek Indus i Zanskar, więc nie miał czasu na to, by dotrzeć do ludzi Changpa. Poza tym, nie mógł dotrzeć tu zimą, przecież drogi przez kilka miesięcy były odcięte przez zalegający na nich śnieg.

Towarzysze podróży brnęli w poprzek wzgórza, w kierunku białej toyoty. Mair jeszcze po raz ostatni spojrzała na kozy i wioskę znajdującą się za nimi, a potem ruszyła za resztą.

– Wracamy do samochodu! – krzyknął lider grupki z Izraela. Jego koledzy posłusznie poszli za nim.

Rozdział Drugi

Po powrocie do Leh Mair spędziła cały dzień na poszukiwaniu kogoś, kto miałby klucze do bram europejskiego cmentarza.

– Może dziś będzie – powiedział starszy mężczyzna siedzący na schodku i popalający fajkę wodną.

Ale nikt się nie pojawił. Mair stała sfrustrowana przed ogrodzeniem cmentarza, patrząc, jak liście, niczym złociste płatki, opadają z drzew i bezszelestnie lądują na grobach. Powoli przyzwyczajała się do tego, że w Ladakhu życie toczy się swoim rytmem. Wróciła do miasta z zamiarem obmyślenia planu przy szklaneczce *chai* w kawiarni.

Na głównej ulicy przed wejściem do meczetu pośród białych czapek i brązowych karków mężczyzn śpieszących na modlitwę dostrzegła poblask kasztanowych włosów. Kobieta stała z dzieckiem, którego twarzyczka, w przypiływie hysterii, nabrała pąsowego koloru. Matka bezskutecznie próbowała uspokoić córkę. Mair nigdzie w pobliżu nie zauważyła jej męża.

– *Non, non!* – krzyczała dziewczynka, ze złością kopiąc ziemię.

– Wystarczy – powiedziała kobieta po angielsku. – Natychmiast przestań. – Na jej twarzy malowały się zarazem rozbawienie, jak i rezygnacja. Torby z zakupami położyła na ziemi, by móc złapać rączkę dziecka. Ale dziewczynka już zdążyła zauważyć przyglądającą się im Mair. Mrugnęła oczami, w których nie widać było śladu łez, a jedynie oburzenie. Krzyki zmieniły się z nieskładnych zdań w istną arię

operową.

Mair rozejrzała się dookoła. Przed nią i za nią była otwarta przestrzeń. Podniosła dłoń i spojrzała dziecku w oczy. Dzika furia niemal natychmiast ustąpiła miejsca zaciekawieniu. Kiedy już udało jej się skupić na sobie całą uwagę dziewczynki, Mair nabrała powietrza i zupełnie niespodziewanie wykonała salto w tył.

Minęło już sporo czasu od ostatniej próby wykonania tej akrobacji, więc zachwiała się trochę przy lądowaniu, ale i tak skok wywołał niesamowite wrażenie. Dziewczynka rozdziawiła swą małą buzię i w zachwycie szeroko otworzyła oczy. Mair klasnęła i jeszcze raz wykonała swą akrobację. Trenowała ten numer razem z Hattie tak często, że wydawało się jej, że mogłaby go zrobić nawet we śnie. Drugie salto przybliżyło ją do matki i dziecka. Dziewczynka złapała Mair za łydkę i spojrzała w górę. Jej twarz rozświetlił promienny uśmiech.

– Jeszcze raz! Encore une fois!

Matka roześmiała się.

– Świetne. I o wiele lepsze od przekupywania cukierkami.

Mair zdała sobie sprawę, że jej występ przyciągnął uwagę nie tylko dziecka, ale również matki, tak jak i dość sporej grupki gapiów, którym miasto, podczas leniwego popołudnia, nie mogło zaoferować nic ciekawszego. Miała nadzieję, że widzowie za chwilę się rozejdą.

– Najważniejsze, że podziałało. Pomogę. – Mair strzepała piach z dłoni i podniosła torby z zakupami. Kobieta wzięła córeczkę na ręce i posadziła na biodrze, tak samo jak zrobiła to na bazarze.

– Skacząca pani – powiedziała zafascynowana dziewczynka, wyciągając małą rączkę w kierunku twarzy Mair.

– Masz rację – przyznała jej matka. – Niesamowite, prawda? – W jej głosie słychać było amerykański akcent.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Chyba po prostu chciałam uspokoić twoją córkę.

Kobieta westchnęła.

– Ja też. Przygotowała się na spędzenie dnia z ojcem, a wylądowała ze mną. Poszedł zamówić kucyki na jutrzejszą wyprawę. Stąd te

zakupy. A co ty bierzesz na takie wycieczki? Dokąd się wybierasz? Ale zaraz, zaraz... Jestem Karen Becker. A to moja córka, Lotus.

Lotus podniosła rączkę i pomachała powoli, niczym królowa.

– Mair Ellis. Cześć Lotus. – powiedziała z uśmiechem Mair.

Dziewczynka była śliczna. Miała szerokie czoło i usta cherubinka z renesansowych malowideł.

– Zamierzałam właśnie napić się gdzieś herbaty – dodała.

Karen ruchem głowy wskazała na drugą stronę ulicy.

– My idziemy do salonu, prawda, Lo? Musimy zrobić pedicure, zanim wyruszymy na wędrowkę. Chodź z nami, będziemy mogły porozmawiać. Na pewno dostaniesz tam pyszną herbatę.

Mair ucieszyła się na myśl o ucieczce przed zebranymi wokół nich ludźmi. Kobiety przeszły nad rynsztokiem i między wołami i rikszami dotarły do salonu ze szklaną witryną, której okna ozdobiła koronkowa firanka. Napis na oknie głosił: „Salon tylko dla Pań”.

Wewnątrz zobaczyły popękana i niezbyt czystą podłogę, zakurzone i puste półki oraz rząd krzesel fryzjerskich. W powietrzu unosił się zapach staroświeckiego płynu do trwałej ondulacji wymieszany z zapachem kadzidła i świeżo rozwieszonego prania. Grupka kobiet w kolorowych sari natychmiast otoczyła Lotus, zabrała ją z rąk matki i zaniósła na tył salonu. Wzdychały z nieklamany zachwytem, rozczesując jej jasnoblond włosy. Lotus cieszyła się poświęcaną jej uwagą.

Uśmiechnięta dziewczyna o idealnie pięknej twarzy i lekko zaróżowionych policzkach wzięła od Karen torby. Chwilę później obie kobiety siedziały już na sąsiednich krzesłach, patrząc na swoje odbicia w nieco poplamionych lustrach.

– No, dalej. Zrób to samo – zachęcała, uśmiechając się Karen.

Mair pozwoliła więc, by tybetańska kosmetyczka zdjęła jej buty, a następnie włożyła stopy do różowego pojemnika do spa. Mały silniczek zamruczał przyjemnie pod jej stopami, zabulgotała ciepła woda. Cała scena wydawała się tak dziwna, że Mair nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

W lustrze jej wzrok napotkał niebieskie oczy Karen.

– Jesteś tancerką? Capoierra? W Rio widzieliśmy takich tancerzy na ulicy. Byłaś tam? Niesamowite. Marzę o tym, by umieć się tak poruszać. Ale to już chyba nie w tym życiu.

Mair znów się szczerze roześmiała.

– Nie jestem tancerką. Po prostu wiele lat temu pracowałam w cyrku.

– W cyrku? Twoi rodzice byli cyrkowcami? Twój tata na pewno poskramiał lwy, a mama ubrana w cekiny robiła piruety na grzbiecie słońca? Urodziłaś się w wozie cyrkowym i jak tylko nauczyłaś się chodzić, rodzice ubierali cię w maleńki kostium. Tylko proszę, nie wspominaj o tym Lotus – jeszcze wymyśli coś szalonego.

Najwyraźniej to sama Karen miała wyjątkowo bujną wyobraźnię. Mair była zafascynowana jej niesamowitym wyglądem i żywiołowością, ale nie bardzo wiedziała, co o niej sądzić.

– Niestety, nic z tych rzeczy. Mój ojciec sprzedawał maszyny rolnicze, a mama była nauczycielką w podstawówce w Północnej Walii.

– Więc jak to się stało, że trafiłaś do cyrku?

Mair nie lubiła odpowiadać na to pytanie, ale tym razem to ona sprowokowała temat i jedyne, co mogła w tej sytuacji zrobić, to udzielić prostej odpowiedzi.

– Byłam zbuntowanym dzieckiem i przez tyle lat odgrażałam się, że ucieknę i będę pracować w cyrku, że kiedy nadszedł ten moment, po prostu musiałam to zrobić, by się nie skompromitować. Nasze występy nie były bardzo spektakularne. Bez lwów, właściwie bez żadnych zwierząt. Po prostu, ja i koleżanka miałyśmy numer z trapezem, a podczas pokazu dla dzieci występowałyśmy w roli klaunów. Pracowałam tam przez blisko cztery lata, aż w końcu zrozumiałam, że najwyższy czas dorosnąć.

– Rozumiem – oczy Karen zwięzły się. – Mam nadzieję, że to nie jest jedna z tych wersji samego siebie wymyślona na potrzeby spotkań z nieznajomymi. Wierzę ci i myślę, że się zaprzyjaźnimy się. Nigdy się co do tego nie mylę.

Pojawiła się dziewczyna z małą tacą, na której stały szklaneczki z herbatą. Mair wzięła jedną z nich i spróbowała napoju. Herbata była mleczna i przesłodzona, ale smaczna.

Kosmetyczka wyciągnęła jedną stopę z wody, dokładnie ją wytarła, opierając ją wygodnie na swoim kolanie, i wreszcie zaczęła smarować stopę ziarnistą mazią.

Karen mówiła dalej:

– Jak mogłabym przepuścić szansę na zaprzyjaźnienie się z kimś, kto robi salta, zanim w ogóle się odezwie...

Po drugiej stronie sali Lotus siedziała na fotelu z dziesięcioma kokardkami ze wstążek we włosach. Jej małe paznokcie pokrywał teraz brokatowy lakier do paznokci. Mair skorzystała z sytuacji, by zmienić temat rozmowy.

– Co robisz w Leh? – spytała.

Karen szerzej otworzyła oczy. Wydawała się teraz jeszcze bledsza.

– Przyjechaliśmy tu z Tybetu. Jestem buddystką. To jest moja pielgrzymka. – Zaczęła opowiadać o odwiedzonych klasztorach, o swoim poświęceniu i oddaniu. Została błogosławiona przez starszego lamę po corocznym odkrywaniu malowidła *thangka*, a wydarzenie to stało się jednym z największych przeżyć duchowych w jej życiu. Czy Mair praktykowała? Naprawdę nie? Nigdy nie czuła do tego powołania? Czy wie, że jedna z letnich rezydencji Jego Świątobliwości była właśnie tu, w Leh? Czy widziała wielki złożony posąg Maitreji w klasztorze Thikse Gompa?

– Tak – odpowiedziała Mair na ostatnie z pytań. Peeling sprawił, że na podłodze leżały drobinki martwego naskórka, a jej stopy pokryto teraz grubą warstwą kremu.

Noga Karen poddawana była temu samemu zabiegowi. Przestała na chwilę mówić i spojrzała na dziewczynę, która wróciła z kilkoma lakierami do paznokci postawionymi na tacy.

– Jak myślisz, różowy czy czerwony?

– Czerwony – bez wahania odpowiedziała Mair.

– No tak... ale jednak wybiorę różowy. Nie chcę przecież odstraszyć

kucyków. Lotus, w jakim kolorze masz paznokcie u nóg? – zawołała.

– Błyszczące różowe – zaszczębiotała Lotus.

– Cudownie. Spodobają się tatusiowi.

– A teraz idziecie na wędrowkę?

Karen niedbale machnęła ręką.

– To układ wymyślony przez mojego męża. Dość rozsądny zresztą. Moje klasztory za jego góry. Poznaliśmy się w Nowym Jorku, ale mieszkamy w Genewie. Bruno jest Szwajcarem. Często wyjeżdża na narty i wspinaczki. Chcieliśmy spędzić wakacje razem, ale uzgodniliśmy, że nie będą w całości poświęcone buddyzmowi. Lotus też protestowała, mimo że zwykle zgadza się na wszystko. Wiem, że wcale tak nie wyglądała, gdy ją dziś zobaczyłaś, ale muszę przyznać, że takie wybuchy złości nie zdarzają się jej często.

– Zabieracie ją na wędrowkę?

Karen wyglądała na zaskoczoną tym pytaniem. Wzruszyła ramionami.

– Pewnie. Czemu nie? Przez większość drogi Bruno niesie ją w swoim plecaku. Lotus zawsze jest z nami. Dzięki temu dziecko jest spokojne, pewne siebie i otwarte na świat.

Dziewczynka zeszła z fotela i podeszła bliżej, by pokazać swój manicure. Rozłożyła maleńkie paluszki na kolanach Mair i uważnie obserwowała jej twarz. Kolorowe wstążki powiewały wśród ślicznych loczków. Teoria Karen ma sens – pomyślała Mair. Przypomniała sobie, jak po raz pierwszy zobaczyła tę rodzinę na bazarze i jak wielkie wrażenie zrobiła na niej ich bliskość. Lotus zdecydowanie była najbardziej pewną siebie dwulatką, jaką w życiu spotkała.

– Pięknie wyglądasz – powiedziała Mair. – Jak z obrazka.

– *Oui – comme Maman* – przyznała Lotus, podziwiając swoje lustrzane odbicie.

Drzwi do salonu otworzyły się, wprawiając w niewielki ruch koronkowe firanki. Ciemnowłosy mężczyzna zajął do środka.

– Karen?

Kobieta oderwała wzrok od swoich świeżo pomalowanych paznokci

i spojrzała na męża.

– Cześć. Załatwiłeś wszystko?

– *Pappy*. – Lotus przebiegła przez pokój i rzuciła się ojcu w ramiona.

– Skacząca pani – powiedziała, wskazując na Mair – Skacze wysoko.

– Bruno, to Maya – zawołała Karen. – Moja nowa znajoma.

– Cześć – powiedział mężczyzna, skinąwszy głową na powitanie.

Mair pomyślała, że gdzieś w środku skrywa uśmiech, ale na tyle głęboko, by nie mógł wydostać się na powierzchnię. Karen nie do końca dosłyszała jej imię, więc Mair postanowiła ją poprawić.

Mair to walijska forma imienia Mary. W dzieciństwie bezskutecznie próbowała przekonać swoich znajomych, by używali tej drugiej, bardziej wyrafinowanej formy jej imienia. Nie powiedziała tego jednak na głos, bo nie wiedzieć czemu, w Brunonie Beckerze było coś, co kazało jej zachować milczenie.

– Mair – powiedziała wreszcie. – Cześć.

Przywitanie przerwała pracownica salonu, delikatnie wypychając Brunona za drzwi. Nazwę „Salon tylko dla Pań” traktowano tutaj niezwykle serio.

Mężczyzna zabrał ze sobą córkę. Umówili się na spotkanie w hotelu.

– Miło było cię poznać – powiedział do Mair, już wychodząc, najwyraźniej przyzwyczajony do licznych znajomych swej żony.

Karen wyprostowała palce u stóp i uśmiechnęła się.

– Świetnie. Jak skończymy tutaj, możemy skoczyć jeszcze na coś słodkiego. I spokojnie pogadać.

Mair czuła się jak mały kamyk rzucony na wszystkie strony ogromną falą tsunami, ale też Karen Becker była zbyt uparta i zbyt interesująca, by podejmować jakiegokolwiek próby odparcia jej pomysłów. Zresztą, co innego miała do roboty?

Kiedy lakier na paznokciach wysechł, obie kobiety poszły, ku prawdziwej uciezce Karen, do pobliskiej niemieckiej piekarni. Jedząc aromatyczne, kruche ciasto z jabłkami i popijając kawę, Karen opowiadała o tym, jak bardzo marzyła o przyjeździe w te rejony, odkąd jako dwudziestokilkulatka zaczęła interesować się buddyzmem. Jak

dotąd nie zawiodła się. Te miejsce są święte, bezpośrednio dotykają twojej duszy – opowiadała z przekonaniem. Rzadko kiedy można doświadczyć tak głębokiej duchowości w Europie. A już na pewno nie w Stanach. Czy Mair rozumie, o co jej chodzi?

Mair pomyślała o stojących na szczytach wzgórz bielonych wapnem *gompa*³, które odwiedzała w ciągu kilku ostatnich dni. Ciemne pomieszczenia, ciemne malowidła ścienne i posągi Buddy były przesycone zapachem kadzidła i drewna, ołtarze wypełnione darami, czasem tak przyziemnymi, jak paczka ciasteczek czy bukiety ze sztucznych kwiatów. Stłumione śpiewy mnichów niosły się po starych podłogach, a z okien roztaczał się zachwycający widok rzek i sadów u stóp wzgórza.

W jednym z klasztorów przewodnik zaciągnął ją do kuchni, gdzie stary mnich ze spokojem przygotowywał kolację dla braci. Drewnianą wielką łyżką nabierał wodę z wiadra i wlewał ją do garnka stojącego na opalanym drewnem palenisku. Kulki z ryżu czekały już zawinięte w kawałki materiału. Obok niego, przy grubo ciosanym stole, klęczał na oko dziesięcioletni mnich sprawnie krojący warzywa przyniesione z ogrodu. Stary mężczyzna pokiwał głową, chwając pracę chłopca, gdy kolejne porcje pokrojonej marchwi i cebuli wpadały do wywaru. Pracowali w ciszy. Mair zdała sobie sprawę, że dwieście, trzysta lat temu wyglądało to niemal tak samo. Ciche oddanie mnichów niekończącej się rutynie gotowania dla innych wzruszyło ją bardziej niż jakikolwiek rytuał religijny.

Próbowała opisać to uczucie Karen.

– Ależ ja to w pełni rozumiem – wtrąciła Karen. Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na dłoni Mair. – Do poznania prowadzi wiele ścieżek, ale wszystkie są częścią jednej wielkiej drogi. Wiedziałam, że wiesz, o czym mówię. Poczułam to, jak tylko cię zobaczyłam.

– Mimo że robiłam salta?

– Właśnie dlatego. I jeszcze z kilku innych powodów. Dlaczego

łumić w sobie to, co chcemy wyrazić głośno. Jesteś całością. Podoba mi się to.

Karen żałowała, że Bruno nie był tak uduchowiony jak ona, ale na szczęście rozumiał jej potrzeby, bo jego tak samo mocno ciągnęło do gór. Góry były jego świątyniami, udawał się do nich w samotne pielgrzymki.

– Weźmy Lotus. Moim zdaniem to, że pozwalam jej doświadczać świat w ten sposób, jest dla niej niemal zbawienne. Chcę, by dorastała bez uczucia strachu, bez niepotrzebnych zakazów, głupich zasad. Marzę, by wyrosła na pewną siebie, silną, niezależną kobietę.

Mair zastanawiała się, czy przypadkiem nie było tak, że Lotus radziła sobie z tym nadmiarem zbawienności, wściekając się od czasu do czasu.

Dokończyły kawę i ciasto. Opuszkami palca Karen zebrała resztki z talerzyka.

– Będę lecieć. Jakie masz plany? Wyjeżdżamy z miasta na cztery, pięć dni – oznajmiła.

– Muszę się tutaj czymś zająć. Nie wiem, jak długo to może potrwać.

Karen przyglądała się jej uważnie, wciąż trzymając palec przy ustach. Mair zauważyła, że kilkoro innych turystów w piekarni co chwilę spoglądało na jej towarzyszkę.

– Jesteś bardzo tajemnicza, wiesz? – powiedziała Karen.

– Nieprawda – zaprotestowała Mair.

– Nie powiedziałaś, jak znalazłaś się w Ladakhu. Domyślam się tylko, że nie przyjechałaś tu zwiedzać.

Mair nie zamierzała opowiadać o szalu ani puklu włosów, ani tym bardziej o luce w historii jej rodziny, która tak silnie oddziaływała na jej wyobraźnię. Powiedziała więc:

– Mój ojciec zmarł niedawno.

Na twarzy Karen pojawiło się współczucie.

– Tak mi przykro – powiedziała ciepło. – Musisz odczuwać wielki smutek. Z jakiegoś powodu trafiłaś do buddyjskiego kraju. Słyszałaś kiedyś o *punabbhava*? Oznacza „ponowne stawanie się”. To wiara w

reinkarnację. Nie zwalcza uczucia straty i żalu, zresztą nie taki jest jej cel, ale myślenie o niej daje ukojenie. Przynajmniej czasami.

Mair wiedziała, że jej nowa znajoma miała dobre intencje. I choć sposób, w jaki to mówiła, wydawał się jej nieco dziwny, to wierzyła, że mówi zupełnie szczerze.

– Dziękuję – odpowiedziała z uśmiechem.

Karen uściśliła jej dłonie i wstała. Zapłaciła za kawy, nie przyjmując pieniędzy Mair.

– Gdzie się zatrzymałaś?

Mair odpowiedziała jej na pytanie.

– Do zobaczenia po naszym powrocie.

Następnego dnia Mair wybrała się do przetwórci paszminy w Leh. Żłocisty blask jesiennego słońca, do którego Mair zdążyła się przyzwyczaić, zastąpiły szare chmury, a silny wiatr pozbawił ostatnich liści topole. Z jednego z budynków wyszedł jej na spotkanie niewysoki mężczyzna w czapce bejsbolowej.

– Nazywam się Tinley. Jestem zastępcą kierownika produkcji. Proszę tędy, jeśli chce pani zobaczyć coś magicznego – zażartował, kierując ją przez podwórze do budynku z betonu. Mair poszła za nim, nie do końca mając pewność, czy rozumie, co Tinley miał na myśli.

W środku zobaczyła cztery kobiety siedzące w kółku. Ich włosy i dolną część twarzy przesłaniały chusty. Między kobietami piętrzyły się stosy brudnego koziego włosia pokrytego tłuszczem i gałązkami. Wełna wyglądała tak jak ta, którą wrzucano do worów na płaskowyżu. Bez wątplenia było to nieoczyszczone włókno *pashm*, przywiezione tu ciężarówką z odległego Changthangu. Kobiety rozczesywały splecione włosie palcami, oczyszczały z największego brudu i dzieliły je na mniejsze kupki w zależności od koloru, od bladoszarej bieli aż po ciemny brąz. Powietrze w pomieszczeniu przesycone było osobliwym zapachem kóz.

– To proces rozdzielania kolorów. Nie da się tego robić

automatycznie – powiedział bez entuzjazmu. Chwilę później odzyskał dobry humor. – Ale zaraz pani zobaczy, że kolejne kroki są unowocześnione. Wysoce zmechanizowane. Proszę tędy.

Metalowe drzwi przesunęły się i Mair weszła do kolejnej części fabryki. Na widok tego, co stało za drzwiami, ze zdumienia aż zamrugała oczami. Maszyna miała około pięćdziesięciu metrów długości i ogromny system taśmociągów, obracających się kół zamachowych, szerokich gumowych rolek i parujących zbiorników. Na końcu znajdowała się suszarnia, z której włosie wychodziło czystsze i bardziej miękkie, ale wciąż z twardym runem i grudkami ziemi.

– Co teraz? – zapytała, skręcając włosie między palcami.

Drugie metalowe drzwi otworzyły się na oścież. Poczowała falę wilgotnego powietrza przesyconego zapachem mokrej wełny.

– Dlaczego jest tu tak gorąco? I wilgotno? – wydyszała.

– To komora nawilżająca – odparł dumnie Tinley. – Dzięki temu włosie łatwiej poddaje się obróbce. Tu usuwamy runo.

Zajrzeli w głąb maszyny. Po każdym obrocie włosie, które pozostawało na taśmie, było bielsze i bardziej miękkie, a czyste runo, naturalna ochrona kóz przez himalajskim chłodem, było oddzielane od reszty.

Na końcu taśmy, za kolejną suszarnią, taśmociąg zawracał. Przy nim siedział mężczyzna w nabożnym skupieniu obserwujący oczyszczony i osuszony produkt końcowy, który falami wypływał ze szczęk maszyny.

Mair nie mogła się powstrzymać. Podeszła bliżej i zatopiła ręce aż po same łokcie w *pashmie*. Niewiarygodnie lekkie i czyste włókno wyglądało jak obłok, miało nawet ten sam kolor. Przypomniała sobie, że z kilograma tłustego, śmierzącego włosia, które widziała na początku linii produkcyjnej, wytwarzano około trzystu gram delikatnego puchu.

– To prawdziwa magia – przyznała.

W oczach Tinleya pojawił się błysk.

– Proszę pójść za mną – poprawił czapkę na głowie i wyprowadził Mair z przetwórni.

Ścieżki na tyłach były za wąskie, by dwie osoby mogły iść obok

siebie. Nad nimi zwisały sznurki do suszenia ubrań, gałęzie starych sękatych drzew oraz wystające balkony pobliskich domów. Tinley szedł szybko, więc Mair musiała skoncentrować się na dotrzymaniu mu kroku. Nagle zatrzymał się przy rozpadającej się bramie i pokazał, by poszła przed nim. Kury stojące na dróżce rozbiegły się, a wołanie muezina niosło się ponad dachami domów.

– *Julley* – zawołał Tinley do mężczyzny opierającego się o miotłę.

Weszli po czterech schodkach, przez wąskie drzwi, do pokoju pełnego kobiet siedzących przy drewnianych krosnach. Słysząc było tylko jednostajny stukot pedałów o podłogę i widać błyski pracujących czółenek. Tkąły jednobarwne materiały z paszminy, w szarobrązowych odcieniach. Tinley powiedział, że szale robione tutaj są później sprzedawane w Leh.

– Zachowano tradycyjne metody, to bardzo przyjemna praca. Panie mogą pracować, kiedy chcą, trochę zarobić i zadbać o swoje rodziny.

– To dobrze – przyznała z ulgą Mair. Ale zastanawiało ją, jak bardzo szale robione tutaj różnią się od szala jej babci.

Gdy przechodzili przez tkalnię, kobiety uniosły głowy i uśmiechnęły się do Mair. Budynek wychodził na główną ulicę, którą już rozpoznawała. Na tle wzgórza ukoronowanego ruinami starego pałacu pobłyskiwały minarety największego meczetu w mieście. Pokonali labirynty małych uliczek i dotarli do salonu sprzedaży szali pełnego znanych już Mair półek. Sprzedawca uśmiechnął się do niej szeroko, ukazując złotą koronkę na siekaczu, po czym zaczął delikatnie wyjmować swoje towary z plastikowych toreb. W Leh wszystko zdawało się obracać wokół handlu wełną.

Po tym, jak Tinley cierpliwie przeprowadził ją przez cały proces produkcji, nie wypadało nic nie kupić. Mair wybrała więc trzy szale: perłowo-szary dla Eirlys, karmelowo-brązowy dla siebie i kremowy dla Hattie – będzie pasować do jej ciemnej karnacji – pomyślała. Zapłaciła za wszystko dwanaście tysięcy rupii z przekonaniem, że to niewielka cena za całą pracę włożoną w produkcję paszminy.

Sprzedawca zajął się pakowaniem zakupów, a Mair pod wpływem

naglego impulsu otworzyła plecak i wyjęła złożony materiał. Tinley z zaciekawieniem patrzył, jak rozwija szal babci i delikatnie rozkłada go na drewnianym kontuarze sklepowym. Kolory wody i kwiatów rozblęły w przygaszonym świetle sklepowym. Towary na półkach nagle wydały się bure i szorstkie w porównaniu z pięknym szalem Mair. Tinley pochylił się, by przyjrzeć się bliżej, sprzedawca odwrócił się, zaciekawiony.

– Czy może mi pan coś o tym powiedzieć? – zapytała niepewnym głosem Mair.

Tinley wyjął zza lady niewielką lupę i dokładnie obejrzał splot, przesuając opuszkami palców po hacie, następnie zajął się drugą stroną szala. Obejrzał tureckie wzory i jeszcze bliżej przyjrzał się rogowi materiału.

– Zrobiono go w Kaszmirze – powiedział. – Splot *kani*. Nie robimy go w Ladakhu.

Sprzedawca powiedział coś do Tinleya.

– Chce pani to sprzedać? – Tinley zapytał od niechcienia.

– Nie. Zdecydowanie nie. Należał do mojej babci. Ja... tylko próbuję poznać historię tego szala i dowiedzieć się czegoś o babci. Nigdy jej nie poznałam.

Tinley odłożył lupę i wyprostował się.

– Musi więc pani przejść przez góry do Kotliny Kaszmirskiej – powiedział.

– Moi dziadkowie mieszkali chyba jednak w Leh. W latach czterdziestych. Dziadek był chrześcijańskim misjonarzem.

– Katolik? Z Braci Morawskich?

– Nie, był Walijczykiem, prezbiterianinem.

Tinley pokręcił głową. Najwyraźniej nie miało to dla niego znaczenia.

– Europejczycy przyjechali tu, ale niewiele zostało. Otworzyli kliniki, zbudowali szkoły dla naszych dzieci i za to jesteśmy im wdzięczni.

Z tonu głosu można było wywnioskować, że za inne rzeczy, których

misjonarze się podjęli, prawdopodobnie związane z religią, mieszkańcy nie odczuwali już takiej wdzięczności.

– Chciałam rozejrzeć się po tutejszym europejskim cmentarzu, ale brama jest zawsze zamknięta, a ja nie mogę się dowiedzieć, kto ma klucz – powiedziała Mair.

Tinley uśmiechnął się szeroko, ukazując zdrowe białe zęby i przechylił czapkę na bok. Szybko powiedział coś do sprzedawcy i obaj się roześmiali.

– Załatwione. Wujek Tseringa, tego tutaj, jest stróżem cmentarza.

Mężczyźni rozmawiali jeszcze przez chwilę. Tinley powiedział Mair, żeby przyszła do sklepu następnego dnia około trzeciej. Spotka się wtedy z wujkiem, a on zaprowadzi ją na cmentarz.

Podziękowała obu mężczyznom i obiecała, że pojawi się punktualnie. Kiedy zaczęła składać szal, Tinley delikatnie dotknął jej nadgarstka.

– Widziała to pani? – zapytał, wskazując na róg materiału. Podał jej lupę, a Mair zobaczyła to, czego wcześniej nie dostrzegła. Małe wyhaftowany symbol przypominający kształtem motyla lub inicjały BB, z odwróconą pierwszą literą. Obok widniał kolejny znak, niemożliwy do odczytania.

– Co to jest? – zapytała.

– To podpis wytwórcy i liczba „42”, prawdopodobnie data ukończenia szala. To piękny materiał, a jego wyplecenie i wyhaftowanie zajęło na pewno wiele miesięcy, może nawet lat. Prawdopodobnie zrobiono go dla panny młodej. Szal ślubny, który w posagu mogła wnieść do nowo zawartego małżeństwa.

Czy szal mógł być prezentem dla babci Nerys Watkins od jej męża, walijskiego misjonarza? Mair pomyślała, że szal był zbyt bogato zdobiony, by to było możliwe. Nic, czego do tej pory dowiedziała się o losach ani wierze dziadków, nie pasowało do wartości szala. Rodzinny sekret zdawał się coraz większy.

Nowe szale ułożyła starannie w torbie obok starego, podziękowała sprzedawcy i powtórzyła, że zjawi się następnego dnia o trzeciej.

Tinley szeroko się uśmiechnął.

– Proszę nosić nową paszminę. Nadchodzi chłód. Zima przyjdzie do nas wcześniej w tym roku.

Kiedy następnego popołudnia szła przez stare miasto, zauważyła, że musi chować się przed przenikliwym wiatrem wiejącym z lodowych pól na stokach gór. W powietrzu czuć było chłód i Mair cieszyło ciepło, jakie dawał jej brązowy szal starannie owinięty wokół szyi. Większość okien w budynkach zasłaniały drewniane okiennice, a prawie wszystkie dachy wzmocniono wiązkami drewna i zapasami paszy dla zwierząt. Na bazarze było mniej ludzi i po drodze zauważyła tylko jedną czy dwie osoby z Zachodu. Za tydzień lub dwa ostatnie kawiarnie i domy gościnne zostaną zamknięte, a ci, którzy przyjechali tu do pracy na wakacje, wyjadą na plaże i do hoteli w Goa. Leh znów pograży się w zimowym odosobnieniu, gdy śnieg zasypie przełęcz. Pomyślała o Beckerach i zastanawiała się, jak radzą sobie w namiocie podczas tak nieprzyjemnej pogody.

W sklepie rzecz jasna nie było osławionego wujka z kluczem. Sprzedawca, Tsering, machnął ręką w odpowiedzi na jej niecierpliwe narzekanie. Chciał pokazać jej nową dostawę szali. Popijali *masala chai* i skubali migdały i suszone morele, a Mair podziwiała towary. Powoli zaczynała rozumieć, że rytualna wymiana między kupującym a sprzedawcą musi się odbyć, mimo że obie strony wiedzą, że ani pieniądze, ani towar nie zmienią tego dnia właściciela.

Po półgodzinie drzwi prowadzące do tkalni otworzyły się. Maleńki, stary człowieczek w futrzanej czapce i filcowych butach związanych skórzanymi paskami, lekko potknął się o próg.

– Mój wujek, Sonam – powiedział Tsering, obejmując ramieniem wujka. – To brat mojej babci.

Mair uściśnęła przybyszowi rękę. Nic dziwnego, że niewiele czasu spędzał na stróżowaniu. Był za stary, by robić cokolwiek innego poza bujaniem się w fotelu.

– Dzień dobry, *Sonam-le* – powiedziała, używając poznanej tu formy grzecznościowej. Staruszek spojrział na nią z uznaniem. Cicho powiedział coś do Tseringa i kciukiem wskazał na drzwi wejściowe do sklepu.

Tsering skwapliwie założył kurtkę Adidasa.

– Idziemy – oznajmił.

– Zostawisz sklep?

– Wujek nie mówi po angielsku. Poza tym – wzruszył ramionami i rozłożył ręce – nie widzę tu żadnych klientów.

Zamknął drzwi i cała trójka ruszyła w drogę. Długa tunika Sonama plątała się wokół jego kostek, a futrzana czapka podskakiwała, gdy przechodzili przez bazar. Poruszał się zadziwiająco sprawnie. Po kilku minutach dotarli do bram cmentarza. Sonam sięgnął ręką między warstwy swojego stroju i chwilę później wyciągnął duży klucz. Brama w końcu się otworzyła i Mair mogła wejść. Chciała pospacerować wśród starych drzew, krzyży i nagrobków. Ziemię pokrywały liście, które spadły z drzew, już nie złociste, ale szarobrązowe i bez życia. Poczowała chłód na policzkach.

– Czego szukasz? – zapytał Tsering.

Mair próbowała odczytać niemiecki napis na pobliskim nagrobku.

– Nie wiem – przyznała.

Mężczyźni poszli do małej zielonej przybudówki, co Mair przyjęła z ulgą. Chodziła przypadkowymi ścieżkami. Na cmentarzu znalazła kilka maleńkich grobów. Napis na jednym z nich głosił „Josephine, 7 miesięcy”. Próbowała wyobrazić sobie, jak kobietom z Europy, tak daleko od domu, udawało się opiekować dziećmi i jak często ich modlitwy się nie spełniały.

Podeszła do grupki nagrobków z walijskimi nazwiskami – Williamsowie, Thomasowie i Jonesowie z jej doliny. Wszyscy oni mogli być członkami prezbiteriańskiej misji. Wyjęła notes i zapisała nazwiska oraz daty, by poszukać ich w *Nadziei i chwale Boga*, gdy przy następnej okazji skorzysta z Internetu. Rozpoznała linijkę napisaną po walijsku. Widziała ją niedawno na cmentarzu w rodzinnym mieście, na nagrobku

znajdującym się zaledwie parę kroków od grobu jej rodziców. *Hedd perffraith hedd*. Spokój, idealny spokój.

Nagle zatęskniła za domem. Przez chwilę zapragnęła wrócić do doliny. Zobaczyć ojca przy kuchennym stoliku, z głową pochyloną nad gazetą, w skupieniu popijającego herbatę.

Uspokoila się, patrząc na białe szczyty Himalajów i chmury zebrane nad nimi. Być może Evan i Nerys Watkins stali kiedyś w tym samym miejscu i oczom ich przedstawiał się ten sam krajobraz. Nerys też musiała bardzo tęsknić za domem, podróże były coraz bardziej odległe i niełatwo było komunikować się z tymi, od których odeszła. Po raz pierwszy odkąd przyjechała do Indii, Mair poczuła emocjonalną więź z babcią.

Powoli szła dalej, aż wreszcie zatoczyła koło. Była trochę zawiedziona, znalazłszy na nagrobkach jedynie trzy czy cztery walijskie nazwiska. Miała już pójść w stronę chatki, w której Tsering i jego wujek ukrywali się przed wiatrem, gdy zauważyła tabliczkę na murze.

Ku pamięci

*Matthew Alexander Forbes, College Św. Jana, Cambridge
Zginął na Nanga Parbat⁴, w sierpniu 1938, miał 22 lata.*

Mair nie była pewna, czym była Nanga Parbat, ani gdzie się znajdowała, ale zgadywała, że to nazwa góry. Dwadzieścia dwa lata to bardzo młody wiek.

– Znalazła pani coś? – zawołał Tsering.

Pokręciła przecząco głową.

– Po nazwiskach mogę tylko stwierdzić, że pogrzebano tu kilkoro Walińczyków, ale nie są spokrewnieni z moją rodziną.

⁴ Nanga Parbat – ośmiotysięcznik, dziewiąty co do wysokości szczyt świata (8126 m n.p.m.).

Sonam odwrócił się i popatrzył na Mair. Wyglądał staro, ale był równie żywiołowy co wnuk jego siostry. Wymamrotał jakieś pytanie, na które Tsering wzruszył ramionami i przetłumaczył:

– Pyta, dlaczego od razu pani nie mówiła, że interesują panią Walijszczy.

Mair zamrużyła oczami nieco zdziwiona. Sonam wstał ochotczo i wskazał ręką mur. Ruszył w stronę wyjścia z cmentarza i dalej aleją ciągnącą się za murem. Mair i Tsering próbowali dotrzymać mu kroku. Nie zwiedzała wcześniej tej części miasta i teraz ze smutkiem, i zaciekawieniem patrzyła na kruszejące kamienne mury i ziejące dziury w ziemi. Większość starych budynków popadała w ruinę. Jakaś kobieta niosąca na głowie wiązkę drewna na rozpałkę, pozdrowiła Sonama, gdy przechodził obok niej.

Alejka kończyła się nagle na murze stojącym pomiędzy dwoma opuszczonymi budynkami. Jeden z nich zbudowano z gładkiego kamienia, miał wysokie okna pokryte grubą warstwą starego kurzu.

Mair od razu uderzył fakt, że swoją całkowitą bezpretensjonalnością przypominał walijską kaplicę. Z budynku naprzeciwko została właściwie tylko ściana frontowa i drzwi w niej. Sonam kiwnął głową i Tsering popchnął je do środka. Prowadziły na niewielkie podwórko otoczone parterowymi budynkami. Chwasty i młode drzewka wyrastały ze starych kamieni, a wszystkie szyby w niewielkich oknach były wytłuczone. Dwa wygłodniałe psy pojawiły się w przejściu i spojrzały na przybyszy żółtymi oczyma. Tsering i Sonam naradzili się.

– To stara misja, ze szkołą i kliniką lekarską, tak mówi wujek. Tam był walijski kościół. Potem zmieniono go w hinduską świątynię, a teraz budują tam coś nowego. Nic tu teraz nie ma – wzruszył ramionami. Mair zauważyła, że mieszkańcy Leh często używają tego gestu w rozmowach. Sonam jeszcze mocniej kiwał głową i machał ręką, zachęcając Mair do obejrzenia tego opuszczonego miejsca.

Zaglądała do małych pomieszczeń, starając się unikać psów. Pierwsze dwa pokoje były puste, jeśli nie liczyć chwastów wyrastających z podłóg, licznych śmieci i rozerwanych worków. W

trzecim pomieszczeniu znalazła spróchniałe kawałki mebli. W jednych z nich rozpoznała szkolne krzesło z małą półeczką na książki na jego oparciu. Takie krzesła widziała w jednej z klas w swojej szkole. Mair schyliła się, by je postawić, ale półka została jej w rękach. Wypadły z niej resztki książki w grubej okładce. Podniosła ją i spojrzała na zniszczone strony. Z rozmazanych liter można było odczytać jedynie dwa czy trzy słowa.

Był to walijski śpiewnik religijny.

Mair podniosła głowę. Początkowo myślała, że jej towarzysze chcą poprawić jej humor, zabierając ją do miejsca, które mogło należeć do jednej z wielu misji w Ladakhu. Teraz była już tego pewna.

Siedemdziesiąt lat temu Evan Watkins wygłaszał kazania w kaplicy naprzeciwko, podczas gdy jego żona uczyła dzieci, prawdopodobnie właśnie w tym pomieszczeniu. Mair przechyliła lekko głowę, jakby próbowała usłyszeć ich głosy, ale słyszała jedynie szczekanie psów i odgłosy klaksonów samochodów jadących w oddali.

– Tego właśnie szukałam – szepnęła podekscytowana swoim towarzyszom. Następnie pochyliła się i położyła śpiewnik na ziemi.

Cała trójka wyszła na zewnątrz. Sonam położył dłoń na ręce Mair. Zaczął wyrzucać z siebie słowa z prędkością światła, potrząsał jej łokciem i mówił bezpośrednio do niej. Nie miał już zębów, a jego twarz przecinała siatka głębokich zmarszczek, ale w tym momencie wyglądał na o wiele młodszego.

– Powiedz mi, co mówi? – poprosiła Tseringa.

– Pamięta nauczycielkę, uczyła go w dzieciństwie. Była miła. Dawała dzieciom jabłka i śpiewała z nimi piosenki.

Nerys Watkins, która za swoim mężem wyjechała do Indii i wróciła ze ślubnym szalem i puklem włosów.

– To mogła być moja babcia. Czy pamięta, jak się nazywała? Jakie piosenki śpiewali?

Starszy z mężczyzn pokręcił głową, co było wystarczającą odpowiedzią, ale chwilę później wyrzucił z siebie kolejny potok słów. Dłońmi odmierzył coś w powietrzu i uśmiechnął się, udając, że ugina

się pod ciężarem niewidzialnego przedmiotu. Zrozumiała, że dobrze wspomina dawne czasy, jak niegdyś jej ojciec. Tsering poklepał wujka po ramieniu i powiedział, by ten opowiadał nieco wolniej.

– Mówi, że było tu kiedyś radio, pierwsze, którego wujek kiedykolwiek słuchał. Podobała mu się muzyka. Radio było *taaakie* duże i ciężkie. Miało baterię i potrzeba było czterech mężczyzn i wózka, by naładować ją przy generatorze nad rzeką. Potem zbierali się ludzie i słuchali z powagą na twarzach. Dzieci chciały się śmiać, ale dorośli im zabraniali. To były początki europejskiej wojny, która powoli docierała do Azji.

Evan i Nerys słuchający wiadomości radiowych w jednym z tych pomieszczeń, przy świetle lampy naftowej, rzucającej cienie na ścianę – widziała ich teraz bardzo wyraźnie. Evan w kapłańskiej czerni i Nerys w fartuszkowi zakrywającym jej spódnicę i w swetrze robionym na drutach.

– Tak – kiwnęła głową. – To tamte czasy.

W opuszczonym budynku nie było już nic więcej do obejrzenia. Tsering zrobił z Mair jeszcze jedno okrażenie, zaglądając na wszelki wypadek do wszystkich pomieszczeń, ale nie znaleźli nic więcej. Po intensywnym dniu energia Sonama znacznie spadła. Mair delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Dziękuję. Cieszę się, że tu przyszliśmy.

Wracali tą samą aleją, Sonam szedł teraz o wiele wolniej, wspierając się na ramieniu Tseringa. Robiło się coraz ciemniej, światła w oknach domów w pobliżu cmentarza zamrugały kilkakrotnie ostrzegawczo i zgasły. Wszystkie latarnie w pobliżu również się wyłączyły. Mair i jej towarzysze zatrzymali się. Tsering szukał latarki w kieszeniach. Staruszek oparł się o Mair, by nie stracić równowagi, a ona wzięła go delikatnie pod rękę. Szli teraz ostrożnie przy wąskim świetle latarki, omijając głębokie doły i kawałki muru leżące na ścieżce.

Na skrzyżowaniu, gdzie skręcała już w stronę swojego hotelu, pożegnała się z mężczyznami. Pieniądze, które wręczyła Sonamowi, zniknęły w mgnieniu oka pod fałdami tuniki. Złapał ją delikatnie za

ramię i spojrział w ciemność. Tsering przetłumaczył jego słowa po raz ostatni.

– W tamtych czasach życie tutaj było bardzo trudne. Nikt nie miał zbyt wiele. Ale było dobrze, spokojnie.

Sonam opowiadał, że Evan Watkins i jego żona nie byli całkowicie nieszczęśliwi w Leh. Miewali też szczęśliwe chwile.

Mair wierzyła w to. Uścisnęła im ręce.

Tsering uśmiechnął się, jego zęby błysnęły w ciemności.

– Chcesz poznać swoją historię, zaczynając od szala. Pora pojechać do Kaszmiru.

– Tak właśnie zrobię.

– Udanej podróży – powiedział.

Życzyli jej dobrej nocy. Kiedy patrzyła, jak idą wolno wzdłuż pustej ulicy, wróciło światło. Ich cienie przesuwały się po starych murach.

Rozdział Trzeci

Indie, 1941 r.

Wszedł ze świeczką za parawan. Była to prosta drewniana rama na zawiasach z rozciągniętym na niej brązowym papierem. Światło świeczki stojącej na małej toaletce rzucało zniekształcony cień mężczyzny na papier. Nerys odwróciła się, by nie patrzeć, jak jej mąż się myje. Oglądała prosty drewniany krzyż zawieszony na ścianie obok łóżka.

Żółty płomień świecy migotał, gdy mężczyzna prznosił ją z toaletki na nocny stolik, więc Nerys wiedziała, że znów może patrzeć. Materac wypełniony sierścią jaków delikatnie zatrzeszczał, gdy się poruszyła. Poczowała mieszaninę zapachu mydła karbolowego i męskiego potu w chwili, gdy Evan podnosił Biblię, która zawsze leżała przy jego poduszce. Klęknął przy łóżku. Nerys odsunęła przykrywającą ją kołdrę z zamiarem dołączenia do modlitwy, ale powiedział, by została na swoim miejscu.

– Pan widzi wszystko. Nie obrazi się, jeśli będziesz odpoczywać przez parę dni.

– Nic mi nie jest – wymamrotała, ale czuła się zbyt zmęczona, by ruszyć się z miejsca. Słuchała, jak jej mąż czytał po walijsku fragmenty z Księgi Hioba, jednej z jego ulubionych.

– Amen – powiedziała, kiedy wydawało jej się, że skończył. Ale Evan modlił się jeszcze w ciszy. Nerys starała się robić to samo. Prosiła Boga, by uczynił ją lepszą żoną.

W końcu Evan podniósł się z głębokim westchnieniem. Zdjął gruby szlafrok i zawiesił go na haku. Odsunął kołdrę, wpuszczając powiew zimnego powietrza do łóżka i zawahał się przez moment, stojąc we flanelowej piżamie w paski, jak gdyby położenie się koło żony wymagało ogromnego wysiłku.

– Jesteś gotowa? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała.

Zdmuchnął płomień świeczki i położył się. Materac ugiął się pod ciężarem jego ciała, a Nerys napięła mocno mięśnie bioder i nóg, by nie zsunąć się na męża. To nie tak, że nie marzyła o uścisku czy ciepłe jego skóry – wręcz przeciwnie, czuła się tak źle i pusto, że łaknęła kontaktu fizycznego, bez zbędnych słów. Ale to był męczący dzień i nie chciała na niego naciskać, nawet w tej kwestii.

– Dobranoc, moja droga – powiedział po chwili.

– Dobranoc, Evanie – odpowiedziała cicho.

Niedługo potem Evan już spał. Nerys leżała z dłońmi splecionymi na mostku i rozmyślała o minionym dniu.

Nauczanie mniejszych dzieci dawało jej największą przyjemność. Uwielbiała patrzeć na swoich uczniów, w szkolnych fartuszkach przewiązanych na znoszonych ubraniach, na ich błyszczące oczy, gdy z uwagą patrzyli, jak pisała słowa i liczby na tablicy opartej o sztalugę. Jeden, dwa, trzy. But, kapelusz, jabłko, ręka. Cierpliwie znosili tę część dnia, tak jak wtedy, gdy czytała im fragmenty Biblii, ale najbardziej podobały im się gry, w których śpiewali, tańczyli i klaskali. Dzieci układały własne słowa do znanych melodii. Próbowwała po nich powtarzać, ale najwyraźniej nie szło jej to najlepiej, bo uczniowie śmiali się do rozpuku z jej wysiłków. Czasem grali na harmonijkach, bębnach, gwizdkach i tamburynach wymyślone przez siebie melodie, które całą salę wypełniały muzyką.

Ze starszymi dziećmi było trudniej. Nerys wiedziała, że przychodzą

na lekcje wyłącznie z powodu darmowych obiadów serwowanych przez szkołę, składających się najczęściej z zupy i ryżu z gęstym gulaszem z soczewicy. Podczas zajęć, gdy ona mówiła, dzieci mamrotały i wierciły się, a równo o trzeciej, gdy kończyły się lekcje, biegły przez podwórko szczęśliwe, że to koniec szkoły, mimo że resztę dnia spędzały, pracując ciężko w polu lub pochylając się nad krosnem. Miała tylko nadzieję, że jedzenie i niewielka pomoc medyczna, którą mogła im zaoferować na dręczący je kaszel, zapalenia spojówek czy bóle mięśni, kompensowały te dwie godziny braku zainteresowania nauką. Kiedy kończyły osiem, dziewięć lat, zwykle przestawały przychodzić, ponieważ dla ich rodziców ważniejsza od edukacji była każda dodatkowa para rąk do pracy.

Nerys słuchała, jak oddech Evana spowalnia.

Choć starała się myśleć pozytywnie, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tracą tu czas, dwoje obcych ignorantów zmagających się z prymitywnymi warunkami, niezrozumiałym językiem i skomplikowaną historią kraju.

Oczywiście Evan nigdy nie zgodziłby się z tym, że są ignorantami. Ale Nerys nie podzielała niezłomnego przekonania męża, który uważał, że Słowo jest jedyną prawdą i najważniejsze w życiu jest niesienie go poganom. Zaczynała się obawiać, że powoli traci wiarę. Już sama myśl o tym, w ciszy i ciemności, wystraszyła ją. Czy żona misjonarza mogłaby nie wierzyć w Pana? Jak na ironię, to właśnie Indie zasiały w niej tę niepewność.

Nerys poznała duchownego Evana Watkina w Walii, gdy ten przyjechał na jakiś czas do domu z misji w Indiach. Ona miała zostać nauczycielką, wszystko wydawało się proste i jasne. Bóg, w którego oboje wierzyli, był najważniejszy. Był modlitwą odmawianą przed posiłkami i przed snem. Modlitwą o rodzinę, o chorych, króla i królową i o nieszczęśliwych pogan. Był kaplicą w niedziele, Biblią w czarnej oprawie i stylem życia, do którego się przyzwyczaiła, i który uznawała za coś pewnego, stabilnego, bezpiecznego. Nawet po tym, jak Evan się oświadczył (miała nadzieję, nawet modliła się, by to zrobił) i podczas

ich krótkiego okresu narzeczeństwa, potem ślubu, miesiąca miodowego w Anglesey (nie chciała się teraz nad tym rozwodzić) i w trakcie przygotowań do wyjazdu do Indii, nigdy nie kwestionowała swojej wiary. Evan uznał, że jego powołaniem jest niesienie Dobrej Nowiny, a ona z dumą mu w tym towarzyszyła. Pomagała mu i wspierała na wszelkie sposoby. Razem świętowali odnoszone sukcesy.

W Shillong, centrum prezbiteriańskich misji do Indii, gdzie mieszkali przez kilka pierwszych miesięcy małżeństwa, nie było ciężko. Niedaleko znajdowała się duża szkoła prowadzona przez misjonarzy, z bardzo wysokim poziomem nauczania. Miejscowe rodziny były chyba przygotowane na zaakceptowanie myśli chrześcijańskiej, na której oparte było szkolne wychowanie. W pobliżu znajdowała się duża kaplica organizująca msze dla rodzin misjonarzy i wielu nawróconych mieszkańców miasteczka, a także przychodnia oferująca pierwszą pomoc w nagłych przypadkach, a dla tamtejszych kobiet organizowano kursy z wykonywania obowiązków domowych, higieny i hodowania warzyw, przy których Nerys często pomagała. Nieco dalej znajdował się szpital misyjny z wykwalifikowanym lekarzem i trzema pielęgniarkami. Tam kobiety mogły rodzić w bezpieczniejszych i bardziej higienicznych warunkach niż gdziekolwiek indziej w okolicy. Leczone tam również trędowatych i chorych na gruźlicę, posocznicę, wściekliznę i inne groźne dla życia choroby, którymi można było zarazić się w Indiach. Nerys widziała, że swoją pracą ona i jej mąż czynią wiele dobra.

Same Indie bardzo ją zaskoczyły. Przed przyjazdem oczywiście wyobrażała sobie nieznaną krajobrazy, życie w Indiach, ale bezkresne równiny zalane słońcem parzącym jej skórę, chmary ludzi, ogromne ulewy monsunowe, ostre kolory i wszechobecny smród, muchy, kalectwo i bieda, z którymi stykała się każdego dnia, przerosły wszelkie jej wyobrażenia. Kiedy próbowała wyznaczyć swoje obawy Evanowi, tylko się denerwował.

– Przyjechaliśmy tu pracować, moja droga, z Bożą pomocą. Nie mamy czasu na rozmyślanie nad naszym ciężkim losem.

Już chciała odpowiedzieć, że nie bała się pracy i nie skupiała się

wyłącznie na sobie, chciała tylko porozmawiać o tym, co już od dawna oboje wiedzieli. Ale powstrzymała się. Evan nie chciał rozmawiać o niczym, co nie miało związku z ich codzienną rutyną. Tak bardzo był skupiony na swojej pracy, tak niewzruszenie w niej trwał, że zaczęła podejrzewać, iż bał się tego, dokąd mogą zaprowadzić go takie dyskusje.

Po jakimś czasie jednak, w tym kipiącym złością kraju, zaczęła dostrzegać witalność. Obserwowała przychodzące na świat dzieci, desperackie starania żebraków wyciągających zniszczoną czasem i chorobami dłoń po dającą nadzieję monetę, plecy kobiet pochylonych podczas pracy na polu i twarze mężczyzn cały dzień siedzących przy ruchliwej ulicy z przenośną kuchenką i parzących *chai*, którą następnie sprzedawali przechodniom. Podczas codziennych spacerów Nerys zatrzymywała się przy nich i popijała napój, siedząc na małym trójnożnym stołeczku, podczas gdy sprzedawca siadał na zakurzonej ziemi. Niestety, misja chrześcijańska, którą miała im nieść, nie była w stanie nic zmienić w ich życiu, ani na lepsze, ani na gorsze. Ich sytuacja była wyjątkowo trudna, a oni sami wyznawali już „swoją” religię. Jej zmiana z pewnością nie wpłynęłaby na ich los.

Evan cały czas ciężko pracował, wygłaszał kazania, pisał, czytał i wyjeżdżał do coraz dalej położonych wiosek. Uczenie w szkole i próby porozumienia się z domową służbą, u której denerwował ją nadmierny zapał do pracy, zajmowały tylko niewielką część jej czasu. Wreszcie zaczęła pomagać w szpitalu. Pielęgniarki były nieco żywszymi towarzyszками niż inne żony misjonarzy.

Najbardziej lubiła pracę na sali porodowej. Wspomnienie pierwszych narodzin dziecka, przy których był obecna, głęboko zapadło jej w pamięć. Matka dziecka była od niej młodsza, to był jej trzeci poród i krzyczała już od dwóch godzin. Nerys przecierała jej zmęczoną wysiłkiem twarz gąbką i próbowała ukoić jej ból. Ale gdy tylko jej synek przyszedł na świat, kobieta zapomniała o cierpieniu, wyciągnęła ręce po dziecko, a jej uśmiech rozjaśnił całą salę. Nerys była tak wzruszona, że musiała się odwrócić, by otrzeć łzy.

Przesunęła ręce nieco niżej. Był to mimowolny ruch, który starała się powstrzymać, od łuków żeber, przez zagłębiony brzuch. Odkąd niecały miesiąc temu poroniła, próbowała wmówić sobie, że wkrótce ponownie zajdzie w ciążę. Czuła się chora i wykończona. Poczęcie zajęło im dużo czasu i była teraz zrozpaczona, ale mimo wszystko wierzyła, że przetrwają te trudne chwile.

„Chyba że w ten sposób Bóg chce mnie ukarać za to, że w Niego nie wierzę” – myślała czasami.

Nerys uśmiechnęła się w ciemności. Skoro jej wiara w Boga została zachwiana, to przecież jej poronienie nie może być skutkiem kary. Pomyśl lepiej o czymś innym – upominała się coraz częściej.

Jej mąż westchnął głęboko przez sen i przekręcił się na drugi bok. Teraz nie mogła już widzieć jego twarzy.

Kiedy Evanowi zaproponowano wyjazd do Leh, w którym poprzedni walijski misjonarz zmarł na czerwonkę, powiedział Nerys, że nie muszą jechać. Uważał raczej, że powinni postrzegać tę propozycję jako szansę na zrobienie czegoś dobrego, a nie jako nakaz. Ostrzegł też, że delegacja będzie trudna. Leh znajdowało się wysoko nad poziomem morza, można było dotrzeć tam jedynie dwiema drogami, które przez co najmniej pół roku były zasypane śniegiem. Poza nimi w miasteczku byłaby prawdopodobnie tylko garstka ludzi z Zachodu, brak porządnego szpitala, a miejscowi z pewnością o wiele mniej chętnie słuchaliby o Bogu niż mieszkańcy Shillong.

Nerys spojrzała mu głęboko w oczy.

Czuła, że Evan chciał pojechać tam właśnie dlatego, że będzie ciężko, że będzie musiał podołać ogromnym wyzwaniom. Leh dałoby mu też szansę, by dowiódł wreszcie swojego zaangażowania i misjonarskiego zapału Bogu oraz swoim przełożonym. Zaczynała powoli rozumieć, że biedny Evan miał o sobie bardzo niskie mniemanie. Wątpił w wartość tego, co osiągnął podczas misji, a skupienie na pracy i upór, by zawsze iść najtrudniejszą z dróg, prawdopodobnie były sposobem na radzenie sobie z brakiem odwagi i samoakceptacji.

Nie odżywiał się tak, jak powinien, niezależnie od tego, jak bardzo

Nerys starała się dobierać posiłki, by dostarczyły mu wszystkich wartości odżywczych. Był wychudzony, a na twarzy, pod kośćmi policzkowymi pojawiły się zagłębienia. Często chorował, miewał gorączki i problemy z żołądkiem.

„Będę cię kochać mocniej i lepiej” – przyrzekała po cichu, „zrobię to, czego ty sam nie możesz zrobić dla siebie”.

Ujęła wtedy jego twarz w dłonie i pocałowała w czoło.

– Oczywiście, że musimy jechać. Będę zawiedziona, jeśli tego nie zrobimy. Podróż tam może być wspaniałą przygodą. – Słyszała już o legendach dotyczących drogi z Manali do Leh.

Tamtej nocy, gdy położyli się do łóżka, Evan złapał ją za rękę i szepnął z oddaniem i wdzięcznością:

– Najdroższa...

To był jego sygnał. Przysunęła się, koszula nocna ciasniej owinęła się wokół bioder. Nerys powiedziała cicho:

– Tak.

Upewniła się, że mówiąc to, jej usta prawie dotykały jego ust, że poczuł ciepło jej oddechu.

Prawdopodobnie nie uważał tego za coś grzesznego – pomyślała. W końcu wzięli już ślub, w kaplicy ceremonię odprawił Parchedig Geraint Rhys, przyjaciel i nauczyciel Evana. Ale jej mąż chyba nie uważał, że zasługuje na taką dozę przyjemności. Nigdy nie starał się przedłużyć stosunku ani zrobić czegoś, co wzmocniłoby odczucia któregośkolwiek z nich. Spełniał jedynie podstawową potrzebę, i jeżeli nawet myślał o czymś więcej, to i tak szybko się wycofywał.

Jeśli o nią chodziło, Nerys nie zastanawiała się, czy zasłużyła sobie na przyjemność, czy nie, ale już od pierwszego, raczej nieudanego stosunku z mężem, wiedziała, że uwielbia seks. Początkowo wyobrażała sobie małżeństwo, w którym oboje lubili to w takim samym stopniu. Myślała wtedy naiwnie, że nigdy nie będą wychodzić z łóżka. Po dwóch latach małżeństwa nauczyła się jednak kontrolować swoją wyobraźnię.

Evan przyjął posadę w Leh i Watkinsowie udali się w długą podróż do Ladakhu. Nerys podobała się jazda pociągiem do Kalkuty i dalej do

Delhi, mimo że letnie słońce grzało niemiłosiernie w porównaniu do względnie chłodnego Shillong. Na każdej stacji miejscowi sprzedawcy przechodzili przez ich wagon z koszykami pełnymi ryżu i curry, sprzedawcy chai dzwonili maleńkimi dzwonkami, a kobiety błagalnie wyciągały ku nim chusty wypełnione dojrzałymi owocami. Nerys targowała się ze sprzedawcami, tak jak inni pasażerowie, i podawała Evanowi maleńkie posiłki na białej serwetce za każdym razem, gdy tylko podniósł wzrok znad książki.

Całymi godzinami patrzyła przez okno na Indie. Pola ryżowe, wozy zaprzężone w woły i błotniste wioski stanowiły elementy drogi do parnych miast z dzielnicami slumsowymi i czynszowymi kamienicami. W niektórych miejscach całe rodziny mieszkwały pod namiotami z porwanego płótna, obok linii kolejowych, a dym z niezliczonych ognisk drażnił oczy. Następnie pociąg znów przejeżdżał przez wieś, przecinając ogromną brązową równinę. Miało się wówczas wrażenie, że drażniące zapachem miasto nie istnieje.

W Delhi zamieszkali w domu misjonarzy. To wtedy Nerys w radiu BBC usłyszała wiadomości o ewakuacji z Dunkierki podczas Operacji Dynamo. Czekwały na nią listy od rodziców, w których pisali o nieustannych nalotach, braku żywności i przede wszystkim o chłopcach z jej szkoły, których nazwiska znajdowały się teraz na listach ludzi, którzy zginęli w akcji. Ciężko było dowiadywać się o zmianach, którym musieli poddać się jej znajomi i najbliżsi, zwłaszcza że sama znajdowała się w tak dziwnym, egzotycznym miejscu.

Jej myśli wypełniała obawa o ludzi, którzy zostali w Walii, a praca, której miała się tutaj podjąć, wydawała się mieć jeszcze mniej sensu. Chciała wrócić do domu, jej tęsknota miała charakter niemal fizyczny, przerażała ją. Pewnego popołudnia Evan wrócił do domu i znalazł ją próbującą złapać oddech przy otwartym oknie, mimo wdzierającej się do środka sady i upału panującego na zewnątrz. Na podłodze obok niej leżała niedokończona wełniana skarpetka, którą robiła na drutach. Słyszała, że w drodze do Leh będzie bardzo zimno i choć samo pojęcie zimna zdawało się nie istnieć na całym świecie, z jakiegoś powodu

obawiała się, że nie będą mieli wystarczająco dużo ciepłych ubrań.

– Chyba jesteście gotowi do wyjazdu – powiedział wtedy Evan, albo nie chcąc widzieć, albo nie chcąc reagować na jej cierpienie. – Zamówię bilety do Chandigarh.

Z pomocą misjonarzy z Delhi udało im się zebrać mnóstwo zapasów, od ciepłych filcowych butów i koców po puszkę z masłem z mleczarni w Delhi. Wszystko zapakowano do koszy podróżnych przewiązanych skózanymi pasami.

Nerys podniosła swoje robótki ręczne.

– Evanie, dobrze robimy? Nie obawiasz się, że... lepiej by nam poszło w domu?

Odłożył trzymany w rękach stosik papierów i książek.

– Z powodu wojny?

– Tak.

Pomyślała, że gdyby byli w domu, jej mąż mógłby pracować jako wojskowy kapelan, a ona uczyłaby w szkole w miejscu, w którym wszyscy mężczyźni walczyli na wojnie.

– To moje powołanie, Nerys. Wypełniam wolę Pana.

„A co z moją wolą?” – pomyślała. – „Czego Bóg chce ode mnie?”

Nigdy jednak nie powiedziała tego głośno. Zawsze gryzła się w język, wiedząc, że jedynym bezpiecznym kierunkiem ich rozmów jest przyznawanie tego, że jest żoną Evana i to powinno być jej jedynym obowiązkiem. Zresztą wszystko, co sprawiło, że znalazła się tutaj, było jej wyborem. Gdyby nie postanowiła za niego wyjść, byłaby teraz w domu, w Walii, a za jakiś czas pewnie stałaby się starą panną uczącą w szkole pełnej dzieci. Nie byłaby mężatką udającą się do Ladakhu.

Przez okno słychać było pokrzykiwania sprzedawców, dzieci bawiących się w rynsztokach, płacz niemowląt, dźwięki muzyki z głośnika. Nerys stała bez ruchu, w palcach mocno zaciskała druty do robótek ręcznych.

– Źle się czujesz? – Evan położył dłoń na jej ramieniu. – Mam zadzwonić do pani Griffiths?

Pani Griffiths była gospodynią ich domu, żoną misjonarza z Delhi. Nerys prawie w ogóle jej nie знаła.

– Nie, dziękuję, kochanie. Nie jestem chora. Zgadza się. Jesteśmy gotowi do wyjazdu. Idź po bilety.

Wysiedli z pociągu w Chandigarh i dalej jechali ciężarówką. Bagaże przywiązali do platformy wozu i przykryli płótnem. Jechali do miasta zwanego Manali, kolejnej siedziby misjonarzy, gdzie Evan miał zająć się ostatnimi szczegółami dotyczącymi wyjazdu do Leh. Zostali tam na trzy dni. Manali położone było u stóp wysokich, niedostępnych gór. Chłodne powietrze było rześkie i pachniało słodko. Pofałdowane grzbiety gór malujące się nad doliną pokryte były ciemnymi sosnami. Krajobraz ten skojarzył się Nerys ze Szwajcarią, choć nigdy tam przecież nie była.

Poszła na spacer wzdłuż strumienia o kryształowej wodzie i patrzyła na orły przelatujące nad granią. Widok sprawił, że zrobiło jej się lekko na duszy.

Ostatniego wieczora jadła z Evanem kolację przy świecach, w malutkim, wyłożonym drewnem pokoiku z widokiem na ogród. Kiedy odłożył nóż i widelec, wstała i podeszła do niego, położyła mu dłonie na ramionach i policzkiem dotknęła jego twarzy.

– Cieszę się, że jedziemy. Przepraszam, że wątpiłam w sens naszej podróży – szepnęła czule.

– Modliłem się o to, byś zmieniła zdanie, byś zrozumiała – odpowiedział.

Nerys wiedziała, że to ich ostatnia noc w porządnym łóżku, do czasu aż dojadą do Leh. Podczas miesiąca miodowego nauczyła się, żeby nie proponować mężowi intymnych zbliżeń, ale kiedy Evan wyszedł na chwilę z pokoju, lekko spryskała perfumami kark i włożyła koszulę, którą miała na sobie w noc poślubną.

– Najdroższa? – zapytał Evan, gdy tylko zdmuchnął płomień lampy.

Następnego dnia przyprowadzono piętnaście kucyków. Przez dwie godziny Nerys i Evan rozpakowywali bagaże i dzielili je pomiędzy kuce i opiekunów zwierząt. Przywódcą karawany był szczupły, niewysoki mężczyzna o imieniu Sethi. Stamtąd do Leh było niecałe pięćset kilometrów, a droga wiodła wzdłuż starożytnego szlaku handlowego przecinającego Himalaje. Mieli jechać całymi dniami, a nocami rozbijać obozowisko.

– Proszę, *memsahib*⁵.

Sethi pomógł Nerys wsiąść na kucyka, plecione cugle z dzwoneczkami i wełnianymi pomponikami włożył jej w ręce i poklepał kuca w zad. Zwierzę powoli ruszyło, a cała procesja wkrótce wyszła poza granice miasta Manali. Czekają ich pięćdziesiąt kilometrów wędrówki pod górę, do pierwszej przełęczy.

Nerys myślała z niedowierzaniem o trudach tak długiej wędrówki. Dni spędzali na grzbietach kucyków lub zsiadając z nich i pokonując część drogi pieszo. Ścieżka była często jedynie wąskim przesmykiem między skałami lub występem skalnym nad kilkudziesięciometrową przepaścią i cieniutką nitką rzeki pobłyskującą daleko w dole. Kucyki parły do przodu zachęcane gwizdami opiekunów. Kosze u ich boku kołysały się rytmicznie, czasem niebezpiecznie wystając daleko poza brzeg półki skalnej. Nocami Sethi i jego ludzie rozbijali namiot, do którego zmęczeni Nerys i Evan wczołgiwali się i zawijali w koce. Zimny wiatr targał płótnem i przebijał się do środka między materiałem a ziemią. Kucharz rozpałał ognisko i chwilę później puszka gulaszu z baraniny i jeszcze jedna z parującym ryżem trafiała do namiotu.

Nerys jeszcze nigdy nie czuła się tak głodna. Jadła łapczywie, pochłaniając wszystko, co trafiło w jej ręce. Evan leżał z zamkniętymi oczami, owinięty w kokon z koca. Cierpiał z powodu dużych

⁵ Memsahib – forma grzecznościowa używana wobec mężatki z Europy.

wysokości, co dzień rano wstawał z okropnym bólem głowy i męczącym kaszlem. Kobieta podawała mu aspirynę i syrop na kaszel. Nieustannie próbowała namówić go do jedzenia.

– Tylko łyżkę ryżu, mój drogi. Musisz coś zjeść, bo nie będziesz miał siły pracować, kiedy już dotrzemy do Leh.

Oparł się wreszcie na łokciach i zjadł odrobinę potrawy.

Spali niespokojnie, z siodłami pod głową, budzili się od szmeru wiatru lub rozmowy i śmiechu mężczyzn przy ognisku. Rano wszystko zaczynało się od początku.

Dni mijały, a Nerys, trochę niespodziewanie dla siebie, odkryła, że stała się silniejsza, wraz z siłą przyszła także wesołość. Patrzyła na zmieniającą się scenerię, myśląc o tym, jak ta jałowa przestrzeń przyćmiewała szczyty i doliny Snowdonii, przypominając jej o domu. Zrozumiała, że swobodniej czuła się tutaj niż w parujących, nizinnych Indiach. Żartowała z opiekunami kucyków, gestykulując, ponieważ nie mogli porozumieć się w żadnym innym języku. Sethi został jej opiekunem, jechał zaraz przed nią na kudłatym białym kucu lub cierpliwie pomagał jej maszerować, gdy obolałe ciało nie pozwalało jej już dłużej wspinąć się pod górę.

– *Memsahib* bardzo silna – mówił z podziwem. Nie spojrział nawet na Evana zsuwającego się powoli ze swojego kuca.

Nerys wiedziała, że nigdy nie zapomni dnia, w którym rozpoczęli tę długą i żmudną wspinaczkę do przełęczy Baralacha. Kiedy w końcu dotarła do najwyższego punktu, na wysokości pięciu kilometrów n.p.m., poczuła się tak, jakby z jej mózgu i krwi wypompowano cały tlen, jej ciało było całkowicie bezwładne. Evan poszarzał na twarzy i oddychał bardzo ciężko, ledwie mógł utrzymać się w siodle. Dwóch mężczyzn szło po obu stronach jego kuca i podtrzymywało go w razie potrzeby.

Nerys spojrzała za siebie. Na południu rozciągał się widok na Indie. Z ciekawością spojrzała w górę. Przed nimi znajdowały się nieznanne obszary Azji. Wyprostowała się i głęboko wdychała czyste powietrze.

Sethi obserwował ją uważnie.

– Witaj, *memsahib* – powiedział z uśmiechem.

Nadeszły kolejne dni jazdy, obozowania, spania i ponownej jazdy, aż w końcu dotarli na miejsce. Ich mała karawana wjechała na niewielkie wzgórze, z której rozpościerał się niezwykle widok na dolinę Indus. Widzieli sady, orzechy i pola uprawne ciągnące się wzdłuż rzeki. Leh rozciągało się po słonecznym stoku, na tle wysokich gór o białych szczytach.

Był już koniec sierpnia i od wyjazdu z Shillong upłynął ponad miesiąc. Kiedy wjeżdżali do Leh, mijając wózki zaprzężone w kucyki, załadowane snopami suchego jęczmienia, stada kóz i kobiety powracające z pól, Nerys myślała o chłodzie napływającym z gór i kumulującym się w przesmykach, które właśnie pokonali. Na górze leżał już śnieg, topniejący w słońcu i znów zamarzający, gdy nadchodził zmrok. Kiedy rozładowali bagaże, mężczyźni udali się w drogę powrotną do Manali, idąc szybko i nie zważając na pogodę. Nerys i Evan nie mogli wrócić, przynajmniej do czasu aż zima skończy się na dobre.

„Jesteśmy” – pomyślała Nerys, przechodząc obok długiej ściany z kamieni *mani*⁶ na obrzeżach miasta. Wyżłobione kamienie ułożone były w stos, na każdym znajdowała się mantra *Om mani padme hum*. Z szacunkiem pochyliła głowę w kierunku kamieni. – „Jesteśmy... i już tu zostaniemy”.

To było prawie rok temu.

Nerys położyła się w takiej samej pozycji jak Evan, ale nie przytuliła się do niego, nie chcąc go budzić. Wdychała zapach mydła połączonego z potem. Teraz, kiedy zasnął już na dobre, mogła spokojnie rozmyślać o minionym dniu.

⁶ Mani – kamienne płyty lub kamienie z wyrytymi na nich sześcioma sylabami mantry, forma modlitwy w buddyźmie tybetańskim.

Jedli wczesną kolację. Diskit, kobieta, która im usługiwała, wróciła do kuchni. Jej mąż zmarł, gdy dzieci były małe, więc z chęcią dołączyła do misji, bez względu na religię, którą miałyby tam wyznawać. Słyszeli, jak przesuwają węgle w kuchence z żelaza, a następnie polewa je tłuszczem z łajna jaków, by ugotować gulasz na obiad dla szkoły. Poczuli zapach gotującej się baraniny. Evan przewrócił stronę w książce. Nerys bez patrzenia na niego wiedziała, że dźwięki dochodzące z kuchni wywołują nieprzyjemne wspomnienia.

Pierwsi misjonarze morawiańscy przybyli do Leh w 1853 roku, przed katolikami i na długo przed niedoświadczonymi walijskimi prezbiterianami. Do Ladakh przywieźli wówczas wytrzymałe Kuchenki, które teraz można było znaleźć w każdym domu w tym regionie, otworzyli też pierwszą drukarnię i pocztę, przetłumaczyli Biblię na tybetański.

Evan wiedział, że ich misja nie może się równać z misją kościoła morawiańskiego. Czuł z tego powodu żal do siebie – za brak osiągnięć, zarówno praktycznych, jak i duchowych.

– Nie myśl o tym w ten sposób. To nasi chrześcijańscy bracia, a my wykonujemy tę samą pracę – powiedziała kiedyś Nerys, nieco już znużona wątpliwościami męża.

Razem z nimi pracowała trójka misjonarzy. Anglik, który całe życie spędził, pracując dla morawiańskiego kościoła w Indiach i wkrótce miał odejść na emeryturę, oraz para Belgów w średnim wieku. Podczas niekończących się zimowych miesięcy byli właściwie jedynymi europejskimi mieszkańcami Leh, a Nerys przyzwyczaiła się do ich obecności. Madame Gompert i Diskit opiekowały się i pocieszały ją, gdy ta poroniła.

Tego wieczora nic nie powiedziała. Evan odłożył nóż i widelec, zamknął książkę i powiedział:

- Nerys, muszę z tobą o czymś porozmawiać.
- O co chodzi?
- Wkrótce znów nadejdzie zima.

Nie mogła tego nie zauważyć. Teraz, kiedy znała już potęgę

tutejszego żywiołu, monotonię codziennych posiłków, wszelkie niedogodności, a przede wszystkim odizolowanie od reszty świata, pomyślała, że w tym roku poradzi sobie znacznie lepiej.

– Racja.

– Nie mogę cały czas tu siedzieć. Kiedy latem jeżdżę do wiosek i obozów koczowników, prawie wszyscy mieszkańcy są poza domem, ze swoimi stadami. Ale gdybym pojechał tam zimą, byłiby w domu. Mieliby mniej pracy i wysłuchaliby mnie.

Nerys rozważała w skupieniu jego słowa. Było kilka dróg z doliny do wiosek, zwykle niebezpiecznych i wiodących przez góry, ale mogła sobie jedynie wyobrazić, jak wyglądałaby podróż przez śnieg i wiatr, gdy temperatura spadała poniżej minus dwudziestu stopni.

– Pojadę z tobą – powiedziała zdecydowanie.

Evan milczał.

„Spójrz na mnie” – próbowała ściągnąć go myślami. W końcu ich spojrzenia się spotkały. Nie zachowywał się wobec niej nieprzyjaźnie ani za nic jej nie winił, ale strata dziecka odsunęła ich od siebie. Choć Evan bardzo pragnął potomka, wymagał, by Nerys była silna w ich wspólnym przedsięwzięciu. Od chwili gdy poroniła, była bardzo słaba fizycznie i psychicznie, co oznaczało, że nie miałby w niej żadnego wsparcia. Podświadomie żałował tego wycofania się, ponieważ stanowiło kolejną osobistą porażkę, za którą miał kiedyś odpokutować.

Nerys zrozumiała, że znaleźli się w impasie. Nie mogli ze sobą rozmawiać. To dziecko było w takim samym stopniu jego, jak i jej, i rzecz jasna Evan był w żałobie, ale między sobą a żoną postawił zbyt wiele trudnych do przejścia barier. W chwilach słabości robił się zły i próbował maskować to uporem.

– Nie mogę się na to zgodzić – powiedział lodowatym tonem. – Tu będzie ci lepiej, ja nie mógłbym o ciebie zadbać podczas podróży.

Nerys odwróciła głowę. Zaciśnęła usta, tworząc w ten sposób wąską linię na swojej delikatnej twarzy.

– Wolałbyś, żebym została tu sama?

– Nie będziesz sama. Będziesz mieć swoich uczniów, kongregację,

Gompertów, Henry'ego Bullera i innych sąsiadów – powiedział zdecydowanie Evan.

Nerys powoli złożyła serwetkę i umieściła ją w drewnianym kółku. Wstała, podpierając się o oparcie krzesła.

– Dziękuję – powiedziała.

Poszła w stronę kuchni. Diskit przemywała talerze i sztućce w blaszanej misie, włosy ukryte miała pod chustą, ponieważ Nerys wymagała, by podczas pracy zawsze miała je zasłonięte. Czerwień materiału pasowała do koloru jej policzków. Dwóch mężczyzn siedziało na ławce pod ścianą, ich buty ze skóry jaka leżały przy drzwiach prowadzących na podwórko. Diskit wrzuciła garść widelców na metalową tacę. Nerys skrzywiła się, słysząc hałas.

– Diskit, kto to jest?

– To brat cioteczny, proszę pani. – Kiwnięciem głowy wskazała na jednego z dwóch mężczyzn. – Przyjechał z Alchi.

– *Julley* – wymamrotał mężczyzna.

Diskit nauczyła się odrobiny angielskiego od poprzednika Evana, a Nerys poznała podstawy języka ladakhi. Dogadywały się bez większych problemów, jedynie czasem musiały uciekać się do użycia gestów zamiast słów.

W Leh dużo się działo. Nadszedł okres handlowy i do miasta zjeżdżały karawany z Lhasy, Yarkandu i Kashgaru od wschodu oraz z Punjab od zachodu. Kupcy z Tybetu i Turkiestanu przywozili dywany, złoto i srebro, którymi wymieniali się z indyjskimi kupcami na bawełnę i herbatę. Lokalni handlarze sprzedawali wełnę i wyroby wełniane, od szorstkiego runa jaków po delikatny *pashm*. Całymi dniami na bazarze zobaczyć można było najróżniejsze twarze i kolorowe stroje regionalne, słyszeć było mieszaninę wielu języków.

Urzędował tam również brytyjski komisarz. Odpowiadał za ruch uliczny i handel, a każdy kupiec musiał zgłosić się do niego po paszport, który pozwoliłby mu wrócić do domu, zanim śnieg odetnie jakiegokolwiek drogi dojazdowe do Leh.

Był to czas, gdy komisarz urządzał doroczne przyjęcie z herbatką i

zabawami dla gości w swojej rezydencji, na które zaprosił też Evana i Nerys. W zeszłym roku przyjechali za późno, więc przez cały rok Nerys z niecierpliwością oczekiwała przyjęcia, które stanowiłoby odskocznnię od codziennej rutyny i monotonii. Miała kilka ładnych ubrań do wyboru, ale *dhobi*⁷ z pralni wyprała jej najlepszą bluzkę, którą sama wyprasowała, aby usunąć zagniecenia na kołnierzyku. Właśnie skończyła robić na drutach kardigan dla siebie. Zrobiła go z miękkiej kremowej wełny. Był piękny i nic dziwnego, że wzbudzał taką sensację w miasteczku. Jej zadaniem tego wieczora było doszycie do niego dziesięciu perłowych guziczków.

– Powiem pani. – Policzki Diskit zrobiły się jeszcze bardziej czerwone. – Mój kuzyn, na drodze. *Sahib* i *memsahib*, Anglicy. Leh jutro. Następnego tydzień Śringar.

Obaj mężczyźni energicznie pokiwali głowami. Kuzyn Diskit próbował coś wyjaśnić. Nerys zrozumiała jedynie, że osoby biorące udział w polowaniu wracały z doliny Nubra. Byli tam tragarze, kucharze, *shikari*⁸, łowcy, harcerze. Ich torby pełne były łbów dzikiej zwierzyny, mieli też kuce, broń i mnóstwo namiotów. Wszystko, co potrzebne do poważnej ekspedycji. Myśliwymi byli angielski dżentelmen i jego żona.

To była prawdziwa sensacja.

Angielscy podróżnicy znaleźli się w centrum uwagi wszystkich mieszkańców Leh. Nerys zastanawiała się, kim są ci ludzie, a ciekawość, perspektywa przyjęcia i nadzieja na interesującą rozmowę ożywiły ją tak bardzo, że znów poczuła się sobą. Zapomniała o Evanie siedzącym nad książką przy stole w jadalni.

– Powiem pani – powtarzała Diskit.

Nerys stwierdziła, że podróżnicy zatrzymali się w bungalowie *dak*⁹,

7 Dhobi – kasta w Indiach i Pakistanie specjalizująca się w usługach pralniczych.

8 Shikari – myśliwy polujący na dużą zwierzynę.

9 Bungalow dak – zajazd lub domek dla podróżujących szlakiem dak w Indiach.

między Leh i Thikse, i właśnie z tego powodu jeszcze ich nie spotkała. Był to mały domek dla członków rządu brytyjskiego lub innych oficjeli przebywających w tym regionie, którzy potrzebowali tymczasowego zakwaterowania. Wiedziała, że ściany domku pokrywała pleśń, a na parapetach leżały martwe owady, więc nie zdziwiła się, słysząc, że podróżnicy szukają innego miejsca do przenocowania. Niestety, z powodu planowanego przyjęcia w rezydencji nie było już wolnych pokoi.

Bez namysłu powiedziała:

– Niech zatrzymają się tutaj, u nas.

Watkinsowie bardzo rzadko gościli kogoś w misji, ponieważ większość Europejczyków podróżujących przez Leh mieszkała w rezydencji lub u Gompertów. Domu Henry’ego Bullera starano się unikać. Podekscytowana Nerys natychmiast zaczęła układać w głowie listę spraw do załatwienia. Wywietrzyć pościel, rozpalić ogień pod kotłem, by wystarczyło ciepłej wody. Przygotować dzbany i miski. Ręczniki i bukiety kwiatów na stoliki w sypialni. Jak sprawić, by ich nieciekawe i ubogie menu było bardziej eleganckie?

– Diskit, jutro rano posprzątasz sypialnię. Umyj podłogi, zetrzyj kurze, również wewnątrz szafki.

Diskit kiwnęła głową, przejęta wagą spoczywającego na niej zadania.

– Mój kuzyn, powiedziec *sahib* na drodze?

– Tak, tak – Nerys odwróciła się do jednego z mężczyzn siedzących na ławce. – Proszę wrócić do obozu i powiedziec, że serdecznie ich tu zapraszam. Zapamięta pan?

Kiedy poszła do jadalni, aby obwieścić mężowi najnowsze informacje, Evan wciąż siedział przy stole, resztki kolacji leżały na talerzu przy jego łokciu.

– Gdzie Diskit? Za co my jej płacimy? Ja mam pozmywać czy może łaskawie znajdzie chwilę, by to zrobić?

– Kochanie, jutro będziemy mieć gości.

Z niezadowoleniem wyteńczył słuch. Reakcja Nerys na to, co nowe,

niezapowiedziane była mieszaniną ciekawości i niecierpliwego wyczekiwania, jego raczej reakcją obronną. Przybycie nieznanym do ich domu oznaczało zamęt i coś o wiele gorszego: narażenie się na upokorzenie. Wyraz jego twarzy sprawił, że Nerys zapragnęła go przytulić do swojej piersi i głaskać jego włosy lekko przyprószone siwizną, powtarzając mu, że nie powinien się martwić ani obawiać. Ale obecna relacja między nimi nie pozwalała na taki gest. Znużenie, które odczuwała wcześniej, powróciło.

– Diskit przyjdzie za chwilę. Dałam jej listę rzeczy do zrobienia wczesnym rankiem. Idę spać, Evanie. Jutro czeka nas intensywny dzień.

– Przyjdę za pół godziny – zawołał, wracając do swej pracy.

Ale nie było mowy o śnie. Nerys próbowała zwalczyć rosnący w niej gniew. Evan usnął niemal natychmiast, podczas gdy ona leżała, rozbudzona i samotna, bardzo zaniepokojona ich ostatnią sprzeczką.

Zastanawiała się, czy jej mąż zdawał sobie sprawę z tego, że tak bardzo oddalili się od siebie. Czy Evan wciąż jej pożąda, czy wciąż mu się podoba? „Przestań” – upominała samą siebie. – „Jeśli będziesz tak myśleć, tylko pogorszysz sytuację. Śpij. Postaraj się zasnąć” – szeptała do siebie.

Ciało bolało ją od wysiłku włożonego w to, by nie dotknąć ciała jej męża. Była zbyt zmęczona, by się zrelaksować. Godziny mijały powoli, aż w końcu usłyszała pianie kogutów.

Podróżni przybyli niedługo po lunchu. Nerys prowadziła rano lekcje dla najmłodszych dzieci i powiedziała starszym, że mogą pójść do domu, jak tylko zjedzą ryż i soczewicę. Kilkoro dzieci wciąż bawiło się i ganiało po podwórku, gdy objuczone konie szły główną ulicą miasteczka. Nerys i Evan usłyszeli wycie i szczekanie psów oznaczające, że działo się coś niezwykłego. Uczniowie zebrali się przy kamiennej drodze. Wyszła na spotkanie gościom.

Zobaczyła eleganckiego mężczyznę w skrojonym na miarę stroju jeździeckim i w kapeluszu z szerokim rondem oraz kobietę trzymającą

lejce swojego kuca i z uczuciem gładzącą grzbiet jego nozdrzy. Miała czapsy i bryczesy, a jej tropikalny kask owinięty był długim muślinowym szalem. Za nimi ciągnął się sznur tragarzy i opiekunów koni niosących torby pokryte kurzem i brudem. Kobieta podniosła wzrok i zauważyła Nerys. Podała lejce jednemu z mężczyzn i podniosła woalkę. Uśmiechnęła się szeroko i złapała dłonie Nerys.

– Pani Watkins, jesteśmy wdzięczni za uratowanie nas – powiedziała ciepłym głosem. – Nie ma pani pojęcia, ile to znaczy dla mnie i mojego męża. Kolejna noc w namiocie zabiłaby mnie z pewnością.

Wzrostem dorównywała Nerys. Nad jej szarobrązowymi oczami widniały zgrabne łuki czarnych brwi. Kiedy zdjęła kask, okazało się, że jej kruczoczarne włosy były obcięte krótko jak u mężczyzny, ale nawet w stroju jeździeckim była bardzo kobieca. Miała piękną figurę, wąską talię i długie nogi, które wyglądały elegancko także w bryczesach i pod tweedowym płaszczem.

– Witamy w naszej misji – odpowiedziała z uśmiechem Nerys. – To nie Savoy, ale na pewno jest tu lepiej niż w bungalowie *dak*.

Jej towarzysz powiedział coś swoim sługom i podszedł, by się przywitać.

– Pani Watkins? Miło mi panią poznać. Jestem Archie McMinn. Jesteśmy pani dłużnikami.

Miał włosy koloru piasku, opaloną cerę, roześmiane niebieskie oczy i zarost. Mówił z lekko szkockim akcentem.

– Myrtle, jestem Myrtle – roześmiała się jego żona.

– Nerys.

Kiedy uścisnęli sobie ręce, Nerys poczuła się, jakby skądś znała Myrtle McMinn. „Wiedziałam, że gdzieś jesteś” – pomyślała. – „W końcu przyjechałaś”.

– Wejdźcie do środka, proszę. Na pewno marzycie o cieplej kąpieli, normalnym jedzeniu i czystej pościeli. Pamiętam, jakie to uczucie całymi tygodniami spać pod namiotem – powiedziała.

Evan wyszedł na podwórko i stał tam niczym ciemny filar na

słońcu. Przywitał się z przybyszami, mówiąc, że misja prezbiteriańska jest ich domem tak długo, jak będą tego potrzebować. Nerys uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Dzieci z misji prześliznęły się między nimi, wpatrując się z zaciekawieniem w McMinnów. Myrtle zdjęła rękawiczki i sięgnęła do kieszeni płaszcza, wydając z nich torebkę z cukierkami i rozdając je dzieciom.

– *Julley*, wam wszystkim.

Przewróciła torebkę do góry nogami i potrząsnęła nią, by pokazać, że nic więcej nie ma w środku. Niezrażone tym dzieci poszły za nią do drzwi. Dopiero wtedy Nerys stanowczym głosem kazał im wracać do domów. Zaprowadziła McMinnów do ich pokoju.

– Wygląda przepięknie – westchnęła Myrtle. – Spójrz, Archie. Jak tu cudownie!

Nerys oznajmiła gościom, że Diskit przyjdzie zaraz z ciepłą wodą. Gdyby czegokolwiek potrzebowali, Diskit miała być do ich dyspozycji. Goście stwierdzili, że potrzebują jedynie płóciennych toreb podróżnych, które przyniesie ich tragarz, gdy tylko zostaną oczyszczone z błota i kurzu. Pozostałe rzeczy, takie jak głowy dzikich zwierząt, zostaną zabrane do obozowiska w pobliżu boiska do polo, w południowej części miasta.

– Najważniejsza dla niego jest torba ze zdobyczami – dokuczała mu Myrtle. – Dwie głowy ogromnych górskich owiec z kręconymi rogami, dwie pary przepięknego poroża jelenia i wszelkie zwierzęta, na które Archie mógł polować. Gdyby nie ograniczenia, pewnie dalej byśmy tam mieszkali.

– Moja droga, w końcu to była wyprawa strzelecka – powiedział spokojnie Archie. – Czego się spodziewałaś?

McMinnowie wyglądali na zrelaksowanych i szczęśliwych. „Dobrze się czują ze sobą” – myślała nieco rozżalona Nerys. Szybko jednak doszła do wniosku, że jeszcze bardziej uszczęśliwiłaby ich możliwość zostania sam na sam. Diskit przyniosła pierwsze dzbany z gorącą wodą, a Nerys wyszła, by goście mogli się przebrać i odpocząć po trudach podróży.

Ich niespodziewany przyjazd rozluźnił napiętą atmosferę panującą w domu misyjnym. Diskit śpiewała, idąc korytarzem, a Evan nie pytał, jak długo ma czekać na lunch. Nerys w skupieniu ułożyła sztuce na stole, a następnie poszła do kuchni, by przypilnować gotującego się *thukpa*¹⁰, regionalnego gulaszu warzywnego, który był popisowym daniem Diskit.

Niedługo później pojawili się goście. Archie zgolił już brodę, pokazując bledszy półksiężyc na szczęce i policzkach. Myrtle wciąż miała na sobie spodnie, ale teraz zrobione były z luźnej flaneli, do tego włożyła jasną koszulę i pojedynczy sznur pereł.

– Włożyłabym sukienkę – powiedziała przepraszająco do Nerys – ale żadnej ze sobą nie wzięłam. Nie masz nic przeciwko?

Nerys wygładziła przód swojej starej tweedowej spódnicy.

– Oczywiście, że nie. Wyglądasz... bardzo ładnie.

– Wyglądam jak mężczyzna.

Ale nawet gdy przebiegła palcami po krótkich włosach z lekceważącym wzruszeniem ramion, nie było możliwości, by ktoś mógł wziąć Myrtle za chłopca.

Evan odsunął krzesło dla Myrtle. McMinnowie pochylili głowy, gdy odmawiał długą modlitwę dziękczynną nad *thukpa* parującym w stojącej przed nim misce. Promienie słoneczne przebijały się przez wąskie okno siedzącej naprzeciwko Nerys, dzięki czemu mogła zamknąć oczy na chwilę i pozwolić, by ciepłe światło słoneczne padało na jej powieki. Po ostatniej bezsennej nocy była tak zmęczona, że czuła się trochę jak we śnie. Gdy znów otworzyła oczy, ujrzała Myrtle przyglądającą się jej. Nerys nie miała nic przeciwko tej wnikliwej obserwacji, wprost przeciwnie, wreszcie poczuła, że ktoś ją zauważa, że zwraca czyjąś uwagę.

To był bardzo przyjemny posiłek. O dziwo, Evan polubił McMinnów i prawie śmiał się, słuchając opowieści Myrtle o ich

10 Thukpa – tradycyjna tybetańska zupa z makaronem i warzywami.

przygodach. Archie widział wszystko, nawet najodleglejsze *nullah*¹¹, polując na swoje zdobycze. McMinnowie przepawali się przez rzeki, przeczołgali przez przesmyki w górach, ześlizgiwali z osuwisk po drugiej stronie i rozbijali obozy na zimnych polach, gdzie burze gradowe i huragany targały ich namiotem. Nie było tam drwa na ognisko, jedzenia na sprzedaż czy wymianę, nie napotkali też ani jednego człowieka przez dziesiątki kilometrów. Archie wstawał każdego dnia wcześniej rano, zawsze przygotowany do polowania, bez względu na pogodę.

– Wszyscy znajomi Myrtle są teraz w Śringarze, grają w tenisa lub popijają drinki w klubie. Ale ona uparła się, by jechać tu ze mną – powiedział Archie. – Cóż miałem zrobić. Dla żony poświęciłbym wszystko, oczywiście poza sportem, ale nie mogę sprawić, że wyprawa strzelecka będzie dla niej przyjemna.

Mimo wszystko Myrtle wyglądała na zachwyconą.

– Myślisz, że mogłabym odpuścić sobie tak niepowtarzalne okazje, jak szansa na utopienie się lub zamrożenie? – żartowała. – Ile drinków trzeba wypić, by poczuć takie emocje? Nie mam nic przeciwko temu, że bardziej ode mnie kochasz polowania na jelenie. I wiem, że zrozumiesz, dlaczego musiałam pojechać z tobą.

Odwróciła się do Nerys.

– Dlaczego towarzyszyłaś mężowi w przyjeździe tutaj?

– Nie chciałam, żeby zostawił mnie samą – przyznała jej Nerys. – Wtedy nie byłoby to małżeństwo, prawda?

Nie potrafiła określić, czym naprawdę było małżeństwo, ale McMinnowie chyba odkryli tę tajemnicę.

Nerys przyglądała się Evanowi, sądząc, że marzy tylko o tym, by sprawdzić godzinę na swym staromodnym zegarku kieszonkowym i udać się do swej codziennej pracy. Dlatego zaskoczyło ją, gdy Archie powiedział, że wyjdzie na zewnątrz, by zapalić, a Evan zaoferował, że dotrzyma mu towarzystwa. Wyszli na słońce i usiedli na leżakach

11 Nullah – stroma i wąska dolina nad rzeką.

ogrodowych. Evan zapalił fajkę, na co rzadko sobie pozwalał.

Myrtle odłożyła na bok swój talerz i rozsiadła się wygodnie na krześle. Uśmiechnęła się. Nerys myślała jeszcze nad rzeczami, które trzeba zrobić w domu przed przyjęciem u komisarza. Trzeba będzie wydać służbie wyraźne polecenia, by zostawili gościom kolację na zimno, na wypadek, gdyby ci zgłodnieli wieczorem. Należy napełnić termosy. Przypomniała sobie, że nie skończyła jeszcze pracy nad swoim kardiganem.

– Ojej – westchnęła.

Myrtle pochyliła się w jej stronę i dotknęła jej dłoni.

– Czy coś się stało?

– Zapomniałam o czymś, co miałam zrobić. Doszyć coś przed przyjęciem. Będę chyba musiała włożyć coś innego.

Myrtle przyjrzała się gospodyni.

– Jest jeszcze trochę czasu. Zobaczmy, co masz do zrobienia.

Nerys nie protestowała. Myrtle siedziała na łóżku, podczas gdy Nerys pokazywała jej swój kardigan. Zgodnie orzekły, że koniecznie trzeba przyszyć do niego guziki, nie można jednak robić tego w pośpiechu.

– Mam pomysł – powiedziała Myrtle. Poszła do swojej sypialni i wróciła z broszką w ręku. Była okrągła i wysadzana perłami i brylantami. Z tyłu znajdowała się mała agrafka.

– Możesz przyczepić ją z przodu. W ten sposób przytrzymałaby brzegi i nie miałyby znaczenia, że brakuje guzików przy rękawach. Spójrz, mankiety możesz zawinąć w ten sposób. Piękna robota. Masz prawdziwy talent.

Na toaletce stało niewielkie lustro. Obie kobiety spojrzały na swoje odbicie. Ich spojrzenia spotkały się, gdy brylanciki z broszki zabłyszczały w słońcu przebijającym się przez zasłony.

– Naprawdę mogę ją pożyczyć?

– Oczywiście. Pewnie myślisz, że oszalałam, zabierając ze sobą biżuterię na taką wyprawę. Należała do mojej matki i lubię mieć ją przy sobie. Tak jak ten naszyjnik – Myrtle dotknęła pereł na swojej szyi.

– Dziękuję.

– Dobrze. Zatem problem rozwiązany. Może położysz się i odpoczniesz? Panowie rozmawiają, a ja powinnam spróbować napisać coś w dzienniku.

Dobrze się rozumiały. Myrtle dostrzegła jej zmęczenie.

– Służba... – zaczęła Nerys.

– ...doskonale da sobie radę – Myrtle odsunęła narzutę. – Proszę.

Nerys położyła się i odkryła, że jej nowa przyjaciółka pomaga jej zdjąć buty. Koszula nocna została delikatnie naciągnięta przez ramiona, a zasłony zasłonięte, by nie wpuszczały promieni słonecznych. Zamknęła oczy i usnęła.

Ogród rezydencji pełen był ważnych gości oraz podróżnych sprzedawców, którzy wkrótce mieli wrócić do swoich domów. Przyjęcie odbyło się późnym popołudniem, a gdy herbata i słodkie przekąski zniknęły, rozmowa i muzyka zmieniła się w jednostajny hałas. Mieszkańcy Leh i podróżnicy starali się jak najpełniej wykorzystać ten piękny wieczór. Komisarz, niski, wesoły mężczyzna o zaczerwienionej twarzy, przywitał gości uroczystą przemową, a teraz krążył wśród zebranych ze szklaneczką whisky z lodem. Zapadał zmrok, na niebie pojawiły się gwiazdy, a białe szczyty gór kolorem przypominały morele w ostatnich promieniach słońca. Środkowa część ogrodu została odgradzona linami. Rozpalono tam ognisko, mężczyźni dolewali nafty i wrzucali płonące pochodnie w sam środek ognia. Kolejne pochodnie przywiązano do wysokich słupów, by oświetlały ogród. Twarze przechodzących obok ludzi lśniły w świetle ich płomieni. Kłęby czarnego dymu spiralami leciały ku niebu.

Nadmiar wrażeń związany z pojawieniem się niespodziewanych gości spowodował, że poprzedniej nocy Nerys nie spała dobrze. Toteż cały dzień bolała ją głowa i z konieczności połknęła dwie aspiryny. To wszystko sprawiło, że przygotowania do wieczornego przyjęcia

odebrały jej resztki sił. Kiedy spojrzała w lustro, zaniepokoiła się swoją bladością.

Na przyjęcie udali się piechotą, razem z McMinami. Myrtle bacznie jej się przypatrywała.

– Jesteś pewna, że chcesz tam pójść? – zapytała zaniepokojona.

Nerys pokiwała głową. Poczowała się lepiej, gdy siedziała w cieniu drzew, uśmiechając się do znajomych i obserwując nieznanymi, paradujących w kolorowych strojach z ich krajów. Musiała się jednak odsunąć od ciepła ogniska, dym przepełniony zapachem nafty przyprawiał ją o mdłości. Mężczyźni z Yarkandu tańczyli kozaka na tle płomieni, robiąc gwiazdy przy akompaniamencie bębnów. Po ich występie rozpoczął się pochód mnichów w tradycyjnych kostiumach karnawałowych. Dwóch mężczyzn w groteskowych maskach przeszło tanecznym krokiem, za nimi pojawiły się kolejne osoby w maskach przypominających głowy sępów, rogatych jeleni, pięknych pawi. Był też papierowy smok o trzydziestu ludzkich nogach, z tułowiem oświetlonym od wewnątrz, dzięki czemu wyglądał jak lawa płynąca po falistej dolinie. Dziwne maski, wielkie oczy, zęby i długie języki wydawały się nierealne. Ciemne korony drzew co chwilę zasłaniały granatowe niebo, by parę sekund później znów je odsłonić. Muzyka dudniła jej w uszach. „Za chwilę zemdleję” – Nerys rozejrzała się w panice, ale nie widziała w pobliżu nikogo, kogo by знаła. Ziemia przechyliła się, ogromna głowa ptaka znalazła się koło jej twarzy, a ona straciła resztki przytomności.

Rozdział Czwarty

Kiedy Nerys przebudziła się, wokół siebie ujrzała krąg obserwujących ją twarze mieszkańców Ladakhu. Głowę miała opartą na czyichś kolanach.

– Powiedz im, by się odsunęli, ona potrzebuje powietrza.

Poczuła ulgę, słysząc głos Myrtle i widząc, jak Archie McMinn prosi gapiów o odejście. Ktoś przyłożył jej do nosa buteleczkę z solami trzeźwiącymi, zaczęła kasłać. Gdy próbowała usiąść, dostrzegła twarz Evana. Klęczał koło niej, zmartwienie wypełniało całego jego ciało i malowało się na twarzy.

– Przepraszam – szepnął.

– Za co? – zapytała Myrtle. To na jej kolanach spoczywała głowa Nerys i to jej ręka leżała na jej czole.

– Archie, zabierz stąd tych ludzi, dobrze? – poprosiła.

Niedaleko wybuchały fajerwerki, ciemnoczerwone iskry spadały z nieba. Twarz komisarza poczerwieniała jeszcze bardziej, tym razem z zażenowania.

– Panie Watkins, zaraz ktoś zanieś pana żonę na noszach do domu. Nerys usiadła z wysiłkiem.

– Nic mi nie jest. Proszę pomóc mi wstać.

Kilka par rąk przytrzymało ją, gdy się podnosiła. Część lekko podciągała ją do góry, reszta asekurowała. Nerys przekreśliła głowę, by zobaczyć twarz Myrtle. Spojrzała jej w oczy.

– Pomóż mi – powiedziała z błaganiem w głosie.

Myrtle zrozumiała, czego jej potrzeba. Pomogła jej się podnieść i podparła ją ramieniem.

– Możesz chodzić? Dobrze. Chodźmy do środka.

– Nerys... – zaczął Evan.

Ale nie miała siły, by go uspokoić, nie teraz. Nie chciała też naprawiać niekomfortowej sytuacji, w której się znalazł, gdy jego żona zemdląca w miejscu publicznym.

– Pani McMinn mi pomoże – powiedziała, siląc się na uśmiech. – Zemdląłam. To nic takiego.

– Myrtle się nią zaopiekuje – przyznał Archie; jego ton wskazywał na to, że nie powinni mieszać się w kobiece sprawy.

Nerys wciąż opierała się na ramieniu Myrtle. Szły powoli, komisarz sunął przed nimi niczym lodołamacz niszczący kry złożone z ludzi. Kiedy dotarły do werandy, wyjaśnił, że wszystkie pokoje gościnne w rezydencji są zajęte i zapytał, czy pani Watkins nie miałyby nic przeciwko, by przejść do pokoju gospodarza. Dodał, że wysłał już kogoś po doktora, który wyjątkowo dziś nie pojawił się na przyjęciu.

Myrtle położyła mu dłoń na ramieniu.

– Proszę wrócić do gości, ja się wszystkim zajmę.

Spojrzał na nią z ulgą, wdzięczny za propozycję. Chwilę później służący wskazał im sypialnię, w której okiennice zamknięto, by wyciszyć hałas płynący z ogrodu. Nerys zauważyła rysunki przedstawiające zawodników grających w polo, mosiężne okucie łóżka i parę idealnie wypolerowanych wysokich butów, z których wystawały prawidła. Na szczęście w pokoju była też sofa, a na niej miękki koc w kratę. Nerys stwierdziła, że nie czułaby się dobrze, leżąc w łóżku komisarza.

Myrtle podniosła koc.

– Połóż się. Napijesz się wody? Albo słodkiej herbaty?

Nerys przeciągnęła językiem po suchych ustach.

– Jesteś taka miła. Dziękuję.

Myrtle usiadła obok, ujęła jej dłonie w swoje i próbowała rozgrzać je

masażem.

– Ktoś musi się tobą opiekować. Czy Leh to odpowiednie miejsce dla kobiety w twoim stanie, nawet jeśli jest żoną misjonarza?

Nerys nie mogła się powstrzymać. Napięła ramiona i zacisnęła szczękę, ale było już za późno. Pierwszy szloch wydobył się z klatki piersiowej i zapoczątkował lawinę kolejnych. Łzy płynęły strumieniami po twarzy. Łkając głęboko, wyjąkała:

– Nie... nie jestem... w ciąży. Byłam, ale poroniłam – powiedziała niewyraźnie. Płacz przynosił jej ulgę. To był jej pierwszy wybuch rozpaczyny od chwili poronienia. Myrtle przytuliła ją tak, jak Nerys już od dawna pragnęła być przytulona.

– O Boże, jestem taka nietaktowna i głupia. Wybacz mi, proszę. Na pewno jeszcze dobrze nie wyzdrowiałaś. Biedulko. Nie krępuj się, płacz, ile tylko chcesz.

Obejmowała ją i gładziła po włosach, szepcząc kojące słowa, a Nerys płakała jak małe dziecko. W końcu szloch ucichł. Nerys podniosła głowę, jej twarz była czerwona od płaczu. Kohnierzyk i karczek bluzki Myrtle były przemoczone, ale kobieta sięgnęła do kieszeni flanelowych spodni i wyjęła z niej dużą płócienną chustkę do nosa. Osuszyła nią policzki Nerys, a następnie dała jej ją.

– To jedna z chustek Archiego. Małe koronkowe chusteczki chyba się tu nie sprawdzają. Wyprana w obozowisku, zapach *eau denafta*. No dalej.

Nerys wydmuchała nos i pociągnęła nim. Poczowała się o wiele lepiej.

– Bardzo słabo się dziś czuję. Nie takie wrażenie chciałam wyrzucić na moich gościach.

– Słabo? Mieszkasz tutaj, odcięta od świata przez całą zimę, jesteś jedyną Brytyjką w promieniu kilkuset kilometrów i sama prowadzisz szkołę misyjną. Faktycznie strasznie słabo. – Myrtle uśmiechała się, osuszając ostatnie łzy na policzku Narys.

– Weźmy mnie, dla porównania. Przez pół roku leniłam się na jeziorze w Śrinagar, potem pojechałam na wyprawę z pięcioma służącymi, jedenastoma kucami i oddanym mi mężem. To ja czuję się

słabo przy tobie, moja droga. Słaba i rozpieszczona. – Nieświadomie sięgnęła palcami do naszyjnika z pereł.

Nerys poczuła ucisk w żołądku. Zdała sobie sprawę, że nie dość, że była cała w ziemi i źdźbłach trawy, to na dodatek jej kardigan był rozpięty. Jej dłonie powędrowały do miejsca, gdzie wpięła broszkę.

– Zniknęła! – krzyknęła.

Myrtle sięgnęła do drugiej kieszeni spodni. W dłoni trzymała okrągłą broszkę.

– Rozpięła się. Masz szczęście, że nie wbiła ci się w serce, gdy zemdlałaś i osunęłaś się na ziemię.

Popatrzyły na siebie i zaczęły się śmiać. Myrtle zaczesła swoje krótkie włosy tak, by przypominały grzebień koguta, a Nerys ze śmiechu kiwała się w przód i w tył na miękkiej sofie. Wciąż się śmiały, gdy komisarz zapukał do drzwi.

– Proszę pani, przyszedł doktor.

Doktor Tsering wszedł do środka zaskoczony zachowaniem kobiet. Był jedynym lekarzem w Leh i tak jak komisarz spędzał w mieście tylko kilka tygodni w roku. Nerys wiedziała, że miał mnóstwo pracy przy chorych, którzy domagali się lekarstw na wszelkie swoje dolegliwości, by wyleczyć je przed zimą. Tak jakby trąd czy gruźlicę można było wyleczyć za pomocą brązowej buteleczki z pigułkami. Żałowała, że ściągnięto go do rezydencji, by zajął się jej trywialnym problemem. Zebrała się w sobie.

– Czuję się o wiele lepiej – oznajmiła.

– Śmiech to najlepsze lekarstwo, proszę pani – odpowiedział. Otworzył torbę i wyjął z niej stetoskop. – Proszę się położyć.

Cztery dni później doktor Tsering odwiedził Nerys, tym razem w domu misyjnym i oznajmił, że jej stan zdrowia pozwala na podróż.

Ku jego zaskoczeniu, odpowiedziała:

– Ale nie zamierzam nigdzie jechać!

Obecność Myrtle była dla niej wybawieniem. Uwielbiały spędzać razem czas, Archie nazywał to „chwilami przy igielniku”, choć jedyne szycie, jakie faktycznie się wtedy odbywało, polegało na tworzeniu

kostiumów na przedstawienie dla dzieci. Zwykle bawiły się z najmniejszymi dziećmi, chodziły na bazar i wymieniały opowieściami o swoim życiu. Nerys opowiadała o Walii i zdziwiła się, gdy opisując niskie szarawe granie i doliny pełne mgły, poczuła tak ogromną tęsknotę.

Myrtle wyjaśniła, że jest córką urzędnika indyjskiej służby cywilnej, a jej dzieciństwo było podzielone między mieszkaniem z rodziną w Anglii i corocznymi wizytami w Indiach.

– Rzadko widywałam się z mamą i tatą – powiedziała lakonicznie.

Archie był inżynierem na kolei i za kilka dni jego roczny urlop miał dobiec końca. Myrtle i on planowali wrócić do Śrinagaru. Nerys wiedziała już, jak bardzo będzie tęsknić za swoją nową przyjaciółką.

Archie codziennie był zajęty, płacił służącym i opiekunom kuców, sprzedawał głowy złapanych przez siebie zwierząt, zatrudniając kolejnych ludzi do powrotnej podróży do Kaszmiru oraz składając wizyty komisarzowi i innym ważnym osobom w Leh. Jednak pewnego ranka wrócił z rezydencji z bardzo ponurą miną, wszedł z werandy do pokoju, w którym stało stare radio zostawione przez poprzednika Evana.

– Włączmy wiadomości BBC – powiedział cicho.

– Obawiam się, że to radio nigdy nie działało – odrzekł Evan. – Przynajmniej odkąd tu jesteśmy.

Archie kiwnął głową i za pomocą śrubokrętu usunął tylną pokrywkę, by sprawdzić, co kryje się wewnątrz. Po godzinie stwierdził, że wszystko działa poza baterią, która się rozładowała. Zarówno w rezydencji, jak i u Gompertów było radio, więc najważniejsze wiadomości ze świata docierały do nich dość szybko, ale wszystkie pozostałe informacje były zawarte w gazetach i listach, na które Watkinsowie musieli bardzo długo czekać. Evan przyznał, że dobrze byłoby naprawić radio w misji. Tego samego dnia czterech kulisów z wózkiem zaprzężonym w woła przewoziło akumulator kwasowo-ołowiowy w stronę rzeki Indus, gdzie został podłączony do generatora zasilanego wodą. Następnego dnia wrócił na miejsce, a w podróży

powrotnej towarzyszyły mu tańczące dzieci.

Przypatrywały się też Archiemu, gdy zabrał się do pracy, trzymając w rękach szczypce i śrubokręt. Po kilku minutach z przedniego panelu rozległ się jednostajny głośny szum. Przestraszeni słuchacze szybko odsunęli się od źródła hałasu. McMinn przekręcił gałki i szum przekształcił się w niezidentyfikowane głosy, potem w żwawy rytm angielskiej piosenki. Dzieciaki szeroko otworzyły oczy z zachwytu.

– Proszę bardzo – powiedział mężczyzna, zacierając z zadowolenia rękę.

Tego wieczora, gdy Diskit sprzątnęła po kolacji, przysunęli krzesła do zakurzonego radia i słuchali wiadomości.

Niemieckie wojska dotarły do Leningradu i miasto wkrótce się podda. Europejska wojna powoli zbliżała się do Indii. Nawet w Leh nie było już bezpieczne.

Evan wsunął zakładkę między stronicę Biblii, zanim zamknął książkę.

– Nerys, uważam że powinnaś pojechać z panem i panią McMinn do Śrinagaru. Pan McMinn był tak miły, że zaoferował, że wezmą cię ze sobą.

Nerys upuściła robótki ręczne. Spojrzała na Myrtle i w jej oczach również ujrzała zaskoczenie. To był pomysł Evana, uzgodniony z McMinnem. Doktor Tsering także okazał się w to wplątany. By nie wybuchnąć gniewem, odliczyła pięć oczek i spytała opanowanym już nieco głosem:

– Dlaczego miałabym to robić?

– Po prostu, przydałyby ci się krótkie wakacje. Wzmocniłyby cię przed zimą.

– A co z tobą?

Odpowiedział po chwili przerwy:

– Już o tym rozmawialiśmy, kochanie. Wyjeżdżam z Leh, by odwiedzić kilka wiosek i bardziej oddalonych osad. Muszę nieść Boga ludziom, a nie siedzieć tu i czekać, aż oni sami do Niego przyjdą.

Kącikiem oka Nerys dostrzegła, jak Archie McMinn rozprostowuje

swoje długie nogi. Wróciła do swoich robótek.

– Moim zdaniem – powiedziała – nie powinniśmy zanudzać naszych gości tą rozmową. Zastanowimy się nad tym później.

– Wspaniale byłoby, gdybyś z nami pojechała, Nerys. Jeśli moja opinia jakoś ci pomoże – delikatnie zasugerowała Myrtle.

Jednak do rozstrzygającej rozmowy między małżonkami nie doszło. Jakiś czas później, gdy Evan wpuścił powiew zimnego powietrza do ich łóżka i zdmuchnął świeczkę, powiedział tylko:

– Dobranoc, moja droga.

Odwróciła głowę w jego kierunku i patrzyła z wyczekiwaniem na zarys jego ciała.

– Tylko tyle?

Odsunął się od niej, nie więcej niż na centymetr, ale poczuła to. Ten maleńki ruch wszystko jej wyjaśnił. Evan nie widział w niej już swojej towarzyszki, traktował ją jako kolejne źródło zmartwień i problemów. Bez niej byłoby mu łatwiej i bez przeszkód mógłby kontynuować misję poza Leh. Nie chciał jednak zostawić jej zupełnie samej. Dlatego dobrym pomysłem wydało mu się odesłanie jej do Śrinagaru z McMinami.

Nie zgadzała się z jego tokiem myślenia, z sugestią, że powinna wypocząć po stracie dziecka.

– Tyle? – powtórzyła, wyczekując na odpowiedź męża. – Nie chcę jechać do Śrinagaru. Dziękuję, że o tym pomyślałeś, ale nie chcę nigdzie wyjeżdżać, jeśli miałoby oznaczać to wyjazd bez ciebie.

– Rozłąka nierozzerwalnie wiąże się z moją pracą. Wiesz o tym, Nerys.

„To jak rozmowa ze ścianą” – pomyślała. Nie chciał widzieć niczego innego poza swoją wizją świata i uparcie twierdził, że inna wersja świata nie istnieje. Spróbowała jeszcze podejść do tego inaczej:

– A co z moimi uczniami?

– Na pewno ucieszą się na wieść o wakacjach – westchnął, lekko już podirytowany. – Nie rozumiem, dlaczego tak się temu sprzeciwiasz. Myślałem, że cię to uszczęśliwi. Lubisz przecież panią McMinn.

– Owszem, nawet bardzo.

– Więc pojedź z nią, odpocznij, wróc do zdrowia. Ja udam się w podróż stąd do Kargilu, sprawdzę, co można tam zrobić w przyszłości. Potem przyjadę do Śrinagaru i razem wrócimy do Leh.

– I zrobisz to wszystko, nim spadnie śnieg?

– Wrzesień dopiero się zaczął, ale jeśli pogoda będzie przeciwko nam, Pan pokieruje naszym życiem.

– Naprawdę chcesz, żebym pojechała?

Materac zatrzeszczał delikatnie, gdy Evan się obrócił.

– Myślę, że to dobry pomysł.

– Dobrze – powiedziała Nerys zimnym tonem, którego wcześniej nie słyszała w swoim głosie.

Trzy dni później jej torba podróżna stała na dziedzińcu domu misyjnego obok bagaży McMinnów, czekając na załadowanie na jednego z kuców. Nerys rozdawała jabłka i suszone morele dzieciom z Leh, które stały przez cały czas za ogrodzeniem. Wśród nich była trójka zabrudzonych sadzą dzieci Diskit, a sama Diskit stała na schodach, zalewając się łzami. Nie miała na głowie chustki. Nerys postawiła kosz z owocami na ziemi i podeszła do niej.

– Nie płacz. Wrócę za dwa miesiące. *Sahib* przyprowadzi mnie do domu.

Diskit tylko jeszcze głośniejsz zaszlochała, jakby nie wierzyła w to, co słyszy. Nerys objęła ją czule ramieniem, zbliżyła usta do jej uszu i powiedziała:

– Tylko nie zapominaj o chuście. Zawsze kiedy pracujesz. Opiekuj się moim mężem, kiedy mnie nie będzie.

Diskit wytarła nos rękawem.

– Dobrze, proszę pani.

– Kuce są już gotowe – oznajmił Archie, a zza bramy dobiegło uderzenie kopyt o suchą ziemię. Myrtle włożyła swój kask, a muślinowy szal owinęła wokół twarzy. Nerys zdecydowała się na duży słomkowy kapelusz.

Evan stał z boku. Wyglądał na nieszczęśliwego, gdy w końcu przyszła chwila rozstania. Nerys podeszła do niego i stanęła na palcach,

by pocałować go na pożegnanie. Gdy ich suche usta zetknęły się, niezdarnie przekrzywił jej kapelusz. Szybko się odsunął i poklepał ją po ramieniu.

– Nie wyjeżdżasz na długo. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Wymamrotała ciche „do widzenia”, świadoma tego, że Diskit, służący i uczniowie obserwują całą scenę, podczas gdy McMinnowie taktownie zajęli się czymś przy swoich bagażach. Co odważniejsze dzieci podbiegały do niej, a ona pochyliła się, by uściskać i wycałować każde z nich, okazując im o wiele więcej czułości niż swojemu mężowi.

Archie i Myrtle siedzieli już na kucach, cierpliwie czekając na Nerys. Tragarz pomógł jej wspiąć się i usadowić w siodle, następnie chwycił cugle i zwrócił kuca przodem do kierunku, w którym mieli jechać. Odwróciła się jeszcze, by pomachać mężowi na do widzenia. Wszyscy ruszyli wzdłuż drogi, minęli kaplicę i wjechali na ulicę prowadzącą do bazaru, pozostawiając zarys samotnej czarnej sylwetki Evana na tle kamiennego muru okalającego budynku misji.

Dzień był bezchmurny. Po przejechaniu pierwszych kilku kilometrów wzdłuż doliny Indus Nerys poczuła uderzenie gorąca i pożałowała, że nie wzięła bawełnianych rękawiczek do ochrony dłoni przed prażącym słońcem. Jakiś czas później, na wysokiej grani dostrzegła flagi modlitewne i mosiężne iglice wznoszące się ponad wysokimi murami. Był to pierwszy z *gompa*, na które mieli natrafić po drodze i jednocześnie najbardziej oddalone od Leh miejsce, do którego udała się w ciągu ostatniego roku.

Myrtle wcześniej jechała z przodu, ale teraz ściągnęła lejce i czekała na Nerys. Archie z resztą kuców był już daleko przed nimi.

– Pojedźmy razem. Chyba że potrzebujesz samotności – powiedziała Myrtle. Spomiędzy zwojów szala widać było tylko jej ciemne oczy.

Nerys spojrzała na szczyty gór. Zaskakujący przyptyw siły, który poczuła podczas długiej jazdy z Manali, zdawał się powracać.

– Jedźmy razem – odpowiedziała.

Myrtle przechyliła się, by poklepać ją po kolanie.

– Dobrze.

Ruszyły na zachód.

Nerys wkrótce odkryła, że podróż z McMinnami całkowicie różniła się od jazdy z Evanem. Noce spędzali w schroniskach ustawionych wzdłuż drogi, przejmując te miejsca niezależnie od tego, kto przybył tam przed nimi. Jako brytyjski *sahib* i córka brytyjskiego władcy w Indiach, Archie i Myrtle brali to, co uważali za należne sobie. Nie odczuwali wyrzutów sumienia, wyrzucając podróżników z Ladakhu lub Kaszmiru z ich schronisk. Pewnego wieczoru wyprosilili nawet brodatego muzułmanina śpiącego tam z kilkoma żonami oraz piątką małych dzieci. Evan i Nerys nigdy nie chcieli narzucać się i sprawiać przykrości innym ludziom. Za każdym razem gdy docierali do domu gościnnego, spanie w lekko poszarpanym namiocie przy drodze wydawało im się właściwym wyjściem.

Przydrożne schroniska składały się zwykle z dwóch pokoi i kuchni. Były brudne i brakowało w nich udogodnień, ale *sahib* McMinn i jego kompani zawsze witani byli przez właścicieli z wyjątkową uprzejmością i gościnnością. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego tak się działo. Choć Archie domagał się pełnej listy rzeczy, za które miał płacić i nigdy nie płacił więcej, niż musiał, chętnie i szybko uiszczal należności.

Ich służący przychodzili do schroniska jako pierwsi. Przed przybyciem McMinnów zdejmowali torby z kuców i ustawiali je w pokoju. Rozstawiano łóżka polowe, ponieważ Myrtle nie godziła się na spanie w stojących tam *charpa*¹², twierdząc, że kryje się w nich robactwo. Archie zawsze udawał, że przeraża go zachowanie żony, ale nie mógł ukryć rozbawienia, z czułością patrząc na Myrtle. Codziennie rozpakowywano i ponownie pakowano wiele ciepłych koców i lnianych prześcieradeł. Służący McMinnów kupowali jedzenie w przydrożnych sklepikach i bazarach, aby uzupełniać zapasy niesione przez kuce. Kucharze gotowali obiady serwowane na prawdziwych talerzach codziennie przemywanych nadmanganianem potasu. Czasem

12 Charpai – niskie łóżko, które zamiast materaca ma plecionkę.

przytrafiała im się możliwość kąpieli. Stawiano składaną konstrukcję z płótna i częściowo napełniano ją wodą. Nerys mogła w niej usiąść i polewać się ciepłą wodą z dzbanów stojących obok.

Pod koniec każdego dnia podróży cała trójka siadywała w składanych fotelach pod pokrytym pajęczyną zadaszeniem domku, rozmawiali i śmiali się. Myrtle przekazywała zasłyszane plotki i żartowała na temat ludzi spotykanych po drodze.

– Myślicie, że mają jakiś harmonogram? – zapytała, mówiąc o muzułmaninie i jego żonach.

– Według mnie zawsze wybiera najładniejszą – odpowiedział Archie. – Przynajmniej ja bym tak zrobił.

– A skąd on wie, jak wyglądają? – zastanawiała się Myrtle.

– Kochanie, one nie śpią w chustach.

Myrtle głośno się zaśmiała. Paliła cienkie czarne papierosy z bogato zdobionymi złotymi ustnikami. Kiedy zapaliła pierwszego, Nerys spojrzała na nią zaskoczona, a Myrtle wypuściła długą smużkę dymu.

– Staralam się zachowywać jak najlepiej, gdy się poznałyśmy. Mieszkaliśmy w domu misyjnym. Ostrzegam, że możesz przestać mnie lubić, kiedy poznasz mnie naprawdę.

– Nie wydaje mi się – zaśmiała się Nerys.

Późną nocą tragarz przyniósł kubki z gorącym kakao. Archie dołączył kropelkę brandy do kubka swojego i Myrtle, a następnie spojrzał pytająco na Nerys.

– Poproszę – powiedziała.

Dość szybko polubiła ich zwyczaje. Czasem w schroniskach był tylko jeden pokój, ale przyzwyczała się też do dzielenia go z Myrtle i jej mężem. Myrtle wkładała do snu perłowoszarą jedwabną piżamę z paryską metką.

– Idealna na podróż. Wszy kulisów wchodzi do materaca podczas transportu, ale ześlizgują się z jedwabiu.

Miała rację. Wszy były stałym elementem podróży Watkinsów do Leh, przyczepiały się do flanelowych koszul nocnych Nerys.

Archie rytmicznie chrapał, a Myrtle akompaniowała mu swoim

głośnym oddechem. Nerys odkryła, że w drodze do Śrinagaru spała lepiej niż ostatnio w domu misyjnym. Każdego ranka, gdy robiło się jasno, tragarz przynosił im herbatę do łóżka. Potem Archie wychodził na zewnątrz w szlafroku, by ogolić się w świetle dziennym, podczas gdy kobiety ubierały się. Następnie wszyscy jedli gorącą owsiankę, jajecznicę i pyszny świeżo pieczony chleb.

Przez cały dzień maszerowali lub jechali, mijając małe wioski z wąskimi poletkami pełnymi łanów falującego zboża. Brudne kury dziobały ziemię, a pojedyncze owce w pośpiechu przecinały drogę kucom. Po obu stronach drogi rosły rzędy różanych krzewów z owocami dzikiej róży przypominającymi kryształami naszyte na delikatnym aksamicie. Kiedy minęli wioski, ich oczom ukazały się skaliste i jałowe tereny. Nad nimi znów wisały zbocza gór w odcieniach brązu i fioletu, a na najwyższych szczytach czasem widzieli ogromne białe mury *gompa*.

W Lamayur, kilkanaście kilometrów przed przełęczą La (Fotu La), najwyższym punktem, przez jaki mieli przejść podczas wędrówki, zatrzymali się, by spędzić noc w klasztorze. Jego mury zbudowano z bielonych kamieni i drewnianych płyt pomalowanych na czerwono, okna były niewielkie. Całości dopełniało dwanaście stup z czarno-złotymi wieżyczkami, które połyskiwały jak wata cukrowa. Kuce wspinały się po setkach nieregularnych stopni, by dotrzeć do budynków na obrzeżach świątyni. Flagi modlitewne tańczyły na tle błękitnego nieba nad ich głowami, przypominając Nerys o *gompa* w Spitoku, obok którego przechodzili, gdy tylko wyjechali z Leh. Poczuli żal do siebie, że tak bardzo pochłonięta była tym, co działo się po drodze, że bardzo rzadko myślała o Ewanie. Odległość między nimi sprawiła, że w jej głowie pozostało wspomnienie wiecznie niezadowolonego męża, w przeciwieństwie do ludzi, z którymi spędziła kilka ostatnich dni.

Zatrzymali się w schronisku w Lamayur, tym razem o wiele większym niż jego przydrożne odpowiedniki, ze względu na ilość osób odwiedzających klasztor. Nerys wskazano drogę do jej pokoju,

maleńkiego pomieszczenia z kamiennymi ścianami i pojedynczym wąskim oknem. Widać było z niego ogromną przepaść i czarne wronczyki szybujące na niebie.

Tego wieczora podczas kolacji panowała wyjątkowa cisza, bliskość klasztoru i mnisi w czerwonych habitach uciszyli nawet gadatliwą Myrtle.

Po kolacji, zamiast wrócić do swojej celi, Nerys wyszła na zewnątrz i pod wpływem impulsu weszła na kolejne schody wzdłuż muru klasztoru. Podniosła głowę, by spojrzeć na wielki gmach górujący przed nią, czarną sylwetkę klasztoru na tle nieba usianego gwiazdami. Białe żółte światło w kilku oknach przypominało oczy wyglądające z nadszala. Zatrzęsa się na zimnym wietrze. Miała wrażenie, że słyszy głosy, śpiewaną modlitwę. Archie powiedział cicho przy kolacji, że wioska Lamayur nie była przyjemnym miejscem do mieszkania, ponieważ dary i jedzenie, które mieszkańcy oddawali mnichom na rozkaz lamy, sprawiały, że ludzie mieli za mało, żeby spokojnie przeżyć kolejne miesiące. Nocą całe miasteczko faktycznie wyglądało na opuszczone. Nerys szła dalej, by znaleźć miejsce, w którym mogłaby ukryć się przed wiatrem. Spomiędzy zniszczonych domów w dole rozległo się wycie psa. Próbowwała sobie wyobrazić, co w takim miejscu mógłby osiągnąć Evan, mówiąc o obietnicach i zagrożeniach związanych z inną religią ludziom, którym lepiej by się wiodło, gdyby cały ryż i baraninę mogli zatrzymać dla siebie i swoich rodzin.

Pomyślała o Evanie, wciąż go kochała, ale zastanawiała się teraz, czy to uczucie wystarczy, by mogła być z nim kolejne lata. „Mogę to zrobić” – pomyślała – „i wszystko to, co będzie ode mnie chciał, o ile będziemy mieli dzieci”.

Była bardzo zziębnięta. Ciemny budynek klasztoru majaczył w górze, aż odnosiło się wrażenie, że za chwilę przechyli się i ją przygniecie. Ciaśniej owinęła płaszcz wokół ramion i zeszła po schodach. Tragarz czekał przy wejściu do schroniska.

– Chodźmy, proszę pani – powiedział, a ona poczuła się winna, że musiał stać w przeciagu, czekając na nią, podczas gdy mógłby leżeć na

swoim kocu i popalać fajkę.

– Przepraszam, Hari.

Podniósł lampę naftową i odprowadził Nerys na górę po drewnianych schodach, do jej maleńkiego pokoiku. Zapalił świeczkę stojącą na małej półce i odsunął się.

– Przyniosę kakao, proszę pani.

– Nie będę dziś pić kakao, dziękuję. Pójdę spać. – Chciała zamknąć oczy i obudzić się dopiero rano. Lamayur było nieprzyjemnym miejscem.

Zdmuchnęła świeczkę i leżała, wsłuchując się w ciemność. Słyszała drapanie, prawdopodobnie szczury dokazywały piętro wyżej. Wiatr przedzierał się przez szpary między ścianą a maleńką ramą okienną. Potem usłyszała inny dźwięk. Był to kobiecy głos, niski jęk lub westchnienie, a po nim kilka coraz szybszych sapnięć. Gdy to ucichło, usłyszała śmiech i wzajemne uciszanie się.

Nerys przekreśliła się na łóżku i zakryła uszy poduszką. Nie chciała słuchać, jak Myrtle i Archie kochają się niedaleko niej. Była to kolejna rzecz tej nocy, której nie chciała słyszeć lub o której wolała nie myśleć. Jej własne życie wydawało się takie nieciekawe, samotne i pozbawione celu.

Następnego dnia ruszyli w dalszą podróż, przez wysoką przełęcz i miasto Kargil. Wędrowcy odzyskali humor, pozostawiając za sobą Lamayur. Minęło kilka kolejnych długich, ale spokojnych dni. W końcu dotarli do miejsca, gdzie znaleźli się między ostrymi stokami wysokich Himalajów a Kotliną Kaszmirską. Patrząc na góry przed nimi, wejście ich karawany na szczyt przełęczą Zoji La wydawało się niemożliwe, ale gdy podeszli nieco bliżej, zauważyli wąską, krętą ścieżkę prowadzącą pod górę. Wschodzące słońce odbijało się w jakimś błyszczącym przedmiocie przy jednej z toreb zawieszonych na kucu idącym przed nimi. Myrtle próbowała uspokoić Nerys, gdy ta mocno zaciskała palce na lejcach, starając się prowadzić swojego kuca po ścieżce.

– To łatwiejsze niż się wydaje. Pamiętaj, że wspinając się już na ponad trzy kilometry na Fotu La i w drodze do Leh.

– Nie martwię się, bo wiem, że damy radę. Zastanawiam się tylko, jaki widok rozciąga się ze szczytu.

Oczy Myrtle zabłyszczały spomiędzy zwojów szala.

– Nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Będzie tak, jakbyś patrzyła na raj.

Tej myśli Nerys trzymała się, wspinając się powoli. Kurz dostawał się do nosa i gardła, a woda w butelce szybko się kończyła. Słońce weszło wyżej, silnie grzejąc skórę na twarzy i ramionach. Jej kucyk coraz bardziej zwalniał i czuła, jak trzęsie się przy każdym smagnięciu batem. Zsunęła się z siodła i poczuła, jak kamienie wbijają jej się w podeszwy butów, a słońce praży coraz mocniej. Dźwięk dzwonek na uprzężach ustanawiał pewien rytm wspinaczki, przerywany jedynie gwizdami świstaków ukrywających się pośród skał. Czarne orłosepy przelatywały po niebie, leniwie zakreślając koła nad podróżnikami.

Przesmyk pełen był dość dużych wychodni. Nerys pomyślała ponuro, że będą się wspinać jeszcze przez długi czas. Archie był daleko z przodu, a Myrtle dostosowała swoje tempo do tempa Nerys. Od czasu do czasu mówiły do siebie coś na zachętę, ale większość energii pochłaniało robienie kolejnych kroków. Wspinając się coraz wyżej, Nerys zaczęła liczyć, ile jeszcze musieli ich pokonać.

– To już koniec? – pytała, zwracając się do Myrtle, w obawie, że szczyt, który widziała, okaże się tylko kolejnym występem skalnym.

Za każdym razem gdy patrzyła za siebie, brązowa pustynia Ladakhu coraz bardziej się oddalała. Wiedziała, że wkrótce przekroczą granicę innego kraju.

– Prawie – westchnęła Myrtle. – Czemu Archie tak szybko idzie?

Dotarli na wielkie pole, przed nimi znajdowało się kilka stup. Archie i wędrowcy jadący przodem zatrzymali się, by poczekać na resztę. W dole Nerys zauważyła ciało kuca, który musiał oderwać się w pewnej chwili od karawany. To był spokojny dzień, ale nagły powiew wiatru sprawił, że Nerys ciałniej zawiązała troczki słomkowego kapelusza.

Przeszli przez przełęcz, wdzięczni za niemal poziomy fragment podłoża, i doszli do stup. Budowle z nieociosanego kamienia

obwieszono setkami flag, wypłowiałymi lub wciąż w żywych kolorach, poprzewieszane poszarpanymi, białymi wstęgami.

Myrtle i Archie stali, trzymając się za ręce, w ciszy patrząc na zachód. Nerys podeszła do nich i gwałtownie się zatrzymała. U jej stóp rozwinięto najpiękniejszy z dywanów świata, Kotlinę Kaszmirską.

Ogromne połacie ziemi rozciągały się przed nimi, niższe grzbiety górskie pokryte były rzędami ciemnych jodeł, wyższe błyszcząły od srebrnej kory brzoź. W zacienionych wąwozach widać było śnieg, a srebrzyste nici spływały z wodospadów po fioletowych skałach. Rozedrgane gorące powietrze rozmazywało widok, ale Nerys była w stanie rozróżnić odległe pastwiska, pola ryżowe i meandry rzeki. Po tak długiej wędrówce przez szarobure pola ta mieszanina tysiąca odcieni błękitu, srebra i lawendy, przetykanej soczystą zielenią i złotem, wydawała się zbyt piękna, by mogła być prawdziwa. Patrzyła na krajobraz przez długi czas. Tak długo, aż poczuła zapach żyznej gleby i słodkiej wody płynącej czystym strumykiem w jej stronę.

Myrtle nie przesadzała. Było to najpiękniejsze miejsce, jakie Nerys widziała w swoim życiu.

Rozdział Piąty

Aby dostać się z Leh do Śrinagaru, Mair mogła pojechać autobusem, znaleźć grupę ludzi jadących w tamtą stronę lub wynająć samochód i kierowcę na dwudniową podróż. Autobusy jeździły codziennie, ale zatrzymywały się na krótko w Kargilu i ruszały dalej o pierwszej nad ranem. Żołnierze na posterunkach po obu stronach Zoji La zamykali drogę o piątej rano, aby ułatwić przejazd konwojom wojskowym na ostrych zakrętach. W związku z tym zwykli mieszkańcy musieli przejechać tamtędy przed piątą.

W kawiarenkach internetowych widziała ogłoszenia dotyczące wolnych miejsc w ciężarówkach i samochodach, ale kiedy poszła do centrali telefonicznej i zadzwoniła pod jeden z podanych numerów, okazało się, że rozmawia (była tego prawie pewna) z jednym z chłopaków z Izraela, których poznała podczas wyprawy do Changthangu. Toteż wymyśliła naprędce jakąś wymówkę i pospiesznie odłożyła słuchawkę. W takiej sytuacji najlepszym wydał jej się pomysł wynajęcia samochodu z kierowcą. Udała się do ostatniego biura podróży, które było otwarte po sezonie, i zapytała o cenę. Będzie musiała jakoś przetrwać trudy podróży. Spakowała torbę, by być gotową do wyjazdu z Leh następnego ranka i udała się na kolację do najlepszej, według rankingu opublikowanego w „Lonely Planet Guide”, restauracji w mieście.

– Cześć! – Z ciemności wyłonił się znajomy głos, gdy podążała w

stronę bazaru. – Mieliśmy nadzieję, że jeszcze cię tu zastaniemy.

Głos należał do Karen Becker, tym razem ubraną w puchową kurtkę i wełnianą czapkę.

– Jak się udała wędrówka? – zapytała bardzo rozradowana jej widokiem Mair.

Karen odpowiedziała nieco zniesmaczonym tonem:

– Na początku spokojnie, potem jednak zaczęły się problemy. Weszliśmy dość wysoko i okazało się, że śnieg sięga nam kolan. Wszystko w namiocie zamarzło. Oczywiście mój mąż był zachwycony.

– A Lotus?

– Och, radziła sobie doskonale. To bardzo dzielna dziewczynka i uwielbia śnieg. Posłuchaj, może spotkamy się jutro? Zaprosiłabym cię dzisiaj, ale Bruno ma do załatwienia coś ważnego, musi zadzwonić w tysiąc miejsc, a to tutaj niełatwe, jak wiesz.

Mair wiedziała aż za dobrze. Wszystkie zagraniczne komórki były tu automatycznie blokowane i jedyną szansą, by gdziekolwiek zadzwonić, poza pójściem do budki, było kupienie komórki ze stanu Dżammu i Kaszmir. Nie zrobiła tego i teraz nie najlepiej czuła się, nie mogąc skontaktować się ze swoim rodzeństwem. Częste przerwy w dostawie prądu sprawiały, że wysyłanie e-maili również było mocno utrudnione.

– Rano jadę autobusem do Śrinagaru.

– O nie! – z żalem powiedziała Karen – Nie rób tego. Nie możesz. Słyszałam, że to okropna podróż.

– Toteż traktuję to jako przygodę.

Karen wzięła Mair pod rękę.

– Mam lepszy pomysł. Zostań jeszcze jeden dzień i pojedź z nami do Kaszmiru. Zarezerwowaliśmy samochód. Mamy miejsce, jeśli nie masz nic przeciwko siedzeniu z tyłu ze mną i z Lo.

Mair zawahała się.

– A co na to twój mąż?

Karen wzruszyła ramionami.

– Na pewno się ucieszy. Lubi poznawać nowych ludzi.

Wrażenie, jakie po pierwszym spotkaniu zostawił na Mair Bruno Becker, sugerowało coś zgoła innego, ale nie powiedziała tego Karen.

– To kusząca propozycja. Nie do końca ufam tutejszym autobusom.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Pojutrze przyjedziemy po ciebie do hotelu. Tylko ostrzegam, że bardzo wcześnie. Bruno ma fioła na punkcie porannego wstawania.

Wyglądało na to, że Karen już wszystko ustaliła. Teraz stała na poboczu gruntowej drogi, czekając na ciężarówkę, która miała ją podwieźć.

– Jak ci minął tydzień?

Mair zaczęła opowiadać.

– Naprawdę interesująco. Poznałam historię...

Ale Karen już zniknęła pośród spalin samochodu. Pomachała tylko do Mair.

– Do jutra!

Kierowca zauważył ją i gwałtownie zahamował. Karen wskoczyła na siedzenie pasażera, nie negocjując wcześniej ceny za przewóz. Mair szła dalej w stronę migoczących świateł bazaru.

Korzystając z wolnego dnia, poszła do kafejki internetowej. W e-mailu do Hattie krótko opisała swoje wrażenia z pobytu w Indiach, nie wdawała się jednak w szczegóły. Nawet przed najbliższą przyjaciółką nie chciała przyznać, jak bardzo zaintrygowała ją historia rodzinnego szala. Kliknęła ikonę *Wyślij*.

Następnie zajrzała do skrzynki odbiorczej. Kolejne wiadomości otwierały się coraz to wolniej. Zobaczyła wiadomość od Dylana. Jej brat nie pisał regularnie, ale e-maile od niego zawsze cieszyły najbardziej. Tym razem była to króciutka wiadomość z załącznikiem. Okazało się, że Dylan zabrał niewielką kolekcję fotografii przez lata składowanych w pudełkach po butach w gabinecie ojca. Powiedział siostrze, że rzuci na nie okiem, gdy tylko znajdzie chwilę i zeskanuje dobre zdjęcia do internetowego albumu, aby one też miały do nich dostęp. W takich

zadaniach nie miał sobie równych. Eirllys podziękowała mu, mówiąc, że sama nigdy nie znalazłaby na to czasu. Dylan ukradkiem uśmiechnął się do Mair. Uderzyło ją wtedy jego podobieństwo do ojca. Tak łatwo nieświadomie stać się podobnym do rodzica. Pewnie teraz bardziej niż kiedykolwiek ona przypominała swoją matkę.

Mair z niecierpliwym uśmiechem próbowała otworzyć załącznik od Dylana. Początkowo komputer w żaden sposób nie chciał z nią współpracować, ale próbowała do skutku. Czarno-biała fotografia, którą miała przed oczyma, była lekko wyblakła i zagnieciona. Przedstawiała trzy kobiety stojące na tle jeziora częściowo pokrytego liliami. W górnym lewym rogu dostrzegła ukośną belkę z rzeźbionego drewna, wyglądało to więc, jakby zdjęcie zrobiono im na balkonie z widokiem na jezioro. Kobieta w środku stała z uniesionym podbródkiem i z rozbawieniem patrzyła w obiektyw. Jej pełne usta na zdjęciu wyglądały na czarne, choć prawdopodobnie zostały pomalowane ciemnoczerwoną szminką. Falujące ciemne włosy zaczesła po bokach do góry, a jej niezwykle wygląd podkreślały szerokie klapy i ramiona żakietu oraz dekolt w kształcie litery V.

Kobieta po jej lewej stronie wyglądała o wiele bardziej dziewczęco. Patrzyła na koleżanki, a w jej oczach widać było wesołość. Miała kręcone jasne włosy i łabędzią szyję. Trzecia kobieta ze zdjęcia śmiała się, odchylając do tyłu głowę. Wyglądała na radosną i zadowoloną z życia. Dopiero po chwili Mair rozpoznała w niej swoją babcie. Patrząc na roześmiane twarze z coraz większą fascynacją, Mair zastanawiała się, co takiego powiedział dziadek Evan, że tak rozbawił te śliczne kobiety. A może fotografem wcale nie był Evan Watkins? I gdzie znajdowało się to jezioro? Zdjęcia z pewnością nie zrobiono w Leh.

Nagle wpadła na pewien pomysł. W Śrinagarze znajdowały się jeziora. Mair wróciła do wiadomości od Dylana.

To zdjęcie leżało luzem w albumie dziadka ze zdjęciami z Indii. Większość jest strasznie nudna. Jacyś ludzie stojący przed kaplicą i takie

tam. Ale to zdjęcie przyciągnęło moją uwagę. Ciekaw jestem, kim mogły być te wesołe znajome naszej babci?

Im dłużej przyglądała się, tym bardziej enigmatyczna, ale i intrygująca stawała się przesłana przez brata fotografia. Te trzy kobiety musiały się przyjaźnić. Z ich twarzy biła radość życia i młodość, aż trudno było uwierzyć, że zdjęcie zrobiono prawie siedemdziesiąt lat temu.

Mair za wszelką cenę chciała się czegoś o nich dowiedzieć. Teraz, kiedy istniało prawdopodobieństwo, że zdjęcie zrobiono w Śrinagarze, jeszcze bardziej zapragnęła tam pojechać.

Na twarzy Chinki, która prowadziła kafejkę, malował się grymas niezadowolenia. Nad każdym komputerem wisiał napis „Nie wysyłać. Nie pobierać”.

Mair wskazała na zdjęcie na ekranie, następnie na prastarą drukarkę stojącą na ławeczce przy drzwiach i gestem pokazała, by je połączyć. Kobieta zareagowała dopiero wówczas, gdy Mair wyjęła portfel i zaczęła przeliczać banknoty. Rozpoczął się skomplikowany proces wciskania guzików, sprawdzania kabli i cichego marudzenia. Dopiero po chwili z otworu wyłonił się niewielki wydruk zdjęcia. Był ciemniejszy niż oryginał, a zdjęcie tak małe, że niemal nie widać było radosnych twarzy kobiet, ale Mair uznała, że to wystarczy. Zaniosiła wydruk do hotelu i umieściła go w kopercie, razem z puklem brązowych włosów.

Beckerowie i ich kierowca w białej toyocie pojawili się przed hotelem Mair następnego ranka o szóstej trzydzieści rano. Karen pomachała do koleżanki z tylnego siedzenia.

– Gotowa? – zapytała. – Będziemy się świetnie bawić!

Lotus siedziała w dziecięcym foteliku. Miejscowy kierowca, najwyraźniej zauroczony małą dziewczynką, uśmiechnął się do niej szeroko, błyskając złotymi zębami, i pogładził ją po policzku. Bruno Becker wysiadł z samochodu. Spojrzał na Mair, lekko się uśmiechając,

dzięki czemu zdawał się nieco bardziej dostępny.

– To bardzo miłe z waszej strony... – powiedziała.

– Cieszę się, że z nami pojedziesz. To wszystko? – wskazał na jej bagaż podręczny. Mair kiwnęła głową. W plecaku przerzuconym przez ramię znajdował się szal, pukiel włosów i stara fotografia.

– Masz mały bagaż. Karen mogłaby się od ciebie uczyć – wrzucił plecak do bagażnika samochodu, na górę dość wysokiego stosu walizek.

– Większość z tego to rzeczy Lotus – roześmiała się Karen. – Wskakuj do środka – zachęciła.

Mair zajęła miejsce obok dziecka. Loki na włosach dziewczynki wyglądały jeszcze jaśniej w szarym świetle poranka.

– Ruszajmy – ponaglił kierowca. Pojechali główną ulicą, obok młynka modlitewnego i długiego muru *mani*. Mair odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na miasteczko. Ciemne chmury wisiały nisko nad górami, a drzewa przybrały stalowo-zielony odcień. Było bardzo zimno, na ulicach nie widać było żywej duszy.

Karen wskazała podbródkiem na przednie siedzenia.

– Boją się o pogodę – wyjaśniła.

– Mówili, że ma spaść śnieg – wyjaśnił krótko Bruno, nie odwracając głowy. – Dlatego nie możemy zwlekać.

Mair usadowiła się na tylnym siedzeniu. Samochód pokonywał kolejne kilometry wzdłuż brzegu rzeki Indus. Karen nie przestawała mówić, a Mair, nieco wyłączona, podawała znudzonej Lotus zabawki z niekończących się zasobów, które leżały wokół jej fotelika.

Ciężkie wozy i ciężarówki wojskowe jeździły w obu kierunkach. Kiedy droga zaczęła się wznosić, minęli przydrożne obozowiska tych, którzy naprawiali drogę. Kobiety i mężczyźni dźwigali ciężkie kamienie lub zasypywali ziemią dziury.

– Spójrzcie, ta kobieta niesie na plecach dziecko – westchnęła Karen. Dwójka małych dzieci siedziała na skale, obserwując jednostajny ruch uliczny.

Na domiar złego zaczęło padać. Wielkie krople odbijały się coraz intensywniej od przedniej szyby. Wycieraczki lekko skrzypiały, a

samochód ślizgał się po coraz głębszych koleinach. Dojechali do granicy, kierowca zaniósł ich paszporty do budki strażników, podczas gdy znudzeni nieco żołnierze wrzucali broń do ciężarówek. Mair przyglądała się wywołującemu pewien niepokój znakowi: „Drogi graniczne. Wróg cię obserwuje”. Niedaleko granicy kontrolnej między Indiami a Pakistanem biegła autostrada, toteż uzbrojeni żołnierze z Indii nie znajdowali się tam wyłącznie na pokaz.

Jechali dalej na zachód, wzdłuż ogromnych, mocno pobudzających wyobraźnię, przepaści. Czasem odnosili wrażenie, że koła auta wiszą nad krawędzią, gdy wchodzili w kolejny ostry zakręt. Mair odwracała wtedy wzrok od urwisk i wstrzymywała oddech, gdy jakaś ciężarówka wyłaniała się zza zakrętu i jechała prosto na nich. Na ich kierowcy najwyraźniej nie robiło to żadnego wrażenia, bez mrugnięcia okiem manewrował pomiędzy metalowymi potworami a skałą lub krawędzią, mijając je czasem zaledwie o centymetr. Powierzchnia na drodze zrobiła się tak wyboista, że pasażerowie musieli trzymać się pasów i uchwytów, by nie uderzać głową o dach samochodu. Mimo szalonej jazdy Lotus usnęła, ukojona miarowym podskakiwaniem auta.

– Dlaczego tutaj nie ma tu asfaltu? – jęknęła Karen.

Bruno spojrział przez ramię.

– Nie wytrzymałby nawet sześciu tygodni. Tylko ta mieszanina kamienia i tłucznia jest odporna na tak ekstremalną pogodę i jeżdżące tu ciężarówki. Poza tym, aby jako tako nadawała się do użytku, wymagałaby ciągłych napraw. – Była to najdłuższa wypowiedź mężczyzny, jaką usłyszeli od wyjazdu z Leh.

– Auć! Aua! – Wszyscy podskoczyli na swoich siedzeniach. Spod kół wystrzeliły kamienie, które po chwili spadły w przepaść. Daleko w dole Mair zauważyła grafitowe pasmo rzeki. W duchu podziękowała za to, że nie musiała siedzieć w ścisiku w czterdziestoosobowym autobusie ze zmęczonym kierowcą za kółkiem.

– Droga między Leh a Śrinagarem została otwarta dla ruchu kołowego dopiero w latach sześćdziesiątych – powiedział Bruno. – Wcześniej była ścieżką, a jedynym środkiem transportu były kuce.

– Ile czasu zajmowała podróż?

– To czterysta kilometrów. Więc około tygodnia, przy odrobinie szczęścia.

Po chwili Mair dodała:

– W osiemnastym wieku nie można było przejechać przez nią nawet konno. Bagażowi nieśli wszystko na plecach, przez całą drogę z Tybetu do Kaszmiru. Transportowano tędy przede wszystkim wełnę na handel paszminą.

Bruno obrócił się, by na nią spojrzeć. Po raz pierwszy ich spojrzenia spotkały się.

– Interesuje cię historia starych szlaków handlowych?

– Tak.

– Mnie też – dodała szybko Karen.

Bruno spojrział na żonę z uśmiechem. Mair zauważyła już, że był bardzo atrakcyjny. Nagle zniknęło skrępowanie, które początkowo odczuwała w jego towarzystwie. Zazdrościła im bliskości. Choć przez moment głupio pomyślała, że tę parę łączy tylko miłość do dziecka. Teraz jednak wiedziała, że się myliła. W uśmiechu tych dwojga widać było wzajemną czułość i miłość.

– Wiem o tym – powiedział ciepło.

Mair zerknęła przed siebie, gdy pokonywali kolejny zakręt i przez prześwit w chmurach dostrzegła w oddali wielką śnieżną ścianę. Godzinę później Lotus obudziła się i zaczęła marudzić. Ciągnęła pasy przytrzymujące ją w foteliku i odwracała głowę od napoju, który podsuwała jej Karen.

– Musimy się zatrzymać na dziesięć minut – powiedziała kierowcy.

– Jak daleko do Lamayur?

– Wciąż daleko – odpowiedział zwięźle kierowca, wyraźnie nie chcąc wdawać się w szczegóły.

Zatrzymali się obok przydrożnego stoiska z herbatą. Deszcz zmienił drogę w błotnistą rzekę. Przejeżdżające pojazdy rozpryskiwały wodnistą maź na pobocza. W sklepiku było sporo osób. Każdy kierowca za wszelką cenę chciał przejechać przez Fotu La, nim się ściemni lub

zanim śnieg zacznie mocno padać. Przez ostatnie kilka minut padał deszcz ze śniegiem, pozostawiając na przedniej szybie brudne plamy.

Cała grupka schowała się pod płóciennym zadaszaniem. Lotus rozweseliła się, gdy tylko zauważyła zebranych ludzi, i niemal natychmiast zajęła się zawieraniem nowych znajomości. Karen z uwagą przyglądała się, co właściciel stoiska ma w garnkach. W końcu wybrała gęsty gulasz z ryżem. Większością nakarmiła Lotus. Mair zdecydowała się na czekoladowego batonika i garść orzechów. Kierowca stał w drzwiach, rozmawiając po cichu z innymi i z niepokojem obserwując zmieniającą się szybko aurę. Kiedy skończyli, Bruno ponaglił ich do powrotu do samochodu. Karen westchnęła:

– Szkoda, że nie zobaczymy klasztoru w Lamayur. Stoi na linii horyzontu jak zamek z bajki, z pięknymi wieżyczkami.

– Karen, nie możemy się tam zatrzymać – powiedział Bruno. – Musimy jak najszybciej przejechać przez przełęcz.

– Nie przesadzaj. Godzina nie zrobi nam przecież różnicy.

Kierowca prowadził skupiony. Wszystkie przejeżdżające pojazdy miały włączone reflektory, więc widzieli, że przed nimi ciągnie się długa kolejka. Za wszelką cenę starano się podjechać w górę, pod bardzo ostrym kątem.

– Zrobi, kochanie – odrzekł cierpliwie, ale zdecydowanie Bruno.

Karen była coraz bardziej zła.

– Wiem, że to cię nie bardzo interesuje, ale to najstarszy *gompa* w Ladakhu. Sprzed dziesiątego wieku. Są w nim najpiękniejsze freski i *thangka*¹³. Musimy je zobaczyć.

– Nie tym razem.

W samochodzie zapadła cisza. Mair wyczuła, że między małżeństwem toczy się cicha wojna na determinację. Wycieraczki ścierały plamy brudnego śniegu, ale już za chwilę pojawiały się następne. Lotus cichutko śpiewała coś swojej lalce.

– Śnieg lekko prószy. Dlaczego nagle stałeś się taki ostrożny?

13 Thangka – malowany lub haftowany zwój o tematyce religijnej.

Tym razem odezwał się kierowca toyoty:

– Jedziemy prosto do Fotu La i dalej w dół do Kargilu.

Jego wypowiedź zakończyła spór. I choć Karen była nieco zaskoczona, nic więcej nie powiedziała. Tym bardziej, że droga była coraz gorsza. Padający śnieg zbierał się na kamieniach przy krawędzi drogi. Z naprzeciwka jechało coraz mniej samochodów. Mair skupiła się na zabawianiu Lotus i starała się ignorować przepaści, które musiały znajdować się pół metra od ich samochodu. O wiele bardziej przerażające od widzenia niebezpieczeństw, było wyobrażanie ich sobie.

Trwogę potęgowały również przydrożne znaki ostrzegawcze: „Życie toczy się za szybko? Zwolnij!”. Mieli wrażenie, że jadą bardzo długo pod górę. Koła zabuksowały i znów wpadły w poślizg. Karen przestała się wreszcie dąsać, że nie zobaczą klasztoru. Bruno i kierowca rozmawiali o czymś po cichu. Posuwali się coraz wolniej, na najniższym biegu, starając się jechać po śladach opon samochodu przed nimi, które szybko przestawały być widoczne.

– Śnieg pada coraz mocniej – oznajmił nagle kierowca.

Chwilę później koła samochodu obróciły się w miejscu na stromym podejździe i toyota zaczęła się staczać. Spanikowane spojrzenia Karen i Mair spotkały się nad głową Lotus. Zdezorientowana Mair próbowała rozpoznać, po której stronie znajdowała się przepaść. Bruno zdążył wysiąść z samochodu. Położył kamień pod jedno z tylnych kół. Chwilę później dołączył do niego kierowca. Karen i Mair siedziały w środku, czekając w napięciu.

– Wsiadamy – zaszczebotała nieświadoma niczego Lotus.

– Nie teraz, kochanie. Zobacz, jak mocno sypie śnieg.

Mężczyźni łopatami zagarniali żwir z pobocza pod opony samochodu, ale toyota przejechała zaledwie kilka metrów.

– Niedobrze! – krzyknął Bruno.

– Niedobrze – przyznał kierowca.

Trzasnęły drzwi.

– Nie uda nam się. Musimy wrócić.

– Wrócić?! – zapytała oburzona Karen. – Po tym wszystkim?

– Do Lamayur jest jakieś półtora kilometra. Tam znajdziemy jakiś nocleg.

– Naprawdę?

– Tak. Albo to, albo spędzimy noc tutaj, w samochodzie. Żebyś mogła zobaczyć te swoje freski.

Karen założyła gruby pukiel złotaworudych włosów za ucho. Zwróciła się do Mair z triumfalnym uśmiechem.

– Przepraszam cię za to. Ale takie są uroki podróży, prawda?

– Masz rację – przytaknęła jej zgodnie Mair.

Kierowca wykonał skomplikowany manewr zawracania, ślizgając się po niewielkiej powierzchni między skałami a przepaścią. Zaczęli powoli jechać w dół.

Mair nie widziała nic poza sypiącym śniegiem. Miała złe przeczucie i coraz bardziej odczuwała ucisk w okolicach przepony.

Panowała nieprzenikniona ciemność. Obmacując śliski mur, Mair próbowała przypomnieć sobie, skąd przyszła. Żałowała, że swoją latarkę czołową zostawiła w samochodzie. Doszła do rogu, potknęła się o wystający kamień i niemal upadła. Zauważyła, że powietrze w tym miejscu jest jeszcze bardziej lodowate. Droga na dziedziniec musiała znajdować się niedaleko.

Kiedy w końcu odnalazła drzwi, wymacała żelazną gałkę i przekręciła ją. Drzwi z impetem otworzyły się, wpuszczając do środka wiatr i śnieg.

Zawahała się. Wcześniej jakaś kobieta wskazała jej drogę do jej pokoju i do kuchni dla gości, ale teraz, gdy śnieg zasypał wszystkie drzwi przy dziedzińcu, zupełnie straciła orientację. Nie odważyła się spojrzeć w górę. Ciemne mury klasztoru wyglądały tak groźnie, że odnosiło się wrażenie, iż za chwilę obalą się i zniszczą dom stojący nad krawędzią przepaści. Poza tym, teraz byłyby właściwie niewidoczne. Silny wiatr sprawiał, że płatki śniegu padały niemal w każdym

kierunku – poziomo, a nawet z dołu w górę, sypiąc prosto w oczy, gdy próbowała przedrzeć się przez zaspy. Weszła w grubą warstwę śniegu pokrywającego ganek. Zobaczyła światło.

Kolejne drzwi otworzyły się, a ona niemal wpadła do środka, otrząsając się energicznie ze śniegu niczym pies po kąpieli. Oparła się ramieniem o drzwi i z wysiłkiem zatrzasnęła je za sobą.

– Mair! – zawołała Lotus.

Pomieszczenie oświetlała pojedyncza lampa naftowa. Na podłodze, wzdłuż trzech ścian leżały materace, a na środku pomieszczenia stał niewielki piecyk z przewodem kominowym. Kobieta, którą Mair widziała wcześniej, stała przed piecem i wrzucała do środka suche placki zwierzęcych odchodów. Kilku mężczyzn, prawdopodobnie kierowców ciężarówek, którzy też schowali się tu przed burzą śnieżną, siedziało na dwóch materacach. Palili papierosy i rozmawiali, ale gdy Mair weszła do środka przerwali pogawędkę i przez chwilę przyglądali się jej uważnie. Na trzecim materacu siedzieli Bruno i Lotus. Dziewczynka miała na sobie watowane śpioszki i była owinięta w koc tak, że widać było tylko jej różową twarzyczkę. Zawiniątko znajdowało się pod połami płaszcza jej ojca, główką dotykała jego podbródka.

Mair poczuła nagłe ukłucie zazdrości.

W takich warunkach wszelkie ciepło byłoby mile widziane.

– Zrób skok – poprosiła Lotus. – *S'il vous plaît.*

– Lotus, nie mogę zrobić tego w środku. Musiałabym wyjść na zewnątrz.

– To wyjdź – dziewczynka powiedziała takim tonem, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

– Jutro zrobię skok – przyrzekła Mair.

– Pada śnieg, Lo, pamiętasz? – wtrącił się Bruno. – Wszyscy zostajemy w środku, bo tu jest cieplej.

Przesunął się, by zrobić miejsce dla Mair. Przeszła między poczerniałymi rondlami i wiklinową klatką dla kur, by usiąść obok niego. Mężczyźni wrócili do przerwanej rozmowy, a kobieta zamknęła drzwiczki piecyka.

– Karen ma migrenę – powiedział Bruno. – Umyła się i poszła spać.

Łazienka znajdowała się kilka metrów dalej, po lewej stronie od drzwi. W środku była metalowa beczka z kranem, odpływ w podłodze i różowa plastikowa mydelniczka z kostką szarego mydła. Ubikacja, którą przed chwilą odwiedziła Mair, znajdowała się w przybudówce na dziedzińcu. Pomiędzy miejscami na stopy znajdowała się głęboka na kilkadziesiąt metrów dziura, która obecnie wyrzucała z siebie pokłady śniegu.

W domku gościnnym przy klasztorze zatrzymała się duża grupa turystów z Niemiec, których autobus nie dał rady przejechać przez przełęcz. W całej wiosce pełno było ludzi, którzy schronili się tutaj przed złą pogodą. Kierowca Beckerów znalazł dla nich bardzo dobre miejsce na nocleg. Kiedy tam dotarli, przedzierając się przez oblodzone ścieżki, ich oczom ukazało się coś, co nasuwało na myśl raczej skład kamieni i desek niż dom. Na szczęście w środku znajdowały się dwa maleńkie pokoiki wychodzące na dziedziniec. Kierowca umieścił ich w pokojach, a sam poszedł do kuzyna, który, jak się okazało, mieszkał niedaleko. Kolejni podróżni mogli liczyć już tylko na miejsce noclegowe w kuchni.

– Mogę jakoś pomóc? – zapytała Mair, myśląc o Karen.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie, ale to miłe, że się o nią martwisz. Karen pewni już śpi.

– Nie nazwałabym tego luksusowym hotelem, ale na pewno wolę to od perspektywy spędzenia nocy w samochodzie – dodała Mair.

Bruno instynktownie mocniej przytulił Lotus.

– Owszem. Byłoby bardzo ciężko.

Tak intensywnie padający śnieg z pewnością zasypie ich samochód. Ucieczka z niego mogłaby się okazać zbyt niebezpieczna, jeśli nie niemożliwa. Mair zadygotała. Starła się zachować pozory optymizmu, ale w głębi duszy nie znosiła tego miejsca. Nie z powodu braku domowych wygód, ale z powodu jego posępnej atmosfery jak cień nad ich głowami. Ale przynajmniej dziś Lamayur stanowiło bezpieczną przystań. Spojrzała na zaróżowione policzki Lotus. Dziewczynka ssała

kciuk.

– Będzie nam ciepło. Prawda, Lo? – powiedziała do niej z nieskrywaną czułością.

Do pomieszczenia weszła kobieta, przesuwając kawałek płótna służący za drzwi wewnętrzne. Niosła garnek, nad którym unosiły się obłoki pary.

Bruno wziął garnek i podziękował jej. Usiadł wygodnie i powiedział wesoło do córki:

– Zobacz, Lotus, przyszła kolacja.

Zaczął karmić dziewczynkę podgrzaną fasolką i chlebem. Wsunęła się nieco ze swojego kokonu i jadła łapczywie, brudząc cały podbródek pomarańczowym sosem.

– Zawsze mamy przy sobie kilka puszek z fasolą. Lotus uwielbia tę potrawę, może ją jeść o każdej porze dnia i nocy, bez względu na wszystko – powiedział.

Czarny kociołek trafił na piec. Kobiety usiadły na podłodze i zaczęły kroić w plasterki cebulę, wrzucać ją do garnka i wymieniać uwagi z kierowcami ciężarówek.

– To tylko jedna noc – roześmiała się Mair.

Ale mężczyźni najwyraźniej nie podzielał jej optymizmu.

– Mam nadzieję, że masz rację.

Pomyślała, że jego twarz przybiera bardzo stanowczy wyraz, gdy marszczy czarne kreski brwi. On i Karen wydawali się tak różni od siebie, że mogła jedynie twierdzić, iż ich związek był przykładem na to, że przeciwieństwa się przyciągają.

Lotus zjadła resztki fasolki i spojrzała jeszcze na wszelki wypadek do garnka, by upewnić się, że na dnie nie zostało jeszcze coś do jedzenia. Jej rączki pokryły się sadzą, którą Bruno cierpliwie ścierał swoją chustką do nosa, tłumacząc, że jeśli nie oczyści jej rąk, z pewnością zostawi czarne ślady na mamusi. Wyjął jabłko z kieszeni, obrał je i podzielił na kawałki, a następnie podał córce. Kiedy jadła ostatnią cząstkę, jej powieki zaczęły powoli opadać.

– Pora spać – szepnął czule Bruno.

Ułożył ją w kocu tak, by tylko jej oczy i nos wystawały na zewnątrz. Spojrzał przelotnie na przygotowywane jedzenie.

– Mogę później dołączyć do ciebie podczas kolacji? – zapytał Mair w oficjalny sposób, ale jego czarne brwi uniosły się wesoło.

– Oczywiście. Przyda mi się towarzystwo – odpowiedziała.

Kiedy poszedł z małą na rękach, usiadła wygodnie, opierając się o ścianę i obserwowała pracę kucharek. Piec nagrzewał się i w powietrzu czuć było zapach gotujących się warzyw. Para osiadała i skraplała się na małych oknach, ale w kuchni wcale nie zrobiło się cieplej. Mair myślała o tym, że mogła tu wylądować z grupą chłopaków z Izraela, a nie z Beckerami. Podziękowała więc bogom Lamayur za taki obrót spraw.

Bruno wrócił piętnaście minut później. Otrzeptał się ze śniegu i usiadł na materacu obok niej, czujnie obserwowany przez kierowców. Począł, aż ich zainteresowanie nieco opadnie, a następnie z kieszeni wyjął buteleczkę i dwa metalowe kubki.

– Koniaku? – zapytał cicho i nalał trochę do kubków.

Stuknęli się brzegami. Bruno wypił duży łyk. Mair poszła jego śladem i po chwili poczuła ciepło rozplwające się po jej zmarzniętych kościach.

– Cudowny. Jak czuje się Karen?

– Leży w łóżku i czyta jakiś buddyjski tekst. Położyłem Lotus obok niej, mała od razu zasnęła.

Po chwili dodał:

– Moja żona ma ogromne pokłady siły i uporów, więc cierpi, gdy dzieje się coś, na co ona nie ma żadnego wpływu. Odmiana buddyzmu, którą wyznaje Karen, wiąże się tak naprawdę z ogromną determinacją. Można nazwać to potrzebą kontrolowania wszystkiego. Nie jestem pewien, jak odnosi się to do nauki Buddy.

Ich spojrzenia skrzyżowały się porozumiewawczo. Bruno mówił to beznamiętnym tonem, ale widać było, że ma duże poczucie humoru. Mair pomyślała, że to właśnie czyni go interesującym i atrakcyjnym.

– Jesteś wierzący? – zapytała.

Pokręcił przecząco głową.

– Nie. A ty?

– Też nie. Ale mój dziadek był misjonarzem. On i babcia mieszkali tu w latach czterdziestych, w prezbiteriańskim ośrodku misyjnym w Leh.

– To dlatego tutaj jesteś?

– Mój ojciec zmarł niedawno. Jego rodzice byli ważną częścią naszego życia, ponieważ mieszkali niedaleko, ale nigdy nie poznałam dziadków ze strony mamy. Zmarła, gdy byłam dzieckiem, więc niewiele o nich wiemy. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o ich życiu.

Mair rzadko wspominała o swojej matce, nawet podczas szczerych rozmów z Hattie. Instynktownie chroniła ranę, która pojawiła się w jej sercu po śmierci mamy. Zdziwiła się więc, że podzieliła się z Beckerem tak intymnym faktem i tym, że od pierwszego spotkania nie powiedziała Karen nic więcej o sobie.

Właściwie to nawet chciała, ale zawsze coś jej w tym przeszkadzało.

Karen była osobą, do której wszyscy lgnęli. Tylko z powodu tej niecodziennej sytuacji, burzy śnieżnej i tymczasowego uwięzienia w cieniu klasztoru Mair rozmawiała tak otwarcie z jej mężem.

Wzięła kolejny duży łyk koniaku. Trzęsła jej się ręka z zimna i metalowy brzeg kubka uderzał lekko o jej zęby.

– Opowiadaj dalej, chętnie posłucham – zachęcał Bruno.

Opowiedziała mu więc o szalu i odkryciach, których dokonała w Changthangu i w Leh. Słuchał uważnie, głowę miał opartą o mur, a spojrzenie skupione na jej twarzy. Kucharka odmierzyła kilka garści ryżu i wrzuciła je do garnka, zapach baraniny unosił się w całej kuchni.

Brunonowi spodobała się historia wujka Tseringa i jego wspomnienia dotyczące słuchania radia w domu misyjnym.

– I teraz podążasz szlakiem szala do Śrinagaru – podsumował.

– Tak. Kto wie, co tam znajduje.

„Może dowiem się czegoś o fotografii” – pomyślała.

Odkręcił butelkę i nalał im kolejną porcję. Napiała się, wyprostowała nogi i rozluźniła ramiona. Po trudach całodziennej podróży jej mięśnie były napięte i mocno obolałe.

Bruno obrócił swój kubek, studiując odbicia w wypolerowanej

powierzchni.

– Oboje moi rodzice na szczęście żyją. Rozwiedli się dawno temu, a mama ponownie wyszła za mąż. Mieszka niedaleko nas, w Genewie. Uwielbia Lotus. Ojciec jest wciąż silny fizycznie, ale z jego pamięcią jest coraz gorzej. Ustaliliśmy z siostrą, że bezpieczniej i lepiej dla niego będzie, jeśli zamieszka w specjalnym ośrodku. Kiedy pojechałem odwiedzić go przed wyjazdem tutaj, siedzieliśmy na balkonie z widokiem na góry i mówiłem do niego. Podczas naszych spotkań muszę dużo mówić. Lubi słuchać o świecie i życiu innych ludzi, choć nie jestem pewien, ilu z nich w ogóle pamięta. Opowiadałem mu o miejscach, które zobaczymy, i wydawało mi się, że słucha. Kiwał głową.

Bruno wziął głęboki oddech.

– Poprosił mnie, żebym odnalazł zaprzyjaźnioną niegdyś z naszą rodziną kobietę, która przyjechała do Szwajcarii po wojnie razem ze swą matką. Pamięć lubi płatać figle, ale ją akurat bardzo dobrze zapamiętał. Muszę ją odszukać, gdy dotrzemy do Delhi.

Mair pokiwała głową, wspominając, jak przez ostatnich kilka tygodni swojego życia jej ojciec coraz częściej uciekał w przeszłość.

– Jej matka należy do tego samego pokolenia co twoi dziadkowie. Była chrześcijanką, katoliczką. Może się znali.

– To możliwe? Z Leh do Śrinagaru jest bardzo daleko.

Bruno westchnął.

– Dziś w nocy Śrinagar może być nawet w RPA, dla nas to bez różnicy.

– Nie wiem, czy moi dziadkowie kiedykolwiek pojechali tak daleko na zachód. Ale nie jest to oczywiście niemożliwe – znów pomyślała o fotografii.

– Nie zaszkodziłoby zapytać naszej znajomej. Jeśli będziemy w Delhi w tym samym czasie, możemy razem ją odwiedzić.

Ich spojrzenia znów się spotkały.

– Chętnie – odpowiedziała Mair.

Usiedli wygodnie, zrelaksowani miłą rozmową i alkoholem coraz intensywniej krążącym krwi. Kobiety stojące przy piecu dalej gotowały

kolację, a mała dziewczynka rozdawała wszystkim metalowe talerze i łyżki. Bruno podniósł się na chwilę i wyszedł, by sprawdzić, czy coś zmieniło się w pogodzie. Wrócił posepny.

– Wyjazd stąd będzie bardzo trudny – oznajmił.

Ogromne zasy zablokowały górską drogę w obu kierunkach. Mair próbowała wyobrazić sobie, ile pracy trzeba będzie włożyć, by droga znów była przejezdna.

Jeden z kierowców spojrzął na Beckera i powiedział:

– Bardzo źle.

Bruno pokiwał głową.

– Bardzo źle.

Znów usiadł na materacu i powiedział:

– W Szwajcarii mielibyśmy problem, żeby poradzić sobie z tak dużymi i nagłymi opadami śniegu. Nie wyobrażam sobie, jak robią to tutaj.

Pamiętając o tym, co powiedziała jej Karen, Mair zapytała:

– Urodziłeś się w Genewie?

Jego mocno zarysowana twarz nagle się rozjaśniła. Przysunął się do niej. Zupełnie niezamierzenie Mair poruszyła temat bardzo mu bliski.

– Muszę mieszkać w Genewie, bo tam pracuję. Jestem inżynierem. Ale mój dom i moje korzenie są w górach. Urodziłem się w Oberlandzie Berneńskim, w pobliżu Grindelwald. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie.

Małe pomieszczenie pełne ludzi i świadomość tymczasowego uwięzienia sprawiły, że Mair chętnie dała się ponieść jego opowieści. W wyobraźni widziała oświetlone słońcem alpejskie łąki i ciemne jodły.

– Opowiedz mi o tym.

– Ludzie z mojej wioski byli farmerami – zaczął. – Latem zabierali krowy w Alpy, by tam mogły się paść. Zimą na stokach leżał śnieg.

Słuchała z przyjemnością. W końcu zrobiło jej się ciepło, a opis domu Brunona brzmiał już zupełnie swojsko. Nie chodziło o konkretne szczegóły, ale o sposób, w jaki opowiadał o rytmie życia farmera i o mieszkaniu na wsi. Słyszała też wyraźnie to, czego nie mówił. O

tęsknocie za tamtym miejscem. Zaczęła myśleć o swoim domu. Nie tęskniła już tak bardzo jak podczas pobytu w Leh, ale z wciąż z ogromnym sentymentem wspominała to, co tam przeżyła.

Bruno opowiadał jej, jak szwajcarscy farmerzy w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku odkryli ukryte przejścia przez wysokie przełęcze, łączące odległe doliny. Byli biedni, a gdy pierwsi turyści przyjechali w Alpy, Beckerowie i ich sąsiedzi wymyślili, że mogą zarabiać na oprowadzaniu gości po okolicy. Przedtem nikt nigdy nie wybierał się w góry i na lodowce wyłącznie dla przyjemności. Robiono to, by dostać się do sąsiednich dolin, znaleźć tam pracę, sprzedać ser lub udać się na pielgrzymkę do górskiej świątyni, ale nie dla czystej satysfakcji czy naukowej obserwacji. Ale potem przybyli alpiniści i naukowcy-amatorzy, którzy ruszali na wyprawy szlakami wytyczonymi przez miejscowych. Kiedy zdobyli szczyty, pędzili do domów, by opisać swój triumf i skatalogować swoje odkrycia.

Wieści szybko się rozchodziły i coraz więcej turystów przyjeżdżało w Alpy. Wkrótce bogaci panowie masowo zjeżdżali z całej Europy, a Beckerowie byli jednymi z pierwszych, którzy oferowali swoje usługi profesjonalnych przewodników górskich.

– Mój pradziadek był przewodnikiem Edwarda Whympera – powiedział Bruno.

Mair nigdy nie słyszała o Whymperze i powiedziała o tym mężczyźnie. Ten aż uniósł brwi ze zdziwienia.

– Był Brytyjczykiem. Jako pierwszy wspiął się na Matterhorn z siedmioma członkami ekipy. W drodze powrotnej zginęło czterech mężczyzn, ale sam Whymper przeżył. Przyjeżdżał regularnie, by wspinać się w Oberlandzie i często wyznaczał Christiana Beckera na przewodnika. W kolejnym pokoleniu, w latach dwudziestych i trzydziestych, mój dziadek Victor i jego klient próbowali podejść na Eiger z północnej strony, ale ledwie uszli z życiem, gdy zaczęła się burza. Victor ocalił wtedy życie swojemu klientowi.

– Musicie być z niego dumni.

– Jesteśmy – powiedział, kiwając głową.

– Nie znam żadnych alpinistów.

Ale nagle w jej głowie pojawiło się kolejne wspomnienie.

– Widziałam pomnik pamiątkowy w Leh, na europejskim cmentarzu. Nanga Parbat. – Mogła przypomnieć sobie nazwę góry, ale nie nazwisko mężczyzny, który na niej zginął.

Bruno wyręczył ją w tym.

– Matthew Forbes. Był matematykiem na Uniwersytecie Cambridge. Genialny młody człowiek.

– Też widziałeś ten pomnik?

– Owszem. Ekspedycję na Nanga Parbat prowadził pewien Szwajcar, Rainer Stamm, i to właśnie jego uratował mój dziadek. Od tamtego dnia byli bliskimi przyjaciółmi.

Więc zarówno ona, jak i Bruno mieli własne powody, by odwiedzić cmentarz. Nic porozumienia między nimi bardzo się wzmocniła dzięki historii ich dziadków. Koniak już na nią mocno podziałał. Wyobraziła sobie, że jej głowa lekko się przechyliła, aż w końcu wylądowała na ramieniu Brunona Beckera.

Kiedy na niego spojrzała, zrozumiała, że on wyobrażał sobie to samo.

Wyprostowała się i przycisnęła plecy do zimnego kamienia. Bruno też się podniósł.

Za chwilę przyniesiono wielki pojemnik pełen gulaszu z baraniny z wiszącą nad nim chochlą. Mair wzięła talerz i nałożyła sobie łyżkę, Bruno zrobił to samo. Spróbowali potrawy jednocześnie. Mężczyzna skrzywił się.

– Miałaś rację – zachichotała Mair.

Ryż, który podano do gulaszu, i miska brązowej zupy grochowej były nieco bardziej jadalne od mięsa.

– Właściwie możemy to już dokończyć – zauważył Bruno, jeszcze raz odkręcając butelkę. – Powiedziałem ci więcej o sobie, niż to było potrzebne. Twoja kolej.

Wydało jej się to nieco dziwne, ale opowiadanie mu o wszystkim było takie proste. Zaczęła od pierwszej rzeczy, która przyszła jej do

głowy.

– Po śmierci ojca moja siostra, brat i ja postanowiliśmy sprzedać dom, w którym dorastaliśmy. Nie było to łatwe, ale i tak jeszcze trudniej byłoby go zatrzymać. Przez większość czasu stał pusty, przyjeżdżaliśmy tam na święta, więc w środku zbierał się tylko kurz i pajęczyny. Ale wciąż czuję nic wiążącą mnie z tym miejscem. Dziś bardzo mocno się napięła.

– Rozumiem – powiedział cicho Bruno.

Mair opowiedziała mu o ostatnim poranku spędzonym w domu. Nigdy nikomu o tym nie mówiła. Gdyby ktoś ją o to zapytał, powiedziałaaby, że właściwie nie ma o czym mówić.

Eirlys i Dylan wyjechali wcześniej rano. Eirlys pojechała pierwsza, samochodem załadowanym po sam dach, z długą listą leżącą na siedzeniu pasażera. Dylan stał w bramie i razem z Mair machał siostrze, gdy ta odjeżdżała, pozostawiając dom, w którym spędziła dzieciństwo, trochę tak jakby skreślała kolejną pozycję na swojej codziennej liście rzeczy do załatwienia.

Kiedy Dylan był gotowy do odjazdu, Mair wyszła z nim do ogrodu. Zauważyła, że między gałęziami białego bzu drozd uwił sobie gniazdo. Dylan wziął ją za rękę.

– Nie bądź smutna – powiedział.

– To melancholia – odpowiedziała. – Przeżyliśmy tu wiele szczęśliwych chwil, prawda?

Kiedy tam stali, podwórko i ogród z przodu zdawały się wypełnione młodszymi wcieleniami ich samych.

Mair odpowiedziała na zadane przez siebie pytanie:

– Wtedy jednak tego tak nie postrzegałam.

Ta uwaga sprawiła, że obydwójce się roześmiali. Będąc dzieckiem, Mair nie potrafiła dostrzec uroków życia na wsi.

Dylan pocałował siostrę w czoło i odjechał.

Cieszyła się, że ostatnią godzinę w domu spędzi w samotności.

Chodziła po pustych pokojach, zamykając za sobą kolejne drzwi. W kuchni uwolniła uwięzionego trzmieła, chwytając go w ręce. Wyszła na zewnątrz, wypuściła go i oparła się o kamienną ścianę ogrodu. Spojrzała na szary dom, żółte porosty na dachu, sposób, w jaki okna zdawały się wbijać w grube ściany. Budynek stał na zboczu wzgórza, niezmiennie, od tyłu już lat.

Zostało jej tylko jedno.

Przeszła przez mur, korzystając z tych samych otworów, które poznała w dzieciństwie, gdy podrosła na tyle, by razem z Dylanem biegać na pole i tam się bawić. Przeszła po wilgotnej trawie, oddalając się od wzgórza i pasących się na nim owiec, i weszła do niewielkiego lasu. Rosły w nim dzwoneczki, a w tamtym majowym tygodniu były akurat w pełni rozkwitu. Ziemia pokryta baldachimem z liści połyskiwała najróżniejszymi odcieniami błękitu. Mair zebrała mały bukiet, z łądyżek wyciekło mleczko, a intensywny zapach kwiatów unosił się wokół niej. Owinęła świeżo zerwane kwiaty w chusteczkę wyciągniętą z kieszeni.

Pęczek dzwoneczków był ostatnią rzeczą, którą włożyła do samochodu przed odjazdem. Położyła kwiaty na siedzeniu pasażera. Usiadła i patrzyła na dom i wzgórze za nim. Potem odjechała, jak wcześniej zrobili to jej siostra i brat.

Kiedy dojechała do wioski, zatrzymała się przy bramie cmentarnej. Po drugiej stronie ulicy Tal Williams wychodził ze sklepu z gazetami. To jego rodzina od ponad stu lat zajmowała się uprawą pól na wzgórzu za jej domem. Pomachał do niej niezręcznie trzymaną w rękę gazetą. Jego smagana wiatrem twarz stała się jeszcze bardziej czerwona. Dwadzieścia lat temu Mair przeżyła z Talem swój pierwszy pocałunek.

Pomachała mu, ale nie przeszła przez ulicę. Pojawił się na pogrzebie jej ojca w czarnym garniturze i wykrochmalonej białej koszuli. Pewnie zastanawiał się, co Mair tutaj robi.

Przeszła przez bramę i szła wzdłuż ścieżki obok dużego cisu. Obok kranu wbudowanego w mur znalazła słoik po dżemie i włożyła do niego dzwoneczki. Ostrożnie, by nie wylać wody, zaniosiła go na grób

swoich rodziców.

Następnie usiadła na osłonecznionej ławce i czytała inskrypcje na pobliskich pomnikach, chociaż znała je wszystkie na pamięć.

Bruno był dobrym słuchaczem. Kiedy skończyła swoją opowieść, kiwnął głową w geście zrozumienia. Zjedli tyle gulaszu i ryżu, ile dali rady. Reszta gości ciasniej owijała się kocami i szykowała się do snu.

– Mogłaś zostać w domu, nigdy stamtąd nie wyjeżdżać. O tym myślisz? – zapytał. – Może powinnaś była wyjść za swojego farmera i żyć długo i szczęśliwie.

Mair roześmiała się.

– Nie, nie mogłam tego zrobić. Nigdy nie chciałam z nim być. W tym roku żeni się z dziewczyną, z którą jest już od dawna. Ale w każdym z nas jest tęsknota za tym, co mogłoby się zdarzyć. Na pewno czasem myślisz, że mogłeś zostać w górach i co wiosnę zabierać krowy na wypas. I ożenić się z jakąś Heidi, zamiast z Karen.

W oczach mężczyzny pojawił się uśmiech. Mair zastanawiała się, jak kiedykolwiek mogła myśleć, że jest nieprzystępny.

– Masz rację, czasem tak myślę. Ale tak jak ty wiedziałem, że nie chcę tam zostać. To nie był mój styl życia. Poza tym, podobają nam się przecież nasze obecne życia, prawda?

Mair przytaknęła; to, co mówił, było prawdą.

– Dzisiaj moja rodzina zamiast krów ma kilka wyciągów krzeselkowych i szybką kolejkę linową. Narty zimą i wspinaczka latem – dodał.

Mair zrozumiała, że Beckerowie nie musieli zbytnio martwić się o pieniądze.

– Czy Karen też zastanawia się, jak inaczej mogło potoczyć się jej życie?

– Karen to wolny duch – odpowiedział Bruno.

Rozmowy mężczyzn po drugiej stronie pomieszczenia ucichły i słychać było jedynie odgłosy układania się na materacu. Nadszedł czas, by przed snem na dobre pokonać uczucie zimna. Bruno przechylił butelkę do góry nogami, by sprawdzić, czy faktycznie jest pusta, a Mair

spróbowała wstać.

Podłoga zakolysała się w jej oczach, więc wyciągnęła rękę, by złapać równowagę. Bruno złapał ją za dłoń. Wolną ręką nacisnął włącznik latarki czołowej.

– Ojej – zaśmiała się Mair. – Dobry koniak.

– I dobre towarzystwo – dodał Bruno.

Śnieżycą uderzyła ich w twarze z pełną siłą. Śnieg na dziedzińcu sięgał im teraz kolan. Bruno zaproponował, by szła po jego śladach, gdy próbowali przedostać się na przeciwległy róg placu. Białe światło latarki przegrywało walkę z szalejącym śniegiem. Drzwi prowadzące do pokoi były otwarte i w kamiennym korytarzu tworzyła się mała śnieżna zaspą. Mężczyzna znalazł łopatę w kącie za drzwiami i kopał uparcie, by oczyścić ścieżkę, podczas gdy Mair trzymała latarkę. Wspólnymi siłami udało im się zamknąć drzwi i zaryglować je, przekładając grubą deskę przez żelazne otwory. Ich cienie tańczyły na ścianach z kamienia.

– Masz swoją latarkę? – zapytał.

– W samochodzie.

– Weź na razie moją. Twoją zabierzemy rano.

– Ale... – nie dokończyła. Oczywiście było, że nigdzie jutro nie pojedą. Zrozumiała też, że właściwie nie miała nic przeciwko temu. „Uważaj” – ostrzegła samą siebie. „Nawet nie zaczynaj sobie czegoś wyobrazać”.

To alkohol tak na nią wpłynął, wysokość i zimno. Nic poza tym. Jutro na pewno nie będzie pamiętać tego uczucia. W końcu nie była bujającą w obłokach dziewczynką.

– Prześpij się. Mam nadzieję, że nie zmarzniesz.

– Dobranoc – powiedziała Mair.

Promień światła latarki odbijał się w wilgotnych kamieniach muru przy jej materacu. Zdjęła tylko wierzchnią warstwę ubrań, ale założyła wełnianą czapkę i rękawiczki oraz drugą parę skarpet. Wczołgała się pod pościel, wyłączyła latarkę i zamknęła oczy, trzęsąc się z zimna. W jej głowie nagle pojawił się obraz przedstawiający Karen i Brunona

leżących na materacu, między nimi Lotus z rozrzuconymi włosami. Mair przycisnęła rękawiczki do twarzy, wymazując sprzed oczu wszystko poza odbiciami światła latarki. Wsluchiwała się w wycie wiatru i w końcu, po długim czasie, zasnęła.

Obudziła się, gdy poranne niebo przybrało kolor ołowiu. Przez małe okno widziała tylko szare plamy. Miała obolałe kości i nie czuła palców dłoni i stóp. Kiedy spróbowała się poruszyć, poczuła niesamowite pragnienie, a jej głowę przeszył potężny ból. Ostrożnie wyciągnęła rękę, szukając butelki z wodą. Jej zawartość całkowicie zamarzła.

Ubrała się bardzo szybko. Dziedziniec przecinały ścieżki wykopane w śniegu. Wiatr ustał, ale pojawiła się gęsta mgła, z której leniwie leciały płatki śniegu. Mair poruszała się ostrożnie, z trudem przedzierając się przez zaspę. Kuchnia wyglądała na zatłoczoną, ale okazało się, że znajdują się w niej tylko Beckerowie i kierowcy siedzący na materacach. Bruno rozmawiał z ich kierowcą, który machał swoim fioletowym telefonem komórkowym. Wszyscy mieli posępne miny, poza Lotus i Karen, które wpatrywały się w nią w identyczny sposób.

– Cześć. Przepraszam za wczoraj. Po prostu padłam. Mam nadzieję, że Bruno się tobą zaopiekował – powiedziała Karen.

Mair pokiwała głową. Jedyne, o czym teraz myślała, to znalezienie czegokolwiek do picia. Obok łazienki stał plastikowy dzbanek. Wiedziała, że woda w nim była jedynie filtrowana, a nie gotowana, ale porzuciła wszelkie zasady higieny i łąpczywie wypła dwa duże kubki.

Lotus przewracała strony książki z obrazkami i po cichu opowiadała sobie bajkę. Spod jej czapki wystawały serpentyny jasnych włosów. Kucharki za każdym razem, gdy spojrzały w jej stronę, uśmiechały się do małej dziewczynki.

Mair pochylała się nad miską ciepłej owsianki. Bruno kończył właśnie rozmowę z kierowcą. Krótko streścił jej, o czym rozmawiali.

– Gulam rozmawiał właśnie ze swoim przyjacielem z Kargilu. Drogi są zablokowane, ale wojsko i straż graniczna starają się uczynić je przejezdnymi.

– Co to oznacza? – westchnęła Karen.

– Że musimy przeczekać. Przynajmniej jesteśmy tu bezpieczni, mamy dach nad głową. Gulam mówi, że na drodze stoją porzucone ciężarówki i samochody. Chcą znaleźć ich właścicieli.

– Zjedz trochę owsianki, kochanie – Karen podsunęła mężczyźnie blaszaną miskę.

– Żałuję, że nie kupiłem komórki w miejscowej sieci. Albo telefonu satelitarnego – spojrzął na ciemny ekran swojego BlackBerry.

Mair rozumiała jego obawy. Całkowite odosobnienie tego miejsca przerażało ją. Byli zależni od telefonu Gulama, dopóki działała jego bateria. Na razie było to ich jedyne i dość niepewne połączenie ze światem zewnętrznym.

– Ile według Gulama zajmie oczyszczanie dróg? – naciskała Karen.

– Jeśli nie napłynie nagle ogromna fala gorącego powietrza, to kilka dni.

– Naprawdę? Aż tyle? – Karen odwróciła się do Mair, zbierając burzę włosów w kok. – Mam nadzieję, że zabrałaś jakąś ciekawą książkę – powiedziała. – Możesz też pójść ze mną do klasztoru. Malowidła na ścianach są naprawdę fantastyczne.

Zapadła cisza. Lotus znalazła swoją lalkę pośród wilgotnych ubrań rzuconych na materac. Zaczęła mówić do niej po francusku.

Bruno powiedział, że pójdzie z Gulamem i zabierze resztę bagaży z samochodu. Będą musieli wykopać samochód spod śniegu, więc może to zająć trochę czasu. Karen nagle wstała, a zaraz za nią Lotus.

– Idziemy z wami. Zrobimy sobie spacer.

– Ulepimy bałwana – ucieszyła się Lotus. – *Oui*, tatusiu?

Bruno odpowiedział jej, że nie są w parku w Genewie.

– Nie bądź taki oschły – upomniała go Karen.

Nie chciała, by odwiódł ją od tego pomysłu. Potrzebowała świeżego powietrza. Nie tylko ona, skoro wszyscy mają być tu uwięzieni na resztę dnia. Odwróciła się do Mair.

– Ty też idziesz, prawda?

Mair pomyślała, że świeże powietrze może dobrze na nią teraz

podzielać.

W końcu Bruno zgodził się, by wszyscy poszli do samochodu. Uzbrojeni w łopaty pożyczone z domku dla gości wyruszyli na spacer we mgle. Gulam szedł przodem, a każdy krok naprzód sprawiał, że coraz bardziej niknął w ciemności.

Mróz był ostry i nie ustępował. Szli blisko skalnej ściany, powoli schodzili w dół po śladach pozostawionych przez kierowcę. Lotus złapała mamę za rękę. Pośliznęła się, ale Karen zdołała ją w ostatniej chwili złapać i uchronić przed upadkiem.

– Znowu – zaśmiała się Lotus, gdy pośliznęła się przy kolejnym kroku. Jej różowa twarzączka lśniła i odnosiło się wrażenie, że chłód w ogóle jej nie przeszkadza.

Zejsście trwało bardzo długo. Minął ich wspinający się pod górę mnich. Miał na sobie płaszcz, ale dolna część habitu była całkowicie przemoczona. Ogoloną głowę przykrył czapką z pomponem. Za nim kroczyła ciężko kobieta w podeszłym wieku. Na plecach dźwigała wiązkę drewna na opał, niemal tak dużą, jak ona sama.

„Życie w tym miejscu będzie toczyć się dalej, tak jak było to do tej pory, nawet w o wiele gorszych warunkach” – myślała Mair.

Dotarli do końca schodów i miejsca, w którym droga ostro i stromo zakręcała za wzgórzem. Mair starała się sobie przypomnieć, czy kiedyś już widziała to miejsce, ale Gulam znał drogę nawet w gęstej mgle. Doszli w końcu do punktu, gdzie droga była szersza i bardziej płaska. Śnieg i mgła wygładziły wszystkie kontury, dzięki czemu nawet zniszczona szopa i porzucony wóz wyglądały magicznie. Nieskazitelny biały dywan miejscami pokrywały ślady zwierzęcych łap. Minęli kolejny zakręt i ich oczom ukazały się porzucone pojazdy. Śnieg przysypał miejsca między nimi, a brudne zasy pyły się na poboczu, gdzie zrzucano śnieg podczas odkopywania samochodów. Obok tylnych drzwiczek jednego z nich znajdowały się ślady jakiegoś zwierzęcia i rozerwany worek pełen śmieci. Kawalki plastiku i obierki po warzywach wystawały ze śniegu.

Toyota była na samym końcu, na jej dachu utworzyła się kopuła ze

śniegu. Bruno i Gulam pospieszyli z łopatami w kierunku auta. Mair zatrzymała się, by złapać oddech. Coś kazało jej spojrzeć w górę w chwili, gdy powiew wiatru przegonił mgłę. Wysoko nad ich głowami, tak wysoko, że musiała odchylić mocno głowę, po niebie płynął tuzin białych kopułek z czarno-złotymi spiralami. Postrzępione flagi tańczyły między wierzchołkami, aż w końcu zniknęły zakryte gęstą mgłą.

Dotarł do niej dźwięk łopat wbijanych w zmrożony śnieg i głosy gdzieś w dole. Włączyła się prądnica, zakrzuszyła się parę razy i dalej szumiała w stałym rytmie. Tupnęła nogami i machnęła rękami, by przywrócić krążenie krwi, ale wciąż czuła się jak odłączona od własnego ciała. Jakby stała gdzieś obok i patrzyła biernie, jak życie toczy się bez jej udziału.

To, co zdarzyło się później, zapamięta na zawsze.

Karen wzięła do ręki dwie garści śniegu. Połączyła je ze sobą i uformowała kulę. Położyła ją na ziemi, by zacząć lepienie bałwana. Lotus bawiła się w śniegu obok mamy, a za nimi Bruno schylał się i prostował, machając łopata. Wyglądał jak czarna, poruszająca się plama. Lotus biegła w jej stronę, z szerokim uśmiechem, ukazującym szereg białych ząbków, z zaczerwienionym noskiem i rączkami uniesionymi w górę.

– Zrób skok, Mair – zawołała. – Zrób!

Mair spojrzała za siebie przez lewe ramię. Miała wystarczająco dużo miejsca, a śnieg w tym miejscu był już udeptany. Napięła mięśnie i zrobiła głęboki wdech.

Wtedy kątem oka zauważyła zbliżający się cień. Wyłonił się zza jednego z samochodów i położył przy górze śmieci. Ale już była w powietrzu, samochody, śnieg, niebo i cień obracały się wokół niej, gdy wykonywała salto. Wylądowała i usłyszała okrzyk zachwyty Lotus.

Gdy odzyskała równowagę, cień przemknął zaraz przed nią.

Skoczył z ziemi prosto na Lotus.

Krzyk dziewczynki zmienił się z radosnego w przerażony. Potem nastąpiła cisza, gdy Lotus upadła na ziemię.

Pręgowany pies stanął nad małym ciałkiem dziewczynki, ze

szczękami gotowymi do ugryzienia. Trząś się i warczał.

Karen krzyknęła i rzuciła się w stronę dziecka, ale to Bruno pierwszy dobiegł do córeczki. Kopnął psa w łeb z taką siłą, że zwierzę poleciało kilka metrów do tyłu, struga śliny ciekła mu z pyska. Zanim upadł na ziemię, Gulam uderzał jeszcze w jego czaszkę łopata. Pies znów szykował się do ataku, ale kolejne uderzenie sprawiło, że uciekł i zniknął we mgle.

Bruno podniósł Lotus i wziął ją w ramiona.

Jej twarz przybrała błękitnawy odcień, usta miała szeroko otwarte, ale spomiędzy nich nie wydobywał się żaden dźwięk. Przerażonymi oczyma zataczała ogromne kręgi. Na jednym z policzków widniał ślad po ugryzieniu. Krew zaczęła wypływać z brzegów poszarpanej skóry. Czapka zsunęła się z jej głowy, a włosy opadły na ramię jej ojca.

Otworzyły się drzwi i wyszli jacyś ludzie. Tam, gdzie była pustka, teraz pojawiły się twarze, dłonie i podniesione głosy.

Bruno biegł. Słysząc było ciężkie uderzenia jego stóp, gdy przemierzał drogę zasypaną śniegiem, mijał gapiów i wbiegał po tych samych schodach, po których przed chwilą zeszli. Karen ruszyła za nim. Mair podniosła czapkę Lotus i mocno zacisnęła palce na miękkiej wełnie. Biegając, słyszała ciężkie dyszenie Gulama za jej plecami i, daleko przed nią, drżący głos Lotus, pełen bólu i strachu.

Kiedy Bruno wbiegł na schody, zniknął we mgle. Mair nigdy nie widziała, by ktoś poruszał się tak szybko. Biegła po jego śladach, serce waliło jej jak młotem, a oddech stał się szybki i nieregularny. Słyszała krzyk dziecka. Dotarła do końca schodów i dziesięć metrów dalej z mgły wyłonił się zarys domku dla gości. Kolana się pod nią uginały, ale razem z Karen i Gulamem przebiegła dziedziniec.

W kuchni zobaczyła ludzi zebranych w kole i patrzących w dół. Bruno położył Lotus na najbliższym materacu. Klęczał koło niej i próbował uspokoić jej wrzaski i piski. Starał się oczyścić jej ranę, skrapiając ją wodą.

Rzucił przez ramię do zebranego tłumu:

– Przynieście więcej wody z mydłem.

Karen złapała jedną z kucharek za ramię. Mair spojrzała na Gulama, gdy ten wykrzykiwał polecenia. Był przerażony.

– Mamo – jęknęła Lotus, gdy Karen uklękła obok męża. Wyciągnęła rękę i pogładziła córkę po mokrych włosach.

– Już dobrze, małeńka. Nic ci nie będzie. Mamusia jest tutaj – powtarzała kojącym głosem.

Zebrani przekazywali sobie z rąk do rąk miskę z wodą. Ktoś podał mydło.

– Czysta ściereczka – zażądał Bruno.

Karen rozejrzała się po kuchni. W tym domu nie było nawet skrawka czystego materiału, a ich bagaże wciąż były w samochodzie. Mair zdjęła z siebie płaszcz i bluzę z polaru. Pod spodem miała bawełnianą koszulę, którą wczoraj rano włożyła w Leh. To było wczoraj? Zdjęła ją i z siłą, która zdziwiła ją samą, porwała materiał na kawałki. Bruno zamoczył fragment koszuli w wodzie i zaczął przemywać ranę. Karen podtrzymywała córeczkę. Mair przygotowała kolejny kawałek materiału, mocząc go w wodzie z mydłem.

Bruno podniósł głowę i spojrzał na żonę.

– Nie miała żadnych szczepionek – powiedział.

– Jakich szczepionek? – przeraziła się Karen.

– Wiesz, o czym mówię – szepnął.

Mair też wiedziała, ale starała się o tym nie myśleć. Kiedy ponownie spojrzała na Karen, zauważyła, że jej niezwykła uroda ustąpiła miejsca przerażeniu. Kręciła głową, próbując odgonić złe myśli.

– Nie – powiedziała. – To się nie stanie.

– Zajmiesz się tym? – Bruno zapytał Mair. Podał jej materiał i wskazał na miskę z wodą. – Często splukuj.

Bez zbędnych słów zajęła jego miejsce. Przerazenie i szok dziewczynki powoli ustępowały. Płakała, ale już znacznie ciszej, a gdy nadchodziły kolejne fale bólu, zaciskała pięści i wbijała stopy w materac.

Bruno złapał Gulama za ramię tak mocno, że pobielały mu kłykcie.

– Potrzebuję twojej komórki – powiedział.

Wspomnienia Mair z tego, co działo się później, zlały się w jedno.

Pamięta, jak Bruno godzinami mówił, krzyczał lub błagał swoich rozmówców przez pożyczony telefon. Jego czoło przecinały głębokie zmarszczki, a pod oczami pojawiały się sine cienie.

Kiedy bateria w telefonie rozładowała się, Mair zostawiła Beckerów z ich córką i poszła za Gulamem przez ośnieżone pola, do generatora, który słyszała po drodze.

Okazało się, że skończyło się w nim paliwo, ale mieszkańcy wioski poradzili, by udać się do klasztoru. Tam napotkali mnicha, który wysłuchał ich opowieści i kiwnął głową z beznamietnym wyrazem twarzy. Zdawało się, że czas stanął w miejscu. W końcu znaleziono inny telefon. Frustracja paliła Mair od środka. Doskonale rozumiała, przez co przechodzą Karen i Bruno.

Sygnał telefoniczny był bardzo słaby. Bruno łączył się z kimś, z lekarzem, pracownikiem konsulatu czy oficerem w wojskowej bazie medycznej, ale za chwilę tracił sygnał i musiał zaczynać od początku.

Informacje, które uzyskiwał, były bardzo ubogie i zmieniały się przy każdym telefonie. W Kargilu była szczepionka na wściekliznę. Albo w Śrinagarze. Albo nie było jej w całym regionie, tylko w Deli, i Lotus musiałaby zostać przetransportowana helikopterem. Tymczasem pogoda robiła się coraz gorsza. Wojskowy helikopter mógłby przylecieć po Beckerów dopiero jutro. Mgła będzie wisieć nad wioską co najmniej przez tydzień, więc żaden lot nie jest możliwy. Wkrótce oczywiście otworzą drogi. Drogi będą zamknięte do wiosny...

Po każdym telefonie Bruno rozpaczliwie chwycił się za głowę, jakby chcąc wyprzeć ze świadomości to, co wkrótce może nastąpić, ale chwilę później zrywał się, by kontynuować poszukiwania. Kiedy tylko powiadomił rodzinę swoją i Karen, robili, co mogli ze strony europejskiej i amerykańskiej, ale niełatwo było załatwić cokolwiek na tak dużą odległość.

Lotus leżała na kolanach Karen, która uważnie przysłuchiwała się rozmowom. Była coraz bardziej spięta i zmartwiona.

Wszyscy czekali w brudnej, ale ciepłej kuchni.

Pod koniec tego okropnego dnia z dziedzińca dobiegły dziwne hałasy. Gulam zawołał Brunona. Znalaziono psa, który zaatakował Lotus. Mieszkańcy otoczyli go i ukamienowali. Jego ciało wrzucono do worka i włożono do przybudówki. Jeśli kiedyś nadarzy się okazja wydostania się stąd, ktoś zabierze próbkę tkanki mózgowej psa i zawiezie ją do weterynarza. Gulam powiedział Mair po cichu, że nie ma wątpliwości, że coś tam znajdują. Już kiedyś to widział. Pewna zakonnica zmarła tu w zeszłym roku na wściekliznę. Kiedy zachorowała, błagała, by zabrano ją do szpitala, ale do żadnego nie dało się dojechać.

– Wiele dzikich psów – pokręcił głową i wzruszył smutno ramionami. – Próbuje zabijać, ale...

Mair przypomniała sobie, że czytała kiedyś, że nowoczesne środki weterynaryjne podawane żywemu inwentarzowi zatruły sępy, które zawsze sprzątały szczątki padniętych zwierząt. Gatunek sępów zagrożony jest wyginięciem, a co za tym idzie, pojawia się coraz więcej padliny, więc jednocześnie przybyło dzikich psów. A razem z nimi przysła śmiertelna choroba.

Stwierdziła, że pogodzenie się z sytuacją i wiara w to, co nieuniknione, są typowe dla buddystów. Ona sama postrzegала to zupełnie inaczej. Trzeba było zrobić wszystko, co było konieczne, i próbować zrobić jeszcze więcej. Ale walczyła ze sobą, by stłumić swoje myśli i pomóc Karen najlepiej, jak tylko potrafiła.

Pierwszy dzień ciągnął się w nieskończoność, ale nagle nastał drugi. A potem trzeci.

– Kiedy? – pytał zrezygnowanym głosem Bruno, rozmawiając przez telefon. – Ile jeszcze?

Lotus miała na policzku biały opatrunek. Zachowywała się już normalnie, najwyraźniej dochodziła do siebie. Nudziło ją to przymusowe zamknięcie, więc cała trójka robiła, co mogła, by ją czymś zająć i zabawić. Mair zauważyła, jak Bruno i Karen troszczą się i otaczają opieką swoje dziecko, ale coraz bardziej oddalają się od siebie. Każda wymiana zdań dotyczyła tylko tego, co trzeba było zrobić i co może wydarzyć się za godzinę lub następnego dnia. Intymność, której

kiedyś tak im zazdrościła, teraz gdzieś zniknęła. Żyli obok siebie, ale nie ze sobą. Mair nie mogła sobie nawet wyobrazić, jak wyglądały ich wspólne noce.

Trzeciego dnia Karen postanowiła zabrać Lotus do klasztoru, by tam pobłogosławił ją lama.

– Nie – powiedział stanowczo Bruno.

– Chcę to zrobić.

Bruno obrócił się w stronę Mair.

– Mogłabyś zabrać Lotus na zewnątrz na chwilę?

Wzięła dziewczynkę za rączkę i razem wyszły na dziedziniec. Mgła unosiła się nad dachami. Nie widać było nieba, cały świat był mdły i szary. Lotus była niespokojna i mocno trzymała rękę Mair, odmawiając postawienia kolejnego kroku. Chwilę później dołączyła do nich Karen. Jej blada twarz przybrała teraz szarawy odcień.

– Chodź, Lo, wrócisz do tatusia. Poczekasz na mnie, Mair?

Kiedy znów się pojawiła, błagała Mair, by ta poszła z nią do klasztoru.

– Mój mąż – zaczęła – nie pozwoli, by ktokolwiek błogosławił nasze dziecko. To, w co wierzę, nazywa zwykłym bełkotem.

Mair przypomniała sobie modlitwę.

W środku sali modlitewnej Karen padła na kolana. W przyćmionym świetle lamp rzędy mnichów siedziały ze skrzyżowanymi nogami przed oprawionymi księgami. Ich mamrotany śpiew nie miał początku ani końca, unosił się i opadał pod starożytnymi malowidłami brzuchatych bogów i bestii oraz złotych posążków. Na ścianach wisiały dziesiątki masek przykrytych czarnym muślinem, ponieważ wszystkie były zbyt straszne, by móc je oglądać.

Karen patrzyła prosto przed siebie i szlochała. Łzy ciekły jej po twarzy i bezgłośnie odmawiała modlitwę.

Mair też płakała. Z bezsilności.

Piątego dnia mgła przerzedziła się. Cienka warstwa przykryła niebo na jeszcze godzinę, ale potem pojawił się jasny błękit.

Bruno rozmawiał przez telefon zmęczonym głosem, ale nagle podniósł głowę i oznajmił:

– Leci do nas helikopter. Musimy zabrać Lotus bliżej rzeki. Tylko tam mogą wylądować.

Lotus została owinięta w koce. Bruno wziął córkę na rękę. Kilkuosobowa procesja zeszła po schodach z wioski Lamayur do wyznaczonego miejsca. W końcu na błękitnym niebie pojawiła się czarna kropka. Mair wcisnęła Karen do ręki kawałek papieru ze swoim adresem e-mail.

– Proszę. Daj mi znać, co się z wami dzieje.

– Oczywiście.

Bruno utkwiał spojrzenie w zbliżającym się do nich czarnym punkcie. Helikopter indyjskiej armii wylądował bez przeszkód, Beckerowie przebiegli pod śmigłem, weszli do środka i odlecieli.

Mair została kolejne cztery dni, póki nie oczyszczono drogi do Kargilu. Razem z Gulamem udali się w całodniową podróż do Śrinagaru.

Rozdział Szósty

Obie kobiety przycisnęły się między stolikami i parasolami, mijając kelnerów, którzy uginali się pod ciężarem tac z kolorowymi drinkami. Ponton zakołysał się łagodnie na tafli jeziora, więc Nerys wyciągnęła rękę, by utrzymać równowagę.

– Jesteśmy – zawołała Myrtle. – Bar nad jeziorem w Klubie Śrinagar.

Usiadła przy niewielkim stoliku i wskazała Nerys miejsce naprzeciwko. Myrtle wyjęła swoją papierośnicę i zapaliła papierosa ze złotą końcówką. Oparła się o wygodne poduszki, w skupieniu wypuszczając dym i obserwując uważnie ludzi w barze.

– Dla niektórych to centrum wszechświata.

– A dla ciebie nie? – zapytała delikatnie Nerys. Czowała się trochę niezręcznie w nowym miejscu. Wokół siedziały eleganckie kobiety, mężczyźni mieli na sobie dobrze skrojone stroje do jazdy konnej lub mundury najróżniejszych pułków kawalerii. Wszyscy się tu znali i dobrze czuli w swoim towarzystwie, cały czas się śmiali, jakby bez przerwy opowiadano tu niezwykle zabawny żart. Po drodze do stolika Myrtle przywitała się z co najmniej tuzinem ludzi.

Kelner w białej marynarce ukłonił się przed nimi i życzył im miłego popołudnia.

– Napijesz się koktajlu? – spytała Myrtle.

Nerys pokręciła głową.

– Poproszę herbatę – Myrtle uniosła brwi i Nerys zawahała się. –

Cóż, może...

– Dwa razy gin fizz – rzuciła Myrtle. – Nie, nie uważam tego za centrum wszechświata.

– Kochana, gdzie ty się podziewałaś? – Dobiegł ich czyjś wysoki głos. Z tłumu wyłoniła się kobieta i przycisnęła swój mocno upudrowany policzek do twarzy Myrtle. – Przegapiłaś cudowny sezon. Naprawdę, było tyle zabawy. Spójrz na siebie! Jesteś taka chudziutka. Wyglądasz, jakbyś mieszkała w dżungli. Co ty robiłaś w tych górach? Czy Archie jest tutaj z tobą? Jeśli tak, to zaraz mu powiem, co myślę o zabieraniu cię w dżunglę na wiele tygodni. Słyszałaś o Angeli Gibson? – szepnęła coś Myrtle do ucha.

Myrtle odsunęła się grzecznie, by nie słyszeć szczegółów rozmowy.

– Frances, pozwól, że ci kogoś przedstawię. Nerys, to pani Conway-Freeborne. Frances, to moja przyjaciółka, pani Watkins.

Pani Conway-Freeborne obrzuciła ciekawskim spojrzeniem gładką lnianą spódnicę Nerys i jej ręcznie robioną bluzkę. Nerys poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

– Dzień dobry – kobieta powiedziała zdawkowo. Znów szepnęła coś do Myrtle, ale podekscytowanie malujące się na jej twarzy nie odpowiadało atmosferze tajemniczości, którą chciała zachować, szepcząc. Nerys słyszała jedynie szczątki ich rozmowy: „Znów uciekła” i „Tym razem już do niego nie wróci, zapamiętaj moje słowa”. Starła się nie podsłuchiwać, więc skoncentrowała się na niezwykle widoku roztaczającym się przed nią. To był dopiero jej trzeci dzień w Kotlinie Kaszmirskiej. Do tej pory nie mogła do końca uwierzyć w to, co widzi.

Za nią były okna, flagi i markizy klubu, w którym Europejczycy przebywający w Kaszmirze spotykali się, by coś zjeść, poplotkować i zabawić się. W niewielkiej odległości znajdowała się Bund, główna ulica nowego miasta. Wzdłuż niej ciągnęły się sklepy o dziwnych nazwach, jak *U biednego Johna* czy *U cierpiącego Mojżesza*, które sprzedawały srebro i koraliki, figurki z papier-mâché oraz dywaniki, szale i jedwabne ozdoby. Nieco dalej stał jeden z siedmiu mostów w mieście,

przecinający rzekę Dźhelam. Na moście dostrzegła *tongę*¹⁴ ciągniętą przez konie i zmuszającą samochód jadący naprzeciwko do zatrzymania się. Rzeka stanowiła główną arterią starego miasta. Wiła się między drewnianymi domami na wodzie a kamiennymi *ghatami*¹⁵. Była pełna życia – wypełniona barkami i taksówkami wodnymi, a na jej brzegu miejscowi handlarze rozstawiali swoje stoiska. Nerys wyprostowała się na krześle. Miała tyle do zobaczenia i odkrycia, a wciąż siedziała tu z kolejną szklaneczką koktajlu, słuchając wybuchów śmiechu i plotek o ludziach, których nie znała.

Z klubu nagle doszedł ich dźwięk swinga, ktoś podgłośnił muzykę w gramofonie. Uderzyło ją to zestawienie: energiczna muzyka do tańca w połączeniu z tym, nieco sennym, i uderzająco pięknym krajobrazem. Przed nią, za linami i pokładami pontonów, było jezioro. W wodzie odbijały się cienie wysokich topoli, nad powierzchnią latały ważki, a za przycumowanymi łódkami widziała połyskujące fiolety i srebro. Nagły powiew wiatru zakłócił ten spokojny obraz, a odbicia wysokich gór zatrzęśły się i rozpląnęły. Późnopołudniowe słońce grzało dość mocno, ale w chwili, gdy zaczęło zachodzić, Nerys wiedziała, że wieczór będzie chłodny.

Dwa kaszmirskie zimorodki usiadły na linie zaledwie metr od niej. Na ich piórach widziała różne odcienie czerni i bieli. Ptaki spojrzały na nią, obracając czarne główki w tym samym momencie.

– Wybacz mi, proszę.

Przeprosiny Myrtle przerwały rozmyślenia Nerys.

– Co takiego mam ci wybaczyć?

Pani Conway-Freeborne wróciła do swojego stolika. Myrtle wypła szybko pół szklanki koktajlu i zaczęła bawić się pudełkiem zapalek z logo Klubu Śrinagar.

– Te klubowe plotki. Zawsze to samo. Zawsze złośliwe, rzadko

14 Tonga – lekki powóz konny służący za środek transportu w Indiach, Pakistanie i Bangladeszu.

15 Ghaty – kamienne schody prowadzące prosto do rzeki.

życzliwe.

Nerys zauważyła, że odkąd tutaj przyjechali, nastrój Myrtle bardzo się zmienił. Po drodze tryskała humorem, okazywała mnóstwo uczuć, była ciekawa wszystkiego, co ich otacza. Tutaj stała się bardziej powściągliwa i co chwilę zmieniała temat. Nerys, którą miasto olśniło widokami, do tej pory nie przywiązywała zbyt dużej uwagi do różnicy w zachowaniu przyjaciółki.

Przyjrzała się teraz uważnie twarzy Myrtle. Pionowe linie biegingy w dół jej czoła, a kąciiki jej szerokich ust zwrócone były w dół.

– Znasz tu chyba wszystkich – zaczęła ostrożnie.

Myrtle wzruszyła jednym ramieniem.

– To niewielka grupka. Stare twarze przekazujące sobie coś, co według nich jest najnowszą plotką. Dlatego tak bardzo cieszę się, że tu jesteś. Wnosisz tu prawdziwy powiew świeżości. Tego mi brakowało.

McMinnowie niezwykle luksusowo ugościli Nerys. Ich dom znajdował się na barce przycumowanej w cieniu drzew, daleko od miejsca, w którym teraz siedziały. Nie był to jednak taki dom, jaki wyobrażała sobie Nerys. Lokalne prawo zabraniało Europejczykom wchodzić w posiadanie nieruchomości w Kaszmirze, ale Brytyjczycy obeszlili je, kupując lub budując łodzie i barki, na których mogliby zamieszkać. Wzdłuż brzegów rzeki ciągnęły się rzędy zamożnych pałaców unoszących się na wodzie, a gdy ich właściciele zapragnęli zmienić widok z okna, musieli tylko zwołać odpowiednich ludzi i zacumować w innym miejscu.

Wszystkie łodzie miały wymyślne nazwy: *Rozkosz Kleopatry*, *Pałac maharadży*, *Królewska przyjemność*. Łódź McMinnów nosiła nazwę *Rajski ogród*. Była to szeroka, imponująca drewniana konstrukcja na płaskiej barce, pomalowana na jasny odcień karmelowego brązu. Barkę zdobiły kolumny i treliáže z drewna, liczne rzeźby i wieżyczki oraz duża weranda wychodząca na rzekę, a także białe zasłony zaciniające okna. W środku wszystkie powierzchnie zostały pokryte grawerowanym lub inkrustowanym drewnem cedrowym. *Rajski ogród* przypominał wypolerowane, słodko pachnące wnętrze pudełka na cygara.

W sypialni Nerys znajdowało się duże łóżko z baldachimem i miniaturowy kandelabr. W oknach zawieszono haftowane zasłony, a na podłodze leżał ogromny dywan. Jej łazienka, tak jak reszta domu, była wyłożona drewnem. Dwa zaparowane lustra, w których się co dzień z uwagą przeglądała, odbijały jej bladą nagość. Za każdym razem gdy chciała wziąć kąpiel, napić się herbaty lub zrobić cokolwiek innego, miała zadzwonić małym mosiężnym dzwoneczkiem stojącym na parapecie. Chwilę później do drzwi delikatnie pukał Majid, lokaj McMinnów. Kolejna, o wiele mniejsza łódka, na której mieszkała służba i gdzie gotowano jedzenie, była połączona z ich łodzią małym pomostem. Przez cały dzień dym unosił się z krzywego komina wystającego z ich dachu zakończony blaszaną czapeczką.

– Słucham, proszę pani? Gorącej wody? *Masala chai*? A może nieco *chota*¹⁶?

Nerys bardzo rzadko używała dzwonka. Nie chciała bez powodu zajmować Majida, choć wiedziała, że gdyby nawet wspomniała o tym Myrtle, ta zganiałaby ją.

Rajski ogród był wprost idealny. Czasem Nerys z rozbawieniem myślała, jak Evan zareagowałby na dekadentkie luksusy w nim panujące. Ale częściej jeszcze obawiała się, że zbyt długo korzysta z gościnności McMinnów. Jeszcze nie zaczęła szukać pokoju do wynajęcia, który byłby gotowy na przyjazd męża. Może znalazłaby coś w jednym z wysokich drewnianych domów, które wyrastały nad rzeką Dźhelam.

– Zostaniesz z nami, prawda? – naciskała Myrtle, jakby czytała w jej myślach. – Już nie przypominasz ducha, ale dobrze wiesz, że jeszcze zupełnie nie doszłaś do siebie. Powinnaś wypoczywać.

Każdego ranka Nerys długo leżała w łóżku. Majid przynosił jej śniadanie składające się z owsianki z pysznym miodem kaszmirskim i świeżych bułeczek. Kiedy Myrtle wychodziła, aby zadzwonić, zrobić

16 Chota – jedzenie przygotowywane w tradycyjny sposób.

zakupy lub towarzyszyć mężowi w czymś, co nazywała żmudnym udzielaniem się w świecie biznesu, Nerys miała czas tylko dla siebie – mogła godzinami czytać, wybierając książki na chybił trafił z imponującej kolekcji Archiego. Czasem siedziała, poddając się błogiemu lenistwu, wśród miękkich poduszek na werandzie, patrząc, jak słońce odbija się w wodzie. Czuła się już silniejsza, spokojniejsza.

– Już mi lepiej – mówiła do przyjaciółki.

Myrtle pstryknęła palcami na kelnera i wskazała na puste szklanki po drinkach.

Nerys zauważyła, że Myrtle piła dwa lub trzy mocne drinki i podczas kolacji była początkowo bardzo gadatliwa, później kłótliva, aż w końcu robiła się śpiąca. W fazie kłótlivosti Archie wyciągał dłoń, by złapać gestykulującą rękę żony, tak jakby próbował złapać motyla, i mówił do niej cicho:

– Już wystarczy, kochanie. Pora spać.

Myrtle zazwyczaj odpowiadała:

– Jest wcześnie. Włącz płytę, mój drogi. Mam ochotę tańczyć.

Tak było niemal za każdym razem.

– Dziękuję, mi już wystarczy – powiedziała Nerys.

Myrtle westchnęła i jeszcze mocniej zmarszczyła brwi.

– Zapomniałam już jak nudno może być w Śrinagarze. Nie nudzisz się, Nerys?

– Nie – zapewniała gorąco.

„Tobie trzeba jakiegoś pożytecznego zajęcia, Myrtle McMinn” – pomyślała. Z tego, co zaobserwowała, dni Myrtle składały się głównie z telefonowania, strojenia się, chodzenia na koktajle, a następnie leczenia się z nudy lub nadmiaru alkoholu. Co innego robiły te wszystkie kobiety, poza śmianiem się, popijaniem drinków i malowaniem paznokci?

Myrtle narysowała w powietrzu linię, dając znać kelnerowi, by dopisał drinki do rachunku McMinnów. Uśmiechnęła się do Nerys i

uścisnęła ją. Z jej czoła zniknęły pochmurne głębokie linie.

– Masz rację. Archie wróci dziś wcześniej do domu, więc chodźmy dotrzymać mu towarzystwa. Przepraszam za moje zachowanie. Frances naprawdę zdenerwowała mnie tymi okropnymi plotkami. Biedna Angie Gibson nie skrzywdziłaby muchy i jeśli w końcu zostawi tego strasznego męża, to życzę jej szczęścia. Zasluguje na kogoś lepszego. Chodźmy już. Wybaczysz mi?

– Nie mam ci co wybacać, moja droga – odrzekła Nerys.

Wzięły się pod ręce i przeszły obok pustoszejących stolików. Niebo nad jeziorem przybrało odcień ciepłego błękitu, typowy dla godziny między późnym popołudniem a wczesnym wieczorem. Była to pora dnia, w której Europejczycy wracali do domu, by przebrać się do kolacji i później spotkać w klubie.

Niewielki drewniany mostek łączył ponton z pasmem idealnie wypielegnowanej trawy przed budynkiem klubu. Kiedy przez niego przechodziły, ich obcasy stukały na deskach. Pierwszy tego wieczoru nietoperz przeleciał nad ich głowami. Światła w salonie klubu były włączone, a przy oknach widać było zarysy grupki ludzi.

Nerys dostrzegła mężczyznę o płowych, kręconych włosach, przyciętych byle jak, w przeciwieństwie do krótko ostrzyżonych, niemal żołnierskich, włosów mężczyzn, z którymi rozmawiał. Jego twarz spalona była słońcem, a ubranie wyglądało tak, jakby włożył je, nie zastanawiając się, co na siebie wrzuca. Miał głęboko osadzone oczy, szeroki tors i choć był średniego wzrostu, wydawał się większy od swoich kompanów. Mówił donośnym głosem, po angielsku, ale z obcym akcentem. Nerys usłyszała:

– Dlaczego nie? Odpowiedź powinna brzmieć „tak”. W górach nie ma miejsca na „nie”, moi drodzy. Musimy zapytać ponownie...

Kiedy przechodziły obok nich, uniósł głowę i zerkał z zainteresowaniem. Spojrzenia jego i Nerys spotkały się. Trochę wyprowadziło ją to z równowagi, zatrzymała się na ułamek sekundy, ale po chwili spojrzała przed siebie i poszła za Myrtle do salonu. Kiedy upewniła się, że nikt ich nie słyszy, zapytała:

– Znasz ich?

– Nie, dlaczego pytasz? Zaraz. Ten, co wygląda jak dzikus, nazywa się Stamm. Chyba nie jest Niemcem, prawda? Może Szwajcarem. Reszty nie znam.

W sali zrobiło się prawie pusto. Na samym końcu siedziała samotnie jakaś kobieta.

– To ktoś, z kim muszę porozmawiać – szepnęła Myrtle.

Kobieta trzymała gazetę, kierując ją w stronę światła, ale Nerys była pewna, że jej nie czytała. Obok niej stała filiżanka zimnej już herbaty.

– Caroline? – zapytała Myrtle.

Kobieta niechętnie odłożyła gazetę. Była bardzo blada, prawie przezroczysta, a przez delikatną skórę jej szyi prześwitywały cienkie niebieskie żyłki. Jasne kręcone włosy zaczesana na skroniach grzebykami z szylkretu, jej pełna dolna warga wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła zacząć drżeć. Nerys zauważyła, że była bardzo młoda, miała niewiele ponad dwadzieścia lat i niewinną, delikatną twarz.

– Caroline – powtórzyła Myrtle. – Jak się masz?

Caroline wzięła głęboki oddech. Uśmiechnęła się lekko.

– Wróciłaś.

Myrtle przedstawiła Nerys koleżance.

– Proszę mówić mi Caroline – powiedziała młoda kobieta, gdy Nerys próbowała nazwać ją panią Bowen. Najwyraźniej była pełnym przeciwieństwem pani Conway-Freeborne.

– Nerys – odpowiedziała.

– Czy Ralph tu jest? – dopytywała się Myrtle.

– Nie. Musiał jechać ze swoim pułkiem. Nie słyszałaś? Chyba najpierw czekają ich manewry, a potem misja. Może uda mu się dostać przepustkę, a może od razu zostaną rozlokowani. Ja sama nic nie wiem. Słyszałam to tylko od pani Dunkeley i innych żon.

Caroline zacisnęła palce na kolanach, w jej pierścionkach odbijało się światło. Nerys współczuła tej młodej żonie, pewnie świeżo po ślubie i zakochanej w swoim przystojnym mężu, oficerze, który teraz musiał jechać na wojnę.

Myrtle wyciągnęła rękę i złapała Caroline za podbródek, obracając delikatnie jej twarz w stronę światła.

– A co z tobą?

Cera dziewczyny była tak blada, że natychmiast dało się zauważyć zaczerwienienie pojawiające się na jej policzkach.

– Ja... – zacisnęła usta i odsunęła się od Myrtle. – U mnie wszystko w porządku, dziękuję.

Spojrzała na Nerys. Myrtle kiwnęła głową.

– Wpadnę do ciebie z wizytą – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Nerys zastanawiała się, czy tego właśnie chciała ta dziewczyna, bo wcale na to nie wyglądało. Przygryzała wargę, jej długie rzęsy przykrywały wystraszone nieco oczy.

Myrtle i Nerys pożegnały się i poszły w stronę pomostu, gdzie przewoźnicy *shikara*¹⁷ czekali na klientów.

– Tutaj, *memsahib* – krzyknął jeden z nich. – Tanio i szybko. Dokąd płynąć?

Gdy wchodziły na pokład, przytrzymał łódkę, by się nie kołysała. Łódź była wąska, z eleganckimi rzeźbieniami i wysokim dziobem. Pod płóciennym zadaszaniem znajdowało się miękkie siedzenie dla dwojga, z dywanikami i poduszkami. Nerys i Myrtle usiadły na miejscach, a przewoźnik odepchnął łódkę od pomostu. Był muzułmaninem, ubranym w długą szarą tunikę i jasnoczerwoną okrągłą czapeczkę. Przez ramiona przewiesił sobie szal, który miał chronić go przed zbliżającym się chłodem.

Myrtle powiedziała mu, dokąd chcą popłynąć, odepchnął łódkę wiosłem w kształcie liścia. Kiedy znów je podniósł, rozprysnęła się woda. Płynęli na środek jeziora. Słońce powoli zachodziło i chmury na wschodzie pokryły się złotem i czerwienią. Nad jeziorem unosiła się mgła, częściowo zasłaniająca dwa niskie wzgórza Śrinagaru, jedno zwieńczone fortem, a drugie starożytną świątynią. Himalaje były

17 Shikara – drewniana łódź pływająca po jeziorze Dal w Śrinagarze.

ciemną, dwuwymiarową masą na tle ciemnoniebieskiego nieba, na którym już zaczęły pojawiać się gwiazdy. Stare miasto lśniło żółtymi światłami, tak jak wyspy na jeziorze i ogrody po drugiej stronie. Łódź zdawała się unosić w powietrzu. Słysząc było jedynie rytmiczne uderzenia wiosła o wodę i nucenie przewoźnika. Nerys dawno się już tak nie czuła. „To takie piękne. Jestem szczęśliwa” – pomyślała.

Chwilę później usłyszała pstryknięcie zapalniczki Myrtle i zobaczyła, jak płomień oświetla jej ładną twarz.

– Biedna Caroline Bowen – powiedziała, robiąc głęboki wydech.

– Młodej żonie musi być bardzo ciężko, gdy jej mąż jedzie walczyć i nie wiadomo, czy kiedykolwiek powróci.

Zapadła cisza.

– Gdyby to było takie proste – powiedziała w końcu Myrtle.

– Co masz na myśli?

– Powiem ci to, co wszyscy już wiedzą – odpowiedziała po chwili.

Panna Caroline Cornwall przyjechała do Kaszmiru zaraz po ukończeniu college’u dla sekretarek w Londynie. Pochodziła z dobrej rodziny, ale jej rodzice już nie żyli. Matka zmarła, gdy Caroline była mała, a ojciec kilka lat temu miał zawał. Została ze swoją macochą, z którą żyła w dość dobrych stosunkach. Nie były sobie szczególnie bliskie, Caroline już przed ponownym ożenkiem ojca zamieszkała w internacie swojej szkoły.

– To smutna historia, ale nie jest, moim zdaniem, niezwykła – powiedziała cicho Nerys, myśląc jednocześnie, że nie może pojąć, jak ludzie mogą wysyłać swoje córki wychowujące się bez matek do szkoły z internatem. Nie mogła sobie wyobrazić, by jej nieśmiały ojciec mógł kiedykolwiek coś takiego zrobić. – Skąd się znacie?

– Poznałam ją na przyjęciu w rezydencji. Jej macocha jest spokrewniona z panią Fanshawe.

Pan Fanshawe był brytyjskim rezydentem w Kaszmirze. W eleganckich wnętrzach rezydencji w Śrinagarze, on i jego żona dwoili się i troili, by utrzymać dobre stosunki z brytyjskimi władcami i indyjskim rządem, maharadzą i jego dworem oraz kierowali zarówno

wojskowymi, jak i cywilami, którzy ich otaczali.

– Państwo Fanshawe są bardzo pragmatyczni, jeśli chodzi o niepodległość – powiedział kiedyś Archie McMinn. – Wspaniale się tu spisują.

Nie miała pojęcia, o czym mówił. Nie mogła sobie też wyobrazić, by kiedykolwiek była w stanie to pojąć, ponieważ Indie nie weszły jej w krew, jak stało się to w przypadku Myrtle i Archiego.

Myrtle opisywała, jak Caroline Cornwall pojawiła się w rezydencji.

– Została osobistą sekretarką pani Fanshawe. Jej jedynym obowiązkiem było dbanie o kwiaty i zarządzanie księgą gości oraz wysyłanie zaproszeń. Właśnie, musisz wpisać się do księgi. Jeśli nie zostawisz wizytówki, nie będziesz zapraszana na spotkania, koktajle, herbatki czy tenisa.

Myrtle śmiała się i Nerys, rozbawiona tym możliwym ponurym scenariuszem, dołączyła do niej.

– Nie mam wizytówki i nie umiem grać w tenisa.

– Mój Boże, to towarzyskie samobójstwo. Jak ty chcesz kogokolwiek poznać?

– Poznałam ciebie i Archiego. To mi wystarcza. Opowiadaj dalej.

– Panna Cornwall mieszkała tu sześć miesięcy, kiedy ogłoszono jej zaręczyny z kapitanem Ralphem Bowenem. Spotkali się, rzecz jasna, na przyjęciu po meczu polo, podczas którego kapitan Bowen zdobył trzy bramki. Niedługo później był ślub w angielskim kościele, gwardia honorowa i wesele w rezydencji.

– Brzmi to wszystko bardzo romantycznie.

– Tak się wydaje. To było mniej więcej rok temu.

– A teraz kapitan jedzie na wojnę.

– To akurat nic nowego. Większość mężczyzn z Armii Indyjskiej wyjechała. Gdy sezon letni w Śrinagarze się skończył, w mieście zostały samotne żony i kilka rodzin, których mężowie nie wyjechali, ale byli w rezerwie.

Myrtle nieraz wspominała, że miasto wyglądało zupełnie inaczej przed wojną.

Byli teraz na środku jeziora. Słońce już zaszło i niebo zmieniło kolor z lawendowego na ciemnoszare, gdy księżyc wyłonił się zza górskich szczytów.

– Nerys?

– Tak?

– Jesteś szczęśliwa w małżeństwie?

Początkowo, bez namysłu, chciała odpowiedzieć, że tak. Każda inna odpowiedź byłaby zdradą. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że ostatnio bardzo rzadko myślała o mężu. To niedopuszczalne dla kobiety, która przed Bogiem przyrzekała wytrwać w wierności.

Jednak najwięcej szczęścia dawało jej uczucie wolności. Właściwie po raz pierwszy w życiu, a na pewno pierwszy raz od dnia ślubu, czuła się sobą. Z drugiej strony, gdyby nie była żoną Evana, w ogóle by jej tu nie było, szczęśliwej czy nie. Mieszkałyby w Walii, uczyła w miejscowej szkole, wciąż niezamężna. Nie miała zbyt wielu innych adoratorów. Szczerze powiedziawszy, nie miała żadnych.

Nerys uśmiechnęła się na wspomnienie domu, kaplicy i doliny. Prawdą było, że Evan w niektórych aspektach nie sprawdzał się jako mąż: życie małżeńskie nie było usłane różami, jak sobie to wyobrażała, będąc jeszcze naiwną dziewczyną. Ale też nigdy nie wątpiła w to, że Evan jest dobrym człowiekiem. Szanowała go. Ich związek nie przypominał relacji między Myrtle a Archiem, ale przecież każde małżeństwo było inne.

Zaczynała też rozumieć, że prawdą było to, co ludzie mówili o tym, że rozłąka wzmacnia związek. Nie mogła się doczekać, aż zobaczy Evana w Śrinagarze, nawet w jego czarnych ubraniach duchownego wśród eleganckich żon z klubu. W jej głowie nagle pojawił się obraz jego rąk, ich splecionych palców.

Nagle zaczerwieniła się tak, jak Caroline Bowen i cieszyła się, że wokół panuje ciemność.

– Tak – powiedziała po namyśle i z przekonaniem. – Mogę powiedzieć, że jestem.

– Tak – powtórzyła Myrtle. Nerys nie miała wątpliwości, że w

duchu celebrowała własne szczęście, a nie Watkinsów.

Przed nimi pojawiły się światła *Rajskiego ogrodu* błyszczące pod ponurymi drzewami. W powietrzu unosił się zapach gotowanej przez Majida kolacji. Myrtle wrzuciła niedopałek do wody.

– Problem z Caroline polega na tym, że nie jest szczęśliwa. I nie wierzę też, że jej kapitan będzie w stanie kiedykolwiek ją uszczęśliwić.

– W takim razie bardzo jej współczuję – skomentowała Nerys.

Przewoźnik zarysował wiosłem koło w wodzie, zwracając łódkę w stronę schodków do ich domu.

Po chwili Myrtle dodała, nieco ciszej:

– To bardzo młoda dziewczyna, nieco naiwna, wierzy w romantyczną miłość. Nie ma zbyt wielu znajomych, którym mogłaby się zwierzyć. Jej męża nigdy nie ma, a ona szuka miłości i uwagi nie tam, gdzie trzeba, biedaczka. Oczywiście w Śrinagarze to nic niezwykłego, ale niestety Caroline wybrała nie tylko kompromitujący, ale i niebezpieczny sposób spędzania czasu. Kiedy tylko mi o tym powiedziała, ostrzegłam ją, by od razu z tym skończyła, ale patrząc na nią dziś wieczorem, sądzę, że tego nie zrobiła.

Dziób *shikary* delikatnie otarł się o schodki prowadzące do domku na łodzi. Przewoźnik złapał słupek i zacumował łódź. W tej samej chwili otworzyły się podwójne drzwi prowadzące na werandę *Ogrodu* i pojawił się w nich Archie.

– Jesteście wreszcie – stwierdził z zadowoleniem.

Myrtle przyłożyła palec do ust, by dać znać Nerys, że nawet Archie nie był wtajemniczony w to, co przed chwilą jej powiedziała.

Nerys złapała ją za rękę.

– Pani Bowen ma szczęście, że się z tobą przyjaźni – szepnęła. – I ja też.

Myrtle wybuchnęła śmiechem. *Shikara* zakołysała się, gdy kobiety wstały i Archie ruszył na pomoc przy wysiadaniu. Mężczyzna położył kilka monet na wyciągniętej dłoni przewoźnika.

– Dziękuję, *sahib*. Dobranoc, szanowne panie – powiedział mężczyzna i odpłynął w ciemność.

– Widzę, że dobrze się bawiliście – zauważył nieco ubawiony Archie. – Kto był w klubie?

– Ci, co zwykle – westchnęła Myrtle. – Nerys chyba nie była zachwycona.

– To nieprawda – zaprotestowała Nerys. – Raczej przerósł mnie czar tego wszystkiego. Spotkałyśmy kobietę, która stwierdziła, że Myrtle wygląda, jakby mieszkała w dżungli, ale i tak wydaje mi się, że chodziło jej o mnie.

Archie położył dłonie na ramionach obu kobiet.

– Nie mam pojęcia, o czym mówiła. Jesteście najbardziej eleganckimi i najpiękniejszymi kobietami w Śrinagarze.

Ze śmiechem przeszli do salonu.

Okrągły stół znajdujący się na środku został nakryty do kolacji. Kryształowe kieliszki, srebrne sztuce i wykrochmalony obrus kusily, by zasiąść przy nim jak najszybciej.

Zdobienia na drewnianych panelach błyszcząły w ciepłym świetle świec, a zapach wypolerowanego drewna przeplatał się z wonią dziesiątek ciemnobordowych róż ułożonych w misach na przyściennych stolikach. W srebrnych ramkach znajdowały się zdjęcia rodzin Myrtle i Archiego, z Anglii i Szkocji. Między nimi stały fotografie silników parowych i mostów. Praca McMinna przy indyjskiej kolei była też jego hobby, choć ostatnio coraz częściej wspominał, że skoro jego kraj zagrożony jest w wojnie, wołałaby mieć na sobie mundur.

Kolacja dobiegła końca, Archie jak zwykle podszedł do tacy z drinkami, a Nerys podążyła wzdłuż korytarza biegnącego przez dom. Szerokie deski skrzypiały miękko pod naciskiem jej stóp.

W pokoju zastała zaścielone łóżko. Ubrania wisiały w słodko pachnącej szafie, każda rzecz została uprana i starannie wyprasowana, buty świeżo wypastowane i ustawione równo na dolnej półce. Zdjęła zakiet i powiesiła go na wieszaku. Pomyślała z pewnym zaniepokojeniem, że łatwo byłoby jej się przyzwyczać do takich luksusów. Szybko jednak stwierdziła, że to dobrze, iż nie miała takiej możliwości. Za kilka dni musi zacząć poszukiwania domu do

wynajęcia, by przygotować się na przyjazd męża. Nie mogła przecież wiecznie nadużywać gościnności McMinnów. Miała bardzo skromny budżet, ale była pewna, że uda jej się znaleźć coś naprawdę wygodnego i przytulnego.

Majid zapukał cicho do drzwi i wszedł do środka.

– Jest pani gotowa? Przysłać gorącą wodę?

Chwilę później pojawiła się procesja pomocników Majida z emaliowanymi dzbanami z gorącą wodą, którą napełnili jej wannę.

Tego wieczora, podczas kolacji, Archie ogłosił, patrząc w oczy swej żony:

– Kochanie, za dwa dni muszę pojechać do Rawalpindi, a potem do Delhi. Dalej nie wiem, prawdopodobnie na wschód. Niestety, nie potrafię powiedzieć, na jak długo. Wystąpiły jakieś problemy na torach, które musimy rozwiązać przed manewrami.

Myrtle odłożyła widelec i nóż.

– Tak szybko? – zapytała.

Obie kobiety wiedziały, że nie warto pytać ani o to, na czym polegają manewry, ani o to, kiedy się odbędą.

– Zadzwonili dziś po południu. To koniec wakacji. I tak dobrze, że udało mi się dostać tyle dni wolnych.

– Oczywiście – zgodziła się Myrtle.

Napiła się wody. Majid, który po cichu stał w cieniu po drugiej stronie pokoju, podszedł, by napełnić jej szklankę z kryształowego dzbana.

– W takim razie ja i Nerys zajmiemy się sobą przez te kilka tygodni. Nie chcę jeszcze jechać do Delhi. Musielibyśmy otworzyć dom na dobre, a to na razie nie ma sensu.

Nie zamierzała narzekać. Poza tym, rozumiała, że jej mąż ma pewne obowiązki. Nie chciała jednak jechać na południe do ich zimowej rezydencji. W pustych pokojach czuła się bardzo samotna. A tym razem była pewna, że jej mąż musi wyjechać na długo.

– Masz rację – zgodził się szybko Archie.

Nerys pochylila głowę, by nie znaleźć się na linii ich spojrzeń. Gdy tylko skończyła jeść, przeprosiła ich, mówiąc, że musi napisać parę listów. Zostawiła McMinnów samych.

Krawiec miał swój małe zakłady między pierwszym a drugim mostem nad Dźhelam.

Archie wyjechał ze Śrinagaru poprzedniego dnia i Nerys z całych sił starała się być jak najlepszą towarzyszką dla Myrtle. Nie było to łatwe, ponieważ właśnie dostała list od Evana, w którym pisał, że interesy misji zatrzymały go nieco dłużej w Kargilu i nie uda mu się dotrzeć do Śrinagaru przed końcem października. Ta wiadomość bardzo ją przygnębiła. Czyżby nie chciał do niej przyjechać i zamieszkać tu z nią? Dlaczego praca zawsze była ważniejsza od niej? Zamiast spędzić, jak zwykle, popołudnie z książką na zaciętej werandzie *Rajskiego ogrodu*, zgodziła się towarzyszyć Myrtle w zakupach.

Krawiec wyprostował się jak struna, gdy zobaczył obie kobiety. Posadził je w fotelach, które zajmowały niemal całą podłogę, i szybko zaczął zdejmować bale materiału z półek.

– Jedwab, proszę pani. Najlepszy. – Kaskada jasnego materiału spłynęła na kolana Nerys. – Jedwab, len, czysta bawełna.

Srebrnoróżowe, lawendowe, jasnoszare, śnieżnobiałe. Nerys nie mogła powstrzymać się od dotyknięcia cudownych materiałów. Potrzebowała nowych ubrań, niekoniecznie tak pięknych jak ubrania Myrtle czy pani Conway-Freeborne. Miała nawet nieco własnych pieniędzy, kilkaset funtów odziedziczonych po dziadkach. Nie ruszała ich, ponieważ wierzyła, że któregoś dnia przydadzą się na zbudowanie domu – jej i Evana. Zastanawiała się też, czy nie przeznaczyć ich na cele charytatywne. Ale (ta myśl sprawiła, że poczuła się, jakby zgrzeszyła) może mogłaby przeznaczyć choć trochę dla siebie?

– Tweed – powiedziała Myrtle, odsuwając letnie materiały. – Nerys, potrzebujesz *pheranu*.

– Co to jest?

– Długi płaszcz z luźnymi rękawami. Jak peleryna. Ciepły i praktyczny. Tutaj wszyscy to noszą, gdy tylko nadejdą chłody.

Krawiec wrócił, uginając się pod ciężarem grubszego materiału. Prezentował jeden po drugim, dyskutując z kobietami o różnicach, porównując grubość splotów i debatując o wyższości drobnej fioletowej kratki nad zielono-czerwonymi paseczkami. Kiedy Nerys wybrała w końcu szaroniebieski tweed o odcieniu mgły nad jeziorem, musiała jeszcze przedyskutować mnóstwo szczegółów dotyczących kroju i stylu. Potem nastąpiło mierzenie, którego wyniki zapisano szczegółowo w czarnym notesie z kartkami cienkimi jak skórka cebuli. Na ciężkiej mosiężnej tacy przyniesiono samowar i podano herbatę, ze świeżo wyjętym z pieca chlebem.

Wszystko zajęło ponad dwie godziny, co zaskoczyło Myrtle, ponieważ tak ważne zakupy zwykle zajmowały jej o wiele więcej czasu.

– Będzie gotowe za siedem dni, *memsahib* – obiecał krawiec.

Przyjaciółki wyszły na zewnątrz. Myrtle włożyła ręce zaciśnięte w pięści głęboko do kieszeni spódnicy i spojrzała na wąską ulicę. Jej ciemne włosy były coraz dłuższe i luźne opadające loki oplatały łagodnie jej twarz. Usta pomalowała czerwoną szminką. Nerys pomyślała, że jej przyjaciółka wygląda wyjątkowo pięknie i elegancko.

– Jest 16:30. Muszę iść na spotkanie Koła Opatrunkowego – powiedziała Myrtle. – Raczej nie można nazwać tego dobrą zabawą, ale może chciałabyś mi towarzyszyć? Dostaniesz filiżankę herbaty i ciasteczko, chyba że ciasteczek już nie ma z powodu oszczędności.

Ta organizacja dla żon wojskowych i cywilów, zarówno z Wielkiej Brytanii, jak i z Indii, nazywała się właściwie „Wojenne Zaopatrzenia Szpitalne”. Wolontariuszki siedziały przy długich stołach, sortując i pakując opatrunki i bandaże dla rannych na froncie. Nerys wyobraziła sobie siedzące tam i plotkujące panie z klubu. Nie miała na to zbyt wielkiej ochoty, wołała pospacerować uliczkami starego miasta.

– Następnym razem. Teraz chyba sobie trochę pospaceruję.

Myrtle patrzyła na nią niepewnie.

- Spacer? Tutaj? Może popłynąć *sikharą* do ogrodu Shalimar?
- Jeśli się zmęczę, wezmę *tonga* – odpowiedziała z uśmiechem Nerys.

Przeszła obok maleńkiej piekarni w długim ciągu sklepów. W środku znajdował się dół wykopany w ziemi, wewnątrz którego piekarz pochylał się przed cylindrycznym piecem z gliny, opalonym od spodu drewnem. Nerys czuła ciepło na policzkach i czole. Pionowe ściany pieca wyłożone były okrągłym, na wpół upieczonym ciastem, które później stanie się przepyszny tradycyjnym kaszmirskim chlebem. Trzy muzułmanki z zakrytymi twarzami przeszły koło niej, a spocony piekarz podniósł się, by sprzedać im gorące bułeczki z najwyższej części pieca. Mimo że piła herbatę u krawca, zapach chleba z sezamem był zbyt kuszący, by mogła mu się oprzeć. Kupiła więc bułkę i zjadła ją, idąc w dół uliczką. Minęła sklepik z górą aluminiowych garnków i czajników, inny, specjalizujący się w sprzedaży sznurów i lin zwiniętych w piramidy lub zawieszonych na hakach. W kolejnych sklepikach znalazła beczki z olejem do smażenia, worki z ryżem lub wiązki drewna, które ważono na prowizorycznej wadze. Jakiś mężczyzna prowadził osła, który uginał się pod ciężarem stosu drewna, wyższego od samego zwierzęcia.

Kiedy Nerys dotarła do kanału, rozejrzała się na boki. Śrinagar poprzecinany był drogami wodnymi, zawiłym labiryntem kanałów łączących jeziora i rzeki, o wiele częściej uczęszczanym niż brudne ulice. Woda w kanale pokryta była jasnozielonym kożuchem, gdzieniegdzie przerywanym przez płynące łodzie, tylko po to, by odkryć ciemne odmęty wody pod nim. Jedna *shikara* miała zasłony chroniące pasażerów przed niechcianymi spojrzeniami, inna załadowana była ściętymi roślinami z pływających ogrodów na jeziorze.

Błotniste brzegi po obu stronach tętniły życiem. Kobieta z koszem myła talerze, inne strzepywały mydliny z prania o pobliskie skały. Nagie dzieci krzyczały i chlapały wodą, a dziewczyna wylewała pomyje

z miski. Wychudzona koza przywiązana do słupa stała w błocie, podczas gdy kurczęta drapały i dziobały w brudzie pokrywającym schody. Obok przepłynęła tratwa, ze stadem owiec i młodym pastuszkim. Gdy tylko łódka otarła się o przeciwległy brzeg, owce zgodnie wytoczyły się na uliczkę. Wysokie drewniane budynki górowały nad kanałem. Okna na górnych piętrach otwarto na oścież.

Nerys zastanawiała się, w która stronę skręcić. Drogę po jej lewej stronie zastawiały słupy i porwane zasłony zatłoczonego bazaru, gdzie sprzedawcy smażyli *pakorę* z koziego mięsa w poczerniałych beczkach z olejem. Po prawej widziała ceglane filary mostu. Przeszła kilka kroków i skręciła w pierwszą lepszą uliczkę biegnącą równoległe do kanału. Zapomniała już, gdzie pośród tej plątaniny ścian i zagłębień znajduje się sklepik krawca i piekarza. Utorowała sobie drogę wśród stosów śmieci i szła w stronę czegoś, co wyglądało jak kanał. Wóz na drodze zmusił ją do zmiany kierunku, wejścia w uliczkę tak wąską, że mogła nią iść tylko jedna osoba. Ostry zakręt prowadził w jedną stronę, potem zawracał. Niebo wyglądało, jakby pokryte było sznurkami, na których zawieszono ufarbowane materiały. W jej stronę szła grupa brodatych mężczyzn w czerwonych nakryciach głowy, przyparła więc do muru, by ich przepuścić. Nerys wiedziała już, że się zgubiła. Mogła jedynie iść dalej, póki nie dojdzie do kanału, skąd mogłaby zawołać *shikarę*, lub do drogi, która pomieściłaby *tongę*.

W miarę jak oddalała się od bazaru, tłum się przerzedzał. Czasem znajdowała się niemal sama wśród kamiennych murów i drewnianych okiennic. Kilkoro przechodniów patrzyło obojętnie na samotną Europejkę, która zapędziła się w rejony z dala od domów na barkach i od klubu.

Nerys pomyślała, że rada Myrtle dotycząca spaceru do ogrodu Shalimar zamiast tutaj była doskonała. Czuła się coraz mniej pewnie.

Zastanawiając się, czy kiedykolwiek uda jej się wrócić tam, skąd przyszła, zatrzymała się, by spojrzeć za siebie. Nagłe szarpnięcie za brzeg spódnicy znów ją obróciło. Wydawało się, że uliczka jest pusta, ale gdy tylko spojrzała w dół, ujrziała troje dzieci u swych stóp. Ich

twarzyczki były pokryte brudem, ale oczy świeciły jasno. Najstarsze z nich mogło mieć nie więcej niż pięć lat. Dziewczynka miała na plecach dziecko owiązane chustą. To jej brat złapał Nerys za spódnicę. Dziewczynka powiedziała parę słów, dziecko na jej plecach cały czas wpatrywało się w Nerys, bez mrugnięcia oczyma. Kiedy Nerys nie odpowiedziała, dziewczynka powtórzyła, patrząc na kobietę, jakby ta była głupia.

Przypomniły jej dzieci z jej szkoły w Leh. Tęskniła za nimi, za klaskaniem, śpiewaniem i nieśmiałym śmiechem, a nawet za niechęcią nauczania się czegokolwiek poza gramami.

Jej podstawowa znajomość języka ladakhi była tu zupełnie nieprzydatna, a nie zdążyła jeszcze nauczyć się ani jednego słowa po kaszmirsku. Próbowwała powiedzieć coś w hindustani, ale dzieci tylko wzruszyły ramionami i jeszcze mocniej ją ciągnęły. Nerys poddała się i poszła za nimi. Przeszli koło wychudzonego psa strzegącego wejścia do budynku, żebraka, który wycelował w nią swoją laską, i weszli do ciemnego korytarza. Na końcu znajdowała się zasłona z płótna. Nerys odsunęła ją i zajrzała do środka.

Zamrugnęła kilkakrotnie, jakby nie dowierzając temu, co widzi i rozejrzała się dookoła.

Był to niewielki pokój, cuchnący skisłym mlekiem i brudem. Sterta podartych koców na kilku workach wskazywała na miejsce, w którym sypiała rodzina. W drugim rogu znajdowało się kilka garnków i patelni oraz brudna szmata. Na środku pokoju siedziała młoda kobieta. Wyglądała na wycieńczoną. Jej włosy i ramiona przykrywała *dupatta*¹⁸. Bezkształtna bawełniana tunika tylko częściowo była w stanie zakryć jej przerażającą chudość. Gołe stopy były brudne i popękane. Kobieta pochylała się nad kołowrotkiem. Kiedy dzieci weszły do środka z Nerys, szpula z nitką upadła na jej kolana, a ona szeroko otworzyła oczy. Jej córka zaczęła, jak się wydawało, wyjaśniać, do czego może się przydać przyprowadzona przez nich kobieta. Dziewczyna powoli

18 Dupatta – szal przykrywający włosy, ramiona i górną część tułowia.

pokiwała głową, siląc się na uśmiech w stronę zakładniczki jej dzieci.

Z całego tego smutnego widoku to właśnie ten uśmiech poruszył Nerys najbardziej.

Chłopiec zaczął jęczeć i szczypać mamę. Jej uśmiech zniknął. Pogłaskała go po włosach, skręciła w dłoniach garść miękkiej wełny i zaczęła naciskać pedał przy kole. Nitka była tak cienka, że gdy się obracała, Nerys ledwie mogła ją dostrzec, stojąc niecały metr od kołowrotka.

Dziewczynka ze śpiącym dzieckiem na plecach sięgnęła między worki i wyciągnęła kosz. Rozwiązała supeł z juty, schyliła się i delikatnie wyjęła jego zawartość. Było to coś płaskiego i miękkiego, owiniętego w kawałek materiału. Kiedy dziewczynka odchyliła materiał, Nerys ujrzała niezwykłą feerię barw.

Z zapalem prezenterki dziewczynka potrząsnęła szalem i zakręciła nim w powietrzu, obracając się na piętach tak, że leciutka wełna zdawała się płynąć. Jej braciszek, uczepony boku mamy, klasnął dłońmi i uśmiechnął się szeroko. Nawet ciche do tej pory dziecko zaśmiało się. Uważając, by nawet róg jej skarbu nie dotknął brudnej podłogi, dziewczynka złapała szal w ręce i pokazała go Nerys. Miękkie tło paszminy miało bladoróżowy kolor, a na obu końcach znajdował się szeroki pas ze stylizowanymi kwiatami w odcieniach ciemnej czerwieni, zieleni i jasnego beżu. Dokładnie przyjrzała się arcydziełu, zaintrygowana jego delikatnością. Zauważyła, że druga strona tak bardzo przypominała przednią, że były niemal nie do odróżnienia. Jak wykonano takie cudo? Spędziły z Myrtle godzinę w sklepach wzdłuż brzegu, ale nie udało im się znaleźć podobnego szala.

– *Kani* – powiedziała zmęczona kobieta, jakby to cokolwiek miało wyjaśniać. – *Kani* – powtórzyła.

Dziewczynka skoczyła przed Nerys, trzymając miękką wełnę w zaciśniętych piąstkach.

– Rupie? Rupie?

Kobieta przytknęła palce do ust. Wszystkie linie na jej twarzy układały się w błaganie o pieniądze.

Nerys wyjęła skórzaną portmonetkę. Chłopiec wstał i objął ją za łydki, próbując dostrzec wnętrze portfela. Wiedziała, co jest w środku – kilka monet i banknoty o małych nominałach. Wystarczająco na przepływ *shikarą* przez szerokie jezioro, tyle by powrócić do *Rajskiego ogrodu*.

Nerys wytrząsnęła na swoją dłoń niewielką sumkę i wyciągnęła ją przed siebie, aby wszyscy mogli to zobaczyć. Ze wstydem zdała sobie sprawę, że za to nie kupiłaby nawet jednego drinka w klubie.

Dziewczynka odwróciła się. Zajął się ponownym zawijaniem skarbu w materiał. Kobieta pokiwała głową, wyciągając rękę po pieniądze. Schowała je do tuniki. Było jej wstyd, że potencjalna duża sprzedaż zmieniała się w zwykłą jałmużnę. Nie spojrzała więc w oczy Nerys. Chłopiec rozumiał, co się dzieje, i zaczął szczytać ramię matki, błagając ją o jedzenie.

Nerys odwróciła wzrok, smutna z powodu tego, co zobaczyła. Chciała uciec i znów znaleźć się w małej uliczce, teraz już zalanej światłem zachodzącego słońca, ale przypomniała sobie, że się zgubiła. Musiała spojrzeć w oczy rodzinie. Gestem pokazała im swoje zagubienie, potrząsając głową i rozkładając ręce. Matka powiedziała coś do dzieci i wróciła do pracy przy kołowrotku.

Trzymając brata za rękę, dziewczynka poprowadziła Nerys z powrotem obok śpiącego żebraka i psa. Skręcali właśnie za róg, gdy pojawiła się kolejna, większa grupa dzieci. Starszy chłopiec pisnął i złapał małą przewodniczkę Nerys za ubranie. Uderzyła go, krzycząc wniebogłosy, gdy reszta grupy rzuciła się na nią i jej brata. Napastnicy szukali pieniędzy, które musiała dać dzieciom Nerys. Ona sama odciągała dzieci i poganiała dziewczynkę i jej brata w górę uliczki, w stronę światła.

Zamieszanie przyciągnęło uwagę innych mieszkańców wąskich uliczek. W ich stronę zaczęła biec grupa znacznie starszych dzieci. Zignorowali rodzeństwo, ale rzucili się na Nerys i przyparli ją do ściany. Próbowali ich odepchnąć, gdy sięgali do jej kieszeni. Największy z szajki, młodzieniec z ciemnymi zaczątkami zarostu,

zerwał jej broszkę z pereł i brylantów, którą nosiła przy kołnierzyku bluzki.

– Oddaj mi to! – krzyknęła Nerys.

Otaczały ją wrogie twarze, ale poczuła ulgę, gdy zauważyła, że trójka najmłodszych dzieci zdołała się schować i uciec. Mogła teraz poświęcić całą uwagę na walce. Wyprostowała się i uderzyła chłopaka w klatkę piersiową. Zamiast się odsunąć, on podszedł tak blisko, że czuła jego oddech i pot na jego ciele. Z lękiem rozglądała się, dokąd mogłaby uciec.

Zacisnęła pięści i przebiegła pod jego ramieniem. Udawała, że ucieka w jedną stronę, chłopak pobiegł za nią, a ona nagle zmieniła kierunek. Przerazona dostrzegła zarys figury jakiegoś mężczyzny, stojącego u wylotu uliczki, którą biegła.

Nie mogła uciec.

Mężczyzna wyciągnął dłoń i chwycił ją za nadgarstek. Jego uchwyt był jak imadło. Zdziwiła się, gdy usłyszała, jak spokojnie mówi po angielsku, z lekkim akcentem:

– Proszę stanąć za mną.

Chwilę później znalazł się między nią a dziećmi. Powiedział coś rozkazującym tonem po kaszmirsku i dzieci natychmiast odsunęły się.

Nerys zdała sobie sprawę, że sylwetka mężczyzny była niewyraźna z powodu zwoju liny, który niósł na ramieniu. Rozwinął go na długość rozpostartych ramion i wyjął z wewnętrznej kieszeni nóż, którym przeciął linę na odmierzoną długość. Powoli przyłożył ostrze do ust i pocałował je.

Napastnicy Nerys patrzyli na niego w osłupieniu, a ona sama odsunęła się nieco, by lepiej przyjrzeć się jego działaniom.

Z nożem umieszczonym między zębami mężczyzna wziął w ręce końce odciętej liny i napiął ją na swojej klatce piersiowej. Potem złożył linę na pół i ponownie ją napiął. Złapał środek w lewą pięść i wyciągnął nóż spomiędzy zębów. Ostrze błysnęło raz jeszcze, gdy znów przecinał linę. Dzieci szepnęły coś między sobą i podeszły bliżej. Mężczyzna pozwolił największemu chłopcowi obejrzeć cztery końce liny wystające

z jego zaciśniętej pięści.

Uśmiechając się tajemniczo, mężczyzna związał ze sobą dwa końce i mocno zacisnął węzeł. Wyciągnął rękę w stronę Nerys.

– Czy byłaby pani tak miła i dmuchnęła na węzeł?

Zaintrygowana i wciąż przerażona bez zastanowienia zrobiła to, o co poprosił.

Mężczyzna wymachiwał związaną liną przed ich oczyma. Z chirurgiczną precyzją umieścił kciuk i palec wskazujący na węźle i zsunął go po linie.

Węzeł się uwolnił, a magik wyciągnął ku swoim widzom nierozciętą linę.

Dzieci westchnęły z zachwytem. Razem odsunęły się od magika. Machnął liną w ich stronę, smagając nią powietrze. Widząc to, uciekały, potykając się o siebie nawzajem. Chwilę później Nerys została sam na sam z iluzjonistą, a jedyne dźwięki, jakie ich dobiegały, to stukot dziecięcych stóp i skowyt psa.

Mężczyzna uklonił się. Był średniego wzrostu, ale miał szeroki tors i rozbudowane mięśnie oraz burzę płowych włosów. Już sobie przypomniała, gdzie go widziała.

– Może pójdzie pani za mną? – zapytał uprzejmie. Wrzucił kawałek liny do kieszeni, schował nóż i założył zwój na ramię. Po kilku zakrętach i przejściu przez uliczkę zarośniętą bujnymi chwastami, doszli do miejsca, gdzie rzeka Dźhelam skręcała. Wszędzie były światła, w wysokich domach i na kołyszących się łódkach, a skądś płynąca muzyka echem odbijała się w wodzie.

Mężczyzna zatrzymał się i znów uklonił.

– Nazywam się Rainer Stamm – powiedział, wyciągając rękę.

Uścisnęła mu dłoń.

– Jestem panią Watkins – zabrzmiało to bardzo chłodno, więc dodała: – Nerys Watkins.

– Miło mi panią poznać, angielska pani Watkins.

Śmiał się z niej. Nerys cofnęła rękę.

– Jestem z Walii – powiedziała.

– Przepraszam za mój błąd.

Myrtle twierdziła, że jest Szwajcarem. Na pewno nie Brytyjczykiem, tego Nerys była pewna. Był zbyt pewny siebie, zbyt szydery, z tym swoim uśmiechem. Za bardzo przypominał jej... Iwa?

– Dziękuję za pomoc.

Przystojny bohater patrzył na nią.

– Nie potrzebowała pani ratunku. Dobrze sobie pani radziła. Ja tylko dostarczyłem nieco wrażeń tej biednej grupce dzieciaków.

– Jak pan to zrobił? – Nerys z zaciekawieniem wskazała na koniec liny wystający z jego kieszeni.

– To sztuczka z przecinaniem liny. Czy chce pani zobaczyć? Może się przydać, gdy następnym razem zgubi się pani na bazarze. Tam jest mój dom. Razem z lekcją oferuję też coś do picia, skoro już się poznaliśmy.

Rainer Stamm wskazał na jeden ze starych domów zbudowanych z cegieł i drewna oraz ozdobionych rzeźbieniami. Ich okna wystawały nad wodę.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała grzecznie, lecz zdecydowanie. – Muszę już wracać do domu. Moi znajomi pewnie zastanawiają się, gdzie się podziewam.

– Oczywiście. Chyba widziałem panią w klubie z panią McMinn. Zawołałam przewoźnika.

Chwilę później *shikara* podpłynęła do schodków, na których stali.

– Te małe diabły pani nie okradły, mam nadzieję? – zapytał od niechcena.

Dłoń Nerys powędrowała do kołnierzyka jej bluzki.

– Najwyższy chłopak zabrał mi broszkę.

– „Chcę, żebyś ją miała” – naciskała Myrtle. – „Tobie pasuje bardziej niż mnie”.

Myrtle podjęła już decyzję i Nerys wiedziała, że wszelkie formy protestu pójdą na marne. Od tamtej pory nosiła tę broszkę niemal każdego dnia.

Rainer Stamm pochylił się do przodu i delikatnie przyłożył palec do

zagłębienia przy jej szyi.

– Przykro mi – szepnął.

Nerys zamarła, a on odsunął rękę. Przewoźnik pogwizdywał coś cicho, a ona odwróciła się w stronę rzeki.

Rainer podał jej ramię, by się o nie oparła, ale udała, że tego nie dostrzegła. Weszła niezdarnie na łódkę, która mocno się zakołysała, sprawiając, że prawie straciła równowagę, aż przewoźnik zawołał coś ostrzegawczo z dziobu. Usiadła na poduszkach, zirytowana własną niezgrabnością. Będzie musiała pożyczyć pieniądze za przejazd od Myrtle, gdy wróci do domu. Ale, jak gdyby czytając w jej myślach, Rainer dał mężczyźnie banknot.

– Jeszcze raz dziękuję – zawołała.

Rainer przytknął dłoń do czoła.

– Jezioro Dal, *Rajski ogród* – rzucił przewoźnikowi.

Chciał, by wiedziała, że on wie, gdzie mieszka. Ciężko jest dotrzymać kroku Rainerowi Stammowi.

Mężczyzna zanurzył wiosło w wodzie i łódź ruszyła.

– Dobranoc – zawołał magik, a jego głos niósł się po powierzchni wody.

Rozdział Siódmy

Zespół zaczął grać i sam maharadża poprowadził panią Fanshawe w pierwszym walcu podczas jesiennego balu w Rezydencji.

Nerys patrzyła na nich, stojąc pod ścianą. Pani Fanshawe w srebrzystej sukni z jedwabiu i z piórami we włosach została całkowicie przyćmiona przez swojego partnera, który miał na sobie zielonkawy surdut ozdobiony brokatem i ogromny szmaragd pośród masy innych, mniejszych kamieni, zdobiących jego turban. Chwilę później na parkiet wkroczyły kolejne pary, europejskie żony i ich córki w białych rękawiczkach do łokci będących dodatkiem do ich pięknych sukien balowych, zgodnie z protokołem rezydencji. U ich boków stali umundurowani brytyjscy i indyjscy oficerowie, postawni cywile w marynarkach, przystojni członkowie świty maharadży i reprezentanci wyższych szczebli wśród pracowników rezydencji. W powietrzu unosił się zapach suszonej lawendy, kamfory i pudru do twarzy.

Hinduskie żony nie tańczyły publicznie, ale były obecne podczas kolacji. Za sprawą jedwabnych sari wyglądały jak stado egzotycznych ptaków. Nerys zastanawiała się, czy ukryły się w drugim pokoju, aby móc podziwiać kaskady złotej biżuterii u koleżanek i móc bez przeszkód sobie poplotkować. Nad srebrnymi talerzami i kryształowymi kieliszkami goście rozmawiali o wyjątkowym, nietypowym dla tej pory roku chłodzie, o prawdopodobieństwie dotarcia wojny do Azji, niedogodnościach związanych z czekającym ich

racjonowaniem żywności oraz, szeptem, o najnowszym skandalu towarzyskim w Śrinagarze. Nerys była w mieście dopiero od trzech tygodni, ale poznała już Angelę Gibson, wokół której ostatnio krążyło najwięcej plotek, a jej męża widziała kilkakrotnie podczas różnych spotkań.

Zdała sobie sprawę, z jaką łatwością nawet ktoś tak mało towarzyski jak ona może zostać wciągnięty w ten wir plotek, przyjęć, zabawy.

Rozmyślając o ostatnich zdarzeniach swego życia, usiadła prosto i z czułością wygładziła spódnice swojej sukni balowej, pierwszej w jej życiu. Uszyto ją z różowego jedwabiu przez krawca Myrtle, na wzór sukni z żurnala „Poradnik mody dla kolonialnych dam”. Do niej przypięła bukiet. Parę długich białych rękawiczek pożyczyła od Myrtle. Przyjaciółka spięła jej włosy w kok, skropiła lekko francuskimi perfumami i zrobiła delikatny makijaż.

Kiedy skończyła, Myrtle odsunęła się, by przyjrzeć się swojemu dziełu.

– Nerys Watkins, masz usta jak gwiazda filmowa – powiedziała. – Gdybym była mężczyzną, z pewnością stanęłabym w kolejce do pocałunku.

– Co? – Nerys spojrzała z niedowierzaniem w swoje ledwie rozpoznawalne odbicie.

Myrtle otworzyła wieczorową torebkę wysadzaną koralikami i wyjęła ze środka złotą papierośnicę i zapalniczkę.

– Powiedziałam „gdybym”, moja droga. Ale skoro obie musimy sobie jakoś radzić bez naszych mężów, to kto wie?

Nerys uśmiechnęła się. Myrtle miała na sobie złotawą suknię z satyny. Z powodu swych krótkich czarnych włosów i krwistoczerwonych ust wyglądała dość egzotycznie, zwłaszcza w porównaniu do jej mocno upudrowanych rodaczek. Oczywiście natychmiast znalazła się w centrum zainteresowania mężczyzn, ale Nerys mogła postawić cały spadek po dziadkach (lub to, co z niego zostało po opłaceniu krawca) na to, że Archie McMinn nie miał się czego obawiać.

Rumiany pan Fanshawe tańczył fokstrota, prowadząc pulchną kobietę odzianą w purpurę. Nerys nie była nawet blisko takiego szczebla w drabinie towarzyskiej, by zostać zaszczyconą tańcem z panem Fanshawe, ale rezydent witał ją gorąco przed kolacją.

– Pani Watkins, witamy w Śrinagarze. Czy pani McMinn się panią opiekuje? Czy wkrótce dołączy do nas pani małżonek?

Wyjaśniła, że Evan ma bardzo dużo pracy w Kargilu, ale że ma nadzieję dotrzeć do Kaszmiru, nim rozpocznie się zima. Kiedy tylko to powiedziała, usłyszała ostrzegawczy szum zimnego wiatru, który szastał gałęziami platanów w ogrodzie.

– Nie mogę się doczekać spotkania z nim – zapewniał uprzejmie rezydent.

Nerys oglądała perłowe guziczki na rękawiczce. Co pomyślałby Evan, wiedząc ją w takim stroju, uszmińkowaną i wciąż dolewającą sobie owocowego ponczu?

Ale szybko wytłumaczyła sobie, że skoro go tu nie ma, nie miało znaczenia, co mógłby lub czego nie mógłby sobie pomyśleć.

Złote krzesło bezpośrednio przed nią stało odwrócone bokiem.

– Dobry wieczór, pani Watkins – usłyszała głos. – Nasza znajomość rozpoczęła się w wyjątkowo nietradycyjny sposób, ale mam nadzieję, że to nie stanowi przeszkody?

– Dobry wieczór, panie Stamm – odpowiedziała.

Nie miał butów do tańca z lakierowanej skóry, jak inni obecni na balu mężczyźni, ale parę solidnych butów do garnituru, lekko przybrudzonych błotem. Reszta jego ubioru była idealna i w istocie Stamm wyglądał o wiele lepiej od pozostałych mężczyzn.

Zespół grał nieco głośniejszy i szybciej, a żyrandole zdawały się świecić nieco jaśniej.

– Zatańczymy?

Był to niezwykły taniec, choć i na tym polu Nerys miała minimalne doświadczenie. Stamm prawą ręką złapał jej dłoń pod odpowiednim kątem i z odpowiednią siłą, a ona poczuła ciepło jego palców przepływające przez materiał białej rękawiczki. Jego lewa ręka

spoczywała swobodnie na jej plecach, a jego dotyk sprawił, że stała się bardziej świadoma obecności śliskiego materiału, który oddzielał ich ciała.

Płynęli po parkiecie. Kiedy w końcu udało jej się uchwycić spojrzenie partnera, zobaczyła, że jego oczy radośnie błyszczą. Pod nosem nucił melodię walca. Tańczyli tak blisko siebie, że czuła wibracje jego klatki piersiowej. W tańcu byli jednością, perfekcyjnie zgraną. Patrzyli sobie w oczy. Był tak dobrym partnerem, że Nerys poczuła się, jakby też potrafiła cudownie się poruszać.

– Ta sztuczka z liną była bardzo sprytna.

– Dziękuję. W takim razie musi pani zobaczyć inne moje sztuczki.

– Naprawdę jest pan magikiem?

– W magii nie ma nic magicznego. Cały sekret polega na ćwiczeniach i odpowiedniej prezentacji.

– Ojej, a ja wierzyłam, że udało się dzięki mojemu dmuchnięciu.

– Być może – szepnął.

Kiedy walc się skończył, stali naprzeciwko siebie w ciszy, ze złączonymi dłońmi, póki nie rozpoczął się kolejny utwór. Podczas tańca rozmawiali ze sobą jak starzy znajomi.

Chwilę później Nerys zauważyła, że Myrtle obserwuje ich uważnie z drugiego końca sali.

– Zdaje się, że przyciągnęliśmy uwagę twojej przyzwoitki – powiedział Rainer Stamm, który również dostrzegł panią McMinn. Nerys odsunęła się od niego, udając obrazę.

– Panie Stamm, jestem zamężną kobietą. Nie potrzebuję przyzwoitki.

Zaśmiał się serdecznie.

– Proszę, mów mi Rainer.

– Dobrze.

– Nerys – powiedział powoli, dopasowując sylaby do muzyki. – Więc, Nerys...

Jego dźwięczne „r” i świszczące „s” sprawiły, że Nerys pomyślała, że jej nudne imię zabrzmiało pięknie.

– Czy mogę cię o coś zapytać?

Rainer przysunął się bliżej.

– Te dzieci, z którymi byłam wtedy, kiedy mnie uratowałeś, te najmłodsze. Widziałeś je?

– Nie uratowałem cię, ale tak, widziałem je.

– Byłam w ich domu, ponieważ chcieli sprzedać mi pewien szal. Ich rodzina jest bardzo biedna.

– Wielu ludzi w Śrinagarze jest biednych.

– Wiem. Ale oni mnie znaleźli, a ja mam wrażenie, że ich zawiodłam.

Przez kilka dni po tamtym zdarzeniu Nerys często myślała o tamtej rodzinie i ich jednym, pustym pokoju, uporze dziewczynki malującym się na jej twarzy i o zmęczonym uśmiechu matki.

– Co więc chciałabyś dla nich zrobić?

– Jestem żoną misjonarza – zaczęła.

Wykonali szybszy obrót i dłoń Rainera mocniej dotknęła jej łędźwi.

– Tak? Czyli chcesz ich nawrócić? O to chodzi?

– Nie. Oczywiście staram się wspierać misję mojego męża, ale nie mam aż takiego... pragnienia, by ocalać dusze.

– Zakładając, że już nie zostały ocalone przez kogoś innego?

– Owszem. W zeszłym roku mieszkaliśmy w Leh.

Kiedy na nią spojrział, zauważyła, że jego oczy mają barwę karmelu.

– Byłem tam kiedyś.

– Uczyłam w tamtejszej szkole. Wiem, że dzieci niewiele się nauczyły, ale przynajmniej miały jakąś namiastkę szkoły. Dostawały porządny obiad, bawiliśmy się i śpiewaliśmy.

– W Śrinagarze też są szkoły.

Westchnęła.

– Oczywiście, że są.

Kończył się kolejny taniec i fala gości popłynęła w stronę jadalni. Nerys dostrzegła dziewczynę, którą razem z Myrtle spotkały w klubie. Caroline Bowen stała na środku sali. Policzki dziewczyny były mocno zaczerwienione. Jej partnerem był wysoki mężczyzna, który właśnie się

przed nią głęboko uklonił.

Nerys poczuła lekki niepokój, gdy palce Rainera przesunęły się po jej plecach, właściwie ich nie dotykając. Musiała mocniej skupić się na tym, co mówił.

– Ta kobieta była chyba tkaczką. Przykra prawda jest taka, że produkcja szali *kani* jest piękna, ale powolna i niezbyt popularna. Fabryki w Anglii i Szkocji mogą odtworzyć stare wzory znacznie szybciej i taniej. Potem eksportują je z powrotem na wschód, a lokalni przedsiębiorcy nie mają pracy.

Kani. To słowo powtarzała dziewczynka.

Nerys rozejrzała się po sali. Patrzyła na żony, bogate i kokieteryjne. Chwalały się strojami, prawdopodobnie nie najmodniejszymi, z powodu odległości od Europy i trwającej wojny, ale na pewno drogimi.

– Jesteś bogata, Nerys? – zapytał Rainer.

– Wręcz przeciwnie – odpowiedziała.

Jego twarz się rozluźniła i Nerys dostrzegła blade kreski wokół jego ust i oczu w miejscach, do których nie dotarło słońce.

– Jest jedna rzecz, którą mogłabyś dla nich zrobić. Jednak jestem zbyt zdenerwowany, by teraz o tym mówić. Pewien oficer kawalerii najwyraźniej szykuje się do skoku i odbicia mi ciebie.

– Nie znam żadnych oficerów kawalerii.

– Cieszę się, że to słyszę. Czy mogę odprowadzić panią na kolację, madame?

Nerys wzięła go pod rękę. Była oszołomiona tempem, w jakim rozwijała się ich znajomość. Musi powiedzieć Rainerowi, że Evan wkrótce przyjedzie do Śrinagaru i wyjaśnić, że planują wrócić do Leh, prawdopodobnie na wiosnę, aby dalej nieść pomoc potrzebujących. Tak będzie właściwie.

Na środku sali podniosła się wrzawa. Jakaś dziewczyna krzyknęła i tłum odsunął się na bok.

Nerys dostrzegła najpierw silnego, wysokiego, uśmiechniętego mężczyznę w długiej jedwabnej marynarce. Za nim pojawiła się Caroline Bowen, ze spuszczoną głową. Odchodziła od niego tak szybko,

że obcasem zahaczyła o tren sukni i niemal się przewróciła. Nerys chwyciła ją za rękę i pomogła złapać równowagę.

– Przepraszam – powiedziała cicho. Wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać lub roześmiać, jak gdyby nie wiedziała, na którą stronę przechyla się jej emocje.

– Wszystko w porządku? – zapytała Nerys.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Tylko zrobiło mi się gorąco. Potrzebuję powietrza – pomachała dłonią przed twarzą i ruszyła do wyjścia.

– Pójdę z tobą – powiedziała Nerys.

Z tłumu gości uśmiechających się ironicznie lub patrzących z zaciekawieniem wyłoniła się Myrtle. Stała po drugim boku Caroline i wszystkie trzy wyszły z sali. Po drodze Nerys obejrzała się przez ramię i zobaczyła Rainera, który spokojnie kiwnął głową.

W szerokim holu wejściowym do rezydencji było mniej ciekawskich. Myrtle trzymała Caroline za łokieć.

– Znasz ten dom. Gdzie będziemy miały trochę prywatności?

Dziewczyna zawahała się. Przy drzwiach stał lokaj w szkarłatnych szatach. Ukłonił się z szacunkiem i otworzył drzwi, gdy tylko rozpoznał Caroline.

Salon rezydencji był repliką saloniku w angielskiej posiadłości wiejskiej. Były tam sofy z obiciami z perkalu, przy nich stoliki ze stosami książek i magazynów. Przy oknie stał fortepian. Jedynie kwiaty, szkarłatne pacioreczniki, celozje i jaskrawe mieczyki, zamiast pachnącego groszku czy ostróżki, wskazywały na to, że dom nie znajduje się w Anglii. Myrtle poprowadziła koleżankę do jednej z sof i posadziła ją. Nagle całe ciało Caroline zaczęło drżeć. Przyłożyła ręce do twarzy i łkała, gdy łzy ciekły jej po policzkach i wsiąkały w rękawiczki.

Myrtle chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła.

– Posłuchaj mnie. Nie możesz, nie wolno ci, robić takiego przedstawienia. Nigdy więcej. Rozumiesz? Niezależnie od tego, jak jest źle, musisz zachować twarz. To twoja praca. Twój mąż jest żołnierzem Indyjskiej Armii, ty jesteś przyjaciółką rodziny Fanshawe. Zaslugują na

to, byś zachowywała się przyzwoicie.

Dziewczyna łkała jeszcze intensywniej.

– Nie dam rady – wykrztusiła. – Kocham go.

Myrtle westchnęła. Poklepała blade ramię Caroline i czekała, aż łkanie osiągnie swój szczyt, by zaraz potem zelżeć. Z torebki wyjęła chusteczkę do nosa i podała ją koleżance.

– Mam wyjść? – szepnęła Nerys.

– Tak – powiedziała Caroline, przełykając ślinę.

Myrtle odrzekła:

– Nie. Nerys jest moją przyjaciółką, więc jednocześnie twoją. Napijesz się wody?

– Wolałabym whisky.

– Chyba już ci wystarczy.

Na tacy stał dzbanek i dwie kryształowe szklaneczki. Nerys nalała wody do jednej z nich i dała ją Caroline. Dziewczyna wzięła szklankę i napiła się z niej.

– A więc... – Myrtle zaczęła, zapalając papierosa.

Nerys słyszała muzykę dobiegającą z sali balowej. Podczas przerwy obiadowej zespół usiłował grać utwór Debussy'ego, który jednak dość mocno obnażał ich braki.

– Kocham go – powtórzyła Caroline. Tym razem w jej głosie słyhać było nutkę przekory.

– Dobrze, skoro tak twierdzisz. Takie rzeczy się oczywiście zdarzają.

Myrtle spojrzała na Nerys. Zaciśnęła usta, by podkreślić powagę sytuacji, ale za chwilę mrugnęła okiem.

– Ale jesteś Brytyjką, mężatką. Istnieją sposoby na poradzenie sobie z czymś takim, zupełnie inne niż robienie sceny na balu. Co ty sobie myślałaś? Myślisz, że Ravi Singh jest zadowolony z takiego braku dyskrecji i skandalicznego zachowania?

– Nie chciałam zrobić sceny.

– Ale jednak ci się udało – ton głosu Myrtle wciąż był zimny, ale wzięła dłoń Caroline i umieściła ją między swoimi.

– Powiedz nam, co się dzieje. We trzy jakoś sobie z tym poradzimy.

– Dostałam list od... od mojego męża. Jego pułkowi w ostatniej chwili przyznano czterdziestoosmiodzinną przepustkę, więc przyjedzie tu jutro. Czekałam, aż Ravi poprosi mnie do tańca i zrobił to tak, jak powinien. Najpierw zatańczył z Rosalind Dunphy i Jean Whittaker, więc te stare wiedźmy nie miały powodów, by cokolwiek zauważyć. Potem mu powiedziałam. Myślałam, że on...

Na suknię Caroline spadły dwie kolejne łzy.

– Myślałaś, że przynajmniej będzie zazdrosny, prawda? Marzyłaś, że zabroni ci widzieć się z mężem. Że wsadzi cię na siodło swojego rumaka i razem pogalopujecie daleko stąd. Ale on tylko się uklonił i zmienił temat. Skomentował występ orkiestry, pogodę czy wiadomości? A ty swoje rozczarowanie i rozgoryczenie musiałaś pokazać wszystkim dookoła?

– To nie tak. Nie rozumiesz. – Caroline pobladła tak bardzo, że Nerys myślała, że dziewczyna z wymiotuje.

Myrtle otoczyła ją ramieniem i delikatnie przyciągnęła głowę dziewczyny do swojego ramienia.

– Próbuje zrozumieć – powiedziała. – Myślisz, że to twoja jedyna nadzieja na miłość, pierwsza, ostatnia i jedyna nadzieja, ale z pewnością domyślasz się, że Ravi Singh nie jest tym, kogo chcesz. Chodzi raczej o to, że jest przystojny i męski, i szeptał ci tak słodkie rzeczy, jakich nikt ci wcześniej nie mówił, prawda?

Caroline cicho pokiwała głową.

– Oczywiście, że tak. Jesteś śliczna i to schlebia jego próżności. Ale to tyle. Ravi poślubi kobietę, którą wybierze mu matka. Jest kuzynem maharadży, uznaną postacią w Kaszmirze. Niezależnie od twoich marzeń, od tego, ile mogłabyś dla niego poświęcić, rozwiedziona Angielka nie pasuje do takiego obrazka. Weźmie za żonę kogoś z rodziny Dogra, takiej jak jego, a wy o sobie zapomnicie.

– Nie – Caroline podniosła głowę. – Nigdy.

Myrtle ponownie ścisnęła jej rękę.

– Problemy są dwa, a ty je ze sobą mieszasz.

– Naprawdę? – chłodno odpowiedziała Caroline.

Od dużych niebieskich oczu i kręconych blond włosów, po naszyjnik z pereł wokół jej różowej szyi – zdaniem Nerys wyglądała jak przepiękna angielska róża w Indiach.

– Tak. Jeden z nich to Ravi i twoje zauroczenie nim. Nie, daj mi dokończyć. Drugim problemem jest Ralph. Jeśli nie potrafisz kochać własnego męża, jeśli nie możecie się dogadać, może nie powinnaś tracić swojego młodego życia na próbach. Po wojnie wszystko się zmieni, nawet małżeństwa. Jeśli chcesz go zostawić, pomożemy ci. Prawda, Nerys? Ale tylko jeśli chcesz stać się niezależna, a nie cały liczyć na łaskę Ravięgo.

– Nie mogę zostawić Ralpa – Caroline odepchnęła jej rękę. – To niemożliwe.

– Rozumiem – powiedziała Myrtle. – Cieszę się, że jesteś co do tego pewna. Ale jeśli masz zamiar być dobrą żoną jedynie oficjalnie i chodzić z wysoko uniesioną głową w Śrinagarze lub gdziekolwiek los poniesie kapitana Bowena, musisz być dyskretna. Nie powiem ci, że nie możesz mieć romansów, ale uważaj, proszę, kogo wybierasz. Romanse są nietrwałe. Nie polegaj jedynie na nich, bo mogą tego nie wytrzymać. Jak zresztą sama się przekonałaś.

„Jesteś tak mądra, Myrtle McMinn” – pomyślała Nerys.

Na twarzy Myrtle pojawił się wyraz współczucia, ale w niej samej nie było nic sentymentalnego. Była praktyczną osobą i nawet jeśli Evan uważał ją za nieco niemoralną, z pewnością ta kobieta kierowała się własnym kodeksem moralnym.

Caroline przygryzła wargę. Zmusiła się do uśmiechu, ale jej oczy wciąż były pełne smutku.

– Jesteś miła. Obie jesteście. Naprawdę to doceniam. Pójdę chyba do domu. Kiedy będziesz żegnać się z panią Fanshawe, powiedz jej, że źle się poczułam i poszłam, by jej nie przeszkadzać.

Na zewnątrz stał sznur samochodów gości. Na całej długości podjazdu do rezydencji ustawiono płonące pochodnie, których dym wznosił się w powietrze. Myrtle i Nerys pomogły milczącej dziewczynie wsiąść do *tongi*, a następnie wróciły do domu, by się pożegnać i

przekazać wiadomość pani Fanshawe.

– Bardzo miło z waszej strony, że zajmujecie się panią Bowen. Jest interesującą młodą kobietą, ale życie chyba jej nie oszczędza.

Lokaj pomógł Nerys i Myrtle włożyć płaszcze. Pod drzwiami podjechał właśnie jasnożółty rolls royce. Do niego, w orszaku pomocników i służących, wsiadł maharadża.

Obie kobiety siedziały pod zadaszeniem *tongi*. Przejechali pod łukiem z drzew, przez bramę i wjechali na szerokie ulice nowego miasta. Nowoczesne wille bogatych *panditów*¹⁹ i muzułmanów z Kaszmiru stały w otoczeniu zacisznych ogrodów. Żółte latarnie świeciły przez gałęzie pokryte jesiennymi liśćmi. Przy każdej bramie spacerował strażnik.

Myrtle odezwała się po długiej chwili milczenia.

– Wiesz co, gdybym to ja była żoną Ralphi Bowena, moje życie też nie byłoby łatwe.

– Co z nim nie tak?

– Archie mówi, że to facet na trzy litery.

Nerys nie miała pojęcia, co to znaczyło. Pomyślała, że może Rainer Stamm będzie w stanie jej to wytłumaczyć.

Następnej nocy młoda żona kapitana Ralphi Bowena po cichu rozebrała się w łazience małego wojskowego bungalowu. Od sąsiadów oddzielał ich płot i pas brudnej ziemi pełnej zarośli, z dumą nazywany klombem. Ściany bungalowu były cienkie i Caroline zawsze czuła, że musi poruszać się bardzo ostrożnie, by jej sąsiedzi nie wiedzieli, co robi o każdej porze dnia i nocy.

Uczesała starannie włosy i ułożyła je na ramionach, a następnie wyprostowała zagiętą falbankę peniuaru z jej nocy poślubnej. Ten krój idealnie pasował do jej sylwetki i delikatnie odsłaniał szyję i fragment dekoltu. Wiedziała, że jest piękna. Przez moment zastanawiała się, czy

19 Pandit – tytuł nadawany erudytom hinduistycznym i profesjonalistom w najróżniejszych dyscyplinach teoretycznych.

nie zrezygnować, ale wyrzuciła z głowy tę myśl i wyparła ją wyobrażeniem Ralpa leżącego na łóżku za ścianą.

Caroline próbowała się uśmiechnąć, ale odbicie w lustrze pokazało jedynie lekko uniesiony kącik ust. Bardzo słabo. Pociągnęła peniuar za poły tak, by odsłaniał jeszcze więcej, odrzuciła do tyłu włosy i uśmiechnęła się szerzej. Wyszła z łazienki.

Ralph Bowen czytał gazetę, w której zauważyła zdjęcie z polowania z psami. Było to bardzo stare wydanie leżące w ich domu od wielu miesięcy. Miał na sobie idealnie wyprasowaną niebieską piżamę. Powoli podeszła do jego strony łóżka i stanęła tak, by ją zobaczyć.

Cisza była straszna i deprymująca, ale przerwała ją wreszcie.

– Cieszę się, że nie śpisz – powiedziała niskim, kuszącym głosem.

Z ulgą zdała sobie sprawę, że słowa przeszły przez jej usta bez większego wysiłku. Ralph przewrócił stronę. Po kolacji wypił dwa drinki z whisky, ale nie był pijany. „To może pomóc”, pomyślała Caroline, „lub równie dobrze obróci się przeciw mnie”.

Już wcześniej to wszystko zaplanowała, ale trudniej było wprowadzić plan w życie, gdy jej mąż nie chciał nawet na nią spojrzeć. Powoli rozwiązała pasek szlafroka i zsunęła okrycie z nagich ramion. Na plecach i pośladkach czuła zimne powietrze. Wkrótce noce staną się lodowato zimne.

Peniuar leżał teraz u jej stóp. Caroline zrobiła płytki wdech i stanęła prosto, dumna i naga.

„Jesteś wyjątkowa” – pomyślała.

– Ralph, spójrz na mnie.

Odłożył gazetę i podniósł wzrok. Miał długie bezbarwne rzęsy, czerwoną twarz.

– Co robisz? – zapytał.

Caroline obróciła się najbardziej ponętnie jak mogła, pokazując mężowi pełne pośladki, krągłość bioder i płaski brzuch.

– Idziesz na wojnę – powiedziała cicho. – Jestem z ciebie taka dumna. Chcę być twoją, zanim wyjedziesz.

Odwróciła się w jego stronę i stanęła przy samym materacu. Ralph

patrzył na jej ciało. Przynajmniej odciągnęła go od czytania.

– Nie będziesz się ze mną kochać? – zapytała.

Odsunęła gruby koc, pachnący środkiem na mole, oraz lniane prześcieradło, które zostało niedokładnie wyprane przez ich *dhobi-wallah*. Położyła się na wąskim pasie między Ralphem a brzegiem łóżka, przyciskając swe ciało do ciała męża. Jednocześnie palcami zaczęła rozpinać guziki i rozwiązywać troczki jego spodni. Każdy fragment jego ciała był napięty. Każdy, poza tym najważniejszym. Leżał wiotko w jej dłoniach.

Zamknęła oczy, próbując się skoncentrować. Piersi oparła o jego tors i pozwoliła, by ciepło jej ciała rozplynęło się po jego klatce piersiowej. Początkowo leżał bez ruchu, ale potem bardzo niechętnie obrócił się w jej stronę tak, że leżeli twarzą w twarz. Pocałował ją w usta.

Zachęcona jego reakcją, Caroline głaskała go dalej, ale nic się nie działo. Tego się spodziewała, więc zamiast przerywać, przeciągnęła się namiętnie, kładąc się na nim. Podniosła się na łokciu, by móc spojrzeć na niego z góry. Jego słomkowe włosy opadły do tyłu, odsłaniając okrągłe, niemal dziecięce czoło. Szeroko otworzył oczy, z obwódkami zaczerwionymi od słońca i whisky, koncentrując się na znajomym widoku.

– Kocham cię – szepnęła Caroline.

Teraz, kiedy byli już na właściwej drodze, wszystko okazało się dość proste. Wszystko będzie dobrze.

„Żaden mężczyzna mi się nie oprze” – myślała. Ralph jęknął w jej ramionach. Poddała się namiętności chwili i pozwoliła, by wszystkie jej myśli zlały się w jedną.

Za pierwszym razem pojechali na piknik na wsi. Ravi zapewniał ją, że pojedą z nimi inni ludzie, ale gdy po nią przyjechał, siedział sam w wypolerowanym samochodzie, ze stosem koszyków na tylnym siedzeniu. Przyłożył jej dłoń do swoich ust.

– Wychodzi na to, że będziemy tylko my, piękna Caroline. Myślisz, że będziesz ze mną bezpieczna?

Była tak szczęśliwa, że nawet nie pomyślała o swoim

bezpieczeństwie. Zresztą ono i tak nie miało teraz dla niej znaczenia.

Wjechali na wiejską drogę prowadzącą wzdłuż wioski Pahalgam, mijali stada owiec i kóz. Było piękne popołudnie w środku lata. Gdy tylko wyjechali z miasta, znaleźli się w cieniu wierzb i topoli, mijali pola ryżowe pełne ludzi chroniących się przed słońcem pod stożkowymi kapeluszami. Wieś była piękna, pełna zieleni i bujnej roślinności, a gdy się zatrzymali, słyszeli jedynie cykanie świerszczy. Obok jabłkowego sadu znajdował się niewielki budynek. Ravi zdjął kłódkę i otworzył drzwi. W środku były podłogi z drewna cedrowego, poszarzałe od kurzu, piękne dywany i stara fajka wodna stojąca na niskim rzeźbionym stoliku.

– Co to za miejsce? – zapytała, przesuwając palcem po warstwie kurzu.

– Należy do mojej rodziny. Przyjeżdżaliśmy tu latem, nasycić się widokami. Choć, jak sama widzisz, nikogo tu od dawna nie było.

Z domku widać było góry. Ciemne drzewa iglaste porastały granie i stoki. Szczyty gór błyszczały na tle perłowoniebieskiego nieba. Caroline wiedziała, że tak jak wszyscy mieszkańcy Kaszmiru, Ravi kochał i szanował góry.

– Usiądź tutaj – powiedział.

Przez otwarte okna widać było pokrytą słonecznymi plamami trawę. Jasnożółte motyle szybowwały w powietrzu. Kiedy Ravi zaczął ją całować, zdawało jej się, że na całym świecie są tylko oni dwoje. Ponieważ zawsze skupiał się na tym, co robił, tak jakby nic innego nie miało znaczenia, wszelki pośpiech czy negocjacje nie miały sensu. Wiedziała, że taką samą uwagą obdarza swojego konia, powoli gładząc go po boku. W wielkim skupieniu kupował też klejnot w prezencie dla siostry, w takim samym skupieniu próbował lemoniady pewnego gorącego popołudnia. Teraz to ona była w centrum jego zainteresowań.

Piętnaście minut zajęło mu rozpinanie kołnierzyka jej koszuli i podwijanie rękawów, by odsłonić zagięcie przy łokciu. Nie po raz pierwszy ją całował: zrobił to podczas tańców, w ogrodzie i za zasłoną *shikary*, ale teraz nareszcie była ważniejsza od wszystkiego

wokół. Od chwili, gdy odsunął swoje usta od jej ust, do czasu aż fala ciepła przepłynęła z jej szyi do piersi, Caroline czuła się jak odurzona. Nie musiał jej o nic pytać. Pozwoliłaby mu na wszystko.

Nie. Sama by go błagała.

Ravi ostrożnie zdjął z niej ubrania. Ułożył jej buty, jeden obok drugiego, tak delikatnie, jakby były zrobione z waty cukrowej. Ciepłe powietrze otuliło jej skórę. Wokoło cykały świerszcze. Dotykał jej nagiej skóry, badał wcięcie w talii, wklęsłość wewnętrznej linii ud i delikatność palców u stóp. Potem spojrzał na nią ciemnobrązowymi oczami i powiedział:

– Jesteś olśniewająca.

Zachwycona własnym pięknem, po całym roku smutku i samotności, Caroline wygięła plecy w łuk na poduszkach leżących na dywanie. Zauważyła kontrast między kolorami ich skóry, śmietanka i karmel. Gdy Ravi zdjął koszulę, jej oczom ukazał się jego umięśniony tors. Lekko przesunęła po nim palcami i dotknęła miejsca nad sercem. Dostrzegła biel jego zębów, gdy się do niej uśmiechnął, by za chwilę klęknąć między jej udami.

Kiedy w nią wszedł, przy pierwszym szybkim ruchu wydała z siebie niekontrolowany jęk bólu. Zamarł, a ona po raz pierwszy od sześciu miesięcy, od ich pierwszego spotkania, zobaczyła zaskoczonego Ravięgo Singha. Odsunął się i oboje ujrzeli małą plamę krwi.

– To twój pierwszy raz?

Caroline pokiwała głową. Była żoną Ralphi od roku, ale to nie z jej winy nigdy się nie kochali. Cieszyła się, że straciła dziewictwo z Ravim, a nie ze swoim złym, wiecznie krytykującym ją mężem. Miłość przepłynęła przez jej ciało i umysł. Ravi ją ocalił i teraz należeli do siebie. Kwieciste łąki i zielony tarasy doliny stały się ich prywatnym królestwem.

Uśmiechnęła się do niego.

– Jestem szczęśliwa – szepnęła. – Już nie będzie boleć.

I nie bolało.

Kiedy Ravi się pozbierał, był wobec niej jeszcze bardziej delikatny i

czuły. Później trzymała go w ramionach i całowała jego powieki. Jego czarne włosy były wilgotne od potu, a twarz nie była już tylko piękna. Teraz należała do niej.

Włożył koszulę i spodnie, i pomógł jej się ubrać, zawiązując nawet sznurówki butów. Usiedli na poduszkach i wyjęli przygotowane na piknik owoce i gęsty żółty krem. Caroline jadła jedną ręką, śmiejąc się i rozrzucając jedzenie, które przed nią postawił, ponieważ palce drugiej ręki spłótła z jego palcami.

– Może opowiesz mi, dlaczego tak się stało? – szepnął, odkładając talerze i bawiąc się guzikami jej koszuli.

Caroline zarumieniła się.

– Mój mąż nie jest zbyt mocno mną zainteresowany.

– Nie wierzę w to. Jest żołnierzem, jeźdźcem i światowcem. To niemożliwe.

– Długo o tym myślałam. Wyobrażałam sobie... wszystko to, co wyobrażają sobie i o czym szepczą dziewczęta. Mówiłam ci, że moja mama nie żyje, a moja macocha przed ślubem pomagała mi jedynie w sprawach praktycznych. Nasze zaręczyny trwały krótko. Jednak po ślubie Ralph nie robił tego, co powinni robić mężowie. Nasz miesiąc miodowy trwał zaledwie tydzień. Potem wyjechał ze swoim pułkiem, a jeszcze później zachorował. Kiedy wyzdrowiał, znów musiał wyjechać. I tak minął rok – powiedziała obojętnym głosem.

– Rozumiem – przytaknął Ravi. – Czulaś się samotna.

Caroline mocniej się w niego wtuliła.

– Teraz to już nieważne. Jestem z tobą i to jest najważniejsze. Tak bardzo cieszę się, że to ciebie spotkałam.

Pomyślała, że dokładnie ta chwila, z cykaniem świerszczy i delikatnym powiewem letniego powietrza, słońcem otulającym ich ciała, miłością Ravięgo i jej nowym życiem, była tym, do czego prowadziło wszystko to, co do tej pory przeżyła. Było idealnie.

– Moja droga – powiedział, co ona przyjęła jako oznakę głębokiego uczucia.

– Kocham cię – szepnęła odruchowo.

Jego twarz zmieniła wyraz, wyglądał na nieco spiętego.

– Miłość? Wierzysz w nią?

– Oczywiście, że tak.

– Nawet po tym, czego nauczyło cię twoje małżeństwo?

Jego słowa trochę ją zmartwiły, ale zignorowała to. Spojrzała kochankowi prosto w oczy.

– Tak – powtórzyła gorąco.

Ravi, milcząc, przyłożył jej dłoń do swoich ust i po kolei całował każdy centymetr jej ciała.

Od tamtego dnia minęły cztery miesiące, a oni wymyślali dziesiątki okazji, by być razem. Poza sekretnymi godzinami spędzonymi z dala od wzroku innych, chodzili na tenisa, jeździli konno i korzystali z uroków lata w Śrinagarze. W ciągu tych długich tygodni Caroline nauczyła się, jak obchodzić się z mężczyzną. Prędko też zrozumiała, że nie można zbyt pochopnie mówić mężczyźnie o swych uczuciach. Zamiast tego droczyła się teraz i dąsała. Ale Ravi Singh już nigdy więcej nie był tak uważny i czuł jak za pierwszym razem. Ostatnio stała się coraz bardziej od niego zależna, nie miał przy niej chwili spokoju, poza momentami, gdy nadzy leżeli w łóżku. Zeszłej nocy, na balu w rezydencji, gdy podczas tańca powiedziała mu, że Ralph przyjeżdża do domu, bacznie przyglądał jej się spod ciemnych rzęs.

– Więc teraz wprowadzisz w życie to, czego się nauczyłaś ode mnie?

– zapytał z nonszalanckim uśmiechem.

Kiedy dotarło do niej, co miał na myśli, nie mogła otrząsnąć się z szoku.

Jej kochanek nie był zazdrosny. Był podniecony. Wyobrażał ją sobie robiącą z Ralphem to, czego nauczyła się od niego. I nagle zrozumiała prawdę, którą do tej pory ignorowała: Ravi nie czekał na właściwy moment. Po prostu zabawiał się z zamężną Angielką. Zrobił dokładnie to, przed czym ostrzegała ją Myrtle McMinn.

Po chwili szoku nastąpił wybuch wściekłości. Caroline rzuciła się na

niego z pięściami, jej obcasy ślizgały się po parkiecie. Ravi od razu odsunął się i uprzejmie uklonił.

– To wszystko? Tyle masz mi do powiedzenia? – podniosła głos tak, że pary tańczące obok nich zwolniły, by przypatrzeć się awanturze. Ravi spochmurniał, ale jej złość i desperacja były zbyt silne.

– Nienawidzę cię – wysyczała.

Przy ciekawskich spojrzeniach zebranych gości, odwróciła się od niego, potknęła o tren i prawie upadła na ziemię. Przyjaciółka Myrtle, a potem sama Myrtle, przyszły jej na pomoc.

To, co Myrtle powiedziała jej w saloniku, jeszcze bardziej uwydatniło prawdę. Miłość do Ravięgo Singha i bycie żoną Ralpa Bowena w ostatnim czasie przypominało zabawę niebezpiecznym fajerwerkiem, który w każdej chwili może wybuchnąć i zmienić się w pył.

Caroline miała teraz jednak coś ważniejszego na głowie. Była w sypialni z Ralphem.

Powoli zniżała głowę, policzkiem dotykała najpierw torsu męża, potem jego brzucha. Poczowała, jak napina mięśnie. Zamknęła oczy i podniosła głowę tak, by jej blond włosy muskały delikatnie jego krocze. Ralph wstrzymał oddech. Ona też. Otoczyła go ustami. Poczowała, jak się poruszył.

Nagle krzyknął:

– Co ty wyprawiasz, na Boga?

Odsunął ją i wyskoczył z łóżka. Podskakując na jednej nodze, wciągnął spodnie od pizamy, które wisały mu pod biodrami.

Caroline nie mogła w to uwierzyć. Twarz Ralpa przybrała purpurowy odcień, jego policzki drżały, był wściekły, zakłopotany i oburzony.

– Tak robią tylko dziwki! – krzyknął.

– Proszę, nie krzycz – szepnęła, w myślach widząc majora i panią Dunkeley siedzących w swojej sypialni w bungalowie obok. Przesunęła

się w górę łóżka i usiadła.

Ralph stał obok łóżka, kipiąc ze złości.

– Gdzie się nauczyłaś tych dziwkarskich sztuczek? Przyzwoite kobiety nie robią takich rzeczy.

Kolejną rzeczą, której Caroline nauczyła się dzięki swojemu romansowi, było udawanie. Otworzyła szerzej oczy, by wyglądać na całkowicie niewinną.

– Skąd wiesz, że tak robią prostytutki? W mojej książce nie było o tym nawet słowa.

– W jakiej książce? O czym ty do cholery mówisz?

– W *Poradniku młodej żony po miłości małżeńskiej* – wymyśliła na poczekaniu Caroline. – Kazałam wysłać ją sobie do domu. Nie martw się, opakowanie nic nie zdradzało. Pomyślałam, że przydadzą mi się jakieś rady, jak mogę zachęcić swojego męża.

– Zwariowałaś? Natychmiast oddaj mi tę książkę. – Ralph wyciągnął rękę, ale ona była szybsza.

– Przeczytałam ją i spaliłam. Nie mogłam ryzykować, że któryś ze służących ją znajdzie.

Patrzył na nią ponurym i podejrzliwym wzrokiem. Spojrzała mu w oczy.

– Jesteś ohydna – powiedział w końcu.

– Więc dlaczego się ze mną ożeniłeś?

– Ponieważ tak robią tacy jak ja. Biorą ślub.

– I potem tak właśnie żyją? Bez miłości, bez seksu, wzajemnie się nienawidząc?

– Być może. Nie dramatyzuj. – Podniósł gazetę, wziął swój szlafrok w kratę, zabrał papierosnicę i zapalniczkę ze stolika nocnego i ruszył w stronę drzwi.

Caroline bacznie mu się przyglądała. Spróbowała raz jeszcze, spokojnym tonem:

– Przepraszam. To twoja ostatnia noc. Może wrócisz do łóżka?

– Dobranoc – rzucił krótko i zamknął za sobą drzwi.

Położyła się.

Ravi.

„Jesteś wyjątkowa...”.

Najwyraźniej nie była wystarczająca pociągająca i przyzwoita dla swojego męża, by chciał z nią być. Caroline przez całą jej życie, całe dwadzieścia dwa lata, nie czuła się tak samotna i przestraszona. Leżała na łóżku i patrzyła na sufit. Jutro jej mąż wyjedzie ze swoim pułkiem. Na świecie trwa wojna.

Może lepiej by było, gdyby została wdową...

Myrtle i Nerys jadły śniadanie na werandzie Rajskiego ogrodu. Noce były zimne, ale tego ranka słońce świeciło jeszcze na tyle mocno, że mogły rozkoszować się śniadaniem na zewnątrz. Warstwa mgły wisiała jeszcze nad jeziorem. Na słupach do cumowania zasiadły ponure orły. Łodzie w oddali przepływały powoli i bezgłośnie. Myrtle czytała listy, sprawnie otwierając koperty nożem do papieru z rączką z kości słoniowej, przeglądając zawartość i umieszczając je na jednym z trzech stosików.

Nerys dostała tylko jeden list, od Evana. Pisał o pracy w Kargilu, trudach podróżowania do wioski na północy, nędzy, z którą musiał borykać się każdego dnia. W ostatnim zdaniu ogłosił, że zamierza zostać tam jeszcze przez kolejne dwa tygodnie.

Złożyła ponownie kartkę i włożyła ją do koperty. Usiadła głębiej w fotelu i w zamyśleniu popijała herbatę. Majid przyniósł dzban wody, zabrał puste talerze i po cichu odszedł. Czarno-białe zimorodki latały w górę i w dół, a do ich łodzi podpływała *shikara*. Fale utworzone przez dziób i wiosła kołysały liliami wodnymi, pozostawiając na każdej z nich małą kałużę, w której słońce odbijało się jak w lustrze.

– Dzień dobry – powiedziała Myrtle.

Przewoźnik podpłynął pod schodki prowadzące na barkę. Nie był sprzedawcą kwiatów ani mężczyzną, który przywoził świeżo złowione ryby z jeziora, owinięte w gazetę, ani żadnym znajomym handlarzem, który pływałby między łodziami. Podeszedł do schodków i nie

wchodząc na nie, wyciągnął ręce z paczką.

– Dostawa, proszę pani. Specjalna.

Myrtle spojrzała na przesyłkę i powiedziała do przyjaciółki:

– To do ciebie.

Nerys nie wiedziała, kto mógł być nadawcą. Dała przewoźnikowi monetę i użyła noża do papieru Myrtle, aby otworzyć opakowanie. W środku, owinięta w papier, leżała jej broszka.

Myrtle wiedziała o kradzieży. Z radością więc klasnęła w dłonie.

– Bardzo sprytne z jego strony. Nie myślisz, że cała ta przygoda była jedną ze sztuczek tego twojego Stamma? Może po prostu chciał ci zaimponować?

– Nie jest *moim* Stammem. Nie, wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak ci to opisałam. Broszkę zerwał mi dzieciak na starym mieście. Nie mógłby tego ustawić, nie zbierając i szkoląc tyle dzieci. A poza tym, dlaczego miałyby to w ogóle robić?

Spojrzała na dołączoną karteczkę. Rainer zastanawiał się, czy po ostatnim spotkaniu w rezydencji Nerys zechciałaby przyjąć jego zaproszenie na drinka. Oczywiście zapraszał też panią McMinn. Dziś wieczorem o szóstej. Podał adres swojego domu na starym mieście.

Nerys dała kartkę Myrtle.

– Wydaje się dość pewny siebie. O czym rozmawialiście?

Nerys zdawkowo, ale z przejęciem opowiedziała Myrtle to samo, co mówiła mężczyźnie.

– Pójdiesz tam? – Myrtle leniwie machnęła ręką, odsuwając dym z pierwszego w tym dniu papierosa.

– Tak, jeśli ty pójdziesz ze mną.

– Kochana, ja byłabym tam tylko przyzwoitką. Widziałam, jak tańczyliście.

Nerys spokojnie przypięła perłową broszkę do kremowego sweterka, tego samego, który miała na sobie na przyjęciu w Leh, ale tym razem porządnie przyszyła do niego guziki.

– Bardzo się cieszę, że odzyskałyśmy broszkę. Było mi źle, gdy ją straciłam, ponieważ dostałam ją od ciebie. Chciałabym podziękować

panu Stammowi osobiście, ale nic poza tym.

– Skoro tak mówisz. W porządku. Wystroimy się i pójdziemy do twojego adoratora. Co u Evana?

Nerys streściła jej zawartość listu.

– Kolejne dwa tygodnie? Powinien się pospieszyć – rzuciła z lekkim uśmiechem Myrtle.

– Wydaje mi się, że on wcale nie zamierza tu przyjeżdżać. – Ruchem ręki wskazała na bogate zdobienia *Rajskiego ogrodu*, poduszki na siedzenia z ręcznie haftowanymi liśćmi i kwiatami, jezioro i flagi Klubu Śrinagar powiewające w oddali.

Myrtle spojrzała na nią współczująco.

– Jak się z tym czujesz?

– Poślubiłam misjonarza. Wiedziałam, co się z tym wiąże.

– Rozumiem. Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę?

– Oczywiście.

Myrtle podniosła liścik od Rainera Stamma ze stołu i lekko nim pomachała.

– Myślę, że musisz się zabawić. Odzyskałaś zdrowie i siłę. Zaszalej, ciesz się wolnością przez te parę tygodni. Nie będziesz tego żałować. Zaufaj mi. Jestem mądrą i doświadczoną kobietą. Wiem, co mówię.

Nerys dobrze wiedziała, co dla jej przyjaciółki oznaczała zabawa. Mimo to roześmiała się, jednocześnie rozmyślając nad tym, jak Śrinagar i Myrtle McMinn zmieniały życie żony misjonarza.

– Zdaje się, że nie to doradzałaś Caroline Bowen.

– Ty jesteś dorosłą kobietą. Rozsądną i poważną. Możesz jedynie zyskać. Natomiast Caroline ma serce licealistki.

– Mówisz, bym zainteresowała się innym mężczyzną?

Myrtle szerzej otworzyła oczy.

– Ja nic pani nie doradzam, pani Watkins. Sama pani zdecyduje, co chce robić.

Rozdział Ósmy

Łódź *Salomon i królowa Saba* przycumowana była w pobliżu innych domów na barkach w wąskiej cieśninie na jeziorze, naprzeciwko rzędu hoteli z niebieskiego szkła stylizowanych na chińskie budynki. Wieczorem w tej części miasta znów nie było prądu, więc ulicznemu gwarowi towarzyszył szum generatorów. Światła samochodów rytmicznie przesuwały się po ciemnych frontach sklepów i kawiarni.

Shikara Mair płynęła w stronę domu na łodzi przez gęstą plataninę kwiatów lotosu wyrastających spod powierzchni wody. Kiedy dotarli na miejsce, Mair z ulgą zdjęła z siebie za- tęchły koc.

Przewoźnik podpłynął do schodków prowadzących na brzeg. *Salomon i królowa Saba* kołysała się łagodnie. Z drewna, z którego ją zbudowano, odpryskiwała farba, ale i tak łódź wyglądała lepiej niż inne z nią sąsiadujące. Niektóre niezamieszkałe łodzie były zniszczone do tego stopnia, że deski na ich pokładach całkowicie spróchniały, a w oknach widniały porwane strzępy zasłon.

Farooq, zarządca domu na łodzi, stał na werandzie i gdy tylko rozpoznał Mair, natychmiast ruszył, by pomóc jej wysiąść z *shikary*.

– Nareszcie pani przyjechała. Myślałem już, że wyjechała pani ze Śrinagaru. Kolacja gotowa.

Farooq podawał wieczorny posiłek dość wcześnie, by móc później odpocząć. Mair była zbyt zmęczona, by tłumaczyć mu, że o osiemnastej nie jest jeszcze głodna.

Jedząc curry i dhal, próbowała skupić się na czytaniu książki, ale w rezultacie wpatrywała się tylko w obrus i myślała o Beckerach.

Codziennie sprawdzała pocztę elektroniczną, ale wciąż nie było tam wiadomości od nich. Ani jednej wiadomości od Karen. Nie mogła w to uwierzyć.

Farooq zaczął sprzątać ze stołu, a ona poszła do swojej sypialni. Generator zasiliał jedynie małą lampkę na suficie, choć z łodzi obok dobiegały bardzo głośne dźwięki muzyki z filmów bollywoodzkich.

W głowie Mair pojawiły się obrazy zaśnieżonego Lamayur i małej dziewczynki w ramionach ojca, gdy wojskowy helikopter podchodził do lądowania.

Stwierdziła, że nie chce spędzić kolejnego wieczoru, siedząc samotnie w domu na łodzi i myśląc o ostatnich nieprzyjemnych zdarzeniach.

Włożyła ciepłą kurtkę, owinęła szczelnie głowę brązowym szalem kupionym w Leh i wsunęła zdjęcie babci oraz jej dwóch tajemniczych przyjaciółek do wewnętrznej kieszeni. Wyszła na werandę i pomachała do przewoźników czekających nieopodal. Po drodze dostrzegła niewielkie centrum biznesowe w jednym z hoteli z niebieskiego szkła. Tam mogłaby zamówić kieliszek wina. Na pokładzie *Salomona i królowej Saby* nie było nawet grama alkoholu.

Nadal żadnych wieści od Karen.

Mair szybko przejrzała nowe wiadomości.

Hattie odpowiedziała jej na poprzedni e-mail:

Wydajesz się smutna, dzielna dziewczyno. Jeśli wyjazd przestał cię cieszyć, może wrócisz do domu? Musimy się zobaczyć! Postaraj się nie martwić o tę małą dziewczynkę. Nie możesz nic zrobić, a brak wiadomości to pewnie dobra wiadomość. Tęsknię i całuję!

„Postaraj się nie martwić” – łatwo powiedzieć. Ale Mair nie miała zamiaru wracać do domu tylko dlatego, że nie wiedziała, co ze sobą począć, ani dlatego, że obawiała się o Brunona i jego rodzinę. Jutro wróci do prób rozwiązania tajemnicy szala.

Odpisała Hattie, starając się zachować radosny nastrój, a następnie

usiadła przy barze. Poza nią był tam jedynie starszy kelner w rdzawoczerwonej marynarce. Przy drugim kieliszku wina zamówiła frytki. Przy talerzu postawiono plastikowe pudełeczko z keczupem. Przeżuwając niedosmażone i przesolone frytki, oglądała fotografię trzech kobiet, którą oparła o dzbanek z wodą.

Patrzyły na nią trzy uśmiechnięte kobiety.

W tle widziała fragmenty rzeźbionego drewna i gładką powierzchnię wody pokrytą liśćmi lilii. Był to niewielki trop, ale teraz, gdy na własne oczy ujrzała jezioro i domy na barkach, była pewna, że zdjęcie zrobiono właśnie tutaj.

Jej babcia musiała zatem być w Śrinagarze.

Tajemnicza historia znów pobudziła jej wyobraźnię, na chwilę pozwalając zapomnieć o strachu o Beckerów. Mair zjadła ostatnią frytkę, teraz już zimną i tłustą. Wytarła palce i wsunęła zdjęcie z powrotem do kieszeni, obok koperty z puklem brązowych włosów.

Jutro – pomyślała.

Ulica na zewnątrz była słabo oświetlona, więc jezioro wyglądało jak czarna otchłań. Mair patrzyła w kierunku pomostu. Podświadomie zdawała sobie sprawę z obecności uzbrojonych żołnierzy Sił Bezpieczeństwa Granic Indii, odpoczywających na tyłach wojskowego pickupa. Zauważyła też zmniejszone natężenie ruchu ulicznego i to, że większość przechodniów stanowili mężczyźni w długich brązowych lub szarych koszulach i wełnianych bezrękawnikach.

Nagle ujrzała błysk i usłyszała przeraźliwy wybuch.

Ułamek sekundy później jej oczy poraziło silne białe światło. Nie słyszała żadnego dźwięku. Szok, którego doznała po wybuchu, wprost przesywał jej kości. Siła eksplozji odrzuciła ją, uderzyła plecami o ścianę sklepu. Stała tam, przyparta do ściany, aż w końcu zsunęła się do pozycji siedzącej. Gruz sywał jej się na głowę, więc podciągnęła do klatki piersiowej kolana i ramiona, by ochronić resztę ciała.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała w tej pozycji, wsłuchiwała się w swój nierówny oddech do chwili, aż kurz osadził się, a w oddali usłyszała stłumione krzyki.

Kiedy podniosła głowę nastąpił kolejny wybuch i wojskowy samochód natychmiast stanął w płomieniach. Słyszała tylko trzask ognia błyskawicznie pochłaniającego wszystko dookoła. W pobliżu rozległa się seria strzałów, dźwięk, którego nigdy w życiu nie słyszała poza salą kinową. Kule przebijały się przez żwir. Znow ukryła głowę i zaczęła łkać ze strachu i bólu.

Policyjny samochód przejechał szybko obok niej. Zauważyła, że przechodnie pochowali się w sklepach i hotelach. Wszyscy, poza dwiema osobami, których ciała leżały teraz bezładnie pośród kurzu i żwiru. Starszy mężczyzna z mocno zakrwawioną twarzą szedł powoli, wspierając się na ramionach dwójki ludzi.

Odgłosy strzałów ucichły wreszcie. Umundurowany mężczyzna przeszedł chwiejnym krokiem między nią a rannymi.

Mair spojrzała w innym kierunku i zauważyła, że drzwi hotelu, z którego wyszła zaledwie kilka minut temu, były teraz otwarte. Odźwierny machał do niej energicznie.

Podniosła się do pozycji klęczącej, wstała i zaczęła biec w jego stronę. Wiry światła po eksplozji wciąż jeszcze błyskały jej przed oczyma, co sprawiało, że trudno jej było poruszać się po linii prostej. Mężczyzna przy drzwiach złapał ją mocno za nadgarstek i niemal wciągnął do hotelowego lobby. W środku na szczęście było ciepło i cicho, dwie osoby stały za kontuarem, recepcjonista szybko mówił coś do telefonu. Na ladzie stał wazon pełen mieczyków, ten sam, który wcześniej dostrzegła, siedząc przy komputerze w centrum biznesowym.

Nie mogła uwierzyć, że to, czego przed chwilą doświadczyła, wydarzyło się zaledwie kilkanaście metrów dalej.

– Gdzie pani mieszka? – zapytał mężczyzna.

Mair odpowiedziała na pytanie.

– Proszę tu chwilę zaczekać.

Posłusznie podeszła do rzędu krzeseł i usiadła na jednym z nich. Trzęsły jej się ręce, a echo wystrzałów wciąż rozbrzmiewało w uszach. Zamówiła herbatę. Pijąc ją, obserwowała z niepokojem policyjne i wojskowe samochody przejeżdżające przed szklanymi drzwiami

wejściowymi hotelu. Po chwili ludzie znów wyszli na ulice, włączono prąd, jakby nic strasznego się nie wydarzyło. Wszystko znowu było podświetlone, nawet żółto-niebieski neon coli odbijał się w wodzie. Generatory ucichły, słychać było jedynie szum ruchu ulicznego.

Mair zawołała kelnera i zapłaciła za herbatę. Strzepała resztki kurzu i gruzu z szala i znów owinęła się nim. Wyszła na zewnątrz. Pierwszą osobą, którą dostrzegła, był stojący na pomoście Farooq. Przyszedł jej szukać.

Pickup przypominał teraz poczerniałą muszlę, z wewnątrz której wydobywały się kłęby czarnego dymu. Zabrano rannych, pozostawiając jedynie ciemny, kleisty ślad na żwirze. Miejsce odgrodzono białą taśmą, a trzech policjantów strzegło dostępu do miejsca zdarzenia. Poza rzędem wybitych okien, kilkoma poczerniałymi ścianami sklepów i nieco zmniejszonym natężeniem ruchu ulicznego, niewiele wskazywało na to, co wydarzyło się tu przed chwilą.

Mair ruszyła w stronę Farooqa. Pomachał do niej z ulgą.

– Nic się pani nie stało, *insallah* ²⁰?

– Nie, nic mi nie jest. A co z żołnierzem? I z innymi? Czy to była bomba?

Splótł palce dłoni i skinął w kierunku czekającej na nich *shikary*. Kiedy odплыnęli nieco od pomostu, ponownie zadała pytanie.

Farooq wymienił kilka zdań z przewoźnikiem.

– Słyszałem, że mógł to być granat, proszę pani. Kilku żołnierzy i mieszkańców miasta zostało poważnie rannych. To bardzo źle dla Śrinagaru.

– Tak – po cichu przyznała mu rację.

Następnego dnia, siedząc na werandzie swojego domu na łodzi, w bladym świetle jesiennego poranka, czytała wiadomości w anglojęzycznej prasie. Z sąsiedniej barki znowu dochodziły dźwięki bollywoodzkiej muzyki i głośnych rozmów. Na tyle łodzi kuchennej

20 Insallah – daj Boże.

dostrzegła białą czapkę Farooqa. W gazecie napisano, że poprzedniego wieczora pięcioro cywilów i dwóch żołnierzy Sił Bezpieczeństwa zostało rannych podczas ataku na wóz patrolowy w centrum miasta. Starszy komisarz policji obwieścił, że bojownik z Hizbul Mujahideen²¹ również został poważnie ranny w wymianie ognia, która nastąpiła po eksplozji.

Całe wydarzenie zostało opisane bardzo pobieżnie i zajęło tylko górny róg pierwszej strony, tuż obok zdjęć wybuchu pożaru w hotelu w innej części miasta. Mair wiedziała, że akty przemocy między buntownikami a indyjskimi Siłami Bezpieczeństwa były tak częste, że ludzie przestali przywiązywać do nich zbyt dużą wagę.

Shikara płynęła powoli wzdłuż rzędu domów na barkach, w większości pustych. W łodzi siedział sprzedawca kwiatów, zwany Panem Cudnym, co zresztą głosił napis na blaszanym szyldzie. Przycumował obok schodków prowadzących na *Salomona i królową Sabę* i wstał, wyciągając w kierunku Mair bukiet świeżo ściętych kwiatów w najróżniejszych odcieniach czerwieni, szkarłatu i pomarańczy. Uśmiechnął się przy tym szeroko.

– Proszę pani, życzę wszystkiego dobrego. Proszę je kupić, tylko trzysta rupii. Nie ma dużo klientów.

Mair nawet nie próbowała się targować. Wzięła ogromny bukiet i zatopiła twarz w chłodnych, wilgotnych od rosy płatkach. Pan Cudny odpłynął szybko, by jego klientka nie zmieniła zdania, a Farooq pokręcił głową z dezaprobatą. Według niego Mair stanowczo przepłaciła.

– Są takie piękne – powiedziała, jakby chcąc się usprawiedliwić przed sobą.

Do wczoraj to miasto wydawało się jej bezpiecznym i pięknym. Potem zobaczyła, w jaki sposób ludzie podnieśli się i dalej żyli, jak gdyby nic się nie stało. Wtedy nieco inaczej spojrzała na miasto. Było zniszczone i zubożałe, ale przede wszystkim dumne. Mair poczuła, że w jej sercu rodzi się podziw i zachwyt dla tego miejsca.

21 Hizbul Mujahideen – dosł. „święci wojownicy”, grupa bojowników działająca w Kaszmirze od 1989 r.

Farooq przeszedł obok niej, uzbrojony w szmatkę i puszkę pasty. Zaczął pieczołowicie wycierać stolik.

– Pewnie zechce pani teraz wrócić do Anglii – spojrzał na nią, nie chcąc tracić jedyne go gościa, ale jednocześnie mając nadzieję na pozbycie się go.

– Nie – powiedziała Mair. – Jeszcze nie teraz.

Później, w czwartym już z rzędu sklepie, który odwiedziła tego dnia, starszy sprzedawca wziął od niej szal. Podszedł do okna, przyłożył lupę do oka i uważnie przyglądał się materiałowi. Zdążyła się już do tego przyzwyczaić. W tym czasie Mair oglądała wystawę kosztownych szali z paszminy w okropnych, typowych dla sklepów dla turystów, kolorach. Te najdroższe wykończone były pasami z ręcznie haftowanymi tureckimi wzorami. Przypomniała sobie stada kóz na podmokłych polach Changthangu oraz przetwórnię w Leh. Ten sklep w Śrinagarze był odzwierciedleniem ostatniego etapu podróży włókna, choć brakowało mu jednej, niezbędnej rzeczy.

Nie było w nim klientów, którzy kupowaliby materiały.

W każdym z czterech sklepów była sama ze sprzedawcą. Mogła jedynie mieć nadzieję, że w jakimś pięciogwiazdkowym hotelu w innym miejscu w Indiach lub w drogich sklepach na Piątej Alei znajdzie się wiele zainteresowanych szalami kobiet z dużą ilością pieniędzy do wydania.

Zasłonka z koralików na tyłach sklepu delikatnie zadrżała, mimo że nie było wiatru. Najwyraźniej Mair była obserwowana, prawdopodobnie przez kobiety z rodziny sprzedawcy.

Mężczyzna wrócił za ladę.

– Bardzo przetarty – westchnął, odkładając lupę na kontuar.

Pokazał jej żółtawą plamę i wskazał na lekko postrzępione nitki jedwabiu. Czyste kolory liści i kwiatów wyglądały zupełnie jak prawdziwe. Mair uśmiechnęła się do mężczyzny. Gołym okiem widać było, że szal był wyjątkowy i piękny. Nigdy w to nie wątpiła.

– Co może mi pan o nim powiedzieć?

Sprzedawca wzruszył ramionami. Wskazał na małe odwrócone

inicjały BB i towarzyszące im znaki.

– Ma siedemdziesiąt lat. To znak bardzo małego zakładu, już zamkniętego. *Kani*. Taki szew na końcu widziałem tylko raz. To ładny szal, ale kopia. Gdyby był prawdziwy, zapewne byłby teraz w muzeum.

Po chwili dodał:

– Szkoda. Ale dobrze pani zapłacę, jeśli chce pani go sprzedać.

Mair znów się uśmiechnęła. Koraliaki na zasłonie delikatnie zabrzączały.

– Dziękuję. Zatrzymam go.

– Może popatrzy pani na nowe szale. Podarki dla koleżanek. Niedługo święta.

Był typowym kaszmirskim sprzedawcą prezentującym już swój towar na ladzie.

– Może następnym razem.

Przeszła sto metrów, myśląc o tym, gdzie mogłaby pójść, by napić się spokojnie herbaty i zjeść jogurt, gdy nagle ktoś pociągnął ją mocno za rękaw. Odwróciła się, zaciskając uchwyt na torbie z szalem. Zobaczyła starszą kobietę, jej twarz zasłaniał biały szal.

– O co chodzi? Czego pani chce? – wyrzuciła z siebie szybko wystraszona nieco Mair.

W odpowiedzi poczuła, jak kobieta wciska jej do ręki kawałek papieru. Chwilę później nieznajoma odwróciła się i zniknęła w tłumie. Mair rozwinęła kartkę i zobaczyła zapisany na niej adres.

Niełatwo było znaleźć to miejsce. Ukryte było w labiryncie uliczek w starej części miasta, więc zmuszona była, żywo gestykulując, pytać chyba kilkanaście osób o wskazówki. Szła przez zaśmiecone podwórka, na których stada kur dziobały ziemię, między rozpadającymi się chatkami, obok warsztatów farbiarzy i garbarzy, mijała otwarte okna, w których kątem oka dostrzegała kobiety pochylone nad krosnami. Mijała sklepiki, w których handlowano ryżem i suszoną fasolą wysypującą się z jutowych worków. Wszędzie ciągnęły się nitki kanałów, czarne od

brudu lub pokryte zielonymi porostami. Ale w końcu dotarła do celu. Bezzębny starzec siedzący na połamanym plastikowym krześle na środku uliczki wskazał jej otwarte drzwi.

Mair stanęła przy wejściu i zajrzała do ciemnego korytarza.

– Halo? – zawołała. Chwilę później powtórzyła, tym razem nieco głośniej. – Halo?

Na szczycie schodów pojawiła się para nóg w dresowych spodniach. Jakiś głos zapytał:

– Kogo pani szuka?

Mair nie czekała na zaproszenie. Weszła do środka i gdy spojrzała w górę, zauważyła młodego mężczyznę w szarej bluzie z kapturem. W domu nawet nie zwróciłaby na niego uwagi; mijając go na ulicy, pewnie nie dostrzegłaby czarnej brody i mycki.

– Skierowano mnie tutaj. Chciałam to komuś pokazać...

Mówiąc to, wyjęła szal z torby i przytrzymała go jak wejściówkę za kulisy. Mężczyzna nie torował jej drogi, ale też nie odsunął się, by pozwolić jej przejść.

– Miałam nadzieję, że ktoś tutaj powie mi coś o moim szalu – powiedziała, podnosząc nieco głos.

Z pokoju na górze dobiegł jakiś głos i chłopak rzucił coś przez ramię w odpowiedzi. Mair prześliznęła się obok niego, uśmiechając się grzecznie. Zajrzała do pokoju pełnego młodych mężczyzn siedzących po turecku przy ścianach. Okna po obu stronach pomieszczenia były otwarte na oścież, więc w pokoju panował przyjemny chłód.

Jednocześnie podnieśli głowy i spojrzeli na Mair. Na ich kolanach leżały kawałki materiałów z miękkiej wełny. Wszyscy zebrani szyli.

– Przepraszam – powiedziała coraz mniej pewnym głosem.

– W czym mogę pomóc? – zapytał jeden z mężczyzn, podnosząc się z miejsca. Wyglądał na nieco starszego niż inni, mógł mieć dwadzieścia kilka lat. – Czy chce pani kupić szal?

– Niestety, nie.

Wyjaśniła, że przysłano ją tutaj i podała nazwę sklepu, który dziś odwiedziła. Kobieta, która dała jej ten adres, musiała podglądać i

podsluchiwać zza zasłonki z koralików. Większość mężczyzn z powrotem pochyliła głowy i wróciła do szycia, jakby tracąc zainteresowanie cudzoziemką. Zauważyła, że tylko jeden z nich nie szył, a jego dłoń była poczerniała od farby. Słychać było rytmiczne uderzenia, gdy zanurzał kawałek drewna w farbie i przyciskał go do delikatnej paszminy.

– Proszę za mną – powiedział uprzejmie mężczyzna.

Mair poszła za nim do biura bez okien, na tyłach warsztatu. Na suficie wisiała jarzeniówka, a jedynymi meblami były tanie laminowane biurko i dwa krzesła.

– Jestem *karkhanadar* – powiedział. – Zarządca pracowni. Mam na imię Mehraan.

– Miło mi poznać. – Tym razem Mair wiedziała, że nie należy podawać ręki muzułmaninowi. Pokazała mu szal, rozwijając go na blacie biurka.

Mehraan nie miał lupy. Wziął do ręki materiał i bardzo delikatnie przesunął po nim ręką. Minęła minuta, potem kolejna. W końcu spojrzał na nią.

– Rozpoznaję to.

– Proszę, powiedz mi coś o nim – powiedziała błagalnym tonem.

Mężczyzna patrzył na nią z zaciekawieniem, bez żadnych uprzedzeń czy wrogości. Mair obserwując go, doznała uczucia, że wreszcie znalazła kogoś, z kim będzie mogła porozmawiać.

– Nie chcę go sprzedać ani dowiedzieć się, ile jest wart. Przyjechałam tutaj, by poznać jego historię. Należał do mojej babci, matki mojej mamy, która, z tego, co wiem, była tutaj siedemdziesiąt lat temu. Tylko tyle.

Mehraan pokiwał głową. Najwyraźniej w ten sposób myślał o tym, co chciałby powiedzieć.

– To piękny szal. Jego wytwórca pochodził z tej samej wioski co mój dziadek.

Mair uśmiechnęła się szeroko. Z oddali dobiegło ich śpiewanie muezina, jego głos niósł się po dachach budynków starego miasta.

– Przepraszam. Muszę udać się teraz na modlitwę – powiedział.

– Proszę, pomóż mi. Wiem, że ten szal wiele znaczył dla mojej babci. Żeby poznać jego historię byłam w Changthangu, potem w Leh, aż w końcu dotarłam tutaj. Podejrzewam, że ty możesz powiedzieć mi coś więcej.

Mehraan zawahał się.

– Jeśli pani chce, może tu pani poczekać. Niedługo wrócę.

Odwrócił się i ruszył za resztą mężczyzn w dół schodów. Wsunęli białe stopy w rzędy plastikowych japonek i zabłoconych tenisówek stojących przy wejściu. Mair usiadła, wsłuchując się w stłumione dźwięki klaksonów i gdakanie kur. Postanowiła rozejrzeć się po pracowni. Kolorowe szale leżały na matach, a małe listki i kwiaty na ich wykończeniach powoli nabierały kształtów.

Mężczyźni wrócili pół godziny później. Najmłodszy z nich nie miał nawet piętnastu lat. Pomyślała, że powinien raczej biegać za piłką po boisku. Zanim znów opuścił głowę, spojrzał przelotnie na Mair. Od razu zauważyła jego zmęczone i mocno zaczerwienione oczy.

– Chodźmy – powiedział Mehraan. – Napijemy się herbaty.

Zaprowadził ją do *dhaba*, pomieszczenia dla pracowników, pełnego plastikowych stołów, krzeseł, parującego jedzenia i ludzi, którzy przychodzili tu po modlitwie. Przywitał się z kilkoma znajomymi, przeszedł na tył sali i usiadł przy stole pod ścianą. Nad nimi wisiło zdjęcie Mekki, której błyszcząca powierzchnia rozmyta była przez parne powietrze. Kelner przyniósł szklanki i nalał do nich herbatę z metalowego czajniczka.

– Skąd pani przyjechała?

– Z Anglii.

Spojrzał na nią uważnie znad brzegu szklanki.

– Co sprowadza panią do Śrinagaru?

– Już mówiłam, chcę poznać historię mojej babci. Wyszła za mąż za misjonarza. Pracowali w Kaszmirze podczas drugiej wojny światowej. Nigdy jej nie poznałam, ponieważ zmarła, zanim się urodziłam. Czy twój dziadek wciąż żyje?

– Ani on, ani mój ojciec. Moja rodzina to teraz mama i dwie młodsze siostry.

– Spadła zatem na ciebie ogromna odpowiedzialność.

Mehraan potwierdził skinieniem głowy.

– Wybiera się pani w tak trudną podróż tylko po to, by zobaczyć jakieś kozy i pracownię haftu? To niewiarygodne.

– Naprawdę?

– Większość ludzi interesuje się tylko terażniejszością i nadzieją na lepsze jutro.

Już na początku rozmowy Mair poczuła, że Mehraan jest osobą, z którą będzie mogła się porozumieć. Miała do niego zaufanie. Powiedziała mu więc o śmierci ojca i znalezieniu szala ostatniej nocy spędzonej w domu rodzinnym. Wyjaśniła, że jej siostra i brat mieli już własne rodziny, a ona jako jedyna nie miała nikogo, więc mogła wyjechać w taką podróż.

– W imieniu naszej trójki – konkludowała. Zabrzmiało to trochę jak usprawiedliwienie tego, co mężczyzna mógł na przykład wziąć za folgowanie sobie lub wymysły ekscentryka.

– Rozumiem – powiedział, stawiając pustą szklanekę na stole.

Mair wiedziała, że jednak nie do końca zaakceptował takie wyjaśnienie.

– Chyba potrzebowałam jakiejś misji. Wszystkie drogowskazy w moim życiu prowadziły do miejsc, do których nie chciałam trafić, więc poszłam w drugą stronę. I jeśli czegokolwiek mnie to nauczyło przez ten miesiąc, to tego, jak bardzo kocham miejsce, w którym dorastałam. I jak cenna jest dla mnie moja rodzina. Nie dostrzegałam tego, mieszkając w Anglii.

Merhaad uśmiechnął się po raz pierwszy od ich spotkania.

– To dobrze. Przyjechała pani do Kaszmiru sama?

– Tak.

– Nie jest pani dziennikarką?

– Oczywiście, że nie.

– I nie skupuje pani, niestety, pięknej paszminy z Kaszmiru, by

zapełnić nią półki swojego sklepu w Londynie?

– Przykro mi, ale nie.

– To raczej mnie jest przykro.

Roześmiali się. Mehraan spojrzął na zegar wiszący na ścianie nad zdjęciem.

– Muszę wracać.

Torba z szalem leżała na kolanach Mair.

– Kiedy opowiesz mi o swoim dziadku?

– Możemy spotkać się jutro. Jestem tu przez kilkanaście minut przed popołudniową modlitwą.

Mężczyzna wstał, a Mair zadała jeszcze jedno pytanie.

– Czy ci młodzi mężczyźni, których widziałam, lubią swoją pracę?

– Zawsze to jakaś praca. Myślisz, że nie woleliby być nauczycielami, lekarzami? Że nie chcieliby pracować w banku? Dziś w Kaszmirze nie ma dla nich pracy. Żadnej.

Mair w zamyśleniu patrzyła, jak jej nowy znajomy odchodzi.

Następnego dnia siedziała w tym samym miejscu, gdy zjawił się Mehraan.

– Jadła pani coś? – zapytał. Między nimi postawiono blaszany talerzyk pełen plasterków cebuli i limonki, posypanych zielonym chilli.

– Jeszcze nie. Jeśli zamówisz dla nas obojga, chciałabym za to zapłacić.

Wyglądał tak, jakby chciał zaprotestować, ale szybko złożył zamówienie u jednego z kelnerów, który biegał między stolikami, w rękach trzymając gorące talerze.

– Czego chciałaby się pani dowiedzieć?

„Wielu rzeczy”, pomyślała Mair. Chciała na przykład poznać jego życie i dowiedzieć się czegoś o jego dziadku. W gazetach czytała o grupie młodych mężczyzn, którzy walczyli o wolny Kaszmir. Spotykali się i obrzucali kamieniami Służby Bezpieczeństwa. Kiedy policja lub wojsko brały odwet, nierzadko zdarzało się, że któryś z buntowników

ginął. Coraz częstsze zamieszki doprowadziły do wprowadzenia godzin policyjnych, wzmożonego nacisku policji i wojska, okresu znacznego niepokoju. Potem wszystko zaczynało się od nowa. Co ktoś taki jak Mehraan sądził o przemocy?

Mair zadała pierwsze pytanie.

– Dlaczego w Kaszmirze nie ma pracy dla twoich ludzi?

– Nie ma pieniędzy, pracy, inwestycji ani perspektyw. Nic nie ma.

– Wspierasz *azadi*? Wolność i niepodległość?

Tym razem Mehraan zaśmiał się gorzko.

– Wolność dla biednego człowieka jest jedynie ideą. Ale nie, osobiście nie wierzę, że Kaszmir mógłby być niepodległy. To raczej kwestia gospodarki.

– Albo włączony do Pakistanu?

– Może, po podziale. Byłoby to jakieś rozwiązanie. Maharadża, Nehru, wicekról Indii, oni wszyscy podjęli jednak inną decyzję. Ale teraz, dzisiaj... – Mehraan wzruszył ramionami i wydał usta. – Dlaczego chce pani rozmawiać o naszych problemach?

– Ponieważ tu jestem. Przedwczoraj byłam na ulicy, gdy wybuchł granat. A może powinnam tylko robić zdjęcia jezior i kupować dywany?

– Tak właśnie robią turyści.

– Mów mi Mair.

– Dobrze. Oczywiście, że chcesz zobaczyć więcej niż tylko sklepy. Ale Kaszmir boryka się z problemami już od dawna i niełatwo jest to wszystko zrozumieć. Sam nie jestem pewien, w co wierzę. Poza Bogiem i jego Prorokiem, niech pokój będzie z nimi. Rzucanie kamieniami w policję i wojsko nie jest właściwe, ale młodzi ludzie są wściekli, a brak władzy w naszym własnym kraju prowadzi do jeszcze większej złości. To, co ty teraz robisz, jest mądre – skupiasz się na zrozumieniu własnej historii. I na szalach.

Mair spojrzała na swój talerz. Leżał na nim gorący i pachnący chlebek *naan*, błyszczący od roztopionego na nim masła i świeżo posiekanych ziół oraz mnóstwo ryżu. Obok znajdowała się metalowa miska pełna warzywnego curry. Mehraan zanurzył kawałek chleba w

gęstym sosie. Wiedziała, że tak jak Farooq, doradzał jej dbanie o samą siebie i o swoje bezpieczeństwo.

– A więc historia – powtórzyła. – Opowiedz mi o swoim dziadku.

Posępna twarz Mehraana rozjaśniła się. Na tle gęstej czarnej brody jego zęby wydawały się niezwykle białe.

– W czasach przed podziałem Kaszmir był zupełnie innym krajem. W Śrinagarze i pobliskich wioskach muzułmanie, sikhowie, hindusi i buddyści żyli ze sobą w zgodzie. Oczywiście czasem pojawiały się problemy i kłótnie, ale nie na tyle poważne, by podzielić nasz kraj. Mój dziadek mieszkał w wiosce o nazwie Kanihama, leżącej po drodze do Sonamarg. *Hama* oznacza niewielką osadę, *akani*, jak już wiesz, sztukę wytwarzania szali. Mieli tam czystą wodę, ogrody, w których uprawiali warzywa, a także pastwiska dla zwierząt. Tak jak ja, dziadek był *karkhanadar* i w jego pracowni powstawały najpiękniejsze szale. Zrobienie takiego szala jak ten, który należy do ciebie, zajmowało wówczas co najmniej rok.

Mair była urzeczona jego opowieścią.

Mehraan nakreślił jej obraz prostego życia w idyllicznej dolinie, rodzin współpracujących ze sobą tak, jak robiono to od wieków. Do każdego wyrobu dokładano największych starań, w nadziei, że szal znajdzie bogatego kupca, zostanie założony na ślub lub trafi do posagu panny młodej. W kaszmirskich rodzinach szale stanowiły zabezpieczenie dla kobiety. Można było je pociąć i sprzedawać w kawałkach, by później kupić jedzenie lub spłacić długi, odzyskać i zszyć ponownie, zawinąć w płótno posypane ziołami odstrasżającymi mole i wyjmować jedynie podczas wyjątkowych okazji. Szale były dawane jako prezent, strzeżone jak największy skarb i przekazywane z pokolenia na pokolenie. Mehraan powiedział, że nadal tak jest, ale najpiękniejsze wyroby, szale *kani*, takie jak ten należący do babci Mair, były dziś rzadko wytwarzane. Ta technika była zbyt kosztowna, a tkacze nie mogli już sobie pozwolić na spędzenie miesięcy, pochyleni nad krosnem, w nadziei na to, że szal osiągnie dobrą cenę, gdy zostanie ukończony. Istniały oczywiście kopie, tkane maszynowo, ale to już nie

było to samo.

– Widziałaś, jak tworzy się coś takiego? – zapytał Mehraan.

Mair była tak zaabsorbowana opowieścią, że nie zauważyła, jak zjadła wszystko ze swojego talerza. Pokręciła przecząco głową.

– Jeśli jesteś zainteresowana, niedaleko stąd jest pewne miejsce. Tamtejszy *karkhanadar* to mój przyjaciel. Ma kupców na *kani* w Delhi. Ale on zna się na handlu, więc nie można przy nim zbyt wiele zyskać.

– Chciałabym to zobaczyć.

– Przyjdź tu jutro.

– Przyjść – obiecała. – Czy wiesz może, jak moja walijska babcia mogła wejść w posiadanie tak kosztownego szala?

Wyszli na zewnątrz. Z przyjemnością wdychali popołudniowe świeże i chłodne powietrze.

– Była kobietą z Zachodu, więc na pewno miała wystarczająco dużo pieniędzy, by zapłacić za szal mojemu dziadkowi. Może dostała go w prezencie od męża.

Czy istniało jakieś inne wytłumaczenie? Mair wiedziała, że duchowny Evan i pani Watkins nie byli bogaci i wciąż nie mogła wyobrazić sobie Nerys, żony misjonarza, owijającej błyszczący szal wokół ramion.

– Do jutra o tej samej porze – powiedziała z uśmiechem.

Kiedy jednak spotkała Mehraana następnego dnia, bardzo się gdzieś spieszył.

– Nie będę dziś jadł. Muszę spotkać się z kupcem. Jeśli się pospieszymy, możemy teraz pójść do pracowni.

Wąskimi ścieżkami przeszli do kolejnego wejścia umieszczonego w ścianie ze starego drewna i cegieł. Wysokie okna zaprojektowano tak, by wpuszczały jak najwięcej światła do pomieszczenia. Prawie cała powierzchnia w tym małym i cichym pokoju była zajęta przez trzy drewniane krosna i pajęczyny kolorowych nici. Trzech młodych mężczyzn siedziało na ławeczkach przy krosnach, w skupieniu

wykonywając swoją pracę, ale kiedy Mehraan porozmawiał z mężczyzną siedzącym najbliżej wejścia, ten usiadł wygodnie i odsłonił swoją pracę, odpinając czarny materiał, który przykrywał szal. Na całej szerokości znajdowały się setki szpulek *kani*, na które nawleczono wszystkie odcienie cienkiej jak włos przędzy. Każdy rząd tworzonego wzoru powstawał przez przełożenie wszystkich szpulek w odpowiedniej kolejności przez nitki osnowy. Za każdym razem należało wyznaczyć dokładną ilość nici, nim jeden kolor ustąpił miejsca drugiemu. Instrukcje wykonywania wzorów, napisane bardzo schematycznie, przypięte były przed oczyma tkacza i składały się z liczb, które wyglądały jak obliczenia początkującego astronoma. Obok nich widniał szkic gotowego wzoru.

Mair wzięła głęboki oddech.

Według jej obliczeń zrobienie jednego rzędu zajmowało około piętnastu minut pracy w pełnym skupieniu.

Mehraan zadał kolejne pytanie, a tkacz pokazał mu rozmiar ukończonego wzoru. Mniej niż pół metra.

– Trzy miesiące – przetłumaczył Mehraan.

Aby obniżyć koszty produkcji, wzory te składały się z dwóch szerokich pasów splotu *kani* na jednolitym tle. W przypadku szala, który był w jej posiadaniu, Mair nie mogła sobie nawet wyobrazić, jak wiele pracy włożono w jego produkcję. Poczula, że pieką ją oczy, trochę ze współczucia dla tych młodych mężczyzn, którzy tak ciężko każdego dnia pracowali, a trochę z szacunku do dziedzictwa, które teraz należało do niej. Poczula jeszcze większą determinację do odkrycia historii szala i tego, jak znalazł się w jej rodzinie.

– Dziękuję – powiedziała wzruszona.

Tkacz, który nawet na chwilę nie spojrzał bezpośrednio na nią, wrócił do swojego liczenia.

Nic dziwnego, że nie było tu żadnej muzyki, rozmów ani niczego, co mogłoby ich rozproszyć. Jedna źle przepleciona nić mogłaby zepsuć cały wzór.

– Rozumiesz teraz? – powiedział Mehraan, gdy z powrotem znaleźli

się na ulicy.

– Tak – przyznała cicho.

Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć. Szybko dodała:

– Chciałabym pojechać do Kanihamy. Pojedziesz ze mną?

Myślała, że mógłby pokazać jej miejsce, które kiedyś było pracownią jego dziadka, oraz domy, w których pracowali i żyli wytwórcy szali w czasach, gdy istniały jeszcze Indie Brytyjskie.

Mehraan zacisnął usta.

– Nie, nie mogę tego zrobić.

Najwyraźniej była to niestosowna sugestia, samotna kobieta pytająca o to nieżonatego mężczyznę.

– Rozumiem. Przepraszam.

W Śrinagarze byli przewodnicy turystyczni. Będzie musiała pojechać na wycieczkę samochodem.

– Może... może napiłabyś się herbaty z moją matką i siostrami? Nie mówią po angielsku, ale chętnie będę tłumaczyć.

– Z prawdziwą przyjemnością.

Był to mały domek w tej części miasta, której nikt z turystów nie odwiedzał bez wyraźnego powodu. Zaśmiecone uliczki przeplatały się ze sobą coraz gęściej. Między nimi rosły orzechy i morele. Otwarte studzienki wypełniały się brudną wodą. Między parterowymi domkami widać było jakieś prymitywne ogrodzenia, namiastki ogródków, walące się szopy, tkalnie i zaśmiecone podwórka, na których mechanicy z zapalem próbowali naprawić zniszczone ciężarówki. Wszędzie pełno było ludzi, starsi mężczyźni wyglądali ze swoich stoisk i sklepików, a mali chłopcy rysowali coś kredą na betonowej ścianie.

Pomiędzy stertami śmieci wałęsały się psy. Mair odwracała wzrok za każdym razem, gdy tylko jakiegoś zauważyła.

Za drzwiami wejściowymi pomalowanymi na niebiesko, oddzielonymi od uliczki wąskim pasem ogródka warzywnego, matka i siostry Mehraana czekały na swojego gościa. Ku swemu zaskoczeniu,

Mair dostała na powitanie kolorowy bukiet z nagietków i astrów.

Odwdzięczyła się ciasteczkami i czekoladkami kupionymi w sklepie tuż nad jeziorem.

Mair zajęła wygodne miejsce na poduszkach, naprzeciwko matki Mehraana. Jego siostry przyniosły wysoki samowar i tacę z pięcioma porcelanowymi filiżankami. Na najładniejszym talerzu położyły świeże pieczywo, miód i ciasteczka. Mair zadawała uprzejme pytania, a Mehraan posłusznie tłumaczył. Jego siostry miały czternaście i szesnaście lat. Ich matka wiedziała, że wkrótce nadejdzie odpowiednia chwila, by rozejrzeć się za odpowiednimi mężami dla córek. Na razie jednak dziewczęta nie miały zamiaru się tym martwić.

Mehraan miał tylko dwadzieścia lat. Mair z zaskoczeniem odkryła, że wygląda na o wiele starszego. Angielskiego nauczył się w szkole, miał z tego języka najlepsze oceny w klasie. Niechętnie pochwalił się tą ostatnią wiadomością, ale jego matka usilnie nalegała. Później, dzięki szczodrości wujka, który miał hurtownię dywanów, studiował handel w miejscowym college'u. Teraz praca Mehraana polegała na sprzedawaniu gotowych szali kupcom detalicznym w takich cenach, by zapłacić pracownikom i zostawić jeszcze coś dla siebie, dzięki czemu mógł utrzymać rodzinę.

Jego ojciec robił to samo. Zabito go dwanaście lat temu, podczas wymiany ognia między rebeliantami a wojskiem.

Merhaan powiedział to rzeczowym tonem, starając się nie okazywać emocji. Mair spojrzała na jego matkę. Jej pełna zmarszczek twarz odzwierciedlała trudy życia. Skóra na bosych stopach była mocno popękana, a paznokcie grube i zniszczone. Za to córki były bardzo ładne. W domu nie nosiły szali, zamiast tego związały włosy w grube sięgające pasa warkocze.

Mair pomyślała, że kształcenie Merhaana było dla ich wujka sposobem na zadbanie o rodzinę. Z powodu obowiązków, które spadły na chłopaka, nie mógł on się ożenić, dopóki jego siostry nie założą własnych rodzin. Dopiero wtedy będzie mógł przyprowadzić do domu przyszłą żonę, wybraną bardziej przez rodzinę niż jego samego.

Obowiązkiem jego żony będzie opiekowanie się teściową.

Następnie Mair odpowiedziała na ich pytania o Anglię.

Owszem, często padał deszcz. Nie hodowali ryżu. Edukacja i opieka medyczna są darmowe, a podatki zbyt wysokie. Całe rodziny nie mieszkały pod jednym dachem, ale były rozsiane po różnych miejscach.

Jedna z sióstr przestała na chwilę chichotać i sama zadała pytanie. Mair odpowiedziała jej, że nie, nie jest mężatką. Taktownie nie skomentowano jej wieku, sądząc, że najwyraźniej straciła już wszelkie nadzieje na znalezienie męża, nawet najgorszego.

Wypili herbatę, zjedli chleby i ciastka.

Mair wyjaśniła im jeszcze powód swojej podróży. Kiedy wyjęła szal i rozwinęła go u stóp matki Mehraana, usłyszała okrzyki zachwytu, pierwszą tego popołudnia oznakę prawdziwej spontaniczności. Kobiety podniosły delikatnie szal w kierunku światła, obejrzały dokładnie znak wytwórcy i nie przestawały zachwycać się pięknem wyrobu.

– Mama mówi: „Pracownia ojca mojego męża” – przetłumaczył Mehraan. – Wszędzie rozpozna ten znak.

W rogu pokoju znajdował się kołowrotek. Siostry przeniosły go na środek, a matka wyjęła kosz pełen miękkiej nieprzerobionej jeszcze wełny. Bosą stopą naciskała pedał, koło się kręciło, a ona nakręcała na nie przędzę cienką jak pajęczyna. Mehraan wyjaśnił, że mama sprzedawała to na wagę farbiarzom i tkaczom, którzy następnie przysyłała czystą paszminę do jego pracowni.

– Zaczęłam już podejrzewać, że tylko mężczyźni pracowali przy produkcji szali.

– Przedzeniem zajmują się głównie kobiety. Opowiesz im, skąd masz ten szal?

Matka pracowała dalej, a jej córki zwijały gotową przędzę w motki. Cała trójka słuchała opowieści tłumaczonej przez Mehraana. Na koniec Mair sięgnęła do kieszeni. Wyjęła z niej kopertę i wytrząsnęła pukiel włosów na swoją dłoń. Kobiety uważnie go obejrzały. Miedziany połysk w kosmyku nie przypominał kruczoczarnych włosów mieszkańców Kaszmiru.

Pokazała im też fotografię, którą chętnie obejrzały, podając sobie z rąk do rąk. Matka wskazała palcem w zdjęcie wody.

– Śrinagar – powiedziała pewnym tonem.

Jeszcze raz spojrzała na znak wytwórcy szala i oddała materiał Mair. Następnie usiadła przy kołowrotku i wróciła do pracy.

Nie byli w stanie jej nic więcej powiedzieć. Mair właściwie nie spodziewała się, że czegokolwiek się od nich dowie, ale i tak poczuła się nieco zawiedzona. Słysząc było jedynie rytmiczne obroty koła. Pukiel włosów włożyła z powrotem do koperty, tuż obok zdjęcia. Nagle, pewnie dlatego, że w głębi serca wciąż myślała o Beckerach, w jej głowie narodziła się pewna myśl. Bruno wspominał o przyjaciółce rodziny, której miał odszukać, gdy przyjadą do Delhi, chrześcijanki, której rodzina pochodziła ze Śrinagaru.

Może byli w tym mieście jeszcze ludzie, którzy pamiętali okres wojny, a nawet misjonarzy pełniących wtedy służbę.

– Czy mógłbyś zadać mamie jeszcze jedno pytanie? Czy zna jakieś starsze osoby, które pamiętają wojnę? Albo chrześcijańskich misjonarzy, którzy stacjonowali wtedy w Kaszmirze.

Mehraan zadał pytanie, ale odpowiedzią było powolne kręcenie głową.

– Nie zna nikogo. Taka osoba musiałaby mieć teraz koło dziewięćdziesięciu lat.

– Tak, mniej więcej tyle.

– To bardzo dużo – powiedział Mehraan z szacunkiem w głosie.

Mair podziękowała rodzinie za gościnność. Dziewczynki nieśmiało chwyciły jej dłoń i uśmiechnęły się, patrząc na nią spod długich czarnych rzęs. Matka zawiązała szal wokół swoich włosów, a następnie podeszła do ogrodzenia, by się pożegnać. Uścisnęła rękę Mair i ukloniła się. Mimo że podczas całej wizyty była bardzo powściągliwa, nie miała na sobie szala, co było oznaką zaakceptowania gościa jako przyjaciela domu. Mair i Mehraan byli już po drugiej stronie drewnianego płotu, gdy matka chłopaka zawołała go i coś mu powiedziała. Kiedy znów ruszyli, Mehraan wyjaśnił, że jego matka ma dobrą znajomą,

pielęgniarkę, która zajmuje się chorymi i starszymi ludźmi w europejskim szpitalu. Ta kobieta mogła znać kogoś w tak podeszłym wieku.

– Zapytaj, proszę, czy mogłaby się tego dowiedzieć – powiedziała Mair, starając się jednak nie robić sobie zbyt wielkich nadziei.

Szli w kierunku zatłoczonej ulicy, na której Mehraan złapał dla niej taksówkę.

Wiadomość była bardzo krótka.

Mair przeczytała ją raz, potem jeszcze raz, patrząc z niedowierzaniem na ekran, póki słowa nie zlały się w jedno, ale wciąż nie przyjmując do siebie tego, co było w niej zawarte.

Nasza ukochana córeczka Lotus zmarła wczoraj.

Bruno Becker

Napisała odpowiedź, najtrudniejsze kilka zdań, jakie kiedykolwiek musiała ułożyć, a następnie wróciła do *Salomona i królowej Saby*.

Zatrzymał ją Farooq.

– Proszę pani, czy jest pani chora?

– Nie, Farooq. Nie jestem chora. Dostałam bardzo smutną wiadomość.

Poszła do sypialni i położyła się na łóżku. Słyszała plusk wody i śpiewanie ptaków, ale jedyne, co widziała, to biały śnieg, cień psa i Lotus w ramionach ojca.

– Mam ci coś do powiedzenia – obwieścił Mehraan.

Mair ponownie spotkała się z nim w *dhaba*, tym razem poznając jeszcze dwójkę jego znajomych. Rozmawiali po angielsku o niepodległości i proteście politycznym, od czasu do czasu patrząc na Mair, by sprawdzić, jak reaguje na ich słowa. Kiedy koledzy wyszli, Mehraan dokończył swoją herbatę.

– Co to za wieści? – zapytała.

Minęło pięć dni i zaczynała myśleć, że nadszedł czas, by opuścić miasto. Nie była w stanie już dłużej szukać nowych tropów wyjaśniających historię szala. Wiadomość o śmierci Lotus przyćmiła całe piękno jeziora, gór i odebrała jej siły.

– Koleżanka mamy, pielęgniarzka, pamiętasz? Powiedziała nam, że zna pewną Angielkę. Ma bardzo słaby wzrok. Spadła ze schodów w domu i musieli ją opatrzyć. Jest stareńka i mieszkała w Śrinagarze dawno temu, jeszcze przed podziałem.

Kolejny parterowy domek na przedmieściach był niemal w połowie zakryty przerośniętymi chwastami w ogrodzie. Mair jednak zdecydowanie popchnęła furtkę i przeszła pod płataniną gałęzi. Zapukała do drzwi. Otworzyła jej starsza indyjska kobieta, jasnozielony *kameez*²² opinał jej wypukły brzuch. Okulary w grubych oprawkach przesunęła na czoło.

– Przyszła pani od doktora Rama? – zapytała kobieta.

– Niestety nie.

– Więc od kogo?

Mair wcześniej przygotowała odpowiedź:

– Jestem znajomą. Przyjechałam z Anglii.

Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

– Naprawdę? Może pani wejść na dziesięć minut. Jest dziś zmęczona.

Pokój na tyłach domu był bardzo słoneczny. Na podłodze leżał dywanik, na stoliku przy ścianie stał duży, staroświecki gramofon, a w wazonie przy kominku olśniewały swą urodą słoneczniki. W fotelu siedziała starsza pani. Czas sprawił, że jej włosy były zupełnie już białe. Obandażowane nogi położyła na stołku, swoją laskę oparła o fotel. Odwróciła się powoli w kierunku Mair.

– Aruna? Jesteś tam? Kto to?

– Nie wiem. Mówi, że jest z Anglii.

22 Kameez – tradycyjna tunika indyjska.

Mair podeszła nieco bliżej.

– Przepraszam, że przeszkadzam.

Kobieta przechyliła głowę, patrząc na nią z ciekawością. Miała ziemistą cerę i twarz pokrytą siatką drobnych zmarszczek.

– Naprawdę jesteś z Anglii. Cudownie jest słyszeć twój głos. Podejdź tutaj, mam bardzo słaby wzrok. Już lepiej. Czy my się znamy? Aruna, podaj nam herbaty. A może wolałabyś nieco ginu?

– Nie spotkałyśmy się wcześniej. Nazywam się Mair Ellis.

– Bardzo mi miło – wyciągnęła małą dłoń. – Jestem Caroline Bowen. Co sprowadza cię do Śrinagaru?

ROZDZIAŁ Dziewiąty

Nie jest za zimno – upierał się Rainer.

On chyba nigdy nie czuł chłodu. Ale w ciągu ostatnich kilku dni w dolinie zrobiło się tak zimno i wilgotno, że nawet wewnątrz budynków Nerys wkładała swój nowy tweedowy *pheran*, a pod nim nosiła jeszcze kilka warstw zapinanych sweterków. Myrtle ostrzegła ją, że wkrótce będzie musiała zacząć nosić ze sobą fajansowy dzbanuszek na wodę, jak czynili to inni mieszkańcy Kaszmiru. Ostatnio obie kobiety zaczęły czuć się trochę jak zapomniana straż tylna, gdy ostatni letni rezydenci powrócili na południe. Góry przykryła gęsta mgła, Klub Śrinagar opustoszał, jeśli nie liczyć kilku osób uparcie siedzących przy stolikach do brydża. Nawet w barze nad jeziorem zrobiło się cicho, gdy zabrano stojące na patio leżaki i parasole.

Rainer Stamm był jedną z tych osób, które zostały. Pewnego dnia Myrtle i Nerys udały się na małe przyjęcie, które organizował, i (ku miłemu zaskoczeniu Myrtle) zamiast starych znajomych spotkały tam profesora uniwersyteckiego i jego córkę, która była muzykiem, buddyjskiego poetę i dwóch umiędzionych młodych Amerykanów, których Myrtle później posądzała w żartach o szpiegostwo. Bardzo dobrze się bawiły na tym niezwykłym dla nich spotkaniu i od tamtej pory Rainer coraz częściej wpadał do *Rajskiego ogrodu* na kawę lub drinka. Odwdzięczał się zaproszeniami na pokazy magii, które dawał studentom.

Dziś z wielkimi emocjami opowiadał Nerys, jak odrzucono jego prośbę o pozwolenie na wspinaczkę.

– Argumentem Brytyjczyków jest trwająca wojna. Powiedz, czy w jakikolwiek, nawet najmniejszy sposób mogłoby to wpłynąć na losy wojny, gdyby jakiś Szwajcar wspiął się na Nanga Parbat? Z drugiej strony, na mnie i na rodzinę Matthew Forbesa wpłynie to w ogromnym stopniu.

– Jeśli wejdiesz na co? – Nerys zapytała. – I czyją rodzinę?

Tego ranka siedzieli w domu Rainera, na szerokim parapecie przy oknie wychodzącym na rzekę Dźhelam. Rozciągał się z niego wspaniały widok na most i świątynię. Pokój był zakurzony i dość chłodny. Meble Rainera były kolekcją zniszczonych i przypadkowo dobranych sprzętów stojących na niegdyś ładnym, ale teraz brudnym i przetartym dywanie. Dobytek męczyzny składał się najwyraźniej wyłącznie z książek, zwojów liny, błyszczących rekwizytów scenicznych i pudełek pomalowanych w okultystyczne symbole, które wykorzystywał podczas swoich magicznych sztuczek. Nerys fascynowała możliwość dowiedzenia się czegoś więcej o życiu Rainera, ale do dziś niewiele mówił o sobie.

Teraz odpowiedział:

– Nie wiesz? Nanga Parbat to góra. Bardzo ładna zresztą – zażartował. – Dziewiąta na świecie pod względem wysokości. Leży jakieś sto trzydzieści kilometrów w stąd. Będę pierwszą osobą, która dotrze na jej szczyt. Tak postanowiłem wiele lat temu. Niemcy myślą, że tytuł będzie należeć do nich, ale grubo się mylą.

Nerys zaczęła dostrzegać brawurę, ale i odwagę w głosie Rainera. Mówił z taką pasją i entuzjazmem, że ciężko było się nimi nie zarazić.

– Rozumiem.

Spojrzał jej w oczy. Nieczęsto był tak poważny jak w tej chwili.

– Osiągnę to, idąc tam szybko i z lekkim plecakiem. Tak zawsze planowaliśmy z Matthew.

– Rainer, nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz – wtrąciła. – Opowiesz mi tę historię czy nie?

Rainer lubił opowiadać. Lubił mieć kontrolę nad swoimi słuchaczami, zupełnie tak jak podczas swych magicznych popisów. Machnął wówczas rękoma, jakby chciał rzucić zaklęcie.

– Opowiem ci po drodze. Jesteś gotowa?

Zasugerował, by pojechali do jednej z wiosek i urządzili sobie piknik. Myśl o spędzaniu czasu na zewnątrz przyprawiała ją o zimne dreszcze, ale z drugiej strony, bliskość Rainera rekompensowała jej wszelkie niedostatki. Myrtle walczyła z nudą, udzielając się jako wolontariuszka we wszystkim, co związane było z wojną. Dziś była w komitecie robienia paczek z indyjskich słodczy, które wysyłano dzieciom w Anglii. Nerys nie była jedną z żon, których mężowie walczyli na wojnie, i cieszyła się z tego powodu, ale samotność i bezczynność były wyjątkowo kiepską perspektywą na dziś.

Poddała się.

– Dobrze, zgadzam się.

Rainer podniósł naręcze płóciennych toreb i wyszedł z Nerys na ulicę. Na podwórku, otoczona gromadką strzegących jej dzieci, stała pomalowana na czerwono ciężarówka marki Ford. Samochód miał niewielką kabinę i otwarty tył, na który Rainer energicznie wrzucił torby. Dwóch chłopców skakało po dachu kabiny, a inni siedzieli na stopniach. Gwizdali i machali w stronę Rainera, póki ten nie rzucił kilku monet w złożone dłonie najwyższego z nich, a następnie otworzyli przed nim drzwi niczym tłum szalonych odźwiernych. Rainer zakręcił korbą i rozległ się dźwięk silnika. Nerys pospiesznie wspięła się na siedzenie pasażera i ruszyli, jadąc chybotliwie wzdłuż kolejin. Najodważniejsze dzieci uwiesiły się boku samochodu i jechały w ten sposób tak długo, na ile starczyło im sił.

– Nie wiedziałam, że masz samochód – zauważyła, gdy wreszcie wyjechali na prostą drogę.

– Oczywiście, że mam. I specjalnie dla ciebie wyblagałem nieco benzyny. Wystarczająco dużo, by zabrać nas tam, gdzie musimy jechać, i kto wie, może starczy jeszcze na drogę powrotną.

Benzyna zarezerwowana była wyłącznie dla celów wojskowych,

więc dla cywilów była praktycznie niemożliwa do zdobycia. Nerys się roześmiała.

– Zaimponowałeś mi. Powiesz, skąd to możemy nie wrócić?

Rainer uśmiechnął się do kobiety bardzo tajemniczo.

– W odpowiedniej chwili.

Wyjeżdżali z miasta cichymi i spokojnymi uliczkami, na których stały głównie domy urzędników i nauczycieli. Nerys usiadła tak wygodnie, jak tylko było to możliwe na twardym siedzeniu ciężarówki.

– Czy byłaś kiedyś na europejskim cmentarzu w Leh?

– Oczywiście, że tak. Chodziłam tam na spacer i siadywałam na ławce za każdym razem, gdy tęskniłam za domem. Stoi tam kilka nagrobków z walijskimi nazwiskami. Należą do rodzin misyjnych, które były tam przed nami. To smutne miejsce, przez te maleńkie dziecięce groby, ale widok stamtąd jest niesamowity.

– Więc zauważyłaś tam na pewno tablicę pamiątkową Matthew Forbesa.

Nerys pamiętała. Nagle obraz tablicy stanął jej przed oczami, prosta płyta wpuszczona w mur.

Ku pamięci

Matthew Alexander Forbes, College św. Jana, Cambridge

Zginął na Nanga Parbat, w sierpniu 1938, miał 22 lata.

– Pamiętam – odpowiedziała.

Rainer patrzył przed siebie, ponad kierownicą ciężarówki. Dojeżdżali do przedmieść Śrinagaru, gdzie domy i przydrożne sklepiki ustępowały miejsca polom ryżowym i sadom.

– Ja ją tam umieściłem, zgodnie z życzeniem jego rodziny. Byłem z Matthew ostatniego ranka w jego życiu. Jego ostatnie słowa brzmiały „Do zobaczenia za dwie godziny. Otworzę puszkę zupy”.

– Opowiadaj dalej.

– Szybko i bez problemów – taki był nasz plan. Byliśmy w dobrej formie, gotowi do wspinaczki. W naszym małym zespole byliśmy my, Szerpowie i dwóch silnych oficerów Armii Indyjskiej. Matthew i ja rozbiliśmy obóz na sześciu tysiącach metrów i planowaliśmy wspiąć się jeszcze wyżej następnego dnia. Matthew odpoczywał, a ja samotnie wspiąłem się do miejsca, z którego można było zobaczyć drogę przed nami. Patrzyłem w stronę szczytu przez lornetkę, gdy nagle zsunęła się lawina. Matthew, namiot, wszystko... Wszystko, co tam było, zostało zmiecione i zakopane pod tonami lodu i śniegu.

Rainer mówił spokojnie, ale na jego policzkach pojawiły się głębokie bruzdy. Wyglądał w tym momencie dziesięć lat starzej.

– Stałem w śniegu, który spadł z góry. Dookoła mnie nie było nic, tylko wiatr. Mogłem jedynie zejść na dół do obozowiska, w którym czekała na nas reszta zespołu. Przesłaliśmy informację o śmierci Matthew jego rodzinie. Jego ojciec też kochał wspinaczkę i rozumiał pobudki syna, ale myślę, że jego matka nigdy nie będzie w stanie się z tym pogodzić. Matthew był ich jedynym dzieckiem, genialnym matematykiem. Znałem jego rodzinę od dziesięciu lat, ponieważ przyjeżdżali do Szwajcarii, zimą na narty i na wspinaczkę latem. Kiedy tylko Matthew usłyszał o mojej wyprawie, błagał mnie, bym go ze sobą zabrał. Wiedziałem, że jest w wystarczająco dobrej formie, inaczej nigdy bym się na to nie zgodził. Przejechaliśmy z Delhi do Manali, a następnie do Leh, aby tam poćwiczyć i zaaklimatyzować się. Matthew od razu pokochał to miejsce. Dlatego na tamtejszym cmentarzu umieściłem jego tablicę pamiątkową. Wiem, że wielkim osiągnięciem byłoby dla niego dotarcie na szczyt. Nie mogłem mu odmówić, tak bardzo tego pragnął.

Nerys wyobraziła sobie pełnego zapału młodego Anglika spacerującego po wijących się uliczkach Leh lub wspinającego się do starego pałacu stojącego na wzgórzu nad miastem.

Zrozumiała, że Rainer wyjawiał jej źródło ogromnego bólu, który nosił w sobie już od dawna. Położyła więc dłoń na jego dłoni. Jej palce swobodnie dotykały jego ręki, aż w pewnej chwili zreflektowała się i szybko odsunęła.

– Mam nadzieję, że teraz już rozumiesz, dlaczego muszę tam wrócić. Kiedy stanę na szczycie, Matthew będzie tam ze mną. Mam książkę, która kiedyś do niego należała, zostawił ją w obozie na dole. W środku widnieje jego podpis. Wezmę ze sobą tę jedną stronę i zakopię na szczycie góry, specjalnie dla niego.

Głos Rainera drżał delikatnie. Nerys poczuła, jak w kącikach jej oczu zbierają się łzy.

– Rozumiem – powiedziała cicho.

– Władze brytyjskie natomiast nie potrafią tego pojąć. Nie mam pozwolenia na powrót. Nawet jeśli sam zrobię zaproszenie i udam się na przyjęcie w rezydencji w najlepszym garniturze, porozmawiam osobiście z panem Fanshawe i zatańczę z jego żoną, która, niestety, wyglądem przypomina konia, odpowiedź i tak będzie brzmieć „nie”. Jednakże... – spojrzał na Nerys, a linie na jego twarzy złagodniały i zniknęły – tańczyłem z tobą i choćby dlatego warto było wziąć udział w tym najnudniejszym z brytyjskich przyjęć. Niezależnie od odpowiedzi, jaką usłyszałem.

– Niewiele wiem o górach i pozwoleniach, Rainerze, ale mnie również podobał się taniec z tobą – wyznała.

Przypomniała sobie niektóre określenia dotyczące Rainera Stamma, które powtarzali między sobą znajomi Myrtle, wśród nich te najczęstsze: „podejrzany”, „ryzykant”, „szarlatan”, ale wcale się tym nie przejmowała. Intrygował ją i, choć miał tak złą reputację, był jedną z najmiłszych i najszczerzych osób, jakie w życiu spotkała.

Rainer wskazał przed siebie, na drogę ciągnącą się na północ. Mgła, która wcześniej zalała dolinę, nagle rozproszyła się, odsłaniając podnóża gór pokryte ciemnymi sosnami. Od wielu dni obserwowała białe szczyty i zauważyła, że każdego ranka linia śniegu obniżała się o kilkadziesiąt metrów.

– Przepiękne – powiedziała.

– Chciałbym zabrać cię tam kiedyś ze sobą, przez przełęcz, do miejsca zwanego Astor, skąd można zobaczyć moją Nagą Górę. Tak nazywają Nanga Parbat, ponieważ stoi tam sama – pochylił się do

przodu i zastukał w jeden z liczników na pokrytej kurzem desce rozdzielczej. – Ale mamy tylko tyle paliwa, by dojechać do Kanihamy i może z powrotem do domu.

– Do Kanihamy?

– Poczekaj, a zobaczysz.

Po godzinie jazdy gruntową drogą wijącą się między wysokimi topolami a polami ryżowymi dotarli do małej wioski z domami z surowych cegieł. Słońce przebijało się przez mgłę, która niczym koc pokrywała leżącą niżej dolinę. Lekki wiatr kołysał liśćmi drzew. Rainer zatrzymał samochód na niewielkim podwórku i Nerys odkręciła szybę w oknie. Słodkie powietrze wpłynęło do jej płuc. Wokół rozbrzmiewały najróżniejsze dźwięki: głośne cykanie świerszczy, pianie koguta, plusk wody w strumieniu, radosne głosy dzieci bawiących się nieopodal.

To miejsce wyglądało i brzmiało inaczej pod wieloma względami, ale i tak przypominało jej wioski w Anglii, które też znajdowały się u podnóży gór, które również pachniały dymem z palonego drewna i zwierzęcym nawozem. Otworzyła drzwiczki i wysiadła, owijając się *pheranem*.

Kanihama była pięknym miejscem.

Gromadki dzieci chowały się za rogami domów. Kilkanaście metrów dalej stały kobiety w szalach i mężczyźni w grubych płaszczach i czapkach z jagnięcej skóry. Rainer wyskoczył z ciężarówki i powiedział coś do mężczyzny z długą, gęstą brodą.

Po chwili odwrócił się do Nerys.

– Ta prządka, o której mówiłaś.

Odkrył, że kobieta mieszkała niedaleko jego domu na jednej z zatłoczonych uliczek starego miasta w Śrinagarze. Kilka dni temu poszedł tam z Nerys. Zastali ją w pustym pokoju przy kołowrotku, z dziećmi. Nerys dała rodzinie jedzenie i trochę pieniędzy. Obiecała, że postara się pomóc. Kobieta patrzyła na nią, na jej twarzy malował się głód i desperacja. Dwójka małych dzieci szarpała ubrania Nerys, próbując włożyć rączki do jej kieszeni. Najstarsze z dzieci znów wyciągnęło rodzinny skarb i machało szalem przed twarzą Nerys.

– Kup! – naciskała dziewczynka.

Nerys delikatnie odłożyła materiał, prosząc Rainera, by przetłumaczył, że chciałaby pomóc rodzinie bez zabierania ich jedyne go dobytku.

– Kanihama to wieś rodzinna tej kobiety – mówił dalej Rainer. – Zapytałem o więcej szczegółów. Dowiedziałem się, że ten człowiek jest jej ojcem.

Mężczyzna pokiwał głową. Nerys powiedziała kilka słów po kaszmirsku, których do tej pory się nauczyła, a on znów kiwnął głową. Dołączyła do niego jakaś kobieta. Jej twarz zasłaniał szal z paszminy.

– Pytają, czy chcielibyśmy zobaczyć ich pracę – powiedział Rainer.

Jeden z domów był nieco większy od pozostałych, z drewnianymi ławkami opartymi o ściany na werandzie. W środku domu zaprowadzono ich do jedyne go pokoju, w którym drewniany dach wsparty był na drewnianych filarach. W kuchence płonęło drewno, aromatyczny dym unosił się przez żelazny komin.

W pokoju stały trzy krosna przypominające skomplikowaną sieć rozpórek i sznurków. Jedyne dźwięki wydawały obracające się szpulki, przesuwane między nićmi i delikatnie uderzające o siebie nicielnice.

Kiedy tkacze podnieśli wzrok i ujrzeli gości, cisza panująca w pracowni zmieniła się nagle w serdeczny wybuch powitań i pozdrowień. Mężczyzna siedzący najbliżej wejścia wstał ze swojej ławeczki i poprosił Nerys, by na niej usiadła. Obserwowany przez człowieka z brodą, kilka kobiet i gromadkę ciekawskich dzieci kłębiących się w drzwiach wejściowych odpiął ochronną płachtę z bawełny, która przykrywała jego pracę.

Nerys patrzyła w osłupieniu na w połowie ukończony szal *kani*.

Zawiły wzór na materiale przedstawiał pawie pióra, delikatne kwiaty i przepiękne tureckie zawijasy, ale najbardziej zachwyciły ją kolory. Znajdowały się tam wszystkie odcienie letniego kaszmirskiego popołudnia, od akwamaryny po srebro, od błękitu nieba po głęboką zielen wód w jeziorze.

– Ładne?

Mogła tylko kiwnąć głową.

Tkacz nieco teatralnie powrócił na swoje miejsce i ułożył palce tak jak pianista czyni to przed koncertem. Podniósł szpulkę owiniętą w perłowo-białą przędzą i włożył ją pod jedną z rozciągniętych nici, by dzięki niej stworzyć małe odbicie światła w środku stylizowanego kwiatu lotosu. Następnie wziął kolejną nić, tym razem w kolorze jasnego srebra, i odliczył pięć kolejnych nici, zanim wsunął pod nie szpulkę. Był bardzo skoncentrowany, więc Nerys instynktownie wycofała się, by mu nie przeszkadzać.

Zdała sobie sprawę z tego, że wstrzymuje oddech.

Rainer i Nerys wyszli na zewnątrz i usiedli na nasłonecznionej ławce. Ciemnooka dziewczyna z wioski przyniosła im herbatę. Uśmiechnęła się do Nerys, ale była zbyt nieśmiała, by zostać z nimi dłużej. Rainer pogrążony był w rozmowie z brodatym mężczyzną. Używali jednak więcej gestów niż słów, więc Nerys oparła głowę o ścianę i podziwiała widoki. Wioska leżała dość daleko od Śrinagaru i wyglądała tak, jakby od wieków nic się w niej nie zmieniło. Na polach i w ogródkach hodowano najróżniejsze warzywa, sadzono, zbierano i sprzedawano ryż. Wysuszone zboże było ładnie związane w bele siana leżące na stosie w szopie. Takie zapasy zapewniały pokarm zwierzętom hodowlanym. Dwóch chłopców prowadziło niewielkie stado owiec i kóz na drugą stronę placu, uderzając kijkami o ściany budynków i pokrzykując coś od czasu do czasu. Kilka dziewczynek bawiło się białymi kamykami.

Nerys była tak pochłonięta scenerią i własnymi myślami, że przestraszyła się, gdy Rainer wypowiedział jej imię. Gawędził teraz z dwiema kobietami, które przyniosły mu emaliowane dzbanki i kosze.

– Możemy wynagrodzić im nasz brak pieniędzy na kupienie szala, zaopatrując nasze kosze piknikowe w owoce i jogurt. Co o tym myślisz?

– Zgadzam się.

Za kilka rupii kupili ceramiczny garnek pełen chłodnego jogurtu, kilka złotych jabłek i mały woreczek orzechów włoskich. Mieszkańcy

wioski wyglądali na zawiedzionych, ale też niespecjalnie zaskoczonych tym, że goście nie kupili niczego więcej.

– By dostać cenę, którą chcą za szal, musieliby poczekać, aż Vivien Leigh się o nim dowie i specjalnie tu przyjedzie – powiedział z uśmiechem Rainer. – Kupiłbym ci go, gdybym miał pieniądze.

– Nie dziwię się tak astronomicznej cenie. Jest wyjątkowy.

Dzieci zebrały się, by przyrzeć się transakcji z bliska. Nawet dwóch małych pasterzy zostawiło swoje zwierzęta i dołączyło do reszty. Rainer machnął rękoma i zebrał wszystkich w koło.

– Chodźcie, podejdźcie i popatrzcie – zawołał.

– Zajmij ich przez minutę – powiedział do Nerys i poszedł w kierunku czerwonego forda. Nerys spojrzała na wyczekujące twarze dzieci, kobiet i mężczyzn, którzy odchodzili od swoich obowiązków, by zobaczyć, co się zaraz wydarzy. Nie miała pojęcia, co ma robić, aż w pewnej chwili przypomniała sobie swoją małą klasę w ośrodku misyjnym w Leh.

Zaczęła śpiewać piosenkę dla dzieci. Dzięki silnemu głosowi, ćwiczonemu w kościelnym chórze, utwór nabrał charakteru, zwłaszcza gdy zaczęła również tańczyć. Zanim dotarła do połowy, widownia wybuchła śmiechem. Chwilę później wrócił Rainer.

– Nieźle. Może zaoferuję ci posadę mojej asystentki – rzekł z uśmiechem.

Z jednej z toreb wyciągnął cztery srebrne okręgi połączone ze sobą jak ogniwa w łańcuchu. Ukłonił się, pokazał łańcuch brodatemu mężczyźnie i poprosił go, by oddzielił od siebie okręgi. Mężczyzna spróbował, ale w żaden sposób nie mógł rozerwać ogniwa. Rainer wziął je, obrócił, trzymając między kciukiem a palcem wskazującym, i zaprezentował publiczności cztery oddzielne pierścienie. Zebrani wydali okrzyki zachwytu i zdziwienia. Rainer udawał, że ich nie słyszy, podrzucił pierścienie w górę i zaczął nimi żonglować. Kiedy znów je złapał, uniósł szybko w górę i pokazał wszystkim złączone okręgi. Tym razem przekazał łańcuch żonie brodatego mężczyzny, a ona zaśmiała się cicho, gdy nie udało jej się rozłączyć pierścieni.

Nerys i mieszkańcy wioski klaskali z zachwytem. Otoczono ją i Rainera, ponieważ wszyscy stłoczyli się, by przyrzeć się z bliska magicznym przedmiotom. Zauważyła, że Rainer wydaje się wyższy i bardziej męski dzięki skupionej na sobie uwadze tłumu.

Wrzucił obręcz z powrotem do torby i wyjął kwadratową szybkę. Uniósł ją pod słońce i obrócił kilka razy w każdą stronę, a następnie zastukał w nią, by upewnić się, że istotnie jest ze szkła. Podał szybkę widzowi stojącemu najbliżej i zaczął grzebać w kieszeniach. Kiedy nie znalazł tego, czego szukał, wskazał na najmniejszą dziewczynkę, w fartuszkach z kieszonką z przodu. Kieszonka była pusta, więc Rainer zrobił minę, jakby bardzo intensywnie myślał. Pomachał ręką nad głową innego dziecka i zza jego ucha rozwinął czarną aksamitną wstążkę. Dziecko przyłożyło dłoń do ucha i odsunęło się na bok niczym krab. Reszta widzów pokrzykiwała z zadowoleniem. Rainer zrobił pętelkę na wstążce i mocno ją zacisnął. Następnie lekko się kłaniając, wziął swoją szybkę i przez jej środek przełożył wstążkę.

Ludzie wydali stłumiony okrzyk i zaczęli szeptać między sobą. Rainer podał szybkę żonie brodacza. Chuchnęła na nią i wytarła rękawem. Kiedy oglądała szkło, słońce odbijało się w jego gładkiej powierzchni. Rainer zwinął wstążkę i zaprezentował ją kobiecie, zabrał szybkę i włożył wszystko do torby.

Widzowie byli zbyt zaskoczeni, by bić brawo. Wszystkie dzieci były w szoku i stały trochę wystraszone.

– Panie i panowie, bardzo dziękuję – powiedział Rainer i ukłonił się.

Wziął Nerys za rękę i wrócili do auta. Wyjechali z małego placu i pojechali wzdłuż wzgórza. Zerkał na nią, gdy samochód podskakiwał na koleinach.

– Przesadziłem?

– Zaimponowałaś mi.

Westchnął.

– Zawsze staram się, żeby w moich występach było mniej popisywania się, a więcej prawdy. Ale tak sobie tylko obiecuję, a tak naprawdę wiem, że to iluzja jest łatwa, a prawda nigdy nie jest taka

prosta. Zaczniemy nasz piknik?

– Chętnie. Czy prawda faktycznie jest taka trudna, Rainerze?

– Wiem, że według ciebie taka nie jest. To dlatego, że jesteś dobra, Nerys. I piękna.

Nerys była dobra, ponieważ do tej pory nie było wiele okazji, by tę dobroć wystawić na próbę. Ale żaden mężczyzna nigdy nie powiedział jej, że była piękna. Jej policzki oblały się rumieńcem. Patrzyła przez przednią szybę na śnieżne szczyty Himalajów.

Znaleźli osłoniętą przed wiatrem jamę w wąwozie. Było tam dość wygodnie. Rainer wyjął rdzewiejącą beczkę z wybitymi w niej dziurami, włożył do środka drewno i podpalił je. Kilka minut później ogień trzaskał wesoło. Napełnił stary blaszany czajnik wodą ze strumienia i postawił go na beczce. Kiedy woda się zagotowała, czajnik zaczął gwizdać, a wspomnienia związane z tym dźwiękiem przyprawiły Nerys o błogi uśmiech. Przygotowywała herbatę w czasie, gdy Rainer siekał cebulę i odwijał z papieru kawałek ciemnoczerwonego mięsa. Pokroił je w kostkę scyzorykiem i usmażył z cebulą oraz garścią przypraw. Kiedy zapach kminu rzymskiego i kopru włoskiego zaczął roztaczać się po jaskini, Nerys zdała sobie sprawę, że jest niesamowicie głodna.

– Czy jest coś, czego nie potrafisz? – zapytała.

– Nie potrafię usiedzieć w jednym miejscu – odpowiedział, nie patrząc jednak w górę.

Zrozumiała, że mówił prawdę, a jego słowa mogłaby odebrać jako ostrzeżenie, gdyby tylko chciała.

Oparli się o skałę i jedli przyprawioną jagnięcinę włożoną między kromki chleba, popijając gęstym jogurtem i zagryzając jabłkami i orzechami. Rainer rozłupywał dla niej orzechy i wyjmował ich środki na rozłożoną chusteczkę.

Nerys dorobiła herbaty i wlała ją do dwóch blaszanych kubków.

– Opowiedz mi o naszej przadce. Dlaczego mieszka sama w Śrinagarze, skoro urodziła się tutaj?

Rainer pociągnął łyk herbaty i powoli zaczął opowiadać historię.

Dziewczyna dorastała w Kanihamie, w rodzinie przędzarzy, farbiarzy, tkaczy i hafciarzy. Ale na swoje nieszczęście zakochała się w handlarzu ulicznym, który jeździł od wioski do wioski, sprzedając olej, aluminiowe rondle i różne świece. Wyszła za niego wbrew zakazom ojca. Mężczyzna pochodził ze Śrinagaru, więc pojechała do miasta, by zamieszkać z nim w domu jego matki, jak wszystkie młode kobiety. Według tradycji po ślubie kobiety nie należały już do swoich rodzin, ale do męża.

Handlarz okazał się złym człowiekiem, czego już od dawna domyślał się jej ojciec. Dziewczyna urodziła trójkę dzieci, nim mąż ją porzucił. Jej teściowa wyrzuciła ją z domu, zarzekając się, że synowa jest cudzołożnicą, (czego oczywiście dowiedziała się od syna), a ojcem trójki dzieci jest inny mężczyzna. Dziewczyna została sama, nie mogła wrócić do rodziny w wiosce, ponieważ nie należała już do nich. Jedynym wyjściem była próba samodzielnego utrzymania dzieci. W innym wypadku wszyscy umarliby z głodu.

Nerys na własne oczy widziała, jak wyglądała taka walka.

Słuchała uważnie jego opowieści, która brzmiała niewiarygodnie. Ale teraz zebrała się w sobie, pamiętając o tym, że historia ta wydarzyła się naprawdę.

– To trudne i smutne.

– Niestety.

– Co możemy zrobić?

Rainer pokręcił głową.

– Poza zaoferowaniem im pieniędzy i jedzenia od czasu do czasu?

Nic. Tak to tutaj działa.

Ale *nic* nie zadowalało Nerys. Nawet to, co udało jej się zrobić dla dzieci w Leh, było lepsze. Evan też nie zaakceptowałby *niczego*. Wyciągnąłby rękę, by pomóc nawet grzesznikowi.

Nerys zamknęła na chwilę oczy. Myślała o Evanie od rana, kiedy to listonosz podpłynął do *Rajskiego ogrodu* z listem w dłoni.

– Kaszmir jest pełen smutku – powiedział cicho Rainer. – Ale nie lubię patrzeć, gdy odbija się on w twoich oczach.

Patrzył na nią tak intensywnie, że ich spojrzenia w końcu się spotkały. Pomyślała, że nagle stał się jej bardzo bliski. On znał ją, a ona jego.

– Powiedz, co się dzieje – szepnął.

Nerys wyprostowała się.

– Dziś rano dostałam list od męża. Miał wkrótce do mnie dołączyć. Ale postanowił spędzić zimę w Kargilu, ponieważ praca tam bardzo pochłania jego uwagę. Jest cenionym członkiem misji. Wierzy, że lepiej i bezpieczniej dla mnie byłoby spędzić zimę w Kotlinie z Myrtle. Kiedy śniegi znów stopnieją, przyjedzie do mnie i znów będziemy razem pracować.

Wciąż powtarzała w myślach ostatni fragment listu. Prawdopodobnie nie dostanie już w tym roku więcej wiadomości z Kargilu. Już teraz ciężko było przedostać się przez przełęcz, a za niecały tydzień Ladakh zapewne zostanie odcięte od świata na kolejną zimę.

Prawda była taka, że Evanowi łatwiej było wykonywać swoją pracę, gdy ona była daleko i nie męczyła go swoimi potrzebami. Mógł obdarzać miłością bliźnich bez ciągłego przypominania sobie, że między nim i jego żoną miłości nie było.

– Nie znam twojego męża – odpowiedział Rainer – ale według mnie jest głupcem.

Ujął jej dłoń i bardzo delikatnie ją pocałował. Nie zabrała ręki.

Nerys sporo nauczyła się o mężczyznach i kobietach, odkąd poznała Myrtle McMinn. Widziała, jak Myrtle zachowywała się na przyjęciach, podczas gry w tenisa i koktajli. Flirtowała, śmiała się i przyciągała uwagę mężczyzn wszędzie, gdzie się znalazła. Widziała i słyszała ją też w domu z mężem, zanim wyjechał. Nerys nie wątpiła, że Myrtle kochała męża, ale w miłości nic nie było białe albo czarne. Istniała nieskończona liczba kombinacji kolorów i setki tysięcy odcieni uczuć pomiędzy kochaniem i niekochaniem. Zaprzeczenie temu oznaczałoby niezgodzenie się nie tyle z oczywistą prawdą, co z samym sobą.

Nerys tak bardzo chciała, by Rainer ją dotknął, że zakręciło jej się w

głowie. Zaczynała rozumieć, o czym mówiła Myrtle, gdy radziła jej trochę się zabić.

Ale mężczyzna dotknął jedynie odzyskanej broszki zapiętej teraz przy kołnierzyku jej bluzki. Usłyszeli szelest i trzask gałęzi. Spojrzeli w górę i zobaczyli kozę patrzącą prosto na nich. Jej obecność oznaczała, że pasterz musi być w pobliżu.

– Powinniśmy wracać – powiedział Rainer, uśmiechając się.

W salonie dzwonił telefon. Gęsta plątanina kabli wiszących na drewnianych słupach na brzegu dostarczała dostęp do telefonu, jak i elektryczność do domu na łodzi, ale dzwonek telefonu zawsze zaskakiwał Nerys. Siedziała w pokoju, czytając i obserwując zimorodki latające nad jeziorem, a jej przyjaciółka pisała listy. Myrtle odłożyła pióro i podniosła słuchawkę.

– Tu *Rajski ogród* – powiedziała oficjalnym tonem.

Nerys słyszała kobiecy głos w słuchawce. Wysoki i histeryczny.

– Ależ nie. Nie martw się – powiedziała cicho Myrtle, spoglądając w kierunku Nerys.

Kobieta mówiła dalej. Chwilę później Myrtle powiedziała:

– Według mnie powinnaś wsiąść do *shikary* i przyjechać tutaj... Tak, teraz... Oczywiście... Tak jest... Do zobaczenia niedługo.

Odłożyła słuchawkę.

– To Caroline Bowen. Chyba znów ma kłopoty.

– Och, czy mam sobie gdzieś pójść?

– Nie, zostań tutaj. Mogłabyś tylko zadzwonić po kawę?

Myrtle podeszła do okna wychodzącego na werandę. Zapaliła papierosa i oparła się o szybę, niecierpliwie wyglądając łodzi sunącej przez jezioro.

Caroline przyплыnęła owinięta w *pheran*, kaptur przykrywał jej niemal całą twarz. Poczekała, aż Majid poda kawę i wyjdzie. Gdy tylko odsłoniła twarz, zauważyły, że miała czerwone i opuchnięte od płaczu oczy. Myrtle westchnęła ze współczuciem, usadowiła ją na sofie i podała jej filiżankę z kawą.

– Caroline, moja droga, musisz powiedzieć nam, co właściwie się

dzieje. Inaczej nie będziemy w stanie ci pomóc. Prawda, Nerys?

Nerys nie była tego tak pewna jak Myrtle. Caroline próbowała mówić, ale długą chwilę nie mogła znaleźć właściwych słów. Nie chciała patrzeć w oczy żadnej z kobiet. W końcu jednak cichym i niepewnym głosem rzekła:

– Będę miała dziecko.

Myrtle pokiwała głową. Nie wyglądała na bardzo zaskoczoną.

– Tak? I dlaczego jesteś taka nieszczęśliwa?

Caroline spojrzała na nią.

– To nie jest dziecko mojego męża.

– A czyje? Ravięgo Singha?

Jej milczenie było wystarczającą odpowiedzią.

– Czy Ravi o tym wie? Mówiłaś mu?

Pokręciła głową.

– Nikt poza wami nie wie. O Boże, tak się cieszę, że wam powiedziałam. Nie uwierzycie, jaka to ulga. Odchodziłam od zmysłów. Próbowałam wszystkich znanych mi sposobów. Piłam gin, póki go nie zwróciłam, brałam gorące kąpiele, jeździłam konno i skakałam przez przeszkody w pełnym galopie, ale nic to nie dało. Ciągłe czułam się chora i zmęczona, a potem to wszystko minęło i teraz tylko... – przesunęła ręką po brzuchu – robię się coraz większa.

– Wiesz, który to miesiąc? – zapytała łagodnie Nerys.

Caroline przygryzła dolną wargę.

– Wydaje mi się, że czwarty.

Myrtle liczyła coś w głowie.

– Czy Ralph się odzywał?

– Pisał to, co zwykle. On... nie jest zbyt wylewny. Wszyscy myśleli, że będą jechać do północnej Afryki, ale okazało się, że wysyłają ich na Malaje.

– Jest jakaś nadzieja na przepustkę?

– Nie sądzę.

Wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

– To dobrze.

Nastąpiła pauza, zanim Myrtle znów zaczęła mówić.

– Wiem, że to dość osobiste pytanie, ale koniec z sekretami. Skąd wiesz, że to nie dziecko Ralpa? Był w Śrinagarze przez całe lato. Czasowo się zgadza. A gdyby dziecko było jego, chyba byłby szczęśliwy? Zwłaszcza jeśli to chłopiec. A nawet jeśli to nie jego dziecko, Ravi Singh ma tak jasną skórę... Nie pierwszy raz zdarzyłoby się coś takiego, prawda?

Nerys nic nie powiedziała, ale próbowała spojrzeć ostrzegawczo na Myrtle. Uważaj. Nie zakładaj więcej, niż wiesz na pewno.

Było już za późno. Twarz Caroline poczerwieniała, a pusta filiżanka wypadła jej z rąk i potoczyła się po dywanie. Ukryła twarz w dłoniach, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Co się dzieje? – zapytała Myrtle. – Co ja takiego powiedziałam?

– To nie może być dziecko Ralpa. I tyle.

– Dlaczego nie? – naciskała Myrtle.

Nerys wstała, podniosła filiżankę i postawiła ją na mosiężnej tacy. Następnie usiadła po boku Caroline. Ujęła jej dłoń i spojrzała jej w oczy.

– Chyba rozumiem – powiedziała cicho. – Nie musisz mówić nic więcej, jeśli nie chcesz.

Caroline nieco się uspokoiła. Pokręciła głową.

– Nie. Chcę... muszę o tym porozmawiać. Przyszłam do pani McMinn, do Myrtle i do ciebie, ponieważ wiedziałam, że tego potrzebuję. Nie mam nikogo, komu mogłabym się zwierzyć, i to sprawia, że czuję się jeszcze gorzej. Moja macocha jest dobrą osobą, ale jest w domu, a ja tutaj. Nigdy tak naprawdę nie rozmawiałyśmy ze sobą od serca. Zanim ja i Ralph wzięliśmy ślub, wiedziałam, że muszę załatwić parę spraw. Kiedy więc pojechałam do Delhi, aby kupić suknię, znalazłam tam lekarza, pani Fanshawe dała mi do niego adres, a on dał mi to gumowe coś, co wkłada się do środka...

Spojrzała na Nerys.

„Facet na trzy litery” – przypomniała sobie Nerys. Tak Archie McMinn nazwał kapitana Bowena.

– Podczas naszej nocy poślubnej trzymałam to w pudełku i byłam

gotowa włożyć, tak jak zalecił doktor. Ale Ralph wypił za dużo i poszedł spać. Nie zaskoczyło mnie to, widziałam już wcześniej, jak pije, więc następnego dnia próbowałam sobie z tego żartować, mówiłam coś o nadrabianiu straconego czasu. Ralpa w ogóle to nie śmieszyło. Wieczorem powiedział, że źle się czuje i spał na łożku polowym. Po kilku dniach mnie też przestało to śmieszyć. Sypałam talk na tę gumę i szłam do łóżka w ładnej koszuli nocnej. Ale mój mąż nigdy nie zrobił tego, co powinien.

– Nigdy? – szepnęła zaskoczona Myrtle.

Nerys rozumiała, jak trudno było jej przyjaciółce wyobrazić sobie taką sytuację. Dla niej nie było to nic nowego.

Caroline uniosła głowę.

– Nigdy.

– Biedna – westchnęła Myrtle.

– Myślałam, że chodzi o mnie. Wiedziałam, że nie jestem odpychająca fizycznie, ale najwyraźniej dla niego nie byłam zbyt pociągająca. Potem jednak zaczęłam myśleć: do licha, skoro ja chcę, a on nie, to przecież cała wina nie może leżeć po mojej stronie? Czasem już prawie się udaje, ale wiem, że on zawsze zamyka oczy, jakby był gdzie indziej. Nigdy też nie podnieca się na tyle, by faktycznie do tego doszło. Czy ma to sens?

– Oczywiście – zapewniła ją Nerys.

– Po naszym miesiącu miodowym i tak większość czasu spędzał ze swoim regimentem. Ralph jest żołnierzem, tak jak jego ojciec i dziadek. Żołnierska tradycja sięga w tej rodzinie Waterloo. Wojsko zawsze było na pierwszym miejscu. Ostrzegał mnie przed tym, zanim się zaręczyliśmy, ale ja byłam tak podekscytowana perspektywą ślubu, że myślałam, że dam radę go zmienić lub nauczę się z tym żyć. W końcu, jakie miałam szanse na kolejne oświadczyzny? Przyjechałam aż tutaj i nie mogłam już na zawsze mieszkać w rezydencji. Ralph był dość przystojny i wydawało mi się wtedy, że mnie pożąda.

Nawet Nerys rozumiała, że ambitny żołnierz potrzebował żony. Pułkownik i żona pułkownika. Caroline świetnie nadawała się do tej

roli.

Caroline spojrzała z zadumą na swoją obrączkę i pierścionek zaręczynowy.

– Miałam być żoną Ralpha i matką jego synów. Mój Boże.

Łzy znów zaczęły płynąć po jej gładkich zaróżowionych policzkach. Myrtle podała jej chusteczkę i powiedziała:

– A co z Ravim Singhem?

– Chyba sama wiesz. Nie powinnam mu ulec, ale nie potrafiłam tego powstrzymać. Czułam się z nim wspaniale. On był taki uroczy, adorował mnie, uwielbiał, spełniał moje zachcianki. W moim domu nawet służba mnie lekceważy. Ravi lubi korzystać z życia, ma to, co chce. Poza tym, jest znacznie zabawniejszy i ciekawszy od wszystkich Anglików, których znam.

– Stać go na to – zauważyła oschle Myrtle.

– Uwodził mnie przez długi czas. Nie był nachalny. Całował mnie ukradkiem i pieścił. Traktował jak najcenniejszy na świecie skarb. To działało się przez kilka tygodni, za każdym razem posuwaliśmy się dalej. Zawsze mnie rozśmieszał, obdarowywał prezentami i mówił... wszystko to, co wyobrażałam sobie, że kiedyś usłyszę od Ralpha.

Nerys pomyślała o Rainerze i pikniku w Kanihamie. Różnica polegała na tym, że była odrobinę bardziej sceptycznie nastawiona do mężczyzn i seksu niż Caroline Bowen. Poczwała, że się czerwieni i miała nadzieję, że Myrtle tego nie zauważy i nie będzie się zastanawiać, dlaczego.

Caroline podniosła głowę.

– To, co się stało, było cudowne. Chcę, żebyście wiedziały, że w ogóle tego nie żałuję, mimo tego, w jakim teraz jestem stanie.

Nerys słuchała uważnie.

– To był letni domek jego rodziny, na wsi. Kiedy Ravi mnie rozebrał, poczułam się najpiękniejszą kobietą na świecie. Nic nie było w stanie zepsuć tej chwili. Nic. Dbał o każdy szczegół, poświęcał mi każdą sekundę.

Myrtle i Nerys nic nie mówiły. Miłosne wspomnienie zmieniło

śliczną twarz tej dziewczyny w twarz tragicznej bohaterki.

Myrtle jako pierwsza odzyskała głos.

– Oczywiście nie miałaś ze sobą kapturka?

– Nie.

– I Ravi oczywiście też nie zadał sobie trudu, by jakoś się zabezpieczyć?

– Nie.

Myrtle westchnęła.

Caroline dodała szybko:

– Po pierwszym razie najczęściej go używałam. Czasami. Problem polega na tym, że to niezbyt romantyczne, prawda? Gdyby robić to z mężem, nie byłoby problemu. Przyzwyczaiłby się, że idziesz do łazienki i tam robisz coś dziwnego.

Nerys nie mogła powstrzymać uśmiechu, słuchając teraz Caroline.

– Potem zauważyłam, że za każdym kolejnym razem było coraz mniej magicznie. Chciałam go więcej i więcej, tak bardzo, że to pragnienie bolało. Mówiłam o tym, jak bardzo go kocham, nie mogłam się powstrzymać, a on coraz bardziej się ode mnie odsuwał. Pewnego dnia, gdy byliśmy sami, a ja już zaczynałam podejrzewać, że jestem w ciąży, spojrzał na zegarek, zamiast mnie rozebrać i pieścić, powiedział, że musi iść na jazdę konną.

Caroline wzięła głęboki oddech.

– Na przyjęciu w rezydencji wypiliśmy kilka drinków dla odwagi i kiedy poprosił mnie do tańca, próbowałam z nim porozmawiać. Ale był taki oschły. Nigdy nie podejrzewałam, że mógłby być taki zimny, kiedy ja płonęłam ze złości, zazdrości i strachu. Wtedy właśnie mnie uratowałyście. Od tamtej pory siedzę w moim pustym domu, modląc się o cud. Ale cuda się nie zdarzają. Nie wiem, co teraz robić.

– Czy naprawdę kochasz Ravięgo? – zapytała Nerys. Widziała zimną i oschłą twarz tego mężczyzny, jego dumne zachowanie, pewne siebie spojrzenie.

– Oczywiście, że tak. Szalenie – odpowiedziała Caroline, ale Nerys podejrzewała, że dziewczyna bardziej uczepiła się pragnienia miłości

niż samego Ravięgo.

– No dobrze. Pomyślmy, co możemy teraz zrobić – powiedziała Myrtle.

Caroline spojrzęła na nią z wdzięcznością.

– Już chyba za późno, by znaleźć kogoś, kto mógłby pomóc w tej sytuacji.

– Chyba masz rację – potwierdziła Nerys.

Szansa na to, by jakikolwiek porządný doktor zgodził się na usunięćie ciąży tak późno, była niewielka, a ona sama nie była w stanie nawet myśleć o jakichkolwiek nielegalnych rozwiązaniach.

Caroline i Myrtle patrzyły na nią uważnie.

– Kiedy Evan i ja byliśmy w Shillong, pracowałam w szpitalu misyjnym, na bloku porodowym. Widziałam rezultaty kilku nieudanych prób pozbyćcia się dzieći. I na pewno nie chcę widzieć tego ponownie.

– Jesteś położną? – zdziwiła się Myrtle. – Muszę przyznać, że to niezwykle użyteczne.

– Nie jestem. Tylko pomagałam.

– To już coś. Ja nigdy nie widziałam rodzącego się dziećka.

– Ani ja – powiedziała Caroline. Zbladła na myśl o tym, co ją czekało, ale Myrtle już odzyskała energię.

– Zdejmij to wełniane wdzianko, Caroline, i wyprostuj się. Stań bokiem i pokaż nam swój śliczny brzuszek.

Zrobiła to, co jej kazano, nieśmiało wygładzając spódnice w miejscu, gdzie lekko już się podnosiła. „Tak”, pomyślała Nerys. „Szesnasty lub siedemnasty tydzień ciąży.” Caroline była szczupła, ale wyglądała na silną i odporną. Tak czy inaczej będzie wymagać odpowiedniej opieki medycznej.

Myrtle pokiwała głową. Widać było, że intensywnie o czymś myśli.

– Będziesz chciała zatrzymać dziećko? Kiedy już się urodzi?

– Próbowalałam za wszelką cenę to powstrzymać. Przez wiele tygodni nie myślałam o niczym innym, tylko o tym, jak się go pozbyć. Ale teraz... – położyła dłoń na brzuchu – nie wiem, co robić. Ono rośnie.

Czuję to. Ale na pewno nie jest dzieckiem Ralpa, a on nigdy nie zaakceptuje tego, co zrobiłam, więc jeśli chcę żyć dalej tak jak teraz, muszę to przed nim ukryć. Sądzę, że Ravi przyznałby się do dziecka, w jakiś sposób przynajmniej, ale nigdy nie stałoby się ono częścią jego rodziny. Nie poślubiłby mnie, nawet gdybym wzięła rozwód. Już nawet przestałam o tym marzyć – podsumowała.

– Myślę, że nie powinnaś nic mówić Raviemu – ostrzegła ją Myrtle. – To w niczym nie pomoże.

– Jak myślisz, co będzie najlepsze dla ciebie? – zapytała Nerys.

Caroline roześmiała się pod nosem.

– Poza dyskretnym „zgubieniem” dziecka? Chyba najlepiej będzie, jeśli urodzę je, próbując zachować to w tajemnicy, a następnie znajdę dla niego dobry dom, w którym będę mogła je czasem odwiedzać. I nie wiem, co dalej. Pewnie Ralph wróci do domu po wojnie i spróbujemy raz jeszcze być małżeństwem w taki sposób, jak powinno to wyglądać.

Wydęła dolną wargę, przez co przypominała trochę bezbronne dziecko.

– Ale chyba liczę na zbyt wiele.

Serce Nerys ścisnęło się ze współczucia. Caroline Bowen była zwykłą dziewczyną, która pragnęła zwykłych rzeczy. Męża, miłości, rodziny. Czym różniła się od innych?

Myrtle uśmiechała się, a jej oczy błyszczały. Gdzieś zniknęło znużenie odznaczające się na jej twarzy, odkąd Archie wyjechał. Złapała obie koleżanki za ręce.

– Przez resztę zimy jesteśmy tu same. Ralph jest na Malajach, Archie gdzieś na wschodzie, a Evan nie wyjedzie z Kargilu do wiosennej odwilży. Więc musimy działać razem. Wszystkie będziemy w ciąży.

Nerys przełknęła ślinę i powiedziała:

– Chyba nie do końca cię rozumiem.

– Rzecz jasna ani ty, ani ja tak naprawdę nie będziemy w ciąży, niestety, ale będziemy wyglądać tak, jakbyśmy były. Przez całą zimę będziemy chodziły owinięte w *pheran*, a pod nim będziemy nosić garnuszek z ciepłą wodą. Nikt się nie zorientuje, co kombinujemy.

Często patrząc na kobiety z Kaszmiru, wydaje mi się, że są w ciąży. Caroline, zostań w swoim domu tak długo, jak długo będziesz w stanie ukrywać ciążę. A kiedy już utrzymywanie tego w tajemnicy stanie się zbyt trudne, możesz zamieszkać ze mną – machnęła ręką. – W *Ogrodzie* nie ma co prawda miejsca dla nas trzech, ale coś wymyślimy, gdy nadejdzie czas. W międzyczasie Nerys i ja będziemy udawać, że robimy się grubsze i wolniejsze, i tak się owiniemy, że jeśli kiedykolwiek ktoś będzie chciał plotkować o ojcu dziecka, nie będzie w stanie mówić o całej naszej trójce.

Uśmiechnęła się szeroko na myśl o swoim planie.

– Musicie przyznać, że jestem genialna.

– Mówią, że szaleństwo i geniusz często idą w parze – zażartowała Nerys.

Caroline szeroko otworzyła oczy, zastanawiając się nad pomysłem koleżanki.

Myrtle mówiła dalej:

– Caroline, ty i ja możemy pojechać kilka razy do Delhi, na zakupy lub po prostu na wycieczkę. Nikt nie będzie nam przeszkadzał w moim domu, a ty będziesz mogła wtedy pójść do lekarza. Może w ostatnim miesiącu będziemy musiały zabrać cię gdzie indziej, z dala od ciekawskich spojrzeń. A kiedy termin porodu będzie już blisko, wrócimy do Delhi. Potem poszukamy rodziny zastępczej, która będzie chciała zaadoptować twoje dziecko. Trwa wojna. Wielu rodziców zostanie bez dzieci – jej twarz nagle pojaśniała.

– Myrtle? – powiedziała Nerys.

Nigdy nie rozmawiały o tym, dlaczego McMinnowie nie mieli dzieci, nawet gdy Myrtle opiekowała się nią po tym, jak Nerys poroniła. Domyślała się, że z jakiegoś powodu nie mogą mieć dziecka, a ponieważ często rozmyślała o osobistej stracie, unikała tego pytania.

Myrtle podniosła rękę. Wzrok utkwiała w twarzy Caroline. Dziewczyna przygryzała wargę. Była tak zdesperowana, że zgodziłaby się właściwie na wszystko.

– To może się udać – powiedziała w końcu.

– Nerys? Co ty na to? – dopytywała Myrtle.

Wymieniły spojrzenia, rozmyślając o ich sekretnym planie i o wspólnej odpowiedzialności za Caroline Bowen i jej nienarodzone dziecko.

– Dobrze – stwierdziła. – Możecie na mnie liczyć.

Caroline uśmiechnęła się.

– Jesteście wspaniałe. Nigdy nie miałam takich przyjaciółek.

Uścisnęła ich dłonie tak mocno, że Nerys poczuła ból.

– Przyjaciółki na zawsze – powiedziała.

– Ależ jestem sprytna – roześmiała się Myrtle.

Tego samego wieczora Nerys i Myrtle zasiadły do kolacji.

– Co ty właściwie planujesz? Jeśli mamy współpracować, musisz mi wszystko teraz opowiedzieć – powiedziała Nerys.

Myrtle obróciła w dłoniach kieliszek, patrząc, jak światło odbija się w jego zdobieniach.

– Chcę pomóc Caroline, rzecz jasna. Jest w bardzo trudnej sytuacji. Archie i ja nie możemy mieć własnych dzieci, pewnie się tego domyśliłaś. Mój mąż zawsze powtarzał, że nie toleruje adopcji. Rozumiesz, dziecko innego mężczyzny... – przerwała, wzdychając w nietypowy dla siebie sposób. Ale za chwilę podniosła głowę i spojrzała prosto na Nerys.

– Ale jeśli pojawi się dziecko, takie, które będzie potrzebować kochającej go rodziny, może zmienić zdanie. Jest szansa, prawda?

– Nie wiem. Może.

Znając Archiego, który był najmilszym, ale jednocześnie najbardziej nieugiętym mężczyzną, jakiego spotkała, Nerys tak naprawdę wątpiła w to. Patrzyła jednak na błyszczące oczy Myrtle i wiedziała, że nie potrafi jej tego powiedzieć. Nowo narodzone dziecko szukające domu. Jeśli Myrtle nie mogłaby się nim jednak zaopiekować, ona mogłaby obdarzyć je matczyną miłością. Evan z pewnością nie mógłby odmówić pomocy indyjskiej sierotce.

– Cokolwiek się wydarzy, musimy zaopiekować się biedną Caroline
– powiedziała Myrtle.

– Możesz mi coś wyjaśnić? Co Archie miał na myśli, mówiąc, że Bowen jest „facetem na trzy litery”?

Myrtle uniosła brew.

– To znaczy, że jest kochający inaczej – wyjaśniła.

– Tak właśnie myślałam.

„SZAL ZAHRY”

Mair sączyła gin z tonikiem. Słaby wzrok Caroline Bowen najwyraźniej sprawiał jej problemy, ponieważ musiała odchyłać głowę, by wyraźnie widzieć twarz gościa. Mair zaczęła wyjaśniać powód swojej wizyty w Ladakhu i Kaszmirze, ale historia była zbyt zawiła i zauważyła, że starsza pani ma problemy ze zrozumieniem jej.

– Co mówiłaś? Przepraszam, rzadko miewam gości – przerwała jej, zanim Mair dotarła do połowy.

Służąca wyszła po tym, jak nalała gin do szklanek, ale teraz wróciła. Spojrzała na Mair i powiedziała groźnym tonem.

– Mówiłam, pani Bowen jest dziś bardzo zmęczona.

Mair przysunęła się nieco bliżej, uważając, by nie przewrócić stołka, na którym pani Bowen opierała obandażowaną nogę.

– To ja przepraszam, że panią męczę.

Caroline Bowen uśmiechnęła się. Jak odbicie w wodzie, Mair przez chwilę dostrzegła w jej twarzy młodą kobietę, którą niegdyś była. Kogoś jej przypominała, ale zanim Mair zdołała domyślić się, kogo, obraz znikł.

– Zawsze bardzo się cieszę, widząc nową twarz. Aruna i ja czasem się tu nudzimy. Możesz powtórzyć, jak się nazywasz? Pamięć mnie zawodzi.

– Jestem Mair.

– Co to za imię?

– Walijskie.

Caroline znów lekko odchyliła głowę, jakby patrzyła przez niewidzialną mgłę.

– Pani Bowen, czy pamięta pani lata czterdzieste? Rodzice mojej mamy przyjechali wtedy do Śrinagaru z walijską misją prezbiteriańską, a ja próbuję czegoś się o nich dowiedzieć. Wiem, że szanse są niewielkie, ale myślałam, że być może coś pani pamięta...

Oczy pani Bowen błysnęły.

– Kim byli? Jak się nazywali? Przyjechałam tu w 1941 lub 42 roku. To były ciężkie czasy. Mój mąż był w Indyjskiej Armii. Walczył z Japończykami w obronie Singapuru. Zginęło wówczas tylu odważnych ludzi.

– Czy pani mąż zginął na wojnie?

Aruna poruszyła się na drugim końcu pokoju.

Caroline obróciła głowę, jej oczy znów były bez wyrazu.

– Ralph? Nie. Był bardzo odważny, dostał nawet Krzyż Wojskowy. Przykro mi, kochanie, nie znam nikogo... Jak się nazywali? Aruno, czy nasz gość ma jeszcze coś do picia?

– Tak – odpowiedziała szybko Mair. Zaczęła zbierać się do wyjścia, ale poczuła na sobie spojrzenie Caroline.

– Nie idź jeszcze. Cudownie jest móc tak sobie porozmawiać.

Mair czuła się skrępowana. W osobie Caroline Bowen było coś dziwnego. Może chodziło o jej podeszły wiek i o to, że siedziała odosobniona w tym pełnym słońca pokoju.

– Nie chcę pani męczyć.

– Nic mi nie będzie. Mam dużo czasu, by odpoczywać. O czym mówiłyśmy?

– Wspominała pani o swoim mężu i o wojnie. Czy od tamtej pory mieszkała pani w Śrinagarze?

Aruna znów się poruszyła, tym razem próbując zainterweniować. Caroline podniosła rękę.

– Nie. Pojechałam do domu w czterdziestym piątym. Myrtle i jej mąż zostali, ale większość wróciła do Wielkiej Brytanii. Po podziale

Indii wszystko się zmieniło. Stare Indie przestały istnieć. I Kaszmir... Smutna historia. Aruna, ty nie pamiętasz, jak było tu kiedyś. Wspaniale się bawiliśmy. Przeżyliśmy tu cudowne chwile – nie zwracała już uwagi na obecne czasy i usiadła głębiej w fotelu.

Mair domyśliła się, że teraz przed jej oczyma pojawiały się obrazy z przeszłości.

– Przez wiele lat chorowałam. Trafiłam do sanatorium w Anglii, więc nie miałam kontaktu z nikim z tamtego okresu. Kiedy wyzdrowiałam lub raczej kiedy stwierdzili, że jest ze mną lepiej, byłam już wdową. Było ciężko.

„Stwierdzili”? Mair zastanawiała się, kim byli „oni”.

– Domyślam się.

– Masz męża, moja droga?

Mair uśmiechnęła się do niej.

– Nie. Szczerze mówiąc, jeszcze nie doszłam do momentu w życiu, w którym chciałabym wyjść za mąż. Miałam chłopaków, ale nic poza tym.

Caroline ucieszyła się, słysząc to.

– To takie nowoczesne. Ta niezależność. Bardzo ci jej zazdroszczę. Nie grozi ci więc, że zostaniesz wdową.

– Chyba nie, dopóki nie zostanę mężatką.

– Dam ci pewną radę: nie zmieniaj tego.

Obie się roześmiały. Na twarzy Caroline znów pojawiło się jej młode oblicze. Tym razem Mair już prawie udało się połączyć ten obraz z kimś, kogo już kiedyś widziała, ale znów było za późno.

– Co wydarzyło się później? – zapytała.

– Kiedy?

– Po tym, jak straciła pani męża.

– Nie wiem, czy chcesz o tym słuchać. Anglia bardzo się zmieniła, była całkowicie inna od tej, w której dorastałam. Zanim zdążyłam się do tego przyzwyczaić, zrozumiałam, że to Indie są moim prawdziwym domem. Wróciłam więc tutaj i zostałam. Jakoś sobie radzę, choć wszystko tak mocno podrożało.

– Pora wziąć leki – powiedziała Aruna.

Wzięła do ręki tacę. Prawie pusta butelka ginu stuknęła o butelkę toniku. Mair pomyślała, że pieniądze, które pani Bowen dostaje co miesiąc, prędzej wystarczą na utrzymanie się w Kaszmirze niż w Anglii. Obie kobiety patrzyły na Arunę, gdy ta szła przez pokój, by przynieść lek. Mair wzięła plecak i brązowy szalik.

– Pójdę już.

W chwili kiedy to powiedziała, zrozumiała coś. Rozpoznała osobę, na którą patrzyła przez ostatnią godzinę. Sięgnęła do plecaka i wyjęła zawiniątko.

– Czy mogę pani coś pokazać, zanim wyjdę?

Wyjęła szal, który zafalował delikatnie w powietrzu, a następnie opadł na kolana Caroline Bowen.

W pokoju zrobiło się cicho. Caroline położyła dłonie na materiale i uniosła szal bliżej twarzy. Wydawało się, że wdycha zapach uwięziony między jego fałdami. Z wielkim wysiłkiem skupiła wzrok na kolorach kaszmirskiego lata.

Mijały kolejne minuty.

– Skąd go masz?

– Znalazłam go w rzeczach mojej babci.

Caroline szepnęła:

– Chciałabym dobrze cię widzieć.

Mair klękła obok jej fotela. Caroline wyciągnęła dłoń i zaczęła badać kontury jej policzków i szczęki.

– Jesteś z Walii? – powiedziała cicho.

– Tak. Moja babcia nazywała się Nerys Watkins. Mam jej zdjęcie.

– Nerys była moją przyjaciółką. A to... – podniosła miękki szal – to Zahry. Jej posag.

Opiekunka Caroline wróciła z lekarstwem.

Rozdział Dziesiąty

Nadeszła zima. Na początku grudnia 1941 roku oddziały japońskiej armii zaatakowały Malaje. Jednostki Armii Indyjskiej broniące wybrzeża zmuszone były do poddania się. Japończycy szli dalej w głąb półwyspu, w kierunku twierdzy w Singapurze. W tym samym czasie japońskie bomby spadły na amerykańską flotę w Pearl Harbor.

Wojna w Europie sięgnęła Azji, a amerykańskie wojska w odpowiedzi na ataki rozpoczęły największą mobilizację w historii.

Z dala od Śrinagaru kapitan Ralph Bowen i jego 11. oddział piechoty zostali przydzieleni do obrony bazy marynarki wojennej w Sembawang, w północno-wschodniej części Singapuru. W tym samym czasie Archie McMinn, inżynier indyjskiej kolei, zdobył w końcu mundur i przystąpił do walki. Koordynował pracę taboru kolejowego i personelu, który zaopatrywał oddziały na Malajach oraz przygotowywał tysiące rannych mężczyzn do ewakuacji.

Po drugiej stronie Himalajów, w Kargilu, odmawiający służby wojskowej Evan Watkins wygłaszał kazania w prawie pustej prezbiteriańskiej sali misyjnej i spędzał samotne noce w maleńkim mieszkanku, w którym w radio słuchał wiadomości o wojnie. Jedynym pocieszeniem, gdy mróz się nasilił, a jałowości jego pracy już nie dało się dłużej zaprzeczać, było myślenie o Nerys żyjącej w komfortowych warunkach w Kotlinie Kaszmirskiej. Tęsknił za ich wspólnym domem w Leh, głosami dzieci klaszczących i śpiewających w jej klasie, a nawet za

gotowaniem Diskit. Modlił się gorąco o siłę, podróżując w mrozie do maleńkich wiosek, których mieszkańcy byli zaskoczeni jego przybyciem, i jednocześnie coraz bardziej zdawał sobie sprawę, jak bardzo wyczekiwał nadejścia wiosny i spotkania z żoną.

Nerys zakochała się w zimowej scenerii Śrinagaru. Jej zdaniem ci, którzy mieszkali tu tylko w sezonie letnim, nie mieli pojęcia, co tracą.

Dym z niezliczonych ognisk unosił się w powietrzu, na drzewach pozbawionych teraz liści siedziały stada ptaków, stukot końskich kopyt odbijał się echem w cichym mieście. Kiedy obudziła się pewnego ranka, woda w jeziorze wyglądała tak, jakby pokryto ją warstwą oleju. Następnego dnia pojawiły się na niej cienkie, pobłyskujące w słońcu kry, a dzień później zamarzła. Pardwy i pliszki pozostawiały ślady na szronie, a girlandy z sopli zwisały z okapów dachów domków na łodziach.

Zachwycona pięknem tej scenerii, zapytała Myrtle:

– Czy tak jest każdego roku?

– Mniej więcej co czwartą zimę. Przed wojną, gdy jezioro porządnie zamarzało, urządzaliśmy przyjęcia na łyżwach i kuligi. Jednego roku rezydent, poprzednik obecnego, urządził jakubiański festyn lodowy. To było niezwykle wydarzenie. Wszyscy ubrali się elegancko, łyżwiarzom i tańczącym przygrywała orkiestra, kucharze z rezydencji upiekli jagnięcinę, a na koksownikach pieczono kasztany. Było to najlepsze przyjęcie w roku. Specjalnie na nie zjechali goście z Delhi i Jammu.

Westchnęła na wspomnienie świetności minionych czasów.

– Tym razem coś takiego się nie powtórzy. Nie ma tu żywej duszy i wszystkiego jest mało, albo w ogóle nie jest dostępne.

– Ja tu jestem, jest Caroline. Będziemy musiały same urządzić przyjęcie zimowe. Rainer na pewno chętnie nam pomoże.

– Mam nadzieję. Potrzeba nam jakiegoś ciekawego zajęcia – zgodziła się chętnie Myrtle. Nalała sobie jeszcze trochę ginu i dodała odrobinę soku z limonki.

Rainer był częstym gościem w domu na łodzi, pojawiał się na schodach werandy niemal tak regularnie jak Caroline. Myrtle cieszyła

się z poznawanych dzięki niemu ludzi, których nigdy wcześniej nie zauważała i którzy nie mieli szans na wstąpienie do klubu czy wzięcie udziału w przyjęciach w rezydencji.

Dzień po ataku na Pearl Harbor Rainer zabrał obie kobiety na spotkanie ze swoim przyjacielem, profesorem. Nerys i Myrtle piły herbatę z żoną profesora, jego córką i innymi krewnymi płci żeńskiej, podczas gdy mężczyźni siedzieli w pokoju obok, rozkoszując się paleniem fajki i rozmawiając o wojnie i polityce. O dziwo, Myrtle nie miała nic przeciwko tej segregacji, choć Nerys spodziewała się zupełnie innej reakcji ze strony przyjaciółki. Kobiety z rodziny profesora były inteligentne, wyjątkowo rozmowne i miały duże poczucie humoru. To wystarczyło, po powrocie do domu Myrtle stwierdziła, że od wieków tak dobrze się nie bawiła.

Szybko też stwierdziła, że Caroline powinna jak najczęściej wychodzić, póki zmiany w jej figurze nie będą zbyt oczywiste. Niemal codziennie pijały kawę lub herbatę w opustoszałej sali klubowej. Mała garstka stałych bywalców przyzwyczaiła się do ich odwiedzin tak bardzo, że tylko podnosiła ręce w przywitaniu, gdy one szły w stronę baru lub stolika do brydża. Za każdym razem kiedy wychodziły z domu, poruszały się powoli i owijały grubymi warstwami wełny, owczej skóry, paszminy i grubego tweedu. Nerys zauważyła, że szalony plan Myrtle jak dotąd sprawdzał się.

Rainer widział je razem zaledwie dwa razy, zanim zapytał Nerys, gdy tylko zostali sami, czy mogłaby mu wyjaśnić, o co chodzi *zpheranami*.

– *Z zpheranami?* – zapytała, siląc się na niewinny wygląd.

– Tak. Wczoraj w klubie wasza trójka wyglądała jak rząd płynących galeonów. Na pewno w księdze skarg i zażaleń pojawią się teraz pytania o ogrzewanie, skoro przebywając w saloniku, zmuszone byłyście do siedzenia w wierzchnich okryciach.

– Po prostu jest nam zimno – powiedziała wymijająco Nerys.

Była zadowolona z zakupu *kangri*. Był to okrągły ceramiczny garnuszek, rozmiaru, przyznawała to z rozbawieniem, brzucha w

ostatnim stadium ciąży, włożony w wiklinowy koszyk. Codziennie rano Majid wypełniał go rozżarzonymi węgielkami z paleniska w łodzi kuchennej i przynosił go do jej sypialni. Przyciskała go do brzucha, gdy wychodziła spod kołdry i wkładała na siebie kolejne warstwy ubrań. Następnie schodziła do salonu, gdzie ogień w kominku płonął, a Myrtle siedziała skulona przy czajniczku z kawą. Myrtle miała na sobie czapkę z jagnięcej skóry, która zakrywała jej uszy i wełniane rękawiczki z odciętymi końcówkami palców, aby nie musiała ich zdejmować. W promieniu metra od kominka było wystarczająco ciepło, by móc siedzieć tam i miło gawędzić, ale reszta pokoju zdawała się być skuta lodem.

Rainer lekko pokręcił głową. Podwinął rękaw i przeczesał włosy tak, że przypominały końską grzywę.

– Czy mówiłem ci kiedyś o czterech zasadach iluzji scenicznej? Powstrzymaj mnie, jeśli już to słyszałaś.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziała Nerys ze śmiechem. Ich rozmowy zawsze tak wyglądały. Można było odnieść wrażenie, że są bardzo poważne i oficjalne w gruncie rzeczy jednak przepelnione były żartami i flirtem.

– Cztery zasady – liczył na palcach – to zwiedzenie, odwrócenie uwagi, przebranie i symulacja. Jeśli, na przykład, powiesz publiczności, że dzbanek, który wygląda na wypełniony białym płynem, jest pełen mleka, widzowie uwierzą ci, ponieważ nie wyobrażają sobie niczego innego. Według mnie wasza trójka z powodzeniem stosuje się do wszystkich czterech zasad. Jako profesjonalista muszę powiedzieć, że podziwiam waszą technikę, ale jako przyjaciel ze smutkiem konstatuje, że czuję się nieco wykluczony z przedstawienia.

Zawiedziony ton, z jakim wypowiedział ostatnie zdanie, sprawił, że Nerys roześmiała się jeszcze głośniej.

– Nie mogę ujawniać cudzych sekretów – zaprotestowała z rozbawieniem w głosie.

– No dobrze. Ale jeśli miałbym wam coś doradzić, jako kolega po fachu, powiedziałbym tylko, że za dużo odwracania uwagi tylko ją przyciąga.

– Rozumiem i dziękuję – powiedziała już znacznie poważniej.

Tego samego wieczora oznajmiła Myrtle i Caroline, że Rainer zaczął się czegoś domyślać i zadawać pytania. Pomyślała, że dobrym rozwiązaniem będzie wyjaśnić mu, co się dzieje, ponieważ w przyszłości jego pomoc może im się przydać.

Caroline nie była tego taka pewna.

– Umie dochować tajemnicy? – zapytała.

Nerys stwierdziła, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości, a Myrtle dodała:

– Rainer Stamm sam jest jedną wielką tajemnicą. Nerys, pamiętasz tych dwóch Amerykanów, których poznałyśmy w jego domu?

Pamiętała.

– Jeden z nich wypił kilka szkockich i chyba za bardzo mnie polubił.

Nerys pamiętała również to.

– Cóż, myślałam, że jest szpiegiem, ale on wierzy, że szpiegiem jest Rainer.

– Mam nadzieję, że przynajmniej po naszej stronie? – zapytała rozbawiona Nerys.

Caroline spojrzała na koleżanki.

– Oczywiście, że po naszej. Przecież nie mógłby być Nazi, prawda? Mimo tego, że jest Szwajcarem.

Myrtle poklepała ją po dłoni.

– Myślę, że najlepszych szpiegów trudno rozpoznać, moja kochana. Ale nie martw się. Ufam panu Stammowi, a Nerys ma rację. Mógłby się nam przydać.

Cała trójka zgodziła się, by Nerys wtajemniczyła mężczyznę w plan.

Następnego wieczora udała się do domu Rainera, a Myrtle i Caroline wybrały się na charytatywną aukcję rękodzieła, podczas której zbierano fundusze na wysyłkę słodyczy i papierosów mężczyznom stacjonującym na Malajach. Myrtle stwierdziła, że nie ma zamiaru kupować żadnej tandety z papier-mâché ani kolejnej podstawki na

pióro czy wizytownika, które potem mogłaby dać komuś w prezencie. Zastrzegła też, że jeśli na święta sama otrzyma od nich taki prezent, pójdzie nad jezioro i wrzuci go do wody.

Caroline pokiwała głową.

– Zapamiętam to sobie – powiedziała.

Myrtle i Nerys czasem nie do końca wiedziały, czy ich przyjaciółka żartuje, czy mówi poważnie.

W pokoju Rainera było bardzo zimno. Niebo za oknem pozbawionym zasłon usiane było gwiazdami. Siedzieli, patrząc na czarną wodę w jeziorze i żółte punkciki świateł lamp z domów stojących na drugim brzegu. Para białych gołębi, których używał czasem podczas występów, spała w drucianych klatkach, chowając niewinnie głowy pod skrzydłami.

– Kto jest ojcem? – zapytał Rainer, gdy Nerys opowiedziała mu całą historię.

– Nie wiem, czy powinnam ci mówić.

– Chyba jestem w stanie zgadnąć.

– Pewnie tak. Nie brak ci spostrzegawczości.

Po chwili ciszy Rainer odezwał się cicho:

– Coś mi tutaj jednak nie pasuje...

Pochylił się. Nerys była otulona kocami, ale jego ręka prześliznęła się pod warstwami ciepłego materiału i chwyciła jej dłoń.

– Jesteś ciepła – mężczyzna zmienił temat.

– Owszem. Mam bardzo dobry *pheran*. Nie potrzebuję tu nawet mojego *kangri*.

– Rozumiem, że był to pomysł Myrtle?

– Tak. Ale wszystkie na niego zgodnie przystałyśmy. Każda z nas mogłaby być w ciąży, albo wszystkie trzy, albo żadna.

– Nie obawiasz się o swoją reputację?

– Nie – powiedziała po chwili namysłu. Nie przejmowała się tym, co pomyślą o niej ludzie w Śrinagarze.

Przysunął się nieco bliżej.

– Pani Watkins... – szepnął, przykładając jej dłoń do swoich ust.

– Tak?

Rainer patrzył na nią w skupieniu. Odniosła wrażenie, że nikt nigdy nie patrzył na nią z taką uwagą.

– Nerys, rozumiesz, co się między nami dzieje, prawda?

– Oczywiście. Nie jestem Caroline Bowen – powiedziała, lekko się rumieniając.

– Jesteś tysiąc razy bardziej pociągająca niż pani Bowen, jakkolwiek ładna, angielska i uroczo niewinna by nie była.

Siedzieli przez chwilę w ciszy. Tętno Nerys uspokoiło się. W końcu zamiast odgłosu uderzeń własnego serca słyszała tylko skrzypienie starego drewna i delikatny syk płomieni w kominku.

Zrozumienie tego, co się działo, oznaczało zaakceptowanie moralnego dylematu, przed którym stanęła. Zastanawiała się, jaką decyzję podjąć. Zostać kochanką Rainera czy tylko jego przyjaciółką – wybór należał zarówno do niej, jak i do niego. Odurzała ją niezależność, którą ją przy tym obdarzał. Zrozumiała, jak bardzo się zmieniała. Jakby była gąsienicą, potem poczwarką, a teraz zaczynała przemieniać się w pięknego motyla.

Usiadła prosto.

– Chyba oboje dobrze to rozumiemy – powiedziała poważnie.

Wyciągnęła w jego stronę małą, zieloną szklaneczkę z grubego szkła, pokazując, że z chęcią napiłaby się jeszcze odrobiny francuskiego koniaku. Coraz trudniej było znaleźć dobry alkohol w Śrinagarze. Ponownie usadowiła się pośród koców, opierając wygodnie o ciepłe panele. Alkohol lekko zaszumił jej w głowie.

– Wiesz – powiedziała z rozbawieniem – że niektórzy podejrzewają, że jesteś szpiegiem?

– Naprawdę?

– A jesteś?

Zauważyła, że spodobała mu się taka opinia.

– Nie, moja droga. Jestem himalaistą i magikiem.

– W tej kolejności?

– Zawsze. Zarabiam jako iluzjonista sceniczny. Występowałem już

w całej Europie. Gdybym chciał ci zaimponować, mógłbym zacząć wymieniać koronowane głowy, które pojawiały się na moich pokazach. Ale w moim sercu góry zawsze były najważniejsze. Dotrę do Nanga Parbat niezależnie od tego, co mówią Brytyjczycy, i zdobędę ten szczyt dla mojego przyjaciela, Matthew Forbesa.

W głowie Nerys pojawiły się obrazy białych szczytów, ostrych niczym zęby rekina. To wyobrażenie przeraziło ją. Nie chciała nawet myśleć o tym, że Rainera mógłby spotkać ten sam los, co jego kompana.

– Kiedy?

Roześmiał się, widząc jej przerażoną minę.

– Kiedy tylko będę mógł. Ale teraz, kiedy wojna jest coraz bliżej, mam inne zmartwienia. Chciałbym pomóc Sojuszowi. Jestem ekspertem, jeśli chodzi o kamuflaż i inne formy podstępów, które mogłyby być przydatne w armii. Ale, jak sama widzisz, nie potraktowali jeszcze moich zdolności wystarczająco poważnie.

Omiótł ręką pokój i swoją kolekcję rekwizytów.

– Powinni – powiedziała Nerys.

Nie była jednak do końca pewna, czy faktycznie wierzyła w ten niewinny obraz Rainera.

– Dziękuję. Zobaczmy. W międzyczasie... odkryłem, że Śrinagar mnie do siebie przyciąga i działa na moje serce w sposób, w jaki nigdy się tego nie spodziewałem.

Zapadła cisza, gdy oboje odwrócili głowy w kierunku świateł nad labiryntem uliczek starego miasta.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział w końcu Rainer.

– Oczywiście, że ci pomogę. Powiedz tylko, jak.

– Poczekaj, aż usłyszysz, co ci powiem. Możesz zmienić zdanie. Ze względu na moje różne projekty chciałbym utrzymywać serdeczne stosunki z rezydentem, twoim przyjacielem, panem Fanshawe.

– Nie nazwałabym go swoim przyjacielem. Nie jestem na tym samym szczeblu w jego drabinie społecznej – zaprotestowała Nerys.

– Pan Fanshawe poprosił mnie, bym przygotował podnoszący morale występ iluzjonistyczny w święta w rezydencji. To miałby być

występ dla pracowników i ich rodzin, pozostałych tu żołnierzy i niektórych członków śrinagarskiej społeczności.

Nerys słuchała uważnie.

– Aby występ się udał, potrzebuję asystenta scenicznego. Przyjęło się, że wybiera się kobietę, najlepiej o egzotycznej urodzie. Tajemnicza Madame Moth, Panna Soo Ling z Szanghaju, coś w tym rodzaju.

– Rozumiem. Rainerze, ale ja nigdy w życiu nie występowałam na scenie. A poza tym, walijska uroda na pewno nie zalicza się do egzotycznych.

– Pamiętasz o czterech zasadach? Przebranie. Będziesz chyba musiała zrzucić swój *pheran*, ale możemy zastąpić go powłóczystą szatą. Chinka. Mały, okrągły, czarny kapelusik i maska. Uroczo.

– Będziesz przecinał mnie na pół?

Ich spojrzenia się spotkały.

– Nie obmyśliłem jeszcze szczegółowo programu. I proszę pamiętać, że nie jestem amatorem, pani Watkins. Będziemy ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Zgadzasz się?

– Tak – odpowiedziała zadowolona.

Kiedy później opowiedziała mu o wspomnieniach Myrtle dotyczących przyjęć na lodzie, Rainer stwierdził, że w zamian za to, że Nerys będzie jego asystentką, on postara się wymyślić coś atrakcyjnego na przyjęcie świąteczne jej przyjaciółki.

Nerys zrelacjonował krótko spotkanie z Rainerem Myrtle i Caroline, które wybierały się do Delhi, gdzie oficjalnie chciały odpocząć od mrozów i zrobić świąteczne zakupy, a tak naprawdę skonsultować się z lekarzem w sprawie ciąży Caroline.

– Wyglądasz na bardzo szczęśliwą – powiedziała Myrtle, patrząc na twarz przyjaciółki.

– Jestem – potwierdziła Nerys.

– Zakochałaś się?

Nerys rozejrzała się, by upewnić się, że Caroline nie mogła tego usłyszeć.

– To chyba nie byłoby zbyt dobrze przyjęte.

– Nie odpowiedziałaś mi na pytanie. Pamiętaj, zabaw się. Caroline i ja wrócimy do Śrinagaru dwudziestego trzeciego grudnia.

Podróż do Delhi nie należała do przyjemnych. Jazda autobusem i pociągiem była tak powolna i niekomfortowa, że Caroline była wyczerpana. Hinduski doktor pobieżnie ją zbadał i obcesowo poinformował, że jest zdrowa i za około czternaście tygodni urodzi dziecko. Bardziej interesowało go jednak to, gdzie dojdzie do porodu, dopytywał, dlaczego nie chce urodzić w wojskowym szpitalu, skoro jej mąż jest żołnierzem.

Szybko stamtąd wyszły i Caroline stwierdziła, że cokolwiek by się nie działo, nie chce nigdy więcej widzieć tego lekarza. Gdy wracały do domu Myrtle, Caroline oparła się o słup, próbując złapać oddech. Delhi było bardzo ciepłe w porównaniu do Śrinagaru, musiały więc zrezygnować z noszenia *pheranów* i włożyć luźne jedwabne tuniki i długie szale. Chwilę później usłyszały pisk. Z samochodu stojącego przy krawężniku wysiadła siostra żony majora, sąsiadki Caroline.

– Wspaniale was widzieć. Wybieracie się na herbatkę? Może was podwieźć?

Zaskoczona Caroline aż podskoczyła, ponieważ była pewna, że trzymała wówczas dłonie na swoim sporym już brzuchu. Kobieta patrzyła podejrzliwie na wypukłości pod ich ubraniami. Tylko dzięki temu, że Myrtle udawała chorą i zarzekała się, że albo za chwilę zwymiotuje, albo zemdleje, udało im się uciec i zniknąć w tłumie.

– Nasz kierowca czeka. Przekaż, proszę, pozdrowienia pani Dunkeley – zawołała przez ramię Caroline. – Tej okropnej wiedźmie – dodała ciszej, by tylko Myrtle mogła ją usłyszeć.

Myrtle powiedziała Nerys:

– Delhi jest zbyt niebezpieczne. Za wiele osób nie ma tu do roboty nic poza plotkowaniem. O ile Caroline nie spędzi kolejnych trzech miesięcy w *purdah* w *Rajskim ogrodzie*, prędzej czy później ktoś się domyśli i całe Indie dowiedzą się o jej stanie.

– Coś wymyślimy – przyrzekła Nerys.

Dokładnie o jedenastej w wigilię Bożego Narodzenia pod bezbarwnym niebem, w przenikliwym mrozie dwie drużyny zebrały się na oblodzonym jeziorze przed werandą *Rajskiego ogrodu*. Rainer zorganizował mecz krykieta.

O dziwo, pracownicy rezydencji przyjęli jego pomysł z entuzjazmem i natychmiast rozpoczęły gorączkowe przygotowania.

– W końcu jestem tylko Szwajcarem. Co ja mogę wiedzieć o sportach drużynowych? – wymamrotał Rainer.

Brytyjska drużyna składała się z kilku młodych mężczyzn reprezentujących resztki służby dyplomatycznej pozostałej w mieście, kilku tragarzy z rezydencji i zaledwie garstki oficerów wojskowych, którzy dostali kilkugodzinną przepustkę na święta. Kapitanem drużyny został oczywiście pan Fanshawe. W drużynie Śrinagaru kapitanem był przyjaciel Rainera, profesor, który, jak się okazało, był zagorzałym fanem krykieta. Zebrał imponująco wyglądającą drużynę kolegów i studentów, zarówno muzułmanów, jak i hindusów. Na bramce stał postawny sikh.

Ze sklepów należących do rezydencji przyniesiono paliki i piłki, a gracze rozgrzewali się intensywnie, biegając po boisku. Większość miała na sobie białe stroje do krykieta włożone na kilka warstw wełnianych ubrań. Wyglądało to trochę tak, jakby dwudziestu dwóch mężczyzn wcisnęło się w ubrania małych chłopców. Nie wiedzieli, jak umieścić paliki w lodzie, ale Rainer przyniósł narzędzie służące do mocowania lin do lodowców i wywiercił nim sześć otworów o dokładnie wymierzonej głębokości i średnicy. W wolnych chwilach żonglował piłkami i jabłkami pożyczonymi od jednego ze sprzedawców, którzy, w nadziei na zysk, też przyszli obejrzeć mecz. Drużyna Śrinagaru zaczęła grę. Pan Fanshawe na wszelki wypadek ostrzegł Rainera:

– Tylko bez magicznych sztuczek z piłką, panie Stamm.

– Na sztuczki musi pan poczekać do jutra.

Weranda *Rajskiego ogrodu* służyła za trybuny i była teraz wypełniona zawodnikami wybijającymi piłkę i wiernymi widzami. W środku zatłoczonego domu Majid i jego pomocnicy serwowali gorący grog, smażone *pakory* i babeczki z bakaliami. Pod czujnym okiem Majida Nerys piekła je w piecu na kuchennej łodzi, w przerwach między kolejnymi próbami do pokazu Rainera.

– Jak magia? – zapytała Myrtle.

– Okropnie. To bardzo ciężka praca, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, a ja nie mogę pozwolić sobie nawet na najdrobniejszy błąd.

– Nie możemy się już doczekać.

Rainer włożył biały płaszcz, nieco dziwnie wyglądający w połączeniu z rakami przy butach, i zajął miejsce arbitra. W jego rękach pojawił się gwizdek, którym dał sygnał do rozpoczęcia gry.

Mecz krykieta przyciągnął uwagę wielu osób. Niemal cały brzeg jeziora wypełniony był sprzedawcami, którzy poustawiali swoje koksowniki na ceglach. W powietrzu unosił się mocny zapach baraniny i świeżego chleba. Mężczyźni przeciskali się między sobą, aby mieć jak najlepszy widok. Kilka kobiet w szalach stało na łodzi przy brzegu. Dzieci krzyczały i ścigały się, póki jedna z piłek nie przeleciała groźnie nad ich głowami. Rozbiegły się w popłochu.

Niektóre przyjaciółki pani Fanshawe i żony z klubu przekonały kierowców *tonga*, by wjechali swoimi pojazdami na lód, dzięki czemu panie mogły siedzieć w ciepłe pod płóciennymi daszkami, oklaskując zawodników, którzy zgrabnie przeprowadzali piłkę między palikami. Pani Fanshawe siedziała w dużym wiklinowym fotelu niczym na królewskim tronie.

Gdzieś z tyłu rozległ się stukot końskich kopyt i dźwięk dzwonek zawieszonych na uprzężach. Tłum zaczął wiwatować i bić brawa, gdy trzeci sekretarz rezydencji, najlepszy z odbijających, pojawił się na łodzi.

Każdy z obecnych był tak szczelnie owinięty grubymi ubraniami i

szalami, że wszyscy wyglądali jak chodzące pączki, ostrożnie stawiając kroki na śliskiej powierzchni. Policzki Caroline błyszczały z radosnego podniecenia. Końcówka jej nosa i płatki uszu nabrały różowego koloru.

– Świetna zabawa – wykrzykiwała do nie mniej podekscytowanej Nerys.

Zebrani zawyli, gdy pan Fanshawe spektakularnie pośliznął się na lodzie. Przejechał po lodzie na brzuchu, trzymając piłkę triumfalnie w górze. Drużyna z rezydencji przegrywała jednak z zespołem profesora. Ustalono, że mecz będzie składać się tylko z dwunastu overów²³ dla każdej ze stron. Ponieważ punkty należało zdobywać jak najszybciej, zawodnicy dawali z siebie wszystko. Przy każdej zmianie zakładali rękawice i schodzili po schodkach domu na łodzi, wchodząc na lód z kijami umieszczonymi pod pachą. Trzy minuty później wracali tą samą drogą, podnosząc czapkę, gdy przechodzili obok żony rezydenta. Myrtle, Caroline i inne zebrane tam żony, które znały zasady krykieta o wiele lepiej niż Nerys, śmiały się i klaskały. Wokół krążyło coraz więcej kubków z grogiem i karafek sherry.

Za każdym razem gdy z pola schodził jakiś zawodnik, gracze i widzowie stojący na lodzie podskakiwali i krzyczeli z radości.

– To bardzo niesportowe zachowanie – powiedziała z dezaprobatą pani Fanshawe.

Mali chłopcy ślizgali się między słupkami i Rainer musiał ich przeganiać. Pod koniec dwunastego overa człowiek zapisujący punktację zmienił wynik na czarnej tablicy opartej o schodki prowadzące do domu: „11 Brytyjskiego Rezydenta: 32 – 8”.

Do przerwy, podczas której Majid i jego pomocnicy serwowali świąteczne ciasto i oferowali herbatę lub dolewkę alkoholu, zrobiło się bardzo wesoło.

– To był wspaniały pomysł. Jesteś bardzo mądry – powiedziała Rainerowi uradowana Myrtle.

Podziękował jej za miłe słowa i wrócił na lód.

23 Over – część meczu krykieta.

Pierwszy odbijający drużyny Śrinagaru stracił piłkę, toteż wśród publiczności rozległ się jęk zawodu. Pan Fanshawe uśmiechnął się pod nosem. Nowym odbijającym, ubranym w ogromne białe ochraniacze na nogi, był profesor. Podszedł powoli do bramki, zajął pozycję i odbił piłkę bardzo daleko. Trzy piłki później powtórzył ten wyczyn.

Nerys była tak podekscytowana grą, że próbowała stanąć jak najbliżej boiska. Promienie słoneczne rzucały tęczowe odbłaski na zwisające z dachów sople. Myrtle i Caroline stanęły obok niej i razem ukryły się pod szalami i *pharanami*.

Gra nie trwała długo. Profesor odbił piłkę i las rąk wystrzelił w górę, przy akompaniamencie wiwatów i tak głośnego tupania rozradowanych widzów, że ktoś mógłby pomyśleć, że to odgłosy świętowania niepodległości Kaszmiru. Gracze wracali na brzeg, na ich twarzach malowała się radość. Sprzedawcy szybko zamknęli swoje małe stoiska i przesunęli koksowniki na brzeg.

– Pech – zawołał profesor, przedzierając się przez tłum.

– Dobra robota – odpowiedział pan Fanshawe, gdy na tablicy zanotowano „11 Profesora Prana: 36 – 1”.

– Musimy regularnie urządzać takie spotkania. Za każdym razem, gdy lód skuje jezioro. Wspaniały pomysł, panie Stamm.

Rainer uklonił się, a Nerys rozmyślała, czy jej przyjaciel otrzyma teraz pozwolenie na wspinaczkę na Nanga Parbat.

Majid robił kolejne okrążenie z tacą wypełnioną drinkami, ale większość graczy i obserwatorów ruszyła już do swoich domów. Wszyscy życzyli sobie wesołych świąt.

– Tak miło jest widzieć, jak wszyscy dobrze się bawią, hindusi, muzułmanie, chrześcijanie i sikhowie, wszyscy razem – powiedziała uradowana pani Fanshawe, wsiadając do samochodu rezydenta.

– Gdyby tylko religijne porozumienie i wzajemna tolerancja były tak proste jak ta kobieta – szepnął Rainer do ucha Nerys.

Przez kilka ostatnich minut prowadził żywą konwersację z sikhijskim bramkarzem. Jego oczy błyszczały.

– Chodź ze mną – powiedział do Nerys po chwili.

Chwycił ją za rękę i pokierował w stronę brzegu.

Na lodzie stały dwa wozy *tonga*. Do jednego z nich wsiadł bramkarz, a do drugiego Nerys z Rainerem. Woźnicy uderzyli batami, konie cicho zarżały. Koła wozów skrzypnęły na lodzie. Jakiś mężczyzna w płaskiej pasztuńskiej czapce stanął pomiędzy wozami i podniósł rękę.

– Co się dzieje? – zapytała Nerys. W jej głosie słychać było niepokój.

Rainer rozsiadł się na fotelu pokrytym popękana skórą.

– To taki mały zakład. Mamy naprawdę dobrego konia.

– Jak to?

Mężczyzna opuścił rękę. Woźnicy strzelili z batów, a konie ruszyły tak gwałtownie, że zaskoczona Nerys opadła na siedzenie. Rainer otoczył ją ramieniem.

– Masz miejsce w pierwszym rzędzie. To wyścig na drugą stronę i z powrotem.

Konie biegły galopem. Spod ich podkutyh kopyt sypał się lód, żaden z nich się jednak nie pośliznął. Stare wozy *tonga* kołysały się na boki i skrzypiały, niczym w proteście przeciwko tak zawrotnej prędkości. Nerys zakryła dłonią usta, gdy wiatr smagał ją po policzkach. Nie wiedziała, czy krzyczeć, czy płakać ze strachu. Rainer przesunął się na brzeg siedzenia i namawiał woźnicę, by ten jechał jeszcze szybciej. Kiedy dotarli do drugiego brzegu, woźnica pociągnął za cugle i gdy tylko wóz nieco zwolnił, Rainer wyskoczył. Dobięł do brzegu, zerwał gałąź ze starego drzewa morwowego i pobiegł z powrotem w stronę wozu. Ich przeciwnik wymachujący swoją gałęzią był jakieś trzy sekundy za nim. Jechali w kierunku domów na barkach, po śladach jazdy w przeciwnym kierunku. Emocje udzieliły się również Nerys, ale nagle usłyszała trzask przypominający strzał z pistoletu. Poczowała, że ich koń zatrzymał się i niemal potknął. Z przerażeniem dostrzegła ogromną pajęczynę drobnych rys rosnącą przed nimi coraz szybciej. Lód zaczął pękać pod kołami wozów.

– Szybciej! – krzyknął Rainer. Pochylił się do przodu i poklepał woźnicę po plecach. – Jedź szybciej! To jedyny sposób.

Mężczyzna smagnął biczem i jakimś cudem koń pogalopował dalej.

Lodowato zimna woda wypłynęła na powierzchnię i zalewała popękane kry. Woźnica za nimi zauważył, co się dzieje, i zjechał tam, gdzie lód był twardszy. Rainer wiedział, że wygrają wyścig, jeśli będą szybsi niż pękająca lodowa powłoka. Koń najwyraźniej poczuł to samo. Był zmęczony, jego łeb kiwał się na boki, ale biegł dalej. Chwilę później dotarli do miejsca, gdzie lód był cały, zostawiając za sobą lustro zamarzającej wody.

Niewielka grupa obserwatorów patrzyła w przerażeniu na całe zajście. *Tonga* Rainera wygrała i wjechała na bezpieczny brzeg. Koń stanął, głośno prychnął i uderzając kopytami o ziemię. Rainer triumfalnie wywijął swoją gałęzią, ale obserwujący wyścig byli zbyt przerażeni, by bić mu brawo. Rozzłoszczona nieco Myrtle podeszła do nich i wzięła Nerys za rękę, gdy ta na drżących jeszcze nogach wysiadała z wozu.

– Już w porządku. Przez chwilę myślałam, że coś wam się stanie – powiedziała do niej.

– Ja również – jęknęła Nerys.

– Bez ryzyka nie ma zabawy. Wygraliśmy, prawda? – powiedział rozbawiony Rainer.

Wyjął rulonik banknotów i zaczął przeliczać pieniądze dla woźnicy. Nerys poklepała konia po boku i powoli weszła do *Rajskiego ogrodu*.

Drugi koń dojechał na miejsce i Rainer uściskał dłoń pokonanego przeciwnika.

Myrtle wciąż stała na zewnątrz, żegnając się z zaskoczonymi gośćmi, gdy Rainer wszedł szybko do salonu.

Nerys doskoczyła do niego, jej policzki były czerwone ze złości.

– Mogliśmy wszyscy utonąć!

– Wiem – szepnął do niej, nachylając się tak blisko, że poczuła jego gorący oddech na twarzy. – Ale nie utonęliśmy, a ty byłaś bardzo podekscytowana, prawda? Nie udawaj, że nie odczuwałaś zadowolenia.

Miał rację. W głębi ducha bardzo jej się to podobało. Czowała ogromną przemianę, która w niej w ostatnim czasie zaszła. Stała się świadoma każdego centymetra swojego ciała, wyczulona na wszystko, co ją

otaczało. Dostrzegała żywe kolory jedwabnych poduszek Myrtle, czuła powietrze przepływające przez jej płuca i pot skraplający się na jej karku.

Życie wydawało się jej teraz takie piękne, światło odbijające się w drewnianej boazerii, miękkość obić, wszystko było niezwykle. Kiedy spojrzała na Rainera, objął ją i przysunął do siebie.

– Widzisz? Czujesz to. Nie zemdlałaś, nie krzyczałaś. Nie potrzebujesz zabezpieczeń, zależności ani mężczyzny, który będzie cię ograniczał. Byłem o tym przekonany. Jesteśmy do siebie podobni i wiedziałem to, gdy tylko cię ujrzałem.

Ich usta przywarły do siebie. Nerys drżała z pożądania, strachu i nowo odnalezionej radości z życia.

Rozdzielił ich odgłos kroków Myrtle wchodzącej po schodach werandy. Nerys oddychała ciężko, a Rainer cofnął się.

– Mecz chyba się udał, nie sądzisz? – powiedział do Myrtle.

– Dzień nie byłby tak udany, gdyby moja najlepsza przyjaciółka utonęła na moich oczach – rzuciła w odpowiedzi, trochę jeszcze zła na Rainera.

– Ale nie utonęłam. Nawet nie zamoczyłam sobie stóp – odpowiedziała uspokajająco Nerys.

Rainer pochylił głowę w stronę Myrtle.

– Zostawię was teraz same. Muszę zrobić próbę przed jutrzejszym wieczorem. Życzę cudownych i wesołych świąt.

Nerys wyszła za nim na werandę.

– Nie zapomnij jeszcze przećwiczyć występ – powiedział. – Nie chciałbym, by cokolwiek poszło źle.

– Wszystko pójdzie dobrze – zapewniła go.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Jutro – powiedział.

Na pewno nie miał na myśli występu w rezydencji.

Uniosła dłoń, by osłonić oczy przed ostrym słońcem, i patrzyła jak odchodzi. „Jutro” powtarzała w myślach. Kręciło jej się w głowie.

Myrtle zdjęła swój *pheran* i przysunęła fotel do kominka.

– Nie patrz na mnie krzywo – powiedziała Nerys.

Myrtle machnęła trzymanym w dłoni papierosem.

– Czy ja kiedykolwiek patrzyłam na ciebie krzywo? To, co widzisz, to zazdrość, moja droga. Nic więcej.

– Pamiętasz, jak mówiłaś, że nie chciałabyś, aby twoja najlepsza przyjaciółka utonęła?

– Tak.

– Naprawdę jestem twoją najlepszą przyjaciółką?

Myrtle zrobiła kółko z dymu.

– Tak, Nerys, tak sędzę.

Nerys nigdy wcześniej nie miała przyjaciółki. Oczywiście miała koleżanki w szkole dla nauczycieli, ale żadna z nich nie była jej tak bliska jak Myrtle McMinn. Mimo że myśl o „jutrze” zaprzętała jej uwagę, Nerys pomyślała, że to jedno zdanie było najlepszym prezentem gwiazdkowym w jej życiu.

Następnego ranka Caroline dołączyła do nich i razem poszły do kościoła. Drewniane ławki były zajęte przez członków Klubu Śrinagar. Pan Fanshawe przeczytał kazanie i wszyscy bardzo uroczyście śpiewali kolędy. Mimo rozpalonych koksowników stojących po obu stronach para unosiła się z ust uczestników świątecznej mszy. Trzy przyjaciółki rzucałyby się w oczy znacznie bardziej, gdyby nie były od stóp do głów owinięte grubymi warstwami ubrań.

Po mszy wróciły do *Rajskiego ogrodu*, wymieniły się prezentami i śmiały z ciekawej wersji tradycyjnego świątecznego obiadu przyrządzonego przez Majida. Myrtle oznajmiła, że na najbliższe trzy miesiące muszą opracować nowy, bardziej ambitny plan.

Caroline przyznała jej rację. Przygryzając dolną wargę, powiedziała:

– Coraz trudniej jest ukryć kształt mojego brzucha przed służącymi.

– Na pewno w nowym roku musisz wprowadzić się do Myrtle – dodała Nerys.

– A gdzie ty się podziejesz?

– O to się nie martw. I tak muszę znaleźć sobie jakieś małe mieszkanie. Kiedy tylko przełęczce będą otwarte, Evan przyjedzie do Śrinagaru.

„Jutro” zmieniło się w „dzisiaj”.

– Śnieg zawsze topnieje ostatni. Jestem ciekawa, czy ta wojna kiedykolwiek się skończy – zastanawiała się Caroline.

– Na pewno – odpowiedziała Nerys.

W ciszy patrzyły na siebie. Świat poza delikatnym, maleńkim domkiem na łodzi był pełen znanych i nieznanymi niebezpieczeństw, a wyobrażenie o tym, co może się wydarzyć, jeszcze bardziej zbliżyło je do siebie. Caroline położyła dłoń na swoim zaokrąglonym brzuchu. Odczuwała już pierwsze kopnięcia. Ich przyszłość była tak niepewna, jak to, co czekało jej nienarodzone jeszcze dziecko.

Myrtle przerwała ciszę, wyjmując butelkę szampana, którą włożyła w wiaderko z lodem z jeziora.

– Moje drogie, oto jedna z ostatnich butelek porządnego szampana w całym Kaszmirze.

Nalała alkoholu do kieliszków.

– Wesołych świąt. Za nas i za wszystkich, których kochamy.

Nerys i Caroline powtórzyły jej słowa, ale toast na pewno nie należał do wesołych.

– Dziś wieczorem czeka nas debiut Nerys na wielkiej scenie – przypomniała im Myrtle, gdy tylko opróżniła kieliszek.

Nerys zakryła twarz dłońmi i cała trójka wreszcie się roześmiała.

W sali balowej w rezydencji stanęła ogromna choinka. Żony żołnierzy i ich dzieci, które były za małe, by uczyć się w szkołach w Anglii, nianie, pracownicy rezydencji i większość uczestników porannej mszy usiedli w rzędach niewielkich składanych krzeseł. W powietrzu czuć było atmosferę świątecznego wyczekiwania.

Nerys spoglądała przez niewielką szparę w prowizorycznej kurtynie zawieszanej nad sceną Rainera, którą kilku tragarzy przeniosło z jego

domu i ustawiło w rezydencji. Czują, jak ściska się jej żołądek. W oceanie twarzy dostrzegła Caroline, w czarnej aksamitnej pelerynie z kapturem okrytym gronostajem, którą pożyczyła od Myrtle. Myrtle siedziała tuż obok, ubrana w obszerną sukienkę z podwyższoną talią, z granatowej satyny.

Pan Fanshawe powitał wszystkich, a Nerys zajęła miejsce z boku sceny. Spojrzała na Rainera stojącego w miejscu, gdzie rozsuwają się kurtyny. Nie miał na sobie zwykłego garnituru, ale elegancki frak i biały krawat. Chciała przesłać mu całusa na szczęście, ale zauważyła, że miał zamknięte oczy. Był skoncentrowany wyłącznie na czekającym go występie.

„Najpierw himalaista, dopiero potem magik”, przypomniała sobie. „A na końcu, mężczyzna”.

Rezydent powiedział głośno, niczym mistrz ceremonii w teatrze rewiowym:

– Panie i panowie! Przed państwem pan Rainer Stamm i jego magia!

Dwaj tragarze po obu stronach sceny chwycili za sznury i kurtyna się rozsunęła. Zaczął się pokaz.

W pierwszej części Rainer robił rozmaite sztuczki z połączonymi pierścieniami, kartami do gry, bilami do bilarda i szalami. Publiczność była zachwycona i głośno biła brawa. W końcu nadeszła chwila, w której na scenie miała pojawić się Nerys. Stamm ogłosił, że za chwilę dołączy do niego panna Soo Ling, która właśnie przyjechała do Śrinagaru z odległego Szanghaju.

Zastanawiając się, czy przypadkiem nie zemdleje z nerwów, Nerys naciągnęła czarną maskę karnawałową i czarny słomkowy kapelusz, pod którym ukryła włosy, a następnie wkroczyła na scenę. Schowała dłonie w szerokich rękawach jedwabnych chińskich szat i ukłoniła się głęboko w podziękowaniu za brawa.

Kiedy tylko to zrobiła, jej strach całkowicie się ulotnił. Była spokojna, a jednocześnie dziwnie ożywiona.

Cała jej rola w pokazie polegała na pomaganiu Rainerowi. W sztuczce z wodą miała podać mu kryształowe dzbany, w sztuczce z

gołębiami, które wypuszczał w powietrze, musiała upewnić się, że koszyk znajduje się w odpowiednim miejscu, niewidocznym dla nikogo z widowni. Pod koniec wykonali sztuczkę z drzewem mango, podczas której sadziła nasionko, z którego za pomocą luster magicznie wyrastał i owocował mangowiec. Panna Soo Ling zrywała dojrzały owoc i prezentowała go panu Fanshawe, który siedział w pierwszym rzędzie. Przez cały pokaz Nerys nie odzywała się ani słowem. Udawała zuchwałą, czasem nie zgadzając się na to, o co ją prosił. Dzieciom szalenie podobało się takie nieposłuszeństwo.

Prawdziwą sztuczką było jednak magiczne pudło. Tak naprawdę za powodzenie tej sztuczki odpowiadała Nerys, nie Rainer, ale powtarzali ją na próbach tyle razy, że wprost nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła się wreszcie wykazać. W jej uszach dzwoniły śmiech i brawa. Czuła się tak, jakby za sprawą jakiejś magicznej sztuczki Rainera przemieniła się z cichej nauczycielki i żony prezbiteriańskiego misjonarza, w piękną i pewną siebie kobietę.

Pudło, pomalowana na czerwono konstrukcja złożona z trzech części, z dużymi otworami w kształcie gwiazd i księżycy, zostało przyniesione przez dwóch pomocników i ustawione na cokole. Kiedy Nerys je zobaczyła, udała, że ma ochotę uciec, ale Rainer zagroził jej drogę i kazał podejść do pudła. Ożywiona publiczność podzieliła się, kibicując albo magikowi, albo pannie Soo Ling.

Pudło było wystarczająco duże, by Nerys mogła wewnątrz niego stać. Otworzył drzwi, pokazując, że nic za nimi nie ma, umieścił Nerys w środku i przekręcił klucz w zamku.

Kiedy już została zamknięta, Rainer puścił oko do publiczności. Zapalił papierosa, podszedł do gramofonu umieszczonego na małym stoliku i wybrał płytę. „Bolero” Ravela. Podczas prób przećwiczyli dokładnie każdy krok w połączeniu z muzyką.

Rainer odłożył papierosa. Zza kulis przyniósł ogromny srebrny miecz i wypolerował jego ostrze jedwabną chustką. Zgrabnym ruchem przełożył miecz poziomo przez górną i środkową część pudła. Publiczność wstrzymała oddech. To samo zrobił z drugą i trzecią

częścią. Następnie uniósł pokrywę i odłożył ją na cokół. Pod spodem znajdowało się kolejne pudło.

Leżąc płasko na plecach, jeżdżąc na wózek w bardzo ograniczonej przestrzeni, Nerys usłyszała, jak jakieś małe dziecko woła:

– Pani z Chin będzie pocięta na kawałki, mamusiu.

Rozległ się cichy śmiech, a Ravel grał coraz głośniejsze i szybciej.

Musiła jedynie bardzo szybko prześliznąć się między trzema zapadniami w podstawie cokołu, kucnąć i włożyć głowę w jedno z pudeł Rainera, by pojawić się w jednym z otworów, z powrotem opaść na wózek, gdy ten zmieniał ustawienie pudeł, włożyć ramiona w otwory drugiego pudła i nimi pomachać, a gdy nadejdzie punkt kulminacyjny sztuczki, stanąć na głowie w trzecim pudle, by jej nogi odziane w czarne pończochy i chińskie buciki wystawały na zewnątrz z górnego otworu.

Przesuwała się po niewielkiej powierzchni, gdy poczuła nagłe uderzenie. Zamiast gładko przesunąć się po podłodze, wózek stanął w miejscu. Początkowo nie mogła pojąć, co takiego się stało, ale udało jej się wcisnąć w odpowiednie miejsce w chwili, gdy Rainer otworzył kolejny otwór, w którym miała pojawić się jej zamaskowana twarz. Słyszała śmiech, oklaski i narastający dźwięk „Bolera”. Pod nią znajdował się wózek, który blokował jej kolejne ruchy. Przeczłgiwała się między pudełkami, w panice gubiąc rytm i kolejność. Nadszedł moment, kiedy przemieszanie pudeł nastąpiło za szybko dla niej i w dziurze otwartej przez Rainera nie pojawiło się zupełnie nic.

– O mój Boże! – krzyknął Rainer, a widownia wybuchła śmiechem. Szybko zamknął otwór.

Nerys zdołała ułożyć obolałe nogi i ręce w odpowiednich miejscach. Zatrzasnął drzwiczki, dwukrotnie uderzył w pudło i kiedy otworzył je ponownie, była tam, cała i zdrowa.

Ustawiła się w kolejnej pozycji, dusząc się od kurzu i szaleńczo wyrzucając buty w powietrze, wzbudzając tym salwy śmiechu wśród zebranych. Ale gdy układała się do ostatniej części, gwóźdź wystający z podłogi rozerwał jej rękaw i głęboko zranił rękę. Starając się

powstrzymać okrzyk bólu, przesunęła się do zepsutego wózka i stanęła prosto wewnątrz trzech pudeł, które Rainer znów złożył w jedno. Rozległy się ostatnie dźwięki muzyki i odgłos klucza wkładanego do zamka. Zmusiła się do uśmiechu.

Drzwi otworzyły się.

– Naprawili ją! – krzyknęło to samo dziecko.

Rainer wziął ją za rękę i wyprowadził na środek sceny, by się ukłonić. Uśmiechnęła się z wysiłkiem i mocniej ścisnęła jego palce, przyciskając ramię mocno do boku, ponieważ czuła, że jej rękaw nasiąka krwią.

Kurtyna opadła przy dźwiękach oklasków i tupania nogami.

Odwrócił się do niej, wściekłość malowała mu się na twarzy.

– Co ty wyprawiasz? O mały włos wszystkiego nie zepsułaś!

– Jak śmiesz? Z tego cholernego wózka musiało oderwać się kółko! Niewiele brakowało, żebyś się zabiła, bo chciałam dokończyć tę twoją głupią sztuczkę!

Wściekła i obolała Nerys zamachnęła się, ale Rainer złapał ją za nadgarstek.

– No proszę. Nigdy wcześniej nie słyszałem, jak przeklinasz – powiedział, uśmiechając się przy tym z nieskrywanym zadowoleniem.

– Nie mogłam przesunąć wózka, zablokował mi drogę. Musiałam czołgać się na brzuchu i skaleczyłam się i...

Uśmiech znikł z jego twarzy.

– Pokaż.

Kilka kropel krwi spadło na scenę, a cała dłoń Nerys pokryta była jasnoczerwonym płynem. Rainer odwinął przesiąknięty rękaw i obejrzał ranę. Wziął głęboki oddech.

– Tak mi przykro. Wybacz mi, proszę.

Z kieszeni kamizelki wyciągnął sznur powiązanych ze sobą chustek i owiązał nimi jej ramię. Powiedział tragarzowi z rezydencji, że zabiera panią Watkins, by ktoś pilnie zaszył jej ranę. Następnie podniósł ją i pobiegł do przebieralni, zawinął ją w *pheran* wiszący na wieszaku i pobiegł na tyły wielkiego domu.

– Mogę chodzić – zaprotestowała Nerys, gdy wyszli na zewnątrz. Rainer nieco ugiął się pod jej ciężarem i zostawiał głębokie ślady stóp w śnieżnym dywanie.

– Nie chcesz zostać porwana? – zapytał.

– Nie możesz mnie porwać. Jestem wolnym duchem, kobietą, która nie potrzebuje pomocy, pamiętasz?

Wysunęła się z jego ramion, chwytając jego dłoń zdrową ręką. Przebiegli przez podwórko pana Fanshawe, obok stojących tam stajennych i strażników, a następnie przez bramę na ulicę. Szczęśliwie udało im się złapać *tongę* podjeżdżającą do frontowych drzwi, której woźnica nie bez powodu miał nadzieję znaleźć jakichś klientów, gdy przyjęcie dobiegnie końca. Chwilę później, drugi raz w ciągu dwóch dni, znaleźli się pod płóciennym daszkiem, podczas gdy woźnica uderzał batem, by rozpędzić konia do galopu.

Jak zwykle w pokoju na poddaszu wychodzącym na rzekę Dźhelam było bardzo zimno.

– Zdejmij to – powiedział.

Rozpięła chińską szatę i pozwoliła, by ta opadła swobodnie na ziemię. Rainer pocałował jej nagie ramiona, zanim owinął ją w szal z paszminy. Następnie uniósł jej podbródek i pocałował w usta, opierając ją o siebie tak, jakby była lekka jak piórko.

– Jesteś magiczna – szepnął w końcu. Niechętnie się od niej odsunął.
– Poczekaj. Usiądź tutaj. Opatrzę twoje ramię.

Przyniósł miskę z wodą i obmył ranę, pocieszając, że rana jest płytka i że skoro krew tak łatwo z niej wypływa, to znaczy, że Nerys jest zdrowa. Polał ranę jodyną, a Nerys krzyknęła i znów zakląła.

Kiedy skończył bandażować jej rękę, podał jej szklanekę dobrego koniaku.

– Powinienem podziękować ci za uratowanie sztuczki z pudłem przed katastrofą – powiedział uroczystym tonem.

– Udało mi się, prawda?

– Kółko w wózku musiało się zepsuć podczas transportu.

– Sam się uratowałeś, gdy moje ręce nie pokazały się w otworach. Słyszałam, że bardzo im się podobało.

Rainer stuknął się z nią szklanką z koniakiem. Nerys widziała bruzdy na jego twarzy.

– Tworzymy zgrany zespół – powiedział.

Bardzo delikatnie wziął ją za ręce i pomógł jej wstać. Spojrzeli sobie głęboko w oczy.

– Chyba to właściwy moment. O ile pozwolisz? – powiedział Rainer.

Nerys kiwnęła głową. Bliskość jeszcze bardziej wzmogła jej pożądanie. Mimo wszystkich wątpliwości moralnych i poczucia winy, kiedy nadszedł wreszcie ten moment, nie wahała się. To było proste i nieuniknione.

Podniósł ją i zaniósł do łóżka. Następnie odwiązał zasłony, które opadły, odgradzając ich od reszty pokoju.

– To nasz cały świat – powiedział. – Dzisiejszej nocy.

Klęknął przed nią i zdjął pozostałe ubrania, jedno po drugim. Pozwoliła mu na to, zaskoczona przyjemnością, jaką z tego czerpała.

W końcu szepnął, nieco nieśmiało:

– Mogę?

Mógł. Pozwalała mu na wszystko i cieszyła się podarowaną jej wolnością.

„Mogłam nigdy nie poznać tego uczucia” – pomyślała.

Później, gdy zapadała w sen, w jej myślach pojawił się Evan. Widziała jego obraz w rozmyciu typowym dla marzeń sennych. Na jego niewinnej twarzy malowała się wiecznie towarzysząca mu obawa. Poczowała nawet przyływ czułości wobec męża, a w jej sercu zakiełkowało ziarenko wstydu za to, co przed chwilą zrobiła. Mimo to nie żałowała swojej decyzji.

Rainer już spał, trzymając ją mocno w objęciach. Wsłuchiwała się w jego oddech i w końcu sama poddała się i zasnęła.

Usłyszeli odgłosy uderzeń i jakiś głos. Kiedy Nerys wybudziła się ze snu, miała wrażenie, że hałas musiał trwać już jakiś czas. Ramię Rainera spoczywało ciężko na jej piersiach i musiała się przekręcić, by się spod niego wysunąć. Zrobiła szparę w zasłonach łóżka, wpuszczając do „ich świata” bladoszare światło poranka. Było wcześnie, ale dzień już się zaczął.

Ktoś uderzał w drzwi na dole. Głos przypominał wołanie dziecka. Ubrania Nerys były rozrzucone po podłodze, zaplątane w pościel. Pamiętała, że zakrwawiona chińska szata leżała gdzieś na środku pokoju.

– Rainerze, obudź się. – Potrząsała jego muskularnym ramieniem, aż otworzył oczy. – Słuchaj.

Wyplątał się z pościeli, sięgając jednocześnie po ubrania i wkładając je szybko na nagie ciało.

– Zaczekaj tutaj – powiedział jej, ale ona go zignorowała. Owinięta w kołdrę deptała mu po piętach, gdy dochodził do drzwi. Jej ramię było sztywne i obolałe, ale nie zwracała na to uwagi.

Za drzwiami stała mała dziewczynka, córka przedzarki. Jej brudną twarz przecinały ślady po łzach. Objęła nogę Rainera i mówiła coś, łkając.

– Co ona mówi?

– Jej matka jest chora. Potrzebuje pomocy i jedzenia.

Nerys pochyliła się i wzięła dziewczynkę w ramiona. W odpowiedzi mała zaczęła się kręcić i uderzać rączkami w ramiona Nerys, krzycząc jej coś prosto w twarz.

– Powiedz jej, że przyjdziemy. Musimy się ubrać – powiedziała Rainerowi.

Kiedy wkładali na siebie ubrania, dziewczynka chodziła po pokoju, zabierając owoce z talerza i zawiązując je w chustkę, którą zdjęła z głowy. Nerys zrobiło się żal dziecka, które w desperacji musiało kraść jedzenie. Pobiegli przez zamrożone błoto i sterty śmieci leżące na uliczkach, do wejścia osłoniętego kawałkiem płótna.

Mały chłopiec siedział w rogu pustego pokoju, a najmłodsze dziecko

leżało cicho na jego kolanach. W słabym świetle białka ich oczu błyszcząły. Matka leżała obok swojego kołowrotka.

Od razu było wiadomo, że nie żyje.

Dziewczynka kucnęła obok i pociągnęła ją za rękę. Potem wydała z siebie żalostny płacz, przypominający ryk zwierzęcia, i przyparła do ciała matki.

– Zabierz stąd dzieci – powiedział cicho Rainer.

Nerys rozejrzała się wokół. W pokoju nie było nic poza kołowrotkiem i łóżkiem złożonym z dywaników. Zniknął nawet szal owinięty w kawałek materiału. Wzięła niemowlaka z ramion brata i zawinęła dziecko w swój *pheran*. Chwyliła zimną rączkę młodszego dziecka i z pomocą Rainera odsunęła dziewczynkę od zimnego ciała jej matki. Mała nie miała już więcej łez i całkowicie ucichła.

– Zabierz ich do mojego domu. Poszukam zarządcy tej dzielnicy i zgłoszę zgon. Potem wrócę do was – powiedział z kamienną twarzą.

Nerys poprowadziła dzieci tą samą drogą, którą przyszli. Nie była pewna, czy dobrze idzie przez labirynt uliczek, ale jednocześnie była zbyt wściekła, by próbować porozumieć się z którymkolwiek z milczących mężczyzn stojących wzdłuż ich drogi. Dziewczynka nie chciała podać je ręki. Szła w ciszy, sztywno niczym mały robot.

W końcu dotarli do rzeki i wysokiej kamienicy. Nerys posadziła chłopca na łóżku Rainera i naciągnęła kołdrę na jego chude ramiona. Niemowlę wierciło się i łkało, więc chodząc po pokoju, łagodnie kołysała zawiniątkiem. Dziewczynka podeszła do okna i stała odwrócona do nich plecami, patrząc na śnieg, który właśnie zaczął padać.

W kuchni Nerys znalazła nieco chleba *roghani*²⁴ i puszkę musu jabłkowego. W przeciwieństwie do wszystkich jej znajomych mieszkających w Śrinagarze Rainer nie zatrudniał służących. Podgrzała kubek mleka na kuchence gazowej i postawiła je na oknie, by ostygło,

24 Roghani naan – dosł. „czerwony chleb”, swój kolor zawdzięcza szafranowi, który dodawany jest do ciasta przed pieczeniem.

podczas gdy ona karmiła chłopca chlebem i musem jabłkowym. Kiedy już coś zjadł, udało jej się nakłonić jego siostrę, by odwróciła się od okna. Dziewczynka oderwała kawałek chleba i trzymając go mocno w obu rękach, powoli żuła, wracając na miejsce przy oknie.

Nerys trzymała milczące dziecko w ramionach i karmiła je ciepłym mlekiem łyżeczką do herbaty, kiedy Rainer wrócił do domu. Kupił świeży ciepły chleb i garnek gulaszu z soczewicy. Rozłożył jedzenie, dziewczynka chwyciła swój talerz i wróciła do okna.

– Miała gorączkę – powiedział. – Chorowała już od kilku dni.

– Dlaczego nikt jej nie pomógł?

– Była odludkiem. Tak już z nimi bywa. Może to prawda, może była z innym mężczyzną, nie wiem. Teraz to już nie ma znaczenia.

Nerys patrzyła na dzieci. Nawet nie przypominały dzieci, raczej małe, wyrzeźbione w drewnie kukielki.

Była świadoma tego, jak wiele wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin i że wydarzy się jeszcze więcej. Jej własne obawy, tak ważne niecałą godzinę temu, teraz stały się zupełnie błahe.

– Co możemy dla nich zrobić? – zapytała.

Przemyślał jej pytanie.

– Zabierzemy je z powrotem do wioski. Do jej rodziny w Kanihamie.

Rozdział Jedenasty

Dwa dni po świętach Nerys i Rainer wieźli małą trójkę ze Śrinagaru do Kanihamy. Dziewczynka i chłopiec przycupnęli za siedzeniami ciężarówki, a niemowlę łąkało w ramionach Nerys.

Ich dziadek i pradziadek wyszli im na spotkanie.

– Mamy bardzo niewiele – zawodził mężczyzna o twarzy w kształcie półksiężyca. – Sami też musimy się wyżywić.

– To dzieci pana córki. Nie żyje i jeśli pan i pana rodzina nie zajmiecie się dziećmi, one też umrą – powiedział stanowczo Rainer.

– Niech spoczywa w pokoju – odrzekł cicho starszy z mężczyzn. Jego syn zacisnął tylko usta.

Dzieci szczękały zębami z zimna. Jakaś kobieta wyszła z jednego z domków i gdzieś je poprowadziła. Nerys nigdy nie zapomni oskarżycielskiego spojrzenia małej dziewczynki, Faridy, które ta rzuciła jej przez ramię. Nie powiedziała nawet słowa od chwili, gdy jej matka zmarła, a to spojrzenie było pierwszą oznaką emocji z jej strony. Złapała tyle jedzenia, ile była w stanie unieść w swoich małych rączkach, pilnując, by starczyło go też dla braci, ale przez resztę czasu stała lub siedziała z odwróconą od nich twarzą.

– To jest krew – szepnęła zdeglustowana Nerys.

– Ich zasady są nieco inne niż twoje – odpowiedział Rainer. – Zhańbiła rodzinę. Wyparli się jej.

– Nie możemy zostawić tu tych dzieci. Pozwól mi zabrać je z

powrotem do Śrinagaru. Zaopiekuję się nimi.

– Należą do tego miejsca. To ich ludzie, nie ty, ani Myrtle, ani panie z Klubu Śrinagar z ich wątpliwym pojęciem dobroczynności. Nie pozwól, by współczucie przesłoniło twój zdrowy rozsądek.

– Jesteś nieczuły. To do ciebie niepodobne – powiedziała ze złością.

Dzieci zostały przekazane dziadkowi, a Rainer wydał mieszkańcom wioski wyraźne instrukcje co do tego, jak mają się nimi opiekować.

Nerys przepłakała całą drogę powrotną do Śrinagaru.

Trzy dni później uparła się, by Rainer zawiózł ją z powrotem do wioski, by sprawdzić, jak radzą sobie dzieci. To, co tam zobaczyli, bardzo ich zaniepokoiło. Niemowlę było słabe i nie wydawało z siebie żadnych dźwięków, mimo że zajmowała się nim jego ciocia lub kuzynka, która sama niedawno urodziła dziecko. Chłopiec, Faisal, płakał lub kiwał się w kącie w przód i w tył, a Farida stała zaszępią, niemal bez ruchu.

Przywieźli ze sobą więcej jedzenia, razem z dodatkowymi ubraniami, ciepłymi kocami i kołyską dla dziecka. Mieszkańcy wioski stali, patrząc, jak Rainer wypakowuje przywiezione rzeczy, zafascynowani tym tak samo jak jego magicznymi sztuczkami. Nerys pomyślała, że prawdopodobnie nie widzieli różnicy między tym, jak wtedy wyczarowywał różne przedmioty, a jak dziś wyjmował z wozu tak potrzebne im jedzenie i ubrania. Przywiezione rzeczy znikwały w mgnieniu oka.

– Zabiorą wszystko dla siebie – szepnęła z przerażeniem, patrząc na krąg ciemnych i posmutniałych twarzy. Zimą Kanihama była o wiele mniej przyjazna niż późną jesień.

– Oczywiście, że tak. Nie zrobiłabyś tego samego na ich miejscu? Chodzi o to, aby pokazać im, że obecność dzieci w wiosce przynosi takie korzyści, na które w innym wypadku nie mogliby liczyć. Nieważne więc, kto będzie jadł to jedzenie czy spał pod kocami, ważne, żeby dzieciom było lepiej.

Nerys nie była przekonana, ale nie miała żadnych innych pomysłów.

Rainer poszedł zapalić fajkę z innymi mężczyznami, zostawiając ją z resztą kobiet. Poza tkaczami, ciągle pochylającymi się nad krosnami, to kobiety wykonywały większość pracy w wiosce. Kiwała głową i uśmiechała się do nich, gdy przechodziły, starając się nie ściągać na siebie zbyt dużo uwagi. Faisal przestał płakać, najwyraźniej ze zmęczenia, a Nerys skorzystała z okazji i wzięła go na rękę. Po chwili zasnął. Kołysząc go, patrzyła na jego mokre czarne rzęsy zawijające się na brązowym policzku. Jedna z kobiet przyniosła drewniany stołeczek i postawiła go przed nią i dzieckiem. Nerys podziękowała jej po kaszmirsku i usiadła.

Farida nawet nie spojrzała w jej stronę.

Z miejsca, w którym siedziała, Nerys widziała plac. Zauważyła, że kilka budynków było pustych, ponieważ wytwórcy szali coraz częściej wyjeżdżali do miasta w poszukiwaniu pracy. Stary, tradycyjny styl życia w wiosce już prawie nie istniał, handel szalami przeżywał bardzo trudny okres, ale jakoś trzeba było wykarmić rodziny rzemieślników. Rainer opowiadał, że część uzdolnionych pracowników trafiła do niewielkich fabryk w mieście należących do kaszmirskich pośredników. Produkowano w nich masowo tanie podróbki pięknych ręcznie robionych szali, których tkanie zajmowało niezliczone godziny i dawało wytwórcom zdecydowanie za mało pieniędzy w porównaniu do ilości włożonej pracy.

Faisal jęknął i zaczął kopać przez sen. Zastanawiała się, jakie koszmary dręczą tak małe dziecko. Nie chciała znów go zostawiać i wracać do wygodnego i beczynnego życia w Śrinagarze. W zamyśleniu spojrzała na puste domy i zanim Rainer zdążył wrócić, podjęła decyzję. Kiedy usiadł obok, kobiety idące do pracy rzucały im ukradkowe spojrzenia.

– Jeśli dzieci mają tu mieszkać, zostaną z nimi. Będą tutaj ze swoją rodziną, ale ja też będę mieć pewność, że nic im nie jest i dostają wszystko to, czego im trzeba. Może nauczę ich jakichś zabaw i kilku angielskich słów, tak jak robiłam w Leh – powiedziała Nerys.

Spojrzał na nią, zadowolony z jej pomysłu, ale jednocześnie

wątpiący w jego wykonalność.

– To bardzo ciężkie życie. Myślisz, że dasz radę przetrwać tu sama?

Uniosła podbródek, myśląc o swoim życiu w Ladakhu, o trudzie wspinaczki z Manali i o lekkości podróży przez Himalaje z Myrtle i Archiem.

– Tak. Nie przywykłam do takiego życia, jak wiodę teraz w *Rajskim ogrodzie*, czy do meczów krykieta. Świetnie się bawiłam, ale nie chciałabym spędzić w ten sposób całej zimy. I tak wkrótce będę musiała wyprowadzić się z domu na łodzi, by zrobić miejsce dla Caroline. Myślałam, by poszukać pokoju gdzieś w starym mieście, może niedaleko ciebie, ale przyjazd tutaj i robienie czegoś podobnego do mojej pracy w Leh o wiele bardziej by się wszystkim przydały. Poza tym, nie będę sama. Rozejrzyj się, w Kanihamie jest mnóstwo ludzi.

– Nie znasz ich języka. Nie ma tu żadnych Europejczyków, a kobiety z Anglii, nawet żony misjonarzy nie mieszkają w indyjskich wioskach na wzgórzach. – Tego ostatniego nie musiał dodawać, słychać to było w jego głosie.

– Rainerze, mogę nauczyć się języka – powiedziała zniecierpliwiona. Popatrzył na nią przez chwilę i dotknął jej policzka.

– Jesteś niesamowita. W porządku, Nerys. Zrobię, co w mojej mocy, by ci pomóc.

– Zacznijmy od zapytania przywódcy, ile i komu muszę zapłacić, by wynająć jeden z tych domów.

Negocjacje były trudne i długo się ciągnęły, ale w końcu wałacy się domek został wynajęty. Nerys była pewna, że z pomocą Rainera przekształcą go w przyjemne mieszkanie. Wręczyła plik banknotów starszyźnie wioski, przyrzekając, że niedługo ona i Rainer tu wrócą i że tym razem Nerys zostanie.

– Wrócę za dzień lub dwa, przyrzekam – szepnęła nic nierozumiejącemu Faisalowi.

Chłopiec przytulił się do jej nogi i odwrócił. Farida patrzyła gdzieś w dal i zdawała się nie zauważać ich odjazdu.

Niewielka grupka mieszkańców wioski zebrała się, by popatrzeć, jak

goście wracają do Śrinagaru. Przyjazd do Kanihamy jesiennym popołudniem na piknik był czymś zgoła innym niż pomysł spędzenia życia pomiędzy wytwórcami szali.

Kiedy ford podskoczył na koleinach niedaleko wąwozu, w którym Nerys i Rainer urządzili sobie piknik, nie była już taka pewna swojej decyzji. O wiele łatwiej byłoby zostać w wygodnym Śrinagarze do czasu, aż Evan tam przyjedzie. Przypomniała sobie, że taką samą obawę odczuwała, będąc w Shillong, a nawet w Leh, gdzie była jedynie pomocnicą swego męża, ale i tak udało jej się zrobić coś pożytecznego w obu miejscach. Evan zrozumiałby, dlaczego chciała zamieszkać w Kanihamie. Ta myśl sprawiła, że odnosiła wrażenie, że jej mąż zawsze jest blisko niej.

– Jesteś bardzo cicha – powiedział Rainer.

– Rozmyślam – odpowiedziała mu Nerys.

Wrócili do domu przy rzece i do łóżka zakrytego zasłonami.

Życie miłosne, które teraz wiodła z Rainerem, było dokładnie takie, jak Nerys wyobrażała je sobie przez te wszystkie noce, kiedy leżała w łóżku obok Evana. Przy Rainerze cała nieśmiałość i wstyd znikwały. Wszystko działo się naturalnie. Mężczyzna swobodnie przechodził z jednej roli w drugą. W jednej chwili mógł być namiętym kochankiem, a w następnej z pasją mówić o tym, jak ważne jest, by Ameryka przystąpiła do wojny, lub martwić się, czy aby Nerys nie jest głodna. Wstawał wtedy z łóżka i nago przechodził przez mieszkanie w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby zaspokoić jej głód. Kiedy jadła, wsuwał niecierpliwe dłonie pod jej ubranie lub całował namiętnie jej kark. Zrozumiała, że seks był dla Rainera tak samo ważny i wyzwalał tyle emocji, co jedzenie czy kłótnie. Związek z nim sprawiał, że czuła się szczęśliwa. Paradoksalnie jednak, bliskość fizyczna między nią i Rainerem wcale go do niej nie zbliżała.

Był tam fizycznie, ze swoimi mocno zarysowanymi mięśniami i ciepłą skórą, ale nie było nic głębszego w ich długich pocałunkach, ani w sposobie, w jaki splatali kończyny, by przeżywać wszystko jeszcze mocniej. Nerys przyznała z rozbawieniem, że to doświadczenie było

odwróconą wersją jej miesiąca miodowego. Kiedy jeszcze się do niej zalecał, istniała pewnego rodzaju obietnica idealnego połączenia umysłów i ciał. O tym marzyła. Teraz, kiedy zachłannie nawzajem się odkrywali, a ona wiedziała już, co daje im przyjemność, odnosiła wrażenie, że brak tajemnic nieco go od niej odsuwał.

Przypomniała sobie jego słowa: „Nie potrafię usiedzieć w jednym miejscu”. Teraz zaczynała rozumieć sens w nich zawarty. Czuła, że w każdej chwili Rainer może wejść do jednego ze swych magicznych pudeł i po prostu zniknąć.

Próbowała wyjaśnić Myrtle i Caroline to, co się działo.

Myrtle ujęła twarz Nerys w dłonie i spojrzała jej w oczy.

– Chcesz od niego uciec? To dlatego wpadłaś na ten szalony pomysł z Kanihamą?

– Nie chcę. To naprawdę nie ma nic wspólnego z Rainerem. Dobrze wiesz, że po prostu chcę się do czegoś przydać, a nie mogę zrobić tego tutaj, chodząc na charytatywne aukcje z innymi żonami czy wstępując do komitetu pierwszej pomocy.

Zabrzmiało to trochę jak krytyka rzucona w stronę samej Myrtle, nie tylko jej znajomych, i Nerys natychmiast pożałowała swych słów.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Jesteś żoną misjonarza.

„I kochanką magika”, pomyślały, ale żadna z nich nie powiedziała tego głośno.

– Jestem – przyznała Nerys.

W tamtych czasach niemal nic nie było pewne, więc kolejny powód do zmartwień był praktycznie niezauważalny.

Myrtle od jakiegoś czasu nie miała wieści od męża.

– Napisze, kiedy będzie mógł – mawiała i od razu zmieniała temat.

– Jesteś taka dzielna – powiedziała Caroline, kiedy usłyszała, że Nerys chce przeprowadzić się do Kanihamy. Jej twarz zrobiła się ostatnio jeszcze okrąglejsza i bardziej zaróżowiona z powodu ciąży. Wciąż nie mogła pozbyć się obaw, że jej sekret zostanie odkryty przez służbę.

– Co ja zrobię? – łkała nerwowo.

Myrtle pomagała Nerys w pakowaniu, a Caroline siedziała w fotelu. Miała oczy pełne łez, jej głos trząsł się na samą tylko myśl, że Ravi mógłby się dowiedzieć o dziecku.

– Będziesz mieszkać tutaj ze mną. Majid umie dochować tajemnicy, Rainer i ja się tobą zajmiemy, a Nerys będzie tylko kilkanaście kilometrów dalej – powiedziała uspokajającym głosem Myrtle.

Nie było też żadnych wieści od Ralpha Bowena. Razem z innymi żołnierzami swego pułku Armii Indyjskiej walczył gdzieś w bitwie o Singapur.

Nerys skarciła się w myślach za zastanawianie się, czy nie byłoby lepiej, gdyby zginął gdzieś na polu walki, ale po chwili Myrtle przyznała się do tego samego.

– Niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece – westchnęła. – Nerys, nie popełnisz tego samego błędu co Caroline, prawda?

– Na pewno nie – zapewniła ją Nerys. Miała własny pokryty talkiem magiczny przyrząd w pudełeczku i zawsze go używała.

– W porządku. Chodźmy do miasta i kupmy to, czego potrzebujesz, by móc zamieszkać na wzgórzu – powiedziała Myrtle. Na myśl o zakupach twarz jej nieco pojaśniała.

1 stycznia 1942 roku był bardzo mroźny. Właśnie tego dnia Nerys przeprowadziła się do domku w wiosce. Do dyspozycji miała pokój z jednym oknem i drzwiami wychodzącymi bezpośrednio na plac oraz jeszcze jeden pokój, nieco większy od typowej alkowy, do którego wchodziło się z pierwszego pomieszczenia. Mieszkańcy wioski przyszli popatrzeć, jak wynosiła z samochodu *charpai*, pościel i koce, jedzenie i ubrania, garnki i dywaniki oraz naręcza grubo tkanych materiałów, które miała zawiesić na ścianach, by chroniły ją przed wiatrem i chłodem.

Rainer przybił zasłony do starych drewnianych belek, rozwinął dywany i rozpalił mały żeliwny piecyk. Wyglądał tak samo jak ten,

którego Diskit używała w kuchni w Leh. Przyniósł wodę ze studni, podczas gdy Nerys ścieliła łóżko i wkładała swoje *kangri* pod pościel. Tak przyzwyczaiła się do noszenia go pod *pheranem*, że bez wiszącego przed nią ciężkiego kociołka czuła się teraz dziwnie lekko. Zapaliła lampę naftową i kilka świeczek, dzięki czemu jej pokój stał się trochę bardziej przytulny. Cynowy czajnik Rainera gwizdał już wesoło na kuchence, a ona znów roześmiała się na dźwięk znajomego odgłosu. W pokoju było tylko jedno krzesło, więc Rainer usiadł na podłodze, opierając się wygodnie plecami o jej nogi, i razem w zamyśleniu popijali herbatę. Zatopiła palce w jego włosach.

Wspólne urządzenie domu, w którym nie mieli zamieszkać razem, przypominało nieco jej miesiąc miodowy. Patrzyła na migoczące płomienie świec i zastanawiała się, czy gdyby wyszła za Rainera, jej małżeństwo wyglądałoby tak jak to z Evanem. Pomyślała, że pewnie tak, ale myśl o tym w żaden sposób nie pomniejszała tego, co do niego czuła.

Rainer sięgnął do góry i ujął jej dłoni.

– Mam zostać? – zapytał cicho.

Łóżko kusiło, a pokój jeszcze się porządnie nie nagrzał. Ale nie był to zatłoczony Śrinagar. Nic, co zrobi w Kanihamie, nie umknie uwagi tutejszych mieszkańców. Przypomniała sobie historię nieszczęsnej tkaczki.

– Lepiej nie – uśmiechnęła się.

– A ty, przyjedziesz do Śrinagaru?

– Kiedy tylko będę mogła.

Nawet w środku zimy handlarze jeździli w górę i w dół kotliny, więc pomyślała, że nie powinna mieć problemu, by dostać się do miasta, jeśli tylko zapłaci za przejazd.

– Będę ci przywozić jedzenie, zapasy i wiadomości tak często, jak tylko zdołam.

– Zdobędziesz aż tyle benzyny?

– Mam znajomości – odpowiedział, pocierając nos.

Nerys uznała, że miał na myśli swoich wielkich amerykańskich

przyjaciół. Od świąt spotkał się z nimi kilka razy, a ona wolała nie zadawać już pytań.

– Jesteś pewna, że mogę cię tu samą zostawić, kochana?

Jego słowa i niepokój wzruszyły ją. Pocałowała czubek jego głowy, a on mocno ją przytulił.

Kiedy odjechał, zdmuchnęła wszystkie świece poza jedną. Leżała w łóżku i patrzyła na cienie na ścianach. Poza wiatrem smagającym gałęzie drzew nie słyszała żadnego dźwięku. Czuła się szczęśliwa. Nie wróciłaby do domu na jeziorze, nawet gdyby mogła.

Dni i tygodnie mijały powoli.

Oczywiście miała chwile słabości. Wiele razy w ciągu chłodnego miesiąca miała ochotę uciec, ale zawsze coś ją powstrzymywało. Początkowo głowę zaprzętały jej myśli o jedzeniu, ogrzaniu się i śnie oraz o zobaczeniu się z Faisalem i Faridą. Niemowle miało się coraz lepiej i wkrótce dołączyło do innych maluchów, które noszono, przewijano lub układano do snu w przerwach od innych prac w wiosce. Po pewnym czasie Faisal nieco się rozweselił. Nauczył się, że za drzwiami Nerys może znaleźć jedzenie, ciepło, muzykę i śpiew. Przychodził tak regularnie, że właściwie zaczął mieszkać w jej domku. Początkowo nieśmiało, potem już nieco pewniej reszta dzieci szła za jego przykładem. Siadywały w rzędzie na podłodze, a ona opowiadała im bajki, uczyła klaskania w rytm piosenki i pomagała w rysowaniu. Rainer przywoził ze Śrinagaru papier i kredki, czasem torbę cukierków, a kiedyś nawet dziesięć kolorowych balonów.

Któregoś dnia Nerys zauważyła, że jedna z matek zbliżyła się do jej domu i bacznie jej się przygląda. Sprzedawały jej wcześniej mleko, warzywa, jogurt i drewno na opał, ale po raz pierwszy ktoś przyszedł w odwiedziny. Kobieta zasłoniła twarz szalem i odeszła, gdy tylko została zauważona, ale Nerys naciskała, by ta weszła do środka i napiła się z nią herbaty. Udało im się porozmawiać, bardziej za pomocą gestów i uśmiechów niż słów. Od tamtej pory kolejne matki przychodziły ze

swoimi dziećmi. Na początku lutego Nerys zaczęła zakładać klasę w pokoju jednego z większych domów. Nie miała nic, co czyniło prymitywną klasę w szkole w Leh prawdziwym pałacem, ale przez kilka godzin każdego dnia robiła co w swojej mocy, by zabawić około dziesięciorga dzieci. Siedziały tam z szeroko otwartymi oczyma, wpatrując się w nią lub śmiejąc, ale następnego dnia pamiętały to, co robiła, i jeśli nieco zmieniła dźwięk lub minę podczas opowiadania bajki, rozlegał się krzyk protestu.

W wiosce w dole kotliny znajdowała się jedna szkoła, ale zimą podróż przez śnieg była długa i niebezpieczna, więc większość rodziców wołała, by ich dzieci pilnowały zwierząt lub zajmowały się młodszym rodzeństwem. Niektórzy starsi chłopcy chodzili *domadras*²⁵, ale nie wszystkie rodziny stać było na czesne.

Mieszkańcy początkowo bardzo nieufnie spoglądali na namiastkę szkoły stworzoną przez Nerys, która bardzo szybko została zaakceptowana jako oficjalna mieszkanka Kanihamy.

– Angielski – powiedział dziadek Faisala, Zafir. – Ucz angielskiego, proszę.

Brytyjczycy nie byli już mile widziani w Kaszmirze. Ustalono, że wkrótce opuszczą Kotlinę Kaszmirską i same Indie, ale wszyscy i tak pragnęli znać język, który kojarzył im się z dobrobytem. Nerys robiła, co mogła, w kółko powtarzając proste słowa: kot, but, palec, nos. Przypominało jej to o Leh i, co się z tym wiązało, o Ewanie.

Poparłby to, co robiła. Przynajmniej tę jedną rzecz.

Tylko Farida była wciąż zdystansowana i nie odzywała się do nikogo ani słowem. Czasem pojawiała się na chwilę w drzwiach, ale zaraz potem uciekała i znikła gdzieś na długo.

Rainer przyjechał któregoś dnia z wiadomością o japońskim bombardowaniu Singapuru i o walkach na pustyni w Libii, wiadomościami od Myrtle i Caroline i oznajmił, że on też wkrótce pewnie wyjedzie ze Śrinagaru.

25 Madrasa – szkoła teologiczna lub świecka.

– Dokąd chcesz pojechać? – zapytała zaniepokojona Nerys.

– Niektóre z moich umiejętności mogą przydać się w wojsku. Chciałbym zrobić coś dobrego. Tak jak ty – powiedział tylko.

Kiedy nie spędzała czasu z dziećmi, lubiła przyglądać się pracy wytwórców szali. Na obrzeżach wioski znalazła farbiarnię, obok której, między bryłami lodu a skałami, płynął strumień. Widziała liny w miedzianych kadziach stojących na ognisku. Dym ze środka unosił się do bezbarwnego nieba. Farbiarze mieszała w kotłach długimi patykami z drewna, wyławiając z nich motki przędzy, aby sprawdzić głębie ich koloru. Czysta woda i naturalne składniki dawały różane, błękitne i rdzawe odcienie wełny, którą wcześniej podziwiała w tkalni, gdy pierwszy raz przyjechała do wioski. Farbiarze okazali się bardziej towarzyscy niż tkacze *kani*, którzy byli zbyt skupieni na swoich szpulkach, by zauważyć jej obecność. Wkrótce Nerys stała się mile widzianym gościem w wypełnionej parą wodnej szopie.

Kobiety próbowały nawet nauczyć ją przędzenia, ale jej nieudolne próby tylko je rozśmieszały.

Tymczasem szal z pawimi piórami robił się coraz dłuższy.

Tkał go chudy młody mężczyzna, który zawsze miał na głowie czerwoną czapkę. Pocierał zmęczone oczy i patrzył w górę na białe szczyty gór, odpoczywając przez chwilę.

Pewnego ranka w środku lutego Nerys obudziła się przy świetle słońca, zamiast jasnoszarego blasku poranka.

Było jeszcze dość wcześnie. Chłopiec, który wyprowadzał kozy ze stodoły, był już na polu. Słyszała dzwonki i jego ciche pogwizdywanie, gdy stado wchodziło pod górę. Będąc w Kanihamie, nie musiała nigdy patrzeć na zegarek, ponieważ porę dnia można było dokładnie określić w zależności od tego, co działo się w sąsiednich domach lub na polach. Dni stawały się coraz dłuższe i mimo że mróz zdawał się jeszcze nie ustępować, światło było nieco inne, co znaczyło, że wkrótce zima ustąpi miejsca wiosnie. Ta myśl sprawiła, że uśmiechała się do siebie, ubierając

pospiesznie. Za oknem widziała gałęzie rozłożystego platanu stojącego na środku placu i po raz pierwszy od przyjazdu wyraźnie dostrzegła rzucające przez gałęzie cienie.

Dorzuciła do ognia w żeliwnym piecyku, zanurzyła dzbanek w wiadrze z wodą, wlała wodę do czajniczka i postawiła go na kuchence. Kiedy woda w końcu się zagotowała, zaparzyła aromatyczną herbatę i usiadła na krześle owinięta w swój *pheran*, ogrzewając dłonie o gorący kubek.

Faisal przyjdzie tu lada chwila.

Sekundę później usłyszała szuranie małych nóżek i stukanie do drzwi. Chłopiec kucnął między nią a piecykiem. Przywitała się z nim.

– Dzień dobry – powtórzył dumnie śpiwnym głosem.

Coraz szybciej poznawał kolejne angielskie słowa.

W niecałe dwa miesiące sporo urósł. Nie kiwał się już w przód i w tył, ani nie chował po kątach. Coraz częściej z uśmiechem bawił się piłką, nucąc coś do siebie i jedynie czasem zerkając na Nerys, gdy ta przygotowywała owsiankę i jajka.

– Głodny? – zapytała go, przykładając dłoń do ust, by gestem wyjaśnić znaczenie pytania.

– Tak, proszę – odpowiedział tak, jak go nauczyła, ale jego uwagę wciąż pochłaniała zabawa.

Faisal okazał się miłym towarzyszem. Był uważny, uwielbiał się bawić i naśladować innych. Uczył się wszystkiego z nieprawdopodobną szybkością. Nerys tęskniła za Myrtle i Caroline, a wizyty Rainera były zależne od dostępności paliwa, ale szybkie postępy Faisala utrzymywały ją w przekonaniu, że wyjazd ze Śrinagaru to była dobra decyzja.

Owsianka była gotowa. Nerys podała Faisalowi łyżkę i razem usiedli przy prostym stole, by zjeść śniadanie.

– Dobre?

– Dobre – powtórzył Faisal, pakując do ust kolejną łyżkę owsianki.

Jedli dalej. Spomiędzy głosów dwóch kobiet niosących wiadra z wodą i piania koguta Nerys wyłoniła odgłos zbliżającego się pojazdu.

Zanim wjechał na plac i zahamował, wiedziała już, że to ford Rainera.

– Auto – powiedział Faisal.

Nerys wybiegła na zewnątrz. W kabinie obok Rainera siedziały Myrtle i Caroline. Podbiegła do nich. Najpierw zauważyła zaniepokojone spojrzenie Myrtle, a potem kredowobiałą twarz Caroline. Rainer nie uśmiechnął się na powitanie.

– Wejdźcie do środka – powiedziała cicho Nerys, świadoma spojrzeń mieszkańców śledzących każde wydarzenie w wiosce.

Ośłonili Caroline przed wzrokiem ciekawskich i szybko zniknęli w drzwiach domu. Nerys powiedziała Faisalowi, by poszedł pobawić się z innymi dziećmi na zewnątrz.

– Co się stało? – zapytała niecierpliwym tonem, gdy tylko zamknęła drzwi.

– Ravi Singh – zdołała wydusić z siebie Caroline.

Myrtle rozpoczęła opowieść.

Wczoraj wieczorem siedziały przy kominku w *Rajskim ogrodzie*. Myrtle czytała, a Caroline robiła na drutach kaftanik dla dziecka. Była pewna, że urodzi się chłopiec, więc kupiła jasnoniebieską wełnę w sklepie w centrum.

Majid przyszedł z łodzi kuchennej. Nigdy się nie spieszył, więc Myrtle domyśliła się, że stało się coś złego, gdy wpadł do środka.

– Majid, co się stało?

Wskazał ręką na zewnątrz.

– Płynie tu łódź.

Kry na jeziorze stopniały i szara tafla wody rozciągała się majestatycznie między brzegami. W ich kierunku płynęła prywatna motorówka. Jej kierowca miał na sobie mundur. Choć okna w małej kabinie były zasłonięte, obie kobiety rozpoznały w zasłonach urzędnicze kolory.

Dłoń Caroline poszybowała w kierunku ust.

– Mój Boże, czego on chce? – mówiła przerażona.

Ze względu na Majida miała na sobie luźny, wyszywany płaszcz. Myrtle była podobnie ubrana, chociaż służący już dawno temu musiał

domyślić się tego, co się dzieje. Nie było czasu, by gdziekolwiek uciec. Caroline schowała jedynie swoje robótki do torby.

– Może *memsahib*... – Majid wskazał na sypialnię Caroline znajdującą się na końcu łodzi.

– Racja, idź – powiedziała do niej Myrtle. – Nie wychodź pod żadnym pozorem i nie hałasuj.

Silnik motorówki ucichł i kierowca podpłynął do schodków. Kiedy tylko się zatrzymał, drzwi do kabiny otworzyły się i pojawił się w nich Ravi Singh. Miał na sobie ubranie do jazdy konnej skrojone na styl brytyjski, które jeszcze bardziej podkreślało jego kaszmirskie pochodzenie. Myrtle powitała go na werandzie.

– Dzień dobry, pani McMinn – powiedział uprzejmie, choć chłodno.

– Ravi, jestem Myrtle, dobrze o tym wiesz. Miło, że tu zawitałeś. Czego się napijesz? Herbaty czy drinka? Podejrzewam, że drinka. Majid? – klasnęła dłońmi, a służący głęboko się uklonił. – Proszę, Ravi, usiądź.

– Przyszedłem zobaczyć się z panią Bowen.

Myrtle szeroko otworzyła oczy, perfekcyjnie udając zdziwienie.

– Więc powinienes udać się do jej domu. Chyba że udała się dziś do klubu? Czasem spotykamy się tam na herbacie, ale dziś nie najlepiej się czuję.

Ravi uderzył bladobeżowymi rękawiczkami o wewnętrzną część dłoni drugiej ręki.

– Nie ma jej w domu. Myślę, że jest tutaj – powiedział stanowczo. – Coś słyszałem.

– Co takiego? – zapytała Myrtle niewinnym głosem.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Rozumiem – powiedziała. – Przykro mi, że muszę cię zawieść, Ravi, ale Caroline tu nie ma. Może wyjechała. Słyszałam, jak wspominała, że chce się wybrać do Delhi, skoro tylko lód stopnieje. Na zakupy, odwiedzić znajomych. Czuje się samotna, odkąd jej mąż wyjechał. Miasto zimą jest takie puste i ciche.

Majid wrócił do pokoju z tacą ze szklankami i wiaderkiem z lodem.

– Napijesz się? – zapytała z uśmiechem Myrtle.

Zapaliła papierosa w złotym ustniku.

– Nie, dziękuję. Powiedz proszę pani Bowen, jeśli ją spotkasz, że przede mną nie da się niczego ukryć, a arystokratyczna rodzina z Kaszmiru nie da się oczerniać.

– Jeśli ją zobaczę, przekażę jej wiadomość. Obawiam się jednak, że zaskoczy ją ta wiadomość tak samo jak mnie. Chyba że to jakaś gra. Twoja wiadomość jest jakąś wskazówką?

– Nie, pani McMin, to nie gra – znów przybrał surowy wyraz twarzy. – Życzę miłego popołudnia.

Majid uklonił się i otworzył drzwi na werandę, ale Ravi odwrócił się. Zauważył torbę z robótkami Caroline i bladoniebieską wełną wystającą ze środka. Spoglądał to na torbę, to na Myrtle.

– Czy mógłbym jednocześnie pogratulować z okazji zbliżającego się rozwiązania?

Myrtle też potrafiła groźnie spoglądać. Uniosła lekko brwi, ale udawała, że nie usłyszała jego pytania.

– Miłego popołudnia – powtórzył.

Chwilę później wsiadł do motorówki i odpłynął, pozostawiając za sobą fale miętowo-zielonej wody.

Caroline skuliła się na krześle Nerys, oplatając rękoma brzuch.

– *Dhobi-wallah*, ktokolwiek, może ogrodnik, musiał powiedzieć o tym innemu służącemu i wieści dotarły do Ravięgo. A teraz szuka mnie i dziecka, które przyniesie hańbę jego nazwisku.

Myrtle spojrzała na Nerys.

– Nie bój się Ravięgo Singha – powiedziała do Caroline. – Nie wie nic na pewno, a nie można wierzyć plotkom służących ze Śrinagaru.

– Wyjechaliśmy dziś o świcie – wtrącił się Rainer.

– Mogę się u ciebie zatrzymać? – zapytała Caroline błagalnym tonem. – Nikt się nie domyśli, że przyjechałam aż tutaj, nawet Ravi.

– Oczywiście – uspokoiła ją Nerys.

Mężczyzna klęknął przed piecykiem i dmuchnął do środka.

– Rainer miał też inny pomysł – powiedziała Myrtle.

Według obliczeń Nerys Caroline został już niecały miesiąc do porodu. Oby pomysł Rainera faktycznie był dobry.

Rainer nie spieszył się. Kiedy wreszcie był zadowolony z wielkości ognia w piecyku, usiadł na ziemi i uśmiechnął się do Nerys tym swoim ciepłym, nieco sennym uśmiechem, który sprawiał, że stawała się świadoma każdego centymetra swego ciała ukrytego teraz szczelnie pod ciepłym ubraniem.

– Na południowy-zachód stąd, na drodze z Kotliny Kaszmirskiej w kierunku Rawalpindi – zaczął – w miejscowości Baramulla, jest katolicki zakon. Siostry prowadzą tam małe szpital z pomocą francuskiego doktora i jego żony. Jeśli się zgodzisz, Caroline zostanie tu z tobą, z dala od Ravięgo. Prawdopodobnie pomyśli, że skoro nie ma jej w Śrinagarze, to musi być w Delhi.

Nerys zacytowała jedną z czterech zasad Rainera:

– Zwiedzenie.

– Dokładnie. Po co miałyby jechać na wzgórze, skoro jest w stanie błogosławionym, jak Ravi słusznie podejrzewa. Teraz muszę jechać i coś załatwić, ale kiedy wrócę, przyjadę do Kanihamy i zabiorę Caroline do doktora i zakonnicy w Baramulla. Poród tam będzie o wiele bezpieczniejszy dla niej i dla dziecka.

Caroline pochyliła głowę i opuszkami palców skubała brzeg swojego *pheranu*.

– To dobry pomysł. Ale czy nie możemy zabrać jej tam teraz? – zapytała Nerys.

– Baramulla leży przy drodze. To główna droga na północ i na zachód, więc przejeżdża tamtędy mnóstwo ludzi. Kto wie, gdzie znajdziemy szpiegów Ravięgo? Lepiej, by tutaj chowała się przed innymi tak długo, jak tylko się da.

Caroline spojrzała na Stamma. W jej niebieskich oczach malował się strach.

– Nie chcę, by Ravi mnie znalazł. Boję się go – szepnęła.

Za oknem widać było jedynie kilka domków, pola i góry. Prawie nikt nie przyjeżdżał do Kanihamy, czasem tylko pojawiali się uliczni handlarze dowożący mieszkańcom podstawowe produkty. Niewielu też stąd kiedykolwiek wyjeżdżało, poza Zafirem i jeszcze jednym mężczyzną, który zawoził produkty wytwarzane w wiosce na targ przy głównej drodze lub do miasta.

– Zostaniemy tutaj – zgodziła się Nerys.

Rainer pokiwał głową.

– Dobrze. Wyjeżdżam dzisiaj i zatrzymam się po drodze w Baramulli, by powiedzieć im, że wkrótce przyjedziemy.

– Naprawdę musisz wyjechać tak wcześnie? – zasmuciła się.

Myrtle nie powiedziała ani słowa, odkąd skończyła opisywać historię wizyty Ravięgo Singha, ale teraz aż podskoczyła z miejsca i powiedziała, że przyniesie rzeczy Caroline z samochodu. Rainer złapał Nerys za rękę. Wyszli na zewnątrz i stanęli pod platanem.

Rozejrzał się dookoła, jakby sprawdzając, czy w gałęziach nikt się nie kryje, i powiedział cicho:

– Muszę coś załatwić. Brytyjczycy i Amerykanie chcą, bym przeniósł pewne lotnisko wojskowe.

– „Przeniósł”? Lotnisko? Będziesz tam sam? – zapytała Nerys.

– Niezupełnie. Przydzielę mi małą ekipę, stolarzy i malarzy. Oczywiście będzie to trik, iluzja dokonana za pomocą kamuflażu, manekinów i świateł. Będę wszystko wiedział dopiero, gdy zobaczę lotnisko z góry. Ale być może dzięki moim zdolnościom Japończycy zbombardują pusty fragment dżungli zamiast lotniska z trzydziestoma samolotami bojowymi. Nikt w Indiach ani w całej Azji nie jest w stanie tego zrobić. Pamiętaj, że jestem magikiem.

Uśmiechnęła się do niego mimo strachu, który przepelniał ją od środka. Rainerowi nigdy jednak nie brakło pewności siebie, niezależnie od tego, jakie wyzwania go czekały.

– Powodzenia – powiedziała tylko.

Uniósł jej dłoń i pocałował czule.

– Wrócę za dwa tygodnie.

Nie powiedziała: „Obiecay”, choć bardzo tego chciała.

Czekała pod drzewem, patrząc jak czerwony samochód powoli robi się coraz mniejszy, by w końcu zniknąć jej z oczu.

W domu Myrtle i Caroline rozłożyły już drugie łóżko. Caroline stała z rękoma opartymi na łędźwiach, starając się uśmierzyć ból pleców. Jej *pheran* już ledwie zakrywał duży brzuch.

– Wiem, że to trudne – powiedziała Myrtle do Nerys – ale Rainer sobie poradzi.

Nerys podniosła głowę.

– Oczywiście, że tak. Przygotuję śniadanie. Na pewno nie miałyście czasu nic zjeść przed wyjazdem. Mam owsiankę i jajka. Poza tym mój sąsiad chyba upiekł już świeży chleb. Każę Faisalowi przynieść kilka bochenków. Jest przepyszny.

Nerys widziała czubek głowy chłopca podskakującego za oknem.

– Przywiozłam swój śpiwór. Czy też mogę zostać na kilka nocy? Potem wrócę i pokażę się w klubie. Oficjalna wersja jest taka, że Caroline miała wysoką gorączkę i wyjechała na południe, by odpocząć.

– Oczywiście, że możesz zostać. Będziemy się świetnie bawić – powiedziała rozradowana Nerys.

Dzięki towarzystwu Myrtle i Caroline Kanihama wydawała jej się słonecznym i pięknym miejscem, a jej zakurzony dom z cegły był niemal tak luksusowy jak *Rajski ogród*.

Siadając blisko siebie na stołeczkach, ledwie mieściły się przy stoliku. Faisal bawił się piłką na podłodze domku.

Myrtle wzięła kawałek chleba i jabłko, ale nie jadła.

– Słyszałaś najgorsze wiadomości wojenne? – zapytała.

Nerys wskazała na swój prawie pusty pokój. Nie miała tu żadnych wiadomości, poza tymi, które dostarczał jej Rainer.

– Singapur się wczoraj poddał. Miasto jest pod okupacją Japończyków.

Caroline szybko przeżuwała swój posiłek.

Myrtle dodała:

– Prawdopodobnie wielu mężczyzn, którzy przeżyli bitwę i

bombardowanie, wzięto do japońskiej niewoli.

– Ralph żyje. Ja to wiem – powiedziała Caroline.

Była teraz nienaturalnie spokojna, pogrążona w myślach, jakby działa się zbyt wiele, by mogła sobie ze wszystkim poradzić.

– Masz jakieś wieści od Archiego? – Nerys zapytała cicho Myrtle.

– Jeden list. Nie jestem pewna, ale wygląda na to, że on i jego ludzie biorą udział w ewakuacji rannych z Malajów. Jest... Cóż, same możemy sobie wyobrazić, jak straszne to musi być.

Caroline położyła dłoń na brzuchu. Powiedziała sennym głosem:

– To dziecko cały czas kopie. Jest jak byk.

Światło słoneczne wpłynęło do pokoju. Wszystkie trzy rozmyślały o dziecku, które niedługo ma się urodzić, i o świecie pełnym niebezpieczeństw, na którym się znajdzie.

Kolejne dwa dni spędziły, grzejąc się przy piecyku. Caroline robiła na drutach ubranka dla dziecka, potem bawiła się z Faisalem i jego braciszkiem. Farida patrzyła na nich z oddali, ale gdy którakolwiek próbowała nawiązać z nią kontakt, odwracała głowę i uciekała. Myrtle i Nerys odwiedzały okoliczne domki, popijając herbatę z gospodyniami. Żartowały przy tym same z siebie, że spacerując w swoich *pheranach z kangri*, muszą przypominać dwa chodzące czajniczki.

Gdy zajrzały do tkalni, Myrtle pochyliła się nad krosnem, by dokładnie obejrzeć szal z pawimi piórami. Błękity jeziora i błyszczące srebro tworzyły obraz opalizującej tafli wody w bieli zimowego poranka.

– Jest wyjątkowy – przyznała Myrtle, ale pokręciła jednocześnie głową w odpowiedzi na pytający wzrok tkacza. – Nie mam wystarczająco dużo pieniędzy. Gdybym miała, na pewno bym go kupiła.

Trzeciego ranka Myrtle stwierdziła, że musi wrócić do Śrinagaru, by wysłuchać najnowszych plotek. Starszy mężczyzna, wiozący pnie drzew do tartaku, powiedział, że może pojechać z nim na wozie zaprzężonym

w woła do miejsca, gdzie łatwiej będzie jej złapać autobus jadący do miasta.

Myrtle wspięła się na siedzenie, rozłożyła tweedowy koc, by zakryć kolana, i ciasniej objęła swój *kangri*.

– Będę bardzo szczęśliwa, gdy ta ciąża wreszcie się skończy – powiedziała cicho do Nerys.

– Spróbuj cieszyć się podróżą – poradziła jej Nerys.

– Życie jest dziwną przygodą. Zanim Rainer przywiózł nas tutaj, patrzyłam na te zdobycze Archiego, kozły i owce, które zastrzelił w Ladakhu. Wtedy myślałam, że wyjazd na polowanie z moim mężem jest czymś nadzwyczajnym. Ale potem spotkałam ciebie, Nerys Watkins.

Obie się roześmiały, mimo że w tym, co powiedziała Myrtle, nie było nic śmiesznego.

– Wrócę z Rainerem – obiecała Myrtle. – Potem pojedziemy do Baramulli i nasze dziecko w końcu się urodzi.

– Do zobaczenia za dwa tygodnie – powiedziała Nerys i odsunęła się, patrząc, jak wóz odjeżdża.

Dni mijały bardzo wolno. Mieszkańcy wioski byli ciekawi nowo przybyłej, ale też się jej nie naprzykrzali. Dzięki połączeniu gestów i kilku kaszmirskich słów, których się nauczyła, Nerys powiedziała kilku kobietom, że mąż Caroline był na wojnie, a ona wkrótce pojedzie do szpitala, gdzie urodzi dziecko. Przyjęły tę wiadomość spokojnie, wzruszając tylko ramionami. W Kanihamie dzieci rodziły się za zasłoną w jednym z pokoi.

Caroline patrzyła na dzieci, które przychodziły bawić się z Nerys. Razem z nimi śpiewała lub rysowała obrazki dla Faisala, drzewa, owce czy kwiaty, ale częściej siedziała po prostu z rękoma na brzuchu, na którym czasem pojawiał się odcisk małej stópki. Zachowywała się coraz dziwniej, ale Nerys zrzucała winę na zaabsorbowanie ciążą, pamiętając, że matki w Shillong też zamykały się w swoim świecie w ostatnich dniach przed porodem.

Nocami leżały obok siebie na swoich łóżkach. Caroline spała niespokojnie, wzdychając i wiercąc pod ciężarem swojego brzucha, a

Nerys z obawą nasłuchiwała jej ruchów. Zostawiała palącą się świeczkę, której płomień rzucały cienie na dach domku.

Myśli o utraconym dziecku już jej tak nie męczyły.

Miała odmrożenia i kaszel, ale poza tymi drobnymi dolegliwościami czuła się zadziwiająco silna, mimo trudnej sytuacji finansowej. Była z siebie dumna. Zapominając o własnych zmartwieniach, skoncentrowała się na tym, czego może potrzebować Caroline.

Minęły dwa tygodnie, ale Rainer się nie pojawiał.

Gdzie się podziewał? Wyobrażała sobie, że może wykonuje swoją sztuczkę ze znikaniem. Starła się uspokoić i jakoś ukoić skołatane nerwy.

– Kiedy tu przyjedzie? – dopytywała zaniepokojona Caroline.

– Nie martw się – uspokajała ją Nerys.

Do Kanihamy pocztę dostarczano raz w tygodniu. Listonosz przyniósł im list od Myrtle i czekał przy drzwiach Nerys, aż ta otworzy przesyłkę, jakby sam chciał poznać najnowsze wieści. Nerys dała mu napiwek i weszła do środka.

Myrtle napisała:

Nikt nie wie, gdzie jest Rainer. Nie słyszałam żadnych wieści ani plotek. Po prostu zniknął. Czy mam przyjechać do Kanihamy bez niego? Jak mogę wam pomóc?

Nerys odpisała:

Przyjedzie. Zostań w Śrinagarze, wyglądaj Rainera. Caroline i ja sobie poradzimy.

Tego wieczora, patrząc na migoczące cienie na ścianie, rozmyślała nad różnymi rozwiązaniami. Nie było ich wiele. Mogła wypożyczyć samochód w Śrinagarze, z kierowcą, który nie znał ani Raviego Singha, ani żadnej z europejskich żon, i pojechać z Caroline do szpitala zakonnego w Baramulli. Jednak taka podróż z ciężarną kobietą mogła być niebezpieczna. Wolałaby, by był to jednak samochód Rainera. Mogła też zabrać Caroline z powrotem do Śrinagaru i zaprowadzić do wojskowej kliniki, ale to zniszczyłoby wszystkie starania poczynione w ciągu ostatnich miesięcy.

Mogły też zostać tutaj.

Po bezsennej nocy wyszła wcześniej rano, dopytując miejscowe kobiety o ich doświadczenie związane z porodem. Te zaprowadziły ją do starej kobiety z siatką zmarszczek na twarzy i białą chustą na głowie. Siedziała koło małego ogniska, paląc fajkę. Kobieta pełniła we wiosce funkcję położnej. Staruszka słuchała i kiwała głową, a następnie wyciągnęła rękę po pieniądze od Nerys. W odpowiedzi Nerys zakotłosała rękoma, udając, że podaje jej pieniądze. Najpierw dziecko, potem zapłata. Staruszka roześmiała się, ukazując rząd czarnych zębów, zarażając śmiechem inne kobiety. Nerys polubiła swoją nową znajomą i uścisnęła jej rękę.

Po powrocie do domu przekonała Caroline, by się rozebrała. Kiedy Nerys dotknęła jej brzucha, oczy Caroline zrobiły się tak duże, że wokół niebieskich tęczęwek ukazały się białka.

– Ile porodów odebrałaś? – zapytała przerażonym głosem.

– Kilka – odpowiedziała Nerys.

Dziecko było chyba dobrze ułożone. Jeśli będzie to zwykły poród, to wszystko pójdzie dobrze. Jeśli nie... „Rainerze, błagam... Na miłość boską, przyjedź tu, nim będzie za późno”.

Dzień był słoneczny, w powietrzu czuć było nadchodzące ciepło. Nerys zebrała prześcieradła, szmatki i ręczniki, a następnie zaniósła je do farbiarni przy brzegu strumienia. Nakłoniła pracujących tam mężczyzn, by napełnili czystą wodą jeden ze swoich kociołków i postawili go na ogniu. Wyprała wszystko, co przyniosła ze sobą, wieszając następnie pranie na sznurkach do bielizny. Suszyły się na słońcu i na wietrze, falując obok kolorowych motków paszminy.

Caroline coraz bardziej narzekała na bóle pleców. Nerys napełniła jej *kangri* rozżarzonymi węgielkami i oparła go o plecy koleżanki. Nadszedł wieczór, więc znów zapaliła świece.

„Rainerze, gdzie jesteś?”

Nie chciała pozwolić na to, by w jej głowie pojawiły się obrazy Rainera wziętego do niewoli czy leżącego gdzieś we krwi w niedostępnej dżungli.

O północy Caroline nagle zerwała się z łóżka. Podeszła do okna i oparła głowę na ramieniu, oddychając głęboko i jęcząc z bólu.

– Co się stało? – zapytała Nerys.

– Zaczęło się.

– W porządku. Wszystko będzie dobrze. – Zapaliła lampę i pogrzebała w piecyku.

Caroline położyła się na materacu i podciągnęła kolana do góry. Wyglądała na przerażoną. Pod linią jej włosów zebrały się krople potu.

– Nie zostawiaj mnie – prosiła, widząc, że Nerys wkładała swój *pheran*.

– Wrócę za pięć minut. Idę po położną. Spróbuj odpocząć.

Staruszka spała głęboko w swojej chatce. Nerys obudziła ją tak delikatnie, jak tylko mogła.

– Chodź – powiedziała błagalnym tonem.

Mamrocząc coś pod nosem, wstała i powoli włożyła swój znoszony *pheran*. Z półki zdjęła zniszczony kubek, do połowy wypełniła go ciemnym płynem z garnka stojącego na kuchence i ruszyła za Nerys w stronę domku.

Caroline dyszała ze strachu i bólu, gdy położna przeprowadzała badanie. Kobieta po chwili wstała i wskazała na napój, który przyniosła ze sobą. Potem wyszła. Przekaz był prosty. Caroline miała wypić kubek naparu, a potem spokojnie położyć się spać.

Kiedy wstało słońce, Caroline zwijała się z bólu w świeżo upranej pościeli. Przy każdym skurczu krzyczała przerażona. W przerwach Nerys zwilżała jej twarz gąbką nasączoną w zimnej wodzie i kazała jej pić napój przygotowany przez położną.

– Dobrze ci idzie – szeptała do koleżanki.

Caroline rzeczywiście radziła sobie nie najgorzej.

– Spróbuj oszczędzać siły. Oddychaj.

Kilka godzin później położna wróciła do domku, żując po drodze orzechy i wypluwając chropowate łupiny na dłoń. Nerys kazała jej umyć ręce, nim pozwoliła jej dotknąć Caroline.

– Niech to się już skończy! – krzyczała Caroline. – Boże, błagam,

pomóż mi.

Kobieta wyprostowała się, poprawiając chustkę zawiniętą na głowie.

– Dobrze – powiedziała nagle po angielsku, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Z koszyka Nerys wyciągnęła bawełnianą szmatkę i zwinęła ją, tworząc opaskę. Następnie włożyła ją między zęby Caroline, zanim jej zalana łzami twarz wykrzywiła się z bólu przy kolejnym skurczu. Caroline wgrzyła się w materiał, a położna przyłożyła ucho do jej brzucha. Usłyszały kolejny krzyk, stłumiony przez bawełnianą opaskę. Odeszły jej wody.

Kiedy Nerys spojrzała między nogi Caroline, zobaczyła mokry czarny owal główki dziecka.

– Możesz przec? – zapytała.

Odgłosy i zapachy porodu przywołały w pamięci Nerys procedury obowiązujące na sali porodowej w Shillong. Poczwała spokój. Powiedziała Caroline, jak ma oddychać między kolejnymi skurczami i w jaki sposób ma przec. Położna siedziała na stołku między kolanami Caroline i kiedy pojawiła się główka dziecka, złapała ją w brązową dłoń i drugą ręką wyciągała ciało za ramiona.

– Jeszcze jedno parcie i zobaczysz dziecko – obiecała Nerys.

Purpurowa twarz Caroline zalała się łzami. Dziewczyna wyciągnęła przesiąknięty knebel z ust i zawyla z bólu.

Na świat przyszła dziewczynka. Miała chude rączki i nóżki, długie czarne włosy.

Nerys razem z położną oczyściły drogi oddechowe noworodka i uśmiechnęły się do siebie zadowolone, słysząc pierwszy krzyk. Owinęły dziecko paszminą i położyły na piersi Caroline, która leżała wycieńczona na poduszkach i kocach. Miała zamknięte oczy i drżała ze zmęczenia.

– To dziewczynka – wyszeptwała.

– Piękna i zdrowa.

„To był cud”, pomyślała Nerys, „zawsze ten sam, choć za każdym razem inny”. Podniosła fałdę szala, odkrywając jedną maleńką

czerwoną stópkę i odmówiła modlitwę dziękczynną. Gdyby Evan tu był, uklęknałby, aby pobłogosławić to nowe życie. Jednak Evana nie było, więc dziewczynce musiały wystarczyć bezgłośna modlitwa Nerys i przekleństwa rzucane pod nosem przez muzułmańską położną, która przecinała teraz pępowinę ostrym nożem.

– Wezmę ją – powiedziała Nerys.

Caroline bez wahania oddała jej dziecko. Rodziła jeszcze łożysko. Nerys pamiętała, jak dokładnie pielęgniarki z Shillong sprawdzały, czy w ciele matki nic nie zostało i z zadowoleniem stwierdziła, że położna ze wsi była równie uważna. Trzymając dziecko na ręku, zebrała mokre od potu włosy Caroline z jej czoła.

– Świetnie ci poszło, kochanie. Byłaś bardzo dzielna – powiedziała.

– Nie byłam – załkała Caroline.

Usłyszały, jak ktoś drapie w drzwi i za chwilę je otwiera. Ujrzały zarys małej postaci Faridy.

– Wejdz – powiedziała zaskoczona Nerys.

Dziewczynka weszła po cichu do pokoju, podeszła do Nerys i pociągnęła lekko za szal, którym owinięty był noworodek. Nerys spojrzała na Caroline, ale ta przekręciła głowę na bok i dyszała z wyczerpania. Nerys kucnęła, by Farida mogła popatrzeć na nowo narodzoną dziewczynkę, ale ta zrobiła coś więcej. Delikatnie wzięła dziecko na ręce i usiadła po turecku obok piecyka, układając noworodka na swoich kolanach. Zaczęła śpiewać coś po cichu. Położna kiwnęła głową z przyzwoleniem. Kiedy Farida położyła palec na policzku dziecka, Nerys po raz pierwszy zobaczyła uśmiech na jej twarzy.

Zajęła się wstawianiem wody na herbatę i wrzucaniem pokrytych krwią szmatek do koszyka.

Położna skończyła swoją pracę i razem z Faridą wykapały dziewczynkę w blaszanej wanience. Dziecko wierzgało chudymi kończynami i płakało głośno, ale Caroline wciąż leżała bez ruchu, nie wykazując zainteresowania dzieckiem. Oczywiście miała zamknięte. Noworodka wystrojono w błękitne ubranka zrobione na drutach, po czym Farida znów wzięła dziewczynkę na ręce.

W końcu położna wyciągnęła rękę po zapłatę. Nerys odliczyła należną kwotę i zaproponowała kobiecie herbatę i kawałek chleba z miodem. Ta chętnie przystała na zaproszenie, wyraźnie zadowolona z zarobku. Nawet Farida napiła się ciepłej herbaty. Usta Caroline były mocno popękane i opuchnięte od wysiłku, więc Nerys wtarła w nie wazelinę i napoiła wyczerpaną przyjaciółkę.

– Chcesz ją nakarmić? – zapytała, ale Caroline pokręciła przecząco głową.

– Zahra – powiedziała nagle Farida.

Porozmawiała o czymś z położną i powtórzyła, poprawiając czepek na głowie dziewczynki:

– Zahra.

– Myślałaś o imieniu dla dziecka? – zapytała Nerys.

Caroline wspominała kiedyś, że jej ojciec ma na imię Charles. Żartowała, że może nazwie dziecko Linlithgow²⁶, na cześć markiza, lub George, na cześć samego króla. Nigdy jednak nie wspominała nic o imieniu dla dziewczynki.

– Zahra brzmi ładnie – dodała Nerys.

– Dobrze – odpowiedziała Caroline nieco obojętnie.

Potem dodała:

– Przepraszam cię, Nerys. Jestem strasznie zmęczona. Muszę odpocząć.

– Oczywiście. Odpoczywaj, moja droga. Spróbuj zasnąć.

Nerys chciała teraz jak najszybciej podzielić się radosną wieścią z Myrtle.

Późnym popołudniem, gdy Zahra spała w swojej kołysce obok czuwającej przy niej Faridy, do drzwi domku Nerys podeszła delegacja kobiet z wioski. Wśród nich była również babcia Faridy. Kobieta niosła ceramiczną miskę przykrytą kawałkiem materiału. Ze środka unosił się wspaniały zapach.

²⁶ Markiz Linlithgow – tytuł szlachecki nadany m.in. Charlesowi Hope, pierwszemu hrabiemu Hopetoun.

Kobiety ochoczo rozłożyły przyniesione potrawy i rzeźbione drewniane łyżki, a następnie nałożyły porcje parującego ryżu z kurkumą, tradycyjnej potrawy przyrządzanej w Kaszmirze zarówno przez hindusów, jak i muzułmanów, w podzięcie Bogu za szczęśliwą ucieczkę lub ocalenie przed niebezpieczeństwem.

Nerys i Caroline podzieliły się pachnącym ryżem.

– Dziękuję – powiedziała Caroline. – Dziękuję. Wiem, że miałam szczęście. Bałam się, że umrę.

Ktoś sobie przypomniał, że chłopiec ze wsi wybiera się wkrótce do Śrinagaru do pracy w fabryce szali. Nerys zaraz więc chwyciła ołówek, by napisać liścik do Myrtle, i wręczyła go chłopakowi.

Kiedy wszyscy już poszli, nawet Farida, Nerys spróbowała ponownie:

– Chcesz ją potrzymać? – zapytała cicho. – Ma takie czarne włoski i śliczne wielkie ciemne oczy.

– Wygląda zatem jak jej ojciec. Nie mogę się nią opiekować, nie mogę być jej matką, więc nie powinnam nawet myśleć o niej jak o swoim dziecku.

Nerys pogłaskała ją czule po dłoni. Bardzo jej współczuła. Gdyby była na miejscu Caroline, na pewno nie potrafiłaby powstrzymać się przed przytuleniem Zahry. Nikt nie mógłby jej odebrać dziecka.

Być może jednak w obecnej sytuacji instynkt nie mylił Caroline.

W wiosce była jedna mamka, ta sama, która opiekowała się dzieckiem przędzarki. Nerys postanowiła, że Zahra trafi na razie do niej, dopóki nie przyjedzie Myrtle, a wtedy wszystkie razem zastanowią się, jakie kroki należy podjąć. Następnego popołudnia na plac wjechał samochód. Była to ciężarówka ze Śrinagaru, której zasejony kierowca wyskoczył z kabiny i otworzył maskę, by obejrzeć silnik. Od strony pasażera wysiadła Myrtle. Luźno narzuciła swój *pheran* na ramiona, tak że jego odsunięte na tył poły ukazywały wreszcie jej zgrabną talię.

– Chyba jeszcze nigdy się tak nie cieszyłam na twój widok – powiedziała szczęśliwa Nerys.

Myrtle przywiozła mleko w proszku, buteleczki do karmienia,

kwiaty i czekoladki, a nawet gazetę ze Śrinagaru, ale niestety żadnych wieści dotyczących mężczyzn.

– Wszyscy mówią tylko o okrucieństwie Japończyków w Singapurze, jeńcach wojennych, masakrze w szpitalu. Nikt nie interesuje się naszymi problemami, moja droga. Spotkałam kobietę, która mieszka obok Caroline, i powiedziałam jej, że Caroline czuje się o wiele lepiej, spędzając dużo czasu na słońcu, ale ona o dziwo nie wykazała żadnego zainteresowania, ledwie słuchała tego, co mówię. Jak czuje się nasza młoda mama?

– Jest bardzo zmęczona, ale powoli dochodzi do siebie. Niestety, mam wrażenie, że emocjonalnie... chyba nie jest najlepiej.

– A dziecko?

– Śliczne i zdrowe.

Myrtle uroczyście wniosła całe naręczce prezentów do domu.

– Czuję się jak w eleganckiej prywatnej klinice – zawołała Caroline, uśmiechając się do przyjaciółek.

Myrtle i Nerys poszły później odwiedzić Zahrę otoczoną troskliwą opieką Faridy i mamki. Faisal ucieszył się na widok Myrtle. Tańczył, trzymając ją za rękę.

Myrtle zajrzała do kołyski, odsuwając kilka warstw błękitnego kocyka.

– Mój Boże – szepnęła do ucha Nerys. – To Ravi Singh.

Razem pochyliły się nad maleńką dziewczynką, patrząc na nią jak na cud.

Po tygodniowym odpoczynku Caroline wróciła z Myrtle do *Rajskiego ogrodu*, gdzie, jak głosiła oficjalna wersja, wciąż dochodziła do siebie po ataku wysokiej gorączki. Córkę zostawiła pod czułą opieką Nerys. Obie przyjaciółki widziały, że podczas tego oddzielenia czuła raczej ulgę i zmęczenie niż cierpienie. Była nienaturalnie cicha, nie licząc nagłych napadów płaczu, których nie była w stanie kontrolować. W

Śrinagarze ataki ustały i zastąpił je strach o Ralpa Bowena, którego nazwisko pojawiło się wśród setek innych na liście jeńców wojennych.

Nerys wróciła do śpiewania i zabaw z dziećmi z wioski, popołudniami bawiła się z Zahrą i jej najwierniejszą towarzyszką, Faridą. Szczęśliwy traf sprawił, że narodziny dziecka przełamały milczenie dziewczynki. Farida zaczęła nawet bawić się z innymi dziećmi, choć co dwie lub trzy minuty biegła do dziecka, by sprawdzić, co się z nim dzieje. Każdego ranka, tak samo regularnie jak jej brat, przychodziła teraz do Nerys na śniadanie.

Nerys wiedziała, że mieszkańcy wioski zaakceptowali Zahrę. Niemowlęta i dzieci nie były tutaj wychowywane wyłącznie przez swoje matki. Przekazywano je babciom, ciociom i starszemu rodzeństwu, komukolwiek, kto akurat nie zajmował się ciężką pracą. Może gdyby ona, Myrtle i Caroline łożyły pieniądze na dziewczynkę, Zahra mogłaby mieszkać w Kanihamie. A przynajmniej spędzić tu dzieciństwo. Po wojnie pozostanie dużo sierot i rozbitych rodzin oraz dzieci, które będą potrzebować najróżniejszych form opieki. Kto mógłby przewidzieć, co stanie się z tą sierotką?

Takie myśli pojawiały się w głowie Nerys. Odkąd Zahra się urodziła, jej tęsknota za dzieckiem stała się znacznie silniejsza.

Na początku kwietnia, kiedy na ciernistych krzewach i gałęziach platanu zaczęły rozwijać się pierwsze pączki, a pola i zagony zieleniły się już od kiełkujących roślin, Nerys usłyszała dźwięk zbliżającego się samochodu. Cały czas lękała się o Rainera, więc setki razy wyobrażała sobie jego przyjazd. Za każdym razem jednak wyczekiwanie kończyło się smutkiem i rozczarowaniem. Tym razem nasłuchiwała uważnie. Tego dźwięku nie pomyliłaby z żadnym innym. Upuściła patelnię i szybko wybiegła z domku.

Ciężarówkę prowadził Rainer. Drzwi samochodu otworzyły się szeroko, ale wyglądało na to, że nie mógł wydostać się na zewnątrz.

– Co się stało? Jesteś ranny! Pomogę ci! – krzyknęła przestraszona,

widząc jego bezsilność.

Twarz mężczyzny wykrzywił grymas.

– Nie z tej strony. Chodź tutaj. Muszę się o ciebie oprzeć...

Wsparł się na jej ramieniu, razem poszli powoli do domku. Posadziła go na krześle przy piecyku, siedział mocno skrzywiony bólem, któremu nie potrafiła zaprzeczyć jego wynędzniała twarz.

– Gdzie Caroline? – zapytał.

Skądkolwiek wracał Rainer, z pewnością nie był to Śrinagar.

– W Śrinagarze z Myrtle. Odpoczywa po porodzie. Dziecko jest tutaj. Dziewczynka – powiedziała jednym tchem.

Rainer przesunął językiem po spękanych ustach.

– Tak mi przykro – powiedział cicho. – Zawiodłem cię.

Przyłożyła swój policzek do jego twarzy.

– Nie zawiodłeś mnie. Napij się.

Podgrzała nieco wywaru położnej. Wciąż nie wiedziała, z czego składała się ta tajemnicza mikstura, ale była zaskoczona efektami, które przynosiła. Rainer wziął łyk napoju i zaraz go wypluł.

– Boże, co to za trucizna?

Nerys nieco już się rozluźniła.

– Rainerze, co ci się stało?

Ujął jej dłoń i przyłożył sobie do serca. Po chwili powiedział:

– Miałem szczęście. Nie udało mi się uciec, ale przeżyłem. Niektórzy zginęli na miejscu.

Nerys usiadła obok niego na stołeczku zwykle zajmowanym przez Faisala lub Faridę. Dłoń Rainera pokrywały gojące się rany, a brzegi skóry były pomarszczone, jakby ktoś lekko je przypalał. Nie chciał być teraz zasypany pytaniami. Powie jej, gdy będzie gotowy.

Zdrzemnął się na dwie godziny. Nerys pomogła mu się rozebrać, zanim się położył. Pod tuniką, która zakrywała jego luźne spodnie, ręka, bark i górna część klatki piersiowej zakryte były pożółkłymi opatrunkami.

– Chcesz, żebym je zmieniła? – zapytała rzeczowo.

– Później – odpowiedział i zasnął natychmiast.

Nerys zostawiła śpiącego i wyszła na zewnątrz, by pobawić się w berka i chowanego z dziećmi. Górskie powietrze przesiąknięte było dymem i zapachem zwierzęcych odchodów, tak jak tego popołudnia, gdy po raz pierwszy przyjechali tu z Rainerem. Słońce mocno ogrzewało jej ramiona.

Cicho wróciła do domku i zaczęła przygotowywać coś do jedzenia. Kiedy się obróciła, zauważyła, że mężczyzna już nie śpi. Rainer wpatrywał się w nią tęsknie.

– Powiedz, że nie śnię – powiedział.

– Nie śniesz, chyba że mamy ten sam sen.

Wyciągnął ku niej zdrową rękę.

– Chodź do mnie, proszę.

Ostrożnie, aby go nie urazić, położyła się obok na wąskim łóżku. Przyłożył usta do jej czoła.

– O wiele lepiej.

Serce biło jej tak mocno, że zastanawiała się, czy Rainer też je czuje.

W końcu zaczęła opowiadać:

– Wyszedłem ze szpitala wojskowego. Byłem tam jedynym cywilem, w dodatku nie Brytyjczykiem ani Amerykaninem, więc nie upierali się zbyt mocno, bym został. Jakimś cudem udało mi się złapać samolot do Delhi. Wcześniej zostawiłem tam samochód u przyjaciela. Odebrałem go i przyjechałem prosto do ciebie. Najszybciej jak mogłem.

Nerys wiedziała, ile wysiłku go to kosztowało.

– Przez cały czas kiedy tam leżałem, myślałem o tym, że przyrzekłem zabrać ciebie i Caroline do Baramulli. Gdybym mógł się z tobą jakoś skontaktować, byłoby mi znacznie lżej.

Uśmiechnęła się do niego.

– Domyśliłam się, że nie możesz. Choć przyznaję, że bardzo się martwiłam, gdy nie przyjechałeś. Ale wyczekiwanie okazało się o wiele gorsze od samego porodu. W końcu w Kanihamie ciągle rodzą się dzieci.

– Na pewno wspaniale sobie poradziłaś. Jak zawsze.

– Niezupełnie – roześmiała się Nerys. – Prawdziwą bohaterką

okazała się miejscowa położna. To, co piłeś, to jej specjalny uzdrawiający eliksir.

– Mam nadzieję, że zadziała – powiedział ponuro na wspomnienie ohydneho smaku.

Czekała, aż skończy swą opowieść.

– Wykonałem swoją sztuczkę. To była tylko iluzja, tyle że na wielką skalę. Początkowo Brytyjczycy nie chcieli mi zaufać. Nikt mnie wcześniej nie sprawdził, a mój niemiecki akcent sprawiał, że traktowano mnie jak wroga. W końcu jednak zrozumieli, że nie mają innego wyjścia, nie mieli nikogo innego, kto podjąłby się tego szalonego zadania.

Nerys cieszyła się, że znowu może go słuchać.

– Musiałem przenieść lotnisko, aby Japończycy zbombardowali niewłaściwe miejsce. Na tle gęstej dżungli niełatwo jest ocenić skalę z powietrza, zwłaszcza w nocy, więc w podobnym miejscu zaledwie trzy kilometry od morza znaleźliśmy teren o wielkości jednej trzeciej prawdziwego lotniska. Stworzyliśmy tam pomniejszoną wersję lądowiska. Miałem do dyspozycji ekipę brytyjskich saperów. Zbudowaliśmy i pomalowaliśmy samoloty z drzewa, hangary, magazyny, przechowalnie paliwa, wszystko. Przeleciałem nad tym samolotem zwiadowczym, kilkadziesiąt metrów wyżej. Wyglądało naprawdę wspaniale. Prawdziwe lotnisko było niewidoczne pod siatką maskującą, a to, które zbudowaliśmy, było niemal identyczne. Oczywiście nasza misja polegała na tym, by przekonać Japończyków, że wysadzili zapasy paliwa i zniszczyli samoloty. Paliwo jest niezbędne podczas wojny. Jeśli wróg myśli, że nie masz nawet kropli ropy, zaraz zyskujesz nad nim przewagę taktyczną.

Nerys rozmyślała o tym w milczeniu. Taka sztuczka musiała wiązać się z ogromnym wybuchem.

– Mieliśmy odpowiednią ilość materiałów wybuchowych, by upozorować wielki wybuch. Zbudowaliśmy stos i podlaliśmy go paliwem. Miałem kontrolować system detonatorów, więc gdyby ktoś uderzył bezpośrednio w skład, wszystko stanęłoby w płomieniach, razem z tajnym składem paliwa samolotowego.

Rainer szukał odpowiednich słów.

– Ćwiczyliśmy metodą prób i błędów. Cały czas musieliśmy uważać, by dym nie zdradził naszej pozycji samolotom zwiadowczym wroga. Zbudowaliśmy więc pewnego rodzaju tunel wewnątrz tunelu, w którym testowaliśmy system detonujący. W środku było dwóch saperów.

Zakrył oczy poparzonymi dłońmi i dopiero po chwili powiedział cicho:

– Coś poszło nie tak. Upuszczona zapalniczka, może pojedyncza iskra. Nie wiem. Tunele nagle stanęły w płomieniach, a po chwili rozległ się przeraźliwy wybuch. Pobiegłem tam, ale już nie mogłem odnaleźć moich ludzi.

Nerys wyobraziła sobie gęstą, duszącą wilgoć panującą w dżungli, czarny dym w odgrodzonym tunelu, śwąd spalenizny.

– Wydarzyło się to na dzień przed operacją. Nie było mnie tam, ale kiedy nadszedł czas, oświetlono zbudowane przez nas lotnisko. Tak jak się spodziewaliśmy, Japończycy przylecieli. Mówiono mi potem, że eksplozja i pożar sztucznych zbiorników paliwa wyglądały bardzo efektownie.

Przesunął się lekko, by nie opierać się na oparzeniach.

– Ucieszyła mnie ta wiadomość, przez wzgląd na tych dwóch mężczyzn, którzy zginęli.

– Rozumiem. – Nerys tylko tyle mogła powiedzieć.

Rainer wytarł usta wierzchem zdrowej dłoni.

– Mówiłaś coś o zmianie moich opatrunków? To dobry pomysł. W ciężarówce jest apteczka.

Wyszła z powrotem na słońce i zobaczyła Faridę stojącą cierpliwie przy drzwiach. Na jej plecach, owinięta w szal, siedziała Zahra.

– Zobacz, to Farida – powiedziała do Rainera. – A to Zahra.

Podniósł się, by przyjrzeć się uważnie obu dziewczynkom. Nerys i Farida odwinęły szal, który skrywał wielkie ciemne oczy, oliwkową skórę i kruczoczarne włosy. Nieśmiało położył poraniony palec na policzku małej Zahry.

– Cześć – powiedział czule.

Kiedy spojrział w górę, napotkał uważny wzrok Nerys.

– Cieszę się, że poza końcem istnieje też jakiś początek – powiedział, uśmiechając się do niej.

Idąc do samochodu, Nerys spojrzała jeszcze na wierzchołki gór. Śnieg szybko topniał, wypełniając lodem strumień płynący obok farbiarni. Już niedługo przełęcze wysoko w górach zostaną otarte, a droga z Kargilu znów będzie przejezdna.

ROZDZIAŁ Dwunasty

Głośny trzask w zaroślach i rumor spadających kamieni przestraszyły Mair. Odwróciła się zaniepokojona hałasem, ale dostrzegła tylko uciekającą kozę. Chwilę później doleciał do niej osobliwy zapach zwierzęcia, który znów przypomniał jej o Changthangu, miejscu, gdzie rozpoczęła się jej przygoda. Tutaj, w opustoszałej wiosce, kończyło się rozwiązywanie tajemnicy związanej z historią szala.

Rodziny ojca i dziadka Mehraana oraz inni tkacze *kani* kiedyś mieszkali i pracowali w małych chatkach, z których teraz zostały tylko skruszone ściany porośnięte chwastami i ciernistymi krzakami. Na środku placu stał zniszczony pień drzewa. Można było się domyślić, że uderzył w nie piorun. Mair przeszła obok i stanęła przy wejściu do największego domu. Patrząc w górę na gołe krokwie, zauważyła szybującego ponuro w powietrzu orłosepa.

Na podłodze stały jeszcze resztki jakichś mebli, spośród góry śmieci wystawał aluminiowy garnek, rura komina stercząca z kuchenki była skrzywiona w jednym miejscu. Dom przypominał jej trochę stary dom misyjny w Leh. Ludzie, którzy tu mieszkali, wyjechali i nigdy już nie wrócili.

Mair wyszła na zewnątrz, drażąc z zimna, i ruszyła w stronę, gdzie rzeka płynęła skalistym wąwozem. Było tam jeszcze więcej zniszczonych budynków, pordzewiałe dachy z blachy falistej zwisające

pod niebezpiecznym kątem. Jeden z nich skrzypiał tak głośno na wietrze, że zagłuszał plusk wody. W dole wzgórza, tam, gdzie rzeka ostro zakrecała, Mair dostrzegła czerwoną plamę. Była to czapka z daszkiem należąca zapewne do kierowcy z biura turystycznego w Śrinagarze, który ją tu przywiózł swoją białą toyotą.

Usiadła na płaskim kamieniu i spojrzała na to, co zostało po Kanihamie.

Dziadek Mehraana, tkacz, które swoje dzieła podpisywał inicjałami BB, nie żył, tak samo jak jego syn, a reszta mieszkańców wioski przeniosła się w inne miejsca. W Kaszmirze wciąż robiono piękne szale. Kupowano je później w prezencie ślubnym lub po prostu traktowano jak dobrą inwestycję, nierzadko szale okazywały się cenną walutą. Czasem trafiały też do Delhi, a stamtąd do drogich butików na Zachodzie, ale nikt nie tkął ich już w tej wiosce. Należała teraz tylko do pasterzy i ich zwierząt.

Mair znów podskoczyła niespokojnie. Zapach wiatru, odór zwierzęcego łajna, a nawet kępki trawy wyrastające spośród szarych skał przypominały jej o Walii i starym domu jej rodziców. Nostalgia za rodzinną doliną sprawiła, że zdawało jej się nawet, iż słyszy głos ojca: „Nie masz już dość tej podróży? Wracaj do nas, wróć do domu”.

Zamrugwała kilkakrotnie. Tak, nadszedł czas, by wrócić do domu. Chciała już zobaczyć Hattie, przyjaciół, brata i siostrę.

Musiała odwiedzić jeszcze tylko jedno miejsce w Śrinagarze, a potem mogła już wracać do domu. Włożyła zziębnięte ręce do kieszeni płaszcza i zbiegła ze wzgórza.

– Wróciłaś, jak miło – powiedziała szczerze zadowolona Caroline, gdy tylko Aruna wprowadziła Mair do pokoju.

W tle dochodziły Mair ciche dźwięki indyjskiej muzyki. Aruna wyłączyła ją i ostentacyjnie zaczęła porządkować opakowania płyt CD. Zabandażowana noga Caroline wciąż leżała oparta o stołeczek. W powietrzu unosił się zapach środka odkażającego. Zaczęła opowiadać,

jakby od ostatniej wizyty Mair minęło zaledwie kilka godzin.

– Tak się cieszę, że wpadłaś. Kiedy zobaczyłam ten szal, wróciły cudowne wspomnienia. Myrtle i Nerys były dobrymi i lojalnymi przyjaciółkami. Wszystko doskonale pamiętam. *Rajski ogród*... Czasem się z tego śmiałyśmy.

– Śrinagar przypominał rajski ogród?

Caroline roześmiała się.

– Nie, mam na myśli dom na łodzi. Dom Myrtle na jeziorze.

– Rozumiem. Te nazwy są rzeczywiście dość zabawne. Dom, w którym ja się zatrzymałam, nazywa się *Salomon i królowa Saba*.

– Zabawna nazwa. To cudowne z twojej strony, że poświęcasz swój wolny czas, by odwiedzać taką staruszkę. Na pewno jest masa innych rzeczy, które wolałabyś robić na wakacjach.

– Nie – zaprzeczyła Mair. – Nie chcę robić nic innego.

– Napij się ginu. Lekarze mówią, że nie powinnam pić. Ale tobie trochę naleję. Aruna, gdzie jesteś?

Pamiętając dobrze swą poprzednią wizytę, Mair powiedziała, że woli napić się herbaty. Aruna poszła więc wstawić wodę.

– Przyniosłam pani pewne zdjęcie – powiedziała, gdy tylko zostały same.

Caroline obróciła białą głowę w stronę Mair.

– Och, naprawdę? Co takiego?

Mair przyklękała przy jej fotelu i wyjęła zdjęcie.

– Jeśli włączę światło i będę trzymać zdjęcie w kierunku okna, myśli pani, że będzie w stanie coś na nim zobaczyć?

Caroline powoli wzięła do ręki fotografię i przysunęła ją tak blisko twarzy, że zdjęcie dotykało jej nosa. Zmrużyła oczy, które teraz niemal zniknęły pośród skóry naznaczonej zmarszczkami. Drugą ręką pomacała kieszeń swojego szlafroka i wyjęła z niej okulary na łańcuszku.

Przez długi czas oglądała fotografię.

– Tak, to *Rajski ogród* – pokazała palcem. – To Myrtle McMinn i twoja babcia, Nerys, cudowna osoba. Spójrz na nas. Byłyśmy wtedy takie

młode.

Zdjęcie opadło na jej pierś. Bez żadnego ostrzeżenia, po jej policzkach popłynęły łzy. Wyjęła chusteczkę z rękawa i otarła nią oczy.

Mair szepnęła:

– Przepraszam. Nie chciałam pani zasmucić.

– Ależ nie. To nic takiego. To było tak dawno. Tak dawno, że aż ciężko mi uwierzyć, że kiedyś byłam tą dziewczyną.

– Czy pamięta pani, kto zrobił to zdjęcie? Pani mąż? Pan McMinn? A może mój dziadek?

– Evan Watkins? Był takim surowym człowiekiem. Nie, to nie on.

– Więc kto?

Caroline pokręciła głową. Uśmiechnęła się przez łzy, tajemniczym uśmiechem, typowym dla starszych ludzi.

– Zrobił je magik. Bardzo przystojny mężczyzna. Jak się nazywał? Przecież nie mogłam tego zapomnieć...

Po chwili jej twarz się rozjaśniła.

– Miał na imię Rainer – powiedziała.

Mair usłyszała w swojej głowie kliknięcie, jakby ktoś wkładał klucz do zamka.

W Lamayur, w nocy przed tragedią, Bruno Becker powiedział jej, że jego dziadek, przewodnik górski, pracował dla himalaisty, Rainera Stamma. Obaj o mały włos nie zginęli podczas próby wspięcia się na północną ścianę Eigeru. Bardzo dobrze pamiętała tę noc, głos Brunona. Wciąż miała wrażenie, że na języku czuje jeszcze smak koniaku.

– Rainer Stamm?

Caroline pokiwała głową, zaskoczona reakcją Mair.

– Tak, racja. Znasz go?

– Nie. Ktoś inny kiedyś mi o nim wspomniał, kiedy jechałam z Leh do Śrinagaru.

– Kto to był?

– Bruno Becker. Jest Szwajcarem, mężem Amerykanki o imieniu Karen.

Pomyślała, że być może ich imiona mają jakieś znaczenie dla pani

Bowen.

– Mieli piękną małą córeczkę, Lotus – dodała.

– Mieli?

Sposób, w jaki Caroline zadała to pytanie, zaskoczył Mair. Powiedziała więc szybko, trochę żałując wcześniejszego braku ostrożności:

– To bardzo smutna historia. Przepraszam, nie chciałam pani zasmuć.

Aruna przyniosła tacę z herbatą. Na niej znajdowały się małe, zdobione filiżanki z porcelany oraz stara srebrna cukiernica ze szczypcami do cukru. Wyglądało to o wiele lepiej niż ciepły gin.

– Nie znam tych ludzi – powiedziała Caroline. – Pijesz z mlekiem i cukrem? Proszę, mów dalej.

Mair zawahała się.

– Poznałam Beckerów przez przypadek, w Leh i właśnie stamtąd ruszyliśmy razem w podróż. Po drodze złapała nas potężna śnieżycyca. W miejscu, w którym się zatrzymaliśmy, dziewczynkę ugryzł pies chory na wściekliznę. Kilka dni temu napisał do mnie jej ojciec. Lotus umarła.

Caroline odstawiła dzbanuszek z mlekiem. Jej dłoń trzęsła się i porcelana stuknęła o tacę.

– Przykro mi to słyszeć. Jej rodzina musi bardzo cierpieć. Śmierć dziecka to ogromna tragedia.

Aruna wzięła filiżankę z herbatą i podała ją Mair.

– Proszę się nie męczyć – ostrzegła starszkę, spoglądając złowrogo na Mair.

– Tak się cieszę, że pokazałaś mi tę fotografię – powiedziała cicho Caroline, jakby nie zwracając wcale uwagi na zalecenia Aruny, i delikatnie się uśmiechnęła.

Mair pomyślała, że starsza pani zaczyna powoli zapominać. Chyba nie miała pojęcia, kim była dziewczyna siedząca przed nią. Zdjęcie było jedynie drobnym elementem mozaiki jej wspomnień, tylko miejscami wyraźnej. Caroline zdawała się mówić teraz bardziej do siebie niż do Mair. Kiwała głową w zamyśleniu.

– To zdjęcie i szal musiały wiele znaczyć dla Nerys.

Mair jeszcze raz wyjęła szal z plecaka i rozłożyła go tak, że materiał zafalował pomiędzy nimi.

– Kiedy pokazałam go pani za pierwszym razem, powiedziała pani „To Zahry”.

– Naprawdę?

– Więc... zastanawiałam się, czy chciałaby go pani mieć. Może należałoby oddać go Zahrze?

Zaryzykowała, ale reakcja Caroline ją zaskoczyła. Kobieta podniosła rękę.

– Nie, dziękuję bardzo. Biedna mała Zahra. To była swojego rodzaju zapłata za nią. Właśnie tak. Zaraz się rozpłaczę.

Mair widziała, jak pani Bowen zamyka się w cierpieniu.

Aruna podeszła do nich i zdecydowanym ruchem wzięła Mair pod ramię, podnosząc ją z fotela.

– Nie wolno tak męczyć pani Bowen. Proszę zostawić ją w spokoju i nie przychodzić tu z tymi starociami.

– Przepraszam, tak mi przykro – powiedziała wystraszona Mair.

Aruna zaprowadziła ją do wyjścia. Caroline ukryła twarz w dłoniach.

– Proszę mi wybaczyć, nie chciałam pani zasmucić – zawołała jeszcze Mair.

Kiedy wyszły z pokoju, Aruna powiedziała głośno:

– Czemu przychodzi tu pani i mówi o tak bolesnych rzeczach? Pani Bowen straciła córeczkę. To było dawno temu. Potem wiele lat spędziła w szpitalu psychiatrycznym w Anglii. Wróciła do Śrinagaru, aby żyć spokojnie. Proszę to uszanować.

– Oczywiście, tak zrobię. Nie wiedziałam.

Caroline zawołała:

– Aruno, listy od Nerys! Są w pudełku. Chcę by ta młoda osoba je wzięła. To wnuczka mojej przyjaciółki, Nerys Watkins.

W jej głosie słyhać było ponaglenie, ale Aruna wypchnęła już Mair na ulicę i zatrzasnęła za nią drzwi. Mair zaczęła chwilę i ponownie

zapukała, ale wiedziała, że nikt jej nie otworzy.

Tafla jeziora odbijała niebieskie góry tak mocno, że każda przepływająca *shikara* wyglądała jak owad wiszący w powietrzu. W płytkiej wodzie przy *Rajskim ogrodzie* kwiaty lotosu wystawiały swoje kremowe płatki do słońca. Wzdychając z zachwytu nad tym widokiem i pięknem rozkwitającej wiosny, Myrtle opróżniła szklankę i podniosła ją, dając Majidowi znać, że czeka na kolejną porcję alkoholu.

Zakręciła włosy, usta pomalowała ulubioną ciemnoczerwoną szminką i za wszelką cenę starała się zachować wesołość. Nerys widziała, ile drinków wypła jej przyjaciółka, ale wiedziała też, że w ten sposób radzi sobie ze złym nastrojem. Według najnowszych wieści Archie został przeniesiony bliżej linii walki. Myrtle jednak nie pokazywała po sobie, że się obawia o męża. Niezmiennie zachowywała kamienną twarz, nawet przy Caroline i Nerys nie pozwalała sobie na chwilę słabości. Jak zawsze wyglądała pięknie, choć w jej twarzy można było dostrzec nutkę smutku.

– Zdajecie sobie sprawę z tego, kogo my tu mamy? – zawołała. – Trzy matki i jedną córkę. Ciekawe, prawda?

Nerys przywiozła Zahrę z Kanihamy. Dziewczynka leżała grzecznie w czerwono-zielonym wiklinowym koszu postawionym w cieniu rzucanym przez markizę. Zahra była bardzo spokojnym dzieckiem, nie marudziła przy jedzeniu i chętnie obserwowała świat, gdy Nerys trzymała ją w ramionach lub gdy siedziała zawinięta w chustę na plecach Faridy. Czasem Caroline zdobywała się na to, by ją potrzymać, ale napięta linia jej ramion i poważna mina zdradzały tylko jej niepewność i obawy. Ani Myrtle, ani Nerys nie próbowały więc jej do tego namawiać. Odkąd Caroline urodziła Zahrę, psychicznie nie czuła się najlepiej. Zdarzały się dni, że w ogóle nie chciała wstawać z łóżka w domu na łodzi. Upierała się też, że nadeszła pora, by wrócić do domu, ale Myrtle sądziła, że jej przyjaciółka nie jest jeszcze na to gotowa.

– Co pomyślą sobie ludzie? – mówiła Caroline. – Przecież całkowicie

już wyzdrowiałam. Tak przynajmniej powiedziałam pani Dunkeley. Obie jesteście dla mnie takie dobre. Gdybym tylko wiedziała, co stanie się z Zahrą...

Jej oczy znów wypełniły się łzami. Caroline płakała niemal bez przerwy. Wystarczyło, że zobaczyła martwego ptaka gdzieś przy drodze albo kalekie dziecko żebrzące na bazarze. Nerys i Myrtle nieustannie musiały ją pocieszać.

– Zahra jest zdrowa i szczęśliwa. Nikt oprócz nas nie wie, że jest dzieckiem twoim i Ravięgo. Naprawdę nic jej nie grozi – po raz setny powtórzyła Nerys.

Myrtle uwielbiała Zahrę. Podnosiła ją i pocierała nosem o jej maleńki miękki nosek lub całowała jej oliwkową skórę, zostawiając na niej ślady szminki.

– Moja piękna – zachwycała się. – Mogłabym zjeść cię całą, od uszu po paluszki. Nerys, myślisz, że Archie mógłby się zgodzić na adopcję Zahry, gdy wreszcie skończy się ta przeklęta wojna?

Nerys wahała się z odpowiedzią. Powiedziała ostrożnie:

– Śrinagar będzie plotkować, że to twoje dziecko, a nie Archiego. Dałyśmy zresztą jego mieszkańcom wszelkie powody, by tak myśleli.

Myrtle zachichotała wyraźnie zadowolona, że udało im się tak zwieść mieszkańców Śrinagaru.

– Kto by się przejmował plotkami? Kiedy Archie przyjedzie do domu i zobaczy małą, na pewno zakocha się w niej tak jak ja.

Spojrzała na Nerys.

– Ale... czy ty i Evan nie będziecie chcieli walczyć ze mną o opiekę nad małą?

Był to żart, w którym zawierała się jednak bolesna nuta prawdy.

Nerys również pokochała Zahrę. Czasem bała się tego, jak bardzo uwielbiała jej ciemne oczka i paluszki. Pokręciła jednak przecząco głową. Nie widziała Evana od poprzedniej jesieni i nawet wspomnienie o nim stawało się coraz bardziej mgliste. Kto mógł teraz przewidzieć, na co zgodziłby się jej mąż?

Przyszłość Zahry była więc kolejną niepewną kwestią, z którą

musiały się uporać.

Majid przyniósł Myrtle kolejnego drinka. Podnosząc wiklinowy koszyk, oznajmił:

– Czas nakarmić dziecko.

Dziewczynka zauroczyła też jego i kiedy tylko miał ku temu sposobność, zabierał ją do kuchennej łodzi i razem z innymi kucharzami oraz ich siostrami i ciotkami troskliwie opiekowali się Zahrą. Odchodząc z dzieckiem, powiedział do Myrtle:

– Zbliża się gość, proszę pani.

Spojrzały na jezioro i ujrzały pomalowaną na złoty kolor *sikharę* sunącą po wodzie. Pośród jaskrawych poduszek leżał Rainer popalający spokojnie fajkę. Pomachał do nich i zawołał wesoło:

– Wreszcie mamy lato!

W Kaszmirze maj był najpiękniejszym miesiącem w roku. Migdałowce, jabłonie i wiśnie rozkwitały, a spadające płatki ich kwiatów unosiły się na wietrze niczym płatki śniegu.

Przewoźnik zawrócił łódź i Rainer sprawnie wskoczył po schodach na werandę. Był silny, jego oparzenia szybko się zagoiły, ale nigdy już nie mówił o swojej wyprawie na Malaje.

Przywitał się z Caroline i Myrtle, całując je w policzki, a potem uniósł dłoń Nerys i przyłożył do swoich ust. Zaczerwieniła się, zaskoczona nagłym przyływem czułości z jego strony.

– Przyjechałem porwać Nerys – oznajmił. – To idealny dzień na piknik w ogrodzie Shalimar.

– Jeźdźcie więc – machnęła ręką Myrtle. – Caroline i ja pójdziemy do klubu na herbatę i drinki.

– Muszę najpierw wypróbować moją nową zabawkę. – Rainer przyniósł z sobą aparat Leica oraz trójnożny statyw i kilka obiektywów. Wyjął aparat z brązowego, skórzanego pokrowca i ustawił go na statywie. Wskazał przyjaciółkom róg werandy i powiedział:

– Może usiądźcie tam, jezioro będzie wówczas w tle.

– Cokolwiek pan rozkaże, panie Stamm.

Myrtle jak zwykle zajęła miejsce pośrodku, podniosła dostojnie

podbródek i spojrzała zawadiacko, prosto w obiektyw aparatu. Caroline usadowiła się obok niej, uśmiechając się, ale zerkając jednocześnie na koleżanki w oczekiwaniu na sygnał. Ona i Nerys objęły Myrtle w pasie.

– Bardzo ładnie. Nazwę to zdjęcie „Lato w Rajskim ogrodzie” – powiedział Rainer.

Nerys na zawsze zapamiętała zapach Myrtle pomieszany z zapachem dymu papierosowego, światło odbijające się w diamentcie pierścionka zaręczynowego Caroline i widok Rainera wygłupiającego się po drugiej stronie aparatu. Włożył na głowę czarną zasłonę, mamrotał coś do siebie i nagle krzyknął:

– Hokus pokus!

Kiedy przyjaciółki się z niego śmiały, pstryknęła migawka.

– Nie zniknąłeś w chmurze dymu – zauważyła Myrtle. – Ani my.

– Chyba wyszedłem z wprawy – zaśmiał się.

Słońce zakryła chmura, po raz drugi tego dnia zacinając werandę. Nerys naciągnęła kardigan na ramiona i upewniła się, że broszka Myrtle jest bezpiecznie przypięta.

– Masz czas na drinka? – To pytanie Myrtle skierowała do Rainera. – Napij się choć jednego. Caroline i ja możemy bardzo posmutnieć, gdy zostawicie nas same.

– Wybacz, ale tym razem nie mogę. Muszę pilnie porozmawiać z Nerys – powiedział Rainer.

Przewoźnik z *shikary* czekał na nich przy schodkach, leniwie zanurzając wiosło w wodzie i obserwując owady latające nad powierzchnią jeziora. Myrtle klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się.

– Oczywiście. Bawcie się dobrze! – zawołała.

Chwilę później Nerys i Rainer płynęli w stronę drzew po drugiej stronie jeziora. Nerys milczała, nie chcąc zepsuć uroku tego popołudnia. Choć Rainer obejmował ją ramieniem, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że stał się jeszcze bardziej tajemniczy. Może zawsze taki był? Przyzwyczyła się do jego ciała, zapachu i smaku, tembru jego głosu, ale wciąż miała wrażenie, że niewiele o nim wie.

Fontanny w wielkim ogrodzie pluskały między rzędami pąsowych

peonii. Przeszli alejką w cieniu gałęzi platanu. Rainer opowiadał jej o nowej sztuczce, którą wymyślił, o zaproszeniu na pokaz magii, podczas którego miał zabawiać brytyjskich i amerykańskich żołnierzy.

– Dokąd masz pojechać? – zapytała Nerys, przerażona perspektywą jego wyjazdu i tego, że może nigdy nie wrócić. – I kiedy?

Sama miała dość ważny powód, dla którego chciała z nim dziś porozmawiać.

Doszli do szczytu schodów i odwrócili się, by spojrzeć na roztaczający się przed nimi widok.

– Zaczniemy nasz piknik – powiedział, zmieniając temat.

Jak zwykle Rainer czerpał przyjemność z precyzji własnych przygotowań. Z płóciennego plecaka wyjął biały koc i rozłożył go w cieniu wielkiego, starego drzewa. Następnie wyciągnął metalową butelkę z maślanką doprawioną miętą i świeży pachnący chleb oprószony ziarnami sezamu.

Pod nimi roztaczały się ogrody pełne kwiatów, kanalików wodnych i tryskających fontann, dalej widać było jezioro z dwiema wysepkami. Mgła wisiała nad starym miastem i dwoma wzgórzami Śrinagaru zwieńczonymi fortem i świątynią. Może przyprowadził ją tutaj, by miała to wszystko u swoich stóp, jak zrobił to ostatni mongolski władca dla swej konkubiny. Przyłożył palec do jej ust.

– Muszę wyjechać ze Śrinagaru, Nerys. Już dawno by mnie tu nie było, gdyby każda godzina spędzona z tobą nie sprawiała, że chcę zostać na kolejne dwie.

Tak łatwo byłoby mu wierzyć.

– Wyjedź ze mną. Zamieszkajmy razem – szepnął niecierpliwie.

Świat zaczął się kurczyć, aż w końcu nie zostało nic poza dwoma punkcikami światła odbijającymi się w jego karmelowych oczach. Musnął zagłębienie między jej obojczykami. Nerys wyobraziła sobie wszystkie te miasta, które mogłaby zobaczyć, gdyby pojechała z Rainerem, podróże, które wspólnie mogliby odbywać, i góry, które obiecał jej pokazać.

Ale kiedy próbowała wyobrazić sobie powroty, nie potrafiła

zobaczyć miejsca, które można byłoby nazwać *ich* domem. Nawet Rainer nie był w stanie go wyczarować.

Ogromnego wysiłku wymagało od niej chwycenie jego ciepłej dłoni i odsunięcie jej od siebie, ale w końcu jej się udało. On w odpowiedzi przysunął się tak blisko, że ich usta niemal się zetknęły.

– Nerys, wyjdiesz za mnie? Chcę, byś została moją żoną.

Jego słowa przepłynęły przez nią jak kaszmirski miód. Nagle wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

– Ja już mam męża, Rainerze. Po prostu próbowaliśmy za wszelką cenę udawać, że tak nie jest.

Rainer nie zwracał uwagi na jej sprzeciw.

– Rozwiedź się z nim. A jeśli nie możemy się pobrać, wyjedź i zamieszkać ze mną. Lubisz postępować wbrew konwenansom. Znam cię na tyle, by to wiedzieć.

Tym samym udowodnił, że wcale jej nie znał.

W jej kieszeni tkwił list od męża, który dostała dziś rano. Evan opisywał w nim swą ukochaną pracę, którą musi porzucić, by móc przyjechać do niej, do Śrinagaru. Ale wyrażał też nadzieję, że Nerys pomoże mu założyć kolejny ośrodek misyjny, tym razem w Kaszmirze. W słowach męża wyczuwała niemy strach.

Podporządkowywała się konwenansom, ponieważ już dawno obiecała sobie ich przestrzegać. Dopiero teraz, gdy naprawdę miała możliwość zlekceważenia ich, zrozumiała, jak bardzo pragnęła się ich trzymać.

Poczuła ucisk w żołądku na myśl o tym, co ją czekało. Choć przyszłość zapowiadała się kolorowo, była dumna z podjętej decyzji.

– Nie – powiedziała. – Evan przyjedzie do Śrinagaru jeszcze w tym tygodniu. Przenosi ośrodek misyjny do Kaszmiru, a ja będę pomagać mu w trudnej pracy.

W oczach Rainera pojawiło się niedowierzenie.

Patrzyła na delikatne zagięcia w jego skórze, humorystyczne wygięcie kącików ust i zrozumiała, że tęsknota za nim, którą odczuwała przez te kilka miesięcy od świąt Bożego Narodzenia, była niczym w

porównaniu do tęsknoty, którą czuła teraz.

– Nie odrzucaj własnego szczęścia wyłącznie dla dobra innej osoby. Nie rezygnuj ze swojego życia – powiedział.

Nerys poczuła napływającą złość. Niepewność, którą odczuwała przez kilka minionych tygodni, nagle zniknęła. Cokolwiek miało się zdarzyć, będzie żyła według własnych zasad, a nie tych wymyślonych przez Rainera Stamma.

– Sądzisz, że rezygnuję ze swojego życia? To bezczelne założenie. Nic takiego nie robię.

Przez jezioro płynęła motorówka pozostawiająca za sobą srebrną nić spienionej wody. Może to Ravi Singh.

– Kocham cię – powiedział już mniej pewnie Rainer.

Nigdy wcześniej jej tego nie mówił. Chciała odpowiedź: „Ja też cię kocham. Zawsze będę cię kochać”. Ale nic nie powiedziała. Ptaki głośno ćwierkały, słychać było donośne cykanie świerszczy, ale między nią i Rainerem zapadła cisza odcinająca ich od siebie i pieczętująca ich rozłąkę.

– Jutro wyjadę ze Śrinagaru – ostrzegł ją jeszcze.

Podniosła głowę.

– Naprawdę wierzyłeś, że z tobą pojedę?

Spojrzał jej w oczy.

– Pozwoliłem sobie o tym marzyć.

– Tak mi przykro.

Patrząc na niego, dostrzegła zmianę w wyrazie jego twarzy. Stał się zupełnie inną osobą. Uśmiechał się do niej wyćwiczonym uśmiechem artysty, który zwykł rzucać widowni, gdy chciał ją oszukać lub zwieść.

– Szkoda. Ale po co tyle powagi? Życiem trzeba się cieszyć i to właśnie róbmy. Jeśli nie możemy, pfff, cóż... – powiedział, wzruszając lekko ramionami.

Jego obcość zaskoczyła Nerys.

Podnosząc się z ziemi, wyciągnął do niej rękę.

– Chodź. Przespacerujemy się. Jest piękny wieczór.

Zeszli po schodach i minęli tarasy między fontannami a kanalikami

wodnymi. W najniższej części ogrodu znajdowały się ogromne łoża szkarłatnych tulipanów. Nerys przypominały one teraz basen pełen krwi.

Za murami ogrodu minęli tłumy żebraków, handlarzy świecidełkami i sprzedawców herbaty, którzy wyszli na ulice przyciągnięci obietnicą lata. Nerys odczuwała zmęczenie wysiłkiem, który trzeba było włożyć, aby po prostu móc żyć w Indiach.

„Chcę wrócić do domu, pomyślała po raz pierwszy od przyjazdu do Śrinagaru”. Przepęłniła ją tęsknota za Walią, za własnym miejscem i bliskimi, za doliną, w której się wychowała.

Przy pomoście czekała na nich pomalowana na złoto *shikara*. Przewoźnik pomógł jej wsiąść na pokład i upewnił się, że wygodnie rozsiadła się na miękkich poduszkach. Zamiast zająć miejsce obok niej, Rainer usiadł naprzeciwko, tyłem do dziobu łodzi.

– W ten sposób będę mógł na ciebie patrzeć jeszcze przez chwilę – powiedział.

Słońce powoli zachodziło i światło zmieniło kolor z błękitnego na złoty. Kiedy dotarli na środek jeziora, gdzie mgła zaczęła unosić się lekko ponad powierzchnię wody, Rainer wziął do ręki wiosło, które leżało pod jego nogami. Obejrzał dokładnie pióro w kształcie liścia, a następnie odwrócił je. Przycisnął je do klatki piersiowej tak, że kształtem przypominało serce.

Dopłynęli do *Rajskiego ogrodu*. Nikogo nie było w domu, ale usłyszeli głosy dobiegające z kuchennej łodzi. Rainer wstał i pomógł Nerys wejść na schodki. Potem puścił jej dłoń.

– Dobranoc – powiedział.

– Dobranoc, Rainerze. Bezpiecznej podróży.

„Dokądkolwiek jedziesz” – dodała w myślach.

Stała na werandzie pod drewnianym zadaszeniem i patrzyła na odpływającą *shikarę*. Rainer cały czas trzymał przy boku odwrócone wiosło. Ten smutny obraz Nerys nosiła już zawsze w sercu: cień mężczyzny na spokojnej tafli wody i serce z liścia przyłożone do jego serca, będące jednocześnie i tarczą, i deklaracją.

– Dobry wieczór, proszę pani.

Nerys odwróciła się gwałtownie. Za nią stał Majid. Miał na sobie białą tunikę, a dłonie przyciskał do siebie w modlitewnym geście.

– Majid, gdzie jest pani McMinn?

– Chyba w klubie, proszę pani.

– A dziecko?

– Śpi, proszę pani.

Kiedy Zahra się obudziła, Nerys nakarmiła ją, wykąpała i przewinęła. Chude rączki i nóżki dziewczynki z dnia na dzień stawały się okrągłejsze. Kiedy zapadła ciemność, Nerys stała na werandzie i kołysała dziecko w ramionach.

Kiedy Myrtle wysiadła z *shikary* po powrocie z klubu, potknęła się na schodkach i niemal nie wpadła do wody.

– Cholera jasna. Moja ostatnia para porządnych pończoch jest w strzępach! – jęknęła.

Nerys wzięła ją za rękę, próbując zaprowadzić na fotel. Myrtle opierała się i w końcu zwinęła w kłębek na sofie. Głowę ukryła w dłoniach i zaczęła masować sobie czoło.

– Moja biedna, nieszczęśliwa głowa.

– Przyniosę ci wodę.

– Słyszałaś najnowsze wieści?

Nerys czekała, wstrzymując oddech.

– Biedny chłopiec został zadźgany nożem. Znaleźli jego ciało w jednej z uliczek przy bazarze.

Nerys nie musiała nawet zadawać pytania, ponieważ Myrtle już na nie odpowiadała.

– Muzułmanin.

Hinduska młodzież działała w zemście za wcześniejsze ataki ze strony muzułmanów. Walki na tle religijnym ostatnio coraz częściej nękały niegdyś spokojny Kaszmir.

– Zaczęły się zamieszki – powiedziała Myrtle. – W klubie radzili wszystkim, by wrócili do swoich domów i zostali w nich do rana.

Nerys słuchała przyjaciółki i wydawało jej się, że z oddali dobiega ją

odgłos krzyków i rzucania kamieniami.

– Przestałam rozumieć Indie. To wszystko, co znam, ale nie poznaję już kraju, w którym się wychowałam. Nie rozumiem też, co dzieje się z naszym pięknym Kaszmiem. Chcą, byśmy wyjechali, i tak właśnie zrobimy, ale co się potem stanie? Nic tu nie zostanie poza krwią i zniszczeniem.

Myrtle sięgnęła do torebki i wyjęła z niej papierośnicę. Zapaliła papierosa w złotym ustniku i niespiesznie wypuściła z ust niebieski dym. Nerys zdziwiona patrzyła, jak Myrtle przestaje udawać silną i poddaje się zwątpieniu.

– Wszystko się kończy. Co się stanie z nami wszystkimi?

Nerys nigdy nie widziała płaczącej Myrtle. Przytuliła ją i wycierała łzy płynące strużkami po jej twarzy.

– Boże, jestem pijana. Archie nigdy mi na to nie pozwala. Ale jego tutaj nie ma, życie jest okropne, a ja bez niego jestem tylko żalną namiastką kobiety.

Nerys próbowała ją uspokoić.

– Nie jesteś. Jesteś odważną, silną, godną podziwu kobietą i najlepszą przyjaciółką, jaką w życiu miałam. Nauczyłam się od ciebie bardzo wiele. Taka jest prawda.

Złapały się za ręce. Hałas w oddali zdawał się powoli cichnąć, ustępując miejsca nocnym odgłosom pluskającej wody i mrocznym pohukiwaniom sów.

Myrtle wydmuchnęła nos w chusteczkę.

– Cholera. Przepraszam. Jestem głupia. To te drinki i wiadomość o bezsensownym zabójstwie. Jak się udał piknik w Shalimar? Gdzie Rainer?

– Chciał mi tylko powiedzieć, że jutro wyjeżdża ze Śrinagaru. Dziś się ze mną pożegnał.

– Moja kochana... A ja tu biadolę. Chrzanić to! Co powiesz na drinka przed snem?

– Nie, Myrtle. Wystarczy już alkoholu. Choć, położymy cię do łóżka.

– Mówisz jak Archie. I nawet mi się to podoba.

Myrtle wstała i chwiejnym krokiem podeszła do koszyka Zahry. Pochyliła się i lekko odsłoniła kocyk.

– To ty jesteś przyszłością, maleńka. Dzięki Bogu, że jesteś tu i przypominasz nam, że świat nie do końca zwariował.

Pozwoliła, by Nerys odprowadziła ją do sypialni. Przyjaciółka zdjęła jej buty i rozpięła sukienkę. Położyła się wśród wykrochmalonych poduszek, zdobionych zasłon i jedwabnych kiltów. Na toalecie leżał rozsypany puder do twarzy, kilka pachnących słoiczków było pootwieranych, a na oparciu krzesła wisiała góra ubrań.

– Zostań ze mną – powiedziała błagalnym głosem Myrtle. – Mów do mnie. Powiedz mi, nie wiem... Powiedz o tobie i Rainerze.

Nerys chwilę się nad tym zastanowiła.

– Będę za nim tęsknić – powiedziała wreszcie.

Kochała go, mogła dodać, ale co potem? Himalaista-magik i żona misjonarza? Uśmiechnęła się. Koniec ich romansu musiał nastąpić, wiadomo było o tym, od kiedy się zaczął.

– Kiedy Evan przyjedzie do Śrinagaru?

– W liście napisał, że skończy pracę w Kargilu za jakieś dwa, trzy dni, a potem wyruszy w drogę. Więc najwyżej tydzień.

– Rainer oczywiście o tym wie?

– Tak.

– Więc taktycznie się wycofuje.

– Chciał, bym wyjechała z nim. Poprosił mnie też, bym za niego wyszła.

Myrtle wzięła głęboki wdech i odwróciła głowę na poduszce.

– I?

„Nie ma żadnego »i«”.

– Przypomniałam mu, że mam już męża.

– I że będziesz robić, co do ciebie należy – przyznała Myrtle. – Ale powiedz mi jedno, tylko szczerze. Czujesz się winna z powodu tego, co wydarzyło się zimą?

Nerys spojrzała na nią. Powieki Myrtle robiły się coraz cięższe. Przyjaciółka powoli zapadała w sen.

– Nie – powiedziała w końcu.

– Dobrze to słyszeć. Bo nic nie psuje małżeństwa tak jak poczucie winy, moja droga.

– Evan i ja będziemy musieli znaleźć swój sposób na życie. Ale nie będzie to na pewno forma przeprosin czy zadośćuczynienia za cudzołóstwo.

Myrtle roześmiała się sennie.

– To mi się podoba. Jestem pod wrażeniem. Caroline powinna się od ciebie uczyć.

– Caroline znajdzie własne rozwiązanie. Ale myślisz, że na tym polega życie naszej trójki? Na spełnianiu obowiązku?

– Oczywiście. Jesteśmy żonami, to nasza praca.

Myrtle usnęła. Nerys poczekała, aż przyjaciółka zacznie spokojnie i regularnie oddychać, a następnie ześliznęła się cichutko z łóżka. Kołdrą przykryła ramiona Myrtle i bez wahania pocałowała jej lekko spocone czoło. Jej skóra pachniała ginem.

W Kargilu Evan wynajął przewodnika i konie do podróży przez przełęcz Zoji La, do hinduskiej świątyni w Amatnath. Tam przyłączył się do grupy pielgrzymów wracających do miasta. Przez ostatnich piętnaście kilometrów podróży droga do Śrinagaru była otwarta dla ruchu kołowego, więc razem z innymi podróżnikami wcisnął się do zatłoczonego autobusu.

Nerys czekała na niego na przystanku położonym na brudnych obrzeżach miasta. Jeden autobus już podjechał i wysiedli z niego pasażerowie. Byli tam farmerzy, którzy przyjechali na targ, pielgrzymi, robotnicy i kilka rodzin. Jednak wśród nich nie dostrzegła Evana. Usiadła z powrotem na niskim murku i uważnie obserwowała tłum przyjezdnych. Drogą jeździło wiele samochodów, zapach spalin i nafty unosił się w powietrzu. Wychudzony pies z otwartymi ranami na grzbiecie szukał czegoś w śmieciach leżących przy drodze. Kolejny autobus zatrzymał się po drugiej stronie drogi. Wysiadł z niego tłum mężczyzn, którzy zaczęły wyciągać swoje bagaże ze środka. Kakofonia

krzyków i klaksonów stała się jeszcze głośniejsza, ale pośród tego zgiełku Nerys dostrzegła wreszcie Evana. Powoli zszedł ze schodków i próbował wyjąć swoje torby ze stosu walizek zrzuconych z dachu przez bagażowych. Następnie stanął niepewnie na słońcu, trzymając bagaże w obu rękach, mroczny posąg w zakurzonych czarnych klerykalnych szatach.

Nerys podskoczyła i pobiegła przez tłum. Dotknęła ręką jego rękawa. Otworzył szeroko oczy, patrząc na żonę.

– Nerys, wyglądasz pięknie – powiedział drżącym głosem.

Była zaskoczona, ale jednocześnie bardzo zadowolona. Evan nigdy dotąd nie komentował jej wyglądu.

– Naprawdę?

– Owszem. Wyglądasz jak... kolonialna dama.

– Tyle tylko, że nią nie jestem. Jestem Nerys Watkins z walijskiej misji prezbiteriańskiej w północnych Indiach, to się nie zmieniło. Witaj, Evanie.

– Moja droga – powiedział.

Onieśmiała go nowa wersja jego żony, której włosy pięknie układały się na sukience w kwiaty.

– Witaj w Śrinagarze.

Stała na palcach i pocałowała go. Jej usta ledwie dotknęły kącika jego ust, ponieważ Evan odwrócił głowę.

– Tak tu tłoczno. Tyle tu ludzi. Nie przywykłem do tłumów – powiedział trochę wystraszony.

– Wiem. Ale kiedy już je poznasz, odkryjesz, że to przepiękne miasto.

Wzięła jedną z jego toreb i wplotła dłoń w jego rękę.

– Dokąd idziemy? – zapytał Evan.

– Na początek do *Rajskiego ogrodu* – odpowiedziała. – Myrtle tam jest. Chcę, byś poznał Caroline. Potem możemy pojechać do domu. Do Kanihamy.

Zahra wróciła do rodzin w wiosce. Nerys postanowiła, że w ten sposób najlepiej będzie przedstawić Evanowi tę maleńką sierotkę.

Przez dwa dni gościli u Myrtle. Nerys nie była zaskoczona, że Evan nie czuł się komfortowo w Śrinagarze, wśród wygodnych poduszek i bogato zdobionych obramowań zdjęć w domu na łodzi. Nie zgodził się też na wizytę w Klubie Śrinagar. Znow zaczął się letni sezon przyjęć i meczów polo, choć nie tak głośny jak rok wcześniej, ponieważ większość mężczyzn wciąż była na wojnie. Evan nie chciał uczestniczyć w żadnych zabawach. Pod przymusem zgodził się przyjąć zaproszenie na przyjęcie koktajlowe w ogrodzie rezydencji. Pierwszy uściśnął rękę panu Fanshawe. Nie rozumiał zasady, według której należy porozmawiać ze wszystkimi i zaczął swój długi wywód na temat prezbiteriańskiej misji w Indiach.

– Z radością muszę przyznać, że doskonale sobie radziliśmy w Kargilu. Nasza kongregacja się rozrasta, a ja niedawno wyjechałem z ośrodka misyjnego, który zostawiłem pod nadzorem jednego z misjonarzy – wyjaśnił. – Teraz chcemy zacząć pracę w Kaszmirze.

– Wspaniale – powiedział pan Fanshawe, myśląc, jak przerwać tę rozmowę.

Jeden z jego pomocników zaprowadził Evana w inne miejsce. W czasie wojny misjonarze, niezależnie od ich wyznania czy narodowości, właściwie nie liczyli się dla rządu brytyjskiego.

Caroline wpadła na herbatę do domu na łodzi ubrana w jasnoseledynową bluzkę i naszyjnik z pereł. Wyglądała blado, ale pięknie i dumnie. Wyjaśniła Evanowi, że ostatnio nie czuła się najlepiej, a jej mąż był więźniem wojennym na Malajach.

– Będę modlił się za was oboje i za jego szybki powrót do domu – powiedział Evan.

– Dziękuję – odpowiedziała Caroline, dotykając jego dłoni.

Tej nocy Nerys i Evan leżeli obok siebie pod boazerią przypominającą wnętrze pudełka na cygara. Obecność jej męża sprawiała, że skrzypienie drewna i plusk wody wydawały się głośniejsze. Ponieważ oboje wiedzieli, jak dźwięk roznosi się po domu, mówili szeptem.

– Twoja przyjaciółka, pani Bowen, jest bardzo spięta i nieszczęśliwa.

– Owszem.

– Współczuję jej – powiedział.

Nerys pomyślała, że Evan rozpoznał w Caroline współcierpiętника. Czuła, jak napięcie przepływa przez Evana, jak gdyby pod szwami i guzikami jego flanelowej piżamy biegły stalowe przewody.

– To bardzo miłe ze strony pani McMinn, że gościła cię tutaj przez tak wiele miesięcy.

– Tak – przytaknęła Nerys.

– Obawiałem się trochę, że pobyt tutaj może namieszać ci w głowie.

Ciemność maskowała jej uśmiech.

– Z powodu Myrtle?

– Oczywiście, że nie. Chodzi mi o tutejszy styl życia. Sam *Rajski ogród*. Nie stać nas na służących w białych marynarkach. Nie pijemy ginu ani nie palimy papierosów.

– Ewanie, jestem twoją żoną. Dobrze wiem, w jaki sposób żyjemy.

Nerys pomyślała o Rainerze i o tym, że swoje ciało postrzegał jako użyteczny instrument, a nie jako wroga, którego trzeba torturować lub wstydzić się go. Wspomnienia o Rainerze, a raczej o tym, co razem robili, starała się przełożyć na rzeczywistość. Zwinęła się obok biodra Evana i położyła podbródek w zagłębieniu przy barku. Słuchała, jak ich oddechy powoli się synchronizują. Delikatnie położyła rękę na jego żebrach.

Chrząknął i odwrócił się na bok, tyłem do niej.

Kiedyś Nerys odebrałaby to jako odrzucenie i leżałaby załamana, patrząc w ciemność.

Zamiast tego przysunęła się bliżej, dopasowując wypukłości swojego ciała do męża. Pod skórą było widać jego kręgi. Pocałowała ten najbardziej wystający, u nasady karku.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła.

Musiała wierzyć, że tak będzie.

Zasnęli w tej pozycji.

Dwa dni później pojechali do Kanihamy.

Evan stanął na zniszczonym placu i obserwował starych mężczyzn siedzących w cieniu platanu, stadko kóz i domy z cegły. Grupa dzieci, wśród których był Faisal, przerwała grę i przybiegła do Nerys. Farida pojawiła się w cieniu rzucanym przez ścianę domu z Zahrą śpiącą na jej plecach. Podniosła rękę i opuściła ją w chwili, gdy Nerys ją dostrzegła. Cienkie spirale dymu unosiły się w powietrze, przyjemne i chłodne w porównaniu do miejskiego upału.

Napięte wcześniej ramiona Evana zdawały się rozluźniać. Rozejrzał się wokół już nie niepewnie, ale z zaciekawieniem. „Być może”, pomyślała Nerys, „to miejsce, tak samo jak jej, przypominało mu Walię”.

Zaprowadziła go do ich domku. Obejrzał ściany z cegły, prymitywne zasłony, sypialnię, która była jedynie odrobinę większa od zwykłej wnęki, *kangri* stojące obok piecyka.

– Spędziłaś tu zimę? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak, mieszkałam tu od stycznia.

Zapadła cisza. Ciekawskie dzieci zebrały się przy wejściu, a kilkoro dorosłych mieszkańców wioski z zainteresowaniem patrzyło na nowego gościa.

Evan położył dłoń na jej ramieniu, a następnie dotknął ją tak, że czubki jego palców delikatnie prześliznęły się po jej szyi.

– Podziwiam cię.

– Nie było tak źle. Kiedy w piecyku się pali, jest tu dość ciepło.

– Nie powinienem był mówić, że przewróciło ci się w głowie.

Przepraszam.

– Nie masz za co – powiedziała z uśmiechem.

Faisal wszedł do pokoju.

– Dzień dobry panu – powiedział chłopczyk.

Następnie wskazując swoim brudnym paluszkiem, wyrecytował:

– Głowa, ręka, kolano, stopa.

– Bardzo dobrze, świetna robota – powiedział zadowolony Evan. –

Kim jest ten chłopiec?

– To Faisal. Jest bardzo mądry. Był moim pierwszym uczniem.

– A ilu uczniów masz teraz?

– Dziesięcioro. To system wymienny. Oni uczą się paru słów po angielsku, a ja od czasu do czasu dostaję jajka, cebulę lub marchewki – roześmiała się.

– A co z ich rodzinami?

– To tkacze, farbiarze i hafciarze. To muzułmańska wioska. Nie mają tu meczetu, ale jest sala modlitewna. Kobiety bardzo ciężko pracują, uprawiają warzywa, opiekują się zwierzętami i wychowują dzieci. Większość mężczyzn zajmuje się handlem szalami. Ich prace są wyjątkowe, ale stały się za drogie, by można było czerpać poważne zyski ze sprzedaży.

Evan wyszedł na zewnątrz, schylając głowę, by nie uderzyć w niskie nadproże. Farida swoim zwyczajem próbowała się wycofać.

– To Farida, a niemowlę ma na imię Zahra – powiedziała Nerys.

Czuła, jak serce mocniej zabiło jej w piersiach.

Spojrzał na dzieci i zadowolony kiwnął głową.

– Mogę pracować tutaj – powiedział. – Zacznę od mieszkańców wioski, a potem odwiedzę pobliskie osady. Po drodze zauważyłem, że mimo wysokości w tym rejonie mieszka wielu ludzi.

Nerys uśmiechnęła się.

– Jest tu dużo wody, żyznej ziemi i słońca przez cztery letnie miesiące. Mieszkańcy Kaszmiru wierzą, że ich dolina jest małym rajem.

– Naprawdę? – zapytał Evan, marszcząc brwi.

W słońcu było gorąco. Zdjął swój czarny płaszcz i odwinął postrzępione makiety koszuli, odsłaniając chude nadgarstki, jakby chciał pokazać, że jest gotów zabrać się do pracy natychmiast. Na czele niewielkiej grupy mężczyzn z wioski, Nerys dostrzegła Zafira. Ukłonił się przed nią.

– To pani mąż?

Nerys przedstawiła ich sobie, modląc się w duchu, by Evan nie wcielił się od razu w rolę chrześcijańskiego pastora. Z ulgą zauważyła, że po cichu przyzwolił na to, by mężczyzna dokładnie mu się przypatrzył. W końcu Zafir kiwnął głową na znak akceptacji nowego

przybyła. Pomyślała, że to dobry początek. Jedynym sposobem na to, by mieszkańcy Kaszmiru zaakceptowali ludzi z Zachodu, było przyjęcie zasad miejscowych. Zrozumiała, że Evan doszedł do tych samych wniosków podczas pobytu w Kargilu.

Wrócili do domku. Woda w czajniku wrzała i Nerys przyrządziła herbatę kaszmirskim sposobem, doprawiając ją przyprawami. Dziwnie było patrzeć na Evana siedzącego naprzeciw niej, bez koloratki i z rozpiętym górnym guzikiem koszuli. Z kieszeni kamizelki wystawał łańcuszek od zegarka. Uśmiechnęła się do niego, a on, niemal niezauważalnie, odwzajemnił uśmiech.

– Powinienem chyba kupić sobie rower – oznajmił. – O wiele łatwiej będzie się wtedy przemieszczać.

Nerys zabrała później dzieci do urządzonej przez siebie klasy. Obserwował ich zabawę i doszedł do wniosku, że mógłby korzystać z tego pokoju podczas odczytów biblijnych i spotkań grupy dyskusyjnej.

– Tak zacząłeś pracę w Kargilu?

– Tak. Przychodziło niewiele osób. Moim zdaniem nasze spotkania modlitewne i msze w Leh miały tak dobrą frekwencję z powodu kolacji, które podawałyście później z Diskit.

– Biedna Diskit.

Nerys roześmiała się, aby ukryć współczucie dla Evana, dla jego cierpliwej, niewzruszonej wiary i chęci pracy mimo wszelkich przeszkód, na które napotkał w Indiach.

– Zobaczę, co mogę tu zrobić bez jej nieocenionej pomocy – powiedziała.

– Dziękuję, moja droga. Zawdzięczam ci więcej, niż sądziłem.

Dzieci śledziły tok rozmowy dorosłych.

– Zaśpiewamy naszą piosenkę panu Watkinsowi? – zaproponowała.

Przy akompaniamencie grzechotek, bębenków i fletów dzieci śpiewały z nią refren. Evan wysłuchał piosenki do końca, a następnie stwierdził, że musi iść do domu i napisać raport, który wyśle do Shillong.

Jeśli siedzenie naprzeciw niego w ich małym domku wydało jej się

niecو dziwne, jeszcze dziwniej było leżeć obok niego w łózkو pierwszej nocy w Kanihamie. Kiedy zdmuchnęła świeczkę, ciemność wydawała się tak wszechogarniająca, że swoim ciężarem kładła się na ich pościeli. Nerys była wdzięczna losowi, że Rainer nigdy nie spał z nią w tym łózkو.

„Z czasem coraz łatwiej będzie o nim nie myśleć”, powtarzała sobie.

– Chyba bardzo przejmujesz się losem tego niemowlęcia – zauważył Evan.

Nerys leżała z głową opartą o jego ramię, jej ręka lekko otulała jego klatkę piersiową. Poczowała, że Evan nieco się rozluźnił.

– Zahrą? Owszem. Tak jak Faisalem, jego siostrą i bratem.

Nie opowiedziała Evanowi historii Zahry, poza tym, że jej matka zostawiła ją w wiosce, ponieważ uznanie dziecka przyniosłoby hańbę jej rodzinie. Evan widział zbyt wiele sierot w Indiach, by z jakichś względów szczególnie interesować się dziewczynką.

– Mam nadzieję, że niedługo będziemy mieli własne dziecko – powiedział.

Przewrócił się na bok, ale tym razem leżał twarzą w kierunku Nerys.

– Przepraszam. Byłem złym mężem. Sporo o tym myślałem, kiedy mieszkałem sam w Kargilu. Postaram się być lepszy.

Kiedy jego usta dotknęły jej warg, w ich smaku wyczuła szczerość. Evan nie potrafił udawać.

„W przeciwieństwie do mnie”.

– Ja też nie byłem idealną żoną.

Evan milczał przez chwilę.

– Zapomnijmy o naszych niefortunnych początkach.

„W tym jedyna nadzieja na naszą szczęśliwą przyszłość”.

– Bardzo chętnie.

Jego ręka poruszyła się. Nerys rozsunała kolana, potem uda, a on delikatnie dotykał jej skóry. Z przyjemnością poddawała się jego badaniu. Powoli, centymetr po centymetrze, wpuszczała go na nowe terytorium.

Nie musiał pytać: „Czy mogę”.

W Kanihamie udało im się wypracować pewną rutynę. Evan kupił rower i co dzień przemierzał nim znaczne odległości, by pomagać potrzebującym. Początkowo jego patykowata, ciemna figura była dla miejscowych dość zabawnym widokiem. Ale już wkrótce tak się do niego przyzwyczaili, że przestali zwracać na niego większą uwagę. Evan zaczął prowadzić spotkania biblijne, na których pojawiała się kilku ciekawskich młodzieńców i bezdomny, który próbował wdawać się z Evanem w teologiczne dysputy. Oczywiście na spotkania nie przychodziła ani jedna kobieta. Jakiś czas później Nerys zaczęła częstować zebranych prostą kolacją złożoną z ryżu i gulaszu warzywnego, co przyciągnęło jeszcze kilku najbiedniejszych. Evan postanowił przekazać wiadomość o tym misjom w Shillong i Delhi.

Nerys rano uczyła dzieci, popołudniami bawiła się w Faisalem i resztą lub zabierała Zahrę na spacer górskimi szlakami ciągnącymi się wokół wioski. Wieczorami jedli z Evanem kolację i czytali przy świetle z lampy naftowej. Wiadomości wojenne z Europy, Afryki Północnej i Birmy przychodziły do nich spóźnione, w formie gazet sprzed kilku dni, listów z domu oraz biuletynów od Myrtle i Caroline ze Śrinagaru.

Pod koniec czerwca przyszedł list od Myrtle. Nerys otworzyła kopertę, z której wypadła niewielka kartka. Słowa na niej nakreślono tak szybko, że ciężko było je odczytać.

Archie został poważnie ranny. Okretem wojskowym przewieziono go do szpitala w Chittagong. Wyjeżdżam. Nie wiem, jak tam dotrę, ale coś wymyślę. D. Fanshawe mi pomaga. Zaopiekuj się Caroline.

Poproś Evana o modlitwę za A.

Twoja przyjaciółka na zawsze, M.

Roztrzęsiona wiadomością Nerys złożyła kartkę. Zahra leżała w swoim koszyku, kopiąc gołymi stópkami w stronę promieni słońca wpadających coraz śmieiej przez okno.

Mair siedziała w sypialni *Salomona i królowej Saby*, pakując się przed powrotem do domu. Zwijała ostatnie koszulki i wciskała je w wolne przestrzenie plecaka,

kiedy Farooq zapukał do drzwi. Już dwa razy przychodził dziś do niej pod różnymi pretekstami. Westchnęła i zaprosiła go do środka.

– Bardzo dużo bagażu – powiedział, zaglądając ostentacyjnie w otwarte torby.

– Naprawdę? To moja wersja raczej lekkiego podróżowania.

– Przyszedł gość do pani. Młody mężczyzna.

Zeszła na dół po skrzypiących schodach, kiwając na przywitanie głową w stronę australijskiej pary nowych znajomych. Wyszła na zewnątrz i przeszła po trapie na brzeg. Na małym motocyklu, opierając kask o udo, siedział Mehraan.

– Mehraanie! To twój motocykl?

– Właśnie go kupiłem. Przyda mi się.

– Na pewno. Cieszę się, że cię widzę. Jutro wyjeżdżam ze Śrinagaru i pomyślałam, że wpadnę do ciebie później, by się pożegnać.

– Ułatwiam ci to – powiedział, uśmiechając się. – Pomogłem trochę twojej znajomej, tej angielskiej pani z chorą nogą.

– To bardzo miłe z twojej strony.

– Jak widzisz, nie wszyscy w Śrinagarze podkładają bomby i rzucają kamieniami. Dom twojej angielskiej znajomej jest bardzo stary i jeśli nie umocnimy niektórych części, w końcu się zawali. Byłem tam wczoraj i jej pielęgniarka dała mi tę paczuszkę dla ciebie.

– Co to jest? – zapytała zaciekawiona Mair.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział.

Niecierpliwie rozwinęła materiał związany kawałkiem sznurka. W środku znalazła stare, zniszczone pudełko na karty. Pod przykrywką znajdował się stosik starych listów. Dołączono do nich liścik napisany niemal nieczytelnym pismem.

Mam już za słaby wzrok, by znów móc przeczytać listy od Twojej babci. Może chciałabyś je zobaczyć. Zatrzymaj je, ja ich już nie potrzebuję.

Caroline C. Bowen

– Ojej – powiedziała głośno Mair zupełnie zaskoczona prezentem.

– Coś nie tak?

– Nie, wszystko w porządku.

Mair była zdumiona faktem, że Caroline pamiętała ich rozmowę i wysłała jej listy. Zastanawiała się, czy powinna osobiście jej za to podziękować, ale szybko doszła do wniosku, że to nie jest najlepszy pomysł. Nie sądziła, że Aruna w jakikolwiek sposób ograniczała panią Bowen, ale wyraźnie powiedziała, że nie życzy sobie, by zasmucać starszą panią. Po ostatnim wyrzuceniu z domu Mair nie chciała narażać się na sprzeczkę z tak troskliwą opiekunką.

– Czy możesz poczekać pięć minut?

Pobiegła do swojego pokoju i znalazła dużą pocztówkę z wizerunkiem ogrodu Shalimar. Na odwrocie napisała podziękowania za listy i obiecała, że odda je, nawet jeśli nie będzie w stanie zrobić tego osobiście. „Mam jednak nadzieję, że sama je pani przyniosę” – napisała, podpisując list.

Następnie włożyła pocztówkę do dużej koperty, zaadresowała ją i podała Mehraanowi.

– Czy możesz jej to przekazać, kiedy następnym razem ją odwiedzisz?

W najgorszym wypadku Aruna przeczyta wiadomość dla Caroline.

– Oczywiście – odpowiedział.

Założył na głowę ogromny kask i odpalił silnik.

Mair chciała go przytulić lub przynajmniej uścisnąć mu rękę, ale ograniczyła się do ciepłego uśmiechu i kiwnięcia głową.

– Mam nadzieję, że znów się zobaczymy, podczas mojej kolejnej wizyty w Śrinagarze.

– *Insallah* – odpowiedział.

Kopnął energicznie pedał gazu i ruszył rażno w stronę centrum.

Następnego dnia rano Farooq pomógł jej wsiąść do taksówki, która miała odwieźć ją prosto na lotnisko.

– Niedługo znowu będzie pani z rodziną w Anglii – powiedział radośnie, odbierając od niej spory napiwek i wsuwając go do kieszeni

koszuli.

Kiedy samolot z Delhi w końcu odleciał, Mair patrzyła przez okrągłe okienko, jak sprzed jej oczu znika piękna dolina i pojawiają się brązowe równiny. Czuła smutek, wyjeżdżając z Kaszmiru i zostawiając za sobą Indie. Upomniała samą siebie, że przecież wraca do domu, a gdy podróż dobiegnie końca, na lotnisku będzie na nią czekać Hattie. Od razu zrobiło jej się lepiej.

Wróci do Śrinagaru na pewno. Przymknęła oczy, przypominając sobie Caroline Bowen, że to zrobi.

Na jej kolanach wciąż leżała poślizgnięta koperta, którą wyciągnęła z pudełka przed lotem.

Rozdział Trzynasty

Kaplica była niewielka, prosta i pomalowana na brązowo. Z jej okien rozciągał się widok na szare wzgórze, teraz skąpane w deszczu. Wyjmując czarny śpiewnik z półki w ławce przed nią, Mair myślała o opuszczonej kaplicy w Leh. Dotknęła brązowego szala z paszminy, który owinęła wokół kołnierza swojego najlepszego płaszcza.

Pastor zajął miejsce na ambonie, organista zagrał ostatnie dźwięki marszu weselnego i wszyscy uczestnicy mszy wstali z ławek. Panna młoda szła niespiesznym krokiem w stronę ołtarza, trzymając ojca pod ramię. Stary przyjaciel Mair, Tal, odwrócił się, by spojrzeć na swoją Annie. Był bardzo przejęty, a sztywny biały kołnierzyk koszuli wyglądał tak, jakby był przynajmniej o centymetr za ciasny – tak zresztą było od dzieciństwa.

„Wszystkie śluby są takie same”, pomyślała Mair, „różnią się tylko strojami gości”. Pragnienie, podniecenie i szczęście strzelały z każdej strony niczym butelki szampana.

Pastor powitał wszystkich po walijsku, a Mair wróciła myślami do Nerys i Evana Watkinsów.

Po ślubie, już w restauracji, przywitała się serdecznie z rodzicami Annie i Tala, na próżno usiłując uniknąć krępujących pytań o jej własny ślub. Nie mając innego wyjścia, odpowiedziała:

– Najpierw muszę poznać tego jedyne.

Państwo młodzi uśmiechali się, ciesząc się w myślach, że im się to

już udało.

Dylan, Eirlys i Mair dołączyli do reszty gości. Zniszczone słońcem i wiatrem głowy wystawały znad starannie skrojonych garniturów, wielkie dłonie farmerów trzymały kieliszki z cienkiego szkła. Jej ojcu zapewne spodobałoby się to uroczyste spotkanie sąsiadów, które łączyło dwie miejscowe rodziny. Zawsze żałował, że żadne z jego dzieci nie postanowiło zostać w ich domu, w Walii, ale nigdy głośno nie narzekał. Nigdy nie sprzeciwiał się zamierzeniom swych dzieci, nawet tym najbardziej zaskakującym, jak choćby szalona praca w cyrku.

– Szkoda, że nie ma tu naszego staruszka – powiedział Dylan, mówiąc głośno to, o czym jego siostry cały czas myślały.

Podano ciepły posiłek i rozpoczęła się seria długich toastów, podczas których dzieci ganiały się między stolikami. Mąż Eirlys, Graeme, zaproponował, że zajmie się chłopcami oraz córeczką Dylana i Jackie, i całą trójkę położy do łóżek w domkach, w których mieli nocować. Posprzątano ze stołów, a w rogu sali DJ ustawiał swój sprzęt pod rzędami kolorowych świateł. Mair podeszła z Dylanem, Jackie i Eirlys do baru.

Gdzieś z dołu dobiegł ją głos:

– Jakaś ty podobna do matki.

Mair spojrzała w tę stronę. Przy stoliku w rogu siedziała starsza pani w błękitnym kapeluszu ozdobionym brokatem, przystrojonym białymi goździkami i liściem paproci. Całość wyglądała jeszcze dziwniej, ponieważ kapelusik przechylił się nieco, i zatrzymał tuż nad okiem. Mair usiadła na pustym krześle obok właścicielki tego interesującego nakrycia głowy.

– Nazywam się Mair Ellis – powiedziała, niepewna tego, czy starsza pani jej z kimś nie pomyliła.

– Wiem. Powiedziałam, że wyglądasz jak twoja matka. Jestem na tyle stara, by pamiętać, jak się urodziła. Zaraz po powrocie twoich dziadków, Watkinsów, z Indii, prawda? Gwen musiała być dla nich prawdziwą niespodzianką.

Nerys miała wówczas czterdzieści jeden lat. Mair miała nadzieję, że

jej matka i, co za tym idzie, ona, mogła być w jakiś sposób związana z Indiami. Kiedy jednak znów zajrzała do *Nadziei i chwały Boga*, znalazła tam informację, że pastor i jego żona wyjechali z ośrodka misyjnego w 1947 roku. Gwen natomiast urodziła się dopiero w roku 1950.

– Wyglądasz jak prawdziwa Watkinsówna. Twój brat natomiast wdał się w ojca.

– A ja? – zapytała Eirlys, której nie umknął nawet najdrobniejszy fragment tej rozmowy, mimo że w tym samym czasie składała zamówienie na drinki i rozmawiała z bratem Tala.

Starsza pani zacisnęła usta.

– Glen była z ciebie bardzo dumna. Mówiła, że zawsze byłaś najlepsza w klasie. Teraz jesteś lekarzem?

Dylan objął siostrę ramieniem.

– Konsultantką.

Eirlys uśmiechnęła się, lekko rumieniąc. Jej naturalna szorstkość została nieco złagodzona kilkoma kieliszkami wina, dzięki czemu wyglądała młodziej i niemal bez trosko.

– Przyjaźniła się pani z naszą mamą?

Odpowiedź, w której pojawiły się najróżniejsze szczegóły – wspomnienie farm, małżeństw, kuzynów i kuzynek, była zbyt skomplikowana dla Mair i Eirlys. Wreszcie jednak pani Parry powiedziała im, że w dzieciństwie chadzała do kaplicy i słuchała kazań wielebnego Watkinsa. To było jeszcze przed tym, jak urodziła się Gwen. A potem, kiedy dziecko przyszło na świat, przez pewien czas opiekowała się nim. Chodziła na spacer, wożąc małą w wózek, podczas gdy Nerys zajmowała się domem. Kiedy dwadzieścia pięć lat temu zmarł mąż pani Parry, postanowiła przeprowadzić się do siostry w Caernarfon.

– Ale i tak myślę o tym miejscu jak o moim prawdziwym domu.

Tak się tutaj działo. Domki letniskowe wyrastały na wzgórzach, a brzeg pokrywały kempingi dla przyczep, ale jeśli pochodziło się stąd, nie patrzyło się na dolinę jedynie jak na zwykłe pola i skały.

Kiedy Mair spojrzała w oczy Eirlys, zrozumiała, że siostra myśli o

tym samym.

Sprzedali dom, ale nie utracili swojego miejsca w dolinie. Mair była szczęśliwa, że wszyscy przyjechali na ślub Tala. Eirllys miała rację, naciskając na resztę rodzeństwa.

Przez otwarte drzwi Mair zerknęła na tańczących. Tal zaprowadził żonę na środek sali i rozpoczęli swój pierwszy taniec.

– Proszę opowiedzieć nam o mamie – poprosiła Eirllys.

Dołączył do nich Dylan. Dzieci Ellisów przypominały teraz pisklęta z otwartymi dzióbkami, łakome na każdą informację dotyczącą ich matki.

Pani Parry pokiwała głową, przez co paprotka na kapelusiku raptownie podskoczyła. Właścicielka tego osobliwego cudu na głowie najwyraźniej lubiła, gdy ktoś słuchał jej nieco przydługich opowieści.

– Była śliczną dziewczyną. Kiedy się urodziła, wasz dziadek był już koło pięćdziesiątki. Oboje rodzice oczywiście uwielbiali małą. Pamiętam pana Watkina w jego czarnym płaszczu spacerującego z malutką Gwen. Dziewczynka była wystrojona w płaszczyk i kapelusik, wyglądała jak mała księżniczka. Godzinami ze sobą rozmawiali, nie trzeba im było nikogo innego. Cóż, Watkinsowie byli szczęśliwą rodziną. Wspaniale było na nich patrzeć.

Eirllys wytarła łzę wypływającą z kącika oka. Muzyka w sali obok grała bardzo głośno.

Pani Parry z zadowoleniem sęczyła drinka.

– Zwiedzili razem kawał świata. Dla nas wszystkich mieszkanie w Indiach było czymś bardzo egzotycznym. Na pewno często wspominali ten okres, gdy wielebny jeszcze żył.

Mair pomyślała o zdjęciu, na którym jej babcia wygląda na tak szczęśliwą. Caroline powiedziała, że zdjęcie zrobił Rainer Stamm. Nagle poczuła, że bardzo chciałaby znów zobaczyć Brunona Beckera.

Bruno znał szwajcarską stronę opowieści, ale nie wiedziała, jak go o to zapytać. *Przykro mi, że twoja córka umarła. Opowiedz mi teraz o przeszłości.* Zainteresowanie przeszłością to jedno, ale Mair dobrze wiedziała, że nie chce go zobaczyć jedynie po to, by wyciągnąć od niego

potrzebne informacje. Po prostu tęskniła za nim.

Pani Parry pochyliła się i pociągnęła lekko za frędzle przy szalu Mair.

– Nerys często powtarzała, że czas, który spędziła w Kaszmirze, był najlepszym okresem w jej życiu.

– Naprawdę?

– Mair wróciła właśnie z trzymiesięcznej podróży do Indii. Odwiedzała miejsca, w których dziadkowie pracowali – powiedział Dylan.

Starsza pani nie wyglądała na zaskoczoną.

– Podejrzewam, że wszystko tam się zmieniło, jak zresztą wszędzie. Większość ludzi, którzy tam wówczas mieszkali, wróciła, jak mniemam?

Mair pomyślała, że pani Parry jest przeciwieństwem Caroline Bowen.

Tal podszedł do baru. Miał rozwiązany krawat, wyglądał na zgrzanego i niesamowicie szczęśliwego.

– Zatańczysz ze mną? – zawołał do Mair.

Ujął jej rękę w swoją wielką dłoń i razem ruszyli w stronę tłumu tańczących gości. Wokół nich podskakiwały purpurowe twarze i mocno spocone ciała. Mair dostrzegła Annie. Panna młoda zdjęła już welon i tiarę, ułożone loki spływały swobodnie jej po plecach.

Tal tańczył tak jak kiedyś, dziko wymachując rękoma i tupiąc zbyt mocno nogami. Uśmiechał się przy tym niepewnie do Mair. W jej głowie pojawiło się wspomnienie czasów, kiedy był jej chłopakiem. Miała wówczas szesnaście lat...

Bardzo możliwe, że wtedy też słuchali piosenki „Love is All Around”.

Ale teraz bardziej jeszcze dźwięczała jej w głowie rozmowa z Brunonem w Lamayur. Pamiętała, jak wyobrażali sobie własne losy, własną przyszłość z kimś innym, w innym miejscu.

– Chyba nie mogę tańczyć do tej piosenki – powiedziała nagle, czując zmieszanie.

Tal odsunął się lekko, wciąż wymachując głową na wszystkie strony i szeroko się uśmiechając.

– Dlaczego nie?

Mair miała jednocześnie szesnaście i trzydzieści lat, ale jej wyobraźnia rozwijała się niczym nić w kaszmirowym szalu, sięgając co najmniej kolejnych trzydziestu lat.

Przez całe popołudnie i wieczór starała się opierać napływającym wspomnieniom, które nakładały się jedno na drugie: jej dzieciństwo i wczesna dorosłość, zniszczony ośrodek misyjny w Leh, Dylan i Eirlys, Śrinagar, Hattie, Tal, jej ojciec i matka, równina Changthang, Nerys, kaplica, góry, jej siostrzeńcy i bratanica. Lotus.

Próbowała uspokoić dręczące ją myśli. Może tak właśnie wyglądało starzenie się: człowiek staje się coraz bardziej świadomy tego, że wszystko, co się dzieje w jego życiu, łączy się z jakimś wspomnieniem, tworzącym kolejne połączenia, aż każde wydarzenie jest odzwierciedleniem czegoś, co już wcześniej się przeżyło. Mair pomyślała, że pewnie tak wyglądało życie Caroline Bowen w jej cichym pokoju w Śrinagarze oraz wspomnienia pani Parry kiwającej rytmicznie głową przy stoliku w rogu.

Stopy Mair zaplątały się w stopy Tala. Potknęła się i padła mu w ramiona. Złapał ją za łokcie.

– Dziękuję, że przyszedłeś – krzyknął jej do ucha.

– Za nic bym tego nie przegapiła. Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi.

– Tego jestem pewien – powiedział.

Parę godzin później, przesycony plotkami o życiu w dolinie, ciepłym winem i muzyką disco z lat osiemdziesiątych, Ellisowie wrócili do domków letniskowych.

Jackie poszła od razu spać, a Eirlys, Dylan i Mair usiedli jeszcze nad butelką whisky. Czerpali ogromną przyjemność z bycia razem tego wieczoru, ponieważ wiedzieli, że w przyszłości coraz trudniej będzie im wspólnie spędzać czas.

– Chyba wszyscy świetnie się bawiliśmy. Miałam rację, nakłaniając

was do przyjazdu tutaj, prawda? – powiedziała Eirlys.

Dylan parsknął nad szklanką i wytarł brodę końcówką krawata.

– Zawsze masz rację, siostrzyczko. Kocham cię – powiedział, przechylając lekko szklankę. – Nasze zdrowie, moje drogie.

Minał rok i w Kaszmirze zaczynała się kolejna wiosna. Myrtle i Archie w końcu wrócili do *Rajskiego ogrodu*. Lekarzom ze szpitala wojskowego udało się poskładać ciało Archiego.

– Ale niezupełnie w tej samej kolejności – żartował.

W przyszłości będzie można dopasować protezy do zmiażdżonych łydek, ale niestety urazy kręgosłupa, powstałe, gdy przewrócił się na niego wagon towarowy podczas nalotu bombowego, były trwałe. Nic nie można już było z tym zrobić.

Majid i pięciu innych pomocników wniosło jego wózek inwalidzki na pokład łodzi. W domu korytarz był na tyle szeroki, że Archie bez problemu mógł wyjeżdżać na werandę, gdzie całymi dniami siedział otulony kocem i patrzył, jak zmienia się światło padające na jezioro i góry.

Myrtle zwierzyła się Nerys, że najważniejsze dla niej było przywiezienie męża z powrotem do Śrinagaru i myśl o tym pomogła jej przetrwać długie miesiące spędzone w szpitalu. W tym czasie przywieziono setki rannych mężczyzn, którzy albo tam umierali, albo zdrowieli na tyle, by za chwilę zastąpili ich nowi. A Archie dalej leżał. Jego obrażenia były tak poważne, że przez kilka tygodni myślano, że nie przeżyje, ale on się nie poddawał i po jakimś czasie jego stan zaczął się wreszcie poprawiać.

Myrtle cały ten czas nie odstępowała jego łóżka. Rozmawiała z nim, czytała mu jego ulubione książki albo po prostu trzymała go za rękę.

– Nie poddał się. Był odważniejszy niż każdy inny człowiek w takiej sytuacji.

Archie powiedział kiedyś, upewniając się, że Myrtle go nie słyszy:

– Bez niej po prostu zamknąłbym oczy i się poddał. Byłoby o wiele

łatwiej. Ale jakoś udało jej się mnie przekonać, że kiedyś tu wrócimy.

Podniósł rękę i wskazał na migoczącą w słońcu wodę i odbicia płynących po niej łodzi. *Shikara* sprzedawcy kwiatów podpłynęła w ich kierunku, załadowana wiadrami pełnymi wiosennych kwiatów. Nerys pochyliła się i kupiła bukiet pięknych peonii. Archie zatopił twarz w ich wilgotnych płatkach.

– Nie przyjechałbym do domu bez Myrtle. Pewnie nigdy nie wyszedłbym ze szpitala. Zawdzięczam jej ten widok, te kwiaty, każdy dzień, który spędzamy razem. Nie mogę się nad sobą uzalać, kiedy tak wielu ludzi zginęło. I kiedy tak wielu, jak choćby Ralph Bowen, jest w japońskiej niewoli.

Uśmiechnęła się do niego. Na ścianie za nim wisiąco przepiękne poroże, które przywiózł z polowania w Ladakhu. Archie już nigdy nie będzie chodzić, nie wspominając już o jeździe konnej, strzelaniu, grze w krykieta czy uprawianiu sportu, które tak kochał. Uśmiechając się, Nerys przygryzała wewnętrzne strony policzków, aby powstrzymać napływające łzy.

Wróciła Myrtle razem z Majidem niosącym samowar. Włożyła filiżankę z herbatą w rękę męża i rozłożyła serwetkę na jego klatce piersiowej.

Myrtle zrobiła się teraz bardzo chuda, miała wystające obojczyki i głębokie cienie pod oczami. Nie piła już drinków.

– Co by się stało, gdyby w środku nocy Archie mnie potrzebował, a ja byłabym pijana?

Zamiast tego zaczęła więcej palić, złotą zapalniczką odpalając jednego papierosa za drugim. Kiedy już osiągnęła swój cel i przywiozła ukochanego do domu, ich problemy zamiast się skończyć, zaczęły się jeszcze bardziej mnożyć.

Archie był właściwie uwięziony w *Rajskim ogrodzie*. Potrzeba było wielu par rąk, by wnieść i znieść go z łodzi. Raz spróbowali przenieść go do *shikary*, ale łódka zakołysała się tak bardzo, że o mały włos nie wpadł do wody. Ścieżka wzdłuż brzegu jeziora była wąska i wyboista, a kiedy padał deszcz, pokrywała się błotem. Dawnymi czasy, kiedy

McMinnowie bez problemu poruszali się po brzegu, błoto stanowiło jedynie drobną niedogodność. Podłoga w domu była nierówna, a niewielka łazienka nie była przystosowana dla kogoś, kto nie może chodzić. A kiedy skończy się lato, Archie będzie musiał jeszcze walczyć z zimnem. Angielski doktor regularnie pojawiał się w domku na łodzi, by zbadać Archiego, ale podczas którejś wizyty powiedział Myrtle, że jeśli jej mąż poważnie zachoruje na płuca lub będzie miał problemy z krążeniem, mały wojskowy szpital w Śrinagarze nie jest najlepszym miejscem na leczenie go.

– Nie wiem już, co mam robić – wyznała kiedyś Myrtle.

Cała jej energia, niezłomna siła, wytrwałość, które Nerys tak podziwiała, zniknęły. Okazało się, że nawet Myrtle ma chwile słabości i potrzebuje pomocy.

– Moim zdaniem będziecie musieli się przeprowadzić – powiedziała łagodnie Nerys. – Może moglibyście wynająć parterowy dom w nowej części miasta. Tam możecie mieć ogród, hodować kwiaty albo warzywa.

– Lekarz uważa, że powinnam zabrać go do Delhi. Ale tamtejszy upał jest nie do zniesienia.

– A nie możecie spędzić tam zimy?

Pstryknęła zapalniczka. Płomień oświetlił twarz Myrtle. W zamyśleniu wypuściła z ust strużkę dymu.

– Tę zimę owszem. Potem nie wiem. Problemem są oczywiście pieniądze. Nasz dom w Delhi należy do firmy Archiego, więc nie możemy zatrzymać go na zawsze. Mamy rentę inwalidzką Archiego, ale to nie wystarczy, by utrzymać oba miejsca. Nie wiem, za ile udałoby nam się sprzedać *Rajski ogród* i czy w ogóle znaleźlibyśmy kupca.

Nie rozmawiała o tym, bo było to zbyt bolesne, ale Śrinagar się zmieniał. Wszędzie widać było tego dowody, w sposobie, w jakim hindusi i muzułmanie mijali się w wąskich uliczkach bazaru, nawet się ze sobą nie witając, w aktach przemocy popełnianych, gdy tylko zapadał zmrok, w tajemniczym podpaleniu hinduskiej świątyni na brzegu rzeki Dźhelam. Konflikty wybuchały w ogrodach i w cieniu platynowców. Niektórzy pandici, hindusi pełniący funkcję nauczycieli i

urzędników państwowych, po cichu wyjeżdżali z Kaszmiru. Profesor Pran, zawodnik krykieta, którego drużyna wygrała mecz zorganizowany w święta, stwierdził, że jego żonie i córce lepiej będzie na południu, choć wyjazd z Kaszmiru był dla nich wszystkich bardzo bolesnym przeżyciem. Masowa ucieczka z Indii była sprzeciwem dla obecnego rządu, a gdy konflikt się nasilił, Nerys przypomniała sobie, co zwykł mawiać Rainer:

– Hindusi przeciwko muzułmanom. Dziel i rządź, to motto Brytyjczyków.

Nerys pomagała Myrtle w opiece nad Archiem na tyle, ile mogła. Dla Myrtle była to ciężka praca, która nie pozostawiała jej czasu na inne rzeczy. Małżonkowie ustalili jednak, że pozostaną w *Rajskim ogrodzie*, dopóki Myrtle nie znajdzie kupca. Archie spędzał całe dni na werandzie, paląc fajkę i czytając gazety. Zarzekał się przy tym, że jest najszczęśliwszym człowiekiem w Śrinagarze.

– Co z Zahrą? – Myrtle zapytała Nerys.

– Myślisz, że dałabyś radę zająć się jednocześnie nią i Archiem?

Myrtle tylko westchnęła.

– Nie martw się o Zahrę. Jest zdrowa i szczęśliwa – zapewniła ją Nerys.

Faisal i jego młodszy braciszek bez problemu dostosowali się do zasad panujących w Kanihamie. Chłopcy byli silni, energiczni i zdrowi. Nie wyróżniali się niczym spośród innych. Ale Farida wciąż trzymała się z boku. Wiosną Evan postanowił, że opuszczą wioskę i przeprowadzą się do Śrinagaru. Przyjechał nowy misjonarz, który miał mu pomóc w szerzeniu wiary, ale potrzebował domu i szkolenia w nieco mniej polowych warunkach niż te panujące w Kanihamie. Nerys dzieliła swój czas między pracę w wiosce a pomaganiem Myrtle w opiece nad Archiem. Za każdym razem, kiedy wyjeżdżała z Kanihamy, płaciła kobietom z wioski tyle, na ile było ją stać, by opiekowały się

Zahrę podczas jej nieobecności. Bałaby się zostawiać dziewczynkę samą, gdyby nie była pewna, że Farida będzie strzec jej jak oka w głowie.

Tylko raz, po tym jak Archie wrócił do Śrinagaru i kiedy okazało się, że Myrtle będzie musiała poświęcać swój czas wyłącznie jemu, Nerys spróbowała porozmawiać z Evanem o adopcji dziecka. Myślała, że udało jej się powstrzymać drżenie w głosie, ale Evan spojrzał na nią niepewnie.

– Jakiego dziecka?

– Może Zahry.

– A która to? Nerys, tu jest tak wiele niemowląt, a Pan nakazał nam troszczyć się o nie wszystkie, nie tylko o jedno. Jeśli więc chodzi o nasze dziecko, musimy zaakceptować jego wolę.

Powiedział to swoim najbardziej powściągliwym i nieubłagany tonem. Nerys odwróciła się w milczeniu.

Farida wciąż nosiła Zahrę na plecach, a nocą obie dziewczynki spały na jednym materacu i pod jednym kocem. Farida nigdy nie wzięła nic do ust, póki Zahra nie została nakarmiona i wolała siedzieć z niemowlęciem na kolanach, niż bawić się z innymi dziećmi w swoim wieku. Szal, który nosiła na głowie, zakrywał jej włosy i usta, ale w jej wielkich ciemnych oczach widać było powagę i ostrożność. Iskierka uśmiechu pojawiała się w nich tylko wtedy, gdy Zahra czyniła jakiegokolwiek postępy.

Farida nie zachowywała się jak inne dzieci w jej wieku, ale Nerys już dawno pogodziła się z tym, że nie może tego zmienić. Patrzyła na obie dziewczynki z przyjemnością, ale i żalem.

W Śrinagarze Nerys wynajęła salę szkolną na ulicy prowadzącej do porośniętego trzciną kanału. Ona i Evan zamieszkali piętro wyżej. Nowy asystent Evana nazywał się Ianto Jones, miał okulary z grubymi szklami i wystające jabłko Adama, które podskakiwało w górę i w dół, kiedy mówił. Razem jeździli do miasta rowerami lub autobusem objeżdżali wioski w drodze do Kanihamy.

Kiedy Nerys wyrzuciła rupiecie ze swojej klasy i rozłożyła trutkę na szczury, zaprosiła tam kilkoro dzieci z bazaru. Tak jak w Leh i

Kanihamie bawiła się z nimi, śpiewała piosenki i na koniec podawała im skromny posiłek. Pojawiało się więcej chętnych. Kiedy tylko urządzili się w nowym mieszkaniu, Nerys zapytała męża, czy dwie osieroczone dziewczynki z Kanihamy mogłyby z nimi zamieszkać.

– Znow te sieroty z wioski? Dlaczego? – zapytał. – Masz za mało pracy?

– Tęsknię za nimi – odpowiedziała spokojnie.

Minął już rok, a Nerys dalej nie mogła zająć w ciąży. Evan teraz znacznie bardziej troszczył się o jej uczucia niż na początku ich związku i od czasu do czasu wyrozumiale ścisnął jej dłoń.

– Dobrze, moja droga. Jeśli tego właśnie chcesz, przywieź je tu w odwiedziny.

Faridzie spodobała się podróż autobusem do miasta. Nerys siedziała z nimi z tyłu, pośród kobiet w szalach i ich dzieci, i czuła się, jakby sama wciąż była dzieckiem.

Zahra zaczynała już chodzić, ale Farida wolała ją nosić. Kiedy stawiała dziewczynkę na ziemi, ta chwiejnymi krokami, na pulchnych jasnobrązowych nóżkach, szła, wyciągając po wszystko rączki. Jej oczy były w kolorze ciemnego jadeitu, a jej jasnobrązowe włosy przetkane były złotymi pasemkami.

– To dziecko jest inne – stwierdził Evan, zanim wcisnął do torby stos ulotek i odjechał na rowerze z Ianto.

Był zbyt zajęty i zapracowany, by zastanawiać się nad czymkolwiek, co nie dotyczyło bezpośrednio jego lub jego pracy.

Archie był o wiele bardziej tolerancyjny i rozumiał też znacznie więcej. Już podczas pierwszego spotkania trzech kobiet i dwóch dziewczynek na werandzie *Rajskiego ogrodu* znał całą historię. Śmiał się do rozpuku, słysząc o pomysle Myrtle na spędzenie zimy *zkangri* pod płaszcami i w zdumieniu wysłuchiwał nieśmiałego opowiadania Caroline o porodzie w środku zimy w Kanihamie.

– Moje drogie, byłyście bardzo dzielne – powiedział.

– Miałam dwie najlepsze przyjaciółki na całym świecie. Jeśli masz przyjaciół gotowych nieść ci pomoc, możesz zrobić wszystko. Nerys

wspaniale się mną opiekowała, kiedy urodziła się Zahra – powiedziała Caroline.

– A ty wypiałś parę kubków naparu z ziół – dodała Nerys. – Nigdy się nie dowiedziałyśmy, z czego był.

Archie pokiwał głową, popalając fajkę.

– Obydwoje mieliśmy szczęście. I pomyśleć, że teraz one obie się mną zajmują.

Złapał Myrtle za rękę, a ona pocałowała go w czubek głowy, gdzie pośród płowych włosów zaczął tworzyć się łysy placek.

Zahra raczkowała między werandą a salonem *Rajskiego ogrodu*. Ściągała zdjęcia w srebrnych ramkach z niskich półek, rączkami brudziła szklane drzwi i wypolerowane stoliki, ale nikt nie protestował, wszyscy uśmiechali się szczerze, patrząc na dziecko.

– Będzie z niej prawdziwa piękność – powtarzał często Archie.

Nikt nie mówił tego głośno, ale widać w niej było coś z Raviego Singha.

Oczy Caroline śledziły każdy ruch dziewczynki. Nieśmiało, jakby nie do końca sobie ufała, zaczęła trzymać córkę w ramionach, nawijając sobie jej włosy na palce i głaszcząc jej policzek opuszką palca. Zahra uśmiechała się do niej, prezentując rząd małych białych ząbków. Wszystko to czujnie obserwowała Farida, która tylko wyczekiwała chwili, w której Zahra znów będzie tylko jej.

Nerys i Myrtle przyglądały się rosnącej czułości Caroline wobec dziecka.

– Może któregoś dnia jednak się uda – szepnęła Myrtle.

Żadna z nich już więcej nie spekulowała, a Nerys zachowała swoją tęsknotę za dzieckiem tylko dla siebie. Teraz Zahra należała do nich wszystkich i wystarczyło jej patrzeć, jak dziewczynka rośnie i się rozwija. Zahra była symbolem nadziei w mrocznych czasach.

Evan regularnie przychodził do Archiego i palił z nim fajkę, rozmawiając o wojnie. Pewnego letniego popołudnia przyjaciółki zostawiły mężczyzn na werandzie i *shikarą* popłynęły do ogrodu Shalimar. Farida mocno trzymała Zahrę, ale ta wierciła się i śmiała,

wyciągając rączki a to w stronę przelatujących nad nimi ptaków, a to w stronę kropli wody rozpryskiwanych przez wiosło przewoźnika.

W ogrodzie pełno było rodzin, które urządziły sobie piknik w cieniu drzew, spacerujących żołnierzy na przepustce oraz sprzedawców jedzenia i napojów. Zahra szeroko otworzyła oczy i usta na widok migoczących fontann i kolorowych kwiatów. Domagała się, by postawić ją na ziemi. Wszystko teraz zwracało jej uwagę, biegała za żółtym motylem, grubym psem salonowym, nianią wiozącą dziecko w wózku.

– Wygląda na szczęśliwą, prawda? – powiedziała Caroline.

Nie mogła pozwolić sobie na uczucie dumy, ale w jej oczach widać było ulgę i wdzięczność.

Nerys kupiła lody od sprzedawcy i podała je Faridzie. Dziewczynka odwinęła nieco szal przykrywający jej usta, chętna, by spróbować loda, ale zawahała się i spojrzała na Zahrę, jakby zastanawiając się, czy jej podopieczna nie powinna zjeść pierwsza.

– Nie, to wszystko dla ciebie – zapewniła ją Nerys. – Zahra jest jeszcze za mała.

Farida zamknęła oczy, koncentrując się na przysmaku. Wspięły się po szerokich schodach, dostosowując się do wolnego tempa Zahry, która trzymała kurczowo palec Caroline, by zachować równowagę. Kiedy doszły do szczytu schodów, odwróciły się, by spojrzeć na jezioro, błyszczące w upale pośród otaczających go gór. Śrinagar wyglądał piękniej niż kiedykolwiek przedtem.

– Prawie jak za dawnych czasów – powiedziała rozmarzona Myrtle.

Nerys otoczyła ramieniem przyjaciółkę, kiedy odwróciły się, by kontynuować wspinaczkę. Caroline była kilka kroków przed nimi. Po lewej stronie ktoś urządził piknik pod największym z platanów. Eleganckie kobiety siedziały na składanych krzesłach, niektóre trzymały w ręku parasolki chroniące przed słońcem, kilku mężczyzn siedziało na trawie, a służący dyskretnie stali nieopodal.

Zahra znów ruszyła w pogoń za motylem. Poruszała się zbyt szybko, więc straciła równowagę i upadła na trawę, zrzucając z główki swój przeciwsłoneczny kapelusz. Farida wciąż była zajęta lodem, więc

to Caroline ruszyła, by podnieść dziewczynkę. W ciągu dwóch sekund ciszy, nim Zahra nie złapała oddechu i zaczęła krzyczeć ze strachu i złości, Caroline chwyciła ją w ramiona i pocałowała w czoło.

Ta scena zwróciła uwagę jednego z mężczyzn, który podniósł się i powoli ruszył w stronę Caroline i Zahry. Wyglądał nieskazitelnie, w białej kurcie²⁷ pod jasnokremowym płaszczem bez rękawów.

– Mam nadzieję, że dziecku nic się nie stało? – zapytał Ravi Singh.

Zahra wyła dalej i Farida pospiesznie wyrzuciła resztkę lodu.

Oczy Caroline napotkały spojrzenie Ravięgo.

– Tylko się potknęła.

Pozwoliła, by Farida zabrała dziecko z jej rąk. Farida szeptała coś, uspokajając dziewczynkę, dzięki czemu płacz dziecka szybko ucichł. Ravi wciąż patrzył głęboko w oczy Caroline.

Wyglądała o wiele doroślej niż dziewczyna, która wyszła za mąż za Ralpa Bowena. W ciągu dwóch lat różowy odcień jej policzków nieco zbladł, ale bardziej podkreślone kości policzkowe i cień na powiekach sprawiły, że stała się jeszcze piękniejsza.

– Czyje to dzieci? – zapytał Ravi aksamitnym głosem.

– Pamiętasz moje przyjaciółki, panią McMinn i panią Watkins?

Maniery Ravięgo jak zawsze były nienagane. Ukłonił się nisko.

– Oczywiście. Dzień dobry. To piękny dzień na spacer po ogrodzie Shalimar.

– Witaj, Ravi – powiedziała Myrtle, kiwając lekko głową.

Między ciemnoczerwonymi wargami umieściła papierosa.

– Uczę kilkoro dzieci w jednej z dzielnic starego miasta. Ta dwójka mieszka ze mną i moim mężem w domu misyjnym. Niestety obie dziewczynki to sieroty. Robimy, co możemy, by im pomóc – wtrąciła się Nerys.

Ravi przestał wpatrywać się w Caroline. Długie czarne rzęsy Zahry delikatnie podkręcały się i opierały o policzek w kolorze miodu. Jedna

²⁷ Kurta – luźna koszula, sięgająca zwykle za kolana. Część tradycyjnego stroju w Indiach.

pulchna stópka wystawała z bucika. Farida patrzyła na mężczyznę zaciekawiona.

– Rozumiem – powiedział.

– Nie chcemy przeszkadzać ci w spotkaniu – dodała Myrtle.

– Dziękuję za troskę, pani McMinn.

Uklonił się jeszcze niżej, z jego twarzy nie znikło jednak napięcie.

– Do widzenia – dodał.

Odwrócił się, jednocześnie łapiąc Caroline za łokieć i odciągając ją na bok. Nie miała wyboru, musiała pójść za nim. Jego twarz nieco złagodniała i pojawił się na niej uśmiech. Pochylił głowę i wyszeptał do ucha Caroline:

– Tęskniłem za tobą, moja droga Caroline.

– Naprawdę? Dlaczego? – zapytała, rumieniąc się od szyi do policzków.

– Bardzo chciałbym się z tobą spotkać. Musisz mi opowiedzieć, co się z tobą działo, odkąd ostatnio się widzieliśmy. Cokolwiek to było... – przerwał i znów utkwiał w niej wzrok – ...zmieniło cię z dziewczyny w piękną kobietę.

Caroline wyprostowała się. Uwolniła ramię z jego uścisku i odsunęła się od Raviego. Teraz jej twarzy była czerwona ze złości.

– To niemożliwe. Mój mąż jest jeńcem Japończyków w Birmie. Jak pozostałe żony żołnierzy czekam i modlę się, by wrócił do domu.

– W przeszłości nieobecność twojego męża w niczym nam nie przeszkadzała.

– To był mój błąd.

Ravi był niezadowolony. Zacisnął usta i uniósł jedną czarną brew.

– W takim razie przepraszam, że ci o tym przypomniałem. Mam nadzieję, że wspomnienia minionych czasów nie zaprzątają ci już głowy.

Spojrzał chłodno na Zahrę, która radośnie zmierzała teraz w stronę kwiatów.

– Żegnaj – powiedziała Caroline. Ravi ruszył w stronę swoich znajomych.

Myrtle i Nerys zabrały dziewczynki i cała piątka ruszyła na dół po schodach, w kierunku jeziora.

– On... poprosił mnie o spotkanie – powiedziała Caroline, gdy znalazły się z dala od wzroku ciekawskich.

– Ten człowiek jest zbyt pewny siebie – powiedziała Myrtle.

– Boję się go.

Serce Caroline uderzało głucho i mocno. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że część dyskomfortu, który odczuła dziś w jego obecności, spowodowana była tęsknotą za nim. Poczula, jak dawniej, chęć prześlizgnięcia się marmurowymi korytarzami do jego prywatnych pokoi, gdzie jasne jedwabne zasłony przy łóżkach poruszały się przy niewielkim wietrzyku, a w umywalkach pływały płatki róż.

– Nie bój się – powiedziała Nerys, stając obok niej.

Farida trzymała Zahrę, której główka opierała się o ramię.

– Z nami jesteś bezpieczna.

– A co, jeśli się domyślił? – przeraziła się Caroline.

– Na pewno nie – powiedziała Myrtle, by uspokoić samą siebie.

Nerys nie była tego taka pewna, ale nic nie powiedziała. Myślała o Rainerze. W obliczu zagrożenia jakiś instynkt nakazywał zwracać się do niego o pomoc. Ale Rainer wyjechał ze Śrinagaru i nie dawał znaku życia. Słyszała kiedyś plotkę, że na dobre wrócił do Szwajcarii, inna mówiła, że bierze udział w tajnej misji gdzieś na południowym Pacyfiku, a jeszcze inna, że daje pokazy magii żołnierzom stacjonującym w różnych miejscach świata. Ale nie wiedziała, jak sprawdzić, czy w którejkolwiek z plotek jest choć ziarenko prawdy.

Myrtle ruszyła do przodu.

– Wracajmy do domu, do *Rajskiego ogrodu*.

Ich *shikara* czekała na nie przy pomoście.

Rozdział Czternasty

Sierpień 1944 r.

Jesteś tego pewna? – zapytała Myrtle.

Dym z papierosa unosił się nad jej głową, chroniąc ją przed muchami, które nękały Nerys i Caroline. Za murem ogrodu znajdowała się góra nawozu. Było to wyjątkowo upalne popołudnie, a w powietrzu unosiły się gorące opary.

Caroline otworzyła oczy tak szeroko, że widać było białka wokół jej niebieskich tęczęwek. Potarła palcami o kolano, obracając nerwowo obrączkę i pierścionek zaręczynowy.

– Tak mi się wydaje. Aczkolwiek to jeszcze nieoficjalna wiadomość. Pani Dunkeley mówi, że gdy tylko potwierdzą imiona i rangi, sztab dywizji powiadomi żony i rodziny. Ale to chyba prawda.

Nerys oparła się o chybrotliwe oparcie ławki, kostką ocierając o pachnącą kolendrę, która rosła pod jej stopami. Patrzyła na Caroline z rosnącym niepokojem.

Archie wyjął z ust fajkę.

– Byli bardzo dzielni – powiedział.

Wózkiem podjechał w swoje ulubione miejsce w cieniu migdałowca.

Domek na obrzeżach nowego miasta w Śrinagarze miał ogrodzony ogródek. Z pomocą starszego mężczyzny, który pracował teraz w pełnym słońcu w kapeluszu ze słomy nałożonym na czubek czerwonej czapeczki, Myrtle hodowała kabaczki, szpinak i kalarepy wielkości pięści.

– Spójrz na tę. Na każdym konkursie wiejskim w Anglii zajęłabym pierwsze miejsce – mówiła z dumą, oczyszczając z ziemi warzywo. – Pytanie jednak brzmi: dlaczego ktokolwiek chciałby w ogóle jeść coś takiego?

McMinnowie pojechali do Delhi zimą zeszłego roku, zostawiając *Rajski ogród* zamknięty na kłódkę, ponieważ Myrtle nie udało się znaleźć nikogo, kto chciałby kupić dom na łodzi. Ale kiedy tylko nadeszły ciepłe dni, para Amerykanów wynajęła dom na sezon, wspominając, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, być może go kupią. Bob Flanner pracował w przedsiębiorstwie importowo-eksportowym i według Mair wyglądał na bogatego. Pani Flanner zatrudniła Majida i resztę pomocników, co bardzo ucieszyło Myrtle, ponieważ wypłacanie im nawet bardzo okrojonej pensji przekraczało możliwości finansowe jej i Archiego. McMinnowie wrócili z Delhi i przenieśli swoje meble do małego wynajętego domku. Znajdował się on daleko od jeziora i nie było z niego widoku ani na wodę, ani na góry, tylko na mur z cegieł i szczyty drzew w sąsiednich ogrodach, ale Archie i tak upierał się, że to idealne miejsce.

– Jest tu tak cicho. Wszyscy nasi sąsiedzi są przemili. A ja uwielbiam siedzieć w ogrodzie przy lekkim wietrzyku.

– Nie wiem, co będzie, gdy skończy się lato – wyznała poważnie zaniepokojona Myrtle w rozmowie z Nerys.

Nerys nie miała żadnych pomysłów ani sugestii, nie potrafiła tym razem wesprzeć Myrtle swym optymizmem. Niepewność jutra wciąż wisiała nad nimi wszystkimi. Strach związany był nie tylko z tym, co się z nimi samymi stanie, ale też z tym, co przyniesie Indiom koniec wojny.

Pod koniec marca Japończycy przemaszerowali z okupowanej przez nich Birmy w głąb Indii, przez wzgórze Naga. Dowódca japońskich wojsk chciał przeciąć drogę między Imphal, stolicą indyjskiego stanu Manipur, leżącego zaledwie sto dziesięć kilometrów od granicy z Birma, a sennym garnizonowym miasteczkiem o nazwie Kohima. Nie udało im się podbić Imphalu, ale Kohima została oblężona. Walki w mieście i w jego okolicach trwały do końca kwietnia. Niewielki pułk złożony z brytyjskich i indyjskich żołnierzy walczył, broniąc miasteczka.

Siły aliantów wciąż walczyły, a liczba ofiar rosła w zastraszającym tempie. Posiłki powoli gromadziły się na drodze prowadzącej z bazy aliantów w Dimapurze i w końcu udało się znieść oblężenie. 22 czerwca, trzydzieści kilometrów od Imphalu, brytyjskie siły z Kohimy stanęły ramię w ramię z 5. dywizją indyjską i razem zatrzymali napór Japończyków. Wojskom japońskim kończyła się amunicja, pomoc z powietrza i zapasy jedzenia, więc siły aliantów zaczęły zmuszać ich do odwrotu ze wzgórz do Birmy.

Przez ten czas tylko Evan i Ianto Jones pracowali na rzecz misji. Mimo wielkich trudności z Walii przyплыł statek z zamówionymi Bibliami. Obaj mężczyźni każdego dnia wsiadali na rowery i rozwozili Pismo do każdej, nawet najmniejszej kongregacji, która mogłaby przyjąć ich nauki. Pewnego wieczora Nerys weszła do maleńkiego pokoju z wybielonymi ścianami, który służył za kaplicę, i znalazła tam klęczącego Evana pogrążonego w modlitwie. Przepraszyła go szeptem za to, że mu przeszkodziła i już zaczęła odchodzić, gdy Evan złapał ją za rękę.

– Zostań tu ze mną, Nerys.

Klęknęła obok niego.

– Modłę się oczywiście za naszych żołnierzy walczących w Birmie i gdziekolwiek są – zaczął. – Ale modłę się też za ciebie, za mnie, za naszą przyszłą rodzinę. Mam nadzieję, że Bóg nie uzna tego za zbyt egoistyczne.

Serce ścisnęło się jej ze współczucia dla męża. Evan chciał mieć dziecko nie mniej niż ona. Brał ją w objęcia, gdy kładli się spać, nie

mówiąc ani słowa, jakby obawiał się, że mówienie może wszystko zniszczyć. Mimo tych cichych wieczorów Nerys miała wrażenie, że rozumieją się teraz lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Na pewno tak nie będzie – zapewniła go.

Kiedy znów zapadła cisza, Nerys sama spróbowała się pomodlić. Od ostatniej próby minęło wiele czasu. Z pobliskiego podwórka dochodziły ich głosy dzieci, jej uczniów, którzy bawili się na świeżym powietrzu. Modliła się o to, by Evan zmiękł i zgodził się na adopcję Zahry. Kiedy skończyła, odważyła się wreszcie powiedzieć:

– Wciąż możemy mieć rodzinę. Istnieją przecież inne sposoby...

Evan nie zawahał się nawet przez chwilę.

– Nie mógłbym tego zrobić. Nie wyobrażam sobie wzięcia czyjegoś dziecka i wychowania go jak swoje. Nie potrafiłbym – w jego głosie słychać było nutkę żalu.

Nerys klęczała jeszcze przez chwilę. Poklepała Evana po ramieniu, a on pochylił głowę, nic nie mówiąc. Jego włosy były już prawie zupełnie siwe.

W klasie na dole nieco ponad dwuletnia pulchniutka Zahra podbiegła do Nerys, by ją przywitać. Wciąż zachwycała swymi małymi dołeczkami w kolanach i łokciach. Miała już dwa rzędy idealnie prostych i białych ząbków, a jej złotawo-brązowe włosy bardzo urosły.

– Ness! Ness! – zawołała szczęśliwa, widząc Nerys.

Pod koniec lipca piętnaście tysięcy japońskich żołnierzy, którzy brali udział w natarciu na Indie, wracało w stronę Rangun. Połowa z nich po drodze zmarła z głodu, wyczerpania lub zachorowała na czerwonkę.

Na początku sierpnia do Śrinagaru dotarły niezwykle wieści. We wzgórzach w Birmie odnaleziono brytyjskich jeńców wojennych. Pod upadku Singapuru mężczyzn przetrzymywano początkowo w więzieniu w Changi, ale potem przeniesiono ich na północ, do pracy przy budowie dróg, którymi zamierzano dostarczać zapasy jedzenia i amunicji dla sił piechoty. I właśnie tych mężczyzn, którzy szczęśliwie nie zginęli podczas rozstrzeliwań, znalazła jednostka indyjskiej piechoty. Kiedy żołnierze się na nich natknęli, ci chowali się w

prowizorycznym obozowisku na obrzeżach wioski we wzgórzach, nieświadomi postępów sił alianckich. Jednym z tych mężczyzn był kapitan Ralph Bowen.

Właśnie tę wiadomość pewnego upalnego popołudnia przyniosła Caroline swym przyjaciołom.

– Jesteś tego pewna? – powtórzyła Myrtle.

– Nie, ale jeśli to prawda, jeśli to naprawdę on, to znaczy, że może przyjechać tu już za parę tygodni. Dam radę się nim zaopiekować, prawda? Znow będziemy małżeństwem, jak ty i Archie – wykrzykiwała podekscytowana nowinami.

Archie rzadko mówił o tym, co wydarzyło się na wojnie, i w tej chwili nie patrzył żadnej z kobiet w oczy. Ale teraz powiedział cicho:

– Powrót do Śrinagaru będzie dla niego bardzo trudny. Będzie mu się wydawało, że jego dawne życie należy do kogoś zupełnie innego. Żadne z nas nie jest w stanie pojąć, co takiego widział i przeżył.

Odwrócił wzrok w stronę ogrodzenia, a po chwili dodał:

– Cóż, Ralph miał cholerne szczęście. Wszyscy mieliśmy. Wygramy tę wojnę, wycofamy nasze wojska, a nasze życie znów wróci do normy. Nastaną nowe lepsze czasy.

Uderzył zaciśniętą pięścią w otartą dłoń drugiej ręki, a jego wychudzona twarz rozjaśniła się na myśl o zwycięstwie. Mimo kalectwa mężczyzna wciąż uważał się za szczęściarza. Nerys podziwiała siłę jego ducha, optymizm i wyczekiwanie nowego świata, w którym Indie Brytyjskie, w takiej formie, jak znali je McMinnowie, nie będą już istnieć.

– Tak – kiwnęła głową Caroline.

Trzęsły jej się dłonie.

Myrtle zadała pytanie, o którym myśleli wszyscy przyjaciele.

– A co z Zahrą?

Caroline aż się wzdrygnęła. Strach o córkę narastał w niej już od pewnego czasu.

Od powrotu Myrtle i Archiego kwestia ta zeszła na dalszy plan,

ponieważ małżonkowie musieli przywyknąć do nieco innego stylu życia i nowego porządku dnia. Każde z przyjaciół stało się dla dziewczynki rodziną. Caroline bawiła się lub chodziła na spacer z Zahrą i Faridą, która nie odstępowała dziewczynki na krok. Jednak mimo dość obiecujących oznak Caroline nigdy nie nauczyła się kochać swojej córeczki. Kiedy na nią patrzyła, na jej twarzy pojawiał się smutek, ale gdy trzymała ją w ramionach, czuła tylko ogromne napięcie. To bardziej McMinnowie i Nerys otaczali Zahrę ciepłem i czułością, z dumą chwalili się jej kolejnymi osiągnięciami. Archie uwielbiał obserwować, jak dziewczynka biega i bawi się. Godzinami mógł trzymać ją na kolanach, opowiadając jej bajki. Ale Myrtle wyznała kiedyś Nerys, że wątpi w to, iż będzie kiedykolwiek w stanie zaopiekować się zarówno dzieckiem, jak i niepełnosprawnym mężem.

– Obawiam się, że nawet tego nie robię tak, jak powinnam – powiedziała. – Jak mogłabym zostać matką, skoro całe moje życie poświęcam teraz Archiemu?

– Rozumiem cię. Może Evan i ja w końcu...

Nerys nie chciała tracić nadziei.

Dbała o to, by dziewczynki spędzały odpowiednią ilość czasu w Kanihamie, z rodzinami tkaczy. Istotne było dla niej, by nie odcinać dzieci od historii i społeczności, do której należały. Ale dzieci bez problemu wracały do Śrinagaru, zwłaszcza podczas pięknego kaszmirskiego lata.

– Caroline boi się ją pokochać – stwierdziła pewnego dnia Myrtle, kiedy zostały same z Nerys.

– Załamała się po porodzie. Na tym polega problem. Nie można jej się dziwić – odpowiedziała Nerys. – Zahra jest częścią tego wydarzenia i Caroline chyba najbardziej boi się nawrotu choroby.

Nagły powiew wiatru poruszył glinianymi dzwoneczkami, które Myrtle zawiesiła na werandzie. Ogrodnik pojawił się między warzywnymi grządkami, a jego słomkowy kapelusz kiwał się przy każdym ruchu właściciela.

Archie wskazał końcem fajki na dom.

– Mam wtoczyć się do środka i pozwolić wam porozmawiać na osobności?

Caroline pokręciła głową.

– Nie, wiesz przecież wszystko. Powiedz mi, co mam robić. Nie mogę powiedzieć Ralphowi o tym, co zrobiłam z... co zrobiłam, zwłaszcza teraz, kiedy tak dużo przeszedł i wraca do domu po to, bym się nim zajęła. Nie mogę, prawda? – Ze strachu mówiła coraz głośniej i szybciej.

– Więc nic nie mów ani nie rób – podsumowała zdecydowanym głosem Myrtle.

Nerys próbowała uspokoić przyjaciółkę.

– Wszyscy dalej możemy zajmować się Zahrą, tak jak robimy to teraz, tak dyskretnie, jak to tylko możliwe. Kanihama jest wystarczająco daleko, a w mieście chroni nas dom misyjny. Zahra jest sierotką, jednym z wielu takich dzieci. Nikt przecież nie zadawał żadnych pytań, prawda?

Caroline pokręciła głową. Minął ponad rok od tamtego popołudnia w ogrodzie Shalimar.

– Nie będzie tak trudno – powiedziała Nerys.

Liczyła coś w myślach. Zahra i Farida będą musiały spędzić więcej czasu w Kanihamie, ale to przyjdzie dość naturalnie, gdy nadejdą jesienne i zimowe miesiące. Może ona sama będzie mogła przeprowadzić się z powrotem do wioski. Tylko jak zdoła wytłumaczyć to Evanowi?

– Macie rację. Nie powinnam nic robić. Chcę tylko zobaczyć, jak Ralph bezpiecznie wraca do domu. Zobaczyć, czy... czy w jakiś sposób możemy razem żyć – wydukała Caroline.

„Gdyby to tylko było możliwe”, pomyślała Nerys. Wciąż próbowała spojrzeć na to optymistycznie. Może Ralph nieco zmiękł podczas trzyletniej rozłąki. Może opieka nad wykończonym i wygłodniałym byłym żołnierzem da Caroline tę pewność siebie, której potrzebuje. Może rozwiązanie problemu Zahry samo się znajdzie. Może Evan faktycznie zmieni zdanie.

– Nie ma powodu, by tak się nie stało – konstatowała.

Caroline przygryzła dolną wargę.

– Muszę znaleźć jakiś sposób... by o nią zadbać. Mam oczywiście na myśli pieniądze. Nie wiadomo, co się może z nią stać, jeśli jednak nie znajdzie matki... właściwej matki, która... Zrobię wszystko, żeby miała chociaż jakiś posag. Wtedy sama wyjdzie za mąż i będzie miała własną córeczkę.

Broda Caroline zaczęła mocno drżeć i wreszcie kobieta rozplakała się, nie mogąc już dłużej zapanować nad emocjami.

Archie pocierał się po policzku zimną fajką trochę skrępowany całą sytuacją. Był brytyjskim oficerem i nigdy nie mógł przywyknąć do widoku płaczącej kobiety. W końcu jednak Caroline pozbierała się. Uśmiechając się przez łzy, powiedziała:

– Przepraszam was, jestem taka głupia. Zahra jest szczęśliwa, żyje w znacznie lepszych warunkach niż inne dzieci. Zresztą zawsze jest jakaś nadzieja na nieoczekiwany przyływ pieniędzy. Może je po kimś odziedziczy? Na przykład po mojej matce chrzestnej.

– Właśnie – dodała Myrtle, by już nie przeciągać przykrego tematu.

Pieniądze były teraz poważnym problemem dla nich wszystkich. Nerys wydała już prawie cały spadek po dziadkach. Pomoc potrzebującym i utrzymanie szkoły pochłonęły sporą jego część, a McMinnowie też nie żyli już tak komfortowo jak niegdyś.

– Bóg nam pomoże – powiedziała Nerys.

Przynajmniej Evan i Ianto w to wierzyli.

– W międzyczasie zrobię nam herbatę – powiedziała Myrtle, wchodząc do domu.

Klasnęła w dłonie i zawołała dziewczynę, która pomagała im w kuchni. Myrtle i Nerys często śmiały się z jej podobieństwa do Diskit.

Samowar i taca pełna mosiężnych naczyń były jednymi z rzeczy przyniesionych z *Rajskiego ogrodu*, podobnie jak ulubione porcelanowe filiżanki i spodeczki ozdobione błękitnymi dzwoneczkami.

– Dziękuję, moja droga – powiedział Archie i pogłaskał ją po dłoni, gdy podawała mu filiżankę. – Uwielbiam popołudniową herbatkę.

– Czy ma to przypadkiem jakiś związek ze zbliżającą się porą na drinka?

Nie pijali już koktajli, ale butelka whisky była nieodłączną częścią ich wieczorów.

– Nie, skądże. Herbata też ma swój urok.

McMinnowie ciągle przekomarzali się i żartowali, ale tylko Nerys wiedziała, jak ciężką pracę wykonuje Myrtle, opiekując się mężem, i jak bardzo tęskni za pełnym życia mężczyzną, którego poślubiła. Spojrzała na nich i uśmiechnęła się.

Po herbacie Caroline oznajmiła, że musi wracać, chciała być w domu, w razie gdyby pojawiły się kolejne wieści o Ralphie. Nerys zaoferowała, że odprowadzi ją do postoju *tonga*. Zostawiły Myrtle u boku Archiego, z rękoma opartymi o jego ramiona. Zachodzące słońce rzucało na ziemię ich cień, długi i połączony, jakby byli jedną osobą.

Caroline i Nerys wyszły tylną furtką na ulicę. Niebo się przejaśniło, a znad sterty śmieci z pobliskiego ogródka wzleciała chmara much. Żebrak, który kucał przy ogrodzeniu, podniósł się, zbierając zniszczone *dhoti*²⁸ i nie wiadomo dlaczego, uciekając przed nimi na swych patykowatych nogach.

– Nic ci nie będzie? Dasz sobie radę? – zapytała Nerys.

Chudy i stary koń podniósł łeb, a z tylnego siedzenia *tongi* wyszedł woźnica, który urządził sobie tam drzemkę.

– Oczywiście, że tak. Wiem, że powinnam być szczęśliwa. Mój mąż wraca do domu. Wiele innych kobiet nie może już tego doświadczyć.

Nerys odsunęła się i czekała, aż wóz odjedzie.

Zawstydzalo ją wspomnienie ich w duchu wyrażanych nadziei, że Ralph Bowen może nigdy nie wrócić, jakby rozwiązanie problemów zależało od życia czy śmierci męża Caroline.

„Biedny Ralph”, pomyślała. „Biedna Caroline”.

Ruszyła w drogę powrotną do domu misyjnego. Odległość była

28 Dhoti – tradycyjny męski strój indyjski składający się z upiętego w pasie kawałka materiału.

dość duża, ale Nerys uwielbiała przechadzać się między uliczkami biegnącymi wzdłuż brzegów kanałów. Niezbyt przyjemne zapachy zwierzęcych odchodów wymieszane z aromatem potraw i wszechobecnym dymem wyczuwalne były w całym Śrinagarze. Wokół wciąż słyhać było jakieś krzyki, muzykę i brzęk metalu, które potem zastąpiło trąbienie klaksonów. Nerys przebiegła przez ruchliwą ulicę i weszła do labiryntu małych zaułków, które stały się jej teraz tak znajome jak niegdyś ulice walijskiego miasteczka. W pobliżu domu przeszła pod kamiennym mostem i ujrzała długie rzędy ubrań suszących się na tyłach farbiarni. Kawałki szkarłatnych, różowych, szafranowych i purpurowych materiałów rozwieszonych między zielonymi ścianami pobliskich domów odbijały się w srebrnej tafli wody. Miasto było piękne i silne, a szargające nim konflikty sprawiały, że jej troski wydawały się znacznie mniej poważne. Kiedy doszła do domu, czuła się dziwnie spokojna, i tak jak Evan gotowa przyjąć to, co przyniesie im los.

Caroline zapłaciła woźnicy *tonga* i po cichu odsunęła zasuwę furtki prowadzącej do ogrodu. Furtka zaskrzypiała i jak zawsze zaklinowała się w pół drogi. Kobieta próbowała otworzyć ją dalej, ale w końcu poddała się i przecisnęła przez wąskie przejście. Julia Dunkeley była w sąsiednim ogrodzie. Caroline słyszała dźwięk sekatora, którym wścibska sąsiadka podcinała pnące róże. Pochyliła głowę, by być nieco niższą, i szybko przeszła po ścieżce obok spragnionych wody nagietków, z nadzieją, że chociaż tym razem sąsiadka nie wyjrzy zza ogrodzenia między ich domami.

W jej małym domu panował upał. Nowy służący zapomniał zasunąć żaluzje przed wyjściem, więc przez całe popołudnie słońce bezkarnie przebijało się przez duże okna. Wczesnowieczorne światło było jeszcze na tyle jasne, by widać w nim było kurz pokrywający sekretarzyk i ramki ślubnych fotografii. Caroline weszła do sypialni. Rozpięła guziczki swojej letniej sukienki i pozwoliła, by ta opadła na

ziemię. Wyciągnęła w górę szyję, aby pozbyć się napięcia mięśni, a następnie zawinęła włosy i podpięła je nad wilgotnym od potu karkiem.

Spojrzała na łóżko przykryte bawełnianą pościelą w paski. Zagłówek był na swoim miejscu, na nim leżały dwie poduszki. Caroline zamknęła oczy. Za kilka tygodni, może już za dwa lub trzy, Ralph będzie opierał głowę na poduszce po lewej stronie. Jedna z jego książek o historii wojskowości, wyjęta z regału w salonie, będzie czekać na niego na bambusowym stoliku nocnym.

Trzęsa się na całym ciele. Strużka potu pociekła między jej nagimi łopatkami.

Odwróciła się od łóżka i wybiegła z pokoju. W samej tylko bieliźnie usiadła przy sekretarzyku. Z zatęchłej szuflady wyjęła kartkę papieru, atrament i wieczne pióro. Napisała: „Drogi Ravi”.

Zatrzymała się, przygryzając końcówkę pióra, i zaczęła pisać dalej.

Przepraszam, że tak wiele czasu zajęło mi odpisanie na wiadomość od Ciebie. Może od chwili, gdy do mnie napisałeś, wszystko w Twoim życiu zdążyło się zmienić. Jeśli tak jest, proszę, nie czytaj dalej. Jeśli nie, chętnie spotkam się z Tobą.

*Z poważaniem,
Caroline*

Nie musiała otwierać listu, który napisał do niej ponad rok temu, ponieważ znała jego treść na pamięć, ale wyjęła kremowy kartonik z kryjówki. Końcówką palca wskazującego przesunęła po wytłoczonych na papierze wzorach. Pismo Raviego było czarne, płynne i zamaszyste.

W liście prosił ją o spotkanie. Twierdził, że tęskni za nią od dawna i bardzo chce z nią porozmawiać. Ostatnia linijka krótkiego liściku wyglądała na napisaną w pośpiechu, bez głębszego namysłu:

Przyjdź, proszę, Najdroższa. Na zawsze Twój, Ravi.

O czym mógł chcieć z nią rozmawiać?

Czasem, podczas długich miesięcy, które mijały jeden za drugim, Caroline łudziła się, że Ravi ją kocha i że jedyną przeszkodą, by byli razem, był wyłącznie jej upór. W gruncie rzeczy jednak dobrze wiedziała, że Ravięgo interesowały jedynie jego własne przyjemności i że należało się go raczej obawiać, niż mu ufać.

Ale teraz, kiedy Ralph miał wrócić do domu, musiała się dowiedzieć, jakie zamiary miał wobec niej Ravi, lub do końca życia pozostać w niepewności.

Istniał jeszcze jeden powód, dla którego chciała się z nim spotkać. Zahra. Gdyby tylko jakoś jej się udało, chciała wykorzystać fakt, że Ravi Singh był tak obrzydliwie bogaty i że był ojcem dziewczynki.

Caroline znalazła pustą kopertę, włożyła do niej swój liścik, zakleiła ją i starannie zaadresowała. Następnie udała się do sypialni po pudełko zapalek leżące obok świecznika na stoliku nocnym. Zapaliła zapałkę i podpaliła jeden z rogów listu od swego dawnego kochanka. Trzymała zwijający się w płomieniach papier, aż ogień dotarł do jej palców, a następnie wrzuciła ostatni skrawek płonącego papieru do kosza na śmieci.

Pot zastygł na jej skórze i zrobiło się jej zimno.

Kiedy Caroline szła za służącym przez wewnętrzny dziedziniec, z któregoś z pobliskich okien dobiegały ją dźwięki sitary. Na środku dziedzińca znajdowała się sadzawka wysadzana turkusowymi i złotymi płytkami. W rybich łuskach odbijały się promienie słońca.

Ravi odpoczywał na niskim fotelu w pokoju przy dziedzińcu. Muzyk siedział ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach w rogu pomieszczenia, z głową pochyloną nad instrumentem. Ravi podniósł się z fotela, gdy tylko służący zaprosił Caroline do środka.

– Wyglądasz przepięknie – powiedział, całując jej delikatną dłoń.

Caroline przesunęła niepewnie drugą ręką po spódnicy swojej letniej sukienki. Ravi przytył, pod jego brodą pojawiła się miękka fałdka, która nadawała męskości jego chłopięcemu wyglądowi.

Ravi kiwnął głową do muzyka i wydał krótki rozkaz służącemu. Obaj wyszli z pokoju, a Caroline rozejrzała się uważnie dookoła, udając niewzruszoną. Często bywała z Ravim sama w innych pokojach jego domu, ale w tym znalazła się po raz pierwszy. Stało w nim rzeźbione biurko z krzesłem z wysokim oparciem, które swoimi gabarytami przypominało tron. Błat biurka pokryty zielono barwioną skórą zastawiony był dokumentami, pudełkami zamykanymi na kluczyk i miękkimi sakiewkami. Naprzeciwko znajdowała się nisza, w której leżał miękki dywan, a na nim jedwabne poduszki. Poza tym w pokoju był jedynie fotel i niski stolik z równo ułożonym stosikiem książek w skórzanych oprawach. Wysokie wąskie okna wpuszczały do środka promienie słoneczne, które pokrywały dywany złotymi pasmami. Wyglądało na to, że Ravi spoważniał i wydoroślał. To był pokój zapracowanego człowieka, który prowadził ważne interesy, lub który chciał, by inni tak go postrzegali.

Caroline rozglądała się dookoła. Zaskoczył ją dość prosty wystrój, bez zbędnych ozdób i oznak bogactwa. Tymczasem Ravi przesuwając dłoń po jej ramieniu. Odwróciła się od niego na chwilę, udając, że patrzy przez okno na ogród.

– Gdzie mogę usiąść? – zapytała przez ramię.

– Chodź.

Objął ją ręką w tali i zaprowadził na dywan. Był na tyle duży, że gdy usiedli, między nimi było jeszcze co najmniej pół metra wolnej przestrzeni. Caroline podwinęła pod siebie stopy i patrzyła na twarz Raviego. Dodatkowe kilogramy nieco go postarzały, ale wciąż był niezwykle przystojny.

Musiała powstrzymać w sobie pragnienie, by ją pocałował.

– Czego się napijesz? Herbaty? Drinka? Lemoniady?

– Poproszę lemoniadę.

Klasnął w dłonie i służący wrócił do pokoju. Zawsze byli w pobliżu, niewidoczni, ale w odpowiedniej odległości, by wszystko słyszeć, przypominała sobie Caroline. Kilka sekund później przyniesiono tacę z zimnymi szklankami, dzbanek w srebrnej otoczce, talerz pełen plasterów

cytryny i limonki, białe serwetki i miskę z wodą, w której pływały płatki róż. Ravi zamoczył w niej palce i dokładnie je wytarł, Caroline zrobiła to samo. Nalano lemoniadę.

– Zostaw nas samych – powiedział, a służący wyszedł bezszelestnie, kłaniając się. Ravi zasłonił drzwi. Byli sami.

– Wiesz, że odkąd ostatnio się widzieliśmy minął ponad rok?

– Wiem.

– W ogrodzie Shalimar. Byłaś tam z panią McMinn i żoną misjonarza. I oczywiście z tymi biednymi sierotkami.

– Masz dobrą pamięć.

Lemoniada była cudownie orzeźwiająca. Ciemne oczy Raviego nawet nie drgnęły. „On wie”, pomyślała Caroline. „Oczywiście, że wie”. Uśmiechnęła się do niego.

– Misjonarze wykonują wspaniałą pracę – powiedziała.

Ravi objął jej nadgarstek kciukiem i palcem wskazującym, przyciągając jej rękę bliżej siebie. Spojrzał na siateczkę niebieskich żył pod jej delikatną skórą, a następnie przyłożył palec do nadgarstka, w miejscu, gdzie pulsowała od szybkiego tętna.

– Jesteś zdenerwowana.

– Nie.

Uśmiechnął się, unosząc brwi.

– Ciekaw jestem, co robiłaś przez cały ten rok, piękna Caroline...

– Nic, co mogłoby cię zainteresować. Prowadzę bardzo spokojny tryb życia. Trwa wojna, a mój mąż, jak zapewne wiesz, dostał się do niewoli. Jednak ostatnie wieści są bardzo optymistyczne, podobno znaleziono go żywego w Birmie i gdy tylko odzyska siły, wróci do Śrinagaru.

– Cieszę się. Jesteś szczęśliwa?

– Dziękuję, że pytasz. Bardzo.

„Bawi się ze mną”, pomyślała. „Jak kot z myszką”.

Ravi pokiwał głową w zamyśleniu.

– Ja też mam dobre wieści. Żenię się za miesiąc – rzekł nagle.

Wstrzymała na chwilę oddech.

– To wspaniale. Gratuluję. Znam ją? – w jej głowie kłębiły się myśli.

O wiele bezpieczniej byłoby dla niej, gdyby Ravi był żonatym mężczyzną, który musi chronić swoją reputację i zajmować się własnymi problemami.

– Nie sądzę. Jest z Dżammu. To bardzo satysfakcjonujący układ dla obu rodzin, ale ustalenie szczegółów zajęło trochę czasu.

Wskazał na dokumenty leżące na biurku. Caroline zrozumiała, że nie będzie to ślub dwóch zwykłych osób. Jak mogła kiedykolwiek myśleć o wspólnej przyszłości z nim?

– Skoro tutaj jesteś, może mogłabyś mi pomóc. Muszę podjąć bardzo ważną decyzję – powiedział.

Podszedł do biurka, wziął sakiewki i rzucił je nonszalancko na dywan tuż obok Caroline. Związane były jedwabnymi tasiemkami. Rozwiązała jedną z nich i wstrzymała oddech z zachwytem. Z woreczka wysypały się prosto na jej kolana wspaniałe, oszlifowane i nieoszlifowane, rubiny w kolorze ciemnej krwi.

– Prezent dla panny młodej, naszyjnik. Co o tym myślisz? A może lepsze byłyby szafiry?

I znowu kolejne kamienie, od niebieskozielonych po takie w kolorze ciemnej ultramaryny, wypadły z sakiewki, tym razem na jej dłoń. Ravi podniósł jeden kamień rozmiaru paznokcia u kciuka, spojrzął na niego pod słońce i rzucił na stosik. Niektóre klejnoty prześliznęły się między palcami Caroline, ale on pozbierał je tak, jakby były zwykłymi kamieniami leżącymi przy drodze.

– Azmeena ma jasną skórę. Szafiry chyba będą do nie pasować, jak myślisz?

– Nie znam twojej narzeczonej, Ravi. Nie mogę więc doradzić ci w sprawie biżuterii dla niej.

Znów się uśmiechnął, podszedł do biurka i wrzucił kamienie na podkładkę z bibuły. Odłożył puste sakiewki i znów usiadł, tym razem znacznie bliżej.

– Nie ma tak jasnej skóry jak ty. Nigdy nie widziałem skóry bielszej i delikatniejszej niż twoja. Tutaj – pochylił się w jej stronę i musnął jej

piersi. – I tutaj.

Przesunął palcami po spódnicy w miejscu, gdzie cienki materiał przykrywał wewnętrzną stronę jej uda.

Caroline poczuła pulsującą krew i suchość w ustach. Z trudem je otworzyła.

– Proszę, nie rób tego.

Uniół brew, jakby pytając: „Po co tu przyszedłeś, jeśli nie po to”? Przechylił na bok głowę, obserwując Caroline.

– Okoliczności zmieniły się dla nas obojga – powiedział.

– To prawda.

– Tak dobrze się znaliśmy, kochana Caroline...

Uniół kosmyk jej włosów i owinał go sobie wokół palca, lekko nim pociągając. Był tak blisko, że czuła jego oddech na policzku.

– Musimy więc bardzo uważać, by nikomu nie wyjawić naszej tajemnicy. Aby chronić siebie nawzajem, prawda?

Słowa same w sobie były dość neutralne, ale w jego tonie słysząc było groźbę. Caroline odsunęła się.

– Nigdy nie powiem nawet słowa o tym, jak mnie uwiodłeś, Ravi, jeśli tego się obawiasz. Nie jestem intrygantką ani plotkarą. Wykorzystałeś mnie, ponieważ byłam naiwna, ale możesz mi zaufać, że nikt się nie dowie o naszym romansie.

Usta Caroline były tak suche, że ich wewnętrzna część przywarła do zębów. Ravi patrzył na nią z lekkim obrzydzeniem.

– Uwiodłem? Tak to pamiętasz? Z tego, co sobie przypominam, nie trzeba cię było długo namawiać.

Caroline widziała przed oczyma sceny z przeszłości, wciąż żywe w jej wspomnieniach. Płatki róż, jazda konna o świcie, trawa, perfumy, usta i dłonie Ravięgo. Nic nie odpowiedziała.

– Myślę – powiedział Ravi – że warto zaznaczyć, iż byłeś wówczas żoną brytyjskiego oficera na służbie, a ja kawalerem, z nikim niezwiązanym.

Uniosła podbródek.

– Powiedziałam już, że nie musisz się niczego obawiać i że ja mam

więcej do stracenia niż ty. Tak już zwykle jest w stosunkach damsko-męskich.

– Owszem, między mężczyznami jednego i kobietami drugiego rodzaju.

Nie skomentowała jego słów, nie chciała wdawać się z nim w kłótnie. Skoncentrowała się na przetykaniu śliny. Spojrzał na nią, jakby sądził, że nieco ją rozzłościł. W ciszy, która zapadła, Caroline słyszała tylko plusk wody w sadzawce na dziedzińcu.

– Czy chciałabyś powiedzieć mi coś jeszcze, skoro już sobie tak miło gawędzimy? – zapytał ironicznie.

Nie wahała się nawet przez chwilę.

– Nie, Ravi. Nie mam ci nic do powiedzenia.

Czekał, a ona mu na to pozwoliła. Mijały kolejne sekundy. W końcu westchnął i delikatnie pogładził ją po przedramieniu.

– Skoro tak – i po chwili dodał. – Cóż, zawarliśmy pakt, Caroline. Zaufanie w zamian za zaufanie.

– Skoro tego chcesz.

– Tak – odpowiedział. – Jeśli jednak dowiem się, że mnie zawiodłaś...

– Nie zrobię tego. Powiedz mi tylko, Ravi, czy zawierasz taki pakt z każdą ze swoich kochanek? Jeśli tak jest, musi ci to zabierać mnóstwo czasu.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Nie, moja droga. Nie zadaję sobie aż tyle trudu. Ale ty i ja, między nami jest przecież coś wyjątkowego... – zniżył głos, patrząc jej głęboko w oczy.

„On wie”, pomyślała. „Wie o wszystkim”.

– Cóż, doprawdy jest mi miło, że tak sądzisz – Caroline udawała, że nic nie rozumie.

Znów na nią patrzył, z nieukrywanym rozbawieniem i złością.

– Dobrze. Zostawmy to. Skoro już zawarliśmy nasze porozumienie, nie sądzisz, że powinniśmy je w jakiś sposób sfinalizować?

Nagle zacisnął dłoń na jej ramieniu. Popchnął ją na poduszki i

położył się na niej. Był ciężki i bardzo silny. Przyłożył usta do jej ust, a gdy Caroline próbowała odwrócić głowę na bok, wargą uderzyła w jego zęby. Jeszcze godzinę temu marzyła o łagodniejszej wersji takiego scenariusza. Oszalała czy po prostu była tak głupia? Na co ona liczyła? Starła się wydostać spod ciężaru jego ciała, ale przygniótł ją ramieniem. Ugryzła go w rękę.

– Ty suko – warknął, ale jej opór jeszcze bardziej go podniecał.

Próbował zakryć ręką jej usta, udało jej się jednak odwrócić. Przypomniała sobie o służących, niewidocznych, ale z pewnością stojących na tyle blisko, by usłyszeć jej wołanie.

– Pomocy! Pomóżcie mi! – krzyknęła.

Ravi puścił jej ramię. Mruknął coś pod nosem i podniósł się, wygładzając zagięcia swego eleganckiego stroju. Podeszedł do najbliższego okna i stał odwrócony do niej tyłem, próbując odzyskać kontrolę nad emocjami. Caroline zeszła z dywanu i odsuwała się tak daleko, jak tylko mogła, aż w końcu oparła się o biurko. Ravi stał między nią a drzwiami, inaczej już dawno pobiegłaby do wyjścia. Kiedy róg rzeźbionego biurka wbił jej się w pośladki, przypomniała sobie o klejnotach. Bez wahania wyciągnęła rękę i złapała klejnot z małego stosiku. Modląc się w duchu o to, by nie był to największy z kamieni, wsunęła go błyskawicznie do kieszeni wszytej w spódnicę. Krawiec, którego poleciła jej Myrtle, upierał się, by ją tam umieścić.

– *Memsahib* zawsze potrzebuje kieszeni. Chustka, list, coś małego – mówił.

Kiedy Ravi powoli odwrócił się od okna, Caroline stała metr od biurka i patrzyła na drzwi.

– Jesteś jak lwica – powiedział z zadowoleniem. – Usta ci krwawią. Pozwól...

Miał wykrochmaloną i perfumowaną chustkę do nosa. Zamoczył jeden koniec w misce z wodą, ujął jej podbródek w dłoń i delikatnie wytarł jej usta. Caroline zamknęła oczy, poddając się jego dotykowi. Nie mogła złapać oddechu, a serce biło jej jak szalone.

– O wiele lepiej – powiedział.

- Chcę iść do domu.
- Oczywiście. Jesteś gotowa?

Otworzył drzwi. Po drugiej stronie dziedzińca Caroline dostrzegła jednego ze służących chowającego się przed jej wzrokiem. Nigdy się nie dowie, czy ktokolwiek zareagowałby na jej krzyki.

Kiedy tu przyjechała, przezornie poprosiła woźnicę *tonga*, by poczekał na nią przed wejściem. Nie chciała ryzykować zostania samej w oddalonej od centrum stronie miasta, i teraz była bardzo zadowolona ze swojego pomysłu.

- Kazałbym cię odwieźć samochodem – zaprotestował Ravi.
- Nie ma takiej potrzeby.

Rozłożył schodek prowadzący do wozu, nim woźnica po niego sięgnął, a następnie pomógł Caroline wsiąść do środka.

- Żegnaj – powiedziała.

Ravi powiedział woźnicy, by odwiózł ją do domu, i dał mężczyźnie banknot, na widok którego ten szeroko otworzył oczy.

– Mam nadzieję, że nie żegnamy się na zawsze – powiedział z uśmiechem. – Przekaż, proszę, pozdrowienia twoim przyjaciółkom, paniom McMinn i Watkins.

Woźnica strzelił z bata, a Caroline schowała się pod daszkiem. Rękę wciąż trzymała w kieszeni. Trzęsa się, póki dom Ravięgo nie znalazł się daleko za nią. Wtedy pochyliła się i kazała mężczyźnie, by zawiózł ją w inne miejsce.

Jubiler znajdował się w starej części miasta, ulicę od pracowni krawca, i pewnie tylko dlatego zwróciła na niego uwagę. Wysiadła na skrzyżowaniu i zaczęła na rogu, aż *tonga* odjedzie, a następnie ruszyła wzdłuż rzędu domów z cegły. Klejnot ślizgał się po jej spoconych palcach, a świadomość tego, co zrobiła, sprawiła, że jej serce wciąż mocno biło. Kiedy dotarła do wejścia, ciężko dyszała. Okno sklepowe było pokryte kurzem. Na drewnianym stopniu schodów leżał rudy pies. Na małym czerwonym szyldzie zobaczyła napis „Jubiler”.

Handlarz siedział w środku, czytając gazetę. Kiedy weszła, powoli podniósł się z krzesła. Na ladzie stała wypolerowana mosiężna kasa,

szklany pojemnik z tandetnymi naszyjnikami i pierścionkami oraz lupa jubilerska.

– Dzień dobry, *memsahib*.

Mężczyzna wydał się przewrażliwionej Caroline podejrzany, był zbyt uprzejmy. Mimo to położyła zaciśniętą pięść na ladzie i otworzyła dłoń. Zabrała oszlifowany rubin, dość duży, ale nie na tyle, by wzbudzić podejrzenia Ravięgo. Miała szczęście. Na razie.

– Chciałabym to sprzedać.

Mężczyzna pochylił głowę i ostrożnie wziął klejnot. Włożył go między metalowe szczytce i otworzył szkło powiększające, by dokładniej mu się przyjrzeć. „A co, jeśli”, pomyślała Caroline, „ten mężczyzna był jubilerem Ravięgo i rozpozna kamień?”

Nie, to miejsce było zbyt obskurne. Dlatego właśnie przyszło jej na myśl.

Mężczyzna westchnął i obrócił rubin, by obejrzeć go jeszcze uważniej. Nogi Caroline trzęsły się tak bardzo, że w każdej chwili mogła upaść. Oparła rękę o brzeg lady, by utrzymać równowagę. Cały czas powtarzała sobie w myśli, że zrobiła to dla Zahry. Przytłaczające ją uczucia tęsknoty, strachu i nieprzystosowania, które wiązały się z jej dzieckiem, nagle znów pojawiły się w jej głowie.

Mężczyzna odłożył powoli lupę.

– To dość duży kamień.

– Ile?

– Dwieście rupii – powiedział lekceważącym tonem.

Za szybko i o wiele za mało. Wyostrzone zmysły Caroline mówiły jej, że klejnot wart jest znacznie więcej. Wyciągnęła dłoń po rubin.

– Trzysta – powiedział.

Patrzyła na niego pewnym wzrokiem.

– Trzy tysiące.

– Pięćset. To moje ostatnie słowo.

Potem już się tylko targowali. W końcu mężczyzna kiwnął głową. Poszedł na tył sklepu, gdzie, jak Caroline się domyślała, otwierał swój sejf. Chwilę później położył na ladzie dwa banknoty o nominale tysiąca

rupii, różowe i sztywne, w odróżnieniu od zniszczonych i brudnych banknotów o niskim nominale, które krążyły z rąk do rąk. Dwa małe owalne profile króla. Caroline wsunęła je do kieszeni spódnicy, gdy jubiler wrzucał rubin do małego woreczka.

Kiedy wyszła przed sklep, głośno odetchnęła. Niebo miało odcień ołowiu, a złowieszcze powiewy wiatru hulały po uliczkach, zwiastując rychłą burzę. Dziesięć metrów dalej na schodku siedział żebrak o chudych nogach, głowę miał nisko zwieszoną. Caroline minęła go i przeszła znajomą drogą tuż obok zakładu krawieckiego.

Kiedy dotarła do domu, zamknęła drzwi wejściowe na zamek. Schowała pieniądze w pachnącej kamforą szufladzie, gdzie trzymała swoje wiano, łącznie z koszulą nocną, którą włożyła w noc poślubną. Jej widok sprawił, że szybko zamknęła szufladę. Położyła się pod kołdrą i leżała na łóżku, trzęsąc się z nadmiaru wrażeń i nasłuchując odgłosów burzy. Myśl o tym, co zrobiła, sprawiła, że wybuchła głośnym śmiechem, ale gdy tylko nieco się uspokoiła, zaczęła rozpaczliwie płakać.

Nerys była zaskoczona i szczęśliwa, gdy Caroline zapytała, czy może się z nią wybrać w odwiedzinę do dziewczynek, które teraz przebywały w Kanihamie. Pojechały autobusem do końca doliny, a stamtąd znajomy Nerys z pobliskiej farmy podwiózł je swoją starą ciężarówką. Z tyłu leżały worki z ryżem, a na nich klatka dla drobiu. Obie kobiety wcisnęły się na siedzenie pasażera i mocno trzymały brudnych uchwytów, gdy samochód podskakiwał na wybojach. Nerys rozmawiała z kierowcą, śmiejąc się i uciekając do gestów, gdy tylko zawodziła ją znajomość słownictwa. Caroline siedziała cicho i zdawała się słuchać ich rozmowy, myślami było jednak daleko. Wciąż nie opuszczało jej nerwowe napięcie związane z ostatnimi przeżyciami.

Plac w Kanihamie pokryty był jesiennymi liśćmi, a chmury przysłoniły brązowe wzgórza. Dom, w którym mieszkała niegdyś Nerys i w którym urodziła się Zahra, zajmowali teraz farbiarze. Niedaleko

domu chodził przywiązany do słupa koziołek, wydeptując okrąg w ziemi.

– Ness!

Farida i Zahra przybiegły do niej, za nimi biegł Faisal i reszta dzieci. Caroline stała nieco z boku, uśmiechając się nieśmiało, gdy dzieci ciągnęły Nerys za ręce i sięgały do jej kieszeni w poszukiwaniu słodyczy. Nerys przytuliła Faridę i podniosła Zahrę. Pocałowała słodko pachnącą szyję dziewczynki i próbowała podać ją Caroline, ale Zahra odsunęła się i ukryła twarz w ramieniu Nerys.

– W porządku. Nie chcę jej trzymać – powiedziała Caroline.

Większość kobiet była na polach, ale kilku mężczyzn, pod przywództwem dziadka Faridy, Zafira, wyszło z pokoju modlitewnego, by przywitać gości. Zaprowadzono je do jednego z domów, posadzono na najlepszym dywanie i zaczęto przygotowywać herbatę. Nerys i Zafir wymienili kilka grzecznościowych uwag dotyczących nadchodzącej zimy.

– Pamiętają mnie? – szepnęła Caroline do Nerys, podczas gdy gospodarze nalewali herbatę do szklanek.

– Tak. Ale nie rozmawiają o tym, co łączy ciebie i Zahrę, nawet jeśli przyjdzie im to do głowy. To dlatego, że niespecjalnie ich to interesuje. To prości ludzie, a ich więzy rodzinne są nieco inne od naszych. Ich obchodzi bardziej pogoda, plony, hodowla zwierząt i wystarczająca ilość pieniędzy, by mogli się wyżywić.

Kiedy Zafir usłyszał słowo „pieniądze”, zwrócił swoją czarną brodę w stronę kobiet.

– Szal – powiedziała nagle Caroline. – Ten piękny szal, pamiętasz? Widziałam, jak go tkali. Teraz musi być już gotowy.

Słowo „szal” wywołało natychmiastową reakcję. Zafir rzucił rozkaz i jeden z mężczyzn opuścił pokój. Nerys popijała herbatę w ciszy.

Trzy minuty później mężczyzna wrócił w towarzystwie bladego tkacza i dwóch młodszych chłopaków. Na wyciągniętych rękach tkacza położyli złożony kawałek materiału. Mężczyzna trzymał szal niczym relikwii. Kiedy zatrzymał się przy kobietach i zaczął go odwijać, Nerys

zdziwiona spojrzała na Caroline.

Oślonięto ostatni fragment.

Nawet w zaciemnionym pokoju szal błyszczał jak światło odbijające się w wodzie. Tkacz machnął nim tak, że kolory zatańczyły w powietrzu. Dwaj pozostali mężczyźni złapali za rogi i przysunęli materiał bliżej, by zaprezentować wyszyte na nim wzory. Byli to hafciarze, którzy przez cały rok siedzieli nad wykończeniem szala, ich zadaniem było wyszycie kwiatów. Jednak nie tylko oni pracowali nad szalem. Do jego stworzenia przyłożyli się również przedzarze i farbiarze oraz mężczyzna, który narysował skomplikowany wzór odtworzony potem przez tkacza. Szal był cenną własnością całej wioski, ich wspólną inwestycją w tradycję *kani*, która powoli zanikała. Nerys dostrzegła chude ramiona tkacza i jego zmęczone, ale skoncentrowane spojrzenie, musiała odwrócić głowę, by się nie rozplakać.

Zafir podał im róg szala, wskazując paznokciem na wyszyty tam znak, wyglądający jak podwójne B, z których jedno było odwrócone.

– Ten człowiek. Palce jak skrzydła motyla. Takie lekkie – powiedział Zafir.

– Chcę go kupić.

– Caroline, nie możesz tego zrobić. Kosztuje majątek – szepnęła Nerys. – To lata ich pracy.

– Ile?

Tkacz i obaj hafciarze stanęli za Zafirem. Zaczęli dyskutować między sobą, szepcząc. Wreszcie Zafir obrócił się, zachowując kamienną twarz, i powiedział:

– Tysiąc pięćset rupii.

Nerys dokonała obliczeń w głowie.

– To prawie sto dwadzieścia funtów. Nie mamy szans na to, by się targować...

– Proszę – powiedziała Caroline.

Z kieszeni niebieskiego tweedowego płaszcza wyciągnęła kopertę, otworzyła ją i wyjęła dwa zupełnie nowe banknoty. Mężczyźni patrzyli na nią w osłupieniu, ale Zafir już wyciągnął ku niej dłoń. Nerys była

pewna, że nigdy w życiu nie widzieli aż tylu pieniędzy.

– Powiedz, by zatrzymali resztę. I poproś, by za to zaopiekowali się Zahrą. Chcę, by została z nimi. Wiem, że tutaj będzie bezpieczna.

Caroline wstała. Wyszła na zewnątrz, zostawiając za sobą szal, pieniądze i Nerys, jakby wszystko to, co zrobiła, było jej obojętne.

Kiedy Nerys w końcu wyłoniła się ze środka, miała ze sobą szal, znów owinięty kawałkiem płótna. Caroline patrzyła w stronę strumienia spływającego po niewielkich skałach. Pod platanem grupka dzieci bawiła się patykami i kamieniami.

– Kiedy spadnie śnieg?

Był październik.

– Mniej więcej za miesiąc. Potem drogi będą nieprzejezdne aż do wiosennych roztopów.

Caroline pokiwała głową, jakby jej uwaga była skupiona na czymś bardzo odległym.

– Pięknie tu, prawda? Zawsze tak uważałam.

Kierowca skończył już rozwozić kurczaki i na tylne siedzenie rzucił kosz pełen czerwonych jabłek. Caroline włożyła dłonie do pustych kieszeni tweedowego płaszcza i ruszyła w jego stronę przez leżące na ziemi sterty liści. Kiedy przechodziła obok dzieci, zatrzymała się na chwilę. Zahra głośno się śmiała, a Farida turlała w jej stronę kamyki. Dziewczynka podniosła najbardziej okrągły, a potem rzuciła nim w drzewo, nawet nie spoglądając na Caroline.

Nerys została potraktowana inaczej. Kiedy tylko dzieci zobaczyły, że szykuje się do wyjazdu, podbiegły do niej, a ona dla każdego miała ciepłe słowo i coś słodkiego. Dzieci wiedziały, że Nerys zawsze wracała, więc po jej wyjeździe żadne z nich nie płakało.

Ciężarówka podskakiwała na wybojach. Nerys próbowała podać szal Caroline, ale ta pokręciła tylko głową.

– To posag Zahry. Chcę, byś go dla niej przechowała.

– Oczywiście. Caroline, te pieniądze...

– Powiedzmy, że to był spadek. I tyle. Spadek po mojej wróżce chrzestnej – zaśmiała się.

Nerys nie spodobało się brzmienie śmiechu Caroline.

Na początku listopada góry znów pokrył śnieg, a stare miasto trzeszczało od mrozu. Pojawiły się prognozy, że cała zima będzie niezwykle sroga, przypuszczano więc, że jezioro zamrznie – po raz pierwszy od pamiętnego meczu krykieta.

Pewnego popołudnia Caroline wróciła do domu po wizycie u Myrtle i Archiego. Wchodząc już na ścieżkę prowadzącą do domu, zobaczyła, jak jej służący klęczy na worku ryżu obok czarnej grządki pełnej łądyg nagietka. Polerował parę wojskowych butów tak mocno, jakby chciał zedrzeć z nich skórę. Trzęsąc się na całym ciele, otworzyła frontowe drzwi.

– Ralph? Ralph!

Na stojaku na kapelusze ujrzała wojskową czapkę.

Prawie nie rozpoznała mężczyzny siedzącego w fotelu i patrzącego na nią.

Z jego wychudzonej twarzy wystawały tylko przerażające fioletowe oczodoły. Był prawie łysy, jeśli nie liczyć kilku bezbarwnych kosmyków. Jego głowę pokrywały blizny. Caroline podbiegła do niego, ale mężczyzna uniósł skrzyżowane ręce. Nie była pewna, czy chciał ją odepchnąć, czy może była to automatyczna reakcja, by ochronić ciało przed potencjalnym atakiem.

Zatrzymała się i klękła na dywaniku w kształcie serca. Wyciągnęła dłoń, by dotknąć jego kolan i wyczuła kości przez spodnie w kolorze khaki.

Ralph mówił z wysiłkiem:

– Przepraszam, że nie dałem ci znać. W ostatniej chwili pojawiło się wolne miejsce w samolocie, więc mnie do niego wsadzili.

– Powiedzieli mi, że wciąż jesteś za słaby na podróż. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Dzięki Bogu, że żyjesz.

Otworzył usta, próbując się uśmiechnąć. Nie miał kilku zębów.

– Nareszcie. Wyglądasz ślicznie, Caroline.

Ralph wziął do ręki kosmyk jej włosów. Patrzył na niego tak, jakby nie mógł uwierzyć, że są tak jasne. Owinął je wokół palca wskazującego, bez wycucia, ciągnąc zbyt mocno. Caroline przypomniała sobie Raviego, który tak niedawno zrobił to samo. Jej twarz zrobiła się purpurowa. Odskokczyła i krzyknęła, czując ból. Ralph patrzył na nią zdziwiony.

– Ja... zrobię ci coś do jedzenia – wyjąkała. – Mam... czekoladę. Albo miód kaszmirski, wiem, że go lubisz.

Widziała, że go zirytowała.

– Nie mogę zbyt wiele jeść – rzucił krótko.

Caroline przygryzła wargę.

– Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić. Ralphie, proszę.

Odchylił głowę i zamknął oczy. Ten jeden zmęczony ruch pokazał jej, przez co przeszedł jej mąż, a to, czego mogła się jedynie domyślać, pozostawiło wielką przepaść między małżonkami. Wiedziała, że cokolwiek by zrobiła i jakkolwiek by się nie starała, nie będzie w stanie go zadowolić.

W porządku, pomyślała. Spróbuję. To będzie moja pokuta.

– Nic. Zupełnie nic – odpowiedział Ralph.

Rozdział Piętnasty

Marzec 1945 r.

Był przystojny i tajemniczy jak zawsze. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę przyjechał do Śrinagaru. Pojawił się nagle, jak panna Soo Ling w przesuającym się pudle lub jak gołębie w jednej z jego sztuczek.

Nerys szła z Rainerem wzdłuż uliczek obok placu Lal Chowk, aż doszli do niewielkiej *dhaby*, miejsca, do którego pracownicy pobliskich warsztatów przychodzili na talerz taniego jedzenia. Rainer odsunął dla Nerys metalowe krzesło przy drewnianym stoliku.

– Na co masz ochotę? – zapytał. – Może szampana? *Pâté de foie gras*²⁹?
Roześmiała się.

– Poproszę. A potem truskawki ze śmietanką. Rainerze, nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę tu jesteś?

Wciągnął ku niej rękę, by mogła sprawdzić jej ciepło. Ujęła ją w obie dłonie, na chwilę, bo tylko na to mogła sobie pozwolić.

Był zdrowy i opalony.

– Dziękuję, że przyszedłeś tak szybko.

Dostała napisany naprędce liścik, przekazany jej przez jednego z

29 *Pâté de foie gras* – pasztet strasburski.

urwisów z bazaru. Nie zatrzymując się, nawet nie patrząc w lustro, ruszyła w stronę Lal Chowk. Czekał na nią na środku tętniącego życiem placu w centrum miasta. Widząc go, bardziej jeszcze poczuła, że dni spędzone razem były najważniejszymi chwilami jej pobytu w Kaszmirze.

– Bardzo chciałam cię znowu zobaczyć.

Spojrzał jej w oczy.

– Pewnie było ci ciężko. Czy twój mąż jest w Śrinagarze?

– Tak. Jak zwykle bardzo zapracowany.

Nie musiała okłamywać Evana, dokąd się wybiera, ponieważ o to nie pytał. Zawahała się przez chwilę i dodała:

– Rainerze... nic się nie zmieniło. Robię to, co zawsze miałam robić. Jestem żoną misjonarza i pomagam mu w jego pracy.

– Wiem, wiem, wiem. Ale wciąż mogę cię kochać, prawda? Wyjechałem, ponieważ nie byłbym w stanie mieszkać tutaj i spokojnie patrzeć, jak żyjesz z Evanem. Szybko jednak okazało się, że niezależnie od miejsca, w którym się znajduję, czuję to samo. Próbuje postrzegać miłość do ciebie jako błogosławieństwo. Być może czyni to ze mnie lepszego człowieka.

Roześmiali się na dźwięk „być może”.

Widziała, że Rainer nie był nieszczęśliwy. To byłoby do niego niepodobne. Czowała wielką radość, widząc go znowu. To zaskakujące spotkanie sprawiło, że znowu poczuła się dobrze, znacznie lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy.

Przed nimi postawiono talerz z plasterkami cebuli i limonki, a chwilę później miski z *dhal makhani*³⁰ i koszyk z gorącym chlebem *naan*. Rainer zjadł wszystko, nawet nie spoglądając na talerz Nerys. Ona powoli popijała herbatę z kardamonem i przyglądała się mężczyźnie z niegasnącym uśmiechem.

– Opowiedz mi o wszystkim – poprosił. – Co się u ciebie teraz dzieje? Chcę słyszeć tylko prawdę.

30 Ddhal makhani – gęsta zupa z soczewicy i fasoli.

Uśmiech Nerys nieco zbladł. To była ciężka zima.

– Zaczekaj chwilę. Mam coś dla ciebie – powiedział, nim wydobyła z siebie choć słowo.

Otworzył wewnętrzną kieszeń płaszcza i przesunął małą brązową kopertę po stole.

Trzy kobiety na werandzie domu na łodzi śmiały się z zapomnianego już żartu, za nimi rozciągała się błękitna tafla jeziora pokrytego liśćmi lotosu. Zdjęcie było urocze. Fotografowi udało się uchwycić piękno dawnych czasów na *Rajskim ogrodzie*. Nerys spojrzała na Rainera.

– To dla mnie? Mogę je zatrzymać? – zapytała.

– Oczywiście. Przepraszam, że tyle czasu zajęło mi podarowanie ci tego zdjęcia osobiście.

– Dziękuję.

Włożyła fotografię do torebki.

– U mnie wszystko dobrze.

„Ale tęsknię za tobą codziennie”, dodała w myślach.

Usłyszał niewypowiedziane słowa.

– A co u Myrtle i Caroline?

Myrtle i Archie pojechali do Delhi, a państwo Flannerowie w końcu kupili ich dom na łodzi. Nerys wpadła na Laurę Flanner podczas jednej z imprez dobroczynnych, podczas której nowa właścicielka narzekała, że McMinnowie nie wspomnieli o fatalnym stanie łodzi i mnóstwie drobnych rzeczy, które należało naprawić. Nerys oczywiście gorąco broniła swych przyjaciół, zarzekając się, że dla niej dom na łodzi zawsze wyglądał idealnie i wyjątkowo luksusowo.

Laura Flanner aż uniosła brew w niedowierzaniu.

– Naprawdę?

– Ale ja jestem z Walii.

Myrtle napisała, że w Delhi jest bardzo smutno i nudno, ale nie sądziła, że wrócą do Śrinagaru na lato. Po wojnie, nagle wszyscy zaczęli dzielić czas na „przed wojną” i „po wojnie”, Archie starał się znaleźć spokojną posadę w kolejnictwie. Najlepiej za biurkiem. A większe

szanse na zdobycie pracy miał w Delhi. Jeździł na swoim wózku inwalidzkim do tych wszystkich, których kiedyś dobrze znał i na których pomoc teraz liczył.

„Znasz Archiego” – pisała. „Nigdy się nie zniechęca i nie poddaje”.

Nerys stwierdziła, że Śrinagar jest o wiele bardziej ponury, gdy nie ma w nim McMinnów.

Caroline i Ralph Bowenowie pojawiali się razem na koktajlach w rezydencji, które od czasu do czasu urządzali państwo Fanshawe. Nerys widywała ich też na koncertach orkiestry wojskowej lub na widowni podczas meczów tenisa. Wszyscy zachwycali się tempem, w jakim pan Bowen wracał do zdrowia, oraz jego śliczną żoną, która tak troskliwie się nim opiekowała. Nerys zastanawiała się, czy jako jedyna zauważyła, że im silniejszy stawał się Ralph, tym bledsza i cichsza była Caroline. Czasem przychodziła do Nerys na herbatkę do ich domu misyjnego. Miała nawyk obracania pierścionków wokół coraz chudszeo środkowego palca.

– Nic mi nie jest – upierała się. – Po prostu ostatnio nie sypiam najlepiej. Ralph miewa straszne koszmary. Nie chce mi powiedzieć, co mu się śni, ale chyba czuje się lepiej, gdy się budzi i widzi, że ja jestem obok. To już coś, prawda?

Nerys wspomniała Rainerowi również o tym.

– A Zahra? – zapytał.

Obie dziewczynki spędziły zimę w Kanihamie. Nerys odwiedzała je dopóty, dopóki droga była przejezdna. Wiedziała, że Zahrą dobrze się opiekowano. Cenny szal leżał wśród najlepszych ubrań Nerys w skrzyni w domu misyjnym.

– Niewiele dzieje się w Śrinagarze – powiedziała, uśmiechając się do Rainera. – Powiedz lepiej coś o sobie. Gdzie byłeś przez te wszystkie miesiące? Pewnie nie powinnam pytać. Tak często o tobie myślałam...

– Bardzo mnie to cieszy. Ja? Cóż, opracowywałem nową sztukę. Spodobałaby ci się. Miałem kilka występów dla żołnierzy. Naprawdę nic specjalnego. Jestem tylko szwajcarskim cywilem. Nie traktowali mnie zbyt przyjaźnie, wciąż podejrzewali, że jestem szpiegiem. Teraz to

już nieważne. Wojna skończy się za parę tygodni.

Evan też to powtarzał. Ostatnimi czasy wspominał o powrocie do ośrodka misyjnego w Shillong, a nawet o powrocie do Walii. Nerys nieraz próbowała wrócić do rozmowy o adopcji, ale on wciąż twierdził, że albo Bóg da im ich własne dziecko, albo pozostaną bezdzietną rodziną. Próbowała też obmyślić jakiś plan związany z przyszłością Zahry, ale wiedziała, że jedyne, co jej pozostało, to czekać i nie tracić nadziei.

– I co teraz? – zapytała Rainera.

– Mam coś ważnego do zrobienia.

Wiedziała, że nie ma sensu pytać, co to było.

Rainer odsunął talerze na bok i powiedział:

– Poprosiłem cię, byś spotkała się ze mną tutaj, ponieważ chcę cię komuś przedstawić. Pójdiesz ze mną?

Nerys spojrzała na niego zaskoczona.

– Oczywiście.

Wyszli z *dhaby* i przeszli przez zatłoczony plac. Z domów wychodziło coraz więcej osób skuszonych marcowym słońcem, ale wciąż wiał zimny wiatr, więc Nerys owinęła się szczelniej swoim *pheranem*.

Doszli do domu z czerwonej cegły, z podwieszanymi drewnianymi belkami na każdym rogu. Był to stary śrinagarski dom przy spokojnej uliczce. Drzwi otworzyła im starsza kobieta w sari. Rainer był tam najwyraźniej stałym gościem. Powiedział coś cicho do kobiety, a ta uchyliła drzwi nieco szerzej. Weszli do środka i wspięli się po drewnianych schodach.

W pokoju na górze, przy oknie wychodzącym na ulicę, siedziała młoda kobieta. Kiedy tylko zobaczyła Rainera, podskoczyła i podbiegła do niego. Patrząc, jak się witają, Nerys dostrzegła też krzyż wiszący na ścianie. Na półce stało obramowane zdjęcie dziecka, a przed nim paliła się świeczka. Na ramce wisiał różaniec.

Służąca zamknęła drzwi.

– Nerys, to moja przyjaciółka, Prita.

Nerys uścisnęła jej dłoń. Prita miała pociągłą twarz i cienie pod oczami. Ubrana była na biało, w kolorze żałoby.

– Cieszę się, że cię poznałam – powiedziała cicho kobieta. – Rainer mi tyle o tobie opowiadał. Mówił, że jesteś dobrą osobą i wspaniałą przyjaciółką.

Nerys od razu zrozumiała, że tych dwoje łączyło coś więcej niż tylko zwykła przyjaźń. Powietrze w pokoju drżało.

– Był dla mnie bardzo dobry w trudnych chwilach – kontynuowała Prita. – Widzisz to? To zdjęcie mojego syna. Pokój jego niewinnej duszy.

Chłopiec mógł mieć trzy latka. Miał poważną minę. Ubrany był w białą koszulę.

– Ojciec Arjuna został zamordowany w 1942 roku. Mój mąż walczył o Wolny Kaszmir. Niestety ta idea nie spodobała się Brytyjczykom ani maharadży. Wielu mężczyzn zginęło wtedy w powstaniu, ale to się niestety nie skończyło i wiem, że zginie jeszcze więcej osób. Złe czasy dla Kaszmiru dopiero nadchodzą.

Nerys wciąż trzymała dłoń kobiety. Była delikatna i sucha, pod skórą widoczne były drobne żyłki.

– Zostałam ze względu na syna, mimo że mieliśmy z mężem tutaj wrogów. Chciałam jednak, żeby syn wychowywał się w Śrinagarze. Nasze dziecko było przede wszystkim Kaszmirczykiem, wiara, religia nie miały tu żadnego znaczenia. Ale teraz...

Rainer stanął u boku Prity, objął ją i pocałował w czoło. Jego postura sprawiała, że niewysoka Prita wyglądała teraz na niezwykle kruchą. Przez chwilę cała trójka stała blisko siebie połączona żalem kobiety i wspólną historią.

– Arjun zdrowo się rozwijał, był zwykłym dzieckiem. Potem nagle zachorował. Trwało to miesiąc, dwa, z dnia na dzień było z nim coraz gorzej, w końcu umarł. Rainer powiedział mi, że jesteś pielęgniarką. Może zrozumiesz to, czego ja nie potrafię pojąć.

– Nie jestem wykwalifikowaną pielęgniarką tylko żoną misjonarza – szepnęła Nerys.

W głowie przewijały jej się objawy najróżniejszych chorób, które

odbierały rodzicom ich dzieci: gorączka reumatyczna, błonica, tężec, odra, biegunka niemowlęca.

Zatęskniła za Zahrą. Poczwała straszną pustkę, pomyślała, jak cudownie byłoby ją wziąć w ramiona.

– Arjun zmarł dwa tygodnie temu – powiedział Rainer.

– Tak mi przykro – Nerys nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

Prita spojrzała na nią.

– Nie tak powinnam przyjąć gościa, przyjaciółkę Rainera – szepnęła.

– Może napijesz się herbaty?

Nerys przytuliła ją i odsunęła się.

– Dziękuję, nie teraz. Ale na pewno jeszcze się spotkamy – obiecała.

– Dziękuję – powiedziała Prita, a na twarzy Rainera malowała się wdzięczność.

– Odprowadzę cię do domu, Nerys.

Powiedział Pricie, że niedługo wróci.

Nerys i Rainer ruszyli w kierunku domu misyjnego. Po wyjściu z domu młodej wdowy dzień wydał się im bardzo jasny i głośny.

Rainer powiedział:

– Bardzo chciałem ci ją przedstawić. Mam zamiar się z nią ożenić.

Zgiełk uliczny zadźwięczał w uszach Nerys.

„Prosiłeś mnie, bym za ciebie wyszła. A ja odpowiedziałam, że mam już męża”.

Grupa amerykańskich żołnierzy na przepustce wytoczyła się z baru i zablokowała im drogę. Nerys przebiła się przez ścianę pijanych mężczyzn.

Odzyskała wreszcie głos.

– Kochasz ją?

Rainer zatrzymał się. Nie dotknął jej, ale czuła się tak, jakby to zrobił.

– Chyba znasz odpowiedź na to pytanie.

– Więc...

– Zabiorę ją ze sobą do Europy. Jej mąż był jednym z przywódców ruchu walczącego o niepodległość Kaszmiru i już przed 1942 rokiem

miał wielu wrogów. Zapłacił za to życiem. Jego śmierć przyniosła wiele problemów jego rodzinie. Prita ma tutaj przyjaciół, ale oni będą tak samo bezbronni jak ona, gdy wojna się skończy, a wy, Brytyjczycy, wyjedziecie z Indii. Kaszmir zostanie brutalnie podzielony i wdowa, którą nie ma kto się zaopiekować, nie będzie tu bezpieczna. Mąż Prity był Sikhem, ale ona przeszła na chrześcijaństwo. Jest katoliczką. Tak jak ja.

Zbliżali się do rzeki Dźhelam i Nerys stanęła, patrząc na wyładowane lokalnymi wyrobami *shikary* płynące w dół rzeki. Zostaną sprzedane w Baramulli albo nawet w Rawalpindi. Pomyślała o pływających ogrodach warzywnych na jeziorze, sadach i polach ryżowych, przybrzeżnych sklepikach i wytwórcach szali w Kanihamie. Śrinagar i reszta Kaszmiru wyglądały spokojnie w wiosennym słońcu, ale nietrudno było zauważyć, że zło czało się w tym regionie. Evan i Ianto codziennie próbowali nawrócić muzułmanów i hindusów z niższych kast na chrześcijaństwo i z niepokojem opowiadali, jak wiele nienawiści jest między tymi dwiema religiami. Bardziej nienawidzili siebie nawzajem niż Brytyjczyków. Nerys z przerażeniem słuchała gróźb radykalnego przywódcy Sikhów:

„Jeśli Liga Muzułmańska chce utworzyć państwo pakistańskie, będą musieli przejść przez ocean sikhijskiej krwi”.

Zbliżało się piękne kaszmirskie lato, a ona drżała na myśl o tym, co może się wydarzyć.

Oczywiście Rainer zrobi, co tylko w jego mocy, by pomóc kobiecie, która straciła dziecko i męża. Wyobrażała sobie, jak zabiera żonę do Szwajcarii. Zamieszkają pewnie w pięknej dolinie z górującymi nad nią ośnieżonymi szczytami.

– Rozumiem – powiedziała. – Robisz coś dobrego.

Była w Indiach na tyle długo, że wiedziała, jak wiele aranżowanych małżeństw między dwójką prawie nieznanymi sobie osobami, zmieniało się w cudowne, pełne uczuć związki.

– Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy – dodała.

Dotarli do brzegu rzeki i spojrzeli na dół, na ludzi piorących

ubrania, gotujących, myjących garnki i namydlających dzieci.

– Przyjdiesz na mój ślub? – zapytał Rainer.

– Oczywiście.

– Dziękuję – powiedział, dotykając jej dłoni.

Kiedys sądziła, że jest bardzo tajemniczy, ale teraz zobaczyła wszystko, co do tej pory było dla niej zagadką. Zrozumiała też, jak bardzo go kocha.

– Wyjedźcie do Szwajcarii?

Nastąpiła chwila przerwy.

– Tak, w końcu. Mam tam ojca, przyjaciół. Ale będę tęsknić za Kaszmiem.

Nie dodał „i za tobą” i Nerys poczuła ulgę. Już wystarczająco wiele sobie powiedzieli.

Dotarli do drzwi domu misyjnego. Dwoje dzieci z bazaru siedziało na schodku, mimo że Nerys zamknęła klasę już kilka godzin temu. Jedno z nich dotknęło ręką spieczonych warg i wyciągnęło błagalnie dłoń w ich stronę. Rainer wyjął monetę z kieszeni, ale drugie dziecko złapało ją i uciekło.

– Powiadomię cię o dacie i godzinie ślubu – powiedział. – Odbędzie się niedługo.

– Przyjdę – obiecała.

Stała z ręką opartą o żelazną kołatkę na drzwiach i patrzyła, jak jej ukochany wraca do innej kobiety, przedzierając się przez obojętny tłum.

Obudziła się, wiedząc, że on znów zapadł w sen. Ralph wzdrygnął się, rękoma objął swą głowę i kopał nogami, jakby próbował odpędzić coś, co go prześladowało i terroryzowało. Caroline próbowała go przytrzymać, ale wydarł się z jej objęć. Mamrotał coś, a potem krzyknął, tylko raz, ale wystarczająco głośno, by Caroline wyobraziła sobie Julię Dunkeley budzącą się w domu obok.

– Ralphie, uspokój się. Jesteś bezpieczny. Jestem przy tobie, nic ci nie grozi. To był tylko koszmar, zły sen.

Walczył przez sen, obracając się w łóżku, jakby próbował uciec przed jakimś koszmarem. Złapała go za ramię i próbowała go uspokoić, ale panika tylko dodawała mu sił. Odepchnął ją i podskoczył. Zacisnął dłonie na jej szyi, kciuki twarde niczym stal wbijały jej się w tchawicę, jego ciężkie kończyny przygniatały ją do ziemi. Caroline przestała oddychać. Nigdy nie wiedziała, jak blisko była utraty przytomności, ale nagle poczuła, że uścisk powoli łagodnieje, a do jej płuc znów napływa powietrze. Z trudem złapała oddech i zadrżała, zbyt przerażona, by się poruszyć. W ciemności wyczuła, że Ralph się odsuwa, trzyma ręce uniesione w górze i wyobrażała sobie strach na jego twarzy, gdy budził się ze snu.

– Caroline?

Wydobyła z siebie cichy dźwięk.

Ralph opadł na zagłówek. Jęczał i dyszał ciężko, gdy ona podnosiła się i usiadła na brzegu łóżka. Sięgnęła po pudełko zapalek i zapaliła świeczkę. W domu działała elektryczność, ale z doświadczenia wiedziała, że jasne światło może wystraszyć go jeszcze bardziej, zanim do końca się nie obudzi. Płomień świecy zamigotał.

– Caroline?

Mogła już mówić, choć jej szyja i gardło wciąż pulsowały z bólu.

– Jestem tu. Miałeś zły sen.

Był cały spocony. Pokiwał głową, obserwując długie cienie rzucane przez świeczkę i czekając, aż znikną resztki kosmaru.

– Zrobić ci herbatę? – zapytała.

– Nie, nie.

Kiedy usiadł, piżama przykleiła mu się do ciała. Wstał z łóżka, włożył szlafrok i poszedł w stronę drzwi.

– Kochanie, proszę, opowiedz mi o tym śnie. Może gdybyś o tym mówił, koszmary by ustały.

Pokręcił głową. Zacisnął palce na kłamce, a Caroline wiedziała, że idzie po butelkę whisky.

– Dobrze, może jeśli nie mnie, przynajmniej porozmawiaj o tym z innymi mężczyznami? Takimi, którzy widzieli... podobne rzeczy.

– Nie, to tylko cholerny sen.

Poszła za nim do salonu. Chwycił butelkę indyjskiej whisky ze zdobionej srebrnej tacy, którą dostali w prezencie ślubnym od państwa Fanshawe, i nalał do szklanki. Trzęsły mu się ręce, a brzeg szklanki uderzał mu o zęby.

– Ralphie, nie pij tyle. To nie pomaga.

– Owszem, pomaga – powiedział bezbarwnym głosem. – Wierz mi.

Pił, by się znieczulić, a potem zapadał w głęboki sen. Kiedy budził się następnego dnia, był trupio blady i wściekły jak rozjuszony byk. Caroline poruszała się ostrożnie koło niego, jakby stąpała po polu minowym.

Bała się swojego męża i jego narastającej agresji. Nie liczyła już na zrozumienie, raczej mu współczuła. Dobrze wiedziała, że to, co widział i przeżył podczas wojny, będzie w nim już na zawsze. Tylko kiedy wychodził do Klubu Śrinagar lub na mszę z innymi oficerami, których uważał za swych przyjaciół, przypominał dawnego siebie. Ona jedna wiedziała o jego sennych koszmarach i o tym, jak cienka była skorupa, pod którą krył się potwór.

Bezwiednie dotknęła posiniaczonego gardła. Zauważyła, że Ralph dziwnie jej się przygląda.

– Próbowałem cię udusić?

– Tak.

– Chryste. W moim śnie to nie byłaś ty, uwierz mi. Śnił mi się Japończyk, jeden ze strażników. Sadysta. On...

Ralph przymknął powieki i równie szybko je otworzył, jakby nie mógł znieść obrazów, które malowały mu się przed oczami.

Caroline czekała, wstrzymując oddech. Domyśliła się, że jakiś mężczyzna rozpoznał słabość jej męża, którą za wszelką cenę próbował ukryć, nawet przed własną żoną, i wykorzystał ją.

– Opowiedz mi o tym – powiedziała łagodnym tonem, mając nadzieję, że zachęci męża do zwierzeń.

Nie powinna była się odzywać. Ralph wypił drugą porcję whisky, a szklanka uderzyła z brzękiem o tacę.

– Nie ma o czym gadać. To tylko sen.

I dodał już nieco spokojniej:

– Naprawdę nie chciałem cię skrzywdzić.

Zbliżył się do niej, ale Caroline cofnęła się, zasłaniając twarz dłońmi. Ralph tylko dotknął dłonią jej ramienia i sam też się wycofał.

– Tobie też musi być cholernie ciężko – powiedział.

Na jej twarzy powoli rozlał się rumieniec, a krew boleśnie pulsowała w posiniaczonych miejscach. Ralph patrzył na nią i po chwili skrzywił usta, jak robił zawsze, gdy musiał wymienić z nią więcej niż kilka zdań. Odwrócił się nagle, mamrocząc:

– Dobry Boże, co z tobą?

Nie oczekiwał odpowiedzi. Wziął do ręki butelkę i powiedział ochrypłym głosem:

– Idź spać. Ja posiedzę i poczytam.

Rano znalazła go pijanego w fotelu.

Katolicki kościół mieścił się w małym budynku z czerwonej cegły, z maleńką strzelistą wieżyczką i dachem pokrytym pomalowaną na jasnozielony kolor blachą falistą. Nerys i Caroline usiadły w pierwszym rzędzie obok córki profesora Prana. Z profesorem i jego córką byli jedynymi gośćmi. Prita szła do ołtarza wsparta na ramieniu Prana. Miała na sobie białe sari i białą *dupattę*³¹ ozdobioną złotą nitką. Rainer czekał na nią przy ołtarzu w eleganckim płaszczu, z czerwoną różą w butonierce.

Ślubu udzielał im ojciec Kennedy z katolickiej misji. Nerys nie znała go zbyt dobrze, ale Evan powiedział jej kiedyś, że to dobry misjonarz. Kiedy Rainer i Prita powtarzali słowa przysięgi, spojrzała w zamyśleniu na kościelne okna. Dobrze wiedziała, co niosło ze sobą małżeństwo. Na pewno było o wiele bardziej skomplikowane niż to, co przyrzeka się przed ołtarzem.

Obok niej siedziała Caroline. Głowę miała spuszczoną. Obracała

31 Dupatta – długi szal przykrywający piersi i ramiona.

nerwowo pierścionki na palcu. Otarta skóra pod nimi była zaczerwieniona i schodził z niej naskórek. Wokół szyi zawiązała lekki szaliczek, który ukrywał podłużne fioletowe siniaki.

Kiedy państwo młodzi podpisali już akt zawarcia małżeństwa w maleńkiej zakrystii, za świadków mając profesora i Nerys, Rainer zaprosił wszystkich do ulubionego *dhaba* na weselny poczęstunek. Ojciec Kennedy poszedł z nimi i opowiadał ciekawe historie o misji w Kaszmirze. Wszyscy dobrze się bawili. Prita mówiła niewiele, ale czasem się uśmiechała i opierała dłoń z nową złotą obrączką na ramieniu swego męża.

Następnego dnia Nerys pojechała do Kanihamy, by zobaczyć się z Zahrą i Faridą. Została w wiosce na kilka nocy. Bawiła się z Faisalem, jego małym braciszkiem i resztą dzieci ze swojej starej klasy. Wzięła ze sobą też trochę leków, bandaży i pomagała leczyć zimowe dolegliwości mieszkańców wioski. Zapewniła Zafira, że cenny szal Zahry znajduje się w bezpiecznym miejscu, przy okazji upewniając się, czy druga strona również dotrzymuje warunków umowy. Tak naprawdę nigdy nie wątpiła, że dziewczynką zajmowano się bardzo troskliwie, głównie dzięki Faridzie. Życie w wiosce było trudne, ale Nerys widziała, że Zahra jest zdrowa i szczęśliwa.

Wracając do Śrinagaru, zabrała ze sobą obie dziewczynki, po raz pierwszy w tym roku. Gdy były już blisko, Farida i Zahra pobiegły do domu misyjnego, nie mogąc doczekać się zabawy z innymi dziećmi z misji. Po drodze minęły żebraka, który czasem sypiał we wnęce ściany i wpadły na Evana, który pogłaskał je po główkach. Ianto patrzył na nie przez grube okulary.

Nerys zaskoczyła reakcja Caroline, kiedy powiedziała jej o przyjeździe dziewczynek. Przyjaciółka zakryła usta dłońmi i pobladła na twarzy.

- Nie mogę jej widzieć. Naprawdę. Nie kiedy Ralph jest tutaj.
- Ależ, Caroline, dla Ralpa i innych Zahra jest zwykłą sierotką z

misji.

– Nie mogę. Zrozum mnie.

Caroline wierzyła, że Ralph potrafił dostrzec wszystko. I tego się bała. Czuła się winna, że nie chce zobaczyć córki, ale lęk był silniejszy od wyrzutów sumienia.

– W porządku – westchnęła Nerys. – Jeśli naprawdę nie możesz. Ale to wielka szkoda.

Nadszedł kwiecień. Rainer pakował pudła, przygotowując się do wyprowadzki z mieszkania wychodzącego na rzekę Dźhelam. Zwoje liny, sprzęt himalaistyczny i rekwizyty magika były już zamknięte w dokładnie opisanych i czekających tylko na odebranie przez firmę przewozową pudłach.

W Europie Siły Powietrzne Armii USA i załogi myśliwców RAF-u na zmianę bombardowały Berlin, podczas gdy Armia Czerwona atakowała miasto od zewnątrz.

– To już prawie koniec – powiedział Ralph, słuchając wiadomości. Caroline odwróciła się od niego.

Wkrótce koniec wojny. Koniec wojny. Co to miało znaczyć? Coraz częściej czuła się, jakby znalazła się w jednym z magicznych pudeł Rainera Stamma, których pokrywa i ściany robiły się coraz to mniejsze. Była uwięziona. Kątem oka widziała błysk metalu i niemal czuła dotyk stali na skórze, gdy ostrze przechodziło przez ściankę pudła. Wzdrygnęła się i zauważyła, że Ralph bacznie się jej przygląda.

Evan otworzył list, który otrzymał z walijskiej misji prezbiteriańskiej, wysłany z Shillong. Zaczekał, aż Nerys położy Zahrę i Faridę spać, a Ianto zje z nimi kolację i pójdzie do mieszkania w pobliżu bazaru, które wynajął na czas służby. Potem powiedział:

– Moja droga, muszę ci coś powiedzieć. Wzywają nas z powrotem do Shillong.

– Kiedy?

– Prawdopodobnie za miesiąc. Oczywiście wiele zależy od

wiadomości z frontu. Ale tak mi się wydaje. Ucieszy cię pewnie, że Ianto zostanie i będzie kontynuował naszą pracę tutaj. Mam nadzieję, że uda nam się wrócić tam przez Kargil i Leh. Napiszę do nich i spytam, czy jest taka możliwość.

– Miesiąc? To już niedługo – zdołała powiedzieć Nerys.

Evan wziął kartkę i zaczął pisać list.

– Byliśmy tu już wystarczająco długo – oznajmił.

„Musimy zabrać Zahrę”, postanowiła Nerys. „Musi się udać”. Farida i Faisal byli częścią Kanihamy, ale nie mogła tam zostawić Zahry.

Ralph poszedł na kolację do mesy. Oficerowie, którzy zostali w kwaterze głównej w Śrinagarze, zawsze odnosili się do niego z szacunkiem. Co prawda po powrocie z niewoli czuł, że się od nich coraz bardziej oddala, ale mimo wszystko lubił z nimi przebywać, tym bardziej że wiedząc, przez co przeszedł, nie zadawali mu żadnych trudnych pytań.

Atmosfera w mesie była wyjątkowo radosna.

Właśnie wysłuchali najnowszych wiadomości. Poprzedniego dnia Rosjanie dotarli do Wiednia. Major Dunkeley uderzył zaciśniętą pięścią w stół.

– Cholerne szkopy mają to, na co zasłużyli – powiedział. – Już niedługo Berlin i Hitler wpadną w ręce aliantów. Szkoda, że to Armia Czerwona, a nie Brytyjczycy, dostąpiła tego zaszczytu, ale i tak jest powód, żeby świętować w gronie przyjaciół.

Rozległy się wiwaty i na stół wniesiono karafki.

Kiedy popijano alkohol, a dym z papierosów gęstniał, Ralph na chwilę znów stał się jednym z oficerów, którzy z nadzieją patrzyli w przyszłość. Pił, żartował i śpiewał wojskowe przyśpiewki. Jego szklanekę co chwilę napełniano.

Od walk w Changi i Birmie wątroba Ralpha Bowena nie funkcjonowała prawidłowo. Inne narządy też coraz częściej odmawiały posłuszeństwa, ale niespecjalnie się przejął, gdy lekarz wojskowy zalecił

mu ograniczenie alkoholu. Pił, by się upić, a ten moment przychodził coraz szybciej.

Zbyt wczesnie przekroczył narzucone sobie granice. W ciepłej i braterskiej atmosferze przeniósł ramię z oparcia krzesła na szerokie ramiona sierżanta Ormsby'ego. Pokój wirował pod obracającymi się wiatrakami na suficie, ale to miejsce było bezpieczne.

Ormsby stracił jego rękę i wstał.

– Na miłość boską, Bowen.

Szklaneczka z alkoholem ześliznęła się ze stołu i rozbiła o podłogę.

– Wystarczy – warknął Dunkeley. – Kapitanie Bowen, proszę wrócić do swojej kwatery.

W całkowitej ciszy, która zapadła w pokoju, Ralph wytoczył się na zewnątrz.

Ktoś zawołał:

– Idź do tej swojej ślicznej żoneczki.

Ktoś inny się zaśmiał.

Chłodne powietrze na zewnątrz sprawiło, że się zachwiał. Oparł się o framugę drzwi, a przechodzący obok służący zapytał grzecznie:

– Czy mogę panu w czymś pomóc?

– Nie, zostaw mnie – wybełkotał.

Próbował zrobić jeszcze jeden krok, lecz jego nogi odmówiły posłuszeństwa. Przewrócił się prosto na krzaki rosnące pod oknami mesy. Stracił przytomność, wydawało mu się, że tylko na kilka sekund. Kiedy oprzytomniał, usłyszał w pobliżu głosy dwóch mężczyzn.

– Siostra Julii wpadła na nią w Delhi kilka lat temu. Wychodziła z gabinetu lekarza z żoną McMinna.

– Sam chciałbym być w Delhi z Myrtle McMinn – roześmiał się drugi.

– Obie były wyjątkowo zakłopotane tym spotkaniem. Alice powiedziała, że według niej, na pewno była w ciąży.

– Kto? Caroline Bowen?

– Dokładnie.

Ralph poczuł żwir i ziemię pod policzkiem. Leżał nieruchomo.

Mężczyźni roześmiali się głośno.

– Ale raczej nie ze swoim mężem.

– Bowen był wtedy w Birmie. Podobno ojcem dziecka jest Ravi Singh. Oczywiście to tylko plotka, ale ci dwoje byli kiedyś ze sobą bardzo blisko.

Mężczyźni udali się w kierunku parterowych domków. Ich postaci zniknęły w ciemności.

Kiedy Ralph upewnił się, że jest sam, usiadł na ziemi. Oparł głowę o rękę. Caroline? Jego żona? Przecież ona bardziej przypomina szarą myszkę niż kobietę. Jego żona i Ravi Singh?

Wydało mu się to wszystko niedorzeczne i mało prawdopodobne. W głębi duszy nie miało to dla niego większego znaczenia. „Co mnie to obchodzi” – myślał. „Wydarzyły się rzeczy znacznie gorsze. O wiele gorsze”.

A jednak upokorzenie, które odczuwał na myśl o tym, że jego żona była w łóżku z innym mężczyzną, nie chciało go do końca opuścić.

Wstał, wspierając się o pobliskie krzaki. Wydało mu się, że jest w stanie dojść do domu. Całą drogę wymachiwał rękoma, jakby szukając równowagi, i choć ziemia przechylała się niebezpiecznie raz w jedną, raz w drugą stronę, udało mu się dojść do uliczki biegnącej przed domkami dla rodzin wojskowych. Jest i furtka. Nie ta. Kolejna. Nie byłoby rozsądnym wejść do obcego domu.

Jeszcze dwie. Już prawie. Spać, trzeba pójść spać.

Długi cień kładł się na trawie przy ogrodzeniu. Ralph utkwiał w nim wzrok, ale w tej samej chwili cień się delikatnie poruszył i zmienił w kucającego człowieka.

Ralph zachwiał się, ale zagrożenie ze strony wroga prawie go otrzeźwiło. To bagnet czy pistolet? Nieważne. Zabij go pierwszy.

Mocno kopnął nogi mężczyzny. Cień odsunął się i wstał. Ralph złapał go za ramię i uderzył w głowę. Ból promieniował od kłykci do ramienia. Zaklął i prawie stracił równowagę. To nie był japoński żołnierz, tylko zwykły żebrak. Widział go tutaj już wcześniej. Uderzył raz jeszcze.

– Wynoś się stąd. I nie zbliżaj się więcej do mojego domu.

Żebrak uwolnił się z uścisku. Ku zdziwieniu Ralpa mężczyzna złapał go za rękę i wykręcił ją za plecami. Zbliżył usta do ucha Ralpa i wysyczał kilka słów, których kapitan nie rozumiał. Potem popchnął go na ziemię i uciekł wzdłuż ulicy cicho niczym kot.

Alkohol znów zaszumiał w głowie Ralpa, gdy siedział oparty o płot.

Czy naprawdę był tu jakiś mężczyzna, czy mu się to wszystko przyśniło?

Otworzył drzwi prowadzące do domku. Otoczyły go znajome zapachy pasty do mosiądzu, proszku na insekty i curry. Chciał jeszcze napić się przed snem, ale to, co usłyszał na trawniku przed mesą, nie dawało mu spokoju. „Ci dwoje byli kiedyś bardzo blisko ze sobą”.

W sypialni panowała ciemność, ale Ralph wiedział, że jego żona nie śpi.

– Usłyszałem dziś zabawną historię – zaśmiał się.

Caroline włączyła lampę. Usiadła i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Kolacja się udała?

– Usłyszałem zabawną historię – powtórzył. – Podobno urodziłaś dziecko podczas mojej nieobecności, moja droga żono.

Caroline zakryła ręką usta.

– Kto ci o tym powiedział?

Więc to prawda.

Wyglądała na przerażoną, ale nie zaskoczoną.

Ralph oddychał ciężko. Początkowo to, co robiła Caroline, gdy on walczył o życie w Changi i Birmie, wydało mu się nieważne. Ich małżeństwo i tak było tylko na papierze. Ale teraz upokorzenie, jakiego doświadczył w mesie, to, jak został potraktowany przez żebraka, opary alkoholu i ból przeszywający jego ciało, skumulowały się. Chciał wyc jak pies. Chciał, żeby przestało boleć. Chciał, by jego żona przestała szeptać, by przestała się bać za każdym razem, gdy się do niej zbliżał i chciał zachowywać się jak mężczyzna.

– Ravi Singh – powiedział, przeciągając każdą sylabę.

W jej oczach pojawiły się strach i niedowierzenie.

Ralph spotkał go tylko kilka razy, parę lat temu, ale dobrze zapamiętał to lekceważące, szydercze spojrzenie Ravięgo Singha, krewnego maharadży. W Ralphie narastał gniew. Zaciśnął pięści i rzucił się w kierunku łóżka. Caroline załkała i uniosła ręce, by go odepchnąć. W tym momencie zrozumiał, że najbardziej nie znosił w niej braku ducha walki.

Nie zamierzał jej uderzyć. Nigdy nie zamierzał uderzyć kobiety.

– Jakaś ty cholernie słaba. – Po chwili dodał: – Możesz przekazać swojemu kochankowi, że go zabiję.

– Ralph, on nie jest... nie jest moim kochankiem. Byłam głupia i samotna. To nikczemnik. Nie zbliżaj się do niego. Błagam, nie rób tego.

– Zabiję go – powtórzył Ralph.

O dziwo, ten szalony pomysł sprawił, że poczuł się o wiele lepiej. Pamiętał to uczucie, jak kolba rewolweru układała mu się w dłoni.

Pora na drinka. Tego teraz było mu trzeba. Teraz, gdy podjął już decyzję.

Odwrócił się od łóżka i chwiejnym krokiem podszedł do drzwi. Na tacy w salonie stała jak zwykle butelka whisky. Chwycił ją w dłoń i opadł na fotel. Nie ma łóżka. Będzie spał tutaj.

Caroline leżała jak sparaliżowana pod kołdrą.

Przysięgała, że zachowa dyskrecję. Miała nadzieję i święcie wierzyła, że jej się to udało. Jednak okazało się, że jej niewierność była tematem plotek i, co gorsza, cały Śrinagar wiedział o dziecku.

Bicie jej serca nieco się uspokoiło, ale wciąż miała natłok dręczących myśli. Teraz próba ukrycia ciąży wydała jej się wyjątkowo głupia. Czy jednak miała jakieś inne wyjście? Myrtle chciała jej przecież pomóc. No tak, ale Myrtle nigdy nie popełniłaby takiego błędu, nie zaszłaby w ciążę z innym mężczyzną niż jej mąż.

Jej przyjaźń z Nerys i Myrtle, dni spędzone w *Rajskim ogrodzie*, mecz krykieta na zamrzniętym jeziorze, a nawet Kanihama, wszystko zdawało się teraz należeć do odległej epoki. Caroline nienawidziła

siebie samej.

Jedyne, co mogła teraz zrobić, to pójść do Ravięgo i powiedzieć mu prawdę.

Gdyby Ravi w napadzie wściekłości chciał ją zabić, chyba nie miałyby to wielkiego znaczenia. Pomyślała nawet, że byłaby zadowolona, gdyby to zrobił. Chciała teraz chronić Ralpha. Nie mogła pozwolić, by Ravi się do niego zbliżył, ponieważ to z pewnością jej mąż zostałby ranny lub zabity.

Przynajmniej przed tym będzie próbowała go uchronić.

Była jeszcze Zahra.

Przewróciła się na bok, przyciągając kolana do klatki piersiowej.

Musi poprosić Nerys, by zaopiekowała się Zahrą. Nerys zrobi to o wiele lepiej niż ona.

Plan na jutro: Ravi, potem Nerys.

Rozdział Szesnasty

Łódź podpłynęła bliżej. Flaga powiewała na wietrze, a za łodzią tworzyła się zielonkawa fala.

Caroline stała na końcu pomostu, niedaleko ogrodu Shalimar. Przewoźnik zawrócił, podpływając do słupa do cumowania. Dwaj elegancko ubrani służący wyszli na brzeg, przyciągnęli łódź jeszcze bliżej i Caroline dostrzegła Ravięgo czekającego na nią pod białym daszkiem. Najbliżej stojący służący pomógł jej wsiąść na pokład pokryty drewnem tekowym. Silnik znów ryknął i łódź odpłynęła na środek jeziora.

Ravi uklonił się. Nie mógł tutaj zrobić jej krzywdy, byli na oczach innych ludzi. Usiedli na płóciennych krzesłach przy stole z mosiężnymi okuciami. Jeden ze służących stał za sterem, drugi zszedł na dół, do małej kabiny. Warkot silnika sprawiał, że nikt poza Ravim nie był w stanie usłyszeć tego, co mówiła.

– Co za niespodzianka – powiedział, patrząc na zegarek wysadzany kryształami. – Niestety nie mam zbyt wiele czasu, muszę się z kimś spotkać dokładnie o jedenastej.

Kiedy wreszcie skończyła się ta długa, okropna noc, napisała krótki liścik i wysłała go przez gońca. Gdy już się ubrała, Ralph przeszedł obok niej i padł na łóżko, które przed chwilą opuściła. Zostawiła go tam, brudnego i chrapiącego, instruując służącego, by podał *sahibowi* kawę, gdy tylko ten się obudzi. Odpowiedź Ravięgo dotarła do niej w ciągu

godziny, szybko więc wyszła z domu, by spotkać się we wskazanym przez niego miejscu.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła.

– Słucham.

Zrobiła głęboki wdech. Czuła suchość w ustach, ale mimo to udało jej się wypowiedzieć słowa, które tak długo powtarzała w myślach.

– Po naszym rozstaniu okazało się, że jestem w ciąży. Urodziłam dziecko. Twoje dziecko, Ravi. Nie chciałam, by mój mąż się o tym dowiedział, więc wszystko ukrywałam.

– Moje? – powiedział tonem ostrym jak nóż.

– Tak – powiedziała, podnosząc wzrok z blatu stołu i spoglądając mu w oczy. – Jesteś jedynym mężczyzną, z którym kiedykolwiek byłam. Pamiętasz, że przedtem byłam dziewicą?

– Tak. I to chciałaś mi powiedzieć?

– Nie tylko. Mój mąż dowiedział się wczoraj o dziecku. Myślałam, że udało mi się wszystko ukryć, nawet przed tobą, ale najwyraźniej się nie udało. Postanowiłam więc od razu się z tobą spotkać, powiedzieć ci o wszystkim.

Ravi rozmyślał nad tym, co przed chwilą usłyszał. W końcu powiedział:

– Powiedz mi, Caroline, naprawdę sądziłaś, że o niczym nie wiem?

– Miałam taką nadzieję.

– Obserwowałam cię. Ciebie i twoje przyjaciółki chodzące z *kangri* pod płaszczami.

– Przez cały czas wiedziałaś o Zahrze?

Machnął ręką.

– Ta wasza wioska tkacka nie jest mi zupełnie nieznana – zaśmiał się.

A zatem któryś z mieszkańców wioski musiał być opłacany przez Ravięgo. Caroline wzdrygnęła się na myśl o tym, że ktoś bacznie obserwuje Zahre bawiącą się niewinnie pod drzewem i donosi do Śrinagaru. Jednak Raviemu najwyraźniej było na rękę, by zostawić ją tam samą. Może chciał po prostu trzymać małą w bezpiecznej odległości

od swojej rodziny.

Uniosła głowę.

– Przyszłam cię ostrzec, Ravi. Mój mąż jest wściekły. Wczoraj w nocy się upił...

Znów to lekceważące machnięcie ręką.

– O tym także wiem.

Nie zastanawiała się, jakim cudem Ravi wie o wszystkim. Dotarło do niej tylko to, że od dawna ona i Zahra były pod ciągłą obserwacją.

– Powiedział, że cię zabije.

Ravi odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się, jakby usłyszał najzabawniejszy żart na świecie.

– To chciałaś mi powiedzieć?

– Nie chcę, by coś stało się Ralphowi – dodała. – Wiem, że gdy spróbuje cię zranić, sam na tym ucierpi.

Ravi przestał się śmiać. Bardzo cicho, niemal niesłyszalnie, powiedział:

– A ja myślałem, że przyszłaś wyjaśnić, dlaczego ukradłaś mój rubin.

Łódź przepłynęła między drewnianymi słupami wyznaczającymi początek rzecznej kanału. Po prawej stronie Caroline ujrzała rząd domów na łodziach, na którego końcu znajdował się *Rajski ogród*. *Shikara* sprzedawcy kwiatów płynęła do klientów.

Z niemalym wysiłkiem powiedziała:

– Skoro wiesz wszystko, pewnie wiesz również to, że sprzedałam klejnot. Potrzebowałam pieniędzy do opieki nad dzieckiem.

Ravi pokiwał głową, jakby ta odpowiedź go zadowalała. Przepłynęli obok baru nad jeziorem należącego do Klubu w Śrinagarze. Stoliki i parasole wystawiono już na zewnątrz. Kelner w białej marynarce stał w gotowości do przyjęcia zamówień na drinki.

– Zostawię cię tutaj – wskazał na stopnie prowadzące na brzeg.

Słońce oświetlało samochód jadący przez pierwszy most na rzece Dźhelam.

– Tak przy okazji, moja żona latem będzie rodzić. Chcę mieć syna.

– Wspaniale – powiedziała Caroline. – Mam nadzieję, że to będzie chłopiec i że wszystko pójdzie dobrze.

Ravi znów się roześmiał. Przytył, ale wciąż był bardzo przystojny. Jej nadzieje nic dla niego nie znaczyły, tak samo jak jej życzenia. Rzucił rozkaz prowadzącemu łódź, który podpłynął bliżej schodków. Zatrzymano łódź, a Ravi wysiadł, pomagając Caroline wyjść na brzeg. Nie osiągnęła nic poza tym, że go zobaczyła.

Wyszła na brzeg.

Nie mogąc się powstrzymać, zapytała:

– Co zamierzasz zrobić?

– Z czym?

– Z moim dzieckiem.

– Zamierzam chronić interesy mojej rodziny, rzecz jasna.

Rzucił kolejny rozkaz, odwiązano cumy i łódź odpłynęła.

Przerażona Nerys słuchała opowieści Caroline.

Na zewnątrz, na podwórku domu misyjnego, pięcioro dzieci bawiło się piłką i drewnianymi paletami. Ich krzyki dobiegały do nich przez otwarte okna. Wśród nich słychać było śmiech Zahry.

– Co miał na myśli, mówiąc, że zamierza chronić interesy swojej rodziny?

Caroline bezradnie pokręciła głową.

– Jest bezwzględny. Robi, co mu się podoba, dostaje to, czego chce. Co teraz?

Nerys była w wielkiej rozterce.

– Nie wiem. Ale myślę, że powinniśmy ukryć Zahrę.

Evana nie było w domu, ale Ianto Jones rozkładał w kaplicy materiały na spotkanie modlitewne. Nerys podjęła szybką decyzję.

– Ianto? Przypilnuj, proszę, dzieci do trzeciej. Potem zamknij furtkę na podwórko, kiedy wszystkie już pójda do domów.

Mrugnął zza grubych szkieł okularów. Jego jabłko Adama podskakiwało w górę i w dół.

– Ale...

– Proszę...

Nerys i Caroline zbiegły po schodach i zabrały Zahrę. Farida natychmiast odrzuciła piłkę na bok i pobiegła za nimi. Przy furtce zatrzymały się i rozejrzały dookoła. Żebrak, który przesiadywał tu niemal bez przerwy, tym razem gdzieś zniknął. Nerys zapytała Faridę, czy był też dziś i dziewczynka kiwnęła potakująco głową. Widziała go, bardzo się gdzieś spieszył.

Pobiegły wzdłuż brzegu kanału w stronę rzeki, obok dymiących straganów z jedzeniem, mijając w pośpiechu sprzedawców herbaty i gawędzących przewoźników. Nerys trzymała Zahrę w ramionach, a dziewczynka wierciła się i śmiała, ucieszona nową zabawą. Kiedy dotarły do domu Rainera, z trudem łapały oddech. Nerys nie czekała, aż ktoś otworzy drzwi, wpadła do mieszkania. Przypomniała sobie noc, kiedy Farida wyciągnęła ich z łóżka. Noc, gdy zmarła matka dziewczynki.

Rainer otworzył drzwi.

– Miasto się pali?

Nerys i Caroline weszły bez słowa. Od razu zauważył, że nie były w nastrojach do żartów. Farida usiadła na schodku przed wejściem. Owinęła głowę szalem, najwyraźniej przygotowując się do trzymania straży.

W pokoju na górze, chłodnym dzięki bryzie znad wody, siedziała Prita. Odłożyła robótki ręczne na bok i wstała, bez słów witając ich ukłonem.

Zahra była ciężka. Nerys z ulgą postawiła ją na podłodze. Uwagę dziewczynki przykuły kolorowe materiały w koszyczku krawieckim Prity, więc natychmiast do nich podbiegła. Potem zauważyła parę małych nożyczek i sięgnęła w ich stronę. Prita złapała jej rączkę i powiedziała po kaszmirsku:

– Nie, to jest zbyt ostre. Skaleczysz się.

Odłożyła nożyczki na jedno z pudełek, z dala od Zahry.

– Co się stało? – zapytał Rainer.

Caroline zrelacjonowała całą historię. Zahra skoncentrowała się na zabawie z Pritą, podobało jej się, że kobieta mówi do niej w języku, który dobrze zna. Nerys patrzyła na Caroline, a potem na reakcję Rainera. Kątem oka zauważyła, że Prita głaszcze Zahrę po włosach.

Bez zastanowienia wzięła nożyczki, pochyliła się, by oddzielić pojedynczy kosmyk od reszty włosów i po chwili go odcięła.

Rainer zmarszczył brwi.

– Racja. Musimy ją stąd jak najszybciej zabrać.

Zahra odeszła od Prity i Nerys. Ruszyła w stronę białej drucianej klatki, w której Rainer trzymał swoje gołębie.

– Ptaki – krzyknęła zachwycona dziewczynka. – Ptaki!

Rainer otworzył pomalowane pudełko i wyjął swój frak. Włożył go, zakrył klatkę czerwoną jedwabną chustką, którą wyjął z butonierki, i poprosił Zahrę, by przeszukała resztę kieszeni. Kiedy tylko upewniła się, że jedna z kieszeni jest pusta, Rainer wyciągnął z niej cztery połączone ze sobą obręcze z metalu. Owinął łańcuch wokół jej szyi jak ogromny naszyjnik. Pociągnęła jedną z obręczy, zdziwiona, ale uśmiechnięta. Rainer podrzucił obręcz w górę i wskazał jej cztery oddzielone od siebie okręgi. Kiedy Zahra skupiła się na żonglerce, Rainer uniósł czerwoną chustkę i pokazał dziewczynce pustą klatkę.

Zahra otworzyła szeroko oczy.

– Nie ma – szepnęła, patrząc to na klatkę, to na sufit.

Trzy kobiety przyglądały się zabawie Rainera i dziewczynki. Prita uśmiechała się szeroko i nawet blada twarz Caroline pojaśniała się i nabrała kolorów.

Rainer kiwnął palcem i Zahra podeszła do niego. Przyłożył palec do ust i zawiązał jej oczy czerwoną chustką.

Nerys później przypominała sobie radosny śmiech Zahry i jej wyciągnięte rączki próbujące chwycić Rainera, gdy ten delikatnie obrócił ją trzy razy wokół własnej osi.

Rainer zdjął chustkę z jej oczu. Klatka wciąż była pusta. Mężczyzna

udawał zafrasowanego, ale chwilę później sięgnął do tej samej kieszeni fraka i z uśmiechem na ustach wyrzucił w powietrze najpierw jednego gołębia, potem kolejnego. Ptaki przeleciały nad głową Zahry i usiadły na otwartej okiennicy.

Zahra była zbyt urzeczona występem, by się poruszyć. Patrzyła na Rainera wzrokiem pełnym zachwytu. Wyciągnął rękę, a ptaki posłusznie wróciły do klatki.

– Jeszcze – szepnęła Zahra.

– Rainerze... – zaczęła Nerys, chcąc mu dać znać, że mają ważniejsze sprawy do przedyskutowania niż jego magiczne sztuczki.

Szukał czegoś w swoim pudle. Wyjął pelerynę magika, z wyszytymi na niej okultystycznymi symbolami.

– Rainerze...

Wszyscy usłyszeli dźwięk bosych stóp biegnących po schodach. Farida wpadła do pokoju.

– Żebak.

Pokazała cztery palce. Czterech mężczyzn.

Nerys podbiegła do okna, które wychodziło na ulicę. Zobaczyła ich przez szczelinę w okiennicach. Rozpoznała jednego z nich. To był ten sam żebrak, który często pojawiał się w uliczce za domem misyjnym, tyle że teraz wcale nie przypominał żebraka. Na końcu uliczki widziała wypolerowaną srebrną kratownicę i błyszczącą czarną maskę drogiego samochodu.

– Przyjechał Ravi Singh.

Usłyszeli walenie do drzwi. Caroline przyparła do ściany i rękoma zakryła usta.

– O Boże. Nie wpuszczajcie ich.

Rainer nie wahał się. Uśmiechając się, przytrzymał czerwoną chustkę w górze. Zahra, gotowa na kolejną sztuczkę, wtuliła się w jego ramiona. Pokazał jej, by była cicho, i znów zakrył chustką jej oczy. Walenie w drzwi stawało się coraz silniejsze. Rainer owinał siebie i Zahrę peleryną. Prita stała obok, trzymając go za ramię. Powiedział coś do żony, a ona schowała się za jego plecami.

Na dole rozległ się trzask. Ktoś wyważył drzwi wejściowe. Rainer podniósł pudełko z rekwizytami i ruszył powoli w stronę szczytu schodów. Ludzie Ravięgo Singha podbiegli do niego, a on wskazał im pokój wychodzący na rzekę. Caroline stała w osłupieniu, ale Nerys podeszła do fotela Prity i wzięła do ręki porzucone przez nią robótki. Kiedy mężczyźni wpadli do pokoju, ostrożnie wbiła igłę i spojrzała na nich zdziwiona.

– Dzień dobry – powiedziała po kaszmirsku.

Potem przeszła na angielski.

– To prywatne mieszkanie. W czym możemy panom pomóc?

Ravi Singh stał w drzwiach prowadzących na ulicę, rzucając długi cień na stare deski podłogowe. Miał na sobie piękną białą *kurte* i zapinany wysoko płaszcz z jasnego lnu. Wyglądał jak prawdziwy kaszmirski arystokrata.

– Witaj – zawołał do niego wesoło Rainer. – Co cię do nas sprowadza?

Nie czekając na odpowiedź Ravięgo, zeskoczył na dół po schodach.

Kiedy jego stopa dotknęła ostatniego schodka, udał, że się potyka i traci równowagę. Pudełko z rekwizytami otworzyło się i deszcz błyszczących obręczy, metalowych kubków, szalików, kolorowych piłeczek i innych błyskotek spadł do stóp Ravięgo. Ekstrawagancka peleryna Rainera, całkowite przeciwieństwo zwykłego *pheranu*, zafalowała wokół niego, gdy Ravi zrobił krok do tyłu, wyraźnie rozłoszczony całym zamieszaniem.

– Niezdara ze mnie – westchnął Rainer. Przechylił się na bok, by podnieść kolorową piłkę, ale w tej samej chwili dwa gołębie uciekły z jego kieszeni. Uderzenia ich skrzydeł głośnym echem rozchodziły się po niewielkim korytarzu. Ravi odsunął się jeszcze dalej, uderzając o framugę drzwi. Machał rękoma, próbując odgonić atakujące go ptaki. Prita owinęła głowę swoim białym szalem. Prześliznęła się obok Ravięgo i wybiegła na ulicę.

– Tak mi przykro – roześmiał się Rainer. – Dopiero tresuję te ptaki. Jak widać, przed nami jeszcze sporo pracy.

Rozpiął pelerynę i zrzucił ją z ramion. Złożył ją schludnie i włożył do pudełka, a następnie poukładał na niej przedmioty, które chwilę wcześniej wypadły. W końcu zdjął frak i zamknął pokrywę pudełka. Wyciągnął ręce przed siebie, a gołębie posłusznie do niego przyleciały.

– To towarzyska wizyta? – spytał rozzłoszczonego Ravięgo.

– Nie. Przyszedłem tu po dziecko.

– I po to pięciu mężczyzn wdarło się do mojego domu? Dziecko? I jakiegoż to dziecka szukasz?

Ravi mruknął zniecierpliwiony i wbiegł po schodach na górę. Nerys wciąż siedziała z robótkami ręcznymi na kolanach, ale kiedy Ravi wszedł do środka, wstała i podeszła do niego. Caroline stała przy oknie niczym duch, podczas gdy czterej mężczyźni przeszukiwali pokój.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Nerys.

Ravi podszedł do Caroline.

– Gdzie jest dziecko? – krzyknął.

Rainer wrócił na górę i włożył gołębie do klatki.

– Czy nasi goście się czegoś napiją? – zapytał.

Nerys stanęła obok niego. Rainer zerknął na wpół odwróconego Ravięgo, ujął twarz Nerys w dłonie i szepnął:

– Będzie bezpieczna. Nie martw się, jeśli przez jakiś czas nie będzie wieści. Wrócę, obiecuję.

Jego usta dotknęły jej czoła. Zanim Ravi odsunął się od roztrzęsionej Caroline, Rainer zdążył się ulotnić.

„Zniknął, jakby rozpułnął się w powietrzu”. Nerys uśmiechnęła się w duchu.

– Przeszukać dom – zarządził Ravi. – Gdzie się podział ten Szwajcar? Przeprowadźcie go.

Wściekłość malowała się na jego twarzy. Wiedział, iż został przechytrzony. Mężczyźni ruszyli w pogoń za Rainerem, a Ravi znów zwrócił się do Nerys i Caroline.

– Dziewczynka była tu niecałą godzinę temu – powiedział. – Gdzie jest teraz?

– Ona? – zapytała niewinnie Nerys, wskazując na Faridę.

Powstrzymywała się od uśmiechu i zdała sobie sprawę, że zaczyna jej się to podobać. Ujęła zimną dłoń Caroline i przyciągnęła przyjaciółkę do siebie, tworząc zaporę przed Ravim.

– Odwiedziło nas kilkoro dzieci z domu misyjnego. Uwielbiają magię. Ale wszystkie poszły do domu. Chodzi ci o któreś z nich?

Ravi zrobił krok do przodu, ale Nerys tylko uniosła głowę do góry i mocniej ścisnęła rękę Caroline. Jej oczy mówiły: „Może i jestem tylko kobietą, ale jestem Brytyjką, żoną misjonarza. Ty jesteś silny, ale jak myślisz, co się stanie, gdy spróbujesz choć dotknąć którejs z nas”?

Zatrzymał się, przyciskając ramiona do boków.

– Kim była ta indyjska kobieta?

– Pytasz pewnie o panią Stamm. Żałuję, że nie miałam szansy was sobie przedstawić. Może innym razem.

Piękną twarzą Ravięgo targała złość, ale spokojnym głosem powiedział:

– Jak pani dobrze wie, pani Watkins, dziecko, którego szukam, jest moją córką. Doszedłem do wniosku, że ani pani Bowen, ani jej mąż, ani wasza chrześcijańska misja nie nadaje się do opieki nad nią. Zabieram ją do swojego domu.

„I zostanie służącą jednej z twoich siostr” – pomyślała Nerys.

– Obawiam się, że się spóźniłeś. Dziecka nie ma już w Śrinagarze, a niedługo wyjedzie też z Indii.

– Nie możecie zabrać rodowitej Induski z jej kraju.

Spojrzenie Nerys mówiło: „Wciąż trwa wojna. W Indiach są tysiące sierot, głodujących lub porzuconych dzieci. Myślisz, że ktoś będzie zawracać sobie głowę zniknięciem jednej dziewczynki”?

Ale nie powiedziała nic.

Dwaj mężczyźni wrócili. Dom był pusty, więc przeszukanie go nie zajęło dużo czasu. Pozostałych dwóch prawdopodobnie wciąż błądziło po uliczkach w poszukiwaniu Rainera i Prity. Nerys wiedziała, że nie musi się o nich martwić.

Ravi spojrzał po raz ostatni na Caroline.

– Wciąż myślisz, że możesz mnie przechytrzyć?

Tylko Nerys mogła poczuć, jak bardzo Caroline się trzęsła.

Ravi wyszedł, a za nim obaj mężczyźni.

Kiedy tylko Nerys upewniła się, że poszli, wzięła przerażoną Caroline w ramiona.

– Nie martw się. Zahra będzie bezpieczna. Rainer o to zadba.

Zrozumiała jednak, że przerażenie Caroline wykraczało daleko poza niepokój o Zahrę, czy nawet o samą siebie. Trzęsła się i przygryzała wargi tak mocno, że na cienkiej skórze widać było ślady zębów. Wyglądało na to, że targa nią ogromny strach, który nie miał racjonalnego podłoża. Nerys mogła jedynie mocno trzymać ją w objęciach, szeptać słowa niestanowiące żadnego pocieszenia i mieć nadzieję, że jej desperacja niedługo złagodnieje.

– Usiądź – powiedziała cicho. – Zrobię ci herbatę i zabiorę do domu.

Zaprowadziła Caroline na krzesło Prity.

Farida pojawiła się w drzwiach. Podeszła prosto do Nerys. Jej oczy płonęły ze złości. Nerys złapała ją za ramiona.

– Wspaniale sobie poradziłaś, Farido. Zahra będzie bezpieczna.

Ale Farida rzuciła się na Nerys, uderzając ją pięściami.

– Zahra. Chcę Zahrę.

Nie pozwoliła sobie na płacz, ale dała wyraz swojej wściekłości.

Nerys złapała ją za nadgarstki i powiedziała:

– Wiem o tym, ale Zahra musiała wyjechać. Mam nadzieję, że wróci, nie wiem jednak, kiedy to nastąpi.

Dziewczynka wyrwała się z jej uścisku i wybiegła za drzwi. Nerys patrzyła na nią z ciężkim sercem. Wszystkim będzie bardzo ciężko, póki nie dowiedzą się, jak ułoży się przyszłość małej Zahry. Najtrudniej jednak będzie to zaakceptować biednej, wiernej Faridzie.

Na zewnątrz, w jasnym świetle dnia, kobieta w prostym białym sari szła szybkim krokiem, trzymając dziecko oparte na swym biodrze. Dziewczynka płakała, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Nieco dalej tą samą drogą kroczył mężczyzna o europejskich rysach twarzy. Po kilku

rundkach po pobliskich uliczkach i chodzeniu ścieżkami porośniętymi przez chwasty, mężczyzna i kobieta dotarli do furtki domu profesora Prana wykładowcy uniwersyteckiego, który już niedługo miał na zawsze wyjechać z miasta, w którym się urodził.

Kiedy Caroline i Nerys wróciły do domku Bowenów, przerażony służący czekał na nie przy wejściu.

– Proszę pani, szybko. *Sahib* bardzo chory. Szpital.

Głowa Julii Dunkeley wystawała zza żywoplotu. Jej mąż posłał po lekarza, gdy Caroline nie było w domu. Sąsiadka zaproponowała, że pojedzie z Caroline do szpitala, ale Nerys zapewniła ją, że nie ma takiej potrzeby i ona sama uda się tam wraz ze swą przyjaciółką.

Szpital wojskowy składał się z kilku parterowych budynków. Pielęgniarka zaprowadziła obie kobiety przez długi oddział, na którym ranni mężczyźni leżeli przykuci do łóżek, a powracający do zdrowia czytali lub grali w karty.

Ralph spał. Jego skóra nabrała ciemnożółtego koloru. Oddychał nierówno i ciężko. Metalowe naczynie w kształcie nerki stało na szafce obok łóżka. Caroline usiadła na brzegu krzesła, a Nerys wyszła, by poczekać na zewnątrz. Obok oddziału znajdowała się loggia – powietrze tam nie było tak przesiąknięte zapachem choroby i opatrunków jak na sali szpitalnej. Kilku mężczyzn siedziało na bambusowych krzesłach, paląc papierosy. Znalazła wolne krzesło i usiadła, przymykając oczy.

Potrzebowała czasu, by przemyśleć to, co się dziś wydarzyło.

Później podeszła do niej Caroline. Wyglądała, jakby lunatykowała, chociaż jej oczy były nienaturalnie szeroko otwarte.

– Doktor mówi, że jego wątroba przestaje działać. Jest bardzo chory.

Lekarz wojskowy złożył palce dłoni i nie śmiał spojrzeć prosto w oczy pani Bowen. Mówił o zniszczonych narządach wewnętrznych jej męża, powstałych podczas więzienia przez Japończyków i o tym, że jego stan jest stabilny.

– Musimy mieć nadzieję, że wyzdrowieje – powiedział, dodając, że przez kilka kolejnych dni nic nie jest pewne.

Ale jeśli nawet życiu Ralpa nic już nie będzie zagrażać, będzie musiał bardzo na siebie uważać i całkowicie zmienić tryb życia.

– Na pewno mnie pani rozumie – powiedział lekarz. – Musi żyć spokojnie, stosować dietę, nie może wypić nawet grama alkoholu. Oczywiście będzie mógł opuścić szpital. Na szczęście ma kochającą młodą żonę, która może się nim zaopiekować.

Dotknął lekko ramienia Caroline.

– Wiem, że to dla pani szok. Ale wierzę, że uda nam się go wyleczyć i będziecie jeszcze bardzo długo szczęśliwym małżeństwem. Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy.

Nerys poprowadziła przyjaciółkę przez ogród. Caroline szła ze zwieszoną głową, skupiając się wyłącznie na stawianiu jednej nogi za drugą. Dotarły do bram szpitala, gdy Caroline nagle podniosła głowę i zaczęła się śmiać.

– Teraz już nie uda mu się zastrzelić Ravięgo, prawda? I tak na wszelki wypadek wrzucę broń do jeziora.

– Wszystko w porządku, Caroline. Porozmawiam z majorem Dunkeley'em o broni – uspokoiła ją Nerys.

Tak bardzo chciała, aby Myrtle i Archie byli w Śrinagarze.

Na dnie wąskiego wąwozu pełnego skał i poskręcanych korzeni drzew leżał wrak czerwonego forda. Potłuczone kawałki szkła znajdowały się wszędzie naokoło, pobłyskując w słońcu kolorami.

Transporter Armii Indyjskiej zatrzymał się na poboczu drogi dziesięć metrów wyżej, trzech żołnierze ostrożnie zeszli po stromym zboczu, chwytając się wystających z ziemi korzeni. Kiedy dotarli wreszcie do zniszczonego pojazdu, słychać było jedynie bzyczenie much. Jeden z mężczyzn pochylił się i zajrzał do przewróconej do góry nogami kabiny. W zagłębieniu dachu zebrała się kałuża krwi, po której leniwie spacerowały muchy. Jeszcze więcej krwi znajdowało się na

szarej metalowej desce rozdzielczej, z przekręconego wstecznego lusterka zwisały kawałki podartego białego szala *dupatta*.

Mężczyźni przeszukali kabinę i tył ciężarówki, przejrzeni ostrożnie otwarte pudła z kilkoma ubraniami w środku, metalowymi kubkami i kolorową piłką, zgniecioną zapewne w momencie uderzenia. Wśród gałęzi kolczastego krzewu jeden z mężczyzn wyjął skórzany dziecięcy sandałek.

W aucie nie było ciał ani cennych przedmiotów, a jedynie kilka splądrowanych pudeł i walizek. Żołnierze rozmawiali ze sobą przez chwilę i ruszyli z powrotem w stronę drogi, gdzie cierpliwie czekał ich kompan. Ten teren był prawie niezamieszkały, zbyt skalisty i jałowy, by coś na nim uprawiać, nie nadawał się nawet na wypas dla zwierząt. Na ścianach niektórych wąwozów znajdowały się jaskinie, służące niegdyś za kryjówki rebeliantów z Azadu Kaszmiru³² i innych desperatów. Pośród skał mieszkali też stada drapieżnych cyjonów. Jeden z mężczyzn wspominał o krążących w pobliżu wilkach. Nieco niżej, w miejscu, gdzie pasterze wypasali latem kozy, znajdowały się wyłożone kamieniami doły służące za pułapki na wilki. Żołnierzy nie obchodziło, czy był to zwykły wypadek i szabrowanie, napad na drodze czy brutalne morderstwo. Widzieli o wiele więcej gorszych rzeczy. Operator zgłosił zdarzenie bazie i podał współrzędne. Mężczyźni pojechali dalej.

W kajucie było sześć kuszetek i jedno niewielkie okienko. Kobieta z dzieckiem zajęła środkową i dolną kuszetkę po lewej stronie, z zasłonkami dającymi odrobinę prywatności. Bagażowy zabrał ich walizki, a mężczyzna wręczył mu sowity napiwek. Kiedy tylko zostali sami, rozejrzeli się po małej kajucie i miniaturowej łazience.

– Ciekawe, kto jeszcze tu zamieszka podczas podróży – powiedział mężczyzna, jakby chciał odwrócić uwagę od rozstania, który musiało za chwilę nastąpić.

32 Azad Kaszmiru – region Kaszmiru znajdujący się na terytorium Pakistanu.

Będą to oczywiście kobiety, prawdopodobnie Induski. Może zakonnice, a może uczennice jadące na stypendium do Anglii.

Dziecko mocno ścisnęło dłoń kobiety. Chłopczyk miał krótkie włosy i ubrany był w *kurtę*.

– Dlaczego nie możesz z nami pojechać? – zapytała kobieta, choć dobrze знаła odpowiedź na pytanie.

– Wiesz przecież, muszę spełnić pewną obietnicę. Nie chcesz chyba, bym nie dotrzymał słowa?

Taką rozmowę przeprowadzali między sobą już wiele razy.

– Kto odbierze nas w Anglii? I skąd będę wiedzieć, że to właśnie on? – pytała znowu, mimo że wszystko zostało już wielokrotnie omówione.

– Mój przyjaciel będzie czekał na was w porcie, obiecuję. Masz jego zdjęcie, na pewno go rozpoznasz.

Wyjęła fotografię. Był na niej uśmiechnięty starszy mężczyzna w skórzanych butach i bryczesach do kolan. Kapelusz miał zepchnięty na tył głowy, w ustach trzymał fajkę.

– Edward się wami zajmie. A ja za kilka tygodni dołączę do was i pojedziemy do mojego domu w Szwajcarii. Będziemy tam bardzo szczęśliwi. Obiecuję.

W końcu się uśmiechnęła.

– Jesteś dobrym człowiekiem.

Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w czoło.

– Pamiętaj, kiedy tylko statek wypłynie z portu, będziesz bezpieczna. Możesz znów ubrać ją w coś normalnego, nie będzie już Arjunem tylko osieroconą córeczką znajomych, którą zabierasz do kuzynów jej ojca w Londynie.

Kobieta posłusznie pokiwała głową. Zdawało się, że dokładnie zapamiętała przyjętą wersję scenariusza.

– Nie martw się.

Pocałował ją raz jeszcze, a następnie podniósł dziecko z ziemi i przytulił je mocno.

Chwilę później, przy drażliwym dźwięku klaksonów ogłaszających tym, którzy w podróż się nie wybierali, że pora opuścić pokład statku,

ruszyli w stronę trapu. Dookoła przytulały się i płakały rodziny i przyjaciele. Nadeszła pora rozłąki.

– Zobaczmy się wkrótce – powiedział mężczyzna. Pocałował kobietę i dziecko raz jeszcze i sprawnie zbiegł po pochyłym trapie. Stał na nadbrzeżu, gdy odwiązano ogromne cumy i syrena zawyła trzykrotnie. Wyciągając mocno szyję, był w stanie dostrzec kobietę stojącą przy balustradzie, trzymającą dziecko w ramionach. Machał do nich, póki nie zaczął odczuwać bólu w ramionach. Kiedy statek zupełnie zniknął mu z oczu, odwrócił się i zaczął przeciskać przez tłumy bagażowych i ich wózków. Pod nim, górując nad portem Bombaju, stał ogromny łuk zwany Bramą Indii. Mężczyzna przyspieszył kroku. Musiał złapać pociąg do Rawalpindi, gdzie czekali na niego amerykańscy znajomi i Szerpowie ściągnięci specjalnie z Darjeelingu. Potem zamierzali udać się na północ, w stronę gór. Wyruszą trochę później, niż to zaplanował.

Ralph wciąż był w szpitalu, ale doktor twierdził, że powoli dochodzi do siebie. Lekarz nie mógł się nadziwić, jak niesamowitą wolę życia miał jego pacjent. Caroline przyjęła tę wiadomość z pozornym spokojem. Gdyby ktoś jednak przyjrzał się jej uważniej, dostrzegłby nerwowe tiki i poranione od ciągłego odrywania naskórka palce. Zdawała się coraz bardziej oddalać od świata. Za to głos w jej głowie stawał się coraz bardziej natarczywy. Coraz też częściej wyrzucała sobie własną słabość. „Nie jesteś nic warta, nic nie potrafisz” – myślała w kółko. – „Nie potrafisz nawet skończyć ze sobą. Gdybyś miała choć trochę więcej odwagi, zrobiłabyś to. Gdybyś miała choć odrobinę odwagi...”

Kiedy nie była w szpitalu, większość czasu spędzała w swoim dusznym domku. Nerys próbowała przekonać ją, by zamieszkała z nimi w domu misyjnym, ale Caroline coraz gorzej znosiła towarzystwo ludzi, źle się czuła nawet z Nerys.

– Po prostu jestem zmęczona – konstatowała. – Zmęczona i

zmartwiona. Kiedy Rainer ma się odezwać?

– Nie wiem. Musimy mu zaufać, że zrobi to, co najlepsze dla Zahry – odpowiedziała.

9 maja ogłoszono wiadomość o bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. W Śrinagarze rozpoczęło się wielkie świętowanie, choć Indiom wciąż zagrażała tocząca się na Pacyfiku wojna. Całą noc światła w najróżniejszych kolorach padały na czarną taflę jeziora, a następnego dnia rano z klubu wciąż dobiegała muzyka. Radości nie było końca.

Także pan Fanshawe postanowił uczcić zwycięstwo. Powiadomił wojskową i cywilną społeczność brytyjską, że nocą dziesiątego maja w ogrodach rezydencji odbędzie się przyjęcie.

– Proszę, przyjdź. Będę tam z Evanem i z Ianto. Przynajmniej na godzinę – Nerys błagała Caroline.

– Dobrze – zgodziła się w końcu.

Z wielkim wysiłkiem oddała *dhobi-wallah* swoją jedwabną suknię do wyprania i wyprasowania, włosy zakręciła na wałki i przetrząsnęła komódkę w łazience, w poszukiwaniu szminki, którą kiedyś podarowała jej Myrtle. Godzinę przed rozpoczęciem przyjęcia usiadła na krześle na werandzie, by zebrać siły. Było niezwykle duszno. Oparła głowę o poduszkę i wachlowała się gazetą.

Dźwięk otwieranej furtki wyrwał ją z zamyślenia. Przy ogrodzeniu stał nieznany jej mężczyzna. W ręku trzymał kopertę.

– To dla pani – powiedział łagodnie.

Na drżących nogach Caroline ruszyła w stronę ogrodzenia, wyciągając dłoń po list. Nie miała przy sobie pieniędzy, by dać posłańcowi wynagrodzenie, więc poprosiła, by zaczekał, ale mężczyzna już zamknął za sobą furtkę i zniknął. Caroline spojrzała na zaadresowaną kopertę. Dobrze znała ten charakter pisma. Coś mocno ścisnęło ją za żołądek.

Stojąc na werandzie, otworzyła kopertę.

Ravi pisał, że Zahra nie żyje.

Zniszczony pojazd Szwajcara znaleziono na dnie wąwozu. Nie odnaleziono jeszcze ciała, ale wszelkie dowody wskazywały na to, że pasażerowie samochodu zginęli.

Ravi był pewien, że chciałaby usłyszeć o tym, nim wiadomość zostanie podana do publicznej wiadomości. Przesyła wyrazy współczucia.

Caroline upuściła list. Bezgłośnie przeszła przez małe pokoje ich domku, wzrokiem śledząc wyblakłe kolory mebli, książki Ralpa o historii wojskowości i ich ślubną fotografię w białej ramce.

W łazience znalazła starą brzytwę do golenia. Ostrożnie odwinęła ją z kawałka materiału i patrzyła przez chwilę na błękitne ostrze. Przy uchwycie dostrzegła odrobinę zaschniętego mydła. Kiedy przyjrzała się uważniej, dostrzegła krótki włos z brody Ralpa. Poczowała zbierające się nudności, ale powstrzymała je. Następnie zdecydowanym ruchem przesunęła ostrzem, najpierw po jednym nadgarstku, potem po drugim.

Niedługo potem w ogrodzie brytyjskiej rezydencji dyrygent trzymał uniesioną batutę i kłaniał się tłumowi zebranemu na trawniku. Latarnie pobłyskiwały w gałęziach ogromnych drzew. Nagle rozległ się głośny świst i pierwszy zwycięski fajerwerk rozjaśnił niebo. Czerwone iskry rozprysły po niebie, a zadowolony tłum wiwatował.

Nerys podeszła do Evana i powiedziała:

– Powiedziała, że na pewno przyjdzie. Pójdę do niej i zobaczę, co się dzieje.

Evan nie lubił przyjęć i chętnie wyszedłby również z tego.

– Pójdę z tobą – powiedział ochoczo.

W oknach okolicznych domków było ciemno. Wszyscy świętowali zwycięstwo, albo w rezydencji, albo w mesie, w zależności od rangi, nawet służący skorzystali z okazji i zebrali się w domku służbowym, paląc i rozmawiając. Nerys i Evan przeszli wzdłuż uliczki, słodki zapach kwiatów z czyjś ogródka unosił się w powietrzu. Byli kilka metrów od domu Caroline, gdy usłyszeli hałas.

Drzwi wejściowe były zamknięte od środka, ale Evan uderzył w nie całym ciałem, aż zamek odpadł od framugi.

Łazienka lepiała się od zastygającej krwi pokrywającej podłogę, bielone ściany, emaliowane misy, ręczniki i chude ramiona Caroline, którymi obejmowała głowę. Jej blond włosy były splątane, a smugi krwi pokrywały wystające kości kręgosłupa. Caroline leżała zwinięta na ziemi, krzycząc wniebogłosy.

Evan był blady jak ściana.

– Idź do domku służących. Sprowadź pomoc – rozkazała mu Nerys.

Następnie klęknęła w kałuży krwi, próbując odciągnąć ramiona Caroline od jej głowy. Brzytwa, którą zaciskała w dłoni, upadła na podłogę.

– Miło z waszej strony, że przyjechałyście. Dziękuję – powiedział Ralph Bowen.

Myrtle i Nerys szły za Bowenem wzdłuż nabrzeża, gdy pasażerowie parowca *Euphemia* wsiadali na pokład, przeciskając się pośród rzeki kufrów i walizek niesionych przez setki robotników. Oddział żołnierzy w strojach koloru khaki wszedł na trap przy dźwiękach orkiestry wojskowej grającej na pokładzie rufowym. Panie w eleganckich sukienkach i kapeluszach z szerokim rondem wysiadały z samochodów. Nieznośna duszność lipcowej gorączki jeszcze bardziej nasilała odgłosy trąbienia, krzyki i dźwięki policyjnych gwizdków. Caroline z trudem uniosła głowę.

Kajuta Bowenów znajdowała się na górnym pokładzie. W środku znajdowało się niewielkie okno, z którego widać było łódź ratunkową wiszącą parę metrów dalej. Ciasny pokój był za mały na ogromny bukiet przysłany wcześniej przez McMinnów.

– Za to też dziękuję – powiedział Ralph, gdy przeczytał liścik, przesuając palcami po jednej z ciemnoczerwonych celozji.

Był bardzo chudy, resztki włosów zaczesał do tyłu, ale jego skóra już prawie odzyskała normalny odcień. Tak jak obiecano, wysłano go na wcześniejszą emeryturę wojskową i wręczono Krzyż Wojskowy za zasługi. Teraz Bowenowie wracali do Anglii.

– Może usiądziesz? – powiedział do żony.

Nie podnosząc głowy, dała się zaprowadzić na jeden z dwóch maleńkich foteli stojących przy okrągłym stoliku, niewiele większym od zwykłego pudełka na kapelusze. Poza fotelikami można było usiąść jedynie na kuszetkach. Caroline miała zabandażowane nadgarstki, ale ukrywała opatrunki pod rękawami swetra. Nieułożone włosy opadały jej na oczy.

Nerys i Myrtle stały, nie wiedząc, co mają zrobić.

– Może znajdziemy jakieś miejsce, gdzie można napić się herbaty? Chyba mamy jeszcze trochę czasu, zanim wypłyniemy – zaproponował Ralph.

Myrtle grzecznie odmówiła, a na jego twarzy pojawiła się ulga.

– Caroline? – powiedziała Nerys.

Kobieta w odpowiedzi uniosła głowę, ale błękitne oczy pokrywała mgła zamyślenia. Środki uspokajające, pod wpływem których była już od pewnego czasu, sprawiały, że jej reakcje były spowolnione. „Mogło być gorzej” – myślała Nerys. – „Ralph i lekarze mogli wsadzić ją w kaftan. Ale wtedy straż na statku mogłaby nie wpuścić jej na pokład”.

Żadna z nich nie była w stanie powiedzieć nic pocieszającego.

– Niedługo będziesz w domu. Odpoczywaj i ciesz się morskim powietrzem – wykrztusiła wreszcie Nerys. – Obiecujesz, że będziesz do nas pisać?

– Oczywiście – odpowiedziała Caroline głosem posłusznego dziecka.

– Do widzenia, moja droga. *Bon voyage* – powiedziała Myrtle.

Kiedy ją przytulała, jej zapach musiał przywołać jakieś szczęśliwe wspomnienie, ponieważ Caroline uśmiechnęła się niepewnie, a oczy jej pojaśniały. Nerys miała w torebce zdjęcie zrobione przez Rainera i przez krótką chwilę miała wrażenie, że Caroline znów jest tą śliczną dziewczyną z fotografii.

Zostawiły ją siedzącą w małym fotelu, rozpaczliwie wpatrującą się w bukiet kaszmirskich kwiatów.

Ralph wyszedł za nimi z kajuty, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Przechodząc przez długi korytarz, patrzyli, jak ludzie cieszą się czekającą ich podróżą. Bagażowi wnosili walizki i kufry na pokład.

– Byłyście bardzo życzliwe dla Caroline, szczególnie gdy... zachorowała – powiedział szybko.

– To wyłącznie zasługa Nerys. Ja przez cały ten czas byłam w Delhi – powiedziała Myrtle.

– Żałuję, że to biedne dziecko nie żyje. – Po chwili dodał. – Mam nadzieję, że Caroline niedługo wyzdrowieje. Jestem przekonany, że w tej sytuacji tak będzie dla niej najlepiej. Jest bardzo wrażliwa, nawet najdrobniejsza rzecz...

Nerys chciała mu coś odpowiedzieć, ale Myrtle położyła rękę na jej ramieniu.

– Opiekuj się nią – powiedziała tylko.

Ralph pokiwał głową.

– Jej macocha i ja wszystko już ustaliliśmy. Gdy dopłyniemy do Anglii, Caroline trafi do domu opieki, gdzie będzie mogła odpocząć.

– Może to nie będzie potrzebne, gdy nawdycha się morskiego powietrza podczas podróży. I dobrze zrobi jej zobaczenie Anglii latem – powiedziała z nadzieją Nerys.

Zdjęcia zbombardowanych miast i wycieńczonych ludzi na pewno nie były pełne słońca ani optymizmu, ale wszyscy, którzy mieszkali w Indiach, wciąż trzymali się wspomnień o rodzinnym kraju sprzed wojny.

Ralph milczał.

Myrtle zapewniła go, że nie musi odprowadzać ich do trapu, a Ralph przyznał, że nie powinien zostawiać Caroline samej na zbyt długo. Uścisnął ręce obu kobietom i jeszcze raz im podziękował.

Odwrócił się i poszedł w stronę zamkniętych drzwi do kajuty.

Nerys i Myrtle nie mówiły zbyt wiele, póki nie znalazły się w zakurzonej taksówce jadącej z powrotem do ich hotelu. Przejechały pod Bramą Indii.

– Wszyscy wiemy, że Zahra żyje – powiedziała w końcu Nerys.

Myrtle wciąż patrzyła na riksze i wozy zaprzężone w woły, przez

które próbował precyzyjnie się ich kierowca.

Nerys nie odpuszczała.

– To jedna z jego sztuczek. Wszystko ustawił, łącznie z wypadkiem samochodowym, by Ravi Singh przestał ich ścigać. Wiem, że to zrobił. Rainer przyrzekł mi, że Zahra będzie bezpieczna, a ja wiem, że on dotrzymuje słowa.

Minał miesiąc, odkąd ogłoszono znalezienie auta w wąwozie. Przez cały ten czas powtarzała sobie, że wypadek był klasycznym przypadkiem zwiedzenia lub odwrócenia uwagi. Ale mijał dzień za dniem, a Rainer wciąż się nie odzywał.

– Nie wiem – powiedziała cicho Myrtle. – Może powinniśmy zacząć przyzwyczajając się do myśli, że oni nie żyją.

– Nie – powiedziała Nerys zdecydowanie.

Nigdy nie odnaleziono ciała. Plotka głosiła, choć nikt, nawet pan Fanshawe, nie wiedział nic na pewno, że na dzikich terenach mogło im się przydarzyć właściwie wszystko. I taką wersję gotowa była przyjąć policja. Po zbadaniu krwi, splądrowanego bagażu, ale przede wszystkim w obliczu braku innych dowodów, władze doszły do wniosków, że ofiarami wypadku były trzy osoby.

– Nie – powtórzyła Nerys.

„Zahra, Prita i Rainer są gdzieś, żywi i bezpieczni”. Przyzwyczała się już do przedłużających się nieobecności Rainera. Przyjeżdżał i wyjeżdżał zgodnie z własnym widzimisię. Robił tak, odkąd go poznała, i wiedziała, że to nigdy się nie zmieni. Nie chciała za niego wyjść ani zamieszkać z nim, nawet gdyby była wolna, ponieważ wtedy Rainer musiałby stać się inny człowiekiem. Początek ich związku byłby jednocześnie początkiem jego końca. I mimo że tęskniła za nim w każdej sekundzie swojego życia, nie chciała, by było inaczej.

Powód, dla którego się nie odzywał, był w jej mniemaniu prosty. Przyjedzie. Przecież udało mu się dotrzeć do Kanihamy, mimo tego, że był ranny. Wtedy dotrzymał słowa. Teraz na pewno będzie tak samo.

Kiedy ostatnio go widziała, dotknął ustami jej czoła. „Będzie bezpieczna. Nie martw się, jeśli przez jakiś czas nie będzie wieści.

Wróćę, obiecuję”.

Dotarli do małego hotelu, ale zamiast wrócić do pokoju, gdzie stary wiatrak nie chłodził, tylko młócił rozgrzane powietrze, poszły do baru obok hotelowego lobby. W mosiężnych donicach rosły palmy, a w powietrzu unosił się zapach papierosowego dymu. Młody kelner, gdy tylko je zobaczył, podszedł żwawym krokiem, uśmiechając się przyjaźnie na przywitanie.

Nerys bardzo chętnie napiłaby się ginu, ale ostatnimi czasy Myrtle pijała jedynie lemoniadę, więc zamówiła to samo.

Czułość kelnera przypomniała jej o Faridzie, która codziennie siedziała na schodku przed domem w Kanihamie. Patrzyła na górską drogę i rzadko przejeżdżające samochody. Kiedy tylko ktoś pojawiał się we wsi, biegła na powitanie, w nadziei, że tym razem ktoś przywiózł Zahrę.

Ta myśl tak zasmuciła Nerys, że zawstydziała się swej egoistycznej tęsknoty za utraconym dzieckiem.

Myrtle zapaliła papierosa i stuknęła wysoką szklanką o szklankę Nerys, jakby piły drinki w barze nad jeziorem, w Klubie Śrinagar. Wypuściła z ust dym i oparła się o krzesło, wzdychając.

– To było bardzo smutne pożegnanie – powiedziała. – Ale musiałyśmy tu przyjechać.

Nerys mogła jedynie przytaknąć.

– Odwiedzę ją, kiedy tylko Evan i ja wrócimy do domu. Jestem pewna, że w Anglii szybko dojdzie do siebie. Wtedy na pewno będziemy już mieć jakieś wieści na temat Zahry, które będę mogła jej przekazać.

Myrtle spojrzała na przyjaciółkę. Bardzo schudła, policzki jej się zapadały, ale i tak zachowała w sobie radość i optymizm. Była ładna. Mężczyźni wciąż obracali się na jej widok, gdy szła ulicą.

– Być może. Masz jeszcze jakieś inne wieści?

Nerys nie mogła już dłużej zwlekać; oznajmiła, że już za miesiąc opuszcza z Evanem Śrinagar. Za zgodą głównego ośrodka misyjnego i zgodnie z życzeniem Evana przejadą przez Kargil i Leh, spotykając się

ze starymi znajomymi, a potem przemierzają górskie przesmyki, jak wcześniej, i dojadą do Manali. „Trudy tamtej podróży nie będą nękać nas tak bardzo tym razem”, pomyślała Nerys. Wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić do braku luksusów.

– Pamiętasz naszą podróż do Śrinagaru? – zapytała z rozrzewnieniem na twarzy Myrtle.

– Będę ją pamiętać do końca życia. Nie wiedziałam, kim naprawdę jestem, póki nie poznałam ciebie – powiedziała Nerys.

Wiedziała, jak wiele zawdzięcza McMinnom.

Tyle się zmieniło od tamtej pory. Archie znalazł tymczasową pracę administracyjną w kolejnictwie i wykorzystywał znajomość inżynierii do skonstruowania wózka, na którym sam będzie mógł się poruszać. Poroża jelenia, które zdobył podczas polowania w Ladakhu, zajęły zaszczytne miejsce na ścianie w ich domu w Delhi. Nie było już możliwości, by wyjechać na polowanie czy spędzić wczasy nad jeziorem w Śrinagarze.

– Wszystko mija – powiedziała Myrtle, znów odwracając wzrok. – Chciałabym, żebyście zostali w Indiach.

– Ty i Archie zamierzacie zostać?

– Niczego już nie planujemy – odpowiedziała Myrtle.

Ze swojego miejsca Nerys widziała lobby i drzwi frontowe strzeżone przez mężczyznę w ciemnoczerwonym turbanie i długim płaszczu. Drzwi były otwarte. Gęste od kurzu powietrze drgało w upale. Tłumy Indusów, przedstawicieli wszystkich klas i religii wymieszanych z żołnierzami różnych narodowości, którzy pojawili się tu w wyniku demobilizacji; piesi musieli nurkować między przepelnionymi autobusami i wozami ciągniętymi przez robotników. Cały ten tłum codziennie przechodził tuż obok *chai-wallah*, który siedział na krawężniku ze swoim piecykiem i blaszanymi kubkami, patrząc w nicość i uśmiechając się tajemniczo.

Kilkaset metrów dalej znajdował się Victoria Terminus, dworzec kolejowy w Bombaju, z łukami wielkimi jak w katedrze. Jutro Nerys wsiądzie tam do pociągu na północ, a Myrtle wróci do Delhi.

Nerys zrozumiała, że kocha Indie i że będzie tęsknić za wszystkim, co tu przeżyła.

Otrząsnęła się z zamyślenia i sięgnęła do torby po paczuszkę owiniętą kawałkiem płótna. Odchyliła fragment płótna i pokazała Myrtle szal.

– Miałam oddać go Caroline, zanim wypłynęli. Ale nie mogłam znaleźć odpowiedniej chwili.

– Racja – przyznała Myrtle.

Caroline była pewna, że jej córka nie żyje, a szal z Kaszmiru przypominałby o jej stracie.

– Sama przechowam go dla Zahry – postanowiła Nerys.

– Dobrze.

– Zaszalejemy i zamówimy kolejną lemoniadę? – zapytała.

– Jestem za – powiedziała uśmiechnięta Nerys.

W brązowej kopercie, która leżała w jej torebce, znajdował się pukiel włosów Zahry. Nie powiedziała o tym Myrtle. Pukiel był jej talizmanem, jedyną rzeczą łączącą ją z uśmiechniętą małą dziewczynką, która podbiegała do niej, krzycząc: „Ness! Ness!”.

Jezioro było gładkie jak lustro. Evan i Nerys wybrali się na rejs *shikarą* do ogrodu Shalimar, ponieważ był to ich ostatni wieczór w Kotlinie Kaszmirskiej.

W domu misyjnym książki Evana oraz kilka ważniejszych mebli i akcesoriów kuchennych czekały już przygotowane do wysyłki do Walii. Ich walizki i koszyki pełne zapasów miały trafić do autobusu. Już wkrótce mieli wsiąść na kucyki i zacząć długą wspinaczkę na wyżyny Zoji La aż do Ladakhu.

Pierwsze dni sierpnia pokryły już liście platanu żółtawym odcieniem, a nad starym miastem unosił się jesienny dym w lawendowym kolorze. Kiedy dotarli do najwyższego tarasu, odwrócili się, by spojrzeć na rozpościerający się przed nimi widok. Małe łódki na wodzie z tej odległości wyglądały jak pływające żuczki, pływające

ogrody pełne były warzyw i owoców, a nad tym wszystkim rozciągały się fioletowo-szare góry.

Evan wciąż kasłał. W tym roku kilka razy złapał różne infekcje układu oddechowego i Nerys poważnie obawiała się, że jego zdrowie i siły mogą nie być wystarczające na tak długą i męczącą podróż.

– Nie masz się czym martwić – zapewniał, gdy tylko próbowała z nim o tym porozmawiać.

Spojrzała teraz na jego profil. Jak zawsze myślał o pracy, misji i woli Najwyższego. Podróże rowerem dookoła Śrinagaru z pewnością go wzmocniły. Ale był taki nieśmiały i niezdarny... Poczul jej wzrok na sobie i odwrócił się. Oznajmił, że niedługo będzie musiał wrócić, ponieważ musi jeszcze porozmawiać o paru sprawach z Ianto Jonesem.

Nerys pokiwała głową ze zrozumieniem i razem zaczęli schodzić po schodach. Wzięła go pod rękę, a on przycisnął do siebie jej dłoń i trzymał, gdy szli na dół.

Usiedli na poduszkach pod zasłonami w kwiatowe wzory i wdychali zapach jeziora. Przewoźnik odepchnął łódkę od brzegu. Nerys spojrzała na niego i zauważyła, że wiosło trzymał przyciśnięte do klatki piersiowej. Odwrócone pióro tworzyło kształt serca. To wspomnienie przeszło ją niczym ostrze noża.

Już prawie trzy miesiące.

Rainer, Prita i Zahra.

„Zniknął, jakby rozplynał się w powietrzu”.

Cierpiała, jak nigdy dotąd, ale trzymała to głęboko w sobie. Nikomu nie mówiła o swej tęsknocie i bólu. Za Rainerem, za dzieckiem. Tylko dzisiejszy wieczór, ostatni w tym pięknym miejscu, trochę ją przerósł.

Odwróciła głowę, by Evan nie mógł zobaczyć jej twarzy i utkwiała wzrok w rzędzie domów na barkach stojących przy brzegu.

Rozdział Siedemnasty

Niewielki błękitny płomień migotał na silnym wietrze. Jeden z mężczyzn pochylał się nad nim, ustawiając garnek na palniku. Jego kompan leżał w śpiworze, z zamkniętymi oczami, podczas gdy burza targała rozpiętym nad nimi płótnem. Namiot nadał się jak płuca podczas wdechu, a następnie jego ściany znów wróciły na swoje miejsce. Próba przekrzywienia tego hałasu wymagała zbyt wiele energii.

W garnku rozpuściło się tyle śniegu, by każdy z nich mógł zjeść po kubku zupy z proszku. Jeden z mężczyzn trzymał w rękach dwa cenne kubki, ponieważ drugi uparł się, by rozpiąć wejście do namiotu. Śnieg zaczął sypać się do środka i tylko mocno wbite kołki trzymały namiot w miejscu. Głupotą było myśleć, że w takiej pogodzie uda mu się dostrzec kogokolwiek. Z trudem zasunął zamek przy klapie wejściowej.

Pochylili się nad zupą.

– Która godzina?

– Kwadrans po szóstej.

Minęły trzydzieści dwie godziny, odkąd mężczyzna, do którego zwracali się per Martin Brenner, i jego kompan wyruszyli z ich małego obozowiska. Na wysokości sześciu kilometrów znajdowali się półtora kilometra nad obozem, który rozbili u podnóża lodospadu Rakhiot. Odkąd trzech himalaistów i Pasang Pemba, najsilniejszy i najbardziej doświadczony z Szerpów, opuścili obozowisko, powoli wspinali się pod górę. Był środek lipca, ale pogoda była koszmarna. Śnieg padał każdego

dnia, zasypując pieczołowicie wycięte w lodzie stopnie. Miejscami zrywał też liny przymocowane do haków.

Rankiem poprzedniego dnia Martin i Pasang Pemba wyszli z obozu, by zbadać formację skalną, którą nazwali Murzyńską Główką. Ta brzydka i trudna do pokonania ściana blokowała im dostęp do przełęczy i znajdującego się za nią szczytu, chociaż sam szczyt właściwie przez cały czas przesłaniały chmury.

Wczoraj rano, gdy się obudzili, niebo było wyjątkowo bezchmurne, a szczyt nad nimi pięknie rysował się na błękitnym tle.

– Chodźmy – powiedział Martin do Pasanga.

Oni byli tą silniejszą parą. Zabrali ze sobą niewielkie ilości jedzenia i zabezpieczeń, planując wspinanie się na skałę, ocenę, na ile poważną przeszkodą była, a następnie powrót do obozowiska i przygotowanie do dalszej podróży. Następny obóz będą musieli rozbić nad Murzyńską Główką.

Martin zapewnił dwóch Amerykanów, że wrócą wieczorem.

Mężczyźni wyruszyli w górę skalnej ściany, powoli wspinając się coraz wyżej, aż w końcu widać było jedynie dwie czarne kropki poruszające się po skałach i śniegu. Później zniknęli.

Wczesnym popołudniem złowrogo wyglądający *nimbus*³³ przesłonił słońce. Zaczął wiać wiatr, a nad szczytami znów zebrały się chmury. Dwaj Amerykanie czekali i wypatrywali Martina i Pasanga, ale kiedy zrobiło się ciemno, musieli schować się w bezpiecznym schronieniu ich namiotu. Czekali całą noc i cały następny dzień, ale burza tylko przybierała na sile. Nie mogli się cofnąć ani pójść naprzód. Młodszy z nich odczuwał bóle w klatce piersiowej i miał zawroty głowy.

Starszy leżał tak cicho, jak tylko mógł, próbując ocenić sytuację.

Brunner i Szerp wzięli ze sobą niewielkie zapasy. Musieli więc biwakować na otwartej przestrzeni, a zbliżała się kolejna noc. Nie daliby rady przetrwać dwóch nocy z rzędu w tak trudnych warunkach.

Kiedy burza nieco się uspokoi, chciałby pomóc swojemu

33 Nimbus (łac.) – chmura deszczowa.

kompanowi zejść na dół, gdzie przy pierwszym obozowisku czekało na nich wsparcie. Jeśli im się to uda, będą mieli dużo szczęścia. Nie było mowy o próbie wysłania ekipy ratunkowej.

Prawdopodobnie Martin Brunner i Pasang Pemba będą kolejnymi ofiarami Nanga Parbat.

Mężczyzna przypomniał sobie radę konsula amerykańskiego w Kalkucie, który ostrzegał ich, by nie ryzykowali czegoś, co może mieć tragiczne konsekwencje. Oczywiście konsul miał na myśli również kwestie polityczne, ponieważ wydanie pozwolenia na kolejne amerykańskie ekspedycje zależało do pewnego stopnia od uniknięcia tragedii podczas tej wyprawy. Nie uważał, że byli nieostrożni. Po prostu zabrakło im trochę szczęścia.

Martin Brunner był zupełnie inną osobą. Wspinał się z ogromną siłą i determinacją, jak maszyna, a skupienie na dotarciu do celu sprawiało, że nie dbał ani o pogodę, ani o siebie.

– Jeśli będę musiał iść sam, to pójde – powiedział kiedyś. – Ale dotrę na szczyt.

Mężczyzna rozumiał jego determinację. Wiedział, że Martin był już wcześniej na tej górze. Podczas wyprawy jego kompan zginął pod lawiną.

Martin wrócił na Nanga Parbat dla chłopaka imieniem Matthew Forbes i dla jego rodziny, ale również dla samego siebie. Zawsze otwarcie o tym mówił. Jego obecna ekipa wiedziała, że to prawdopodobnie jego ostatnia próba zdobycia szczytu. Podczas wojny władze brytyjskie kilka razy odmówiły mu pozwolenia na wspinaczkę, ale później zmienił nazwisko.

Na nowym pozwoleniu, pierwszym wydanym po zakończeniu wojny w Europie, widniało nazwisko Martina Brunnera i tak też nazywali go członkowie ekipy. Nie trzeba jednak było wielkiego wysiłku, by domyślić się, że nie jest ono prawdziwe. Już wkrótce nie można będzie sobie pozwolić na takie fałszerstwo. Świat powoli wracał do normalności.

– Skończą się sekrety, skończy się ukrywanie. Wszystkich będą

sprawdzać i legitymować, jeszcze bardziej niż przedtem – mówił Brunner. – Cieszymy się więc tymi sztuczkami, póki możemy.

Trzęsąc się z zimna, mężczyzna położył się z powrotem w śpiworze. Musiał chwilę odpocząć.

Ze snu wybudził go hałas. Coś spadło obok namiotu. Usłyszał głos. Wiatr się uspokoił i ściany namiotu poruszały się delikatnie. Wyczołgał się ze śpiwora i otworzył suwak przy wejściu do namiotu. Męski but zagradzał mu drogę, a na śniegu przed wejściem leżał jakiś człowiek.

– Martin? Pasang?

Człowiek poruszył się i jęknął. Mężczyzna rozpoznał Pasanga Pembę.

Amerykanie wciągnęli go do namiotu. Mężczyzna był ledwie żywy, ale podali mu coś słodkiego do picia i ogrzewali między sobą jego ciało. Kiedy zdjęli mu rękawiczki, zobaczyli, że odmroził sobie kciuki i końcówki palców. Straci je, ale przeżyje.

– Martin? – zapytał łagodnie mężczyzna.

Szerpa pokręcił głową. Zamarznięte palce narysowały w powietrzu poziomą linię.

Ponad pół kilometra wyżej, u stóp skalistej ściany, zaspą śnieżną zaczęła się poruszać i wyłonił się z niej człowiek.

Nie czuł już bólu, mimo że podczas upadku złamał nogę. Czuł ciepło, majaczył, jego wizje były niezwykle wyraźne i pełne detali. Znów widział Śrinagar, w pełni lata, a w lustrzanej tafli wody odbijały się góry i miasto leżące u ich stóp. Mała dziewczynka biegła w stronę kobiety, wykrzykując jej imię.

Rainer ocknął się na chwilę. Znów zapadła noc, ale przynajmniej teraz nie było wiatru, a nad jego głową świeciły gwiazdy.

Z wielkim trudem odwrócił głowę i odkrył, że jest sam.

Pasang poszedł. To dobrze. Szerpa dotrze do obozowiska, jeśli będzie miał szczęście. Był silnym człowiekiem. Ale popełnił błąd.

Głowa Rainera znów opadła na jego klatkę piersiową.

Poczucie winy z powodu niespełnionej obietnicy brzęczało mu w uszach. Ale nie mógł już jej spełnić. W jego głowie znów pojawiły się kolorowe obrazy i postanowił im się poddać.

Poruszył ustami, wypowiadając cicho jedno słowo.

– Nerys.

ROZDZIAŁ Osiemnasty

Mair spędziła święta z Dylanem, Jackie i ich córeczką. Tuż przed świętami podjęła pracę w księgarni. Po Nowym Roku Hattie i jej chłopak polecili na dwa tygodnie na Karaiby. Kiedy wrócili, opaleni i uśmiechnięci, Mair wiedziała, że jej przyjaciółka znalazła mężczyznę, o którym marzyła. Doskonale się rozumieli i chyba bardzo kochali. Mair śmiała się, słysząc, jak nadają sobie pieszczotliwe przezwiska. Hattie tylko się uśmiechała.

– Wiem, wiem. Ale podoba mi się to. Nigdy nie sądziłam, że będę chciała się ustatkować, ale...

– Czy bycie z kimś musi zaraz oznaczać nazywanie go Edbo, zamiast po prostu Ed?

Przyjaciółka uniosła brew.

– Wydaje mi się, że jesteś zazdrosna.

– Oczywiście, że jestem – zaśmiała się Mair.

Właściwie nic się nie zmieniło w relacjach między nimi. Hattie była taka sama jak dawniej. Tyle tylko, że nie miała już czasu wyłącznie dla swej przyjaciółki, co Mair trochę bolało, ale doskonale rozumiała, że Hattie chce teraz każdą wolną chwilę spędzać ze swoim chłopakiem.

Mair próbowała przekonać samą siebie, że jest zazdrosna o to, że Ed ma Hattie niemal na wyłączność, a nie o to, że są w sobie zakochani.

Hattie oczywiście dostrzegła rozterki przyjaciółki. Zaczęła nawet, w żartach, sugerować, że Mair mogłaby znaleźć nowe hobby, założyć

profil na portalu randkowym albo spotkać się z którymś z byłych chłopaków.

– Nie ma mowy.

– W ogóle się nie starasz.

– Może zapiszę się na warsztaty robienia makramy, co ty na to?

– Faktycznie podniecające.

Ale chwilę potem Hattie spoważniała.

– Mair, czy ty chcesz z kimś być?

– Tak – odpowiedziała Mair po chwili namysłu. – Ale jednocześnie nie.

Nie chciała wdawać się w szczegóły. Zresztą nie było żadnych szczegółów, poza zwykłą tęsknotą, której sama sobie nie potrafiła wyjaśnić. Czuła tylko narastający niepokój i nie potrafiła się na niczym skupić.

W lutym Mair dowiedziała się, że Tal i Annie spodziewają się dziecka, więc przesłała im gratulacje. Dostała lakoniczną odpowiedź od Tala, który pisał, że przydałaby mu się jeszcze jedna para rąk przy jagniętach. Wróciła myślami do ostatniego wieczoru w starym domu, kiedy po raz pierwszy zobaczyła szal, a potem owce na wzgórzu beczące za utraconymi jagniętami.

Na zewnątrz panował siarczasty mróz, a śnieg leżał na ziemi już od ponad miesiąca. Liczba klientów księgarni spadła prawie do zera. Mair zaczęła się obawiać o swą dopiero co zdobytą pracę. Właścicielka księgarni nie pałała wielkim optymizmem, ale starała się zachować emocjonalny dystans.

– Poczekajmy do wiosny i wtedy zobaczymy. Jeśli wiosna kiedykolwiek nadejdzie – powiedziała do Mair.

Perspektywa utraty pracy nie martwiła Mair już tak mocno, jak kiedyś, ale za to pojawiło się nowe uczucie: niestałości i dystansu do wszystkiego, jakby czegoś brakowało w jej życiu, a ona coraz mniej starała się tę pustkę wypełnić. Zajmowała się monotonną pracą w księgarni, spotykała ze znajomymi, zaczęła nawet chodzić do siłowni. Poprawa kondycji i giętkości pozwalała zapomnieć jej o innych

potrzebach.

Wielokrotnie czytała też listy swojej babci.

W sumie było ich trzydzieści. Zostały napisane między 1945 a 1960 rokiem. Mair otwierała je bardzo ostrożnie, by nie przerwały się na zagięciach, w pamięci rysowała daty i kolejność wydarzeń. Doszła do wniosku, że brakuje paru listów, ponieważ kilka zdarzeń, które opisywała Nerys, odnosiło się do czegoś, czego wcześniej nie czytała.

Mair nie mogła przestać myśleć o swej babce. Nerys stała się jej codzienną towarzyszką. Zrozumiała też lepiej Caroline i bardzo jej współczuła. Ta starsza pani mieszkająca w cichym domku na przedmieściach Śrinagaru to przecież ta sama osoba, która przebywała tak długi czas czasu w szpitalu psychiatrycznym, gdzieś w okolicy Malvern Hills.

W pierwszym liście, który Mair przeczytała, lecąc ze Śrinagaru do Delhi, jej babcia próbowała pocieszyć chorą przyjaciółkę. Nerys pisała z Shillong w stanie Asam we wrześniu 1945 roku. W liście wyrażała nadzieję, że angielskie pejzaże choć trochę pomagają Caroline. Potem opisywała upalne dni w Indiach i epidemię, która dotknęła szpital misyjny. Bardzo tęskniła za domem i marzyła o tym, by znów zobaczyć walijskie wzgórza. Nie była w rodzinnym domu już od sześciu lat. Pisała też oczywiście o Myrtle, czerwonoustej piękności z fotografii, i jej mężu. McMinnowie wyjechali w góry, by trochę odpocząć od upału, ale Archie musiał wracać do pracy w Delhi. „Myrtle cierpi, lecz nie daje tego po sobie poznać. Oboje nie dają. Są bardzo dzielni”.

W liście nieustannie powracało imię „Rainer”. Nerys pisała, że wciąż nie ma od niego żadnych wiadomości, ale ani na chwilę nie przestawała wierzyć, że mężczyzna dotrzyma słowa. Zawsze dotrzymywał. Zahra z pewnością jest bezpieczna pod jego opieką. Nerys zapewniała swą przyjaciółkę, że gdy tylko Rainer uzna, że sytuacja jest opanowana, a zagrożenie minęło, na pewno da znak, że są cali i zdrowi. Nerys wciąż snuła plany na przyszłość związane z Zahrą. Obiecywała, że dopilnuje, by mała dotarła jak najszybciej do Anglii. Caroline już wtedy wyzdrowieje... „Urządzimy sobie piknik, będziemy siedzieć na trawie

na brzegu rzeki, ty, ja i mała Zahra. Nie trać nadziei, Moja Droga. Oczywiście Ralph o niczym się nie dowie, jeśli tego się obawiasz”.

W części dotyczącej Rainera i Zahry wyczuwało się silne emocje. Mair odnosiła wrażenie, że Nerys za wszelką cenę próbowała przekonać siebie i Caroline, że wszystko dobrze się skończy. „Odpoczywaj, Droga Caroline, i pozwól lekarzom się sobą zaopiekować. Wkrótce wyzdrowiejesz i wrócisz do nas. Napisz do mnie, kiedy będziesz miała ochotę. Twoja Nerys”.

Mair spojrzała na adres na kopertach: Pani Caroline Bowen, Oddział Carteret, Calderton Hall, Calderton, Malvern.

Pierwsza informacja, jaka się pojawiła, gdy wpisała w wyszukiwarce hasło „Calderton Hall”, była to broszura inwestora budowlanego. Oczom Mair ukazały się zdjęcia surowej budowli z szarego kamienia stojącej na rozległej przestrzeni, którą teraz podzielono na luksusowe apartamenty. Ich ceny były astronomiczne. Nie było żadnej wzmianki o historii tego miejsca po tym, jak spadkobiercy Caldertona sprzedali je w połowie dziewiętnastego wieku. Mair szukała wnikliwie dalej, aż dotarła wreszcie do informacji, że przez ponad sto lat posiadłość funkcjonowała jako szpital psychiatryczny.

Kolejne poszukiwania zawiodły Mair do świata pełnego ponurych zakładów psychiatrycznych, gdzie rodziny zostawiały swoich obłąkanych, cierpiących na depresję lub czasem po prostu niewygodnych krewnych, a potem o nich zapominały. Wczytywała się w historię takich zakładów i w smutne przypadki chorób psychicznych. Zaczęła nawet zamawiać książki temu poświęcone. Szpital Calderton Hall zamknięto ponad dziesięć lat temu, po ujawnieniu informacji o niehumanitarnym traktowaniu pacjentów. Kilka osób przebywało tam nawet pięćdziesiąt lat, oczywiście nie wszyscy pacjenci byli tak szaleni, jak sądzono. Hospitalizowano tam przede wszystkim społecznych odludków lub matki bękartów.

Sympatia Mair dla Caroline urosła do tego stopnia, że czuła się, jakby była jej przyjaciółką, choć kolejność zdarzeń jej życia, które zaprowadziły ją do Calderton, a potem znów do Śrinagaru, Mair

odgadła jedynie na podstawie listów babci.

Caroline musiała przejść załamanie nerwowe w Indiach, a po powrocie do Anglii jej mąż od razu wpisał ją na listę pacjentów oddziału zamkniętego w Calderton.

Mniej więcej zgadzało się to z tym, co powiedziała jej Caroline, a dziwne zachowanie Aruny, służącej, pielęgniarki i strażniczki w jednej osobie, zaczęło teraz nabierać sensu. Caroline prawdopodobnie była w szpitalu przynajmniej do 1960 roku, ponieważ taka była data ostatniego listu Nerys, lub ostatniego, który Caroline zachowała.

Ten był krótki i napisany z tego samego adresu w północnej Walii, co kilka ostatnich:

Mam bardzo złe wieści. Pięć dni temu mój Evan zmarł na zapalenie płuc. Pochowaliśmy go wczoraj. Jak wiesz, od naszego pobytu na wschodzie nigdy nie cieszył się dobrym zdrowiem. Umierał w spokoju, byłam z nim przez cały czas, a Gwen zdołała się pożegnać, gdy jeszcze był przytomny. Będziemy za nim tęsknić.

Nerys

„Gdybym tylko mogła porozmawiać z mamą”, pomyślała Mair. „Gdyby którekolwiek z nas pomyślało o zapytaniu jej o babcię”.

Spojrzała na szal tęsknym wzrokiem. Leżał na swoim miejscu zawieszony na oparciu krzesła. Widziała go za każdym razem, gdy podnosiła głowę znad laptopa. Piękne kolory błyszcząły jeszcze mocniej w słońcu odbijającym się od leżącego za oknem śniegu. Szal, pukiel włosów i listy były jedynymi łącznikami z historią pełną niedopowiedzeń.

W jednym z listów Nerys opisywała swą radość z powrotu do Walii. W 1950 roku donosiła o szczęśliwych narodzinach córeczki. Potem opisywała szczegóły życia w Walii, próbując w jakiś sposób pomóc Caroline w utrzymaniu kontaktu ze światem zewnętrznym. Coraz

rzadziej jednak wspominała o Rainerze i Zahrze, a pewność tego, że się kiedyś pojawią, powoli przybierała formę cichej akceptacji tego, co mogło się wydarzyć.

Mair przeglądała listy tak często, że kilka z nich znała już na pamięć, ale i tak nie była w stanie odnaleźć innych wskazówek, które pomogłyby w pełni poznać historię jej babci.

Miała teraz dużo wolnych wieczorów, więc wolny czas poświęcała na szukanie ważnych dla niej informacji w Internecie. Zasoby Archiwów Państwowych doprowadziły ją w końcu do dokumentów wojskowych kapitana Ralpa Bowena. Wyczytała, że został odznaczony za odwagę podczas walk w Birmie i honorowo zwolniony z wojska w 1945 roku. Zmarł w 1978 roku, przyczyna śmierci nie została podana. Nigdzie nie było wzmianki o żonie. Biedna Caroline została całkowicie wymazana z jego życia.

Przeszukując rejestry rodzin szkockich udostępnione w Internecie, po wielu nieudanych próbach udało jej się w końcu odnaleźć Archibalda Frasera McMinna z Indyjskich Kolei. Jego żona, Myrtle, z domu Brightman, zmarła pierwsza, Archie żył do lat siedemdziesiątych, zmarł w Edynburgu. McMinnowie nie mieli dzieci. Nic więcej Mair nie udało się o nich dowiedzieć.

Po uporządkowaniu wszystkich informacji Mair doszła do wniosków, że Zahra musiała być dzieckiem Caroline, ale okoliczności towarzyszące porodowi były trzymane w tajemnicy nawet przed jej mężem. Zahre z jakiegoś powodu powierzono Rainerowi pod opiekę, a potem on i dziewczynka zniknęli.

Jeśli ta teoria była prawdziwa, Zahra najprawdopodobniej nie żyła. To, że Aruna zbesztala Mair za przypominanie Caroline o utraconej córeczce, tylko ją utwierdzało w tym przekonaniu.

Wpisując nazwisko Rainera w wyszukiwarce, nie znalazła nic poza krótkimi wzmiankami o sztuczkach magicznych i o przedwojennych wyprawach w góry. To wszystko.

Podczas godzin spędzanych w pracy Mair przekazywała zaciekawionej Mandy, właścicielce księgarni, odkryte przez nią

fragmenty historii szala.

– To niesamowite – powiedziała Mandy, nim Mair poszła na zaplecze, by rozpakować nową dostawę. – Tyle czasu i wysiłku włożyłaś w odkrywanie jego historii, byłaś w Kaszmirze. Może powinnaś teraz napisać o tym książkę?

Mair rozejrzała się dookoła. Książki stały w rzędach, ich grzbiety przypominały kolorowe liście. Było ich mnóstwo, za dużo, a historia szala była jej własną, prywatną historią.

– Chyba nie – odpowiedziała Mair.

Gdy wreszcie nadeszła spóźniona wiosna, w księgarni znów zaczęli pojawiać się klienci.

Mair postanowiła spędzić krótki urlop ze znajomymi w Hiszpanii. Miesiąc później przyjechała do Birmingham na trzydzieste dziewiąte urodziny Eirlys.

– Ani słowa o przyszłorocznych urodzinach – ostrzegła nieznoszącym sprzeciwu głosem Eirlys.

Ona i Dylan chcieli koniecznie przeczytać listy Nerys i zobaczyć raz jeszcze zdjęcie trzech kobiet na werandzie domku na łodzi, teraz w zupełnie nowym świetle. W ciszy wysłuchali opowieści Mair o jej kolejnych odkryciach.

– W tamtych czasach zakłady psychiatryczne barbarzyńsko traktowały swoich pacjentów – przyznała Eirlys. – Gdy mąż Caroline zmarł, a opieka psychiatryczna się polepszyła, pewnie odetchnęli z ulgą, mogąc wypisać ją do domu. Kiedy szpital dostał nakaz zamknięcia, tak było im wygodniej. Jaka się zachowywała, gdy spotkałaś ją w Kaszmirze?

– Była bardzo słaba – powiedziała Mair, wspominając cichy pokój w Śrinagarze. – Zapomniała o wielu rzeczach. Ale na pewno nie była obłąkana.

Eirlys pokiwała głową.

Któregoś z upalnych czerwcowych dni zadzwoniła Hattie, by zapowiedzieć, że wpadnie do niej na lampkę wina zaraz po pracy. Mair dawno nie widziała się z przyjaciółką, więc teraz nie mogła doczekać się

jej wizyty. Gdy tylko się pojawiła, usiadły na kuchennych stołkach blisko siebie. Mair rozkoszowała się smakiem wina i cierpliwie czekała. Hattie z pewnością chciała jej coś ważnego powiedzieć. Nie myliła się.

– Ed i ja chcemy się pobrać – wykrztusiła wreszcie Hattie.

Mair przytuliła przyjaciółkę, wyrażając w ten sposób swą radość. Była przekonana, że Hattie i Ed są dla siebie stworzeni i szczerze cieszyła się ich miłością. Od dawna nie widziała swej najlepszej przyjaciółki tak promieniejącej i szczęśliwej.

– Będę twoją druhną? – upewniła się.

– Nawet nie próbuj się wykręcić. Myślałam o różowych sukienkach.

– Wolę turkusowy.

– Od samego początku sprawiasz kłopoty? Musisz robić to, co chcę. To podnosi mi samoocenę, pamiętaj.

– Dobrze, dobrze. Będiesz okropną panną młodą.

Mair trzymała w lodówce butelkę szampana. Wypiły i szampana, i wino, więc Hattie musiała zostawić samochód pod domem Mair i zadzwonić po taksówkę.

Kiedy odjechała, Mair usiadła jeszcze przed komputerem. Szal znowu przyciągnął jej wzrok. Alkohol sprawił, że załazek pomysłu, który zakiełkował w jej głowie, szybko przerodził się w szczegółowo opracowany plan.

Sprawdziła pocztę elektroniczną i znalazła wiadomość, którą osiem miesięcy temu wysłał jej Bruno Becker. Nie patrzyła na treść, nie musiała.

Bruno wspominał jej o mężczyźnie o imieniu Rainer...

To był prawdziwy łącznik, pomyślała, nie jakieś tam archiwa czy rejestry. W ciągu ostatnich miesięcy kilka razy myślała o tym, by się z nim skontaktować, ale zawsze zarzucała ten pomysł. Bruno i Karen byli w żałobie po stracie córki, a ona nie śmiała się do nich odezwać ani z kolejnymi kondolencjami, a już tym bardziej nie chciała zaprzętać im głowy swoimi problemami. Co zresztą mogła powiedzieć, jakich słów użyć w obliczu tak wielkiej straty?

Jej odwaga wsparta została wypitym alkoholem, stwierdziła więc, że

nadszedł czas na napisanie e-maila do Beckerów.

Zacząła stukać w klawisze, szybko i nerwowo. Skoncentrowała się przede wszystkim na Rainerze, mając nadzieję, że pytanie o mężczyznę będzie wystarczającym usprawiedliwieniem. Nie chciała zadawać pytań dotyczących śmierci dziewczynki. Pisząc, zrobiła kilka błędów, ale od razu je poprawiała, zmieniając słowa tyle razy, aż wreszcie była zadowolona z rezultatu. Ostateczna forma wiadomości składała się z zaledwie kilku linijek. Treść była bardzo prosta. Mair starała się zachować emocjonalny dystans, by nie zranić przypadkowym słowem znajomych. Pisała więc po prostu, że często myśli o nich obojgu i zastanawia się, co u nich słyhać. Potem dodała, że Bruno wspomniał kiedyś o himalaiście imieniem Rainer, który, jak wynikało z jej odkryć, może mieć dość dziwny związek z jej rodziną. Czy mogliby napisać o nim coś więcej?

Zawahała się i napisała na końcu: „Wasza Mair”.

Nie było wątpliwości, że Bruno i Karen pamiętali, kim była. Nie mogła sobie wyobrazić, by tamte dni na zawsze postanowili wymazać z pamięci.

Kliknęła ikonę *Wyślij*. Potem patrzyła na ekran przez kilka minut, jakby odpowiedź miała nadejść od razu.

Tymczasem przez dwa tygodnie nic się nie wydarzyło.

Hattie i Ed planowali ślub na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia.

– Ślub zimą – powiedziała rozmarzona Hattie. – Może będę miała kremową futrzaną kurteczkę z wysokim kołnierzem. Bluszcz, jemiola i połyskujący śnieg.

Zakochana Hattie stała się teraz prawdziwą romantyczką. Mair lubiła sobie z niej żartować.

Któregoś dnia Mair późno wróciła do domu. Spotkanie w księgarni było miłe, ale męczące. Sprawdziła jednak skrzynkę odbiorczą. Ku swemu zaskoczeniu otrzymała odpowiedź od Brunona.

Mężczyzna przeproszał, że długo nie odpisywał, ale przebywa w górach i w związku z tym ma trochę utrudniony kontakt z

cywilizowanym światem. Jednak wiadomość od Mair bardzo go ucieszyła. Bruno przyznawał się, że przeżywał ciężkie chwile, ale, jak twierdził, jakoś sobie radził. Karen też. Niewiele wiedział o Rainerze Stammie, tylko to, że mógł zginąć w wypadku samochodowym w Kaszmirze w 1945 roku. Ale podobno nigdy nie odnaleziono żadnych ciał.

Ma jej wiele do powiedzenia, ale chyba łatwiej byłoby, gdyby do niego zadzwoniła. Podał jej swój szwajcarski numer.

Mair spojrzała na zegarek. Była prawie pewna, że w Szwajcarii było o godzinę później. Za późno więc, by dzwonić. Poza tym nie chciała wydać się zbyt natarczywa. Uśmiechnęła się do siebie. Stara panna sprzedająca książki nie powinna dzwonić późnym wieczorem do żonatego mężczyzny. Jakby potwierdzając myśl o jej staropanieństwie, w mieszkaniu Mair pojawił się kot sąsiadów, by dotrzymać jej towarzystwa.

Czekała do następnego wieczoru, a potem wykręciła numer do Szwajcarii.

Odebrał Bruno. Od razu rozpoznała jego głos. Słuchawka nagle wydała jej się bardzo śliska.

– Tu Mair.

– Cześć – powiedział.

Mair właściwie nie pamiętała przebiegu tej rozmowy. Wiedziała tylko, że nic się nie skończyło, że kontynuowali to, co przerwali w Lamayur. Bruno mówił wolniej, czasem się wahając, jakby to, co kiedyś było pewne, teraz już takie nie było.

– Mieszka w komunie skupiającej się na pomocy ludziom w żałobie, w Nowym Meksyku – odpowiedział na pytanie o Karen.

Mair jęknęła w odpowiedzi.

– Buddyjskiej? – zapytała.

– Nie jestem pewien. Chyba takiej, która skupia wszystkie religie. Karen i ja się rozstaliśmy. Ona jest zadowolona, czuje ulgę – Bruno roześmiał się.

– Tak mi przykro.

– To zdarzyło się niedługo po śmierci Lotus. Jej śmierć była jak... eksplozja. Cisza, potem szok, rozstanie. Ból... Wszystko nagle straciło znaczenie, rozpadło się.

Słyszała jego przyspieszony oddech.

– Bardzo szybko okazało się, że Karen i ja nie potrafimy sobie pomóc. Nie umieliśmy odnaleźć się w nowej sytuacji, wszystko stało się inne, znacznie trudniejsze. Wtedy zrozumieliśmy, że powinniśmy się rozstać. To było smutne, ale oboje wiedzieliśmy, że konieczne. Żadne z nas nie miało już siły. Podejrzewam, że Karen teraz walczy ze złymi emocjami, ze złością, żalem. Słyszałem, że rozstania par po śmierci dziecka nie są niczym niespotykanym.

– A co ty porabiałeś? – zapytała łagodnie Mair.

– Odszedłem z pracy. Nie mogłem dłużej siedzieć za biurkiem. Przyjechałem tutaj, w góry. Mieszkam w niewielkiej chatce. Dużo chodzę. Czasem biorę namiot, trochę jedzenia i wchodzę wyżej, by tam rozbić obóz. Tam właśnie spędziłem ostatnie dwa tygodnie. Tu jest pięknie. Musisz... zobaczyć to, na co ja patrzę. Przypomni ci o Ladakhu.

– Chyba dobrze sobie radzisz – powiedziała Mair.

Nie wiedziała, czy bardziej imponowała jej jego szczerość, czy styl życia, który wybrał.

– Nie wiem. Czasem jest naprawdę ciężko. Wciąż myślę o Lotus. Tak bardzo odczuwam jej nieobecność.

Przez chwilę milczał. Potem powiedział:

– Powiedz, co chcesz wiedzieć o Rainerze Stammie?

Mair z trudem zebrała się w sobie i wyjaśniła mu wszystko tak zwięźle, jak tylko potrafiła.

Bruno przerwał jej, by powiedzieć, że pamięta wszystko, co opowiedziała mu o śledzeniu historii szala.

Mair dodała:

– Pojawiły się listy. Okazuje się, że Rainer poznał moją babcię i jej dwie przyjaciółki w Śrinagarze. Szal należał do jednej z nich, Caroline. Spotkałam się z nią, ona nadal tam mieszka. Wróciła po latach. Rainer zniknął przed końcem wojny, zabierając ze sobą dziecko. Wydaje mi się,

że mogła być to córeczka Caroline.

Zapadła cisza.

– Prita zmarła piętnaście lat temu – powiedział wreszcie.

– Kto to jest Prita?

– Była żoną Rainera. Wychowywała Zahrę jak własną córkę.

Mair pomyślała, że się przesłyszała.

– Zahrę?

– Tak. Prita Stamm i ta mała dziewczynka trafiły pod opiekę moich rodziców, gdy przyjechały do Szwajcarii po zakończeniu wojny. Spędzałem z nimi sporo czasu, gdy dorastałem.

W głowie Mair panował chaos. To było właśnie to, czego szukała. Aż otworzyła szerzej oczy, gdy przetrawiła wreszcie wszystkie informacje.

– Czy Zahra nadal żyje?

– Tak. Ma prawie siedemdziesiąt lat. Razem z Pritą wróciły do Indii po tym, jak skończyła studia na uniwersytecie. Mamy ze sobą kontakt, ale ostatnio ograniczył się do wysyłania kartek okolicznościowych. Planowaliśmy odwiedzić ją w zeszłym roku, gdy byliśmy w Indiach.

Mair słuchała echa jego słów. Jeszcze tyle musiała przemyśleć, a nie dało się powiedzieć wszystkiego przez telefon. Pod wpływem impulsu zapytała:

– Bruno, czy możemy się spotkać?

– Oczywiście – odpowiedział.

Podróż pociągiem z lotniska w Zurychu zajęła ponad cztery godziny i wymagała trzykrotnej przesiadki, ale żaden pociąg nie spóźnił się nawet minutę. Ostatnim etapem podróży była przejażdżka kolejką zębatą, która wiozła ją na zbocze góry przez lasy sosnowe i nad alpejskimi łąkami, na których pasły się krowy. Przez otwarte okno wpadało rześkie powietrze. Dźwięk dzwonków odbijał się echem w kabinie. Mair wyciągała szyję, by popatrzeć na pokryte śniegiem szczyty, które przywodziły jej na myśl odbicia w jeziorze w Śrinagarze i górski łańcuch okalający Leh. Poczuli się tak, jakby czas cofnął się o rok.

W końcu pociąg dojechał do stacji końcowej. Wsiadła razem z grupą sięgających jej do ramienia japońskich turystów i chasydów w długich czarnych płaszczach i kapeluszach z szerokim rondem.

Za kilkoma budynkami i hotelami Mair zobaczyła rozciągający się przed nią i za nią błękit nieba. Rozejrzała się dookoła. Niebo wyglądało, jakby zostało ściśnięte w pięść olbrzyma i skręcone, by uformować skały i lód. Nad wielkim osuwiskiem moreny widniały szczeliny lodowe.

Mair patrzyła na wszystko zachwycona.

– Cześć.

Usłyszała znajomy głos. Czyjaś ręka delikatnie dotknęła jej ramienia. Odwróciła się i zobaczyła Brunona. Jego ogorzała twarz była zdecydowanie szczuplejsza, niż kiedy go ostatni widziała.

– Wyglądasz na zaskoczoną – powiedział.

– Tą scenerią? Oniemiała byłoby chyba lepszym określeniem.

Pokiwał głową, patrząc na nią. Nagle usłyszała dźwięk śmigła i zobaczyła go z Lotus w ramionach biegnącego w kierunku helikoptera.

– Witaj w Oberlandzie – powiedział.

Wziął od niej torbę i zarzucił ją sobie na ramię.

– Dasz radę wspiąć się na wzgórze? Obawiam się, że to jedyna droga do chatki.

Zostawili Japończyków i chasydów wśród kawiarenek i stoisk z pamiątkami, i sami zaczęli wspinaczkę. Ścieżka szła zygzakiem w górę, w stronę piargu.

Mair opuściła głowę i szła po śladach Brunona. Liście i długie źdźbła trawy muskały jej kostki. Zauważyła, że całe wzgórze porośnięte jest dzikimi kwiatami: niebieskimi dzwonkami, margerytkami w kształcie gwiazd, żółtymi omiegami, alpejskimi zawilcami i wysokim ostem. Granatowe przetaczniki rosły po obu stronach ścieżki. Jeśli to naprawdę była droga do domu Brunona, była to najprzyjemniejsza podróż ze stacji, jaką mogła sobie wyobrazić.

Na piargu ścieżka szła w górę pod ostrzejszym kątem.

Była szczęśliwa, gdy dotarli na szczyt wzgórza. Bruno zatrzymał się, by przełożyć torbę na drugie ramię.

– Dziękuję, że niesiesz moje rzeczy.

– Wiem, że jesteś silna, ale tutaj jest bardzo stromo.

Mair odwróciła się, by spojrzeć na drogę, po której się wspięli, i znów zaparło jej dech w piersiach. Pod nimi znajdowała się stacja i mały zielony pociąg przypominający dziecięcą zabawkę. Szczyty po drugiej stronie zdawały się być tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by ich dotknąć.

Bruno wskazał palcem.

– Jungfrau, Mönch i Eiger – powiedział.

Ściana Eigeru, którą widzieli, była czarną piramidą zbudowaną z wklęsłej skały, wysokiej na kilka tysięcy metrów. Widok góry przyprawił Mair o dreszcze.

– To Nordwand – powiedział Bruno. – Północna ściana.

– W Lamayur mówiłeś, że Rainer próbował się na nią wspiąć.

– Tak, mój dziadek był jego przewodnikiem. Obaj otarli się o śmierć, a wspólne uratowanie się z opresji zakończyło się długotrwałą przyjaźnią.

Stali ramię w ramię, patrząc na skalną ścianę.

– Chodźmy – powiedział w końcu Bruno. – Już niedaleko.

Pola u stóp wzgórza w krystalicznie czystym powietrzu wyglądały tak aksamitnie jak najpiękniejszy kaszmirski dywan. W głębi doliny Mair widziała górskie chatki i kilka samochodów na maleńkich drogach.

Przeszli wzdłuż grani i pod nimi pojawiło się błękitne jezioro, które przypominało jej szafir osadzony w zielonym pierścieniu ziemi. Na drugim brzegu, pośród kwiatów, stał mały dom. Miał cztery okna, a w każdym z nich donicę pełną ciemnoczerwonych pelargonii.

Bruno pochylił się przy wejściu. Mair pomyślała, że w takim otoczeniu wydaje się jeszcze bardziej szwajcarski.

– Zapraszam – powiedział.

Chatka zbudowana była z drewnianych bali, miała niski dach kryty drewnianym gontem. Wokół dachu ciągnął się okap, a w cieniu, przed wejściem, znajdował się drewniany podest z dwiema ławkami, po jednej z każdej strony drzwi. Po lewej stronie stała ściana złożona z bali

ułożonych tak dokładnie, że trudno było znaleźć szparę, w którą zmieściłby się palec.

W środku była drewniana podłoga i kwadratowy metalowy piecyk. Na oknach wisiały zasłony w czerwono-białą kratkę, a na stole stał niebieski dzban z kwiatami.

– To skromne wnętrze – oznajmił Bruno. – Woda z jeziora, toaleta w ziemi, świece lub lampy naftowe. Ale zamontowałem panele słoneczne na dachu. Ogrzewają mały zbiornik na wodę. Można się nawet wykąpać. Oczywiście, mógłbym trochę to wszystko unowocześnić, ale podoba mi się tak jak jest.

– Nie zmieniaj zbyt wiele. To jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie widziałam – powiedziała Mair.

Ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się z zadowoleniem. Był to jego pierwszy uśmiech tego popołudnia.

– Tak myślisz? Mój ojciec zabierał mnie tu co lato. To zwykła pasterska chatka.

Wskazał jej drabinę prowadzącą na górę. Dwa małe pokoje oddzielone były ścianką z desek. Na podłodze w pokoju Mair leżał jednoosobowy materac, przykryty białą pościelą i patchworkowym kiltem. Był tam też mały dywanik i rząd drewnianych kołków wbitych w ścianę. Okno zaczynało się na wysokości kolan. Rozczuliła się na widok jasnoniebieskiego, bardzo starannie złożonego ręcznika, który położył na kilcie. Bruno dobrze przygotował się na przyjazd gościa.

Rozpakowała torbę i powiesiła ubrania na kołkach. Przed zejściem na dół zajrzała do jego pokoju. Znajdowały się tam stopy książek, jednoosobowy materac, i niewiele więcej ubrań niż ona przywiozła ze sobą na trzy dni.

Na dole Bruno wskazał jej drogę do małej kuchni z kamiennym zlewem i nowoczesną kuchenką na gaz butlowy. Na drewnianej półce stał rząd garnków i emaliowanych talerzy oraz dwie szklanki. Na zewnątrz, w przybudówce, znajdowała się toaleta. Przez małe okienko w drzwiach widać było lód i śnieg na północnej ścianie Eigeru.

Czajnik zagwizdał na kuchence i Bruno przygotował herbatę.

Rozglądając się, Mair zauważyła stare radio i laptop. Na półce znajdowało się zdjęcie Lotus. Jej jasne, rozwiane wokół twarzy włosy, przypominały watę cukrową. Bruno spojrział na zdjęcie.

– Prawie codziennie chodzę do bufetu na stacji, tą samą drogą, którą tu przyszliśmy – powiedział. – Mój znajomy, Christoph, jest właścicielem. Piję tam kawę i czytam gazetę, a oni pozwalają mi naładować telefon i komputer.

Wyszli na zewnątrz z kubkami z herbatą i usiedli na ławkach.

Mair rozprostowała nogi i oparła głowę o ciepłe drewno. Zbocza gór pokryte śniegiem i lodem połyskiwały w krystalicznie czystym powietrzu. Przestrzeń, która ją otaczała, cieszyła ją tak bardzo, że nie myślała, ile czasu ma na zadanie tych wszystkich pytań, które od dawna ją intrygują, a na które Bruno być może zna odpowiedź. Po prostu cieszyła się, że znalazła się w tej miłej chatce. Reszta nie miała już takiego znaczenia.

Bruno opowiadał.

– Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, na ziemi wciąż leżał śnieg. Rano przed drzwiami widywałem ślady kozic i zajęcy. Zakładałem narty i jechałem wzdłuż śladów. Gdyby mi się spieszyło, szedłbym na stację i wsiadałbym do pociągu jadącego do wioski, by kupić jedzenie i odebrać pocztę, ale na szczęście tutaj rzadko gdzieś się spieszę. Na stacji trzymam rower, więc zwykle jeżdżę nim lub chodzę w tę i z powrotem. To tylko parogodzinny spacer. Na początku... gdy Lotus umarła, ciągle chodziłem, od świtu do zmierzchu. Tak szybko i tak daleko, jak tylko mogłem, póki nie padałem ze zmęczenia. Tak jakbym próbował uciec od tego, co się wydarzyło. W końcu zrozumiałem, że właśnie to próbuję zrobić. Cieszę się, że to pojąłem.

Mair pokiwała głową, pełna współczucia i żalu.

Chciała podejść do niego i wziąć go w ramiona, ale powstrzymała się. Bruno był silny. Nie potrzebował, by mu matkowała.

Pili herbatę i patrzyli na ptaki szybujące nad granią.

Po chwili Bruno powiedział:

– Wziąłem je od mojej siostry, gdy dowiedziałem się, że

przyjeżdżasz. Mieszka w Bernie.

Wyciągnął duży album z ciężkimi czarnymi kartami, nieco podniszczonymi na rogach. Odwracał strony, póki nie znalazł tego, czego szukał.

– To Rainer Stamm i mój dziadek w 1937 roku.

Była to czarno-biała fotografia przedstawiająca dwóch mężczyzn w bryczesach, szelkach i flanelowych koszulach. Stali przed czymś, co wyglądało jak górskie schronisko. Obaj palili, uśmiechali się i mrużyli oczy przed silnym słońcem.

Mair długo patrzyła na zdjęcie.

„Bardzo przystojny”. Tak określiła go Caroline.

– Przystojny mężczyzna – powiedziała.

– Prita była jego żoną tylko przez kilka tygodni przed wypadkiem, ale z tego, co wiem, nigdy nie znalazła sobie nikogo innego w Szwajcarii ani w Indiach. Powiedziała mi kiedyś, że europejskie kobiety w Śrinagarze ubóstwiały go.

„Być może”, pomyślała Mair, przypominając sobie uśmiechniętą Nerys ze zdjęcia.

Możliwe, że babcia była jedną z tych kobiet. Panowała wojna. Z *Nadziei i chwały Boga* Mair wiedziała, że misjonarze często trafiali na pole walki. Odkryła, że w głębi ducha miała nadzieję, że Nerys przeżyła kilka romantycznych chwil u boku tego przystojniaka. Może dzięki temu miała co wspominać, mieszkając w Walii. Mair nigdy nie zazdrościła tego, jak żyły jej babcia i matka.

– Jeszcze trochę herbaty? – Głos Bruna sprawił, że podskoczyła.

– Poproszę – powiedziała z uśmiechem.

Później, kiedy Bruno smażył ziemniaki i kotlety, przeglądała resztę rodzinnych fotografii Beckerów. Na dwóch czy trzech znalazła Pritę, zawsze stojącą gdzieś z tyłu lub nieco z boku. Jak musiała się czuć ta indyjska wdowa tak daleko od domu? Ale pani Stamm wyglądała na twardą, nieustraszoną kobietę.

Jedli, siedząc naprzeciwko siebie przy drewnianym stole, oświetleni światłem z lampy naftowej.

– Dobry z ciebie kucharz – powiedziała z uznaniem Mair.

– Karen nie lubiła gotować. Dziwnie jest gotować tu dla kogoś poza sobą.

Mair wsłuchiwała się w ciszę, która zapadła po tych słowach.

– Dziwnie, ale dobrze – dodał. – Dziękuję, że przyjechałaś z tak daleka.

Po kolacji usiedli na ławkach ze szklaneczkami schnappsa w rękach. Niebo zmieniło kolor z błękitnego na czarny, tylko ośnieżone szczyty gór odbijały światło księżyca.

– Wypiliśmy całą butelkę koniaku w Lamayur – powiedziała.

Nie chciała przypominać mu o tragedii, ale nie chciała również, by między nimi były tematy, których powinni unikać. Ale wydawało się, że nie boli go wspomnienie tamtych dni. Ostatnio spędzał dużo czasu w samotności i Mair domyśliła się, że rozmowa o tym przychodzi mu łatwiej w całkowitej ciemności, niż gdyby patrzył na drugą osobę w świetle lampki.

– Pamiętam wszystko, o czym rozmawialiśmy. To, co wtedy jedliśmy, twarze kierowców siedzących naprzeciwko i śnieg leżący na ziemi, gdy wyszliśmy na zewnątrz.

Zrobiło się zimno, więc wrócili do chatki.

– Bardzo wcześnie kładę się spać – powiedział.

Mair wiedziała, że potrzebował chwili dla siebie.

Leżąc na materacu i wsłuchując się w skrzypienie desek w domku, Mair myślała, że mogłoby to być jedno z najbardziej romantycznych miejsc na świecie. Pomyślała o jeziorze w Śrinagarze. Skrzypiące drewno przypominało jej odgłosy *Salomona i królowej Saby*, lekko kołyszącej się na wodzie. To szafirowe jezioro było miniaturą jeziora w Indiach. Nawet tutejsze polne kwiaty były w kolorach szala jej babci.

Po drugiej stronie ścianki z desek Bruno leżał w całkowitej ciszy. Nie oddychał głośno ani nie przekręcał się na łóżku. Mair pomyślała, że pewnie leży tak jak ona, patrząc na stare belki na suficie.

Niedługo potem zasnęła.

Obudził ją zapach kawy i smażonego boczku.

Ziewała, schodząc po drabinie.

– Jajecznice z boczkiem? – zapytał Bruno, trzymając w ręku drewnianą łyżkę.

Odmówiła, ale on tylko machnął ręką, mówiąc, że musi zjeść porządne śniadanie. Inaczej nie będzie miała sił na spacer.

– Oczywiście, o ile chcesz pójść na wzgórze? – dodał.

Uderzyło ją, że nie był pewien jej odpowiedzi i był gotowy zrobić to, na co miała ochotę. Poczuła dreszcz przechodzący po skórze.

Wyszli z chatki i ruszyli w górę ścieżki prowadzącej na wysokie wzgórze. Bruno wskazywał poszczególne łańcuchy górskie i podawał nazwę każdego z nich. Zaczął też mówić to, co jeszcze wiedział o Rainerze Stammie.

Nigdy nie rozwiązano tajemnicy jego zniknięcia lub śmierci, choć oficjalna wersja mówiąca, że zjechał z górskiej drogi w Kaszmirze, gdy Prita i dziecko były już na statku w drodze do Europy, pozwoliła jego żonie odziedziczyć wszystko, co miał. Zostawił jej również swój dom w Interlaken.

– Istnieje jednak jeszcze jedna wersja – powiedział Bruno.

– Słucham.

Mair z trudem łapała oddech i łatwiej było jej słuchać, niż powiedzieć cokolwiek.

– W 1945 roku szwajcarsko-amerykańska grupa himalaistów próbowała wspiąć się na Nanga Parbat.

– Znowu ta góra.

Przypomniał się jej Tinley i jego wiekowy wujek palący *bidis* na cmentarzu w Leh. Czekali na nią cierpliwie, podczas gdy ona czytała napisy na nagrobkach. Znalazła wtedy tablicę pamiątkową matematyka z Cambridge, Matthew Forbesa, który zginął w lawinie na tej górze.

– Znowu.

Mair obejrzała się za siebie, spoglądając na strome zbocze Eigeru.

– Na pozwoleniu na wspinaczkę widniały trzy zachodniobrzmiące nazwiska: dwóch Amerykanów i Szwajcara, Martina Brunnera.

– Tak?

– Brunner zginął. Poszedł z jednym z Szerpów w stronę wyższego obozowiska, ale złapała ich burza. Szerpie udało się w końcu wrócić do Amerykanów, ale Brunner został ranny podczas upadku i nie dał już rady zejść. Znalazłem raport z tej ekspedycji w kronikach Amerykańskiego Związku Alpinizmu, więc znam szczegóły tej wyprawy.

Bruno szedł tym samym stałym tempem, czy to pod górę, czy w dół. Mair musiała uważać, gdzie stawia nogi.

– Dlaczego tak bardzo interesowałaś się tym Martinem Brunnerem?

– zapytała.

Spojrzał na nią. Najwyraźniej podobało mu się trzymanie jej w niepewności. Im dłużej rozmawiali, tym mniej wahania słychać było w jego głosie. Potrafił dobrze opowiadać.

– Ponieważ ktoś taki nie istniał. W żadnym szwajcarskim rejestrze nie figuruje człowiek o takim nazwisku. Dane na pozwoleniu również były fałszywe.

– Chyba nie do końca rozumiem.

Bruno spojrzał na nią zaskoczony.

– Pomyśl chwilę.

– Nie sądzisz chyba, że Brunner i Rainer Stamm to ta sama osoba?

– Nie mogę tego udowodnić, ale tak właśnie przypuszczam. Mój dziadek był przewodnikiem rodziny Forbesów i Rainera. Powiedział kiedyś, że Rainer obiecał ojcu Matthew, że wróci tam i zdobędzie Nanga Parbat. Szczyt został zdobyty dopiero w 1953 roku, przez Hermanna Buhla, kilka tygodni po tym, jak wy, Brytyjczycy, zdobyliście Mount Everest.

– Ale dlaczego sfalszował dokumenty?

– Nie wiem. Chyba nigdy się tego nie dowiemy. Zatrzymamy się tu i zjemy coś?

Mair zaczęła już myśleć, że cały dzień spędzą na wędrowce, ale Bruno skierował ją w stronę płaskiej skały. Usiadła, opierając podbródek na kolanach i w milczeniu podziwiała widoki. Bruno podał jej kawałek

chleba, owoce ser i jabłko. Wszystko smakowało wyśmienicie.

– Rainer musiał mieć jakieś powody, by zmienić nazwisko i upozorować własną śmierć. Był magikiem i himalaistą.

– O tym słyszałam – roześmiała się Mair. – Ja też szukałam informacji o nim. I trochę mnie to wszystko zaskoczyło.

Bruno patrzył na czarną ścianę skalną, na której Victor Becker uratował Rainerowi życie.

Mair pomyślała, że ten sam człowiek mógł być kochankiem jej babci, a na pewno dobrym przyjacielem. Miała wrażenie, że czas zaczyna się cofać.

– To przykra historia. Rainer dopiero co się ożenił, uwielbiał bawić się w sztuczki ze znikaniem, a potem faktycznie zniknął, próbując zdobyć Nanga Parbat. Wiem, że moja babcia przez wiele lat czekała na jakiegokolwiek wieści od niego – powiedziała cicho Mair.

– Masz rację, to wszystko bardzo smutne. Ale twoja babcia z pewnością rozumiała pobudki Stamma. Wielu ludzi zginęło na Nanga Parbat, zanim Buhlowi udało się wspiąć na szczyt. Aż szesnastu mężczyzn jednego dnia w 1937 roku. Rainer musiał o tym wiedzieć, ale i tak tam poszedł. Być może lubił igrać ze śmiercią, bo tylko w ten sposób czuł, że naprawdę żyje. Może ciężar gór i lekkość magii zawsze walczyły w jego duszy. Prawdopodobnie krył to nawet przed tymi, których kochał. Musiał być fascynującym człowiekiem. Myślisz, że twoja babcia go kochała?

– Sądzę, że tak.

Szal, fotografia, pukiel włosów.

Fragmety historii, które przywiodły ją do Brunona Beckera, wspomnienia, domysły, a nawet przyprawiająca o zawrót głowy ściana skalna znajdująca się tuż przed nimi; wszystko to składało się powoli w jedną niesamowitą historię. Mair poczuła się niewymownie szczęśliwa, po raz pierwszy w życiu.

– Chciałabym jednak porozmawiać o Zahrze – powiedziała po chwili.

Bruno wstał i strzepnął okruszki chleba ze spodni. Dwa alpejskie

wrończyki od razu je złapały.

– Później – odpowiedział. – Pamiętasz nazwy gór? Jak się nazywa tamta? – Wskazał na skały przysypane śniegiem.

– Hmm... To Wetterhorn?

– Dobrze – stwierdził z zadowoleniem.

Po powrocie do chatki zjedli skromną kolację. Bruno zapalił lampy naftowe. Siedzieli w środku, przy zamkniętych drzwiach, ponieważ niebo przykryły gęste chmury, a z lodowca napływał zimny wiatr. Mężczyzna zdjął z półki coś, co przypominało książkę. Mair pochyliła głowę w jego stronę i zobaczyła, że tym razem Bruno trzyma w rękach nieco nowszy album ze zdjęciami. Jednak niektóre fotografie już trochę wyblakły.

– To Zahra.

Mała dziewczynka o ciemnobrązowych włosach zaplecionych w dwa warkocze i poważnej minie stała pośród innych dzieci w szkolnych mundurkach. Różniła się od nich jedynie tym, że jej skóra miała odrobinę ciemniejszy odcień.

– I tutaj – wskazał Bruno kolejne zdjęcie.

Na tym zdjęciu była już nastolatką. Miała krótkie włosy, dzinsy i koszulę w niebieską kratę. Znacznie lepiej było widać jej twarz. Mair usilenie próbowała dopatrzyć się jakiegoś podobieństwa do Caroline Bowen, ale nie zauważyła nawet jednej wspólnej cechy. Zahra miała ostre rysy twarzy i ciemne brwi, które niemal stykały się nad jej nosem.

– Jest jeszcze jedno.

Na tym zdjęciu Zahra stała u szczytu kamiennych schodów. Stopień wyżej stała Prita. Włosy kobiety zaczynały już siwieć, zczesana je w koński ogon, z przedziałkiem na środku głowy. Zahra mogła mieć tu około dwudziestu lat. Jej twarz zdradzała surowość. W ciemnej spódnicy i zakiecie prezentowała się dość oficjalnie. Obie kobiety nawet w zachodnich ubraniach wyglądały na Kaszmirki. Choć ich rysy bardzo się od siebie różniły, łatwo było wziąć je za matkę i córkę, prawdopodobnie z powodu pozy, którą przybrały, patrząc prosto w

obiektyw aparatu, z podniesioną dumnie głową i utkwionym daleko spojrzeniem. Mair pomyślała, że kobiety musiały być sobie bliższe niż niejedna matka i córka, ponieważ bardzo różniły się od swoich szwajcarskich przyjaciół.

Bruno odpowiedział na pytanie, którego Mair nie zdążyła zadać.

– To zdjęcie zostało zrobione, gdy Zahra jeszcze studiowała na uniwersytecie. Umówiły się z Pritą, że kiedy Zahra skończy studia, wrócą do Kaszmiru.

Wziął dwie szklanki z półki i nalał do nich schnappsa. Podał szklankę Mair.

– Zanim maharadża odzyskał panowanie w Indiach, twierdził, że chce uczynić Kaszmir czymś w rodzaju azjatyckiej Szwajcarii. Kaszmir miał być niezależny, neutralny, bogaty i miał pozostawać w dobrych stosunkach ze wszystkimi sąsiadami. Prita i Zahra popierały taką wizję maharadży Hari Singha, bo wiedziały, jak wygląda życie w Szwajcarii. Wierzyły, że to się uda. Bardzo szybko jednak okazało się, że się myliły.

– A więc wróciły tam?

– Tak. Myślę, że wkrótce po tym, jak zrobiono to zdjęcie. Była połowa lat siedemdziesiątych. Potem zaczęły się krwawo tłumione bunty przeciw władzy. Śrinagar przestał wówczas być bezpiecznym miejscem. W końcu Prita i Zahra osiedliły się w Delhi. Zahra uczyła europejskich języków na jednym z uniwersytetów.

– Wyszła za męża?

Bruno uśmiechnął się do niej i wziął łyk schnappsa.

– Tak. Urodziła nawet trzech synów. Jeden chyba jest pilotem, drugi programistą, a najmłodszy architektem. Nie pamiętam dobrze.

Mair uśmiechała się szeroko, słysząc jego słowa.

– To wspaniale.

– Faktycznie. Teraz żałuję, że nie udało mi się spotkać z nią w Delhi.

Żółte światło lampy rzucało cienie na twarz Brunona. W ciszy, która zapadła, wsłuchiwali się w przybierający na sile wiatr i skrzypienie desek starej chatki. Bruno patrzył na zdjęcie Lotus z rozwianymi włosami.

– Za kilka tygodni minie rok od jej śmierci.

Najdelikatniej jak tylko mogła, zapytała:

– Chcesz być wtedy sam?

– Nie wiem. Chyba nie będę dobrym towarzyszem dla kogokolwiek.

– Bruno... – zaczęła Mair.

– Wiem. Ona umarła i już nigdy do mnie nie wróci. Wiem, że powinienem się pozbierać jak najszybciej i żyć dalej. Staram się, Mair. Ale uwierz mi, do tego trzeba czasu i silnej woli.

Ukrył twarz w dłoniach i palcami przeczesał włosy. Starał się stłumić swą rozpacz i żal. Wreszcie przytłumionym, pełnym bólu głosem, powiedział:

– To wymaga ode mnie ogromnego wysiłku. Wstać z łóżka, przeżyć kolejny dzień, spać albo choć próbować zasnąć. Żyć, kiedy Lotus nie żyje.

Podniosła się i podeszła do niego. Tym razem nie mogła się powstrzymać. Położyła mu dłonie na ramionach.

– Nie zamierzałam ci mówić, żebyś zachowywał się inaczej niż zwykle. Nie odważyłabym się tego zrobić, bo wiem, że jesteś bardzo dzielny i rozumiem też, że potrzebujesz czasu. Ale chcę, żebyś wiedział, że jeśli będziesz potrzebował drugiej osoby, to chętnie z tobą zostanę. Byłam z wami w Lamayur. Widziałam, co się stało. Nie będziesz musiał mi nic wyjaśniać.

Bruno wzdrygnął się pod jej dotykiem.

– Była taka niewinna i ufna, a mimo to nie potrafiliśmy jej ochronić. Nigdy nie będę w stanie tego wytłumaczyć.

– Nie trzeba tłumaczyć ani tego, co się stało, ani jak do tego doszło. To był wypadek.

Mężczyzna łkał. Z oczu Mair również popłynęły łzy. Przytuliła jego głowę do swoich piersi i cierpliwie czekała, aż się wypłacze.

W końcu podniósł się, a ona od razu zwolniła uścisk. Pod palcami wciąż czuła kształt jego czaszki i miękkość włosów. Wróciła na swoje krzesło i usiadła. Ostatni raz spojrzała na Zahrę i Pritę, a potem zamknęła album.

– Słyszałem bicie twojego serca – powiedział nagle Bruno.

W jego oczach dostrzegła błysk nadziei. Tak cicho, że ledwie go słyszała, dodał:

– Serce drugiego człowieka.

Sięgnął po butelkę i uzupełnił puste szklanki.

– Porozmawiajmy – powiedział wreszcie. – Jestem trochę zaskoczony, ale czułem się dziś bardzo dobrze, chyba po raz pierwszy od śmierci Lotus. Zapomniałem już, jak to jest, mówić do kogoś i być wysłuchanym. Cóż, muszę przyznać, że zdecydowanie przyjemniej jest rozmawiać z drugą osobą niż z samym sobą. Myślę teraz, że zbyt długo byłem sam. Ale nie chcę już rozmawiać o Lo. Kiedyś na pewno zacznę, jeśli tylko będziesz chciała słuchać, ale jeszcze nie jestem gotowy. Rozumiesz mnie, prawda?

Tym razem jego głos był zdecydowany. Zniknęło gdzieś wahanie, niepewność.

– Tak – odpowiedziała. – Może mógłbyś opowiedzieć mi coś więcej o Zahrze i Pricie. Były ze sobą blisko?

Przez kilka sekund wsłuchiwał się w wycie wiatru. Potem rozsiadł się na krześle, gotowy, by zacząć opowieść. Mair oddychała teraz już znacznie spokojniej.

– Zahra była z pokolenia mojego ojca, ale miała dość nowoczesne poglądy, a Prita była tradycjonalistką. Były ze sobą bardzo zżyte, bardzo sobie bliskie, choć oczywiście czasem się spierały. Wróciły tu jeszcze dwa może trzy razy, kiedy dorastałem, by odwiedzić mojego ojca, starych znajomych i przyjaciół. Prita obdarowywała mnie wtedy cukierkami przywiezionymi z Indii. Nie pamiętam ich smaku, tylko niesamowite kolory. To wszystko było dla mnie wówczas bardzo egzotyczne. Zahra nauczyła mnie też kilku słów w urdu.

– Wiedziała o swoim pochodzeniu?

– Oczywiście. Prita nigdy niczego przed nią nie ukrywała. Zahra wiedziała, że jest sierotą zaadoptowaną z misji w Śrinagarze.

– Ośrodku misyjnym mojego dziadka – wtrąciła Mair.

Spojrzeni na siebie. Fragmenty historii, które oboje znali, zaczęły

wreszcie układać się w całość.

– Prita już wcześniej była wdową, a jej zmarły syn był mniej więcej w tym samym wieku co Zahra, gdy obie dotarły do Europy. Prita była żoną Rainera, więc jako jego żona, a później wdowa po nim, mogła przyjechać do Szwajcarii i odebrać spadek. Zahra przyjechała tu z nią. Rainer prawdopodobnie podmienił coś w dokumentach. Oczywiście mogło tak być, tylko jeśli twoje teorie są prawdziwe. W końcu Zahra dostała szwajcarskie obywatelstwo. Zarówno dla nas, jak i dla wszystkich, którzy je znali, były matką i córką.

Bruno zrobił przerwę. Potem, nieco ciszej, dodał:

– Jestem przekonany, że one też tak o sobie myślały.

Mair wierzyła jednak, była tego niemal pewna, że biologiczna matka Zahry wciąż żyje i mieszka w spokojnym domku na przedmieściach Śrinagaru. Czy powinny się ze sobą spotkać po tak długim czasie? Czy powinna wtrącać się w życie innych ludzi?

Teraz wszystko zależało od niej... i Brunona.

Nie miała żadnych dowodów, tylko przypuszczenia, kilka listów, pukiel włosów i szal *kani*. Mężczyzna siedzący naprzeciwko niej stracił córkę, tak jak Caroline Bowen sądziła, że straciła swoją. Jej ból po stracie dziecka był widoczny na pierwszy rzut oka, nawet jeśli sześćdziesiąt lat, jakie minęły od tamtego dnia, nieco go złagodziły.

Mair wyprostowała się. Wiedziała już, co powinna zrobić.

– Mam zamiar pojechać do Indii i spotkać się z nimi obiema – powiedziała. – Jeśli dasz mi adres Zahry oczywiście.

Bruno wpatrywał się w płomień lampy i milczał.

Mair czekała w napięciu.

Potem dodała:

– Albo możesz też pojechać ze mną i razem odwiedzilibyśmy Zahrę. Taki był przecież twój plan, prawda?

Spojrzał na nią niepewnie.

Zobaczyła coś dziwnego w jego twarzy, napięcie mięśni wokół oka i ust. Czuła, że Bruno się bał.

Obawiał się wyjścia ze swojej bezpiecznej skorupy, w której się

zamknął, by ukrywać ból, bał się ponownego spotkania ze światem.

Pokręcił przecząco głową.

– Będę dla ciebie ciężarem – oznajmił krótko.

– Nie – zaprotestowała głośno. – Nie sądzę. W końcu to nie tylko moja historia, prawda? Jej część należy też do ciebie.

– Być może – wciąż się wahał.

Ale Mair wiedziała i widziała to też w jego twarzy. Bruno chciał pojechać.

W ciszy walczył sam ze sobą, podczas gdy deszcz bębnił o blaszany daszek. Mair przemyła szklanki w zlewie, odstawiła butelkę na półkę i wspięła się po drabinie do swojej sypialni. Bruno wciąż siedział przy stole. Leżała w łóżku, w ciemnościach, gdy w drzwiach pojawiła się jego głowa i ramiona.

– Dobrze. Pojadę z tobą do Indii.

Zamknął drzwi.

ROZDZIAŁ Dziewiętnasty

Dom stał przy pokrytej liśćmi uliczce w południowym Delhi, ukryty za pomalowanym na musztardowo murem. Czekali przy czarnej, metalowej bramie, podczas gdy Bruno mówił do domofonu.

Przybyli osobno poprzedniej nocy – Mair z Londynu, a Bruno z Zurychu, by spotkać się w hotelu nieopodal lotniska, gdzie zarezerwowali pokoje. Jedząc kolację w zaciemnionej kawiarni hotelowej, czuli się mniej komfortowo niż w chatce w Szwajcarii. Teraz, gdy wreszcie dotarli do Indii, nie byli pewni, na czym właściwie ma polegać ich misja; było zbyt późno, by uzgodnić, co mają powiedzieć Zahrze lub jak jej to powiedzieć. Ucięli krótką pogawędkę i rozeszli się do swoich pokoi.

Mair wciąż odczuwała efekt zmiany strefy czasowej i długo nie mogła zasnąć. Otworzyła drzwi balkonowe i wyszła na zewnątrz. Gorące powietrze niemal stało w miejscu. Była dopiero piętnasta i hałas powodowany przez ruch uliczny za hotelowym ogrodem wydawał się jej nie do wytrzymania. Pomarańczowe wstęgi wiaduktów zatłoczone samochodami i ciężarówkami wiły się we wszystkich kierunkach. Pod ich osłoną kryły się przepelnione odpadami kolonie nędzarzy. Ostatnio była tu dziesięć miesięcy temu, więc zdążyła zapomnieć o hałasie, wszechobecnym ruchu i brutalnych kontrastach Indii.

Zaczynała mieć wątpliwości. Może powinna była zostawić tę historię w spokoju?

Wzdrygnęła się.

Z domofonu rozległ się głos przypominający konika polnego, a brama po lewej stronie otworzyła się. Przeszli ścieżką między krzewami oleandra, słysząc nieopodal dźwięk spryskiwacza. U szczytu krótkich schodów otworzyły się drzwi i stanęła w nich starsza kobieta. Miała kaszmirskie rysy twarzy, ale z pewnością nie była to Zahra.

– Pani Dasgupta zaprasza.

Weszli za nią do szerokiego korytarza, którego wypolerowane podłogi wyłożono kaszmirowymi dywanami.

– Jestem Farida – powiedziała kobieta. – Proszę za mną.

Para drzwi prowadziła do pokoju pełnego ciemnych, rzeźbionych mebli. Z powodu opuszczonych zasłon było tu ciemno i chłodno. Przywitała ich poważna postać, która szybko podeszła do Brunona z wyciągniętymi szeroko ramionami. Jej włosy były bardziej siwe niż ciemne; była pulchna, ubrana w luźną jedwabną koszulę i szerokie spodnie; na szyi wisiały jej okulary.

– Już jesteście – ucieszyła się. – Bruno, tak często o tobie myślę.

Mair odsunęła się, podczas gdy oni witali się, rozmawiając w szwajcarskim dialekcie niemieckiego. Bruno podarował kobiecie kwiaty i drobne prezenty, które przywieźli ze sobą. Mair spojrzała na porcelanowe koszyki pełne słodczy, kolorowe szklane ozdoby, dzbanki do herbaty i zdjęcia chłopców i młodych mężczyzn w różnych uniformach, ubraniach sportowych, strojach uniwersyteckich. Uśmiechnęła się do siebie. To był dom rodzinny. Dom Zahry.

– Jestem Zahra Dasgupta.

Kobieta wyciągnęła rękę i ciepło uścisnęła dłoń Mair.

Bruno przedstawił ją:

– To Mair Ellis, Zahro. Mair jest moją przyjaciółką. Znała Lotus. Była z nami podczas tego strasznego wypadku.

Kiedy wypowiedział imię dziewczynki, rozluźnił się trochę.

– Tak mi przykro z powodu twojego dziecka – odparła Zahra. – Bardzo przykro. To okropna tragedia. Jak czuje się twoja żona?

– Przebywa teraz w Stanach. Jesteśmy w separacji.

Zahra spoglądała to na Brunona, to na Mair, jakby chciała ocenić relacje między nimi. Mair wiedziała, że kobieta sądzi, że są parą. Chciała nawet zaprotestować: „Nie, to nie tak. Istnieją dwie połowy całości, które mamy z Brunonem, a które tu przywieźliśmy...”.

– To przykre. Miałam nadzieję, że uda wam się przetrwać – odparła Zahra.

Wzięła mężczyznę pod ramię i zaprowadziła na fotel.

Farida przyniosła tacę z herbatą, filiżankami i mosiężnym samowarem. Podała im talerze z ciasteczkami oraz zdobione serwetki; Zahra poprawiła je, kiedy tylko się pojawiły. Kobiety wciąż sobie przerywały i mówiły jedna drugiej, co mają robić – było oczywiste, że znają się i przyjaźnią od dawna, i nie panuje między nimi zwykła relacja służąca-pracodawczyni. W końcu obie były zadowolone i wszyscy usiedli w ciężkich fotelach obitych pluszem.

Zahra odezwała się do Mair:

– Znam tego mężczyznę, odkąd był małym dzieckiem. Był uroczym chłopczykiem; dorastał jak każdy, hałasując i brojąc. Często doprowadzał swoją matkę do szału.

– Mair na pewno nie chce tego słuchać – protestował Bruno.

Był szczerze zakłopotany. Tym bardziej, że Zahra traktowała Mair, jakby była jego dziewczyną. Mair też zdała sobie z tego sprawę i poczuła, że jej twarz pąsowieje.

Zahra i Farida spojrzały na siebie.

– Jesteście w Delhi na wakacjach? – spytała Farida.

Zahra weszła jej w słowo.

– Nie, nie, Bruno mówił przecież, że chce porozmawiać o czymś ważnym. – Rozsiadła się w fotelu, krzyżując ręce na brzuchu. – Bardzo ciekawi mnie, co cię sprowadza do Indii.

Kobieta powiodła wzrokiem od Brunona do Mair.

W pokoju zapadła cisza.

Mair wstrzymała oddech, sięgając do swojej torby. Wyjęła szal z opakowania i rozwinęła go na kolanach Zahry.

Farida aż pisnęła i złapała róg szala. Mrugając oczyma, przyłożyła

miękki materiał do policzka.

– To *kani*. Z mojego domu w Kanihamie.

Mair wyjęła zdjęcie z teczki i położyła je na oparciu fotela Zahry. Na drugim umieściła celofanową kopertę zawierającą pukiel złotobrazowych włosów. Farida zauważyła inicjały na szalu.

– Znam ten motyw – westchnęła. – To z mojej wioski.

Jej twarz promieniała.

– Nie rozumiem – powiedziała Zahra. – Dlaczego mi to pokazujecie?

– To długa historia, najpierw posłuchajmy Mair – odparł Bruno.

– Proszę spojrzeć na zdjęcie – zasugerowała.

Zahra założyła okulary i spojrzała na fotografię. Zrobiła wydech nosem, co przypominało parsknięcie.

– To chyba Śrinagar.

Mair dotknęła zdjęcia palcem.

– To moja babcia, Nerys Watkins. Wraz z mężem byli w Kaszmirze chrześcijańskimi misjonarzami w czasie wojny.

Farida podskoczyła do góry. Chwyciła zdjęcie i wpatrywała się w nie przez chwilę.

– To Ness! – znowu wykrzyknęła.

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem.

– Znałaś moją babcię?

– Opiekowała się mną, kiedy byłam małą dziewczynką. Pamiętam ją doskonale. Dbała o nas jak matka, troszczyła się, uczyła, bawiła. Była cudowną kobietą.

Mair wyciągnęła rękę, a Farida chwyciła ją swoją suchą, drobną dłonią.

Powiedziała:

– Teraz widzę to w pani twarzy. Jest pani do niej podobna. – Zatoczyła krąg palcem dookoła swoich ust i podbródka.

Mair pomyślała sobie, że cokolwiek miałyby się stać, cieszyła się, że tutaj dotarła.

Nerys znała tę drobną, jasnooką kobietę, kiedy ta była jeszcze dzieckiem. Mair poczuła się jakby znalazł się w innym świecie, jakby

cofnęła się w czasie. Miała wrażenie, że może chwycić swą babcię za dłoń, mimo dzielących je siedemdziesięciu lat. Mimo tego, że Nerys od dawna nie żyła.

Pewnie nigdy się nie dowie, ile znaczyły dla jej babci Zahra czy Farida, ani dlaczego tak długo przechowywała kosmyk włosów i szal, jak gdyby były jej najcenniejszymi, tajemnymi skarbami. Jednak spotkanie z kobietami sprawiło, że poczuła silną więź ze swoją babcią.

Bruno uśmiechał się do niej zadowolony.

Mair wskazała ponownie na zdjęcie.

– To przyjaciółka babci, Myrtle McMinn. A to Caroline Bowen.

Zahra zmieniła pozycję.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała. – To ja odnalazłam Faridę. Wraz z mężem pojechaliśmy po ślubie do Śrinagaru; odwiedziliśmy wówczas szkołę misyjną, o której mówiła mi matka. Byłam sierotą jak Farida. W Kaszmirze było mnóstwo sierot. Moja matka, Prita, adoptowała mnie wraz z ojcem i zabrała do Szwajcarii.

Mair spojrzała jeszcze raz na uroczą angielską twarz Caroline.

– Kiedy przyjechaliśmy z Dilipem do szkoły, misjonarzy już nie było. Czasem się to zdarza, zwłaszcza w Śrinagarze. To miasto zmienia się wciąż na gorsze. Ale szkoła wciąż tam była, a Farida pomagała nauczycielom. Okazało się, że pamięta mnie z okresu, kiedy miałam dwa lata. Czy pani sobie to wyobraża?

Farida poklepała Zahrę po ramieniu i roześmiała się.

– Nigdy o niej nie zapomniałam. Kochałam ją tak bardzo, że traktowałam ją jak własne dziecko. Ale któregoś dnia odeszła, a ja długo płakałam. Ucieszyłam się, że znowu ją widzę. Była szczęśliwą mężatką. Sama nie miałam męża, a moi dwaj bracia lata temu wyjechali do Pakistanu.

– Więc przyjechała tu zamieszkać ze mną. To był mój pomysł – dodała Zahra triumfalnie. – Była ciotką dla moich synów, a dla mnie najlepszą siostrą.

Potrząsnęła celofanową kopertą.

– Wracając do zdjęcia, cóż. Nie bardzo rozumiem, kim są dla nas te

kobiety na zdjęciu. I co znaczy ten kosmyk?

– Wydaje mi się – zaczęła Mair – że to pani włosy. Były przy szalu, który znalazłyśmy wśród rzeczy mojej matki, po tym jak umarł ojciec.

Farida otworzyła kopertę i wyjęła zawartość na dłoń. Zahra pochylała się nad nią, wzięła włosy w palce i przyłożyła do głowy dla porównania.

Nie było żadnego podobieństwa.

– Nie – powiedziała Zahra.

– Może – wahała się Farida.

Zaśmiały się, ale w ich oczach pojawiła się niepewność. Obawiały się tego, czego za chwilę miały się dowiedzieć.

Mair z radością pozwoliła mężczyźnie przejąć opowiadanie.

– Poza tym, że był przyjacielem mojego ojca, Rainer znał te trzy kobiety – zaczął.

– Była wojna – odparła Zahra. – Wiele osób zawiązywało przyjaźnie i traciło swych bliskich.

– To prawda. Jak wiesz, w 1945 roku Rainer umieścił swoją żonę Pritę z dzieckiem na statku do Anglii. W porcie w Liverpoolu przywitał ich Anglik, znajomy Rainera, który pomógł im dostać się Szwajcarii. A kiedy tam dotarli, przyjął ich Victor Becker z rodziną.

– Zrobił to ze względu na mojego ojca. Mama była z niego taka dumna. Powtarzała, że trzeba być wyjątkowym człowiekiem, by mieć takich przyjaciół jak twój dziadek i Victor.

Bruno znowu się uśmiechnął. Mair zauważyła, że czuje się coraz swobodniej. Był też coraz bardziej zainteresowany jej historią, historią szala, historią Zahry. Kobieta nachyliła się.

– Matka zawsze wierzyła, że Rainer chciał do nas wrócić. Zginął, zanim to zrobił. Nigdy jednak nie myślałyśmy, że nas porzucił.

Bruno przytaknął.

– Zahro, wraz z Mair uważamy, że Rainer ze swoją żoną pomogli znajomej, wywożąc jej nieślubne dziecko z Indii. Sądzymy, że to byłaś ty.

– Matka powiedziała mi, że zaraz po tym, jak mnie zabrali, Rainer ściał mi włosy i przebrał mnie za chłopca. Podobno groziło nam jakieś

niebezpieczeństwo, ale Prita nie do końca wiedziała, z czego ono wynikało. Oczywiście Rainer wyjaśniłby jej wszystko, gdyby nie zginął.

Mair także nachyliła się, dotykając palcem miejsca, w którym na zdjęciu uśmiechała się Caroline.

– Pani Dasgupta, to zdjęcie zrobił Rainer Stamm. Wydaje mi się, że jedna z tych kobiet może być pani matką.

Zahra skrzywiła się lekko.

– Niemożliwie – odwróciła się i wskazała jedno z oprawionych zdjęć, które stały na stoliku obok. – Proszę się przyjrzeć. To moja matka.

Na zdjęciu stała Prita Stamm z uniesioną głową, trzymając w ramionach wnuka.

– Chodziło mi o kobietę, która panią urodziła – poprawiła się Mair. – Wciąż żyje i mieszka w Śrinagarze. Poznałam ją rok temu i pokazałam te przedmioty.

Zahra podniosła filiżankę, ostentacyjnie upiła herbaty i odstawiła naczynie.

– Kto w takim razie był moim ojcem? – wysunęła dolną wargę do przodu. Mówiła teraz chłodnym tonem.

Kochanek Caroline musiał być Kaszmirczykiem, a ich związek był zakazany, wojennym romanssem, jednak Mair nie miała pojęcia, kim był. Podejrzewała tylko, że nie mógł być honorowym człowiekiem, skoro nie przyznał się do dziecka. Czy Caroline go kochała? Dlaczego Ralph Bowen nie był ze swoją piękną żoną? Pytania wciąż pozostawały bez odpowiedzi.

Czuła, że Bruno ją obserwuje. Miała ochotę wtulić się w niego i zapomnieć o całej rozmowie. Nie zrobiła tego jednak.

– Nie wiem – powiedziała. – Nie sądzę, żebyśmy mieli się dowiedzieć, chyba że powie nam to sama Caroline Bowen.

– Czy ma pani jakieś inne dowody?

– Twarde dowody? Raczej nie. Tylko listy, które pisała moja babka do Caroline i fragmenty opowieści, które ustaliliśmy z Brunonem. Ale kiedy pokazałam jej szal, od razu go rozpoznała. Powiedziała wtedy: „Należy do Zahry. To jej posag”.

Zapadło milczenie.

Po chwili Zahra stwierdziła:

– Moje imię nie jest zbyt nietypowe. – Jej oblicze wyrażało dezaprobatę. – A moja matka, Prita, zadbała o mój posag. Mam nieco inną teorię. Uważam, że to Rainer był moim prawdziwym ojcem.

Mair pomyślała, że to równie prawdopodobne. Wojna, przystojny himalaista i dziewczyna z Kaszmiru. Dziewczyna, z którą Rainer nie mógł się ożenić – być może z powodu gniewu jej ojca lub braci, ale której dziecko przysiągł chronić. Znalazł żonę – wdowę, która sama straciła syna, wziął z nią ślub, sporządził testament i odesłał oboje do Szwajcarii. Dopiero w ostatniej chwili coś pokrzyżowało jego plany.

Kiedy oddawała Mair zdjęcie, w oczach Zahry widniał triumf.

– Brzytwa Ockhama – stwierdziła. – Znasz tę zasadę?

Bruno zaśmiał się. Wstał i podszedł do kobiety, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Najprostsze wyjaśnienie jest przeważnie prawidłowe?

– Bystry chłopak.

Mair chciała zaprotestować, ale Bruno przestrzegł ją przed tym, rzucając jej groźne spojrzenie. Poczowała zdenerwowanie. Dlaczego miałaby teraz powstrzymać się od powiedzenia tego, co uważała za prawdę, skoro tak wiele czasu poświęciła na odkrywanie jej. Jednak jego spojrzenie było jednak niezmiennie. Mair zmieszała się. Nagle poczuła zupełnie odmienne uczucie, które na moment wytrąciło ją z równowagi, bo zdała sobie sprawę, że go kocha.

Wszelkie słowa uwięzły jej w gardle.

Na twarzy Brunona pojawiło się teraz rozbawienie. Jego spojrzenie wyrażało, że dobrze się zrozumieli. Chciała podejść i pocałować go, ale siedziała, nieruchoma i skoncentrowana.

Zahra splótła dłonie.

– Widzicie, mam rację. Ale to dawne czasy; czemu o nich rozmawiamy? Pomówmy o młodych, oni są przyszłością. Bruno, czy sprawi ci ból, jeśli pokażę wam zdjęcia moich wnuków?

– Nie, chętnie popatrzę – powiedział.

Wciąż patrzył na Mair, która zaczęła się czuć gorąco w pełnym mebli pokoju; poczuła zakłopotanie. Czy Bruno domyślił się jej uczuć? A może uznał, że wymyśliła całą tę wyprawę do Indii, żeby zbliżyć się do niego? Z pewnością nie – przecież sama nie zdawała sobie sprawy z własnych uczuć.

Kobiety przestawiły filiżanki, robiąc między poduszkami miejsce na albumy ze zdjęciami, dyskutując, gdzie znaleźć odpowiednie przedmioty i jak zrobić na nie miejsce. Farida odłożyła szal na bok.

Mair włożyła zdjęcie w teczkę i po cichu schowała ją wraz z kosmykiem włosów do torebki.

– Widzisz, Bruno? To mały Sanjay, ma prawie sześć lat. To bardzo mądry chłopiec. Jest świetny z matematyki. Jego ojciec twierdzi, że najlepszy w klasie.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której Bruno oglądał zdjęcia i zadawał odpowiednie pytania, a Mair patrzyła z zaciekawieniem, pochylając się nad nim.

Po porcji wiadomości o rodzinie Dasguptów nadeszła pora na pytania o starszych Beckerów, ich sąsiadów i wyrazy współczucia z powodu ojca Brunona, którego stan zdrowia nie uległ żadnej poprawie. Farida przyniosła kolejną porcję herbaty i przekąsek. Z dziedzińca rozległy się odgłosy kroków, a w drzwiach pojawił się starszy, pulchny mężczyzna w garniturze.

Zahra zawołała:

– Dilipie, wreszcie jesteś. Przywitaj się z naszymi miłymi gośćmi.

Pan Dasgupta był łysy, uśmiechnięty i miał niemal tak jasną skórę, jak jego żona. Był uprzejmy dla szwajcarskich znajomych żony, ale dał jasno do zrozumienia, że czeka na kolację. Po grzecznościowej wymianie zdań, zaproszeniu, by zostali i uprzejmej odmowie, wizyta zaczęła zmierzać ku końcowi.

Mair nagle wpadła na jakiś pomysł.

– Pani Dasgupta – zaczęła. – Chciałabym panią o coś prosić.

Kobieta rzuciła jej spojrzenie znad okularów i odparła:

– Oczywiście, skarbie.

– Ze względu na moją babkę, Nerys, chciałabym, żeby zachowała pani szal. Pani i Farida – moja babcia na pewno by tego chciała. Miesiącami próbowałam odkryć jego historię. Udałam się do Ladakhu, Śrinagaru, a nawet do Kanihamy, by odkryć, gdzie go utkano. Czuję, że szal będzie tu bliżej domu, niż gdyby miał zostać ze mną w Anglii.

Twarz Faridy rozpromieniała. Odezwała się do Zahry błagalnym tonem.

– Moja wioska. Utkąła go moja rodzina. Włożono w to tak wiele trudu. – Przytuliła go do siebie. – Należał do mamy Ness, pamiętasz?

Pan Dasgupta założył rogowe okulary i przyjrzał się rogowi szala, który zwisał z rąk Faridy.

– Świetna robota. Nadałby się do muzeum – stwierdził.

Zahra zacisnęła wargi.

– Dilip wie, o czym mówi. Pracuje w przemyśle tekstylnym. Jeśli tak pani chce... Chociaż ten szal nie ma ze mną żadnego związku, doceniam pani starania. Dziękuję.

– Jeszcze jedno – uśmiechnęła się Mair. – Czy możemy sobie razem zrobić zdjęcie?

Szybko wyjęła aparat cyfrowy i podała go Brunonowi. Stała między Zahrą i Faridą – szal był rozpięty między nimi niczym chorągiew.

Bruno zrobił im zdjęcie.

Pan Dasgupta twierdził, że odwiezie ich do hotelu, ale Mair i Bruno nawet nie chcieli o tym słyszeć. Poszli jednak na kompromis, zgadzając się, by odwiózł ich na bardziej ruchliwą ulicę, gdzie mogli znaleźć taksówkę albo riksę. Zahra i Farida odprowadziły ich do dużego, czarnego samochodu, którego siedzenia pokryte były białym lnem. Kobiety przytuliły jeszcze raz Brunona i ucałowały Mair. Samochód ruszył.

Zahra machała im, dopóki nie zniknęli za rogiem. Farida stała w cieniu ściany, wciąż ściskając szal.

Kiedy Dilip zostawił ich na rogu, przekazując potok wyjaśnień, jak dotrzeć do hotelu, Bruno westchnął.

– Muszę się napić piwa – jęknął.

Najbliższy bar oświetlony był niebiesko-różowym neonem. Na ścianach wisiały bollywoodzkie plakaty, a klienci ubrani byli w dzinsy i japońskie T-shirty.

Bruno stwierdził:

– To było dość sprytne.

Kelner przyniósł im szklanki z orzeźwiająco zimnym piwem. Stuknęli się. Mair czuła się, jakby już była pijana. Czuła jednocześnie zdumienie i zrozumienie.

– Co takiego?

– Zwróciłaś szal właścicielce, jednocześnie nie zmuszając jej do zaakceptowania praw do niego. Smutno ci, że się z nim rozstałaś?

Mair potrząsnęła głową.

– Cały czas należał do Zahry, nie mogłam go zatrzymać. Wierzysz w naszą historię, prawda? A nie w wersję Zahry?

– Tak. Naukowo rzecz biorąc, Brzytwa Ockhama nie twierdzi, że najprostsza teoria jest tak naprawdę prawdziwa...

– Słucham... – zaśmiała się.

– Zahra odniosła sukces, prawda? Myślę, że zaszła tak daleko, że ma prawo wierzyć w dowolną wersję swojej przeszłości.

– Tak. Dziękuję, że ostrzegłeś mnie, kiedy miałam zamiar sprzeczać się z nią mimo wszystko.

– Wyglądałaś na wściekłą.

Zagryzła wargi, starając się nie poddać zakłopotaniu.

– Byłam, ale tylko przez chwilę. Czy myliłam się, próbując ją przekonać?

– Nie. Nie mogłaś zataić prawdy. Obejrzymy nasze zdjęcie?

Schylili się nad zdjęciem, a Mair świadoma była bliskości jego dłoni i ręki oraz tego, że stykają się ramionami.

Obraz był ostry, a Brunonowi udało się uchwycić echo tamtego starego zdjęcia trzech kobiet.

– Jest świetne – stwierdziła. – Bardzo dziękuję.

– Zaniosę je do hotelu i zrobimy wydruk. Zabierzemy je z sobą.

– Zabierzemy je?

– Do Śrinagaru.

– Jedziemy do Śrinagaru? – zdumiała się.

Po tym, jak Zahra zdecydowanie odrzuciła wieści, które ze sobą przynieśli, Mair uznała, że należy porzucić plan podróży do Kaszmiru. Nie wiedziała, jak mogliby powiedzieć Caroline, że córka, którą straciła tak dawno temu, jest cała i zdrowa, ale nie wierzy w historię opowiedzianą przez Mair.

– Oczywiście. Musimy jakoś zamknąć ten tajemniczy krąg, nie sądzisz?

Delikatnie oplótł jej dłoń, jakby chciał wzmocnić znaczenie swoich słów.

Mair pokochała go za to, że uczynił z jej misji ich wspólną sprawę. Za to i za wszystko inne. Przez myśl przeszli jej Hattie i Ed.

– Chcesz jeszcze jedno? – spytał, wskazując na szklanę.

– Tak – odparła.

Śrinagar bardzo się zmienił.

Droga z lotniska była zakorkowana, a na każdym skrzyżowaniu zatrzymywała ich policja albo blokada armii indyjskiej. Ulice patrolowali młodzi, pewni siebie bojówkarze z bronią automatyczną, czuwając nad tłumami przechodniów przenikających bojaźliwie strumieniem pod platanami. Powietrze przepełnione było oparami z silników i gęste od napięcia. W okolicy Lal Chowk znajdowały się zbombardowane budynki, rozklekotane bazary i ceglane domy zaczernione od ognia lub podziurawione kulami. Wszędzie, gdzie spojrzeli, widzieli wojsko i blokady. Mair wiedziała, że separatyści wzmoгли swe działania, gdyż młodzi, którzy kiedyś ciskali tylko kamieniami, teraz zdecydowali się używać broni palnej. Poziom przemocy w stosunku do Armii Indyjskiej urósł prawie do rangi otwartej wojny, jednak nie spodziewała się aż tak napiętej atmosfery i takiego kryzysu ekonomicznego.

Pierwszym, co przychodziło jej na myśl, było „przygaszenie”. Tak wyglądało dziś to miejsce i jego mieszkańcy – panował tu smutek, który pochłonał nawet ją.

W taksówce Bruno w skupieniu wyglądał przez okno. Chciała, żeby pokochał Kaszmir od pierwszego wejrzenia, bo sama przeżyła taką fascynację. Zauważyła, że usprawiedliwia przed nim stan, w jakim znajdowało się miasto. Wskazała na starożytnie dachy, widoczne w oddali.

– Nie zawsze tu tak było. To piękne miejsce. Patrz, to Jama Masjid, Piątkowy Meczet. Z czternastego wieku.

Kierowca siedział zgarbiony w szarej tunice, czekając, aż zatrzyma ich kolejny z rzędu indyjski żołnierz po to, by dokładnie sprawdzić dokumenty.

W końcu dotarli do hotelu. Mair wybrała jeden z chińskich obiektów w Bundzie. Nie ten, w którym schroniła się po wybuchu granatu; znajdował się on jednak w pobliżu. Po drodze minęli *Salomona i królową Saby* – stara łódź przechylała się jeszcze bardziej ku powierzchni jeziora. Nie pokazała jej nawet Brunonowi. Nie chciała rezerwować łodzi. Nierzadko były w stanie rozkładu. A może dlatego, że kojarzyły się jej z romantycznymi miejscami, które wybierali kochankowie i małżonkowie w trakcie podróży poślubnych.

Kiedy się meldowali, powiedziano im, że od zmierzchu do świtu panuje godzina policyjna. Zjedli kolejny posiłek w kawiarni – tym razem nie mogli nawet wypić alkoholu, gdyż w hotelu go nie podawano. Z niewielkiej odległości dobiegł ich krótki, szokujący odgłos wystrzałów.

– To ciężkie czasy – westchnął kelner, podając im czerwonawą zupę.
– Są państwo turystami?

Zawsze liczono tu na turystów.

– Niezupełnie – odparła Mair.

– Są państwo z ONZ? Organizacji pozarządowych?

– Nie, odwiedzamy tylko przyjaciółkę. – Bruno nie chciał być niemily, ale najwyraźniej jego głos był tak zdecydowany, że mężczyzna

natychmiast się wycofał.

Podczas posiłku niewiele mówili. Mair wiedziała, że Bruno planował wizytę u Zahry z Lotus i Karen.

Zanim poszła spać do swojego pokoju, podniosła śmierdzącą tytoniem zasłonę i wyjrzała przez okno. Po opuszczonej ulicy przejechał samochód policyjny. Nieopodal płonął budynek. Dostrzegła paskudny, czerwony poblask, spowity chmurami dymu.

Następnego ranka pojechali riksą do domu Caroline.

Stare bazyry pełne były ludzi – zamiast wojskowych jeepów zatrzymało ich stado kóz i owiec. Bruno zaśmiał się na ich widok.

– Przepraszam, że byłem wczoraj tak mało rozmowny.

– Nic się nie stało.

– To smutne miejsce.

– I bardzo silne. Wbija się w głęb siebie, wiem to z doświadczenia.

– Tak samo musiała czuć się Caroline. Zrobiła inaczej niż większość Brytyjczyków, przenosząc się tu z Anglii, prawda?

Pojazd ruszył naprzód, gdy tylko owce uciekły im z drogi.

Aruna otworzyła drzwi domu stojącego w zarośniętym ogrodzie i skrzywiła się na widok Mair, jak gdyby ta była tu zaledwie wczoraj.

– Pani Bowen jest bardzo zmęczona. Nie czuje się dobrze. Przykro mi.

Mair podeszła bliżej, trzymając listy Nerys.

– Obiecałam, że je zwrócę. Nie zabawimy tu długo. To pan Becker, przyjaciel starego znajomego pani Bowen.

Aruna z grymasem wysłuchała Mair i przyjęła listy, a potem porzuciła próby wygnania gości.

Pokój z tyłu domu wypełniała muzyka Szopena. Caroline siedziała tam, gdzie zwykle. Nogi miała oparta o stółek, a nieopodal stał balkonik. Wyczuwając ich obecność, odwróciła głowę, kiedy tylko weszli, jednak Mair zauważyła, że całkowicie straciła wzrok. Patrzyła z wyczekiwaniem w ich kierunku, uważnie nasłuchując ich kroków.

– Aruna, to ty?

Mair szybko podeszła do niej.

– To znowu ja, Mair. Pamięta mnie pani? Wnuczka Nerys Watkins?

– Kto? Wnuczka Nerys? Mojej przyjaciółki Nerys? Nie wierzę.

Mair zawahała się, zrażona luką w pamięci kobiety. Bruno odczuł to samo. Podszedł do Caroline z drugiej strony i odezwał się delikatnie:

– Witam, pani Bowen. Jestem znajomym Mair, Bruno. Mój dziadek był przyjacielem Rainera Stamma.

– Rainer – Caroline klasnęła w dłonie. – To niesamowite! Gdzie on jest? Chętnie bym się z nim zobaczyła. Przekażcie mu to.

Bruno ujął jej dłoń w rękę. Wyglądała jak mały szpon, otoczony wielką pięścią.

Caroline uśmiechnęła się, jej twarz rozpromieniała.

– Witaj, mój drogi – odezwała się. – Dziękuję, że przyszedłeś.

– Rainer nie żyje. Zginął, wspinając się na górę.

– Wszyscy nie żyją – odparła, uśmiechając się nadal. – W moim wieku można do tego przywyknąć. Mam dziewięćdziesiąt lat. Prawda, Aruno, że dziewięćdziesiąt? – Przechyliła głowę, nasłuchując odpowiedzi służącej.

– Tak, dziewięćdziesiąt – Aruna westchnęła.

Najwyraźniej nie po raz pierwszy słyszała to pytanie. Otworzyła brązową buteleczkę i przeliczyła zielono-białe kapsułki.

Caroline usiadła, wciąż trzymając rękę Bruna.

– Czy to nie wspaniałe? Musicie mi wszystko opowiedzieć. Napijcie się. Aruna, moja droga, co mamy?

– Dziękuję, będzie nam miło – odparł Bruno, zerkając na Arunę. Wiedział, że musi jej być ciężko.

– Zobaczę – odparła kobieta, wychodząc z pokoju.

Mair zbliżyła się.

– Pani Bowen, pamięta pani, jak przyszedłam rok temu i pokazałam pani szal? Powiedziała pani, że to szal Zahry.

– Naprawdę? – uśmiech nie schodził jej z ust. Płyta zatrzymała się i odtwarzacz wydawał z siebie tylko niski pomruk.

Mair zniżyła głos. Nie wiedziała, jak powiedzieć to, co chciała przekazać.

– Zostawiłam szal Zahrze. To dobrze? Widziałam ją dwa dni temu, w Delhi. Widzi pani, ona przeżyła. Rainer wysłał ją lata temu do Europy. Wraz z Brunonem spotkaliśmy ją i jej męża.

Nastąpiła chwila przerwy.

– Naprawdę? To miło, skarbie. – odparła Caroline.

Szum brzmiał jak bzyczenie komara. Bruno chciał wyłączyć odtwarzacz, ale Caroline chwyciła go za rękę.

– Nie odchodź.

– Dobrze – uspokoił ją. – Rozumie pani, co mówi Mair?

Starsza kobieta odwróciła się, starając się na próżno zobaczyć ich twarze. Jej uśmiech zgasiła niepewność.

– Kto? Kto mówi? Czy jest tu Nerys?

Mair spytała ją z ponagleniem w głosie:

– Czy dobrze zrobiłam, oddając Zahrze jej szal?

Spojrzała w oczy mężczyzny.

Caroline odparła:

– Chyba tak. W końcu należał do niej. Gdzie jest Aruna?

– Poszła zrobić coś do picia. Niedługo wróci – uspokoił ją Bruno.

Uścisnął jej dłoń, a twarz Caroline znowu się pojaśniła.

– A, tak. Chętnie się napiję. Jak masz na imię?

– Bruno.

Aruna wróciła z tacką, na której stały szklanki i dzbanek. Nalała im lemoniady. Kiedy podała ją Caroline, ta zaczęła pić duszkiem, jak dziecko. Aruna skorzystała z okazji i dała jej dwie tabletki, które kobieta natychmiast połknęła.

Mair zastanawiała się, jak długo siedzieli w pokoju z widokiem na ogród, którego Caroline nie mogła już zobaczyć. Wydawało jej się, że zbyt długo.

Nitka, którą śledziła miesiącami, kończyła się właśnie tutaj. Powstał z niej zawiły wzór, ale chociaż nie mogła przyciąć końcówek i zawiązać węzła, jak w szalu, cieszyła się, że za nią podążała.

Caroline ziewnęła. Jej głowa opadła na poduszkę, a usta się otworzyły. Bruno puścił jej rękę i odłożył ją delikatnie na kolana. Chwilę później rozległo się ziewanie. Mair rozejrzała się po pokoju. Aruna otuliła starszkę kocem. Podniosła szklanki i położyła je cicho na tacy. Mair i Bruno wstali.

– Chcę to dać pani Bowen – powiedziała Mair. – To... jej starzy znajomi, na których wpadliśmy w Delhi.

Fotel Caroline stał tuż przy kominku. Nad nim znajdowała się półka z lustrem w złotej ramie, za którą Mair wetknęła zdjęcie. Wraz z Zahrą i Faridą patrzyły teraz z uśmiechem na pokój. Aruna natychmiast do niego podeszła, poprawiając okulary, by zobaczyć je dokładniej.

Wskazała na zdjęcie.

– Ostatnim razem przyniosła pani szal.

– Tak.

– Wie pani, ona nie zobaczy tego zdjęcia. Czy ono może mieć dla niej jakieś znaczenie?

– Żadne. Chodzi mi raczej o to, żeby to zdjęcie na nią spoglądało. Może tak być? – zignorowała sceptyczne spojrzenie Aruny. – Mogę jeszcze przed wyjściem skorzystać z toalety?

– Zaprowadzę panią.

Caroline spała. Mair schyliła się nad nią i pocałowała delikatnie w głowę.

– Śpi teraz przez większość dnia – powiedziała Aruna z lekką czułością w głosie.

Wskazała drzwi na końcu krótkiego korytarza i odniosła tackę do kuchni. Bruno stał, oglądając oprawione zdjęcia, wiszące przy drzwiach frontowych.

Mair obejrzała się za siebie, weszła do łazienki i głośno zamknęła drzwi. Domyśliła się, że pokój Caroline musi znajdować się tuż obok. Było tam łóżko z białą kołdrą pod baldachimem z siatką na komary. Wemknęła się do środka i rozejrzała. Pokój wyglądał raczej jak sala szpitalna niż sypialnia i pachniał podobnie. Przy łóżku stała pojedyncza szufladka.

Otworzyła ją, przeglądając zawartość, którą stanowiły głównie lekarstwa. Następnie wcisnęła celofanową kopertę z puklem włosów Zahry na sam koniec szufladki. Zamknęła ją i zajrzała przez szparę w drzwiach. Ktoś pukał do drzwi wejściowych. Kiedy Aruna wybiegła z kuchni, Mair udała, że wychodzi właśnie z łazienki.

Bruno spojrział na nią zdziwiony.

Za drzwiami stały trzy kobiety w szalach. Jedna z nich trzymała wiklinowy koszyk przypominający pojemnik na *kangri*. Najwyraźniej Aruna dobrze je znała. Poprosiła, by usiadły na starych krzesłach w cieniu werandy. Mair pomyślała: Ja też je znam. Tylko skąd? Były to dwie młode kobiety o oliwkowej skórze i jedna starsza, ze zmarszczkami na twarzy.

Aruna przyjęła koszyk i otworzyła garnuszek znajdujący się w środku. Poczuli unoszący się z niego przepiękny zapach.

– Coś pysznego – powiedział Bruno.

Aruna pokiwała głową.

– To ryż *tahar*, gotowany w specjalny sposób, z kurkumą. W Kaszmirze to potrawa, którą traktujemy jako symbol szczęśliwego powrotu i bezpieczeństwa. – Mair już pamiętała. Oczywiście. To matka i siostry Mehraana. One też ją rozpoznały. Dziewczyny zachichotały, a matka pochyliła głowę.

– Miałam zamiar odwiedzić Mehraana w warsztacie – powiedziała z uśmiechem Mair. – Jak on się miewa?

Aruna przetłumaczyła słowa Mair.

– Jeśli z nami usiądziecie, podzielimy się ryżem. To bardzo dla nas ważne. Przyniosły ryż dla pani, bo mają go mnóstwo.

– Dziękuję – powiedziała Mair.

Usiedli w kole, dziewczynki siedziały na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Aruna przyniosła talerze, matka Mehraana rozłożyła na nich ryż. Zjedli go z kremowym kaszmirskim jogurtem, orzechami i świeżą kolendrą. Mair i Bruno jedli w milczeniu, używając palców prawej dłoni.

Był to jeden z najlepszych posiłków w życiu Mair.

Aruna położyła pokrywkę na garnku.

– Dla pani Bowen, gdy się obudzi. Będzie jej smakować.

Dziewczęta znów szeptały i chichotały.

Aruna powiedziała:

– Chciałyby wiedzieć, czy ten mężczyzna jest twoim mężem.

Mair nie mogła spojrzeć na Brunona, ale czuła jego wzrok na swojej twarzy. Cały czas była świadoma jego bliskości, miało dla niej ogromne znaczenie to, byli w Śrinagarze razem. Teraz, kiedy wszystkie części układanki zostały ułożone w całość, trzeba będzie znów pomyśleć o powrocie do domu. Osobno.

Jej serce ścisnął niepokój.

– Nie, to nie jest mój mąż. Ale jest moim dobrym przyjacielem.

Rozległ się kolejny chichot i rozmowa, której Mair i Bruno nie rozumieli.

Aruna zaczęła mówić:

– U Mehraana wszystko w porządku. Często przychodził tu, by mi pomoc. Zimą przywoził drewno i odśnieżał ścieżkę. Widzisz? Naprawił płot.

Pośród starych sztachet widniały nowe pomalowane na jasny kolor deseczki.

– Bardzo miło z jego strony. Gdzie on jest? W warsztacie?

Aruna zawahała się. Potem powiedziała:

– Mehraana nie ma w Śrinagarze. Wyjechał do obozu. Przekroczył linię demarkacyjną, ale jego matka wie, że jest bezpieczny, dlatego przyrzędniała *tahar*.

Mair i Bruno zastygli w bezruchu.

Przekroczenie linii demarkacyjnej oddzielającej Pakistan od Kaszmiru było bardzo ryzykownym zadaniem, domyślili się natychmiast, że jego obóz musiał być ośrodkiem szkoleniowym dla powstańców walczących o Wolny Kaszmir. Mair próbowała przyjąć to do wiadomości, przypominając sobie jednocześnie młodego mężczyznę, którego obowiązki czyniły z niego o wiele starszego, niż był naprawdę.

– Mam nadzieję, że będzie bezpieczny – szepnęła, wyobrażając

sobie, jak wraca do matki i sióstr, by zaraz potem zostać zabity przez wojsko lub bojówkarzy.

Aruna pogroziła im palcem.

– Tak nie można myśleć. To nie obóz wojenny. To nauka Islamu, dla pokoju.

Matka powiedziała coś szybko i córki odwróciły ku niej głowy.

Aruna starała się przetłumaczyć.

– Dla Mehraana i jego przyjaciół istnieje tylko jeden *dżihad*. Taki, który jest w sercu każdego człowieka, gdzie nie ma broni, tylko prawda o Bogu. W tym obozie i z nauczycielami, którzy tam są, Mehraan odnalazł swoją drogę. Tęsknimy za nim, ale cieszymy się, że jest szczęśliwy.

Matka Mehraana pochyliła głowę. Mair poczuła łzy napływające jej do oczu. W Kaszmirze było tyle smutku i tylu odważnych ludzi.

Nadszedł czas pożegnania.

Bruno i Mair podziękowali kobietom za podzielenie się z nimi potrawą, a Mair zapytała Arunę, czy może odwiedzić panią Bowen raz jeszcze, zanim wyjedzie ze Śrinagaru. Aruna ledwie zauważalnie kiwnęła głową.

Mair uścisnęła siostry Mehraana i ukloniła się, składając ręce, w stronę ich wspaniałej matki.

Chwilę później szła z Brunonem ulicą, w cieniu jabłoni i orzechów pokrytych jesiennymi kolorami. Byli tak przejęci wizytą, że nie zwracali uwagi na to, gdzie idą i dwie minuty później zgubili się w labiryncie uliczek. Na drewnianych schodkach prowadzących do jednej z kamienic leżał ciężko dyszący pies.

Bruno zatrzymał się.

– Myślisz, że idziemy w dobrą stronę?

– Nie wiem, przyszliśmy chyba stamtąd.

Położył jej ręce na ramionach, patrząc głęboko w oczy.

– To nie ma znaczenia – powiedział. – Znajdziemy drogę. A teraz przyznaj się, co robiłaś w pokoju Caroline?

– Zostawiałam pukiel włosów Zahry obok łóżka Caroline. Lepsze to

niż nic.

– Nigdy bym o tym nie pomyślał. Ale to najlepsze, co mogłaś zrobić. To, zdjęcie i szal.

Pochylał ku niej głowę, gdy nagle rozległ się krzyk i usłyszeli tupot stóp ludzi pędzących w ich stronę.

Po drugiej stronie ulicy ujrzeli ogromnego psa biegnącego w ich kierunku.

Bruno złapał Mair za nadgarstek i odciągnął ją od zwierzęcia, biegnąc w kierunku tupiących stóp.

W głowie Mair pojawił się obraz biegnących żołnierzy, z uniesionymi karabinami. Ale mając obok siebie Brunona, nie bała się.

Zza rogu wyskoczyła na nich grupka dzieci. O mały włos się ze sobą nie zderzyli, ale Mair i Bruno w ostatniej chwili odskoczyli na bok i pozwolili dzieciom przebiec. Byli to chłopcy w wieku od pięciu do kilkunastu lat, wszyscy w białych czapczkach i ładnych granatowych *kameez*, ich tornistry podskakiwały, gdy biegli obok siebie, przepychając się łokciami. Skończyły się lekcje. Pies podwinął pod siebie ogon i schował się we wnęce, a Mair i Bruno stali dalej przyciśnięci do ściany. Śmiech i krzyki rozległy się echem po wąskiej uliczce.

Opuścił głowę i odetchnął z ulgą.

– Przepraszam. Boję się psów.

– W porządku – chwyciła go za ramię. – Wszyscy gdzieś biegają. Idziemy za nimi?

Ruszyli za dziećmi. Sto metrów dalej doszli do brzegu strumienia, jednej z odnóg rzeki Dźhelam. Obok znajdowało się małe pole, z topolami i wierzbami. Trawa w niektórych miejscach była wyschnięta. Dzieci biegały i kopały piłkę. Szerokość bramki wyznaczały leżące na ziemi tornistry. Kolejna grupa dzieci ustawiła paliki do krykieta. Nad wodą dzieci huśtały się na linie.

Bruno i Mair usiedli na trawie, by popatrzeć.

Popołudniowe słońce zaczęło powoli zachodzić, robiło się coraz chłodniej, a oni nadal siedzieli, patrząc na radość dzieciaków, która

prysłała problemy tego miasta.

– Wyglądają na takich szczęśliwych – powiedziała Mair.

Bruno pokiwał głową.

– I pełnych nadziei. Nawet w tym niebezpiecznym miejscu, gdzie większość z nich nie wie, co czeka ich w przyszłości. Nadzieja jest największą siłą. Patrząc na nich, zapomniałem trochę o moim smutku. Podobnie gdy jedliśmy ryż na werandzie. Nie odczuwałem żadnych barier, ani językowych, ani religijnych. To nigdy nie trwa długo, a za każdym razem, gdy sobie przypominam Lo, czuję ból. Tak jakby każda chwila szczęścia była próbą zapomnienia o niej. Tak jakbym musiał cierpieć – pokręcił głową. – Nie wiem, gdzie kończy się prawdziwy żal i zaczyna pobłażliwość względem siebie.

– Nie jesteś taki – powiedziała cicho Mair.

– Nie byłbym tego taki pewny. To, co kiedyś było dla mnie ważne, straciło znaczenie, pozbawione zostało wszelkich wartości. Właściwie nic już nie ma dla mnie znaczenia po śmierci Lo. Ani marzenia, ani ambicje, praca. Chyba nawet miłość.

– Wydaje mi się, że ważne jest to, co jest teraz, tutaj.

Wskazała na małe pole, myśląc jednocześnie o Walii, dziecku Tala i Annie i o spokojnej górskiej chatce Brunona.

I o szalu Zahry.

– Po prostu jeszcze nie jesteś gotowy, by zrzucić żałobę – powiedziała.

Patrzył przed siebie, ale teraz odwrócił się i spojrzał na nią.

– Nie jestem. Potrzebujemy więcej czasu, Mair.

Było to najsztelniejsze z ostrzeżeń. Doceniła to, że uwzględnił ją w swoich planach.

– Wiem.

Kiedy rozmawiali, Mair patrzyła na dzieci bawiące się na linie. Trzech najstarszych chłopców huśtało się na niej tak, że lina prawie znalazła się w pozycji poziomej. Nagle wszyscy puścili i spadli na przeciwległy brzeg.

Mair przyglądała się im z zazdrością.

Chłopcy wracali na brzeg po balu drewna, przełożonym w poprzek strumienia. Teraz o wiele mniejszy chłopiec chwycił linę i zaczął się huśtać. Ostatni z powracającej trójki stracił równowagę na balu, ale udało mu się zeskoczyć na ziemię. Bal wpadł do wody, ale mały chłopiec był zbyt zaabsorbowany huśtaniem się, by zwrócić na to uwagę. Był za lekki, by przechylić linę tak mocno jak jego poprzednicy, ale dzielnie huśtał się, trzymając jej koniec. Starsi chłopcy krzyczeli coś na zachętę, ale reszta dzieci powoli zbierała się do swoich domów, ponieważ robiło się ciemno i zbliżała się godzina policyjna.

Chłopiec przechylił się trzeci raz i znów nie trafił. Nie poddawał się jednak. Przy kolejnej próbie zeskoczył, ale było za późno. Wpadł prosto do wody. Podskoczył i doszedł do brzegu, gdzie opadł na błoto i piasek. Kiedy wstał, spodnie miał mokre do ud, a przód granatowego *kameezu* pokryty był ziemią.

Nawet z miejsca, w którym siedziała, Mair widziała, że próbuje się uśmiechać, ale zauważył, że bal wpadł do wody, a on nie ma jak się wydostać.

Starsi chłopcy zawołali go po imieniu.

Mair podniosła się z ziemi. Podbiegła do liny i oplótła stopy wokół węzła na końcu. Rozejrzała się huśtając. Zauważyła drzewo z nisko wiszącą gałęzią stojące w idealnej odległości od brzegu.

Radość przepłynęła przez jej ciało.

W najwyższym punkcie puściła linę. Niebo, trawa i woda wirowały jej przed oczyma, ale wiedziała, że nie upadnie i dobrze wyląduje.

Złapała gałąź i zrobiła całkowicie niepotrzebny w tej chwili obrót. Twarda kora raniła jej dłonie, ale ona wisiała dalej.

„Trapez nie jest tak dobry jak seks”, mawiała Hattie. Ale był blisko.

Mair opadła na ziemię. Chłopiec stał z szeroko otwartymi ustami. Zapomniał o płaczu i krzyku. Po drugiej stronie chłopcy aż podskakiwali z radości.

Kucnęła koło chłopca. Miał zaczerwienione od płaczu oczy.

– Cześć – powiedziała i wyciągnęła do niego rękę.

Złapał ją i razem obrócili się ku brzegowi. Bruno stał po drugiej

stronie. Wszedł do brudnej wody i z pomocą reszty chłopców podniósł bal. Postawili go z powrotem na miejsce. Mair poprowadziła tam chłopca i podała go mężczyźnie. Chwilę później Bruno wrócił po nią.

– Bądź bardzo ostrożna. Nie chcę, żebyś się pośliznęła i zraniła – powiedział, chwytając ją za rękę.

– Dziękuję za uratowanie mnie. Ale to ty zamoczyłeś sobie stopy.

Roześmiali się, a chłopcy zebrali się wokół Mair. Jeden ze starszych chłopców, prawdopodobnie brat lub kuzyn najmłodszego, strzepywał brud z jego ubrań.

– Bardzo dobrze, skąd pani jest? Anglia? Dobry krykiet – krzyczeli.

Najstarszy krzyknął coś do reszty i chłopcy rozpiezchli się na wszystkie strony. Mair i Bruno zostali sami.

– Jesteś zaskakującą kobietą – powiedział. – Niesamowitą kobietą.

– Po prostu miałam ochotę to zrobić.

Wiatr poruszał suchymi liśćmi, a nad dachami niskich ceglanych domków unosił się dym. Bruno ujął jej twarz w dłonie i kciukami gładził kąciki jej ust. Stali w milczeniu, wsłuchując się w podmuchy wiatru i szum wody.

Mair przypomniała sobie Leh, prawie rok temu, i dzień, kiedy po raz pierwszy spotkała Karen i Lotus. Potem pojawiło się wspomnienie strasznego poranka w Lamayur. Wykonała wtedy salto, by rozśmieszyć Lotus...

Zamknęła oczy i znów je otworzyła.

Tak wiele zmieniło się w ciągu roku.

„Nie zrobię tego więcej. Koniec z akrobatyką. Koniec z cyrkiem”.

Nagle ogarnęło ją uczucie szczęścia. Rzeczywistość w tej chwili była idealna.

– Wkrótce będzie zupełnie ciemno – powiedział cicho Bruno.

Trzymał ją za rękę, gdy szli przez pole. Po drodze minęli grupę kobiet w czarnych burkach, spieszących do meczetu w odpowiedzi na wołanie muezina. Była to dzielnica należąca do ortodoksyjnych muzułmanów, bardziej przypominająca Arabię Saudyjską niż Śrinagar. Mair i Bruno szli ścieżką w stronę rzeki Dźhelam.

Kiedy dotarli do hotelu o szklanych ścianach, Bruno westchnął.

– Musimy zostawać tu jeszcze jedną noc? – zapytał.

– Nie. Dokąd chcesz iść?

Odwrócił się w stronę jeziora. Kilka *shikar* kołysało się przy pomoście, w nadziei na złapanie ostatniego kursu przed godziną policyjną. Obok przejechało kilka jeepów z żołnierzami w środku.

Po drugiej stronie jeziora rząd domów na łodziach rzucał żółte światła na tafłę wody. Zmierzch skrył odpyskującą z nich farbę.

– Co powiesz o... tamtych domach?

Pół godziny później, bez żadnego bagażu, niczego poza ubraniami, które mieli na sobie, wynajęli *Różę Kaszmiru*. Służący poprowadził ich z dumą przez pokoje ozdobione haftami i żyrandolami. Deski skrzypiały im pod stopami, a lustra pokryte były kurzem.

– Zrobię kolację – powiedział i przeszedł po desce prowadzącej do kuchennej łodzi.

Mair i Bruno stali na werandzie. Srebrna kula księżycy przepłynęła wolno nad górami. Przepłynęła ostatnia *shikara*.

Bruno westchnął.

– Wszystko to takie piękne. Ale Kaszmir byłby jedynie piękną pocztówką... gdyby nie ty. I wiem, że teraz na pewno się nie myślę...

„Jutro”, pomyślała, „będzie czas na kolejne pytania”. Bez wątpienia niektóre rzeczy będą wydawać się nie na miejscu, ale dzisiejsza noc należała tylko do nich i wszystko było takie, jak być powinno.

– Nie mylisz się – potwierdziła.

Było ciemno, ale wciąż widzieli swoje twarze.

Spośród drzew na brzegu dobiegło ich pohukiwanie sowy.

PODZIĘKOWANIA

Bob i Carolyn Wilkins jako pierwsi skierowali moją uwagę na wpływ weterynaryjnego leku o nazwie Diclofenac na populację sępów w Azji oraz na zwiększającą się ilość zdziczałych psów i szerzenie się wścieklizny. Byli też wspaniałymi kompanami podczas długiej wędrówki po górach Zanskar w indyjskich Himalajach, tak samo jak Jane Maxim, Stephen Barnard i Graham Francis. Naszym przewodnikiem był nieoceniony Seb Mankelow, który dzielił się z nami swoją wiedzą i miłością do tego regionu, i który wielokrotnie pomagał mi podczas zbierania materiałów do napisania tej książki. Naszym lokalnym przewodnikiem był Sonam „Jimmy” Stobges, którego energia i dobry humor sprawiały, że o wiele łatwiej było nam przetrwać w trudnych warunkach. Jestem wdzięczna jemu i jego żonie, która zaprosiła nas do rodzinnego domu w Padum, oraz wszystkim pomocnikom i właścicielom kucyków. Doktor Tsering Tashi z ośrodka Community Health Care w Padum poświęcił mi popołudnie na przedyskutowanie zagrożeń i efektów wścieklizny. Kolejny Tashi był moim kierowcą na długiej i trudnej drodze przez góry z Ladakhu, przez Kargil aż do Śrinagaru w Kaszmirze.

W Śrinagarze pomogli mi właściciele i pracownicy Gurka Houseboats na jeziorze Nagin. Jestem wdzięczna przedarzom, farbiarzom, tkaczom i hafciarzom ze Śrinagaru i Kotliny Kaszmirskiej, którzy zaprosili mnie do swoich warsztatów, pokazali metody pracy i

cierpliwie wyjaśniali cały proces wytwarzania szali. Dziękuję też Justine Hardy i Sarze Wheeler za ich cenne rady.

Mój szwagier, Arwyn Thomas, urodził się w Indiach. Był synem walijskich misjonarzy i to on opowiadał mi o ich pracy.

Chciałabym też podziękować Lynne Drew i wszystkim z HarperCollins, Hazel Orme, Annabel Robinson i całej ekipie w FMcM Associates, Bibliotece Londyńskiej i mojemu wspaniałemu agentowi, Jonathanowi Lloydowi.

Jak zawsze, dziękuję też wspierającej mnie rodzinie, Charlie, Florze i Theo.